

*Kolejna powieść bestsellerowego cyklu
o MAJOR KAMIŃSKIEJ*

ALEKSANDRA MARININA

MOTYWY OSOBISTE



ALEKSANDRA
MARININA
MOTYWY
OSOBISTE

Przekład
Aleksandra Stronka



Tytuł oryginału: *Личные мотивы*

Copyright © Aleksandra Marinina, 2011

Copyright © by Wydawnictwo Poznańskie Sp. z o.o., 2017

Copyright © for the Polish translation by Aleksandra Stronka, 2017

Redaktor prowadzący: Patryk Mierzwa

Redakcja: Magdalena Wójcik

Korekta: Alicja Laskowska

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Konwersja: Grzegorz Kalisiak

ISBN 978-83-7976-752-6

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

ROZDZIAŁ 1

Dzisiaj niedziela, a jutro Dzień Kosmonautyki. Traf chciał, że skończyli robotę akurat w przeddzień święta, więc można jechać do domu. Świąteczny poniedziałek nie jest, rzecz jasna, dniem wolnym od pracy, mimo to... W dzieciństwie Walerij Stiecenko chciał zostać kosmonautą, dwunasty kwiecień był jego ulubionym dniem w roku, wolał go bardziej od swoich urodzin czy sylwestra. Czytał książki o kosmosie, interesował się fizyką, uprawiał sport. Zresztą nie pora teraz na wspominki! I tak nic z tych rzeczy się nie przydało. Chociaż właściwie... Gdyby nie dobra kondycja fizyczna, raczej nie mógłby z pięćdziesiątką na karku pracować w brygadzie remontowej, stać godzinami na drabinie z podniesionymi rękami, wyrównując sufity i ściany czy montując rozmaite elementy dekoracyjne. Teraz w modzie jest empire i różne ozdobniki, zwyczajne bielenie sufitu i tapetowanie mało komu już wystarcza, klienci domagają się sztukaterii, choćby taniej, ze styropianu, skleconej w podmoskiewskim warsztacie.

Mieszkanie w domu położonym dwieście metrów od autostrady remontowali przez pięć miesięcy, namęczyli się, nim dogodzili właścicielom, którzy sami właściwie nie wiedzieli, czego chcą, i bez przerwy żądali, żeby „jakoś poprawić”. Parę dni temu pokazało się wreszcie światło w tunelu, robota zbliżała się do końca, toteż

wszyscy w brygadzie postanowili się sprężyć, nie szczydzili sił ani czasu, żeby najpóźniej w niedzielę uwolnić się od znienawidzonego obiektu, a zarazem od właścicieli, na których nie mogli już patrzeć. Do tej pory majster przestrzegał regulaminu pracy, dawał im wolne, najczęściej w soboty i w niedziele, czasami w środku tygodnia – zależy, jak posuwała się robota i czy dowieziono materiały – więc Walerij prawie co tydzień wpadał na dzień albo dwa do swoich, do Tweru, ale podczas tego weekendu musiał pracować. Za to teraz czeka go odpoczynek, sen i jedzenie. Z wyjątkiem majstra nikt w brygadzie nie pochodzi z Moskwy, wszyscy mają rodziny w innych miastach, stęsknili się i pilno im do domu, poza tym urobili sobie ręce po łokcie. Tyrali do drugiej w nocy, przed jedenastą kończyli „głośne” prace, żeby sąsiedzi się nie awanturowali, i jeszcze przez trzy godziny uwijali się po cichu; spali też tam, w obiekcie, na dmuchanych materacach, w ubraniu i bez pościeli, zrywali się o siódmej, pili szybko herbatę, połykali kanapki i od razu zabierali się do pracy. Wszyscy chcieli jak najszybciej skończyć. No i skończyli, chwała Bogu, akurat w niedzielę, więc można jechać do domu.

Po tym, jak majster obejrzał obiekt i odebrał robotę, zgodnie ze zwyczajem posiedzieli razem, odprężyli się, uczcili okazję. Będąc już pod dobrą datą, Walerij Stiecenko pojechał do mieszkania, które wynajmował na obrzeżach Moskwy z kolegami z brygady, braćmi Russu, żeby się umyć, przebrać i spakować. Bracia też przyjechali, zamierzali wszyscy razem wyruszyć na dworzec: mieli po drodze – parę lat temu Mołdawianie Russu osiedlili się z rodzinami w Smoleńsku,

więc wracali do domu z Dworca Białoruskiego, a Stiecenko po odsiadce zamieszkał w Twerze, jego pociąg odchodził z Dworca Leningradzkiego. Razem dotrą do metra, dojadą do linii okrężnej i się na nią przesiądą.

Walerij Stiecenko zawsze umiał liczyć pieniądze, nawet po pijaku; dawno by przepadł, gdyby nie potrafił kalkulować. Nawyk pozostał, nie ulotnił się w ciągu lat spędzonych w kolonii karnej, a także podczas długiego okresu posuchy i przypadkowego dorabiania. Najlepszy jest nocny pociąg do Petersburga o pierwszej pięćdziesiąt trzy, są w nim miejsca siedzące, które kosztują tylko sto osiemdziesiąt pięć rubli, więc jedzie się prawie za darmo. Są też inne pociągi w nocy, pełno ich, ale nie w każdym jest wagon z miejscami siedzącymi albo nawet kuszетка, w której bilet kosztuje pięćset dwadzieścia trzy ruble, a więc znacznie drożej, no a gdyby jechać w wagonie sypialnym, to w ogóle można zbankrutować – za miejsce trzeba zapłacić ponad dziewięćset rubli. Walerij nie musi się wylegiwać, sama podróż to nic takiego, na siedząco też dojedzie. Najważniejsze, żeby były bilety na tamten pociąg z miejscami siedzącymi. W przeciwnym razie trzeba będzie zapłacić za miejsce w kuszetcie albo, co gorsza, w wagonie sypialnym, a to Walerijowi się nie uśmiecha. Przez pięć miesięcy zarobił niezłą kasę, ale musi oszczędzać. Kto wie, jak długo posiedzi w Twerze, zanim majster złapie nowe zlecenie, zadzwoni i powie: „Przyjeżdżaj, Walerka, robota nie będzie czekać”? Telefon może się odezwać już za tydzień, Stiecenko nawet nie zdąży się wyspać i porządnie najeść, a może dopiero za trzy miesiące. To znaczy, że od

początku trzeba oszczędzać. Z drugiej strony, jak tu cokolwiek uciuć, gdy córeczka nie może się doczekać tatusia, który przywiezie pieniądze i nakupi prezentów, nie mówiąc już o artykułach pierwszej potrzeby? Walerij kochał swoją małą psotnicę i rozpieszczał ją, jak tylko mógł.

Powinien jednak się pilnować i nie szastać forszą. Więc chociaż do pociągu było jeszcze sporo czasu, postanowił pojechać wcześniej, razem z braćmi Russu – chciał zdążyć na dworzec przed północą. Wolał zaczekać na swój pociąg, niż przepuścić wszystkie pociągi, a na ten o pierwszej pięćdziesiąt trzy nie będzie już miejsc siedzących. Na dobrą sprawę Walerij może też pojechać tym o zero trzydzieści dziewięć czy zero pięćdziesiąt, albo nawet o pierwszej czy o pierwszej dwadzieścia. Sęk w tym, że gdy wsiądzie do swojego ulubionego pociągu o pierwszej pięćdziesiąt trzy, na dworcu w Twerze spotka Kota, to znaczy Sieńkę Kotowa, który co tydzień z niedzieli na poniedziałek odbiera swoją przyjaciółkę wracającą z Moskwy. Kot będzie samochodem, więc na pewno podrzuci Stiecenkę do domu i nie weźmie pieniędzy, Walerij nieraz się o tym przekonał. A jeśli wybierze inny pociąg, będzie musiał albo czekać na Kota i szlajać się po peronie, albo szukać łebka. Wtedy na nic się zda oszczędzanie.

Po niedawnych zamachach w moskiewskim metrze bracia Russu bali się jeździć koleją podziemną, strach jeszcze ich nie opuścił, ale nie mieli wyjścia, musieli jechać. Żeby nie myśleć o strasznych rzeczach, przez całą drogę gadali jak najęci, usta im się nie zamykały. Stiecenkę ogarnęła irytacja, od wypitego alkoholu huczało mu w głowie, znowu mieszała wódkę z colą dla lepszego efektu, więc paplanina braci go

drażniła. Ledwie wytrzymał, aż pociąg dojedzie do Biełoruskiej i Russu wysiądą z wagonu. On musiał się tłuc jeszcze do Komsomolskiej, ale to już niedaleko, raptem trzy przystanki.

– Walerka, to ty, brachu?

Głos rozległ się tuż nad uchem i mimo łoskotu pociągu niemal ogłuszył Walerija. Obrócił się zaskoczony. Jakiś facet, ubrany zwyczajnie, niedrogo, żeby nie powiedzieć biednie, luźna kurtka, za duża o dwa rozmiary – Walerij stwierdził to na pierwszy rzut oka, a oko miał wyćwiczone jeszcze z dawnych czasów, gdy kręcił się wśród cinkciarzy oraz spekulantów i doskonale znał się na ciuchach, firmach i rozmiarach. Workowate spodnie, które tamten miał na sobie, wyglądały na niezbyt czyste. Za to gęba wydawała się mgliście znajoma, ale Walerij nie potrafił sobie na poczekaniu przypomnieć, skąd go zna.

– No ja – odparł ostrożnie. – A ty coś za jeden?

– Nie poznajesz? – Facet spoglądał na niego z rozbawieniem. – Chociaż właściwie nie ma się co dziwić, minęło tyle lat. No dalej, rusz głową, mój drogi, wyteż pamięć.

W końcu Stiecenko sobie przypomniał. Wspomnienie nie należało wprawdzie do przyjemnych, ale nie mógł się wyprzeć znajomości, to fakt. Przypomniał sobie nawet imię faceta – Giennadij. Nazwisko wyleciało mu jednak z głowy, pamiętał, że było zwyczajne, coś jak Iwanow albo Sidorow.

– Co u ciebie? Gdzie mieszkasz, jak żyjesz? – z ożywieniem ciągnął Giennadij.

Stiecenko nie ma się czym specjalnie pochwalić, ale też niczego nie musi ukrywać, w końcu ten Giennadij zna jego najmroczniejsze tajemnice. Odparł więc krótko, nie wdając się w szczegóły, że mieszka w Twerze, pracuje w Moskwie w brygadzie remontowej, zarabia, ile się da, jednym słowem, nie narzeka, choć mogło być lepiej, gdyby miał więcej szczęścia.

Giennadij klepnął go w ramię z uznaniem.

– Dobrze się urządziłeś, brachu. Wiesz co? Chodźmy się gdzieś napić, uczymy spotkanie, w końcu nie widzieliśmy się kopę lat.

Walerij chętnie by sobie golnął, zwłaszcza za frajer. Ale z drugiej strony, co z pociągiem... Jeżeli nie zdąży na ten o pierwszej pięćdziesiąt trzy, nie wiadomo, kiedy w ogóle dotrze do domu.

– Czekam na pociąg – wybąkał niepewnie.

– O której?

– Ostatni odjeżdża o pierwszej pięćdziesiąt trzy.

– Nie rób z igły wideł! – Giennadij się roześmiał. – Dopiero wpół do dwunastej. Zdasz dziesięć razy, nawet pieszo, zobacz, jesteśmy już koło Prospektu Mira, stąd tylko dwa kroki do Kałanczowki¹. No dalej, ruszaj się, trzeba oblać spotkanie.

– Nie jestem odpowiednio ubrany... – odparł Stiecenko z wahaniem.

Jego strój nadawał się do pociągu, ale w restauracji na pewno by raził.

– Myślisz, że cię zapraszam do knajpy? Wybacz, brachu, ale mnie nie stać, żyję z emerytury, a z nią człowiek nie zaszaleje. Ale mam to i

owo przy sobie.

Giennadij mrugnął porozumiewawczo i pokazał szyjkę butelki wystającą z wewnętrznej kieszeni obszernej kurtki.

– Zaraz znajdziemy zaciszny kącik, jakiś plac zabaw dla dzieci, wysuszymy flaszkę i pojedziesz sobie do Tweru do... Masz tam kogoś? Żonę? Czy tylko babę?

Stiecenko miał „tylko babę”, ale mieszkał z nią od wielu lat i wychowywał wspólne dziecko, więc traktował ją jak żonę.

– Żonę – wybąkał niechętnie.

– No to świetnie. A więc idziemy. – Giennadij pociągnął go w stronę otwartych drzwi. – Wzniesiemy toast za jej zdrowie.

Czemu dałem się namówić? – tłukło się Walerijowi po głowie. – Po kiego diabła mi ten koleś? Wolałbym go nie widzieć i nie pamiętać. Warto jednak przepłukać gardło, bo po wódce z colą kac jest wyjątkowo parszywy... Może rzeczywiście mi ulży. I nie będę musiał stawiać. Najważniejsze, że nie wydam forsy.

Wjechali schodami ruchomymi na górę i wyszli na ulicę. Giennadij skręcił w lewo i poprowadził Stiecenkę koło apteki, salonu jubilerskiego i kwiaciarni. Gdy mijali jakieś ogrodzenie, Walerij pomyślał: To pewnie tutaj. Za płotem jest chyba podwórze. Ale Giennadij maszerował dalej.

– Daleko jeszcze? – zapytał z niezadowolaniem.

– Nie bój się, nie zabłądzimy, znam tutaj każdy kamień. – Giennadij uśmiechnął się pod nosem. – Wal za mną śmiało.

Na wszelki wypadek Walerij rzucił okiem w głąb podwórza za

ogrodzeniem i zorientował się, że mieści się tam jakieś biuro. Prawie udało mu się odczytać szyld, chyba było tam jakieś stowarzyszenie i restauracja. Rzeczywiście nie mają tutaj czego szukać.

Minęli długi parterowy budynek z zamkniętymi już sklepikami i barami, a Giennadij wciąż parł przed siebie.

– Słuchaj no, tam już widać zakręt – nieśmiało zauważył Stiecenko, którego zaczęło nieznośnie suszyć, może za sprawą przykrych wspomnień, a może był to efekt nieprzerwanego działania wódki z colą. Pragnął dotrzeć na miejsce, otworzyć butelkę i sobie pociągnąć.

– Właśnie tam zasuwamy – niewzruszenie odparł Giennadij.

Skręcili w zaułek Grocholski, przecięli ulicę i po jakichś dwustu metrach znaleźli się w przejściu prowadzącym na podwórze okolone drzewami, za którym znajdował się dom z reklamą salonu ortopedycznego.

– To tutaj? – z nadzieją zapytał Walerij.

– A co? Miejsce pierwsza klasa. W rogu jest altana, widzisz?

Walerij wyteżył wzrok – oświetlenie było tylko przy domu, podwórze, drzewa i altana tonęły w nieprzeniknionych ciemnościach. Mężczyzna z trudem wypatrzył altanę, odniósł jednak wrażenie, że w środku ktoś się porusza.

– Tam ktoś jest.

– Wiadomo, bezdomni. – Giennadij machnął ręką. – W niczym nam nie przeszkodzą. Zresztą pewnie już śpią.

Przekradli się do altany, w której rzeczywiście ulokowali się na noc dwaj osobnicy, chyba od dawna niemcy, bo biła od nich niemiła woń.

– Ej, panowie. – Giennadij szturchnął nogą chrapiące i posapujące ciała. – Jazda, wstawać.

Jeden z bezdomnych obudził się i odchrząknął. W ciemności nie było widać twarzy, więc Stiecenko nawet nie mógł stwierdzić, czy mężczyzna jest stary.

– Czego tam?

– Spływajcie stąd, chcemy z kolegą posiedzieć i oblać spotkanie. – Giennadij wyjął z zanadrza dwie butelki piwa i wręczył bezdomnemu. – Idźcie wypić za nasze zdrowie, zluzujcie teren.

Stiecenko zdumiał się, jak wiele potrzebnych i pożytecznych rzeczy kryje się w kieszeniach obszernej kurtki Giennadija: nie tylko flaszka wódki, ale też dwie butelki piwa. Pewnie jest tam również jakaś zagrycha. Walerijowi zrobiło się raźniej na duszy. Co prawda bezdomny wzbudził w nim całkiem uzasadnione obawy: z jakiej racji miałby ustąpić legalnie zajęte miejsce obcym przybyszom? Zaraz zacznie pyskować, rzuci się do bitki... Ale mężczyzna nie zamierzał wszczynać burdy, piwo zrobiło swoje, zaczął budzić towarzysza.

– Wstawaj, Pyszczaty, no dalej, wstawaj, mamy fart, grzejemy za dom, tam se łykniemy...

Drugi bezdomny pozwolił się wyprowadzić. Coś takiego, ależ tutaj jest ciemno, zdziwił się Walerij, przed chwilą niby byli tu jeszcze dwaj faceci, zrobili jednak parę kroków i rozplynęli się w powietrzu, jakby nigdy nie istnieli. To dopiero dziwy.

Usiedli na ławce pod ścianą, Giennadij wyciągnął butelkę i plastikowe kubeczki, które – jak się okazało – również mieściły się w

przepastnych kieszeniach kurtki. Nalał kolejkę. Stiecenko wypił od razu, nawet nie czekał na toast, chociaż doskonale widział, że Giennadij zamierza coś powiedzieć. Ten podniósł swój kubeczek i już otworzył usta, lecz nagle odstawił naczynie na ławkę, nachylił się i zaczął się czemuś przypatrywać.

– Co jest? – Walerij się zdziwił.

– Coś mi przebiegło po nodze, chyba szczur. Nie widzisz?

Stiecenko też się nachylił i przyświecając sobie zapalniczką, zajrzał pod ławkę. Nie zobaczył żadnego szczura, tylko pustą paczkę po papierosach, z dziesięć niedopałków i zgniecione opakowanie po lodach. Nic więcej nie zobaczył. Zupełnie nic.

*

Północna ściana była z litego szkła, Ardajew nie zauważył innych poważnych przeróbek niedużego domu. Szklana ściana to rzecz zrozumiała, w końcu właściciel jest artystą, potrzebuje pomieszczenia na pracownię. Ale dlaczego nic więcej nie zmienił? Nie starczyło mu pieniędzy? Nonsens, Ardajew dowiadywał się swoimi kanałami – dochody tego domorosłego pacykarza są więcej niż przyzwoite, na adaptację domu powinno wystarczyć. Może facet ma węża w kieszeni? Z drugiej strony, stawia samochód pod gołym niebem, nie wybudował garażu ani nawet zwyczajnej wiaty, a przecież taka bryka jest warta sporo kasy, Ardajew się na tym zna. Wygląda na to, że właściciel nie dba o majątek. Czy to możliwe, żeby dusigrosz miał za nic swoją

krwawicę? Jeżeli facet naprawdę jest sknerą, to źle wróży. Wprawdzie to nie tragedia, ale taka sytuacja spowoduje pewne trudności. No i kiedy gość wreszcie się zmyje?

Ardajew siedział w samochodzie zaparkowanym dwie przecznice od domu malarza i czekał, aż ten wyjedzie. Wcześniej zasięgnął języka, więc wiedział, że pomoc domowa ma dzisiaj wolne, ponieważ nie pracuje w soboty, a malarz jest zaproszony na przyjęcie z okazji chrzcin kolejnego dziecka kolejnego autorytetu kryminalnego, który postawił sobie za cel zdobycie opinii szanowanego obywatela i zajęcie należnego mu miejsca w elitarnym towarzystwie. Goście zostali sproszeni na trzecią, jest już dwadzieścia po drugiej, a malarz, żeby go pokreć, wciąż siedzi w domu i nie wychodzi. Widocznie uważa, że nie dotyczą go zasady *savoir-vivre*'u.

Gdy o wpół do trzeciej Boris Krotow zjawił się na schodach, Ardajew skrzywił się pogardliwie. W dzinsach, bluzie i rozpiętej kurtce – w takim stroju wybiera się na chrzciny? To już gruba przesada! A może chłopak rzeczywiście ma kłopoty finansowe? Czemu nie, to możliwe, wszystkie zarobione pieniądze władował w pracownię i drogi wóz, to przecież facet, który aż do śmierci pozostanie małym chłopcem, kupuje sobie zabawki, a na przyzwoite ubrania już mu nie starczyło. Jeśli tak się rzeczy mają, sprawa wygląda kiepsko. Ubogi artysta nie jest Ardajewowi potrzebny.

Po odjeździe właściciela mężczyzna odczekał jeszcze z dziesięć minut, po czym zamknął auto i nieśpiesznie ruszył w stronę pustego domu. Zaopatrzył się w solidny zestaw wytrychów, spodziewając się

ciężkiej i wyczerpanej pracy, więc był nieco rozczarowany, gdy stwierdził, że zamek w drzwiach wejściowych nie jest wcale skomplikowany. Wślizgnął się do środka, starannie zamknął za sobą drzwi i zabrał się do oględzin pomieszczenia. To, czego szuka, jest najprawdopodobniej niewielkich rozmiarów, w żadnym razie nie może być duże. Jeśli ta rzecz znajduje się tutaj, Ardajew musi szybko zdecydować, od czego zacząć poszukiwania. Szukać trzeba tak, żeby nikomu nawet nie przyszło do głowy, że był tutaj ktoś obcy. Czasu jest dosyć, więc nie ma pośpiechu. Zresztą teren oględzin nie jest wcale duży: na parterze kuchnia, salon i pracownia, a na piętrze sypialnia i przestronna łazienka. Ardajew zauważył schody prowadzące na strych i uznał, że to też jest obiecujące miejsce. Chociaż zależy, jak na to patrzeć: jeżeli malarz zna wartość posiadanej rzeczy, powinna się ona znajdować w sypialni. Nie przechowywałby jej w pracowni albo w salonie, po którym wciąż przewalają się obcy ludzie. Natomiast jeśli rzecz nie przedstawia dla niego żadnej wartości, najprawdopodobniej poniewiera się na strychu wśród starych rupieci. Właściwie los owej rzeczy jest zupełnie niejasny: mogła być strzeżona jak źrenica w oku, mogła też znaleźć się na śmietniku, uznana za bezużyteczną. A jeśli spojrzeć z jeszcze innej strony, nie wiadomo, czemu malarz miałby jej strzec jak źrenicy w oku i się nią nie posłużyć? Mógłby zgarnąć niezłą forszę, gdyby ruszył głową. A więc chyba się na niej nie poznał i to, co cenne, leży gdzieś w stercie nieprzydatnych staroci, a w najlepszym razie trafiło do sypialni jako pamiątka.

Ardajew postanowił zacząć od sypialni. Nic szczególnego, wszystko

bardzo zwyczajne i funkcjonalne: szerokie łóżko, szafka nocna, na której leży stosik książek, z każdej wystaje zakładka, jakby właściciel czytał parę tytułów jednocześnie. A może czyta książkę do połowy, rezygnuje, nie chce mu się odłożyć jej na miejsce i zaczyna nową? Czasami tak bywa. Regały z książkami, fotel, komoda z bielizną i skarpetkami, szafa ubraniowa. Na ścianie dwie fotografie w ramkach: na jednej bardzo ładna młoda kobieta, którą Ardajew, rzecz jasna, od razu poznał, na drugiej ta sama kobieta z chłopcem, na oko trzy-, czteroletnim, w którym z wielkim trudem można rozpoznać obecnego właściciela domu. W każdym razie Ardajew za nic by go nie poznał, gdyby nie miał pewności: to nikt inny, tylko on.

Mężczyzna nie oparł się pokusie i otworzył szafę z ubraniami – żywił nieprzepartą słabość do drogich, modnych strojów i do rzeczy, które przyjęło się obecnie nazywać szpanerskimi. Jednakże zawartość mebla go rozczarowała. Na paru wieszakach wisiały bluzy, koszule i dzinsy, a garnituru nie było. Ani jednego. Tymczasem Ardajew był przekonany, że musi ich być co najmniej pięć... Na półkach leżały wyprane i wyprasowane trykotowe koszulki. Wszystko bardzo zwyczajne, żadnego szpanu. Ardajew przejrzał wszystko dokładnie i doszedł do wniosku, że w garderobie malarza panuje kompletny chaos – tanie ubrania, kupione w pierwszym lepszym sklepie albo na rynku, sąsiadowały z bluzami Missoni, koszulkami Versace i dzinsami Prada. Na dolnej półce stały buty, które stanowiły taki sam eklektyczny zbiór tanich i niesłychanie drogich markowych egzemplarzy.

Gdzie w tym pokoju można przechowywać pamiątkową rzecz? Na

pewno nie w szufladach z podkoszulkami i slipami! Jedynie w szafce nocnej, na komodzie albo wśród książek. A jeśli rzecz jest niezwykle cenna, to najprawdopodobniej albo w szufladzie komody, albo na którejś półce pod koszulkami i bluzami czy stosem pościeli. Ardajew miał spore doświadczenie, swego czasu nieźle się wyszkolił w przeprowadzaniu nieoficjalnych rewizji, więc oględziny nie zabrały mu dużo czasu, chociaż przeprowadził je starannie i gruntownie. Nic. Jediną rzeczą, którą udało mu się znaleźć, był akt zgonu matki malarza i dokumenty dotyczące jej pochówku. Gdyby malarz traktował ową rzecz jak pamiątkę, ona też by tutaj leżała. Ale jej nie było.

Ardajew opuścił sypialnię i wąskimi, niebudzącymi zaufania schodami wdrapał się na strych, przeklinając w myślach brud i kurz, od których z pewnością ucierpią jego drogie spodnie i markowe buty. Jednakże wbrew obawom na strychu panowały idealny porządek i czystość, właściwie był to jeszcze jeden pokój przypominający sypialnię dla gości: wersalka, szafka nocna, stolik, fotel, lampy, a nawet gniazdko elektryczne w ścianach. Uwagę Ardajewa przyciągnęła wersalka z pojemnikiem na pościel, do którego wkłada się czasem stare, niepotrzebne rzeczy. Mężczyzna zajrzał do środka i z satysfakcją stwierdził, że się nie mylił: wersalka rzeczywiście służyła jako magazyn starych rzeczy. Były tutaj książki, zardzewiałe hantle, albumy ze szkicami, dwa szklane wazony z brzydkim wzorem, jakieś teczki. I właśnie one zainteresowały Ardajewa w pierwszej kolejności. Skwapliwie rzucił się do rozwiązywania tasiemek i przeglądania zawartości, ale nie znalazł tego, czego szukał. Owszem, były tutaj

kartki z życzeniami, które niegdyś przysłano albo wręczono matce malarza z okazji urodzin, Dnia Kobiet albo Nowego Roku, był nawet stary notes Krotowa... Ale przecież Ardajew nie tego szuka! Na wszelki wypadek uważnie przewertował notes i jeszcze raz się przekonał: nie, to nie to. Z całą pewnością nie to.

Westchnąwszy, zszedł na parter i postanowił rozejrzeć się po salonie i po pracowni. Kto go tam wie, tego malarza, wszyscy artyści i twórcy mają swoje dziwactwa. Może Krotow przechowuje rzecz, na której zależy Ardajewowi, właśnie tam, gdzie wciąż kręcą się obcy ludzie? Nie, w salonie nie było odpowiedniego miejsca, w którym można było przechowywać ową rzecz, bez względu na to, czy traktować ją jako coś bardzo cennego, czy jako zwyczajną pamiątkę. Wzrok Ardajewa przykuła marynarka od Kenzo, niedbale rzucona na fotel, na której wylegiwał się olbrzymi, puszysty rudy kocur. W pierwszej chwili Ardajew osłupiał na widok tej profanacji, później poczuł, jak wzbiera w nim wściekłość: trzeba mieć wyjątkowo lekceważący stosunek do pieniędzy, żeby kupić niesłychanie drogą marynarkę, rzucić ją na fotel i pozwolić, żeby stała się posłaniem dla kota! Sądząc z ilości sierści, marynarka leżała na fotelu od dawna i kot ją sobie całkiem przywłaszczył. Jak to w ogóle możliwe w sytuacji, gdy Krotow zatrudnia pomoc domową? Gdzie ta baba ma oczy? Przez cały dzień siedzi z założonymi rękami? Za co on jej płaci?! Płacenie za taką pracę to wyrzucanie pieniędzy w błoto. Skandal!

W salonie nie ma nawet porządnego stołu, przy którym można by wygodnie usiąść, żeby coś zjeść, jest tylko niska ława olbrzymich

rozmiarów, zavalona niedbale porozrzucanymi gazetami. Gdzie ten błazen je posiłki? Czyżby w kuchni, jak to się robiło w czasach radzieckich? A fe, co za niewybaczalne prostactwo!

Ardajew zajrzał do pracowni, ale nie zauważył tutaj żadnego miejsca, w którym można by przechowywać to, czego szukał. Jego wzrok, wyczulony na drogie rzeczy, od razu wyłowił wśród szmatek do wycierania pędzli złotą zapalniczkę, a także telefon Vertu, który poniewierał się na sfatygowanej sofie obitej złotym brokatem, przeznaczonej zapewne dla pozującej modelki. Tyle że modelka chyba nie siedziała tutaj od dawna: obok telefonu leżało pudełko z ozdobami choinkowymi, opróżnione do połowy opakowanie herbatników maślanych i atrapa pistoletu rodem z amerykańskich westernów. Czyżby malarz pojechał na przyjęcie bez telefonu? Wykluczone. A więc ma jeszcze jeden, może nawet droższy, choć trudno w to uwierzyć, raczej tańszy i gorszy, który zabrał ze sobą. Co ten chłystek ma w głowie, skoro z marynarki Kenzo robi posłanie dla kota, złotą zapalniczkę ciska na stertę szmatek zapaćkanych farbą i posługuje się tanim telefonem, zamiast nosić ze sobą drogi? Ardajewowi pociemniało w oczach ze złości. Jego, Ardajewa, nie stać na kupno Vertu, chociaż długo się przymierzał, a ten... ten... aż brak słów, żeby go odpowiednio określić!

Zacisnął powieki, spróbował rozluźnić mięśnie pleców i zrobił parę głębokich wdechów, zaciskając struny głosowe i wydając z siebie gardłowy pomruk. To zawsze pomagało uspokoić nerwy. Tym razem też podziałało.

Ardajew opuścił dom malarza niezbitcie przekonany, że facet ma forsy jak lodu, ale jej nie ceni i łatwo się z nią rozstaje. No cóż, tym lepiej. Dzisiejsze przedsięwzięcie miało podwójny cel: znaleźć poszukiwaną rzecz i spróbować rozszyfrować charakter właściciela domu. Pierwsze zadanie zakończyło się fiaskiem, ale drugie zostało wykonane w stu procentach, a wyniki były wielce satysfakcjonujące.

Ardajew musiał jeszcze doprowadzić do stanu pierwotnego zamek przy drzwiach wejściowych, żeby nikt nie powziął podejrzenia, że doszło do włamania. Poszło mu jak z płatka. Zamek w domu malarza był wyjątkowo prymitywny. Jedyłą rzeczą, którą zauważy właściciel, jest to, że klucz będzie się ciężko obracał, jakby zamek się zacinał. Ale dziewięćdziesiąt dziewięć osób na sto nie zwraca na to uwagi.

¹ Kałanczowka – potoczna nazwa stacji kolejowej Moskwa Kałanczowskaja.
(Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

ROZDZIAŁ 2

Nikt-mi-nie-po-mo-że-ni-ko-go-nie-ob-cho-dzę – dudniło w głowie w takt stukotu kół. Po pograżonym w ciemności przedziale prześlizgiwało się światło latarni, oślepiając przymknięte oczy, i za każdym razem Walentyna krzywiła się z irytacją. Najpierw próbowała zasnąć, leżąc z głową zwróconą w stronę okna – w tej pozycji światło mniej raziło – ale od okna ciągnęło chłodem, ona zaś nie chciała się przeziębicić, w końcu nie wraca do domu, ale jedzie do Moskwy, w dodatku nie wiadomo, na jak długo. Obróciła się głową ku drzwiom, rozgrzała, ale światło przeszkadza, nie pozwala zasnąć. A może przeszkadzają jej myśli? Albo żal? Nienawiść? Złość? Walentyna nie miała siły zgłębiać mieszaniny swoich uczuć, właściwie nawet nie próbowała, bo wiedziała, że znalazła cel i ma zadanie, które musi koniecznie wykonać. Musi znaleźć tego, kto zabił jej ojca. I nie dba o śledczego, który już od trzech miesięcy nie przestaje jej kłaść do głowy, że sprawa nie rokuje nadziei, że ojca zabił jakiś drobny włamywacz i że gdyby zdążył wynieść coś z domu, gdyby cokolwiek ukradł, byłaby szansa, że zostanie schwytany podczas próby pozbycia się zrabowanych rzeczy; skoro jednak niczego nie zabrał, widocznie ktoś go spłoszył albo sam się przestraszył, gdy zabił bezbronnego, chorego mężczyznę w podeszłym wieku – tak więc nie warto się łudzić, że ów

typ da się na czymś przyłapać. Jak go znaleźć w ogromnym kraju? Wszczęto poszukiwania, ale po pewnym czasie je odwołano. Śledczy o nazwisku Niedielko setki razy powtarzał Walentinie: „Niech pani zaufa mojemu doświadczeniu, jeśli tego rodzaju przestępstwo nie zostanie wyjaśnione na gorąco, później nic już się nie da zrobić”.

Walentina ma w nosie doświadczenie i śledczego Niedielkę. Czy to normalne, że zabito człowieka i nikt nie został ukarany? Ona, Walentina, nie może na to pozwolić. A Jewgienij, jej brat, skłania się ku opinii śledczego i twierdzi, że nikt nie będzie szukał zabójcy, ponieważ ojciec i tak mógł umrzeć w każdej chwili. Rak w ostatnim stadium, akurat w przeddzień zabójstwa lekarze powiedzieli jasno, że to kwestia dni, a może nawet godzin.

Walentina doszła do wniosku, że nie dojdzie prawdy w rodzinnym mieście, więc postanowiła pojechać do Moskwy. Siedzą tam ważni naczelnicy, którzy mogą kazać śledczemu prowadzić sprawę, póki przestępca nie zostanie schwytany. Jewgienij długo ją zniechęcał, później westchnął z rezygnacją, sięgnął do szafy i wyjął grubą kopertę z pieniędzmi.

– To nie jest dobry pomysł, Walu. Nic dobrego z tego nie wyniknie. Żeby poważnie zająć się sprawą znalezienia zabójcy taty, trzeba zatrudnić prywatnych detektywów. Etatowi wywiadowcy nie będą wyrywać sobie dla nas rękawów. Stary lekarz umierający na raka to dla nich żadna szycha, gdyby chodziło o polityka albo dziennikarza, wtedy co innego, a tak... – Machnął ręką i rzucił kopertę na stół. – Weź, przydadzą ci się. Ja z tobą nie pojedę, prowadzę interesy, mam

mnóstwo spraw na głowie, a weekend majowy spędzamy w Emiratach. Nie idź do żadnych oficjeli, stracisz tylko czas i narazisz się na upokorzenia.

– A do kogo? – zapytała zbita z tropu Walentyna.

– Dam ci telefon mojego przyjaciela, zadzwonisz do niego, gdy będziesz na miejscu. Zawiadomię go i poproszę, żeby znalazł przyzwoitą agencję detektywistyczną. I uważaj na pieniądze, bo wszędzie pełno złodziei.

Walentyna miała też swoje oszczędności, więc razem z pieniędzmi Jewgienija zebrała przyzwoitą sumkę, która powinna na wszystko wystarczyć. Szybko się spakowała, klucze od mieszkania zostawiła sąsiadce, poprosiła, żeby kobieta podlewała kwiaty, i wsiadła do pociągu. Ale choć w pierwszych godzinach podróży była pełna determinacji i niejasnej nadziei, która przerodziła się w pewność, że teraz sprawa zostanie doprowadzona do końca, uda się znaleźć zabójcę i go należycie ukarać, to im bliżej było Moskwy, tym większy ogarniał ją smutek i bezsilność. Kto tam, w stolicy, zainteresuje się sprawą prowincjuszki bez koneksji? Kto zechce jej wysłuchać? Kto pomoże? Usłyszy to samo, co mówił śledczy: „Co za różnica, czy pani ojciec umarł dzień wcześniej, czy dzień później? I tak już umierał, w dodatku w męczarniach, codziennie dostawał narkotyki, ponieważ nie mógł znieść bólu”.

Światło rozcinające ciemność wciąż raziło Walentinę w oczy i sen nie przychodził. Starając się nie obudzić śpiących pasażerów, wyslizgnęła się po cichu ze swego miejsca, narzuciła kurtkę,

wyciągnęła spod poduszki torebkę, a z niej papierosy i wyszła na korytarz. Cały wagon śpi... A jednak nie, nie cały, w jednym z przedziałów drzwi są otwarte, plama światła pada na słabo oświetlony korytarz. Walentyna nie wytrzymała i zerknęła z ciekawością, gdy przechodziła obok: samotna pasażerka koło czterdziestki, w czarnym dresie, siedzi z laptopem na kolanach, stolik i dolne leżanki zarzuciła papierami. Czemu nie zamyka drzwi? Ale baba ma szczęście, jest sama w przedziale, nie musi się na nikogo oglądać. Pociąg jest nabity po brzegi, Walentyna doskonale wie, ponieważ ledwie udało jej się kupić bilet, a teraz się okazuje, że pełno jest wolnych miejsc. Pewnie to robota spekulantów handlujących biletami.

Przedsionek był przesiąknięty nieprzyjemnym zapachem zastarzałych niedopałków i panował w nim ziąb. Walentyna musiała zapiąć suwak w kurtce. Ledwie zdążyła zapalić papierosa i zaciągnąć się parę razy, gdy drzwi się otworzyły i stanęła w nich kobieta z pustego przedziału. Ciemnorude włosy miała modnie ostrzyżone, czarny dres z jaskraworóżowymi lamówkami ciasno opinał zgrabną figurę ze szczupłą talią i szerokimi biodrami, ale twarz wyglądała na zmęczoną, jakby udręczoną, a oczy były zaczerwienione. Nic dziwnego, skoro przez cały czas pracuje na komputerze, nawet w pociągu nie potrafi się z nim rozstać.

– Nie może pani zasnąć? – Nieznajoma uśmiechnęła się przyjaźnie.

Walentyna nerwowo skinęła głową, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Musiała jednak coś z siebie wydusić, nie chciała okazać się nieuprzejma.

– Pani też? – odparła pytaniem na pytanie, zadowolona, że tak zręcznie wybrnęła z sytuacji.

– O nie. – Kobieta roześmiała się lekko i swobodnie. – Cały czas walczę ze snem. Ale nie powinnam już spać, jest czwarta rano, za dwie godziny będziemy na miejscu, za godzinę zaczną nas budzić, żebyśmy zdążyli się umyć, póki nie wjechaliśmy do strefy sanitarnej. Jeżeli teraz zasnę, za godzinę obudzę się z ciężką głową i przez cały dzień będę nieprzytomna, a muszę być w formie. Lepiej już wcale się nie kłaść. Oczy mi się same zamykają, więc wyszłam zapalić i porozmawiać z panią, odegnąć senność.

– Zauważyła mnie pani, gdy przechodziłam? – Walentyna się zdziwiła. – Wydawało mi się, że nie zwróciła pani na mnie uwagi.

– Zwróciłam. Nie ma pani nic przeciwko? Może chciała pani pobyć sama?

– Nie, nie – pośpiesznie odparła Walentyna – nie chciałam... To znaczy chcę powiedzieć, że z przyjemnością... Jedzie pani w delegację?

– Wracam z niej. Szef wpadł na pomysł, żeby kupić kolejną wytwórnię świec, i wysłał mnie na dwa dni, żebym sprawdziła, co i jak, przejrzała księgi rachunkowe i tym podobne rzeczy. Dzisiaj zamierza prowadzić już negocjacje w sprawie kupna, więc muszę uporządkować wszystkie papiery i przekazać mu swoje wnioski. Czasu jest jak na lekarstwo, to oczywiste, że nie nadążam, więc musiałam kupić cztery bilety, cały przedział, żeby spokojnie popracować w pociągu. Jak zwykle wszystko na ostatnią chwilę i na gwałt. Nie mam pojęcia, dlaczego faceci wiecznie czekają do za pięć dwunasta, niczego nie

potrafią zrobić w porę. – Kobieta ziewnęła szeroko i potrząsnęła głową. – Boże, ależ chce mi się spać! Pół królestwa za osiem godzin snu. Na imię mi Jelena. A pani?

– Walentyna. A po co pani szefowi wytwórnia świec?

– To tylko przerośnia. – Jelena uśmiechnęła się, zgasiła niedopałek w popielniczce wiszącej na ścianie i od razu wyjęła z paczki kolejnego papierosa. – Tak naprawdę chodzi o fabrykę farmaceutyczną. Specjalizujemy się w wyrobie dodatków żywieniowych oraz innych suplementów niezbędnych w zdrowej diecie. Nasz szef zaczynał od sprzedaży zagranicznych pastylek, a teraz wydorósł, stał się dużym chłopcem i zagorzałym patriotą, uważa, że import leków to hańba dla kraju. Ale dosyć o tym, to mało ciekawe. Jedzie pani do Moskwy w jakiejś sprawie czy wraca do domu?

– Jadę coś załatwić.

– Jest pani w delegacji? Czy to sprawa osobista?

Walentyna wzięła głęboki oddech, jej oczy znowu zaszklily się łzami, a głos uwiązł w gardle.

– Osobista – wybąkała, po czym nagle wypaliła: – Zabito mojego ojca. I nikogo to nie obchodzi. Wszyscy mówią, że nie da się znaleźć zabójcy, zresztą tata i tak umierał, miał raka...

Walentyna nie potrafiła się opanować i wybuchła płaczem. Jelena popatrzyła na nią uważnie i delikatnie dotknęła ramienia.

– Chodźmy do przedziału, usiądziemy i napijemy się czegoś ciepłego, mam cały termos gorącej herbaty. I wszystko mi pani opowie.

Jelena miała tylko jeden kubek, więc jako gościnnie gospodyni odstąpiła go Walentinie, a sama piła herbatę z chromowanej nakrętki termosu. Walentyna właściwie nie potrafiła wytłumaczyć, co ją skłoniło do zwierzenia się nieznajomej osobie. Może zadziałał tak zwany „efekt towarzysza podróży”, a może w ciągu ostatnich paru godzin nabrała przekonania, że jej nieszczęście nikogo nie obchodzi, więc na nic się nie oglądając, rzuciła się na pierwszego napotkanego rozmówcę, który okazał jej zainteresowanie, jak wygłodzony bezdomny pies, który idzie potulnie za tym, kto go nakarmi; niewykluczone też, że znalazła sposób na spędzenie bezsennej nocy. Opowiadała ze szczegółami i po kolei: jak ojciec chorował, jak stawał się coraz słabszy, jak cierpiał z bólu, a także o tym, że żaden szpital nie chciał go przyjąć, ponieważ nie można już było mu pomóc, o lekkomyślnej młodej pielęgniарce, która miała opiekować się ojcem w ciągu dnia, gdy Walentyna była w pracy, robić mu zastrzyki i podawać kroplówkę, i o tym, jak dziewczyna zostawiła ojca samego „na pół godzinki” i pobiegła na randkę, a gdy wróciła... Ojciec był dobrym człowiekiem i nigdy nie skarżył się na tę głuptaskę, a później, kiedy śledczy zaczął ją przesłuchiwać, okazało się, że często zostawiała pacjenta i biegła a to do sklepu, a to do najbliższej kawiarni na kawę z przyjaciółką, a to jeszcze gdzie indziej. Gwoli sprawiedliwości trzeba przyznać, że nigdy nie zostawiała chorego na długo, ale jakie to ma znaczenie? Zabójca miał dość czasu, żeby wylamać zamek, wejść do mieszkania i udusić bezbronny starożył człowieka.

Teraz Walentyna musi wynająć w Moskwie prywatnego detektywa,

który zajmie się jej sprawą. Musi też znaleźć sobie jakieś niedrogie lokum, ponieważ jeśli wynajmie detektywa i wróci do domu, znowu nikt się nie weźmie do roboty, musi zatem wszystkiego dopilnować, stać facetowi nad głową i stale żądać raportu. To oczywiste, że detektyw raczej nie będzie szukał zabójcy w Moskwie, pewnie zacznie jeździć po całym kraju, chociaż niewykluczone, że znajdzie go w stolicy, w każdym razie przełożeni owego detektywa są tutaj, a więc miejsce Walentyny też jest tutaj, niedaleko. Będzie miała od kogo zażądać sprawozdania, popatrzy temu komuś w oczy i zapyta, jakie kroki podjęto w jej sprawie. Nie, pieniądze to nie problem, ma ich dosyć, sporo zaoszczędziła, poza tym brat Jewgienij hojnie ją wspomógł. Tyle że nie wiadomo, jak długo potrwa śledztwo i jakie będą koszty, więc od początku trzeba oszczędzać i nie szastać pieniędzmi.

Pociąg nieśpiesznie zanurzył się w gęstej mgle otaczającej zachmurzoną o poranku Moskwę, do przybycia na stację pozostało najwyżej piętnaście minut, a Walentyna nie przestawała mówić, nie potrafiła się powstrzymać. Jelena okazała się dobrą i wdzięczną słuchaczką, wciąż zadawała dodatkowe pytania i rzucała uwagi pełne a to zdziwienia, a to oburzenia, a to ubolewania, całym swoim wyglądem wyrażając szczere i głębokie współczucie przypadkowej towarzyszce podróży.

– Chyba będę mogła ci pomóc z mieszkaniem – powiedziała, gdy Walentyna wreszcie się zreflektowała, że są już prawie na miejscu i powinna wrócić do przedziału, żeby się przebrać. – Zrobimy tak: teraz pojedziemy do mnie, umyjemy się, zjemy śniadanie, a koło ósmej, gdy

będzie już wypadało zadzwonić, spróbuję rozwiązać twój problem. Nie musisz przecież mieszkać w centrum Moskwy, prawda? Możesz się zatrzymać za miastem?

– Oczywiście. W centrum jest pewnie strasznie drogo. Proponujesz mi swój domek letniskowy?

– Nie – Jelena się roześmiała. – Domek mam w takim miejscu, że bez samochodu nie da rady. Daleko, w zupełnej głuszy, nawet nie ma gdzie kupić chleba. Znam jednak pewną kobietę, jest ogrodnikiem u mojego szefa, może wynajmie ci pokój. Jest wspaniała, uwielbiam ją, mieszka sama, a dom ma duży. Można tam dojechać kolejką podmiejską, ze stacji idzie się dziesięć minut, miejscina jest spora, z pełną infrastrukturą. Myślę, że Nina Siergiejewna policzy niedrogo, wiem, że przyjmuje lokatorów, kiedyś podesłałam jej paru znajomych. Najważniejsze, żeby miała teraz wolny pokój.

– A jeśli wszystkie pokoje będą zajęte? – zapytała zatroskana Walentina.

– Wtedy poproszę, żeby poleciła kogoś innego, mieszka tam przecież przez całe życie, zna wszystkich sąsiadów. No jak, zgoda?

– Dziękuję ci. – Walentina uśmiechnęła się z wdzięcznością i pobiegła do swojego przedziału, żeby w krótkim czasie pozostałym do przyjazdu zdążyć się przebrać w porządny kostium.

Wyciągnąwszy jednak walizkę spod siedzenia, nagle się rozmyśliła. Po co miałyby zmieniać ubranie? Dzinsy, bluza, kurtka – to wystarczy. Zwłaszcza że prosto z dworca nie idzie na spotkanie biznesowe, tylko jedzie do Jeleny. Co za różnica, jak jest ubrana? Pośpiesznie się

uczesaała, zmieniała obuwie, wsunęła kosmetyczkę i torbę z kapciami do walizki, po czym zdecydowanym ruchem zapięła suwak.

Walentina z góry założyła, że pojedą do Jeleny metrem, ale na placu przed dworcem stał czarny mercedes z kierowcą, potężnym, ogolonym na łyso osiłkiem, który ruszył ku nim szybkim krokiem, jakby nie mógł się ich doczekać, chwycił walizkę Walentiny i niedużą torbę podróżną Jeleny, po czym błyskawicznie umieścił je w bagażniku. Pewnie firma, w której pracuje Jelena, jest naprawdę bogata, skoro przysłała po nią samochód z kierowcą o tak wczesnej porze.

– Jedziemy tak wcześnie – Walentina nawet nie zauważyła, że zaczęła szeptać – twoja rodzina chyba jeszcze śpi. Może niepotrzebnie mnie zaprosiłaś? Narobię tylko zamieszania.

– To żaden problem – Jelena się uśmiechnęła – nic im nie będzie, jak wstaną. Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje. Mąż wybrał się na trzydniowy połów ryb, a chłopcom nie zaszkodzi, jak wcześnie wstaną. Chociaż sądzę, że i tak nie wstaną. Wiesz, jak oni twardo śpią? Nawet trzęsienie ziemi nie wyrwie ich z łóżek.

– Mąż jest na rybach? – ze zdumieniem zapytała Walentina, nie wierząc własnym uszom. – To znaczy, że dzieci zostały same? No to jak wyjechałaś?

– Oj, Walu, no co ty, jak pragnę zdrowia! Starszy syn ma dziewiętnaście lat, jest już na drugim roku studiów. Średni kończy szkołę w tym roku, a młodszy chodzi do siódmej klasy. Świetnie sobie beze mnie radzą. To już dorośli i samodzielni ludzie.

– Ja bym nie ryzykowała. – Walentina pokręciła głową. – Twoim zdaniem oni są dorośli? Przecież to jeszcze zupełne dzieci. Co to za wiek dziewiętnaście lat? Chłopak ma pstro w głowie. Czy może odpowiadać za młodsze rodzeństwo? Musisz być chyba mocno zdeterminowana, Leno.

Jelena uśmiechnęła się i przez chwilę milczała.

– Ty też byłabyś zdeterminowana, gdybyś zarabiała tyle co ja – powiedziała po krótkiej przerwie. – Nie mogę sobie pozwolić na utratę pracy, więc nie mam prawa odmawiać wyjazdu w delegacje. Mój mąż jest urzędnikiem państwowym, sama wiesz, ile się zarabia na takiej posiadzie, mam trzech synów, a moi rodzice i teściowie, wszyscy czworo, są na emeryturze. I żyją z mojej pensji.

– A mąż? Przecież mógł sobie darować ryby, skoro ty musiałaś pilnie wyjechać.

– Mógł. Ale za nic bym się na to nie zgodziła.

– Dlaczego? – Walentina szczerze się zdziwiła.

– Nie chcę, żeby miał poczucie, że musi z czegoś rezygnować ze względu na moje wysokie wynagrodzenie.

Jelena też mówiła cicho, niemal szeptała, i nagle Walentina pomyślała, że kierowca słyszy ich rozmowę, i się zmieszała. Co ona wyprawia, porusza drażliwy temat w nieodpowiednim do tego miejscu! Jelena jest dobrze wychowana, nie przerwała jej i nie uchylała się od odpowiedzi, ale pewnie w duchu przeklina nową znajomą i już żałuje, że ją zaprosiła i zaproponowała pomoc.

Walentina umilkła i odwróciła głowę w stronę okna, przyglądając

się moskiewskim ulicom. Właściwie całkiem nieźle znała stolicę, bywała tutaj jeszcze w czasie studiów, później też często przyjeżdżała, jedynie przez ostatnie dwa lata, gdy ojciec chorował, siedziała kamieniem w Jużnomorsku, nie brała nawet urlopu, jakby wiedziała, że przyda się później. No i się przydał, teraz ma przed sobą dwa miesiące wolnego za ubiegłe lata i miesiąc za rok bieżący, w sumie trzy. W ciągu trzech miesięcy sprawa na pewno ruszy z miejsca. Szef oczywiście nie był zachwycony, gdy złożyła podanie, ale nie miał wyjścia – podczas choroby ojca wszyscy jej współczuli i powtarzali, że gdy tylko zajdzie potrzeba, może wykorzystać zaległe dni urlopu, łącznie albo na raty.

W ciągu dwóch lat Moskwa niewiele się zmieniła, w każdym razie Walentina odniosła takie wrażenie, mimo że to i owo wyglądało inaczej. Rozpoznawała miejsca, które mijali, i przypominała sobie, że ostatnim razem wszystko było tutaj rozkopane i ogrodzone, trzeba było stać w korku, a teraz droga jest szeroka i wygodna – o, w tym sklepie kupiła śliczne pantofle, w tamtym budynku mieściła się księgarnia, której teraz już nie ma, zastąpiła ją restauracja. Za każdym razem, gdy wzrok natrafiał na coś nowego, Walentina zaczynała się denerwować i znowu doznawała nieprzyjemnego i niepokojącego uczucia obcej przestrzeni wypełnionej obcymi ludźmi, dla których ona też jest obca, więc nikt nie będzie się nią przejmował, nie zechce jej pomóc czy choćby wysłuchać.

Dotarli na miejsce niespodziewanie szybko, wczesnym rankiem drogi były jeszcze puste, w dodatku okazało się, że Jelena nie mieszka

wcale na obrzeżach. Kierowca o powierzchowności gangstera zataszczył bagaże pod drzwi mieszkania i znikł, otrzymawszy polecenie, żeby postawić samochód o wpół do dziewiątej. Obawy Walentyny, że zniweczy spokój śpiących domowników, rozwiąły się błyskawicznie. Gdy tylko Jelena otworzyła drzwi, kobiety ogłuszył natłok rozmaitych dźwięków – była to mieszanka głośnej muzyki, przeraźliwego buczenia odkurzacza, wody lejącej się z kranów i chłopięcych głosów. Jelena przez chwilę wsłuchiwała się w tę kakofonię, po czym na jej twarzy zagościł uśmiech.

– Wszystko jasne. Przez trzy dni chłopcy zrobili z mieszkania chlew i mają nadzieję, że uda im się doprowadzić je teraz do porządku. Ciekawe, czy wstali wcześniej, czy może w ogóle się nie kładli? Rozbierz się, weź kapcie i chodź za mną, tylko cicho.

Zdejmując kurtkę i wieszając ją do szafy, a później zmieniając obuwie, Walentyna zdążyła pomyśleć, że chyba może zapomnieć o miło zapowiadającym się poranku z gorącym prysznicem i smacznym, nieśpiesznym śniadaniem. Skoro w mieszkaniu odbywa się generalne sprzątanie, nie znajdzie spokoju ani w łazience, ani w kuchni.

– Wa-a-asia!!! – rozległ się dźwięczny głos z prawej strony.

– Czego tam?! – odparł ktoś głębokim basem.

– Jasna sprawa – wyszeptała Jelena Walentinie do ucha – najmłodszy syn zmywa naczynia w kuchni, a najstarszy odkurza salon. To znaczy, że łazienkę pucuje średni. Tak się podzielili.

– Wa-asia, a patelnię myć rękami?! – uparcie dopytywał dźwięczny głos.

– Nie, nogami!!! – Bas wyraźnie się zirytował.

– Może włożę ją do zmywarki?

– Ani się waż!!! Zwariowałaś?! Matka przyjedzie za pół godziny, zobaczy, że zmywarka chodzi, i wszystkiego się domyśli. Umyj ręcznie, a później wytrzyj do sucha i schowaj do szafy.

– No widzisz. – Jelena uśmiechnęła się, umieszczając płaszcz i torbę podróżną w szafie wnękowej. – Muszą umyć patelnię, to znaczy, że z niej korzystali, a więc nie byli głodni, coś sobie gotowali. A tak w ogóle, brudne brudne naczynia to bardzo dobry znak w moim przypadku. Gdyby ich nie było, podejrzewałabym, że przez trzy dni chłopcy żywili się chipsami albo kupowali fast foody, a to niedobrze.

– A co oznacza pucowanie łazienki? – z ciekawością zapytała Walentyna.

– Że nocowali w domu i chociaż raz dziennie się myli i czyścili zęby, co w ich wieku stanowi niezły wyczyn. No jak, jesteś gotowa? Weź swoją walizkę i chodźmy, tylko staraj się nie narobić hałasu.

Jelena chwyciła ją za rękę i ruszyła przez przestronny hol w stronę schodów, których Walentyna początkowo nie zauważyła. Okazuje się, że mieszkanie jest dwupoziomowe! Weszły na palcach na górę, minęły korytarz i znalazły się w holu, nieco mniejszym od tego na dole.

– Proszę – Jelena pchnęła jedne z drzwi – tutaj jest łazienka, na półce znajdziesz czyste ręczniki, ale jeśli chcesz, użyj swoich. A tutaj – otworzyła następne drzwi – jest pokój męża, możesz się w nim przebrać. Nie bój się, chłopcy tu nie wejdą, zrobili kipisz na parterze, więc teraz sprzątają. Zaraz skończą i pobiegną do łóżek, będą udawali,

że śpią jak zabici, a mieszkanie było czyste i posprzątane przez trzy dni! Znam te numery. W międzyczasie zdążymy wziąć prysznic.

– Zgoda – Walentina kiwnęła głową. – Ty idź pierwsza, ja zaczekam.

– Po co? – Jelena znowu się roześmiała. – To łazienka dla gości, jest do twojej dyspozycji. Ja mam swoją, wejście jest z sypialni. Chłopcy też tutaj nie wparują, urzędują na dole, mają tam jeszcze jedną łazienkę.

Walentina znowu poczuła się niezręcznie, jakby palnęła głupstwo w towarzystwie. Wcale nie chodziło o to, że nie bywała w bogatych domach albo w nowoczesnych apartamentach, bywała, i to nie raz, więc świetnie wiedziała, że są w nich dwie, trzy, a nawet cztery łazienki, ale teraz z jakiegoś powodu się pogubiła i nie zorientowała. Nerwy, bezsenna noc – i głowa przestała pracować.

Z ulgą zdjęła ubranie i bieliznę – wszystko wydawało jej się nieświeże i nieprzyjemne – wyjęła z walizki jedwabną piżamę i kosmetyczkę z przyborami toaletowymi, po czym zamknęła się w łazience. Dwadzieścia minut później wyszła stamtąd rześka i wyraźnie w lepszym humorze, z mokrymi włosami i twarzą zaróżowioną po gorącej kąpieli. Uczucie czystego ciała, umytych włosów i świeżej bielizny potrafi działać cuda. W pierwszej chwili Walentina nie wiedziała, co się zmieniło, po prostu wyczuła, że coś jest nie tak. Dopiero później zorientowała się, że zapadła cisza. Muzyka już nie dudniła, nie słychać było nawołujących się głosów, buczenia odkurzacza i szumu lejącej się wody. Sprzątanie dobiegło końca.

Drzwi do sypialni Jeleny były otwarte, więc Walentyna zajrzała do środka. Jelena stała w szlafroku przed lustrem i nakładała krem na twarz. Wyglądała na jeszcze bardziej zmęczoną niż w pociągu i Walentinie zrobiło się jej żal. Odpowiedzialna praca z częstymi i niespodziewanymi wyjazdami w delegacje, czterej faceci, których trzeba nakarmić, opruć i oprasować, i olbrzymie mieszkanie, o które należy dbać – na wszystko potrzeba sił i czasu, ale skąd je brać? Pomocy domowej nie ma, inaczej synowie nie sprzątaliby od rana.

– Ile masz lat? – zapytała nagle Jelena, spoglądając na odbicie Walentyny w lustrze.

– Trzydzieści pięć, czemu pytasz?

– Tak sobie, patrzę na ciebie i dochodzę do wniosku, że jestem już stara.

– Co ty mówisz, Leno! – Walentyna się oburzyła. – Skąd ci to przyszło do głowy? Ile masz lat?

– Czterdzieści cztery. Ale tu nie chodzi o liczby. Obie nie spałyśmy w nocy, jechałyśmy tym samym pociągiem, w tych samych warunkach, ale ty wzięłaś prysznic i wyglądasz kwitnąco, a ja? Aż strach patrzeć. Wskaźnikiem wieku nie są lata, tylko to, jak kobieta wygląda i jak się czuje po nieprzespanej nocy. Póki wygląda i czuje się dobrze, może się uważać za młodą, a gdy wygląd i samopoczucie są do luftu – to znaczy, że jest stara. No dobrze, dosyć tego biadolenia, pora zejść na dół. Pójdziemy na palcach, później trzasnę drzwiami wejściowymi, udamy, że właśnie przyjechałyśmy, i zabierzemy się do śniadania. Niech chłopcy myślą, że ich starania nie poszły na marne i nie domyślam się,

jakiego narobili bałaganu podczas nieobecności rodziców. „Nie zginie nasz bolesny trud” – dodała z uśmiechem Jelena.

– „I lot wysoki naszych myśli”² – podchwyciła Walentyna.

Zeszły na dół, wykonały wszystko zgodnie z planem i zaczęły szykować śniadanie. Jelena przeanalizowała zawartość lodówki i z satysfakcją stwierdziła, że zapasy, które zrobiła przed wyjazdem, wyraźnie stopniały, to znaczy, że dzieci rzeczywiście nie były głodne i nie jadły byle czego. Parę minut później kawa była zaparzona, ser nakrojony, tosty upieczone, puszysta masa omletu ubitego ze śmietaną unosiła się pod pokrywką patelni, a przygotowane na kefirze ciasto na naleśniki czekało, aż chłopcy „się zbudzą”. Walentyna pochłaniała omlet w milczeniu, zastanawiając się nad słowami Jeleny. Trzydzieści pięć lat. To dużo czy mało? Z jednej strony, już się właściwie przyzwyczaiła do myśli, że jest stara, ponieważ do tej pory nie wyszła za mąż i wszystko wskazywało na to, że trafiła do kategorii „starych panien”, ale z drugiej strony, w jej życiu nie brakowało mężczyzn, zdarzały się też namiętne romanse, więc chociaż żadna znajomość nie skończyła się ślubem, Walentyna nadal nie przestała wierzyć, że to nie koniec, że spotka jeszcze tego najważniejszego mężczyznę. No więc jest młoda czy stara?

Jelena podniosła głowę, nasłuchując.

– Waśka wstał. Zuch chłopak, nie zasnął, jest równo wpół do ósmej.

Chociaż Walentyna wyteńczyła słuch, nic nie usłyszała, ale parę minut później rzeczywiście rozległy się odgłosy otwieranych drzwi i ktoś w kłapkach poczłapał w stronę kuchni połączonej z jadalnią. Ten

„ktoś” – podobny jak dwie krople wody do Jeleny, tylko nie rudzielec, ale kruczoczarny brunet – pojawił się na progu rozczochrany, w dzinsach i z nagim torsem.

– Cześć, mamuś, jak wyjazd?

Chłopak chyba w ogóle nie zauważył Walentyny.

– Udany. Poznaj, Waleczko, naszego starszego syna. Wasia, to Walentina Dmitrijewna, moja znajoma.

– Uhm – burknął chłopak, widocznie zastępując tym krótkim słowem dłuższą wypowiedź: „Dzień dobry, bardzo mi miło”.

– No opowiadaj, jak sobie radziliście, co u was słysząc.

– Wszystko w porządku, mamuś. Jesteśmy zdrowi, nie umarliśmy z głodu. Zdałem ci przecież sprawozdanie przez telefon wieczorem. Przez noc nic się nie zmieniło. Dobra, idę się umyć i ogolić.

Bez entuzjazmu zlustrował nakryty stół i znikł. Jelena odprowadziła go uśmiechem, po czym rzekła z westchnieniem:

– Połączył sprzątanie z pałaszowaniem kanapek.

– Czemu tak sądzisz?

– Widzę po jego minie. Gdyby był głodny, chwyciłby tost i kawałek sera i na pewno by się zainteresował, co dostanie na śniadanie. Myślisz, że nie znam własnego syna? Pij kawę, póki nie wystygła, a ja pójdę obudzić pozostałych. To znaczy będę udawać, że przyszłam ich obudzić, a oni będą udawać, że przez całą noc smacznie spali i nie chce im się wstawać. Teatr czterech aktorów bez jednego widza.

– Może zacznę tymczasem smażyć naleśniki? – zaproponowała Walentina, która pragnęła okazać się użyteczna i okazać wdzięczność

za gošcinę.

– Dobrze – zgodziła się Jelena. – Obudzę chłopców i zadzwonię w sprawie twojego mieszkania.

Godzinę później wszystkie problemy były rozwiązane. Synowie Jeleny zostali nakarmieni i wyprawieni do szkół, włosy Walentyny wyschły, jej walizka wróciła do bagażnika czarnego mercedesa, a ona sama siedziała w samochodzie obok Jeleny, która oznajmiła kierowcy, że najpierw ma ją odstawić do pracy, a później zawieść gošcia wraz z bagażem do Niny Siergiejewny. Znajoma Jeleny chętnie zgodziła się przyjąć nową lokatorkę za bardzo skromny czynsz.

– Nina nie wynajmuje pokojów, żeby zarobić – wyjaśniła Jelena po tym, jak Walentinie odebrało mowę ze zdumienia i radości, gdy usłyszała cenę. – Mój szef dobrze jej płaci, no i ma też zamożne dzieci, postawiły jej olbrzymi dom i zaspokajają wszystkie, nawet najbardziej wyszukane potrzeby. Nina czuje się po prostu samotna. Dzieci są daleko, syn z żoną urządził się w Izraelu, córka z rodziną w Szwajcarii, a Nina nie potrafi żyć bez swoich roślin. I bez ludzi. Dlatego nadal pracuje, chociaż mogłaby siedzieć z założonymi rękami, bo ma zapewniony byt do końca życia.

– Czyżby w Szwajcarii nie było pracy dla ogrodników? – zdziwiła się Walentyna.

– Jest. Ale tylko teoretycznie. Nikt nie zatrudni Niny, bo nie ma ani obywatelstwa, ani pozwolenia na pracę, nie zna też języka, a uprawianie pięćdziesięciometrowego ogródka wokół domu córki to dla niej za małe wyzwanie. Ona potrzebuje rozmachu, musi sprawować

pieczę nad całym dendrarium, żeby sady owocowały, kwiaty roztaczały rozkoszną woń, no i koniecznie musi hodować coś skomplikowanego, egzotycznego, żeby nie spać po nocach, wertować literaturę fachową, przygotowywać specjalny nawóz z dostępnych składników. Nina jest niesamowita. Sama zobaczysz.

Pochwały na cześć Niny Siergiejewny nie zrobiły wrażenia na Walentynie, która nie ufała miłym słówkom i uznała, że opowieści Jeleny o kobiecie mającej wszystko, a nawet więcej, niż potrzeba, i nadal żyjącej tak, jakby była bez grosza przy duszy, to tylko czcza gadanina. Tak się nie zdarza. Bywa za to inaczej: dzieci się nie udały, ale trzeba trzymać fason przed znajomymi i wyglądać na osobę, która osiągnęła sukces, jeśli nie w swoim zawodzie, to przynajmniej w wychowaniu dzieci, no więc kobieta opowiada wszystkim głodne kawałki, jak to mogłaby żyć inaczej, ponieważ dzieci jej to zapewniają, w dodatku przekonują, żeby się do nich przeprowadziła, ale ona, patrzcie państwo, nie może żyć bez swojej pracy i swojego domu. A ten dom to pewnie krzywa chatka na kurzej stopce, podparta kołkiem – jak mawiała sędziwa prababcia Walentyny, gdy opowiadała swojej trzyletniej wnuczce bajki na dobranoc.

Gdy jednak kierowca zatrzymał samochód pod bramą i wysiadł, żeby zapowiedzieć się przez domofon, Walentyna zwątpiła: czy mężczyzna pomylił adres, czy może ona nie ma jednak racji? Brama była niewysoka, podobnie jak ogrodzenie okalające posesję, tak więc piętrowy domek widniał w całej krasie. Drewniany, o wymyślnym kształcie, bardzo nowoczesny, a zatem zbudowany pewnie w ciągu

ostatniego dziesięciolecia.

Brama odjechała w bok, kierowca zaparkował przed domem i wysiadł, żeby wyjąć walizkę z bagażnika. Na widok właścicielki, która pojawiła się na schodach, Walentinę znowu ogarnęły wątpliwości. Niewysoka, szczupła, długie, mocne nogi w dopasowanych dżinsach, ramiona okryte delikatnym, puszystym, malinowym szalem, gładka, młodo wyglądająca twarz, proste siwe włosy, okulary w modnych oprawkach. I ta kobieta jest ogrodnikiem u obcego faceta?! Z takim wyglądem mogłaby wykładać jakiś poważny przedmiot na uniwersytecie, zasiadając za katedrą, albo zaopatrzona w długopis poprawiać w ciszy gabinetu czyjąś rozprawę. Doktorską, rzecz jasna. Co też mi chodzi po głowie? – zganiła się w myślach Walentyna i mimo woli się uśmiechnęła. Kto poprawia rozprawy doktorskie? Kandydaci na stopień doktora nie mają opiekunów naukowych. Chyba się zagalopowałam.

Niedorzeczne myśli sprawiły, że się roześmiała. Nina Siergiejewna jej zawtórowała.

– Pani chyba jest Wala? Dzień dobry, bardzo się cieszę. Zapraszam do środka. Kola, ty też wejdź, zjemy śniadanie.

– Proszę sobie nie robić kłopotu – Walentyna się zmieszała. – Lena już mnie nakarmiła, przyjechałyśmy bardzo wcześnie, więc zdążyłyśmy...

– Ma się rozumieć, że wcześnie i że zdążyłyście – burknęła właścicielka. – Tylko to pani „wcześnie” było bardzo dawno temu. Kola, wnieś walizkę i idź umyć ręce, wszystko jest już gotowe.

Łysemu Koli nawet nie przyszło do głowy, żeby zaprotestować, a mijając Walentinę, szepnął ledwie słyszalnie:

– Niech pani nie odmawia. Nina Siergiejewna piecze pyszne ciastka, ale robi to tylko raz, w dniu przyjazdu gościa. Jeżeli dzisiaj pani nie spróbuje, następna okazja się nie trafi.

Znalazłszy się w środku, Walentyna ostatecznie straciła rezon. Dom, który z zewnątrz stanowił zwartą i raczej niezbyt dużą bryłę, teraz wydał jej się olbrzymi. Co prawda chwilę później udało jej się włączyć myślenie przestrzenne i odkryła, że wrażenie przestrzeni dawał wysoki sufit i duże okna, ale i tak było to co innego, niż się spodziewała i na co się przygotowywała, więc żadną miarą nie mogła się zdecydować, czy to dobrze, czy źle. Wynajęcie pokoju w takim domu kosztuje śmieszne pieniądze? Może dom to jedno, a dla lokatorów przeznaczona jest duszna i ciemna kłitka na strychu? Albo komórka w piwnicy? Może cena jednak się zmieni? Czy jest jeszcze jakiś inny haczyk?

Walentyna spoglądała na ładnie nakryty stół z półmiskiem domowych ciastek na środku i czuła, że zaczyna ją ogarniać niepokój. Kobieta nazwała mężczyznę Kolą i zaprosiła do domu, on zaś wie o jej ciastkach. To znaczy, że znają się od dawna. Dlaczego? Skąd? Czemu on mnie namawia, żebym koniecznie spróbowała ciastek? Są pewnie zatrute. Ta para czyha na moje życie. Powiedziałam Lenie, że mam pieniądze, i to sporo. Oni wszyscy są członkami szajki, zmówili się, żeby mnie ograbić. Ależ ze mnie idiotka! Zaufałam pierwszej napotkanej osobie, a przecież nic o niej nie wiem, zupełnie nic, nie

znam nawet adresu – ani ulicy, ani numeru domu, tylko numer mieszkania. Nazwiska też nie znam. Lena mogła wszystko wymyślić! Pracuje w dużej firmie, która jest nie wiadomo gdzie, szukaj teraz wiatru w polu. Podróżuje pociągami, wypatruje takich kretynek jak ja, które jadą do Moskwy i mają przy sobie sporo gotówki, proponuje pomoc w znalezieniu mieszkania i wysyła tutaj, daje nawet samochód z kierowcą, żeby delikwentka trafiła pod właściwy adres, bo inaczej mogłaby pojechać gdzie indziej, poszukać innego mieszkania. Boże, w co ja się wpakowałam?! Żeńka mnie przecież uprzedzał, żebym uważała, bo wszędzie pełno złodziei. Mówił tak, jakby coś przeczuwał. I co teraz? Przeprosić, chwycić walizkę i w nogi? Tak, to jedyne wyjście, tylko trzeba to zrobić bez pośpiechu, żeby się nie zorientowali, że wszystkiego się domyśliłam. I pod żadnym pozorem nie jeść ciastek. W ogóle niczego tu nie jeść ani nie pić. Boże, Boże, żeby tylko udało się wyjść z tego cało...

– Walu!

Walentina nawet nie zauważyła, że siedzi już przy stole, a przed nią stoi ładny duży kubek z parującą herbatą.

– Co pani jest? – z niepokojem zapytała Nina Siergiejewna. – Słyszysz mnie pani? Źle się pani czuje? Może potrzebne jest jakieś lekarstwo?

– Nie, nie – pośpiesznie wybąkała Walentina. – Wszystko w porządku. Po prostu się zamyśliłam. Przepraszam.

Wzięła się w garść i spróbowała rozsądnie ocenić sytuację. Kola pałaszował ciastka, pomrukując z zadowolenia, co ją trochę uspokoiło.

– Nino Siergiejewno – osilek zerknął niespokojnie na zegarek – pędzę już, bo muszę się przebić przez korki aż do centrum. Da mi pani parę ciastek na drogę?

– Oczywiście. – Kobieta się uśmiechnęła. – Weź, wystarczy dla wszystkich. Włóż je do plastikowego pudełka, stoi na półce.

Walentina potrząsnęła głową i się skrzywiła. Mój Boże, co ją napadło? To chyba jakieś urojenie. Czy ta miła kobieta wyglądająca jak nauczycielka akademicka może się okazać zabójczynią? A kierowca Kola z pudełkiem pełnym ciastek? A Lena, matka trzech sympatycznych nastolatków? To wszystko bzdury, wytwór chorej wyobraźni. W ciągu ostatnich miesięcy rozmyślała tylko o zabójcach, do tego doszła jeszcze bezsenna noc w pociągu, no i umysł tworzy jakieś absurdalne wizje.

Sięgnęła po ciastko z półmiska, spróbowała. Smaczne. Naprawdę bardzo smaczne. Musi poprosić Ninę Siergiejewnę o przepis. Tyle że kobieta nie wie, czemu nie je swoich ciastek, na jej talerzyku leży tylko kawałek syrnika³. Walentina znowu poczuła ukłucie niepokoju.

– Bardzo dobre – powiedziała, starając się opanować drżenie głosu.
– A pani czemu nie je?

– Nie mogę. – Kobieta znowu się uśmiechnęła. – Jestem na ścisłej diecie.

– Chce pani schudnąć? – Walentina się zdziwiła. – Moim zdaniem wygląda pani doskonale.

– Niechże pani da spokój, Waleczko. W moim wieku pozbycie się paru kilogramów to żadne zmartwienie... Cierpię na wrzody żołądka,

zapalenie jelita grubego i mnóstwo innych dolegliwości układu pokarmowego. A strasznie lubię słodczy, przez całe życie piekłam ciasta i torty. Myśli pani, że łatwo mi na nie patrzeć i sobie ich odmawiać? Ledwie się powstrzymuję. Dlatego piekę rzadko, tylko na specjalne okazje. Na przykład gdy wprowadza się nowy gość, wtedy piekę, żeby było wrażenie święta.

– Czyżby nowy gość był dla pani świętem?

– Naturalnie! Nowy człowiek ze swoją historią, charakterem i dziwactwami to jak nowa książka, tylko lepsza, ciekawsza i wartościowsza. A zresztą najciekawszą książkę można przeczytać w ciągu góra trzech dni, tymczasem nowego człowieka czytam i studiuje tak długo, jak długo tutaj mieszka. Tydzień, miesiąc, a czasem nawet pół roku.

– Mnie też zamierza pani studiować?

Z jakiegoś powodu perspektywa, że stanie się obiektem analizy, wydała się Walentinie mało pociągająca i chyba nie potrafiła tego ukryć, ponieważ Nina Siergiejewna spojrzała na nią uważnie i jakoś nazbyt surowo.

– Oczywiście. – Skinęła głową. – Przebywanie z drugim człowiekiem zakłada wzajemną analizę i co najważniejsze, uwzględnienie wyników obserwacji. Czy Lenoczka mówiła pani, że zajmuję się roślinami?

– Owszem.

– No więc obserwuję roślinę i wyciągam wnioski, co lubi, a czego nie, na jakie bodźce reaguje pozytywnie, a na jakie negatywnie, po

czym opracowuję program jej pielęgnacji. Jeżeli uwzględnię wyniki obserwacji i wyciągnę właściwe wnioski, roślina rozwija się, kwitnie i owocuje, to znaczy odplaca mi wdzięcznością. Przyglądam jej się, widzę, że dobrze się czuje i wspaniale wygląda, a to z kolei przynosi mi radość i sprawia, że mam dobry humor. No a teraz proszę sobie wyobrazić, ile radości może sprawić widok zadowolonej osoby, z którą się razem przebywa.

– Rozumiem – odparła Walentina, choć nie do końca przekonana. – A co z tą osobą? Jest pani gościem... Mówi pani przecież o wspólnym mieszkaniu, prawda? To znaczy, że oczekuje pani, iż ta osoba też będzie się pani przyglądała i wyciągała wnioski, żeby czuła się pani komfortowo w jej towarzystwie. A jeśli tego nie zrobi? Nie chce, na przykład, albo nie potrafi czy nie widzi takiej potrzeby. Może jej to wcale nie interesuje. Co wtedy?

– Nic. – Nina Siergiejewna wzruszyła ramionami. – Od nikogo nie żądam ani nie oczekuję, żeby żył tak jak ja. Nie zależy mi, żeby otaczający mnie ludzie dopasowywali się do moich nawyków, wystarczy mi radość, którą przynosi świadomość, że drugiej osobie jest ze mną dobrze. I to wszystko. Widzi pani, Waleczko, są dwa rodzaje radości, albo dwa rodzaje szczęścia, jeśli pani woli. Szczęście, które przychodzi z zewnątrz, i szczęście, które sama pani znajduje. To niedorzeczne spodziewać się, że inni coś pani przyniosą, a jeszcze bardziej niemądre żądać tego i obrażać się, jeśli tak się nie dzieje, chyba się pani zgodzi? O wiele łatwiej i sensowniej samemu znaleźć szczęście. Ale największą głupotą jest – kobieta wstała i naciągnęła na

ramiona opadający szal – zawracać głowę taką rozmową mało znanej osobie, która dopiero przekroczyła próg domu, zamiast pokazać jej pokój i pozwolić się umyć i odpocząć po podróży. Kola, czemu się tak grzebiesz?

Łysy kierowca zdążył umieścić półmisek z ciastkami na kuchennym stole, a teraz stał zwrócony tyłem do pań i postękiwał z wysiłkiem, chociaż zapakowanie ciastek do pudełka nie było zadaniem szczególnie skomplikowanym i nie wymagało wielkich umiejętności.

– Piąty raz już je przekładam – odezwał się żalonym basem – a one wciąż leżą jakoś tak... niepewnie. Powypadają, gdy samochód podskoczy na drodze. Chcę je ułożyć ciasno, a one się gniotą.

Nina Siergiejewna podeszła bliżej, zerknęła i mruknęła:

– A nie próbowałaś zamknąć pudełka pokrywką?

– Pokrywką? – powtórzył Kola w osłupieniu.

– Pokrywką, pokrywką. Tą tutaj. Leży przed twoim nosem.

– Ależ ze mnie głąb. – Kierowca surowo ocenił własne możliwości. –

Nino Siergiejewno, wziąłem sporo. Nie szkodzi?

Nina Siergiejewna spojrzała pytająco na Walentinę.

– Jak sądzisz, Walu, nie szkodzi? Czy lepiej, żeby Kola zwrócił połowę? – zapytała z uśmiechem. – Ja nie mogę jeść słodczy, więc decyzja należy do pani. Zostało pięć sztuk. Wystarczy czy dorzucić?

– Wystarczy, wystarczy. – Walentina zamachała rękami. – To i tak za dużo.

Pięć ciastek! Zjadła już trzy, teraz przez trzy dni będzie się zadrećzać i bez przerwy sprawdzać, czy pasek od spodni nie jest za

ciasny i nie wpija się w ciało. Walentina nigdy nie miała problemów z nadwagą, przez całe życie jadła, co chciała, ile chciała i kiedy chciała, ale z jakiegoś powodu nabrała niezachwianego przekonania, że jeśli już musi utyć, to tylko jedząc słodczy, toteż z niepokojem odnotowywała każdy cukierek i każdy kawałek tortu, nie mając dość samozaparcia, żeby z nich zrezygnować, i uległszy pokusie, zaczynała robić sobie wyrzuty, z przerażeniem stwierdzając, że teraz już przepadło – właśnie to ciastko i ten cukierek sprawią, że niebawem na pewno pojawi się fałda tłuszczu. Gdy fałda się nie pojawiała, Walentina wyciągała niezbyt logiczny, ale jej zdaniem całkiem słuszny wniosek, że tym razem po prostu jej się udało, ale następnym razem już się nie wykpi. Myśl, że ma znakomitą przemianę materii, której niestraszne są żadne słodczy, nie przychodziła jej w ogóle do głowy.

Panie odprowadziły Kolę, po czym Nina Siergiejewna przystąpiła do prezentacji domu. Na parterze była kuchnia połączona z salonem oraz sypialnia z łazienką – rezydencja właścicielki. Na piętrze znajdowały się cztery pokoje i dwie łazienki.

– Wynajmuje pani aż cztery pokoje? – zainteresowała się Walentina.

– Nie, tylko trzy. W tym pomieszczeniu – Nina Siergiejewna pokazała drzwi obok schodów – urządziłam laboratorium. Odprawiam w nim czary nad nawozami i pestycydami. Trzy pozostałe pokoje są do pani dyspozycji, proszę wybrać sobie ten, który najbardziej się pani spodoba.

Walentina wybrała pokój z oknami wychodzącymi na północ. Nie

zagląda tu oczywiście poranne słońce, którego promienie tak przyjemnie budzą, za to nie będzie gorąco, w przypadku gdy lato okaże się upalne. Nie wiadomo przecież, jak długo Walentina się tutaj zatrzyma, a lato za pasem, już koniec kwietnia, zaraz zrobi się całkiem ciepło. Dopóki ojciec nie chorował, Walentina często jeździła w delegacje i nauczyła się wybierać pokoje w hotelach stosownie do pory roku i lokalnych warunków klimatycznych.

– Nie przerażają pani nowoczesne urządzenia? – zapytała właścicielka.

– Ani trochę. Jestem kandydatem⁴ nauk technicznych.

– Wobec tego świetnie sobie pani poradzi, ja muszę uciekać, teraz w sadzie jest mnóstwo pracy. Tutaj są klucze, chodźmy, pokażę pani zamki, alarm i domofon, a później zmykam.

Dziesięć minut później Walentina została sama. Miała ochotę dokładnie obejrzeć dom, była ciekawa, gdzie co się znajduje i jak wszystko zostało urządzone, w końcu będzie musiała tutaj pomieszkać. Ale warto by przedtem rozpakować walizkę i poukładać rzeczy na półkach. Z tą myślą weszła na górę, do swojego pokoju, wystarczyło jednak, że wszystko wyjęła i uporządkowała, wsunęła pustą walizkę do szafy, a ogarnęło ją potworne zmęczenie. Nic dziwnego – bezsenna noc, głowa puchnie od zmartwień, może i niemądrych, nieuzasadnionych, ale one też odbierają siły. Walentina wślizgnęła się pod kołdrę i już zaczynała zapadać w sen, ale w ostatniej chwili wysiłkiem woli się z niego otrząsnęła. Musi zadzwonić do brata, on przecież martwi się, jak dojechała i czy sobie poradziła.

Jewgienij powiedział, że jego moskiewski przyjaciel obiecał pomóc w poszukiwaniach agencji detektywistycznej i zadzwoni do niej, gdy tylko coś ustalą. Po rozmowie z bratem Walentina z czystym sumieniem wróciła do łóżka.

*

Wieczorem po powrocie z pracy Nina Siergiejewna ustaliła zasady korzystania z kuchni.

– Dla siebie gotuję takie potrawy, których ty na pewno nie tkniesz – oznajmiła wesoło. – Wszystko przetarte, nieostre, bez soli, dla zdrowej osoby bez smaku. Mamy więc trzy możliwości: albo gotujesz sobie sama, albo stołujesz się poza domem, albo jeśli chcesz, będę gotować dla ciebie osobno, tylko musisz powiedzieć, co lubisz.

Poza domem! Też pomysł. Walentina musi oszczędzać, nie wiadomo, jak się sprawy potoczą. Nie wypada fatygować pracującej Niny Siergiejewny, zresztą nie warto, za jej usługi pewnie trzeba będzie dopłacać.

– Niech się pani nie martwi – pośpiesznie odparła Walentina. – Sama będę robić zakupy i sobie gotować.

– Jak chcesz. – Właścicielka wzruszyła ramionami. – Rób, jak ci wygodnie. Możesz korzystać z naczyń i sprzętu, nie krępuj się, nie obowiązują żadne zakazy.

– Dziękuję. Ale niech mi pani pokaże swoje ulubione naczynia. Na przykład kubek czy talerzyk, których zawsze pani używa. Żebym ich

niechcący nie wzięła.

Nina Siergiejewna obrzuciła Walentinę badawczym spojrzeniem, po czym kiwnęła głową z aprobatą.

– Z tego kubka piję herbatę. – Wyjęła z szafki i zaczęła obracać w rękach wysokie naczynie ze stylizowaną podobizną dwóch różnokolorowych kotów. – Zawsze. Z innych kubków mi nie smakuje. A z tego, z orchideami, piję kawę.

– Kawę? – powtórzyła Walentyna ze zdziwieniem. – Wolno pani pić kawę?

– Oczywiście, że nie. – Kobieta się roześmiała. – Ale i tak piję. Dwa kubki dziennie, jeden wcześniej rano, gdy tylko wstanę, a drugi przed wyjściem do pracy. To jedyne odstępstwo od diety, na które sobie pozwalam. W tym garnku co rano gotuję sobie owsiankę i jestem okropnie zła, gdy okazuje się, że jest zajęty. A teraz zjedźmy kolację, Walusza, i przejdźmy się po osadzie, pokażę ci, gdzie są sklepy i pralnia chemiczna, jak dotrzeć na stację kolejki podmiejskiej i tego typu rzeczy.

– Nie byłam jeszcze na zakupach... – Walentyna się stropiła.

Czy będzie musiała jeść razem z Niną rzeczy „przetarte i bez soli”? Koszmar. Wprawdzie z porannego posiłku zostały ciastka, chyba aż pięć, ale razem z trzema zjedzonymi wcześniej to za dużo. Zresztą były tam chyba jeszcze syrniki i jakaś sałatka. Walentyna zasnęła tak mocno, że spała aż do powrotu właścicielki i nie zdążyła zatroszczyć się o prowiant.

– Wcale ci się nie dziwię – przerwała kpiąco Nina Siergiejewna. –

Ale już mówiłam, że dzień przybycia nowego lokatora to dla mnie święto, z tej okazji wypada przygotować uroczysty posiłek. Tak więc dzisiaj jesteś moim gościem, a później radź sobie sama.

Wyspana i wypoczęta Walentyna nie potrafiła opanować apetytu, chociaż po porannych ciastkach dała sobie słowo, że dzisiaj będzie pościć. W dodatku, jak na złość, Nina Siergiejewna gotowała znakomicie. Patrząc na stojący przed nią talerz z gotowaną rybą i bladymi duszonymi kabaczkami, Walentyna próbowała sobie wyobrazić, jakie to musi być mdłe, i ogarnęła ją fala litości dla kobiety obciążonej szeregiem schorzeń układu trawienia.

Spacer zaskoczył Walentynę. Doskonale pamiętała, że gdy rano samochód skręcił z autostrady na jednopasmową wyasfaltowaną drogę, do domu Niny Siergiejewny jechali dobre cztery minuty, teraz zaś, idąc, niespodziewanie szybko znalazły się przy przejściu dla pieszych przecinającym szosę.

– To dlatego, że poszliśmy w przeciwną stronę – ze śmiechem wyjaśniła Nina Siergiejewna. – Tutaj obowiązuje ruch jednokierunkowy i nie ma wjazdu, można tylko wyjechać. Do wjazdu na autostradę jest daleko, ale wjazd jest nieopodal. Spójrz, akurat jakiś samochód wjeżdża o tam, pod mostem, widzisz?

Walentyna posłusznie kiwnęła głową.

– A wjeżdża się tędy, obok przejścia dla pieszych. Przyda ci się informacja, że droższe sklepy znajdują się po tamtej stronie. Wprawdzie ceny są wyższe, ale dostaniesz w nich wszystko: artykuły spożywcze, środki czystości, ubrania, akcesoria sportowe i tak dalej.

Jeśli będziesz chciała zaoszczędzić i zrobić zakupy taniej, wsiądź do autobusu i przejedź jeden przystanek, sklepy są tam mniej wyszukane, asortyment, rzecz jasna, o wiele skromniejszy, za to ceny przystępniejsze. Po tamtej stronie jest też całodobowe centrum handlowe, sklepy w miasteczku są czynne od ósmej rano do ósmej wieczorem, jak dawniej.

Słuchając instruktażu, Walentyna uznała, że raczej nie będzie odwiedzać drogiego centrum handlowego – nie jest wybredna, jeśli chodzi o jedzenie, no i musi oszczędzać.

– A gdzie pani pracuje? Daleko stąd? – zapytała Ninę.

– Po tamtej stronie. – Nina Siergiejewna machnęła ręką w kierunku rajy handlowego, którym wzgardziła Walentyna. – Jest tam elitarne osiedle. Chcesz, to się przejdziemy. Pokażę ci mój front robót.

Czemu nie? Walentyna zawsze lubiła spacerować, w dodatku była ciekawa. Z jakiegoś powodu sądziła, że zaraz przejdą na drugą stronę autostrady, miną olbrzymi budynek centrum handlowego i dotrą na miejsce. Tymczasem szły już ze dwadzieścia minut, zostawiając za sobą luksusowe wille z wysokimi ogrodzeniami, a „frontu robót” wciąż nie było widać.

– Ma pani daleko do pracy – ze zdumieniem zauważyła Walentyna.

– Myślałam, że jest bliżej.

– Zmęczyłaś się?

– Nie, ale jestem zdziwiona. Codziennie pokonuje pani pieszo tę trasę? Nie męczy się pani?

– Czemu sądzisz, że pieszo? – Nina Siergiejewna parsknęła

śmiechem. – Mam samochód. Gdy wróciłam, spałaś, ale przecież widziałas, jak wyjeżdżałam. Stałaś na schodach i patrzyłaś. Czerwona honda. Pamiętasz?

Walentina najpierw się zmieszała, a później oblała rumieńcem. Tak, cierpi na taką idiotyczną przypadłość: całkowicie pogrąża się w myślach, i to tak głęboko, że przestaje zauważać otaczający świat. W takich chwilach nic nie widzi, nie słyszy, nawet nie czuje, a później jest zdziwiona, gdy się okazuje, że właśnie wtedy coś się wydarzyło, a ona w ogóle tego nie pamięta...

– Nie pamiętam – wyznała szczerze. – Pewnie się zamyśliłam i wszystko przegapiłam. To mi się zdarza. Przepraszam.

Walentina sądziła, że Nina Siergiejewna zacznie narzekać i utyskiwać, załamię ręce i zacznie ją pouczać, że taka nieuwaga rodzi wiele niebezpieczeństw, można sobie narobić poważnych kłopotów, wpaść pod samochód albo nie zauważyć złodzieja, ale Nina, o dziwo, tylko kiwnęła głową w milczeniu, a chwilę później mówiła już zupełnie o czym innym. Ma już swoje lata, więc pewnie widywała ludzi z różnymi dziwactwami.

Wreszcie zatrzymały się przed murowanym ogrodzeniem z głuchą metalową bramą i furtką z domofonem.

– Tutaj właśnie pracuję. – Nina Siergiejewna nacisnęła przycisk domofonu. – Zaraz wszystko zobaczysz. Kostik, otwórz, proszę.

Chwilę później furtka się otworzyła i Walentina ujrzała postawnego, barczystego mężczyznę w ciemnoszarym mundurze ochroniarza.

– Co się stało, pani Nino? – zapytał z niepokojem. – Chyba jest już pani po pracy?

– Przeprowadziłam gościa na wycieczkę. Poznajcie się, to Kostia, ochroniarz, a to Waleczka.

– Dobry – burknął Kostia. Zdążył już zlustrować Walentinę wprawnym okiem nieznanego faceta i ocenić sytuację jako nieciekawą (paniusia ma już chyba swoje lata), więc postanowił nie wysilać się na uprzejmości. To oczywiste, że mając dwadzieścia dwa lata, uznał trzydziestopięcioletnią Walentinę za zdecydowanie starą mimo jej atrakcyjnej powierzchowności.

Walentina niemal od razu zaczęła żałować, że zgodziła się przyjść tutaj z Niną. No bo co ciekawego można zobaczyć w kwietniu? Liście dopiero zaczęły się pokazywać, i to nie na wszystkich drzewach i krzewach, a o kwiatach nawet nie warto wspominać, nie kwitnie nic prócz krokusów. Poza tym sytuacja wydaje się niezręczna, dom jest bogaty, to nawet nie dom, ale willa, niemal pałac, dwupiętrowy, z wieżyczkami, wykuszami oraz murowanymi schodami, na dodatek z osobną oficyną, przeznaczoną zapewne dla służby albo dla gości. Właściciele są chyba bardzo zamożni, a tacy ludzie, o czym Walentina dobrze wiedziała, nie lubią, gdy służba przyprowadza gości do domu. Nie lubią to delikatnie powiedziane. Zazwyczaj kategorycznie zabraniają, a za naruszenie zakazu mogą nawet zwolnić. Zaraz pewnie zjawi się właścicielka i zacznie krzyżeć na Ninę, a w najlepszym razie udzieli jej surowej reprimendy, i wszyscy znajdą się w kłopotliwym położeniu, a Nina Siergiejewna będzie miała problemy.

Komu to potrzebne? Trzeba jak najszybciej się stąd zabierać. Walentina wcisnęła głowę w ramiona, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Za to Nina Siergiejewna nie zdradzała najmniejszych oznak niepokoju, pewnym krokiem przemierzała sad, który okazał się naprawdę spory, i pokazując niepozorne, zdaniem Walentyny, i niczym nieróżniące się od siebie drzewa, krzaczki i sadzonki, sypała znanymi i nieznanymi nazwami, z werwą opowiadając, jak wszystko będzie wyglądało latem oraz co jeszcze i gdzie zamierza posadzić.

– Czemu jesteś taka spięta? – zapytała nagle, nawet nie patrząc na swoją towarzyszkę. – Nie podoba ci się tutaj? Nudzisz się?

Coś takiego! Walentina była pewna, że idąca przodem Nina Siergiejewna nie widzi jej zdenerwowania. Ma oczy z tyłu głowy czy co?

– Nie, wcale się nie nudzę. Raczej niepokoję. Pewnie nie wolno pani przyprowadzać tutaj obcych. Boję się, że zaraz ktoś nas zauważy i wybuchnie skandal. A tego bym nie chciała.

– Nonsens – odparła Nina Siergiejewna, nadal się nie oglądając – nie zaprzętaj sobie tym głowy. Wystarczająco długo żyję na świecie, żeby wiedzieć, że nie opłaca się robić tego, czego nie wolno. Skoro cię tutaj przyprowadziłam, to znaczy, że to dozwolone. Maksim Witaljewicz to porządny facet, bez fanaberii. Nawiasem mówiąc, rozpiera go duma, że zatrudnił ogrodnika z tytułem doktora nauk, i cieszy się jak dziecko, gdy właściciele sąsiednich domów proszą, żebym przeszkoliła ich ogrodników. Ciągłe ktoś tutaj do mnie przychodzi, to normalne.

Walentina osłupiała.

– Ma pani stopień doktora?

– Lena ci nie mówiła? Owszem, mam. W dzisiejszych czasach posada ogrodnika u biznesmena to najlepsze, co może się trafić doktorowi nauk. – Nina Siergiejewna się uśmiechnęła. – Człowiek się cieszy, że nie musi pracować na zmywaku albo sprzątać. Gdybym pozostała w Timiriaziewce⁵, musiałabym się tłuc dwie godziny na koniec miasta za pensję pięć razy mniejszą niż ta, którą tutaj dostaję. A biorąc pod uwagę mój wiek, każdego dnia trzęsłabym się ze strachu, że ktoś mnie grzecznie poprosi, żebym odeszła na emeryturę. Albo i niegrzecznie. O, a tutaj mam wolne miejsce, dobre, zacienione, pod koniec maja umieszczę tu rośliny ze szklarni, niech przez całe lato korzystają ze świeżego powietrza i naturalnej wilgoci. Koło drzewa umieszczę szeflerę, wyrosła olbrzymia, potrzebuje oparcia, obok niej ustawię jukę i draceny, wyhodowałam sześć, każda jest inna, wszystkie egzemplarze są dorosłe, mają półtora do dwóch metrów wysokości. Wyobrażasz sobie, jak będzie ładnie?

A więc na barkach Niny Siergiejewny spoczywa nie tylko sad, ale też szklarnia. Niezły „front robót”. Jak ta biedaczka sobie radzi? Nie, kto by pomyślał, że ma tytuł doktora! Walentina przypomniała sobie swoje pierwsze wrażenie i się uśmiechnęła. Nieprzypadkowo wyobraźnia podsunęła jej obraz Niny Siergiejewny zajętej czytaniem i poprawianiem prac naukowych. Nie do wiary, przecież intuicja nigdy nie była mocną stroną Walentiny Jewtiejewej.

Wycieczka, która obejmowała nie tylko spacer po sadzie, ale też

zwiedzanie szklarni połączone z wysłuchaniem obszernych komentarzy, zajęła prawie godzinę. Walentyna powoli się uspokoiła, a nawet nieco odprężyła.

– Właściciele nie ma teraz w domu? – zapytała, gdy Nina Siergiejewna ruszyła w kierunku wyjścia.

– Ależ skąd. Dom jest pełen. Wszyscy są na miejscu. Dziwisz się, że na nikogo się nie natknęliśmy przez całą godzinę?

– No właśnie – przytaknęła Walentyna.

– To normalne. Na dworze jest jeszcze zimno, co mają tutaj robić wieczorem? A do szklarni nigdy nie przychodzą wieczorami. Ich córkę to nudzi, rośliny jej nie interesują, a dorośli w tym czasie jedzą kolację i tkwią przed telewizorem, jeśli w ogóle są w domu, a nie u kogoś z wizytą albo na jakiejś imprezie. Jak tam, zmęczyłaś się?

– Nie, bynajmniej, lubię chodzić pieszo, mam niezłą kondycję.

– A ja czuję się znużona. – Nina Siergiejewna westchnęła. – Cały dzień na nogach.

Zerknęła na zegarek.

– O, Kostia akurat kończy zmianę, to nas odwiezie.

Walentyna znowu zeszywniała, tym razem ze złości na siebie. Że też o tym nie pomyślała! Przecież Nina rzeczywiście cały dzień spędziła na nogach, a wycieczkę zaproponowała z grzeczności, Walentyna powinna była od razu odmówić, a ona, głupia gęś, amatorka pieszych spacerów, powodowana ciekawością, z zapałem przystała na propozycję, pociągnęła zmęczoną niemłodą kobietę tak daleko. Z drugiej strony, jak miała odmówić, skoro Nina

zapropnowała, że pokaże jej pracę stanowiącą przedmiot dumy? Okazałaby się nieuprzejma.

Aż do samego domu dręczyła się gorzkimi myślami, a później winiła za to, że nic nie zauważyła – ani przyrody, ani drzew, ani ptaków ćwierkających na gałęziach. Nie potrafiłaby nawet powiedzieć, jakie samochody przejeżdżały obok, nie pamiętała nawet, czy w ogóle przejeżdżały. Może nie przejeżdżały. Jakie drzewa rosły przy drodze, kogo spotkały, jak wyglądały mijane domy – wszystko umknęło uwadze Walentyny, która nic wokół siebie nie widziała, pogrążona w zadumie.

*

– Co tam u ciebie, Gelu? Kończysz już?

Wilen Wiktorowicz Sorokin zajrzał do kuchni, gdzie jego żona Angelina Michajłowna krzątała się przy kuchence, od której po niewielkiej kawalerce rozchodził się zapach wanilii i czosnku. Wilen Wiktorowicz ledwie się powstrzymał, żeby nie wykrzywić ust w pogardliwym grymasie, bo nie znosił czosnku i uważał, że przyzwoici ludzie za nic nie wezmą go do ust, gdy mają zaplanowane spotkanie. Ani czosnku, ani cebuli. To oznaka braku ogłady. On i Gela nie mieli jednak wyjścia, kiedy wejdiesz między wrony, musisz krakać... i tak dalej. Och, jakże mu to obrzydło! Udawać, schlebiać, znosić... Ale trudno, liczy się sprawa.

Angelina Michajłowna obróciła się do męża z uśmiechem pełnym

skruchy.

– Jeszcze z dziesięć minut, Wileńka, i będziemy mogli iść.

Wytrzymaj, mój kochany.

– Myślisz, że Lusia jest w domu? – zadał kolejne pytanie.

– Ależ skąd, Wilunia. Dzisiaj piątek, więc pewnie jest w pracy. A zresztą w piątki po pracy Lusia zwykle jeździ do Marinoczki, pomaga jej robić zakupy i przygotować jedzenie na weekend. Nie, zjawi się w domu najwcześniej o dziesiątej. A czemu? Po co ci ona?

– Z nią jest weselej, opowiada o dzieciach i wnukach, a nam to na rękę, sama rozumiesz. Zawsze opowie też jakąś zabawną historię o pacjentach. A z tym żołdakiem nie ma o czym rozmawiać, dzieci i wnuki go nie interesują, no a piłka nożna, hokej i grillowanie to nie moja domena. Nie nasza – poprawił się w pośpiechu, ale to małe przejęzyczenie wystarczyło, żeby Angelina Michajłowna natychmiast się zaniepokoiła.

Stanowili dziwną parę, w każdym razie tak kiedyś uważali ich przyjaciele i znajomi ze studiów. Angelina i Wilen studiowali w instytucie kultury, on był pierwszym amantem na roku, na którym przeważały dziewczęta, chłopców można było policzyć na palcach jednej ręki, i wszystkie studentki bez wyjątku zabiegały o jego względy. Wilen zawsze przyciągał uwagę i był duszą towarzystwa – wysoki, przystojny, miał arystokratyczne rysy twarzy jak aktor Nikołaj Czerkasow, wyraźnie zarysowane usta, ładne dłonie i urzekająco niski, głęboki głos, którym wykonywał pieśni i romanse, akompaniując sobie na fortepianie albo na gitarze. Natomiast Gela, malutka,

szczuplutka, nieładna, wręcz brzydka, z jasnymi oczkami i nieatrakcyjną figurą, była najbardziej niepozorna na roku, nikt o nią nie dbał, nie zapraszano jej na imprezy czy wieczory panińskie, chłopcy z nią nie flirtowali, a dziewczęta nie wybierały jej na przyjaciółkę od serca i nie powierzały swoich sekretów. Gela była nijaka. Jednakże wykładowcy nie podzielali tej opinii i z entuzjazmem stawiali jej najwyższe noty, ponieważ Angelina Stupak miała dużą wiedzę, swobodnie się nią posługiwała, a nauka sprawiała jej przyjemność. Jakież było zdumienie studentów, gdy mniej więcej w połowie drugiego roku Wilen Sorokin nagle zauważył Gelę i od tej chwili na nikogo innego nie zwracał uwagi! Wszyscy byli pewni, że to jedynie chwilowy kaprys, „żart geniusza”, że Wilen rzuci szarą myszkę Gelę Stupak najdalej za trzy, cztery tygodnie, a może i wcześniej, robiono nawet zakłady, jak długo potrwa ich niespodziewany romans. Wszyscy jednak przegrali, ponieważ nikt nie obstawił rozwiązania, które w końcu nastąpiło: na trzecim roku Wilen Sorokin i Angelina Stupak się pobrali.

Od tej pory minęło pół wieku z okładem, teraz oboje mają po siedemdziesiąt dwa lata i wciąż są razem. Ale o ile Wilen Wiktorowicz uważa, że nic w tym dziwnego, o tyle Angelina Michajłowna jest wciąż zakochana w mężu i panicznie się boi, że ten ją zostawi. Nadal jest przecież nieziemsko przystojny, subtelna twarz, okolona siwymi włosami, jeszcze bardziej wypiękniała, sylwetka pozostała ta sama, wysoka i smukła, bez grama zbędnego tłuszczu na bokach i brzuchu, no a te jego delikatne dłonie... I aksamitny głos... Przez pięćdziesiąt

lat Angelina nieustannie obserwowała, czy jej ukochany nie zwrócił uwagi na inną kobietę, czy nie posłał jakiejś ślicznotce spojrzenia pełnego zachwyty, czy nie mówi o kimś częściej, niż wypada żonatemu mężczyźnie. Sąsiadka Lusia, to znaczy Ludmiła Leonidowna Gusarowa, stała się kolejnym powodem do zazdrości. I chociaż rozsądek podpowiada Angelinie Michajłownie, że kontakty z Lusią i jej mężem, Lwem Siergiejewiczem, podyktowane są dobrem sprawy i nie można ich zerwać, kobiecym instynktem wyczuwa niebezpieczeństwo, które kryje się w obcowaniu Wileńki z piękną i elegancką sąsiadką. W rodzinnym Nowosybirsku nie mieli do czynienia z takimi kobietami jak Ludmiła Leonidowna. Dlatego Angelina Michajłowna nigdy nie była aż tak zazdrosna.

Pytanie o sąsiadkę sprawiło, że wyszła z kuchni do przedpokoju, żeby po raz kolejny przejrzeć się w lustrze. Teraz wygląda oczywiście zupełnie inaczej niż na studiach, kiedy musiała utrzymywać się ze skromnego stypendium i marnych groszy, które przysyłali jej rodzice mieszkający w prowincjonalnym miasteczku. W tamtych czasach Gela nie potrafiła też zatroszczyć się o swoją prezencję. Teraz jej wygląd cieszy oko, ponieważ dba o siebie, regularnie farbuje włosy, żeby ukryć siwiznę pod „naturalnym”, ciemnym odcieniem blondu, nie żałuje czasu na wizyty w salonie fryzjerskim, nauczyła się również malować i podkreślać oczy, żeby wydawały się większe i wyrazistsze, chociaż teraz, kiedy powieki pokryły się zmarszczkami, sprawa wydaje się raczej problematyczna. Mimo to Angelina nie ustaje w wysiłkach, starannie dobiera ubrania, żeby było jej w nich do twarzy, i umiejętnie

ukrywa mankamenty figury. Ale daleko jej do Lusi Gusarowej, która ma zaledwie sześćdziesiąt pięć lat. Dlatego serce jej się ściska, a każdy przejaw zainteresowania sąsiadką ze strony męża odczuwa tak, jakby ukochany wbijał jej w pierś rozpalony pręt.

– Gotowe, Wileńka, możesz dzwonić – oznajmiła mężowi, wyjmując blachę z piekarnika.

Wilen Wiktorowicz westchnął i sięgnął po słuchawkę.

– Lew Siergiejewicz? Witam serdecznie. Niech nas pan ratuje, mój drogi – zadudnił jego głęboki głos. – Gela znowu napiekła tyle bułeczek, że starczyłoby dla całego regimentu, nie poradzimy sobie bez wsparcia... Tak, pana ulubione, z czosnkiem i wędzonymi kiełbaskami. Są też waniliowe, pańska małżonka je bardzo lubi, więc proszę nas nie zostawiać w potrzebie i pomóc nam się z nimi uporać... W pracy? Wielka szkoda! No trudno, gdy Ludmiła Leonidowna wróci wieczorem, zje sobie bułeczki Geli na kolację... Piwo? Zaraz sprawdzę... Aha, ma pan parę butelek? No cóż, tym lepiej. Tak jest, panie pułkowniku, zaraz się u pana stawimy.

Odłożywszy słuchawkę, jeszcze przez chwilę wpatrywał się zamyślony w okno, po czym obrócił się do żony, która wyszła z kuchni.

– Czeka. Wyjmuje piwo z lodówki. No jak, idziemy? Boże, jak ja mam dość tego piwa!

– Wila, no co ty... Zachowujesz się jak dziecko. To przecież dla dobra sprawy.

– Masz rację. – Sorokin znowu westchnął. – Idziemy.

Angelina Michajłowna przybrała dziarską postawę, wręczyła

mężowi półmisek z czosnkowymi bułeczkami, wzięła srebrny koszyczek wypełniony po brzegi bułeczkami na słodko, po czym oboje udali się do Gusarowów, którzy mieszkali na tym samym piętrze. Nie zdążyli jeszcze nacisnąć dzwonka, gdy usłyszeli nierówny odgłos kroków sąsiada – po ranie odniesionej w Czeczenii Lew Siergiejewicz wyraźnie utykał, z tego powodu przeszedł w stan spoczynku.

– Zapraszam, zapraszam drogich sąsiadów – odezwał się ucieszony.

– Piwo czeka, stół nakryty.

Wszystko potoczyło się utartym trybem, jak zwykle. Sorokinowie mieszkali tu od paru miesięcy, poznali Gusarowów już pierwszego dnia i od tej pory byli częstymi gośćmi w ich trzypokojowym mieszkaniu. Ludmiła Leonidowna, lekarz pulmonolog, miała dużo pracy, przyjmowała pacjentów w przychodni i udzielała konsultacji w paru innych miejscach, poza tym wydatnie pomagała dorosłym dzieciom – synowi Leonidowi, który wychowywał z żoną kilkuletniego synka, i córce Marinie, która została bez męża, za to z trójką dzieci. Lew Siergiejewicz rzadko wychodził z domu ze względu na swoje niedomaganie, więc był bardzo zadowolony z nowych sąsiadów, którzy z wyraźną przyjemnością spędzali z nim czas. Na dodatek serwowali takie frykasy, jakimi małżonka nie rozpieszczała emerytowanego pułkownika wcale nie dlatego, że nie potrafiła gotować, po prostu nie miała czasu na takie rzeczy. Praca, dzieci, wnuki...

Lew Siergiejewicz pochłaniał bułeczki z godnym pozazdrosczenia apetytem, a w przerwach między dużymi łykami piwa dzielił się swoimi spostrzeżeniami na temat mistrzostw świata w piłce nożnej.

Sorokinowie słuchali, udając zainteresowanie, chociaż piłka nożna i mistrzostwa w ogóle ich nie obchodziły. Później rozmowa zeszła na temat łowienia ryb, co stanowiło wielką pasję Gusarowa. Chodzenie sprawia mu kłopot, ale wsiąść do samochodu, pojechać nad jezioro albo nad rzekę i ulokować się tam z wędką – czy może być coś lepszego?! Dzięki paru umiejętnie sformułowanym pytaniom rozmowa zeszła na nadchodzący sezon letni, a stamtąd było już niedaleko do rodziny Gusarowów.

– Dobrze, że dzisiaj piątek – powiedziała Angelina Michajłowna – a potem dwa dni wolnego, Lusia przynajmniej trochę odpocznie, nabierze sił, kto to widział, żeby tak ciężko pracować. Pewnie musi być okropnie zmęczona.

– Jasne, odpocznie, czekaj tatka latka! – Lew Siergiejewicz roześmiał się hałaśliwie. – Pewnie już z samego rana popędzi do Łonki zabrać wnuka, żeby syn z żoną mogli odpocząć od dziecka i mieli dla siebie czas. Albo pójdzie gdzieś z dziewczynkami Mariny, żeby rozwijały się kulturalnie. Albo zaciągnie Marinkę do siłowni, czy jak to się teraz mówi – klubu fitness.

– Po co? – Wilen Wiktorowicz się zdziwił.

– No jak to, Marinka ma już czterdzieści trzy lata, to ostatni dzwonek, żeby ułożyć sobie życie. Moja Luda uważa, że Marinka powinna o siebie zadbać i znaleźć w końcu jakiegoś męża, nie takiego, jakiego miała, skończonego łajdaka, ale przyzwoitego i odpowiedzialnego faceta. Chyba ją diabeł podkusił, żeby urodzić temu wykolejeńcowi trójkę dzieci! Jedno by w zupełności wystarczyło.

Starszy chłopak ma już siedemnaście lat, jest prawie dorosły, jeszcze rok czy dwa i kłopot z głowy, ale prócz niego Marinka ma na utrzymaniu dwie dziewczynki, które ho ho, jak długo będą jej jeszcze wisieć na szyi. Młodsza ma dopiero dziewięć lat, średnia jest niewiele starsza, skończyła dwanaście.

Wylewność Lwa Siergiejewicza budziła niesmak obojga Sorokinów. To nie do pomyślenia, żeby mówić o własnej córce, że urodziła dzieci, bo „ją diabeł podkusił”! Okropność! Szczyt prostactwa.

– Niepotrzebnie się pan zamartwia, drogi Lwie Siergiejewiczu. – Angelina Michajłowna uśmiechnęła się łagodnie. – Trójka dzieci to jeszcze nie katastrofa. Sam pan wychował troje na dobrych, przyzwoitych ludzi, i wszystkie zdobyły zawód. Pański Lonieczka jest urządzony, prowadzi własny biznes, Marinoczka też nie siedzi panu na karku. A młodszy syn...

– Sasza? On też ma zajęcie. Tylko nie pali się do żeniaczki, choć już najwyższa pora. Ale może to i lepiej, bo mamy już czworo wnuków i wszystkim trzeba pomagać. Ludki wciąż nie ma w domu, a gdyby jeszcze Saszka się ożenił i założył rodzinę, chyba bym musiał zapomnieć, że mam żonę.

– Szczęściarz z pana, Lwie Siergiejewiczu – odezwał się Wilen Wiktorowicz. – W dodatku nie rozumie pan ani nie docenia swojego szczęścia. My z Galą nie mamy dzieci, więc czeka nas samotna i smutna starość. A pan i Lusja nigdy nie będziecie samotni. Więc niech pan nie narzeka i lepiej nie denerwuje Pana Boga.

– A ja bym się z tobą nie zgodziła, Wila – zaoponowała Angelina

Michajłowna. – Nigdy nie wiadomo, jak się życie obróci i czym nas zaskoczy, więc nie należy z góry zakładać, że przyszłość jest przewidywalna. Przykładów nie trzeba daleko szukać, weźmy choćby to, co się wydarzyło w naszym mieszkaniu. Czy ta nieszczęsna kobieta mogła przypuszczać, że czeka ją taki koniec? A pewnie też uważała, że może snuć plany i wybiegać myślą w przyszłość. Jak pan sądzi, Lwie Siergiejewiczu? Kto z nas ma rację, ja czy Wila?

– Zapuşciła się pani w nazbyt delikatną materię. – Gusarow znowu roześmiał się donośnie. – To dla mnie zbyt skomplikowane. Jestem prostym facetem, od poezji trzymam się z daleka, wolę piłkę nożną, łowienie ryb albo grilla na daczce – w tych dziedzinach jestem ekspertem i głównym konsultantem. Ach, pani wypieki są doskonałe, moja droga, mądra Angelino Michajłowno, czosnkowe bułeczki idealnie pasują do piwa. Pasują to mało powiedziane, stanowią z nim niepodzielną całość. A pan, Wilenie Wiktorowiczu, w ogóle nie pije, tylko udaje. Nie smakuje panu? Nie ma pan ochoty?

– Ależ skąd – pośpiesznie zapewnił Wilen. – Piwo jest znakomite, po prostu dzisiaj nie mam nastroju, od rana dokucza mi wątroba, więc chyba pan rozumie...

– Wątroba? – Gusarow się zmartwił. – To przykre. Bardzo przykre. Niech pan zajrzy wieczorem, gdy wróci Luda, powie jej pan o swojej wątrobie, ona na pewno coś panu doradzi, w końcu jest lekarzem.

– Nie będę zwracał państwu głowy takimi głupstwami, zwłaszcza że Luscia jest pulmonologiem, specjalistą od chorób płuc, a nie wątroby, prawda, Gelu? Sami sobie jakoś poradzimy domowymi

sposobami, nieraz już tak bywało.

– Nonsens – surowo oznajmił Lew Siergiejewicz. – Luda raz-dwa się zorientuje, co i jak, a jeśli sama sobie nie poradzi, skieruje pana do dobrego specjalisty. Z wątrobą nie ma żartów.

– Oj, Lwie Siergiejewiczu – Angelina Michajłowna pogroziła mu palcem – i kto to mówi? Tłuste mięso, smażone ziemniaki, zawieszisty rosół, bułki z wędliną – kto to wszystko lubi? Kto się tym zajada? I jakoś nie słyszałam, żeby się pan martwił o swoją wątrobę i odwiedzał specjalistów. Chociaż właściwie może ma pan rację – Sorokina nagle posmutniała – nigdy nie wiadomo, kiedy człowieka dopadnie choroba i w ogóle, co go czeka. Weźmy na przykład tamtą nieszczęsną kobietę z naszego mieszkania...

Wilén Wiktorowicz pogratulował w duchu żonie, że tak zręcznie przeszła do tematu, który ich interesował. Coś takiego, od głupiej pogawędki o wątrobie! To ci dopiero Gelunia, to ci dopiero mądrała!

Jednakże rozmowa o „nieszczęsnej kobiecie z sąsiedniego mieszkania” z jakiegoś powodu w ogóle nie zainteresowała Lwa Siergiejewicza, mężczyzna znowu zaczął się rozwodzić na temat swojej żony, jej umiejętności lekarskich oraz tego, jak wielu zna specjalistów, więc z każdą chorobą można się zwracać bezpośrednio do niej, ona zaś skieruje do kogo trzeba.

Półmisek z czosnkowymi bułeczkami świecił już pustkami, piwo zostało wypite, więc przyszła pora, żeby się pożegnać. Gdy tylko Sorokinowie wrócili do siebie, Wilén Wiktorowicz natychmiast rzucił się do łazienki, żeby umyć zęby i ręce.

– Wciąż mam w ustach ten wstrętny smak piwa – poskarżył się żonie. – A ubranie i ciało chyba przesiąkło zapachem czosnku. Mów, co chcesz, ale Lew to prymitywny żołdak o ograniczonych zainteresowaniach, nie potrafię sobie wyobrazić naszych dalszych spotkań.

– No co ty, Wileńka. – Angelina Michajłowna zaczęła go uspokajać. – Znamy go już tak długo i nic, jakoś wytrzymaliśmy. Bóg da, że wkrótce się wszystko wyjaśni i będziemy mogli wrócić do domu. Pomyśl tylko, to się może zdarzyć każdego dnia! W każdej chwili! I koniec, jesteśmy wolni. Choć nie wiem, czy to dobrze. Tutaj jesteśmy w centrum świata kultury, chodzimy do teatrów, na wystawy i koncerty. Powinniśmy się cieszyć, że los dał nam taką szansę, a ty bez przerwy jesteś niezadowolony. No proszę, Wila, uśmiechnij się!

Wilen Wiktorowicz rozciągnął usta w sztucznym uśmiechu, po czym uśmiechnął się jeszcze raz, tym razem swobodnie i szeroko. Gela ma rację, powinni się cieszyć z niebywalej szansy, którą otrzymali. Do domu zawsze zdążą wrócić. To przykre, oczywiście, że znowu im się nie udało, choć poczynili chyba pewne postępy. A zresztą Gela ma rację, mówiąc, że wszystko może się zdarzyć każdego dnia. W każdej chwili. Trzeba tylko uzbroić się w cierpliwość.

*

Oksana zerknęła na zegarek i się zdenerwowała: do obiadu jeszcze daleko, a ona ma już wszystko gotowe, teraz jedzenie ostygnie, będzie

musiała je odgrzewać, a odgrzewane traci smak. Dzisiaj źle obliczyła czas. Boris zwykle zaczyna pracę o dziewiątej rano i jeśli maluje z natury, to przed dziewiątą zjawia się też model, o drugiej mężczyzna robi sobie przerwę, zwalnia modela i siada do obiadu. Dzisiaj też miało tak być, ale samochód, którym jechał model, utknął w korku, w związku z czym seans zaczął się grubo po dziesiątej i na pewno nie skończy przed drugą. Poza tym Oksana trochę się pośpieszyła, liczyła, że danie, które zamierzała przygotować, zabierze jej więcej czasu, więc zaczęła je szykować ze sporym zapasem, a teraz wygląda na to, że mogłaby już wszystko podawać.

Nalała herbaty do kubka, narzuciła kurtkę, wsunęła nogi w modne krótkie botki – prezent od męża z okazji Dnia Kobiet – i poszła posiedzieć na tarasie, zażyć świeżego powietrza, bo stanie przy rozgrzanej kuchence ją zmęczyło. Przed domem przechadzał się tęgi osiłek – ochroniarz, który towarzyszył modelowi. Właściwie model miał imię, ale Oksana nie zamierzała go zapamiętywać. Mało to panienek i bab maluje Boris?! Miałaby je wszystkie pamiętać? Też coś! Po cichu nazywa każdą tak samo: model. Czasami modelka, jeśli dziewczyna jest młoda. Co prawda nie wszystkie modele Borisa są płci żeńskiej, dość często zdarzają się faceci, ale to też modele, prawda? Skoro siedzi bez ruchu i pozwala, żeby go rysowano, a mówiąc fachowo, malowano, to znaczy, że jest modelem i już.

Boris to facet z charakterem, mimo że jest młody. Gdy pracuje, zabrania wszystkim prócz pomocy domowej Oksany kręcić się po domu, bo mu to przeszkadza. Ochroniarze snują się po posesji, jedni

siedzą w samochodzie, inni spacerują, nie wolno im odjechać, więc się nudzą, a Oksana odczuwa złośliwą satysfakcję: za wysokie progi na ich nogi, myślą, że skoro mają rozwiniętą muskulaturę i gnata za pasem, wszystkie drzwi stoją przed nimi otworem, tymczasem wcale tak nie jest, znalazły się drzwi, które nigdy się przed nimi nie otworzą. A za tymi drzwiami jest ona, Oksana Biriukowa, osoba zaufana, mająca dostęp do „samego Krotowa”. A jak!

Boris Krotow maluje tylko portrety, w dodatku wyłącznie w swojej pracowni, modele zawsze do niego przyjeżdżają i pozują godzinami, podczas gdy on pracuje. Dla nikogo nie robi wyjątku, nikogo nie odwiedza w domu, taki on jest, ten jej Boris! A przyjeżdżają do niego jakieś... dziwadła, szczerze mówiąc, albo wysztafirowane lale, które uważają się za nie wiadomo kogo, albo podstarzałe babiszony, które rozmawiają z Oksaną, cedząc słowa, albo faceci ze złotymi łańcuchami na szyi, na których widok robi się niedobrze. I wszyscy z ochroną. Żeby choć raz trafił się ktoś zwyczajny, ale próżne nadzieje.

– Pani gospodyni, długo to jeszcze potrwa? – zagadnął ją znudzony ochroniarz.

Pani gospodyni! No właśnie: pani gospodyni, gospodyni domu z pracownią, kobieta, która zna tu każdą rzecz i każdy drobiazg, która z zamkniętymi oczami znajdzie każdą kartkę albo pyłek. I chociaż między nią a Borisem nic nie ma, nie było i nie będzie, łączą ich jedynie relacje pomocy domowej i właściciela domu, Oksana Biriukowa jest pełnoprawną gospodynią u słynnego, bogatego malarza i za stwierdzenie tego faktu gotowa jest nawet złamać swoje

zasady i potraktować ochroniarza przychylnie. A w ogóle ten dzisiejszy ochroniarz jest w porządku, wydaje się nawet sympatyczny. Najważniejsze, że jest uprzejmy.

– Co najmniej dwie godziny – odparła ze znajomością rzeczy. – Pewnie jesteś zmęczony?

– Nie, zdążyłem się przyzwyczaić. – Ochroniarz się uśmiechnął.

Uśmiech miał miły i szczery, a gdy się uśmiechnął, na czole pokazały mu się głębokie zmarszczki, co rozczuliło Oksanę. Takie same mimiczne zmarszczki pojawiają się na czole jej dwudziestopięcioletniego syna, gdy się śmieje. Ten chłopak bardzo jej się podoba, chyba może go czymś poczęstować.

– Wejdz na taras i usiądź przy stole – zaproponowała, wskazując krzesło obok – odpocznij. Chcesz, to ci przyniosę herbaty i zrobię parę kanapek, musisz być głodny.

– Och, dziękuję, pani gospodyni. – Ochroniarz znowu się uśmiechnął. – Nie odmówię.

Oksana zostawiła kubek na stole i wróciła do kuchni. Właśnie smarowała chleb masłem, gdy ochroniarz zapukał do okna. Pewnie myśli, że o nim zapomniała, obiecała herbatę i kanapki, a tymczasem zajęła się swoimi sprawami. Otworzyła okno.

– Zaraz, coś taki niecierpliwy – powiedziała z irytacją.

– Listonosz przyniósł pocztę, prosi, żeby pani wyszła.

– Ojej – Oksana klasnęła w ręce – już biegnę...

Wyszła przed dom i odebrała od listonosza paczkę gazet oraz kopertę. Boris bardzo rzadko dostaje listy, zawsze są to rachunki i

zawiadomienia albo zaproszenia na jakieś imprezy, innych listów nie otrzymywał, w każdym razie Oksana ich nie widziała. Zresztą kto by pisał listy w dzisiejszych czasach, skoro są telefony komórkowe oraz Internet? Oksana zaniósła ochroniarzowi herbatę i kanapki, szybko opróżniła swój kubek i poszła segregować pocztę. Gdy Boris zrobi przerwę na kawę, wszystko musi być ułożone tak, jak lubi: osobno dzienniki i listy, osobno miesięczniki i tygodniki, które prenumeruje w ogromnych ilościach. Podczas przerwy przejrzy prasę, zawsze tak robi.

Skończywszy segregować pocztę, Oksana zabrała się do przygotowania jedzenia na jutro. Dzisiaj piątek, jutro ma wolne, więc musi zostawić Borisowi śniadanie, obiad i kolację. Przejrzała zapasy w lodówce i stwierdziła, że nie ma wszystkich artykułów potrzebnych do przygotowania zaplanowanych potraw, ale teraz nie może iść do sklepu, lada chwila Boris wyjdzie na przerwę i będzie musiała podać kawę. Później zostanie oczywiście trochę czasu przed obiadem, ale lepiej nie ryzykować, bo gdy rozkład dnia został zakłócony, nie wiadomo, jak później się wszystko ułoży. Po obiedzie Oksana zmyje naczynia i z czystym sumieniem pójdzie na rynek i do sklepu. A tymczasem zajmie się tym, co jest – obierze warzywa, zetrze ser, pora też zrobić porządek w szafkach. Tak, to chyba najlepsze rozwiązanie.

Nie pomyliła się, nie minęło pięć minut, gdy Boris wyszedł z pracowni w towarzystwie młodziutkiej długonogiej modelki. Oksana przyniosła mu mocną jak zwykle kawę, modelka poprosiła o herbatę. Jak zawsze podczas pracy Boris był skoncentrowany i małomówny, pił kawę, przeglądał pocztę i w ogóle nie zwracał uwagi na modelkę,

mimo że ta, zmuszona do milczenia przez parę godzin, szczebiotała jak najęta, próbując wciągnąć malarza w pogawędkę. Ale na próżno. Oksana umieściła dzbanek z kawą na niskiej, szerokiej ławie przed kanapą i fotelami, po czym stanęła w drzwiach, żeby w porę dostrzec, kiedy Boris wypije kawę, i natychmiast nalać mu następną filiżankę. Zawsze podczas przerwy pije dwie filiżanki, to już reguła, której ani razu nie złamał. Właśnie przełknął kolejny łyk, zdaniem Oksany przedostatni, i chwycił kopertę. Otwiera ją, wyjmując kartkę złożoną w troje, jak to jest teraz przyjęte, czyta i robi dziwną minę, jakiej Oksana nigdy przedtem nie widziała. Znowu czyta list, ale co tam jest do czytania? Zaledwie jedna linijka, Oksana, która stoi dosłownie trzy metry za nim, dobrze widzi, nie potrafi tylko dojrzeć słów, cierpi na krótkowzroczność, niezbyt silną, nie nosi nawet okularów, ale z odległości trzech metrów nie potrafi rozróżnić liter. A umiera z ciekawości!

Boris wzruszył ramionami ze zdziwieniem, rzucił niedbale list na plik gazet, dopił kawę – Oksana już ruszyła, żeby nalać drugą filiżankę, ale powstrzymał ją gestem, wstał i poszedł do pracowni. Oksana zdębiała. Pierwszy raz od czterech lat wypił tylko jedną filiżankę kawy w czasie przerwy! Dotychczas nic podobnego się nie zdarzyło!

– A ty co tak siedzisz? – zwróciła się do modelki, która spokojnie popijała herbatę małymi łydkami. – Idź pozować.

– Przecież jeszcze nie wypiałam! – oburzyła się modelka. – A poza tym on mnie nie wołał. Może zaraz wróci.

– Nie wróci – ze złośliwą satysfakcją oznajmiła Oksana. – Kim ty jesteś, żeby miał cię wołać i z tobą rozmawiać? Zapłacono za ciebie, no to ruszaj, nie marudź i siedź tam tak długo, jak długo trzeba. Jasne?

Modelka westchnęła, odstawiła kubek i powłokła się w ślad za Borisem do pracowni.

Gdy tylko salon opustoszał, Oksana od razu chwyciła list i go przeczytała: „Wiem, co się stało z twoją matką”. To rzeczywiście jakieś bzdury. Czy mamie Borisa coś się przytrafiło? Przecież była tutaj całkiem niedawno, przyjechała w ubiegłym tygodniu i została na obiedzie, Oksana nawet pamięta, że podała warzywne ragout i zapiekaną wieprzowinę, a oni tak miło gawędzili, kobieta wyglądała kwitnąco, oboje byli w świetnych humorach. I wszystko było dobrze. Co niby mogło jej się stać? Na pewno nic złego, inaczej Boris nie wzruszyłby ramionami i nie wróciłby spokojnie do pracy. To oczywiste bzdury.

*

Szef prywatnej agencji detektywistycznej Władisław Nikołajewicz Stasow rozmawiał z klientką i patrzył na nią z niekłamaną przyjemnością. Matka natura nie skąpi urody niektórym kobietom! W swoim życiu Stasow widział wiele pięknych pań, nawet uderzająco pięknych, jedną z nich niegdyś poślubił, ale wszystkie zdawały sobie sprawę ze swojej urody i ją wykorzystywały. Natomiast Walentyna Dmitrijewna Jewtiejewa, jak przedstawiła się kobieta, gdy weszła do

biura, nie była w ogóle świadoma swojej atrakcyjności, Stasow był tego pewien. Nie kokietowała, nie strzelała i nie wodziła oczkami, nie poprawiała włosów i prawie się nie uśmiechała, a właściwie wcale się nie uśmiechała. Beznamiętnie i spokojnie relacjonowała swoją sprawę, chociaż Władisław widział, że z trudem panuje nad emocjami. Grube loki bujnych rudawych włosów okalały jasną twarz i podkreślały zielononiebieskie, niemal turkusowe oczy, zgrabny nosek znakomicie harmonizował z niedużymi, pięknymi ustami, a czarujący uśmiech – jedyny, na który Walentina pozwoliła sobie w chwili zawierania znajomości – odsłonił równe śnieżnobiałe zęby. Styl bycia Walentyny Jewtiejewej również pozostawał bez zarzutu, głos miała dźwięczny, ale nie afektowany, ubrana była gustownie, niezbyt wyszukanie, lecz elegancko. Choć Stasow darzył namiętnym uczuciem żonę Tatianę, pozostawał stuprocentowym facetem i umiał docenić seksapil kobiety, toteż klientka zrobiła na nim spore wrażenie i z góry postanowił, że zajmie się jej sprawą bez względu na to, czego będzie dotyczyć.

Jak się okazało, Walentina chciała znaleźć zabójcę ojca, ponieważ milicja w jej rodzinnym Jużnomorsku nie wiedzieć czemu sobie z tym nie poradziła. Stasow domyślał się dlaczego. Jeżeli hipoteza miejscowej milicji jest słuszna i ojca Walentyny zabił przypadkowy rabuś, który wiedział, że nikogo nie ma w mieszkaniu i że będzie mógł się obłowić, to znalezienie go było właściwie nierealne, ponieważ niczego nie zabrał, niczego nie będzie się pozbywał i pewnie od razu wyjechał z miasta. Jeżeli jednak hipoteza nie jest słuszna,

niewykluczone, że uda się coś wywęszyc. Ciekawe, czemu nie wysunięto innych hipotez? A może wysunięto, tylko Walentina o nich nie wie? To bardzo możliwe, śledczy zazwyczaj nie palą się do omawiania z poszkodowanymi wszystkich swoich przypuszczeń oraz postępów w dochodzeniu. I mają rację.

Stasow słuchał Jewtiejewej i w myślach robił notatki. Zazwyczaj od razu zapisywał w notesie rodzące się sugestie, ale teraz złapał się na tym, że nie potrafi oderwać wzroku od ponętnej klientki. Czarująca osóbką, nie da się zaprzeczyć!

– Czy mogę mieć nadzieję, że przyjmie pan moją sprawę? – zapytała Jewtiejewa, gdy skończyła relację.

– Przyjmę – gorliwie zapewnił Stasow. – Ale najpierw chciałbym omówić z panią możliwe kierunki naszego działania. Jeśli je pani zaakceptuje, podpiszemy umowę i przystąpimy do pracy.

– A mogę się nie zgodzić?

– Oczywiście. Może się zdarzyć, że wskutek tego, co powiem, zwątpi pani w nasze kwalifikacje i zrezygnuje z pomysłu współpracy z agencją. A więc, Walentino Dmitrijewno...

– Wystarczy Walentino.

– Dobrze. – Stasow kiwnął głową. – Oto moja pierwsza hipoteza: zabójca pani ojca kierował się motywem rabunkowym...

– No tak, znowu ta sama śpiewka! – wykrzyknęła Walentina z irytacją.

– Nie wysłuchała mnie pani do końca. Z mieszkania coś jednak zabrano, była to rzecz niewielkich rozmiarów...

– Już panu powiedziałam: nic nam nie zginęło! – Walentyna ledwie nad sobą panowała. – Nie po to do pana przyszedłam, żeby po raz setny powtarzać to samo.

– Proszę posłuchać, Walentino, musimy rozumować logicznie – cierpliwie ciągnął Władysław. – W mieszkaniu mogła się znajdować rzecz albo dokument, o którego istnieniu nie miała pani najmniejszego pojęcia. Mieszkała pani z ojcem przez cały czas?

– Nie, tylko przez ostatnie dwa lata, gdy potrzebował opieki i nie mógł być sam. Od dziesięciu lat mam swoje mieszkanie.

– No widzi pani. W ciągu tych dziesięciu lat u pani ojca mogły się pojawić różne rzeczy! I nie musiał pani o tym informować.

– Nie rozumiem, o jakich rzeczach pan mówi. – Walentyna się zachmurzyła. – Co ma pan na myśli?

– No na przykład jakąś unikatową pamiątkę rodzinną albo przedmiot o wartości kolekcjonerskiej.

– Nie mamy i nie mieliśmy żadnych cennych pamiątek – odparowała. – A tata nigdy niczego nie kolekcjonował.

– Załóżmy, że to prawda. – Stasow kiwnął głową. – Ale przecież pani ojciec był lekarzem, chirurgiem dziecięcym, i to bardzo dobrym, sama pani mówiła. Setki pacjentów zawdzięczają mu życie. A przy okazji, pani ma dzieci?

– Nie. – Walentyna nieco się stropiła. – Do czego pan zmierza?

– Do tego, że ja na przykład mam dwoje i doskonale wiem, że chirurgowi, który by je uratował, oddałbym wszystko. Wdzięczni rodzice mogli podarować pani ojcu rzadką monetę albo znaczek, albo

rysunek znanego malarza. Albo oryginały listów słynnego pisarza. O ile pamiętam z lekcji literatury, w ubiegłym wieku, nie, teraz już dwa wieki temu, wielu rosyjskich mistrzów słowa budowało domki letniskowe i odpoczywało w waszym wspaniałym mieście. Nie myłę się? Nie wykluczam też wyrobu jubilerskiego. Pani ojciec nie potrafił albo nie chciał odmówić prezentu, chociaż nie zamierzał czerpać z niego korzyści, po prostu schował go gdzieś w domu. Mogło tak być?

– Ale... nic o tym nie wiem... Tata nigdy nie wspominał...

– To nie znaczy, że tak nie było – rzekł Stasow stanowczo. – Nie możemy tego wykluczyć. Fakt, że w mieszkaniu nie było bałaganu i nie stwierdziła pani żadnych śladów plądrowania, świadczy tylko o tym, że przestępca doskonale wiedział, gdzie jest schowany ów przedmiot lub dokument. A więc przestępcą nie może być przypadkowy rabuś, tylko osoba z pani otoczenia, ktoś, kto znał pani ojca i komu pani ojciec się zwierzył.

– Plecie pan bzdury! – Walentyna się rozgniewała.

W tym momencie jej policzki oblał rumieniec i Stasow stwierdził, że stała się jeszcze bardziej ponętna. Do diabła, co za kobieta! Chociaż chyba jednak nie grzeszy rozumem... Szkoda. Z takim wyglądem...

– Wszyscy przyjaciele taty, a jest ich niewielu, to zacni i szanowani ludzie, nie mogliby...

– Walentino – Stasow się uśmiechnął – niech mi pani wierzy, że w pani słowach nie ma krztyny zdrowego rozsądku. W swoim życiu widziałem setki bandytów i zabójców, każdy z nich miał krewnych i bliskich, którzy z pianą na ustach zapewniali, że „oni nie mogliby”.

Poza tym przyjaciele pani ojca też mogli podzielić się z kimś informacją. Wiadomość o tej rzeczy albo dokumencie mogła się rozejść. Pani zaś pozostawała nieświadoma, często tak bywa. A więc taka jest pierwsza hipoteza. Teraz hipoteza druga: spadek.

Brwi Walentyny natychmiast podjechały do góry, a w oczach błysnął gniew.

– Chce pan powiedzieć, że zabiłam tatę dla spadku? Albo zrobił to mój brat?

– To tylko hipoteza, jako sumienny detektyw mam obowiązek ją sprawdzić. Pracownik agencji, któremu powierzę pani sprawę, też weźmie ją pod uwagę.

– A więc nie zamierza pan sam...?

Walentina wyraźnie się stropiła, a Stasow z trudem powściągnął uśmiech.

– Zapewniam panią, że powierzę sprawę bystremu specjalście, który ma duże doświadczenie w wykrywaniu zabójstw. Daleki jestem od myśli, że popełniła pani zabójstwo, a teraz przyszła do mnie podpisać umowę. Ale jeśli chodzi o pani brata...

– Niech się pan nie waży tak myśleć! Żenia nie ma z tym nic wspólnego!

– W życiu wszystko jest możliwe, droga Walentino Dmitrijewno – odparł Stasow z westchnieniem. – Umówmy się tak: albo przyjmuję pani zlecenie i podejmuję się szukania zabójcy, albo bierzemy pod uwagę tylko pani emocje i robimy wyłącznie to, co według pani jest słuszne. Ale wówczas nie musi nam pani płacić, wszystko może pani

zrobić sama, nie wydając niepotrzebnie pieniędzy.

– Przepraszam. – Walentina uśmiechnęła się potulnie. – Niepotrzebnie się uniosłam. Ale musi pan mnie zrozumieć. Najpierw podejrzewa pan przyjaciół taty, których bardzo szanuję, później oskarża brata, więc puściły mi nerwy.

– W porządku, przeprosiny przyjęte – odparł wielkodusznie Stasow.
– I wreszcie trzecia hipoteza: zabójca mógł się kierować motywem osobistym, na przykład zemstą. Czy jest ktoś, kto mógłby pragnąć się zemścić na pani ojcu?

– Nie. – Walentina pokręciła głową. – Ludzie szanowali i kochali tatę, był wspaniałym chirurgiem, świetnym fachowcem. Przez całe życie leczył dzieci, nie sposób zliczyć wszystkich rodziców, którzy byli mu wdzięczni. Przez ponad dwadzieścia lat, aż do chwili choroby, tata kierował oddziałem chirurgii w dziecięcym szpitalu klinicznym. Kto mógłby szukać zemsty na starym lekarzu? Tata nigdy nie miał wrogów, wszyscy mu dobrze życzyli. A jeśli chodzi o Żenię, Władisławie Nikołajewiczu, sądzę, że nie ma pan jednak racji.

– Dlaczego? – Stasow zmrużył oczy.

– Nawet jeśli założyć, że Żenia jest winny... to nie do pomyślenia, to zupełnie niemożliwe, ale jeśli rozważać teoretycznie...

– Tak? – zachęcił ją Stasow.

– Po co miałyby zabijać tatę dla spadku, skoro tacie zostało parę dni życia, najwyżej tydzień? To przecież nonsens!

Brawo, potrafi ruszyć głową, z uznaniem pomyślał Stasow. Może nie jest całkiem głupia?

– No cóż, w biznesie często zdarzają się sytuacje, gdy trzeba pilnie i niezwłocznie potwierdzić swoją zdolność kredytową, inaczej transakcja nie dojdzie do skutku. I nie można czekać ani tygodnia, ani jednego dnia. A może chodziło o duży dług i pani brat musiał koniecznie potwierdzić, że wszystko odda. Tak też bywa.

– Ale Żenia nie miał długów!

– Masz ci los, a pani swoje. – Stasow pokręcił głową z wyrzutem. – Przecież się umawialiśmy: to, że pani o czymś nie wie, nie oznacza, że tego nie było. Mieszka pani razem z bratem? Jest pani jego współniczką w interesach? A może on dzieli się z panią każdą najdrobniejszą informacją?

– Nie...

– W takim razie nie ma o czym mówić. Wszystko należy sprawdzać, od pierwszego do ostatniego faktu. No to jak, Walentino? Chce pani podpisać umowę? Czy nie jest pani zachwycona moim stanowiskiem?

Walentina przez chwilę się zastanawiała, a Stasow napawał się jej widokiem. Będzie mu przykro, jeśli kobieta odmówi, chętnie spotkałby się z nią jeszcze raz. Albo nawet dwa razy. Wyłącznie służbowo, ma się rozumieć. Dla czysto estetycznej satysfakcji, jaką daje podziwianie piękna.

– Jestem gotowa podpisać umowę – zdecydowanie oznajmiła Jewtiejewa. – Tylko mam prośbę: niech pracownicy agencji niezwłocznie zajmą się sprawą. Niech jak najszybciej jadą do Jużnomorska i przystąpią do pracy. Najlepiej jutro.

– Wykluczone.

– Dlaczego? – zapytała zmartwiona.

– Wyjazd należy przygotować. Dzisiaj podpiszemy umowę i zdecyduję, komu powierzyć zlecenie. Wybrany przeze mnie detektyw będzie musiał pozamykać bieżące sprawy, zapoznać się z nowym zleceniem, spotkać się z panią i porozmawiać, żeby sporządzić plan działania i mi go przedstawić. Ja zaś albo zatwierdzę plan, albo mu go zwrócę, uznając, że wymaga dopracowania. Krótko mówiąc, minie trochę czasu.

– Dobrze, w takim razie niech mi pan obieca, że to nie potrwa długo. A zresztą o czym miałabym jeszcze rozmawiać z detektywem? Powiedziałam panu wszystko, co wiedziałam, nic więcej nie mam do dodania.

– Tylko się pani tak wydaje – odparł Stasow z uśmiechem.

*

W tej pracy też nie ma weekendów. Choć pracuje teraz w prywatnej agencji Stasowa, a nie na Pietrowce, rezultat jest ten sam: jeśli robota nie została zrobiona, o wolnym można tylko pomarzyć. Nastia Kamieńska ciężko westchnęła i znowu spojrzała na kalendarz: piątek, dwudziesty trzeci kwietnia. Wszyscy normalni ludzie mają jutro wolną sobotę, pojutrze niedzielę, a ona ma same piątki, które łączą się z poniedziałkami. I żadnej laby. Trzeba jednak przyznać, że Stasow to ludzki człowiek i za każdym razem po otrzymaniu raportu z wykonanego zadania daje jej parę dni wolnego.

Kalendarz, na który Nastia spoglądała, wisiał w sekretariacie dyrektora firmy, gdzie zbierała informacje potrzebne do wykonania kolejnego zlecenia. Musiała spotkać się z dyrektorem, który już od trzech dni nie mógł znaleźć dwudziestu minut na rozmowę, więc znowu siedziała w sekretariacie i czekała. W końcu wymusiła na sekretarce obietnicę, że tego dnia wpuści ją do szefa, który wreszcie udzieli jej audiencji.

W torebce zawibrowała komórka. Dzwonił Stasow.

– Gdzie jesteś?

– Czekam – smętnie oznajmiła Nastia. – Facet obiecał, że mnie przyjmie.

– Jak będziesz wolna, przyjeźdź do bazy, musimy pogadać.

– To coś poważnego? – zaniepokoiła się.

– Owszem. Nowa sprawa, akurat dla ciebie, zgodnie z twoją specjalizacją. Trzeba jak najszybciej przystąpić do pracy.

– Ale ja mam...

– Doskonale wiem, co masz – przerwał jej Stasow. – Śpieszyć się należy powoli. Masz trzy, cztery dni, akurat zdążysz skończyć. Krótko mówiąc, przyjeżdżaj, wprowadzę cię w temat i zaczniesz się szykować.

– A nie mogłabym jutro? – zapytała żałośnie. – Padam na twarz, Stasow, i jestem potwornie głodna. Może przyjadę jutro, dobrze?

– Wiesz, Kamieńska, czym się różnią szefowie od podwładnych?

– Szef zawsze ma rację – wyskandowała. – I z reguły jest mądrzejszy.

– Aleś ty głupia. – Stasow westchnął. – Szefowie zawsze mają

weekendy, a podwładni nie. Chwytasz moją myśl?

– Chwytam. Jutro masz wolne. Więc dzisiaj zamierzasz mnie dręczyć.

– Zgadza się – obiecał. – Za to postawię ci kolację.

– W restauracji?

– Też coś! Zaraz zamówię pizzę. Pogawędzimy przy jedzeniu. No to czekam. A ty się sprężaj.

Krnąbrny dyrektor, który do tej pory nie chciał jej przyjąć, jakby usłyszał rozmowę i ulitował się nad Nastią Kamieńską, ponieważ nie zdążyła jeszcze schować telefonu do torebki, gdy sekretarka dała jej znak, żeby weszła do gabinetu. Rozmowa potrwała krócej niż zaplanowane dwadzieścia minut, więc już pół godziny później Nastia jechała przydzielonym przez Stasowa samochodem do Pierowa, gdzie znajdowała się ich „baza” – biuro agencji detektywistycznej Władysława Stasowa. „Własta” – tak właśnie nazywała się agencja, zwyczajnie i zrozumiale, bez udziwnień. W piątkowy wieczór drogi prowadzące z centrum na obrzeża miasta były zatłoczone, więc Nastia zmordowała się w korkach i przeklinała nową pracę za to, że musi jeździć samochodem, zamiast jak zwykle korzystać z metra. Nie lubiła prowadzić, przedtem unikała tego jak ognia, teraz jednak sytuacja się zmieniła – mały, zgrabny, srebrzysty peugeot to nie luksus, tylko niezbędne narzędzie pracy.

Do biura przyjechała nie tylko zmęczona i głodna, ale też rozdrażniona, jednak widok dużej pizzy z salami nieco poprawił jej humor i nawet nie zauważyła, kiedy pochłonęła ponad połowę,

słuchając relacji Stasowa.

– Najadłam się jak bąk, Władik, i nie mam siły myśleć – poskarżyła się. – Daj mi swoje notatki, przeczytam i przeanalizuję je w domu, a w poniedziałek przekażę ci uwagi.

– Nie mam notatek. – Stasow rozłożył ręce. – Niczego nie zapisywałem.

– Jak to nie zapisywałeś? – zapytała Nastia ze zdumieniem. – Dlaczego?

– Tak jakoś wyszło. Dziewczę jest śliczne jak malowanie, nie mogłem oderwać oczu – wyznał szczerze.

– Dziewczę? To ile ona ma lat?

– Jest po trzydziestce. Chyba – uściślił. – Zapomniałem sprawdzić rok urodzenia w dowodzie osobistym. Więc będziesz musiała, Kamieńska, zapamiętać wszystko ze słuchu. Nasunęły ci się jakieś pytania?

Nastia wzruszyła ramionami i w zamyśleniu odkroiła jeszcze jeden kawałek pizzy.

– Tylko te, które i tobie przyszły do głowy. Ale hipoteza kradzieży wydaje mi się najbardziej obiecująca. Trzeba by sprawdzić, czy nasz doktor Jewtiejew nie jest potomkiem starego szlacheckiego albo kupieckiego rodu, w takim wypadku całkiem możliwe, że przechowywał jakąś rodzinną relikwię, na przykład pierścionek albo naszyjnik. To by akurat pasowało, chodzi o coś małego i niebywale drogiego.

– Słuchaj – Stasow się roześmiał – po sprawie w Tomilinie masz w

głowie tylko stare szlacheckie rody. Ochłoń, Kamińska, jesteś w Moskwie, a za oknami mamy dwudziesty pierwszy wiek.

– A jednak to też należy sprawdzić – upierała się Nastia.

– Dobrze, sam się tym zajmę, skoro nalegasz. Skontaktuję się ze specjalistami, którzy opracowują drzewa genealogiczne. Oni wiedzą, gdzie szukać informacji. Ale zauważ, że będę musiał zapłacić za twoje wymysły.

– Trudno. – Nastia się uśmiechnęła. – Nie zbankrutujesz. Poza tym trzeba rozejrzeć się wśród rodziców dzieci, których leczenie skończyło się fiaskiem. Na pewno były takie przypadki, nie mogło ich nie być, każdego lekarza spotykają niepowodzenia, a co dopiero mówić o chirurgu z dużym stażem. Tutaj też możemy trafić na motyw zemsty.

– Dobrze. – Stasow kiwnął głową z aprobatą. – Świetny pomysł. Sam na to nie wpadłem, nawet nie zapytałem klientki. Co prawda minęło sporo czasu, lekarz nie operował już od trzech lat i w ogóle nie pracował. Ale trzeba sprawdzić. Jeszcze coś?

– Słuchaj no – Nastia się oburzyła – czemu się nade mną pastwisz? Wezwij tego, kto pojedzie do Jużnomorska, i dręcz go do woli. Chcesz, żebym ci na poczekaniu sporządziła cały plan pracy?

– Ale to właśnie ty tam pojedziesz – beznamiętnie odparł Stasow, zabierając jej pudełko z niedokończoną pizzą. – Daj mi kawałek, bezwstydnego egoistko. Nawiasem mówiąc, ja też jestem głodny.

Nastia z hukiem odłożyła nóż i widelec na nakryty serwetką stół konferencyjny, przy którym siedzieli, i wbiła wzrok w szefa.

– Jak to ja? Dlaczego?

– Czy to takie dziwne? Kto w biurze jest specjalistą od zabójstw? To, że przez dwa miesiące śledziłaś niewiernych małżonków i zbierałaś informacje o podejrzanych przyjaciółach niesfornych dzieciaków, wcale nie znaczy, że zapomniałem, gdzie przedtem pracowałaś.

– Miszka Docenko też tam pracował. Dlaczego wysyłasz mnie, a nie jego? Dlatego, że jest twoim krewniakiem?

– Dlatego, że ma małe dziecko, a Irocza oszaleje, gdy zostanie sama. Dobrze wiesz, że sobie nie poradzi.

– Wiem. – Nastia westchnęła. – A kiedy miałabym jechać?

– Im prędzej, tym lepiej.

Kamieńska skrzywiła się z niezadowoleniem.

– Po co ten pośpiech? Przecież mówiłaś, że do zabójstwa doszło ponad trzy miesiące temu. Więc nie ma już gorących śladów, a stare nigdzie nie uciekną.

– Klientka nalega, żebyśmy jak najprędzej zabrali się do pracy. Jest cała w nerwach. Właściwie nie rozumiem, czemu nie chcesz jechać. Teraz jest tam już w miarę ciepło, morze, słońce, raj. Spotkaj się z klientką, z tą Jewtiejewą, wypytaj o wszystko, kup bilet i jedź. Na miejscu możesz się nie śpieszyć, odpocznij w miarę możliwości, powylegaj się na plaży, poopalaj, wyśpij. Kiedy znowu trafi ci się podobna okazja?

– Stasow – odparła Nastia z irytacją – jesteś oczywiście moim szefem, ale chyba ciężko myślącym. Dzisiaj jest dwudziesty trzeci kwiecień, potrzebuję jeszcze dwóch, trzech dni, żeby skończyć sprawę i

napisać raport, zrobi się więc dwudziesty szósty. Później spotkanie z Jewtiejewą – dwudziesty siódmy. Wygląda na to, że będę mogła pojechać do Jużnomorska nie wcześniej niż dwudziestego ósmego. I co?

– Nic. To wspaniale, jedź dwudziestego ósmego.

– A dni wolne? Najpierw trzy na początku maja, później Święto Zwycięstwa – kolejne trzy. Wiele osób urządza sobie wakacje od pierwszego do jedenastego maja. Wszyscy wyjeżdżają do przyjaciół i krewnych, za granicę albo do domów wczasowych czy pensjonatów. Kogo ja tam znajdę w tym czasie? Co za sens jechać akurat teraz?

– Kamieńska – Stasow przybrał surowy ton – już ci mówiłem: klientka się denerwuje i chce, żeby podjąć niezwłoczne działania.

– No więc wytłumacz jej...

– Niczego nie będę jej tłumaczyć. Skoro tak chce, to znaczy, że tak będzie. Płaci pieniądze za pracę, więc musimy ją wykonać, a nie liczyć dni wolne i świąteczne. W końcu nie wszyscy się rozjadą, ktoś tam zostanie na miejscu i będziesz miała czym się zająć. A pozostałe osoby znajdziesz i przepytasz po jedenastym, gdy wrócą. Uszy do góry, Nastazjo. – Uśmiechnął się. – Wiem, co ci chodzi po głowie: jeśli w dni wolne będzie mało pracy, utkniesz w Jużnomorsku bez zajęcia. Zgadłem?

– Owszem – przytaknęła Nastia.

– Tym się nie przejmuj. Już powiedziałem: odpoczywaj, nie stresuj się i o niczym nie myśl. Przyjmij, że to mój prezent dla ciebie... Obchodzisz przecież w tym roku okrągłe urodziny, prawda? Chyba w

połowie czerwca?

Stasow się nie mylił, w połowie czerwca Nastia Kamieńska skończy pięćdziesiąt lat. Liczba przerażała, wydawała się ogromna i odpychająca.

– No właśnie – podsumował Stasow – a więc się dogadaliśmy. I nie będę musiał łamać sobie głowy nad prezentem na twoje urodziny.

No proszę, Władik wybrał odpowiednią porę, żeby przypomnieć sobie o jej urodzinach! Zwłaszcza że to jubileusz, niech go licho porwie. Trzeba będzie jakoś to uczcić, zaprosić gości. Nastia nie miała ochoty się nad tym zastanawiać, w końcu zostało jeszcze półtora miesiąca. Ale piętnasta rocznica ślubu już niebawem, trzynastego maja. Tego dnia w 1995 roku wzięli ślub nie tylko oni z Aleksiejem, ale też przyrodni brat Nasti Aleksander ze swoją Daszeńką, która była już wtedy w ciąży. I umówili się, że kolejne rocznice będą świętowali razem, problem polega tylko na tym, że poważny biznesmen Aleksander Kamieński jest w ciągłych rozjazdach, wciąż ma pilne spotkania albo negocjacje i już teraz wiadomo, że trzynastego maja nie będzie go w Moskwie, kiedy zaś wszyscy się wreszcie zbiorą, to prawdziwa zagadka. Czy Nastia będzie musiała pojechać do Jużnomorska, tkwić tam Bóg wie jak długo i spędzić pamiętny dzień z dala od męża? To nie w porządku, uznała i nieśmiało zapytała Stasowa, czy może zabrać ze sobą Czistiakowa. No bo właściwie czemu nie? Przecież odwiedził ją w Tomilinie, gdy pracowała nad sprawą zabójstw emerytek, i spędzili razem parę cudownych dni. Czemu nie mogliby tego powtórzyć? Co prawda teraz wchodzą w grę co najmniej

dwa tygodnie, ale z drugiej strony, co za różnica dla Stasowa? Wypłaci delegację tylko jej, Nasti, a koszty pobytu Loszki pokryją z rodzinnego budżetu. Kiedy ostatnio byli razem nad morzem? Nastia nawet nie potrafi sobie przypomnieć. Chyba ze dwadzieścia lat temu.

– Ależ bardzo proszę. – Stasow uśmiechnął się szeroko w odpowiedzi na jej prośbę. – Oczywiście, jedźcie razem, zrobicie sobie romantyczne wakacje w rocznicę ślubu. A kiedy urządzicie imprezę?

– Gdy tylko Sania ustali datę. Myślę, że pod koniec maja.

– W takim razie przyjmij, że robię ci prezent od razu z dwóch okazji. Nie znoszę uganiania się za prezentami, nigdy nie wiem, co kupić – powiedział zadowolony Stasow. – Zapisz sobie telefon klientki, umów się z nią na spotkanie i bierz się do roboty. Tylko nie zapomnij zamknąć bieżącej sprawy.

– A jednak jesteś wredny – orzekła Nastia.

*

Piątek, kończy się tydzień pracy, a także dzień roboczy, więc Maksim Witaljewicz Kramariew, prezes koncernu farmaceutycznego, szykował się do powrotu do domu. Zajrzawszy do terminarza, zauważył, że pozostała mu jeszcze jedna sprawa do wyjaśnienia. Nacisnął przycisk interkomu i polecił sekretarce, żeby poprosiła Jelenę Abrosimową. Ani przez chwilę nie wątpił, że Jelena jeszcze nie pojechała do domu – w koncernie panowała zasada, że kadra menedżerska nie wychodzi z pracy przed szefem.

Jelena zjawiała się w gabinecie po jakichś dziesięciu minutach.

– Słyszałem, że zakwaterowała pani kogoś u mojej ogrodniczki – zaczął surowo Kramariew. – Od dawna zna pani tę osobę? I w ogóle kto to taki, skąd się wziął?

– To bardzo porządna kobieta, przyjezdna. Nie sądziłam, że ma pan coś przeciwko temu. – Abrosimowa nieco się stropiła. – Często kierujemy różne osoby do Niny Siergiejewny, ona chętnie przyjmuje lokatorów, to normalna praktyka. Coś nie tak, Maksimie Witaljewiczu? Coś się stało?

– Jeszcze nic – burknął. – Ale skąd pewność, że baba nie jest wtyką Razuwajewa? Co pani o niej wie?

– Zapewniam pana, Maksimie Witaljewiczu, że Walentyna nie ma żadnego związku z pańską kampanią wyborczą. Mogę dać sobie głowę uciąć. Poznałam ją przypadkiem w pociągu i to ja ją zagadnęłam, a nie ona mnie.

– No dobrze, ale niech pani uważa... Żeby tylko nie zainstalowała się tutaj jakaś kreatura, która wkradnie się w zaufanie Niny, później wślizgnie do domu i zacznie węszyć. Tylko tego mi brakowało!

– Gwarantuję panu – powtórzyła Jelena Abrosimowa już pewniejszym tonem – że w tym wypadku nic takiego się nie zdarzy.

– Dobrze, jest pani wolna. – Kramariew machnął ręką. – Jest ktoś jeszcze w sekretariacie?

– Razem ze mną przyszedł pański asystent. Pewnie czeka, aż skończymy rozmawiać.

– Niech mu pani powie, żeby wszedł.

Asystent Kramariewa od razu z rzeczową miną rozłożył na biurku materiały agitacyjne Razuwajewa, konkurenta Maksima w kampanii wyborczej do Moskiewskiej Dumy Miejskiej. Kramariew przerzucił parę kartek i się skrzywił. Jedno z głównych założeń programu Razuwajewa zawierało propozycję zwiększenia odpowiedzialności za przemoc w rodzinie wobec dzieci, za pedofilię, pornografię dziecięcą i temu podobne. Zwiększenie środków na profilaktykę, wzmocnienie roli organów opieki i wsparcia państwa dla domów dziecka oraz internatów, jednym słowem – walka o zdrowe, spokojne dzieciństwo i o nowe pokolenie.

– No, no – mruknął Kramariew. – Niedługo zobaczymy, co z ciebie za bojownik o szczęśliwe dzieciństwo.

Wszystkie najważniejsze sprawy zostały załatwione, można było jechać do domu.

² Parafraza wiersza Aleksandra Puszkina W głębinie syberyjskich rud w tłumaczeniu Juliana Tuwima.

³ Syrniki to smażone na oleju placki z białego sera, mąki i jajek, niekiedy z dodatkami, np. rodzynkami, jabłkami czy orzechami. Podawane na słodko ze śmietaną, dżemem, miodem albo z keczupem czy majonezem.

⁴ Stopień naukowy odpowiadający polskiemu stopniowi doktora.

⁵ Timiriaziewka – potoczna nazwa Akademii Rolniczej im. K. Timiriaziewa w

Moskwie.

ROZDZIAŁ 3

Łzy zasłaniały Oldze oczy, więc ledwie widziała drogę. Musiała zwolnić, nie zamierzała się jednak zatrzymać – sama nie wiedziała dlaczego. Jechała dalej, szlochając, i po raz nie wiadomo który w ciągu ostatnich miesięcy ze zdziwieniem roztrząsała to, co się stało. No bo właściwie co się wydarzyło? Dlaczego? I kto jest temu winien? Czyżby ona? Ale przecież nie zrobiła nic złego, nic naganego, Sławomir niczego jej nie zarzucił, przeciwnie, nadal dzwoni, pyta o nastrój, samopoczucie i pracę, pociesza, gdy usłyszy, że jest jej smutno, znajduje czułe, przekonujące słowa. W takich chwilach znowu zaczyna jej się wydawać, że wszystko się ułoży, i to niebawem, już jutro. Ale nadchodzi jutro, Olga przyjeżdża do domu Kramariewów na lekcję arabskiego z ich córką i znowu nic się nie dzieje, chociaż za każdym razem ma wrażenie, że dzisiaj na pewno coś się stanie, spotka wreszcie Sławomira, wszystko sobie wyjaśnią, a potem będzie jak dawniej.

Dzisiaj po lekcji znowu ucięła sobie pogawędkę z Niną Siergiejewną, w ostatnich dniach często to robiła. Stała na środku parceli i rozmawiała z nią o córce Kramariewów, o problemach nauczania i wychowania dzieci, a jednocześnie każdą komórką mózgu i całym ciałem wyczuwała stojący po prawej stronie domek dla gości, w

którym zakwaterował się Sławomir, i wydawało jej się, że słyszy jego kroki w gabinecie, czuje ciepło oddechu. Prowadziła długie i zupełnie niepotrzebne rozmowy z Niną Siergiejewną i czekała: a nuż on się zjawi! Podejdzie, grzecznie się przywita, zapyta o coś i można będzie z nim porozmawiać, pożegnać się z rozmówczynią i towarzyszyć mu na spacerze po lesie, idąc niby przypadkiem w tym samym kierunku. I wszystko się wyjaśni.

Ale bez względu na to, jak długo stała z Niną, Sławomir nie opuszczał domku. Olga nie porzucała jednak nadziei. Dzisiaj się doczekała.

Podczas gdy gawędziły w najlepsze, mężczyzna wyszedł z domku dla gości, skinął im głową na powitanie i w towarzystwie dwóch ochroniarzy skierował się poza teren posesji. A przecież mógł podejść i zamienić parę słów, choćby ze zwykłej uprzejmości. Ale nie podszedł. Olga miała wprawdzie jeszcze nadzieję, że Sławomir ruszy prowadzącą ku szosie ścieżką, którą ona też pójdzie, więc będzie miała okazję się zatrzymać, zagadnąć go, a może nawet pospacerować z nim po lesie.

Nie, widocznie Sławomir przechadza się teraz gdzie indziej, może w głębi lasu, jest tam przecież mnóstwo ścieżek. Czyżby naprawdę jej unikał? Co mu się stało?

Olga Konstantinowna miała trzydzieści osiem lat, za sobą jedno małżeństwo, zawarte tak dawno i trwające tak krótko, że wydawało się nierealne. Była szczupłą brunetką z krótką, niemal męską fryzurą, w okularach i z dużym nosem, nie żywiła złudzeń co do własnego

wyglądu i całkiem obiektywnie oceniała swoją jedyną, jej zdaniem, zaletę – ładne długie nogi. Ale już dawno przestała je eksponować i nosić obcisłe spodnie albo krótkie spódniczki.

Pensja w instytucie języków obcych nie była zbyt wysoka, więc Olga chętnie podjęła pracę u prywatnego przedsiębiorcy Maksima Kramariewa. Córka Kramariewów przypadła jej do gustu, była spokojna, zdyscyplinowana i rozgarnięta, w szkole uczyła się niemieckiego i angielskiego, ale Maksim Witaljewicz wybiegał myślą do przodu i uważał, że znajomość arabskiego znacznie ułatwi dziewczynie dostanie się do MGIMO⁶ i pomoże w przyszłej karierze. Olga prowadziła lekcje już od roku, gdy w domu Kramariewów zjawił się Sławomir Iljicz Gaszyn, chemik, który kończył pracę nad nowym preparatem dla koncernu farmaceutycznego Kramariewa. Olga zakochała się w nim błyskawicznie, w jednej chwili, ale jak zwykle była pewna, że on jej nawet nie zauważył. Jakaż była więc jej radość, gdy podczas drugiego spotkania z Gaszynem okazało się, że mężczyzna nie ma nic przeciwko pogawędce z nauczycielką arabskiego i chętnie spędzi z nią parę godzin w lesie, na świeżym powietrzu. Tego samego dnia zaczął z nią flirtować, prawił komplementy, spoglądał ciepło i czule, co rusz, jak gdyby przypadkiem, dotykał jej ręki. Od chwili znajomości do prawdziwej bliskości minęło zaledwie parę dni. Wtedy właśnie Gaszyn, uśmiechając się chytrze, zapytał nową przyjaciółkę, w której dzielnicy Moskwy mieszka, poskarżył się, że w ogóle nie zna tej części miasta, po czym Olga, sama nie wiedząc kiedy, zaprosiła go do siebie i zabrała swoim samochodem. Sławomir chętnie przyjął

propozycję, ale dał do zrozumienia, że liczy na kawę u niej w mieszkaniu, gdzie znaleźli się zaraz po tym, jak Olga przewiozła go po okolicy. Wtedy nie było jeszcze mowy o żadnych towarzyszących mu ochroniarzach.

Olga długo nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Gaszyn, szalenie pociągający, doskonale wykształcony, niezwykle mądry – i ona, skromna nauczycielka nie pierwszej młodości, zupełnie nieatrakcyjna. Co prawda Sławomir też nie należał do osób młodych, miał pięćdziesiątkę na karku (z jakiegoś powodu Olga krępowwała się zapytać go o wiek, choć doskonale widziała, że jest od niej starszy), ale był zabójczo przystojny! Włosy, przed laty czarne, miał mocno szpakowate, lecz nadal gęste, lśniące i doskonale ułożone, a gładko wygolona, owalna, smagła twarz z ciemnobrązowymi oczami w obramowaniu długich czarnych rzęs wyglądała, jakby była wyrzeźbiona przez mistrza. Był o wiele wyższy od drobnej Olgi i jawił się jej niemal jako bóstwo, niezwykle i nieosiągalne. Co w niej zobaczył? Za co otrzymała od losu prezent, na który nie zasługiwała? O dziwo, Sławomir Gaszyn ani jednym słowem nie napomykał, że uważa ich związek za mezalians, traktował Olgę z sympatią i życzliwością, w jego zachowaniu nie dało się zauważyć śladu dumy czy lekceważenia. Co prawda był bardzo skryty, nie powiedział nic ani o sobie, ani o swojej rodzinie, ani o pracy, ale tak chyba powinien zachowywać się naukowiec, któremu płaci się grube pieniądze za opracowania. Jedyne, o czym ją poinformował, to że przedtem przez wiele lat pracował w przemyśle obronnym i prowadził tajne badania, a później

w wyniku przemian jego laboratorium przestawiło się na opracowanie leków powszechnego użytku.

Ich relacje od razu zaczęły się od wysokiego C, brzmiącego jak długa fermata, której natężenie ani nie narastało, ani nie słabło. I nagle... nagle przestał jeździć z nią do miasta i zatrzymywać się u niej na noc, w dodatku przestał się do niej odzywać, gdy spotykali się w domu Kramariewa albo na terenie jego ogromnej posesji – kiwał głową na powitanie i szybko ją mijał. Pojawili się też dwaj ochroniarze, którzy deptali mu po piętach, gdziekolwiek się udał. Pierwsze, co przyszło Oldze do głowy: Sławomir ją rzucił. Znudziła mu się. Ale tego należało się spodziewać, kim ona jest, żeby Gaszyn zajmował się nią przez dłuższy czas? On jednak nadal do niej dzwonił. Był czuły i serdeczny. Ale tylko przez telefon. Parę razy próbowała go zapytać, co się dzieje, może go czymś uraziła, ale za każdym razem w odpowiedzi słyszała to samo: bądź cierpliwa, to chwilowy stan rzeczy, praca weszła w decydującą fazę, muszę być maksymalnie skoncentrowany i ostrożny, mam mnóstwo roboty. A więc nie przepędzał jej ani nie odpychał, ale też nie pozwalał się zbliżyć. Jeśli chodzi o końcową fazę tajnej pracy, Olga miała jakie takie wyobrażenie o szpiegostwie przemysłowym i środkach bezpieczeństwa, więc potraktowała jego słowa ze zrozumieniem, tyle że Sławomir chodzi przecież na spacer, a to znaczy, że robi sobie przerwy w pracy, więc dlaczego...

Za każdym razem, kiedy wchodziła na teren posesji Kramariewów i prowadziła lekcję, miała nadzieję na spotkanie i czekała później na

niego w towarzystwie Niny Siergiejewny. Ale dzisiaj jej nadzieje ostatecznie się rozwiały.

*

– Losza, będziesz miał jedenaście dni wolnego czy dwa razy po trzy dni?

Czistiakow rzucił żonie zdziwione spojrzenie znad talii kart – w sobotę po śniadaniu zajął się układaniem pasjansa.

– Jedenaście, wszyscy dostajemy wolne, a czemu pytasz? Masz jakiś pomysł?

– Owszem. – Nastia kiwnęła głową. – Powiem ci, tylko mnie od razu nie zabij, dobrze?

– Dobrze, zrobię to potem. Wal.

– Muszę jechać w delegację, Losza.

– Daleko?

– Do Jużnomorska.

– To świetnie! – Czistiakow się ucieszył. – Całe wieki nie byłaś nad morzem. Pospacerujesz sobie, poopalasz się, popływasz. Widziałem w telewizji prognozę pogody, tam jest już całkiem ciepło. Wspaniale!

– O jakim pływaniu mówisz, Losza? – Nastia westchnęła. – Opamiętaj się. Dopiero koniec kwietnia, do morza nie da się wejść, woda ma czternaście, najwyżej szesnaście stopni.

– Fakt. – Czistiakow posmutniał. – Ale chociaż zażyjesz morskiego powietrza, to też się liczy.

Nastia wzięła głęboki oddech i wypaliła:

– A co byś powiedział, gdybyśmy pojechali razem? Stasow pozwolił, pytałam.

Czistiakow przestał rozkładać karty i stuknął się palcem w czoło.

– I co ja tam będę robił? Ty zajmiesz się pracą, a ja? Będę przeszkadzał? Nie jestem ci do niczego potrzebny, Asieńko.

– A właśnie, że jesteś – Nastia nie ustępowała – i to bardzo. Przypomnij sobie, jak było miło, gdy odwiedziłeś mnie w Tomilinie. Chodziliśmy na spacer, do kawiarni, gawędziliśmy. Nawet wspólne oglądanie telewizji nie w swoim domu, tylko w innym mieście to przyjemna odmiana. Przypomnij sobie! A tam jest morze i chociaż nie pora jeszcze na kąpiel, można pospacerować po deptaku albo usiąść w kafejce, żeby napić się kawy i zjeść lody. No proszę, Losza!

– Doskonale rozumiem – w zamyśleniu odparł Aleksiej. – Perspektywa jest rzeczywiście przyjemna. Ale jedziesz przecież pracować, nie spacerować. A właśnie, co zamierzasz tam robić? Znowu będziesz szukać jakiegoś szaleńca? Jeśli tak, to się nie zgadzam. Sam nie pojedę i ciebie też nie puszcę.

– No co ty, jaki szaleniec? Ktoś zabił starego lekarza, najprawdopodobniej chciał ograbić mieszkanie, ale są hipotezy, że w grę wchodziły motywy osobiste albo walka o spadek. Trzeba więc dowiedzieć się czegoś o życiu ofiary, o jej charakterze, majątku, przyjaciółach i wrogach. Zaręczam ci, że nie ma w tym nic niebezpiecznego!

– I po to warto było odchodzić z Pietrowki? – mruknął Czistiakow. –

Robota wciąż ta sama, tylko za większe pieniądze.

– No właśnie – przytaknęła Nastia. – No to jak, jedziemy?

– A kiedy mielibyśmy jechać?

– Stasow naciska, żeby jak najprędzej, tak podobno życzy sobie klient. Ale nie zamknęłam jeszcze bieżącej sprawy. Z grubsza oszacowałam, że możemy pojechać pierwszego albo drugiego maja. To i tak dni wolne, łącznie z trzecim, zacznę pracować czwartego. Myślę, że uporam się w ciągu jakichś dwóch tygodni, więc będę mogła wrócić koło szesnastego. Co ty na to?

Aleksiej uważnie przyjrzał się rozłożonemu pasjansowi, stwierdził, że na pewno nie wyjdzie, i zmieszał karty.

– Jedziemy – powiedział stanowczo. – Ale pod jednym warunkiem.

– Jakim? – Nastia się zaniepokoiła.

– Kupimy ci markowe okulary przeciwsłoneczne oraz kapelusz i będziesz je tam nosić.

– Po co? – zapytała przestraszona Nastia. – Coś ty wymyślił? Jakie markowe okulary?

– Zwyczajne, najlepiej drogie. Jesteś teraz zamożną dziewczyną, możesz sobie pozwolić na taki zakup. Jedziesz nad morze, nie byłaś tam od lat, więc chcę, żebyś wyglądała na prawdziwą wczasowiczkę, piękną, bogatą i beztroską, jak na zachodnim filmie. A przy okazji, w czym zamierzasz jechać? Masz co na siebie włożyć?

O tym Nastia jakoś nie pomyślała. Dzinsy, spodnie, koszulki, bluzy – jej szafa jest wypchana po brzegi, ale wszystko jest ciemne, niebrudzące się i mało przewiewne. Latem w Moskwie, gdy robiło się

bardzo ciepło, Nastia wkładała cienką koszulkę z krótkimi rękawami do dzinsów i czuła się wspaniale. Dlaczego nie może w tym jechać do Jużnomorska? W tej samej chwili przypomniała sobie o kreacji, którą w lutym uszyła jej w Tomilinie Tamara Winogradowa.

– Mam suknię – oznajmiła z dumą. – Tę, która ci się tak podoba. Jest bardzo przewiewna.

– A masz zwyczajną sukienkę, Asiu? Zupełnie cienką, na ramiączkach?

– Nie mam – przyznała rozczarowana.

A więc suknia Tamary mu nie odpowiada. Szkoda. Można by ją ponosić w Jużnomorsku, bo w Moskwie nie ma okazji, by ją włożyć, toteż wisi bezużytecznie w szafie.

– A białe spodnie?

– No coś ty, Losza, kto w Moskwie nosi białe spodnie? Przecież wszędzie kurz i błoto.

– A więc też nie masz – skonstatował Aleksiej. – Mówisz, że jedziemy na dwa tygodnie?

– Albo trochę dłużej – na wszelki wypadek ostrożnie zaznaczyła Nastia. – Weź parę dni dodatkowego urlopu, jeśli możesz.

– A zatem naszą rocznicę spędzimy nad morzem?

– Chyba tak.

– No cóż – Czistiakow skinął głową – to nawet nieźle. Zrobimy więc tak, kochanie: suknię Tamary bierzesz ze sobą i wkładasz trzynastego maja, już teraz zapraszam cię do restauracji. A dzisiaj zrobimy rundę po sklepach i kupimy ci odpowiednie ubrania. No i koniecznie okulary

oraz kapelusz, bez nich nie pojedę. Masz nową fryzurę, w której ci do twarzy i która mi się piekielnie podoba, nie pozwolę ci jej zepsuć codziennymi ciuchami, które nosisz na okrągło.

W jego oczach zatańczyły figlarne iskierki i Nastia nagle poczuła radość. Nigdy w życiu nie robiła wspólnie z mężem zakupów przed wyjazdem na wczasy. To nic, że to tylko delegacja i że prawdziwy sezon urlopowy jeszcze się nie zaczął, ważne, że to się dzieje po raz pierwszy. Coś takiego, taka prosta rzecz – i pierwszy raz, chociaż niebawem stuknie jej pięćdziesiątka. Jak wiele jest prostych rzeczy na świecie, których jeszcze nie doświadczyła!

– Zgoda! – zawołała ze śmiechem. – Ale wnoszę poprawki. Po pierwsze, do sklepów wybierzemy się nie dzisiaj i nawet nie jutro, bo mam pracę, którą muszę skończyć przed wyjazdem do Jużnomorska. Po drugie, kupimy nowe ubrania nie tylko dla mnie, ale i dla ciebie. Jeżeli ja mam być piękna i elegancka, musisz mi dotrzymać kroku.

– Nie błażnij, Aśka – bardzo poważnie odparł Czistiakow. – Zostało mi pełno ciuchów z wyjazdu do Miami, wszystkie są letnie, zwiewne i kolorowe.

– Nie, nalegam, żebyśmy kupili coś również tobie. – Nastia nie przestawała dowcipkować. – Na przykład jakieś odjazdowe szorty w idiotycznym fasonie, z różyczkami wyhaftowanymi na pupie.

W odpowiedzi Czistiakow cisnął w nią wczorajszą gazetą. Nie trafił.

*

Po wizycie w agencji detektywistycznej „Własta” Walentina spodziewała się, że lada dzień zadzwoni albo przyjedzie pracownik Stasowa, bo przecież Władysław obiecał, że detektyw, któremu powierzy jej sprawę, przed wyjazdem do Jużnomorska spotka się z nią i zada jeszcze jakieś pytania. Ale minął weekend, a potem poniedziałek i wtorek, a do niej wciąż nikt nie dzwonił i nie przyjeżdżał. Jewtiejewa zaczęła się niecierpliwić i sama zadzwoniła do Stasowa.

– Pański pracownik pojechał do Jużnomorska, nie zadając mi żadnego pytania – stwierdziła z rozdrażnieniem.

– Mój pracownik jeszcze nie wyjechał – rozległ się w słuchawce spokojny głos Stasowa.

– Ale dlaczego? Dlaczego zwleka? Na co czekacie?

– Przygotowujemy się do wyjazdu – beznamiętnie odparł szef agencji. – Proszę się o nic nie martwić, zleciła nam pani sprawę, reszta to już nasz problem. Może pani wracać spokojnie do Jużnomorska, nie musi pani tkwić w Moskwie i czekać. Równie dobrze może to pani robić w domu.

– Co to, to nie, zostanę w Moskwie i będę do pana regularnie dzwonić.

– Jak pani sobie życzy. – Stasow westchnął. – Moim zdaniem to nierozsądne, ale klient nasz pan.

– Więc kiedy odwiedzi mnie pański pracownik?

– Powiadomimy panią telefonicznie – odrzekł krótko.

Tak więc Walentina czekała i się denerwowała. Sądziła, że gdy

tylko podpisze umowę z detektywami, sprawy potoczą się w błyskawicznym tempie i niemal od razu pojawi się efekt. Z jakiegoś powodu wszystko działo się jednak zupełnie inaczej, więc była zła, choć sama nie wiedziała na kogo: czy na Stasowa, który jakoś się nie spieszył, żeby zająć się jej zleceniem, czy na siebie, że zawierzyła stołecznym detektywom, i na własne, nie wiadomo skąd wzięte wyobrażenie o tym, jak powinni pracować.

Wieczorami Nina Siergiejewna prowadziła ze swoją lokatorką długie rozmowy i Walentina nie mogła się nadziwić, że ktoś może się nią interesować – przecież całe życie spędziła w przekonaniu, że nic sobą nie reprezentuje. Owszem, była ładna, nawet bardzo, wiedziała o tym, ale uważała (warto zauważyć, że całkiem słusznie), iż to nie jej zasługa, tylko dar natury. Jeżeli więc interesowali się nią mężczyźni, była pewna, że tylko z uwagi na jej wygląd, a nie z powodu przymiotów ducha czy intelektu, których, zdaniem Walentyny, była zupełnie pozbawiona. Dlatego żywe i szczere zainteresowanie Niny Siergiejewny nie tylko ją zdumiało, ale też wywołało niespodziewaną chęć, by się przed nią otworzyć. Nina Siergiejewna umiała zarówno pytać, jak i słuchać, więc Walentina, sama nie wiedząc kiedy, pogrążyła się we wspomnieniach zdarzeń, które – mogłoby się zdawać – dawno odeszły w niepamięć.

Miała dziesięć lat, gdy przeprowadzili się z Runowska do Jużnomorska i ojciec, Dmitrij Wasiljewicz Jewtiejew, został ordynatorem oddziału chirurgicznego w dziecięcym szpitalu klinicznym. W tamtym czasie Wala nie odczuła szczególnych zmian w

życiu – zawsze dobrze się uczyła, była pilna i obowiązkowa, dostawała piątki, niekiedy czwórki, nauczyciele ją chwalili zarówno przed klasą, jak i na wszystkich zebraniach z rodzicami. Już w dzieciństwie była miłą dziewczynką, a później przyciągała uwagę urodą, ale wśród rówieśników, jak to mówią w amerykańskich filmach, nie miała wzięcia. Wyglądało to tak, jakby jej nie zauważano, zapominano zaprosić na urodziny, a gdy zachorowała, nikt jej nie odwiedzał. I nie chodziło o to, że jej nie lubiano. Bynajmniej, nie było powodu, żeby nie lubić Wali Jewtiejewej – traktowano ją dobrze, jednakowo, wszyscy bez przerwy odpisywali od niej zadania domowe, a więc dawali do zrozumienia, że uważają ją za mądrą i czytana, ale nikt jakoś nie wykazywał chęci, żeby się z nią zaprzyjaźnić. Gdy wybierano przewodniczącego grupy pionierów czy Komsomołu klasowego, jej kandydatury nawet nie rozważano. Wala nie rozumiała, dlaczego tak się dzieje. Widziała, że popularnością cieszą się przeważnie najładniejsze i najmądrzejsze dziewczęta, ale przecież jej też niczego nie brakuje, jest bardzo ładna, no i odnosi zwycięstwa w olimpiadach z różnych przedmiotów. A więc dlaczego tak jest? Najatrakcyjniejszą dziewczyną w ich klasie była Olesia, zdaniem Wali okropnie brzydka, ale chodziła ze starszym od siebie chłopakiem, który był prawdziwą „gwiazdą” – grał w szkolnym zespole rockowym na gitarze i świetnie śpiewał.

Czternastoletnia Wala długo się męczyła i w końcu postanowiła porozmawiać z matką. Niemal miesiąc szykowała się do rozmowy, wciąż brakowało jej odwagi. Zagadnęła matkę podczas śniadania.

– Mamo, w czym Olesia jest lepsza ode mnie? – nieśmiało poruszyła temat, który w tym momencie nurtował ją najbardziej na świecie.

– Coś cię tak nagle przypiliło? – Aleksandra Andriejewna zachmurzyła się z niezadowoleniem, rozbijając jajka o krawędź patelni.

– Została wybrana na przewodniczącą Komsomołu klasowego, a przecież uczy się na trójkach i w dodatku jest brzydka. I nie zajmuje pierwszych miejsc na olimpiadach jak ja. W ogóle nie bierze w nich udziału, wciąż odpisuje od wszystkich zadania, ode mnie też.

Wala umilkła przejęta, spodziewając się w odpowiedzi jakichś przekonujących wyjaśnień, i nawet nie zauważyła, że zaczęła dłubać łyżką w miseczce z twarogiem.

– A ty chciałaś, żeby wybrali ciebie? Nie jedz słodkiego twarogu, przygotowałam go do herbaty, zaczekaj na jajecznicę, zaraz będzie gotowa.

Wali zrobiło się przykro, że mama zauważa takie głupstwa i nawet o nich mówi, podczas gdy jej chodzi o najważniejsze rzeczy na świecie, ale się opanowała.

– Nie – skłamała – nie chciałam być przewodniczącą, ale nie rozumiem, dlaczego nikt nawet mnie nie zaproponował, jakbym nie istniała. Przecież jestem najlepszą uczennicą w klasie.

– Daruj sobie. – Aleksandra Andriejewna nałożyła jajecznicę na talerze i postawiła je na stole. – Jedz, bo się spóźnisz do szkoły. Dima! – zawołała w stronę pokoju. – Chodź, śniadanie gotowe.

Przed talerzem męża umieściła chleb i maselniczkę, talerzyk z nakrojonym serem, a sama jednym haustem wypija szklanekę zsiadłego mleka.

– Rano na nic nie mam czasu, już jestem spóźniona – poskarżyła się. – A co do twojej nauki, nie rób sobie złudzeń, pamiętaj, kim jest twój tata.

– A co tata ma z tym wspólnego? – Walentina nie rozumiała.

– No jak to, nasz tata to najbardziej znany chirurg dziecięcy w mieście, wszyscy go znają, szanują i kochają. A nauczyciele mają dzieci i wnuki. Nic więc dziwnego, że cię chwala i stawiają dobre stopnie. Nie łudź się, Waleczko. Nie widziałaś mojej szminki?

– Jest w przedpokoju na szafce – odparła dziewczynka. – Ale przecież jestem pierwsza na olimpiadach.

– No i co z tego? – Matka wzruszyła ramionami. – Tam też są ludzie, oni też mają dzieci.

– Nadal jednak nie rozumiem, dlaczego wybrano Oleśkę. – Wala nie ustępowała. – Dlaczego wszyscy ją lubią i chcą się z nią przyjaźnić, a mnie nawet nie zauważają?

– Nie zawracaj sobie tym głowy – odezwała się matka z przedpokoju, malując usta przed lustrem. – Dima, wszystko stygnie, chodź prędej!

Krytycznie przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze, poprawiła kosmyk włosów, który leżał nierówno, później zajrzała do kuchni, zerknęła na córkę, która grzebała widelcem w talerzu.

– Jedz, nie guzdrz się. Kim ty jesteś, żeby cię zauważano i lubiano?

Dla nauczycieli jesteś córeczką tatusia, a dla rówieśników nikiem. Nie masz interesującej osobowości, więc nikt cię nie zauważa. Owszem, jesteś bardzo ładna w odróżnieniu od tej twojej Oleśki, która jest brzydka jak noc, tu się z tobą zgadzam, ale zapamiętaj, Walusza: uroda to nie twoja zasługa, tak zdecydowała natura. Zobacz, mimo że twoja Oleśka jest nieatrakcyjna, przyjaźni się z najciekawszym chłopcem w waszej szkole, a więc on w niej coś dostrzegł, czyli że ona coś sobą reprezentuje. Jest pociągająca, jest w niej to coś, inaczej nie spojrzalby w jej stronę. A w ogóle wygląd nie jest najważniejszy, najważniejsze, żebyś miała ciekawą i głęboką naturę. Tymczasem w tobie nie ma nic takiego, jesteś zwyczajną dziewczyną. Twoim zadaniem jest dobrze się uczyć. Więc się staraj. Lecę już. Umyj naczynia, bo ja już nie zdążę.

Walentina została ze swoimi nierozwiązanymi problemami i w tej samej chwili pożałowała, że brata Żeni nie ma ani w domu, ani w mieście. Był od niej starszy aż o siedem lat i studiował w Moskwie. Przecież nie będzie rozmawiała z tatą, dlaczego nikt jej nie lubi i nie zauważa...

Aleksandra Andriejewna nie miała pojęcia, jak ważna była dla jej córki ta rozmowa, z jakim niepokojem dziewczyna ją podjęła i z jakim napięciem wsłuchiwała się w każde słowo matki. Ona tymczasem była zajęta, musiała przygotować śniadanie dla męża i córki, doprowadzić się do porządku i nie spóźnić do pracy, toteż nie była to najlepsza pora na ważną rozmowę, ale Wala tego nie rozumiała, podobnie jak jej matka nie zrozumiała w tamtej chwili, że czasami lepiej spóźnić się do

pracy, niż zranić nastolatkę nieprzemyślanymi, rzuconymi mimochodem słowami. Jednakże co się stało, to się nie odstanie, odtąd Wala zaczęła wszystko uważnie analizować, w każdym fakcie doszukując się potwierdzenia słuszności argumentów matki i – co najgorsze – je znajdując. Skoro nikt nie zwraca na nią uwagi, to tylko dlatego, że jest córką lekarza Jewtiejewa, pochwały słyszy też tylko z tego powodu albo w najgorszym razie dlatego, że jest bardzo ładna. Ale czy można się tym szcycić i się z tego cieszyć, skoro wygląd to nie jej zasługa? No a o tacie szkoda nawet mówić, Wala nie ma nic wspólnego z jego sukcesami i sławą. Jest zerem, nic sobą nie reprezentuje, nie ma w niej bogactwa myśli, nikogo nie interesuje. Nauczycielka chemii chwali ją za świetnie napisaną pracę laboratoryjną: „Masz niewątpliwe zdolności do chemii, od razu widać, że pochodzisz z rodziny lekarzy, to u ciebie dziedziczne”.

Przedtem Wala nie zwracała uwagi na słowa o „rodzinie lekarzy”, ale teraz ją paraliżowały. Nauczycielka pamięta o tacie, wie, że jestem jego córką. Gdy na zebraniu klasowym trzeba podjąć decyzję, kto dziewiątego maja wręczy kwiaty weteranowi wojennemu, którego zaproszono do szkoły, wychowawca mówi: „Powierzmy to Waleczce Jewtiejewej, to miła dziewczyna”.

Oczywiście, myślała Walentina, nie dlatego, że najlepiej się uczę, nie dlatego, że na to zasługuję, ale tylko dlatego, że natura obdarzyła mnie urodą. Szkoda tylko, że nie ma w tym żadnej mojej zasługi.

Jednym słowem, od tej pory Walentina wciąż znajdowała potwierdzenie swojej przeciętności.

No a teraz Nina Siergiejewna, gościnnie właścicielka domu, zgodnie z zapowiedzią poddała analizie swoją nową lokatorkę, zadawała jej mnóstwo pytań i uważnie słuchała odpowiedzi, a Walentyna upajała się nieznanym wcześniej odczuciem, że ktoś może w niej dostrzec coś interesującego.

⁶ MGIMO (Moskowskij gosudarstwiennyj institut miezdunarodnych odnoszenij) – Moskiewski Państwowy Instytut Stosunków Międzynarodowych.

ROZDZIAŁ 4

Pracy okazało się więcej, niż Nastia się spodziewała, więc na spotkanie z Walentyną znalazła czas dopiero w czwartek, dwudziestego dziewiątego kwietnia. Umówiły się telefonicznie na rozmowę w biurze agencji „Własta”. Nastia nie miała ochoty tłuc się za miasto w korkach, więc pomyślała, że skoro klientka i tak nie ma co robić, może się poświęcić i przyjechać.

Wzięła klucze od salki konferencyjnej i ulokowała się przy okrągłym, niewygodnym stole, włączyła komputer, rozłożyła notes, wyjęła długopis i kalendarz, nie zapomniała też o popielniczce i papierosach. Walentyna przyjechała punktualnie, nie spóźniła się ani minuty, co przyjemnie zaskoczyło Nastię, która od samego rana była nie wiedzieć czemu rozdrażniona.

– Dzień dobry – uprzejmie powiedziała klientka – nazywam się Jewtiejewa, miałam wyznaczone spotkanie...

– Tak, tak, proszę. – Nastia zrobiła zapraszający gest dłonią. – Właśnie na panią czekam.

– Pani?!

– Owszem, ja. A czemu to panią tak dziwi?

– Sądziłam, że będę miała do czynienia z mężczyzną... z prywatnym detektywem...

– Walentino Dmitrijewno, dwukrotnie rozmawialiśmy przez telefon. – Nastię znowu ogarnęła irytacja. – Czyżbym miała męski głos?

– Myślałam, że dzwoni sekretarka... Przepraszam...

W tym momencie Nastia Kamińska uznała, że nie polubi klientki. I co Stasow w niej zobaczył? Typowa słodka idiotka, niezbyt rozgarnięta, nie umie nad sobą panować. Mogłaby dla zachowania pozorów udawać, że wszystko w porządku i nie ma powodu do zdziwienia. A ona, patrzcie państwo, sądziła, że będzie miała do czynienia z mężczyzną! W swoim czasie Nastia musiała długo udowadniać, że ma prawo pracować w zawodzie powszechnie uznawanym za męski, jeśli go lubi i potrafi wykonywać. No i udowodniła. Zdobyła nawet w wybranej dziedzinie określoną reputację, i to nienajgorszą. A teraz ma zaczynać od początku i udowadniać prywatnym klientom, że pracuje nie gorzej od mężczyzn? To obrzydliwe. I na dodatek nudne.

– Nazywam się Anastazja Pawłowna Kamińska – powiedziała oschle. – Wykształcenie wyższe prawnicze, kandydat nauk. Staż pracy w milicji: dwadzieścia siedem lat, z tego dwadzieścia pięć w wydziale zabójstw. Jeśli nie odpowiada pani moja kandydatura, ma pani prawo zwrócić się do Władysława Nikołajewicza i poprosić o innego detektywa.

Klientka jeszcze mocniej się stropiła, zrobiła skruszoną minę i zaczęła pokrętnie się tłumaczyć. Nastia nie miała ochoty słuchać tych bredni, więc jej przerwała.

– Bierzmy się do roboty, Walentino Dmitrijewno. Niech mi pani opowie wszystko od samego początku.

Widocznie Walentina Jewtiejewa opowiadała swoją historię nie po raz pierwszy, a może starannie przygotowała się do rozmowy, ponieważ od razu przestała pleść trzy po trzy, a jej wypowiedź stała się logiczna i przejrzysta. Nastia pamiętała informacje, które dość dokładnie przekazał jej Stasow – o chorym ojcu, lekkomyślnej pielęgniarce, otwartych drzwiach do mieszkania i braku śladów rabunku. Teraz należało wyjaśnić kwestię spadku. Na te pytania Walentina odpowiadała z wyraźną niechęcią, ale wyczerpująco.

Co zatem mamy? Trzypokojowe mieszkanie ojca w piętnastopiętrowym wieżowcu zbudowanym mniej więcej w latach 1983–1984, wykupione na własność, dzisiejsza wartość około dziesięciu milionów rubli. Słyszając to, Nastia mimo woli aż się zachnęła: ceny jak w Moskwie, a mówi się, że stolica to najdroższe miasto w kraju. Domek letniskowy nad morzem, parcela wielkości dziesięciu arów, aktualna wartość jest obliczana, biorąc siedemdziesiąt tysięcy dolarów za ar. Boże, czy oni tam nad morzem mają drugą Rublowkę? Samochód mazda z 2002 roku jest wart około trzystu tysięcy rubli. Tak więc spadek wyglądał całkiem nieźle nawet po podziale na wszystkich sukcesorów.

– Jest pani zameldowana u ojca? – zapytała Nastia.

– Nie, mam swoje mieszkanie. Z tatą mieszkalam tylko podczas jego choroby.

– A więc mieszkaniem ojca też będzie musiała pani podzielić się z

bratem?

– No tak, to oczywiste.

Nastia szybko policzyła w myślach i otrzymała wynik: mniej więcej po pół miliona dolarów na każdego spadkobiercę. No cóż, kwota jest pokaźna, zabijano dla mniejszych pieniędzy. A zatem zapewnienia Walentyny, że jej brat nie może być zamieszany w śmierć ojca, są nic niewarte. Siostra osłania brata, to zupełnie naturalne. Żeby się tylko nie okazało, że ona też brała udział w zbrodni. Chociaż po co wynajmowałaby wtedy prywatnego detektywa? Wprawdzie bywają takie przypadki, na przykład kiedyś przestępcy wynajęli Stasowa, i to za grube pieniądze, bo nie mieli wyjścia. Może tu chodzi o coś podobnego? Walentyna Dmitrijewna zaręcza, że to ona wpadła na pomysł, żeby zwrócić się do prywatnej agencji, a brat udzielił jej tylko pomocy finansowej. A może było na odwrót? Autorem pomysłu był brat, który zmusił siostrę, żeby pojechała do Moskwy, i dał pieniądze, a jej ten plan w ogóle się nie uśmiecha, nie może jednak odmówić – nie ma powodu. Trzeba koniecznie spotkać się z Jewgienijem Jewtiejewem, żeby go wy badać. Tymczasem Walentyna Dmitrijewna wyraźnie nie chce, żeby Nastia się z nim spotkała – proszę, jak jej błyszczą oczy, jak płoną policzki! Mój brat nie ma z tym nic wspólnego, jak pani może coś takiego podejrzewać, dam sobie rękę uciąć... Znamy te gadki.

– Teraz porozmawiajmy o przyjaciółach pani ojca. Potrzebne mi są ich nazwiska i adresy, a także charakterystyki. Co to za ludzie, czym się zajmują, jakie mają dochody.

– Nie rozumiem, czemu to ma służyć? Przyjaciele taty to szanowani ludzie, są kryształowo uczciwi i wyjątkowo przyzwoici, mogę za nich ręczyć. Nie wolno pani...

Znowu ta sama śpiewka! Ledwie skończyły z bratem, teraz identyczna historia z przyjaciółmi ojca: zamiast wyczerpująco i rzeczowo odpowiadać na pytania, klientka zaczyna reagować emocjonalnie, przyjmując własną subiektywną wiedzę za ostateczną prawdę. To nie do wytrzymania! Nastia pomyślała, że w gruncie rzeczy obecna praca prawie niczym nie różni się od pracy na Pietrowce. Na początku naiwnie sądziła, że prywatny detektyw może zajmować się tylko tym, czym chce, a okazało się, że tutaj też trzeba mieć do czynienia z ludźmi budzącymi niechęć, tylko dlatego, że tak życzy sobie szef, który z jakiegoś powodu upodobał sobie daną osobę. W sumie żadnej różnicy, tylko mniej kompetencji, a więcej pieniędzy.

Przedarłszy się przez falę zapewnień o uczciwości i przyzwoitości przyjaciół zmarłego Dmitrija Wasiljewicza, Nastia sporządziła jednak listę, co prawda dość krótką, z nazwiskami i numerami telefonów.

– A przy okazji, pamięta pani nazwisko śledczego, który prowadził sprawę?

– Owszem. Niedielko.

Nazwisko śledczego również znalazło się w notesie. Później Nastia przystąpiła do pytań o rodzinne kosztowności, pamiątki i przedmioty kolekcjonerskie. Zdaniem klientki rodzina nigdy nie miała tego rodzaju rzeczy, jeśli nie liczyć biżuterii zmarłej matki, ona jednak pozostała w stanie nienaruszonym, chociaż znajdowała się w łatwo

dostępnym miejscu – w kasetce umieszczonej na półce biblioteczki.

– Walentino Dmitrijewno, nadal się pani upiera, żebym pojechała teraz do Jużnomorska? – zapytała Nastia. – Chcę pani przypomnieć, że niebawem zaczynają się dni wolne. Jeśli liczyć pojedynczo, jest ich sześć, ale jeśli je połączyć, to wyjdzie jedenaście. Nie wiem, czy znajdę interesujące mnie osoby, żeby zdobyć potrzebne informacje, ponieważ wszyscy się rozjadą. Będzie to więc bezmyślne marnotrawstwo diet wypłacanych w delegacji, w dodatku na pani koszt. Może zgodzi się pani jednak, żebym pojechała po jedenastym maja?

– Nie – gorąco zaproponowała Jewtiejewa – proszę, niech pani jedzie niezwłocznie. Przecież nie wszyscy wyjadą, jestem pewna, że uda się pani znaleźć sporo osób. Bardzo mi na tym zależy. – Spojrzała na Nastię tak błagalnie, że ta aż drgnęła. – O pieniądze proszę się nie martwić, jeśli mi ich zabraknie, brat obiecał mnie wesprzeć. Nie mogę się pogodzić z myślą, że nic się nie robi, żeby znaleźć zabójcę ojca. Proszę jechać jak najszybciej, przynajmniej będę spać spokojnie.

– Dobrze, polecę w najbliższym czasie – obiecała Nastia. – A jak wygląda sprawa z hotelami w Jużnomorsku?

– Jest ich całe mnóstwo. – Walentyna się uśmiechnęła. – I zawsze są w nich miejsca, nawet w pełni sezonu.

– Naprawdę? – Nastia się zdziwiła. – Myślałam, że to problem w miejscowości wczasowej.

– Ależ skąd. – Jewtiejewa machnęła ręką. – Wczasowicze wolą kwatery prywatne, bo są tańsze. Niech pani sama policzy: cena łóżka w kwaterze prywatnej wynosi od pięciuset do siedmiuset rubli za

dobę, co prawda daleko od morza i bez wygod, a jeśli bliżej i z wygodami, to już jakieś półtora tysiąca, a w hotelach pokój kosztuje od dwóch i pół tysiąca za dobę. Żeby pobyc ze dwadzieścia dni, trzeba wydać co najmniej pięćdziesiąt tysięcy rubli na nocleg, a przecież trzeba jeszcze policzyć przejazd i wyżywienie, tymczasem ceny w Jużnomorsku są niemal takie jak w Moskwie. Koszt pobytu na jedną osobę to co najmniej dziewięćdziesiąt tysięcy. Jeśli kogoś na to stać, wybierze Turcję albo Grecję, tam przynajmniej pogoda jest pewna, morze czystsze i obsługa lepsza.

Moskiewski poziom cen wzbudził w Nastii niedowierzenie, jednakże słowa „niech pani sama policzy” zrobiły swoje: Jewtiejewa zaczęła sprawiać sympatyczniejsze wrażenie. Nastia lubiła cyfry, była z nimi za pan brat, ufała im i każdy, kto z łatwością nimi operował, zyskiwał jej przychylność. Dlatego rudowłosa klientka z turkusowymi oczami zaczęła jej się wydawać już nie tak wstrętne i głupie. Właściwie kobieta jest miła, tylko nazbyt emocjonalna.

– Może doradzi mi pani jakiś przyzwoity hotel z dobrą obsługą, najlepiej z basenem, ale nie za drogi? – poprosiła. – I blisko morza.

– Zadzwoń do przyjaciela taty, Nikołaja Stiepanowicza, już pani o nim wspominałam. Jest właścicielem małego, dziesięciopokojowego, ale bardzo przytulnego hotelu. Jest blisko morza i ceny są przystępne. Chce pani?

– Będę bardzo wdzięczna. – Nastia skinęła głową.

Właściciel hotelu to przyjaciel zmarłego? Świetnie. Będzie mógł zdradzić wiele interesujących i – miejmy nadzieję – pożytecznych

informacji.

*

Po spotkaniu z Walentiną Nastia zainteresowała się biletami na samolot do Jużnomorska. Na trzydziestego kwietnia biletów już oczywiście nie było, moskwianie też robią sobie długie wolne, które chcą spędzić nad morzem, a podróż pierwszego albo drugiego maja wydała się Nasti niedorzeczna. No trudno, polecą trzeciego. A czwartego Nastia zabierze się do pracy. Za to będą mieli z Loszką całe trzy dni na zakupy, które zaplanowali przed podróżą.

Nastia wydrukowała elektroniczne bilety, spakowała torbę, wsunęła do niej komputer i ruszyła do domu. Gdy tylko dotarła na miejsce, zmęczona przedświątecznymi korkami, z ulgą zrzuciła ubranie i otworzyła szafę. Musi przymierzyć suknię uszytą przez Tamarę i zdecydować, czy trzeba kupić do niej buty, skoro Czistiakow nalega, żeby się w niej pokazała.

Suknia wyglądała jakoś inaczej, nie tak jak zimą, gdy Nastia miała ją na sobie po raz pierwszy i ostatni. Co to ma znaczyć? Przecież nie mogła się zmienić, wisząc w szafie! Suknia jest ta sama, Nastia Kamińska też, a ogólny wizerunek wydaje się inny.

Nastia zacisnęła powieki, podejrzewając, że na skutek stania w korkach i wpatrywania się w drogę wzrok płata jej figle, przez chwilę się nie poruszała, po czym otworzyła oczy i znowu zabrała się do lustrowania swojego odbicia. Nie, coś jest nie tak. Tylko co?

I nagle ją olśniło: fryzura! Wtedy, zimą, Tamara Winogradowa skróciła jej włosy i zrobiła stylową fryzurę, teraz zaś włosy odrosły i wyglądały zupełnie inaczej. Dlatego ogólny wizerunek nie jest pełny i idealny. Jeśli Nastia chce uszczęśliwić męża i sprawić mu przyjemność, musi pilnie rozejrzeć się za dobrym fryzjerem. Pytanie tylko, gdzie i jak go znaleźć?

Właściwie problem fryzjera stanął już przed nią pod koniec marca, gdy szykowała się na bankiet z okazji pięćdziesiątych urodzin męża, Aleksieja Czistiakowa. Wtedy zwróciła się do Daszy Kamieńskiej, żony brata Aleksandra, z prośbą, żeby poleciła jej dobrego fachowca w dobrym salonie. Dasza gdzieś zadzwoniła, porozmawiała z kimś przez chwilę i wysłała ją do fryzjerki imieniem Lejła, ładnej ciemnowłosej kobiety koło trzydziestki.

Lejła długo oglądała fryzurę Nasti i wreszcie z podziwem zapytała:

– Kto panią tak ostrzygł?

– Mam podać nazwisko? – odparła poirytowana Nastia, która nie znosiła jałowych rozmów. Co za różnica, kto ją ostrzygł? Najważniejsze, żeby fryzjerka wiedziała, czego się od niej oczekuje.

– Jeśli to nie kłopot – poprosiła Lejła. – Znam wszystkich fachowców najwyższej klasy. Jestem bardzo ciekawa, kto umie robić takie cuda. Niesamowita robota.

– Tamara Nikołajewna Winogradowa.

– Naprawdę? – Kobieta klasnęła w ręce. – Niemożliwe! Podobno już nie pracuje i wyjechała do Paryża czy do Mediolanu. A więc w tych plotkach nie ma ziarna prawdy, tak? A może była pani u niej w

Paryżu, żeby się ostrzyć?

Gdyby ta czarnooka piękność wiedziała, co to za Mediolan, do którego wyjechała Tamara Winogradowa! Do głowy by jej nie przyszło, że to prowincjonalny Tomilin, osiem godzin jazdy pociągiem z Moskwy.

Nastia umilkła, ale Lejła nie dawała za wygraną.

– Ciekawe, ile Winogradowa bierze za strzyżenie? Pewnie co najmniej z półtora tysiąca baksów?

– Skąd ten pomysł? – zapytała Nastia ze zdumieniem, zupełnie nieorientowana w cenach usług fryzjerskich.

Gdyby Lejła wiedziała, że Tamara za darmo strzyże emerytki... Nie, na pewno by nie uwierzyła. Nie ma więc sensu jej tego tłumaczyć.

– Gdybym ja miała taki talent i zdobyła furę nagród, brałabym co najmniej tyle – wyjaśniła Lejła. – A jak pani do niej trafiła? Naprawdę była pani w Paryżu?

Fryzjerka zadała jeszcze mnóstwo pytań, zanim przystąpiła do pracy. Ostrzygła Nastię dobrze, ale to już nie było to. Włosy nie chciały się układać... Po strzyżeniu Tamary wyglądały ładnie przez cały miesiąc, a teraz fryzura straciła kształt już po pierwszym umyciu głowy. Nastia chciała przywrócić włosom wygląd nadany ręką Tamary Nikołajewny. Ale nie pojedzie przecież do Tomilina! Tymczasem włosy trzeba ostrzyć, to nie ulega kwestii. Może powinna zadzwonić do Tamary i zapytać, którego ze swoich uczniów w Moskwie poleca? Tak, to chyba najlepsze rozwiązanie, Tamara wie, na co ich stać, zna ich umiejętności. Wtedy, w marcu, Nastia nawet nie pomyślała, żeby

zadzwoić do Tamary i poprosić ją o pomoc, sądziła, że gdy tylko fryzjer rzuci okiem na jej włosy, od razu się zorientuje, jak zostały ostrzyżone. Okazało się jednak, że to nie takie proste, więc dzisiaj, gdy trzynasty maja jest coraz bliżej, wołała nie ryzykować.

Wyjęła telefon i odszukała w nim numer Winogradowej. Tamara potraktowała jej prośbę ze zrozumieniem i dała namiary na swoją uczennicę Uljanę.

– Ona na pewno nic nie zepsuje, ma bystre oko – powiedziała. – A poza tym, Nastieńko... zachowała pani rysunek, który pani podarowałam?

Wtedy, w lutym, Tamara pokazała Nasti parę rysunków, zanim obcięła jej włosy – zastanawiała się, jaka fryzura będzie najodpowiedniejsza. Nastia wybrała jeden rysunek, ten, na którym widniał jej nowy wizerunek, a Tamara podarowała go jej na pamiątkę.

– Oczywiście, że zachowałam.

– Niech go pani zabierze i pokaże Uljanie. Gwarantuję, że będzie umiała dokładnie odtworzyć moją robotę. A przy okazji, co u pani słychać?

– Wszystko w porządku – dziarsko zameldowała Nastia. – A u pani?

– Też w porządku, dziękuję.

– A co w klubie?

– To, co zwykle. Przygotowujemy nowe przedstawienie, według Moliера. Proszę przyjechać na premierę, będzie niezła zabawa.

– Dziękuję. A jak tam Putilinowie? Przychodzą? Czy przestali

odwiedzać klub?

– Skądże znowu, przychodzą dzień w dzień! Klub to teraz ich jedyne hobby. Ale wydaje mi się, że Putilinowie niewiele panią obchodzą. Chyba chciała pani zapytać raczej o Kumpelkę?

Nasti wstyd było się przyznać, że stary pies interesuje ją bardziej niż dwoje samotnych ludzi w podeszłym wieku, ale tak właśnie było.

– Kumpelka przybrała znacznie na wadze – wesoło oznajmiła Tamara. – Putilinowie zawsze ją ze sobą przyprowadzają i zrobiliśmy dla niej wyjątek: pozwalamy jej wchodzić do środka. Ale ona jest posłuszna, nikomu się nie narzuca, nie szczeka, nie ściąga jedzenia z talerzy, niczego nie rwie ani nie gryzie. Leży sobie cicho koło ich nóg i drzemie. Jest przecież stara, więc nie rozrabia.

Rozmowa z Tamarą poprawiła Nasti humor, nie przeszkadzało jej nawet uciążliwe stanie w korkach. Zadzwoiła do Uljany i umówiła się na wizytę nazajutrz rano.

Następnego dnia pojechała do salonu, gdzie pracowała Uljana, która okazała się tęgą, wesołą kobietą lekko po czterdziestce. Pokazała jej rysunek Tamary, odmówiła farbowania włosów pod pretekstem braku czasu i dwie godziny później wstała z fotela całkiem zadowolona z efektu. Teraz będzie mogła włożyć suknię, nie narobi sobie wstydu.

Prosto z salonu udała się na spotkanie z Czistiakowem. Dzisiaj zamierzali pobuszować po sklepach. Nastia ułożyła w myślach plan zakupów, w które wchodziła sukienka na ramiączkach, para białych spodni, dwie koszulki bez rękawów na wypadek upału, dwie koszulki z długimi rękawami na wypadek zimna i jedna bluza z polaru na

wypadek ochłodzenia. No i jeszcze sandały do sukienki i jakieś lekkie odkryte buty na płaskim obcasie w rodzaju kłapek do chodzenia na co dzień. I to wszystko. Nic więcej. Miejmy nadzieję, że w kwestii markowych okularów, a zwłaszcza kapelusza, Losza tylko żartował.

*

Boris otrząsnął się z odrętwienia i podszedł do lustra, nie wypuszczając listu z ręki. Ręka zaciskająca kartkę chyba ścierpła, bo w ogóle jej nie czuł. Stan był dziwny, więc postanowił przyjrzeć się własnemu odbiciu: pewnie ma teraz zmienioną twarz. Może uda mu się uchwycić coś nowego we własnym wizerunku, a to z kolei pozwoli później zrozumieć lepiej innych, zwłaszcza tych, których portretuje.

Z lustra spoglądał jednak wciąż ten sam Boris Krotow – guzowata głowa z rzadkimi włosami, wygięte łuki brwiowe, głęboko osadzone oczy, nieco krzywy nos, złamany dawno temu podczas bójki z chłopakami, surowe, wąskie usta. Nic nowego. I ciekawego, dodał w myślach Boris z uśmiechem. Dlaczego nie widać żadnych zmian? Przecież pierwszy raz w życiu znalazł się w pobliżu środowiska przestępczego, niemal czuje oddech złoczyńcy na karku, ciepły, urywany, aż mu się poruszają rzadkie włosy na głowie. A na twarzy nic. Nie do wiary. A może jednak przywykł obcować z tymi, którzy działają poza granicami prawa, i już nie reaguje? Ale przecież wszystko mu się ścisza i przewraca w środku na widok tego listu, już drugiego w ciągu ostatniego tygodnia. Pierwszy przyszedł w ubiegły

piątek, dzisiaj znowu jest piątek, trzydziesty kwietnia, a on trzyma w rękach kolejny list od nieznanego nadawcy.

Boris zawsze lubił malować portrety. Nie przyrodę, martwą naturę czy sceny batalistyczne, tylko portrety. Był zawodowym artystą, ale zdawał sobie sprawę, że nie utrzyma się z honorariów, więc w swoim czasie poważnie rozważał zdobycie drugiego zawodu, który pozwoliłby mu zarabiać na życie. Malarstwo zamierzał traktować jako zajęcie dla przyjemności i dla ducha. Akurat wtedy, gdy był na niewielkiej greckiej wyspie i zapamiętałe rysował różne twarze, zarówno mieszkańców, jak i turystów z całej Europy, przyszedł do kafejki, zajął jak zwykle stolik w rogu, wyjął szkicownik i zabrał się do pracy. Zainteresował go mężczyzna, który hałaśliwie świętował jakieś wydarzenie w towarzystwie sporego grona przyjaciół – było w nim coś bezbronnego i dziecięcego mimo jawnego okrucieństwa i zamożności. Później uwagę Borisa przyciągnął inny osobnik siedzący przy tym samym stoliku, po prawej stronie pierwszego mężczyzny – przebiegły, małomówny, w każdej chwili gotów wbić nóż w plecy. Następną była dziewczyna, która zdaniem Borisa znalazła się przypadkiem w tym towarzystwie – wydawała się zakłopotana, jakby czuła się zbędna i w ogóle nie wiedziała, co tutaj robi. Pewnie poznała któregoś z mężczyzn na plaży, ten zaprosił ją do restauracji na wieczór, a gdy przyszła, okazało się, że zamiast na romantyczną kolację trafiła na balangę nuworyszy. Przyzwoita dziewczyna, zupełnie niepodobna do tych, które zwykle zabawiają bogatych panów, pomyślał Boris, dorysowując smutną zmarszczkę koło wydatnych ust. Skończywszy szkic

dziewczyny, już miał się zabrać do portretowania wyniosłego, rudawego blondyna w podeszłym wieku, próbując uchwycić wyraz dumnej nonszalancji, który miał wypisany na twarzy, gdy przy stoliku stanęli dwaj barczyści ochroniarze.

– Jazda stąd, pacykarzu! – To mówiąc, jeden z goryli wyrwał Borisowi szkicownik.

Krotow milczał, w ogóle nie oponował, doskonale wiedział, że w takiej sytuacji nie ma sensu się odzywać, lepiej się podporządkować i poczekać, aż sprawy same się ułożą. Bo że się ułożą, nie wątpił ani przez chwilę, przecież nie zrobił nic złego, nikogo nie okradł ani nie oszukał, tylko rysował, w dodatku w miejscu publicznym, a więc nie naruszył tego, co przyjęło się nazywać ładnym angielskim słowem *privacy*. Ochroniarze, rzecz jasna, wyglądają koszmarnie, mają oczy bez wyrazu i tępe gęby, ale przecież nie oni podejmują decyzje, Boris zaś wierzył w rozsądek ich szefów: obserwował tych ludzi już od dwóch godzin i odniósł wrażenie, że to normalni faceci.

Szkicownik powędrował z rąk ochroniarza do rąk wyniosłego blondyna, tymczasem drugi ochroniarz na wszelki wypadek poczęstował Borisa pięścią, i to tak mocno, że ten upadł i zwinął się z bólu. Wytrzymaj, powiedział sobie, wycierając dłonią krew, która sączyła się z rozciętej wargi, nie wszczynaj awantury. Tylko greckiej policji brakuje ci do szczęścia. Zaraz się zorientują, wszystko zrozumieją, oddadzą szkicownik... Wytrzymaj, nie szarp się, sam i tak sobie z nimi nie poradzisz.

Zorientowali się rzeczywiście bardzo szybko. Ważniak

przekartkował szkicownik, zatrzymał się na jednym z rysunków, najpierw się zachmurzył, później nagle roześmiał hałaśliwie i jakoś nieprzyjemnie, szepnął coś ochroniarzowi i obrzucił zaciekawionym spojrzeniem Borisa, który z trudem stanął na nogi. Ochroniarz podszedł do malarza.

– Ty... no... wybacz, zaszła pomyłka. Wołają cię tam... to znaczy zapraszają do stołu. Dojdiesz sam?

Boris kiwnął głową i uśmiechnął się pojednawczo. No proszę, i po strachu, wszystko ułożyło się tak, jak przypuszczał. Zaraz go przeproszą, zwrócą szkicownik, zaproponują sto dolarów w ramach rekompensaty za straty moralne i fizyczne i na tym wszystko się skończy.

Sprawy potoczyły się jednak nieco inaczej. Zaprowadzono go do ważniaka, który skinął na mężczyznę siedzącego obok, dając mu do zrozumienia, że ma zwolnić miejsce. Borisa posadzono, nalano mu szklaneczkę whisky, natychmiast pojawił się przed nim czysty talerz, na który kelner zaczął nakładać różne przystawki. Boris nawet nie sięgnął po alkohol – od dawna czuł do niego nieprzeparty wstręt.

– Poznajmy się. – Wążniak wyciągnął rękę do Borisa. – Jestem Paweł.

– A ja Boris – krótko przedstawił się malarz.

– Pan tutaj od dawna?

– Drugi tydzień.

– A ja już miesiąc się wczasuję. I nie narzekam. – Paweł uśmiechnął się z rozmarzeniem. – Morze, wiaterek, nie za gorąco. No i

najważniejsze – zarcie jest przyzwoite, świeże ryby, owoce morza, warzywa. W Moskwie wciąż albo mrożonki, albo wszystko ze szklarni, nie da się tego zjeść, żadnego smaku. A tutaj pełen wybór, więc jem dużo i zdrowo. A ty, jak się domyślam, jesteś malarzem?

– Coś w tym stylu – wybąkał Boris.

– Obejrzałem twoje szkice. Podobają mi się. Masz bystre oko, chłopcze, trafiasz w samo sedno, wywlekasz na zewnątrz to, co siedzi w człowieku. Skąd ci się to wzięło?

– Nie wiem. – Krotow wzruszył ramionami. – To chyba wrodzone. Po prostu lubię ludzi, intrygują mnie.

– Lubisz ludzi? – Brwi Pawła podjechały w górę. – Niby za co? Każdy ma w środku taki syf, że smród czuć z daleka. Człowiek poczęty jest w grzechu, rodzi się w brudzie i zmierza od śmierdzących pieluch do cuchnącego grobu. Zdaje się, że tak to idzie?

– Chyba tak – potwierdził Boris. – Mimo to każdy ma w sobie coś szczególnego... Zawsze mnie ciekawi, co tam kłębi się w środku.

– I co, nigdy się nie mylisz?

– Czy ja wiem? – Krotow uśmiechnął się rozbrajająco. – O tym wie ten, kogo portretuję.

– Masz łeb na karku. – Paweł znowu skinął głową z aprobatą. – Jesteś ostrożny. Ostrożny, oszczędny w słowach, a więc mądry. Namalujesz mój portret?

– Czemu nie? Ale może się panu nie spodobać, bo dość długo trzeba siedzieć bez ruchu, pozować.

– Nie szkodzi, czasami warto posiedzieć, porozmyślać o

przemijaniu. Twoje szkice są bardzo udane, wywlekasz na zewnątrz to, co człowiek ukrywa w środku. Anemika widać jak na dłoni.

– Anemika? – powtórzył Boris. – A kto to taki?

– A ten tam – Paweł pokazał na cwaniaka gotowego „wbić nóż w plecy” – moja szara eminencja. Zawsze podejrzewałem, że udziela mi rad, z których sam czerpie korzyść, ale nie miałem pewności. Sądziłem, że to niemożliwe, wyciągnąłem go przecież z bagna, wziąłem z ulicy, przygarnąłem, dałem pracę, płacę gigantyczne pieniądze, więc nie może odplacić mi czarną niewdzięcznością. A ty się zjawiłeś i od razu wszystko zauważyłeś. To znaczy, że nos mnie nie zawiódł. Wyrzucę go w cholerę, niech prowadzi swoje gierki gdzie indziej. Dziewczynę też dobrze uchwyciłeś, jest tutaj rzeczywiście przypadkowo, nie pasuje do naszej imprezy. Krótko mówiąc, podejmiesz się stworzenia mojego nieśmiertelnego wizerunku?

– Podejmę. Tylko nie rozumiem, po co to panu? I tak wszystko o sobie pan wie. A nuż się panu nie spodoba to, co zobaczę i namaluję?

– Już ty się nie martw. – Paweł się uśmiechnął. – Jak mi się nie spodoba, to nikomu nie pokażę twojego obrazka, zamknę w komórce i będę zerkał na niego po kryjomu. Mimo to zapłacę ci, nie ma obawy. Zainkasujesz niezłą sumkę.

Nachylił się w stronę Borisa i szepnął mu na ucho:

– Zdradzę ci pewien sekret. Kiedyś jedna z moich kobiet powiedziała mi, że sami nigdy nie widzimy się tak, jak nas widzą inni. Mamy o sobie jakieś wyobrażenie, ale otoczenie odbiera nas całkiem inaczej. Czasami warto więc spojrzeć na siebie z boku, żeby zrozumieć,

dlaczego ludzie postrzegają i traktują cię w określony sposób. Chwytasz, artysto? Czy to dla ciebie zbyt zawile?

Dla Borisa nie było w tym nic zawilego, zrozumiał to już dawno, jeszcze w czasach, gdy malował pierwsze portrety i słuchał zdziwionych okrzyków modeli: „Naprawdę taki jestem? A ja myślałem, że...”. Czuł jednak, że teraz lepiej nie odpowiadać, Paweł wyraźnie chełpił się swoją przenikliwością i umiejętnością rozprawiania na trudne tematy.

– Nie szkodzi. – Protekcyjnie poklepał Borisa po kolanie. – Z czasem zrozumiesz, jesteś jeszcze młody. To skomplikowany wywód, że dwa miesiące się głowiłem, zanim do tego doszedłem. A więc umowa stoi?

– Stoi. Kiedy zaczynamy?

– Choćby jutro z samego rana. Gdzie się zatrzymałeś? Podaj mi nazwę hotelu, jutro o dziesiątej podjedzie po ciebie samochód, zabierze do mojej willi i przystąpimy do pracy.

To był jedyny przypadek, kiedy Boris malował portret klienta nie w swojej pracowni. Właściwie było to jego pierwsze zlecenie, prawdziwe, z honorarium, więc robił wszystko, żeby nie wyjść na błazna przed Pawłem. Podczas seansów prowadził długie, nieśpieszne rozmowy z klientem, wypytywał go o dzieciństwo, rodziców, szkolnych kolegów, o wrażenia z przeczytanych w młodości książek i obejrzanych filmów. Paweł był znacznie starszy, więc o książkach, które czytał w dzieciństwie Boris, przeważnie nie słyszał, filmów też nie widział, ale łowił każde słowo klienta i zwracał szczególną uwagę na intonację i na

wyraz twarzy, gdy ten wspominał różne wydarzenia. W końcu Boris nabrał przekonania, że rozumie tego mężczyznę lepiej niż on samego siebie. Nie pokazywał mu portretu i za każdym razem zabierał ze sobą płótno naciągnięte na blejtram. Niemal od razu zrozumiał, że za nalany, galaretowaty i nieforemny ciałem Pawła, za jego rozmytymi rysami twarzy i jasnymi, rudawymi włosami ukrywa się bezwzględny, a nawet okrutny człowiek. Boris nawet nie musiał się domyślać, że jego nowy znajomy był liczącą się postacią w światku kryminalnym, wiedział o tym od samego początku. Z pewną obawą czekał na chwilę, gdy będzie musiał przedstawić efekt swojej pracy.

Nadszedł w końcu dzień, gdy portret był gotowy. Paweł długo mu się przyglądał, po czym kiwnął głową z aprobatą.

– Może być. Przejrzałeś mnie, brawo, zasłużyłeś na kasę. Tak, taki właśnie jestem: nikomu niczego nie wybaczam ani nie zapominam i dla nikogo nie mam litości. Powieszę portret w domu, niech każdy sukinsyn wie, że lepiej ze mną nie zadzierać. A ciebie zareklamuję wszystkim znajomym. – Niespodziewanie parsknął śmiechem. – To dopiero będzie ubaw! Dzięki mnie staniesz się modnym artystą w ferajnie, zwłaszcza wśród koleśków, którzy chcą zdobyć autorytet. Niech zamawiają u ciebie swoje facjaty, jeśli się nie boją, że wyjdzie na jaw ich słabość i podłość. Ale przecież nikt się nie przyzna, że się boi, znam ten typ. Wszyscy będą stali grzecznie do ciebie w kolejce! I będą zamawiać nie tylko swoje gęby, przywloką też swoje baby. Wzbogacisz się, nawiązesz pożyteczne znajomości, staniesz się sławny i szanowany. To chyba nieźle, co?

Słowa Pawła okazały się prorocze. Moda na portrety pędzła Borisa Krotowa, który miał wówczas zaledwie dwadzieścia cztery lata, pojawiła się i przyjęła tak szybko, że malarz ani się obejrzał, jak stał się właścicielem domku z pracownią pod Moskwą, dobrego samochodu i solidnego konta w banku. Duże pieniądze i drogie prezenty go nie nęciły, swoją pracę nad zamówieniami osób z wątpliwą reputacją traktował jako źródło utrzymania. Dwa razy do roku wyjeżdżał na głuchą prowincję, wynajmował kwatery i całymi dniami siedział ze szkicownikiem, rysując twarze okolicznych mieszkańców. Ukazanie wnętrza człowieka nadal żywo go interesowało i fascynowało.

Poznanie osób z określonego kręgu i malowanie ich portretów otworzyło mu drzwi do wielu domów. Zapraszanie artysty Krotowa na urodziny, wesela, chrzciny i przyjęcia zaczęło należeć do dobrego tonu. Boris nie lubił imprez, ale z uwagi na pewne okoliczności sumiennie na nich bywał i z czasem zaczął nawet znajdować w tym niejaką przyjemność.

Teraz, stojąc przed lustrem z listem w ręku, myślał, że musi chyba zadzwonić do Hana i zasięgnąć jego rady. Skąd się wzięły te dziwne listy? W pierwszym ktoś napisał: „Wiem, co się stało z twoją matką”. Drugi był nieco dłuższy: „Znam prawdę o śmierci twojej matki. Chcesz ją poznać?”. Boris nie był ciekaw prawdy, doskonale wiedział, co się stało z jego matką, przecież to się wydarzyło na jego oczach. Był wtedy dzieckiem, miał sześć lat, matka mieszkała z kolejnym partnerem, który jak zwykle się upił, urządził awanturę i zamroczony alkoholem zadźgał kochankę, po czym trafił za kratki na osiem lat.

Teraz Borisowi stuknęła już trzydziestka i żadna prawda nie jest mu potrzebna, bo i tak ją zna. Ale nie podoba mu się, że ktoś wysyła do niego listy. Nie, musi jednak zadzwonić do Hana, nawet jeśli nie zdecyduje się poprosić go o radę, przynajmniej wszystko mu opowie.

ROZDZIAŁ 5

Pierwszego maja Sorokinowie zamierzali spędzić, spacerując po ulicach Moskwy, byli bowiem pewni, że ich sąsiedzi Gusarowowie wyjadą na całe trzy dni na daczę. Gdy jednak Wilen Wiktorowicz wyszedł na balkon, z mieszkania obok dobiegły go ożywione głosy.

– Oni nie wyjechali, Gelu – oznajmił żonie. – Będziemy musieli tam pójść.

– Ojej, a ja nic nie mam – odparła zafrasowana Angelina Michajłowna. – Myślałam, że nie będzie ich przez trzy dni, więc nic nie upiekłam, zrobiłam tylko obiad. Pójdziemy z pustymi rękami?

– Nie szkodzi, zajrzemy po sąsiedzku, przecież nie musimy za każdym razem raczyć ich frykasami.

– Ale bez pretekstu nie wypada. – Angelina się zawahała.

– Wypada, wypada – zapewnił ją mąż. – Powiemy, że przyszliśmy zaprosić ich na spacer, miasto jest ładnie przystrojone, a pogoda znakomita.

Zadzwonili do drzwi sąsiadów i zobaczyli Ludmiłę Leonidownę, która już w pantoflach i lekkim płaszczu pakowała do torebki jakieś drobiazgi.

– A myśmy myśleli, że jesteście na daczce – zaczęła Angelina Michajłowna. – Zajrzeliśmy do was na wszelki wypadek. Zamierzamy

z Wilą pojechać na Twerską, pospacerować po mieście... Może do nas dołączycie?

Ludmiła Leonidowna, zgrabna i wciąż jeszcze bardzo ładna kobieta w modnych, drogich okularach, uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

– Pojechałabym z wami z wielką przyjemnością, ale muszę zabrać wnuka do zoo. Syn poprosił, żebym zabrała chłopca, chcąc z żoną odwiedzić przyjaciół, rozerwać się trochę i odpocząć. Lowa oczywiście się krzywi, nudzi się sam w domu, planował, że pojedziemy na daczę, ale co robić...

Angelina szybkim, niedostrzegalnym ruchem dotknęła ręki męża, a ten natychmiast zrozumiał jej gest.

– A może pójde z panią? – zaproponował. – Dawno chciałem zobaczyć moskiewskie zoo, ale wciąż nie mogłem się wybrać, bo Gela nie jest miłośniczką dzikich zwierząt, a samemu jakoś się nie chce. Nie ma pani nic przeciwko?

Ludmiła Leonidowna zmieszana się, ale w tej samej chwili włączył się Lew Siergiejewicz, który pojawił się w progu pokoju i uśmiechnął promiennie do gości.

– No dalej, Lusu, zgódź się – zadudnił. – Kiedy znowu uda ci się pospacerować w ciekawym miejscu z ciekawym mężczyzną? Ja z moją chorą nogą nie nadaję się już na adoratora, mogę przejść równym krokiem najwyżej sto metrów.

– No właśnie, Lusieńko – od razu podjęła Angelina Michajłowna – niech pani zabierze Wilę, zamęczył mnie już tym ogrodem zoologicznym, wciąż tylko słyszę: chodźmy i chodźmy, a ja nie mam

ochoty. A teraz nadarzyła się okazja.

– Bardzo chętnie – odparła Gusarowa – ale co z panią, Angelino Michajłowno? Zostanie pani sama w domu?

– Też coś! – zawołał Lew Siergiejewicz. – Nigdzie nie puszczę Angeliny Michajłowny, zostaniemy tutaj i będziemy na was czekać, prawda, Angelino Michajłowno? Zaraz wyjmemy karty i miło spędzimy czas, póki nasze połówki będą studiowały światową faunę. Nie martw się o nas, Lusi, nuda nam nie grozi.

Ludmiła Leonidowna i Wilen Wiktorowicz wyszli, a Angelina zasiadła do gry z Gusarowem. Przegrywała z kretelem, bo była nieuważna i nie pamiętała, jakie karty już wyrzucili. Nurtowała ją jedna jedyna myśl: jej ukochany, ubóstwiany Wila spędza teraz czas z inną kobietą. Nawet fakt, że to był jej pomysł, bo tego wymagała sprawa, nie stanowił żadnego pocieszenia.

Są już razem od pół wieku, dwa lata temu obchodzili złote gody, pobrali się, gdy mieli po dwadzieścia lat, a teraz skończyli siedemdziesiąt dwa, ale Angelina Michajłowna wciąż jest zazdrosna o męża jak w panińskich czasach. Teraz chyba nawet bardziej niż w młodości, bo następstwa jego zdrady i odejścia wyglądają o wiele gorzej niż przedtem. Zostać samej w wieku siedemdziesięciu dwóch lat, bez dzieci, u progu starości, która może już się nawet zaczęła, gdy choroby i niedołęstwo są coraz bliżej...

Przez całe życie Angelina robiła wszystko, żeby zadowolić Wilena, żeby mu się spodobać, żeby go nie rozczarować – czytała książki, które go interesowały, chodziła z nim do teatru na sztuki, które wybierał, na

wystawy i koncerty. Ona też miała oczywiście artystyczną naturę, bardzo lubiła książki, teatr, malarstwo i muzykę, ale jej upodobania były nieco inne, więc gdyby sama miała wybierać, wybrałaby co innego. Ale przyzwyczaiła się lubić rzeczy, które lubi Wilen, i w końcu polubiła je naprawdę, nabrała do nich przekonania i ochoty, a jej zainteresowanie stało się szczere i głębokie.

Mimo to nadal trzęsła się ze strachu, że Wilen ją porzuci. Lusienka jest tak pociągająca... Boże, żeby tylko Wila wytrzymał i nie uległ pokusie.

– Co pani jest, Angelinoczko Michajłowno? – rzekł Gusarow. – Dzisiaj wciąż pani przegrywa, to nudne jak flaki z olejem. A przecież trafiają się pani niezłe karty. Chyba nie jest pani w formie. W ubiegłym tygodniu dała mi pani do wiwatu! Rozłożyła na łopatki.

– Jakoś mi dzisiaj nie idzie – poskarżyła się Angelina, starając się nie pokazać ulgi, którą poczuła. – A co by pan powiedział na obiad, Lwie Siergiejewiczu? Dzisiaj ugotowałam taką zupę, że palce lizać! Chętnie pana poczęstuję.

– A ja nie odmówię – z radością odparł Lew Siergiejewicz, który był wielkim smakoszem.

Angelina Michajłowna przyniosła garnek z zupą, podgrzała, nalała do talerzy, posypała posiekaną zieleniną i podała na stół. Lew Siergiejewicz jadł i cmokał z zachwytem, nie mogąc się nachwalić talentu kulinarnego sąsiadki.

– A pani chyba nie ma apetytu – zauważył, zwróciwszy uwagę, że Angelina Michajłowna zjadła zaledwie jedną trzecią talerza, podczas

gdy on opróżnił swój do czysta. – Żle się pani czuje? Czy coś się stało?

– Nie, nie, wszystko w porządku. Po prostu wyczuwam pole. Nie co dzień tak się dzieje, czasami nic nie czuję, ale niekiedy jest tak jak dzisiaj, wtedy nie mogę nic przełknąć.

– Jakie pole? – zapytał zaintrygowany Gusarow. – Ma pani na myśli burze magnetyczne? Ale na dzisiaj chyba ich nie zapowiadano, sytuacja geomagnetyczna jest stabilna.

– Ależ nie, mówię o innym polu. Bioenergetycznym. Na przykład w naszym mieszkaniu bardzo wyraźnie czuję, że doszło w nim kiedyś do strasznego nieszczęścia, choć minęło już wiele lat. Jestem bardzo podatna na takie sprawy, czuję to nawet w pańskim mieszkaniu, mamy przecież wspólną ścianę i wszystko przez nią przechodzi. Nie mam pojęcia, jak sobie z tym radzicie. Nie sposób tego znieść! Dlaczego się nie przeprowadzicie? Nie da się tutaj mieszkać, czyżbyście tego nie czuli? My z Wilą to co innego, najpierw kupiliśmy mieszkanie, a dopiero potem dowiedzieliśmy się o nieszczęściu. Szczerze mówiąc, od początku czułam, że aura jest niedobra, myślałam jednak, że przyczyna jest nieistotna, że to jakiś drobiazg. Ale wy? Dzieci się przecież urządziły, więc chyba możecie się z kimś zamienić, choćby za dopłatą?

– Ale my tego nie czujemy – odparł wesóło Lew Siergiejewicz. – Kochana Angelinoczko Michajłowno, czy mógłbym prosić o dokładkę? Pani zupa jest po prostu boska.

– Naturalnie, naturalnie, zaraz podgrzeję. – Sorokina zakrzętała się koło kuchenki.

Przyniosła dokładkę i znowu podjęła rozmowę o polu, które ona „wyczuwa każdą cząstką swojego ciała i nie rozumie, jak można żyć w tak niesprzyjającej aurze”.

– Nam to jakoś nie przeszkadza – oznajmił Gusarow. – A w ogóle te pola i aury to czcze wymysły. Proszę wybaczyć, kochana Angelino Michajłowno, ale jestem głęboko przekonany, że to tylko babska gadanina i bajdy. Nie wierzę w tego rodzaju rzeczy. Jako wojskowy mam materialistyczne podejście.

– Nie, Lwie Siergiejewiczu, nie mogę się z panem zgodzić – zaoponowała Angelina. – Przeczytałam sporo książek na ten temat, początkowo też nie wierzyłam w aurę i sądziłam, że to wina jakiejś dolegliwości, może jestem zbyt nerwowa albo coś koło tego. No więc przestudiowałam sporo literatury naukowej, a tam czarno na białym stoi, że pole bioenergetyczne istnieje i można je nawet zmierzyć, naukowcy przeprowadzili mnóstwo doświadczeń.

– Piszą o tym w książkach? – Lew Siergiejewicz niesłuchanie się zdziwił. – Nigdy bym nie pomyślał.

– I w naukowych, i w powieściach, a nawet w sztukach.

– W sztukach? – Gusarow jeszcze bardziej się zdziwił.

– Niech pan sobie wyobrazi, że tak. Widzieliśmy z Wilą sztukę na ten temat w teatrze, inscenizacja była znakomita, wyszliśmy pod dużym wrażeniem. Opowiem panu, proszę posłuchać. Zaczyna się tak: na scenie nie ma kurtyny, dekorację stanowi model atomu...

Angelina zaczęła opowiadać, nie pomijając żadnych szczegółów – dobrze pamiętała sztukę, którą w Nowosybirsku wystawiali aktorzy

teatru dramatycznego z Rygi. Było to dawno temu, jeszcze w czasach radzieckich, ale Angelina Michajłowna Sorokina miała znakomitą pamięć. Opowiadała, ciesząc się w duchu ze swojego sprytu: w porę przypomniała sobie o przedstawieniu i skierowała nań rozmowę, która zaczęła się od niezjedzonej zupy.

– Tak kończy się pierwszy akt. Następuje antrakt... Ojej, Lwie Siergiejewiczu, tak się zagadałam, że nie podałam panu drugiego dania i nie nalałam herbaty, zjadł pan tylko zupę! – Angelina klasnęła w ręce. – Lusja przygotowała panu coś na drugie czy mam przynieść?

– A nie upiekła pani czasem bułeczek? – z nadzieją zapytał Gusarow.

– Nie, pan wybaczy, wybieraliśmy się przecież na spacer.

– Szkoda. Lubię pani bułeczki z parówkami.

– Zaraz zrobię panu kanapki. – Angelina Michajłowna się ożywiła.

– Moje firmowe, malutkie, z sardynkami, pomidorami koktajlowymi i serem. Najpierw podgrzeję panu drugie, a później podam herbatę i kanapki.

– Niech się pani nie fatyguje, Angelino Michajłowno, nie trzeba, lepiej niech pani opowiada, jestem ciekaw, co było dalej. Tak świetnie pani opowiada, że szkoda przerywać. No co, znalazł swojego brata ten Jakub czy jak mu tam?

Angelina Michajłowna okazała belferską surowość i zanim podjęła opowieść, zmusiła Lwa Siergiejewicza do zjedzenia kury z grilla z czosnkiem oraz ziemniaczanego purée, a później postawiła przed nim

duży płaski talerz maciupęknych, apetycznie pachnącymi tartaletek z sardynkami, pomidorami i ostrym serem.

– A to za posłuszeństwo i cierpliwość. – Uroczystym gestem umieściła na stole dwie butelki piwa, które przyniosła z domu.

Poprzedniego dnia Wila kupił je właśnie po to, żeby poczęstować sąsiada. Lew Siergiejewicz wpadł w nieopisany zachwyt i zaczął pochłaniać tartaletki, popijając je piwem, a Angelina Michajłowna ciągnęła swoją opowieść.

– I co, to już wszystko? – zapytał rozczarowany jak dziecko Gusarow, gdy sąsiadka zakończyła opowiadanie słowami: „Światło powoli gaśnie... Koniec”. – Tak się to skończyło?

– Właśnie tak – z uśmiechem przytaknęła Angelina Michajłowna.

– Bo wie pani... Ja bym jeszcze słuchał i słuchał, tak dobrze pani opowiada. Jakbym był w teatrze i widział przedstawienie na własne oczy. Z panią, Angelino Michajłowno, nie potrzeba żadnego telewizora, siedziałbym sobie i słuchał całymi dniami... Prawdziwa czarodziejka z pani! Proszę opowiedzieć coś jeszcze, pewnie oglądała pani wiele przedstawień.

Do powrotu męża i Ludmiły Leonidowny Angelina Michajłowna zdążyła barwnie opowiedzieć jeszcze jedną sztukę, tym razem obejrzaną niedawno, i znowu wzbudziła zachwyt i podziw Lwa Siergiejewicza. Ludmiła Leonidowna przyprowadziła wnuka, który miał zostać z dziadkami aż do wieczora, więc Sorokinowie pożegnali się z sąsiadami.

– No i jak ci poszło, Wila? – zapytała Angelina Michajłowna, gdy

tylko znaleźli się w swoim mieszkaniu. – Udało się?

Mąż pokręcił głową z przygnębieniem.

– Niestety nie. O czym można rozmawiać, gdy dziecko kręci się pod nogami? Przez cały czas absorbuje uwagę, naprzykrza się, zadaje pytania, ciągnie gdzieś, a to mu pokaż lwy, a to kup ludy, teraz chce mu się siusiu, a za chwilę pić... Sama rozumiesz. A co nowego u ciebie?

– Wydaje mi się, że coś mam – oznajmiła radośnie żona. – Oczywiście jeszcze nic konkretnego, ale chyba odkryłam, jaki kierunek powinniśmy obrać. Lew był poruszony moimi opowieściami o przedstawieniach, gotów był słuchać do rana. Musimy sobie przypomnieć, jakie sztuki oglądaliśmy, i wybrać coś pasującego tematycznie, żeby sprowokować go do rozmowy. Masz jakiś pomysł, Wileńka?

Mąż wzruszył ramionami.

– No skąd, tak od razu, na gorąco, nie potrafię sobie przypomnieć.

– W takim razie zastanów się, ja też się zastanowię, a potem się naradzimy. Jestem pewna, że uda nam się wyciągnąć z niego informacje w ten sposób.

Chwilę później Angelina Michajłowna zupełnie się uspokoiła. Wilen nie wspominał o Ludmile, nie zachwycał się nią, nie rozwodził nad tym, co powiedziała, jak spojrzała, co zrobiła. Widocznie nie wywarła na nim wielkiego wrażenia. No i chwała Bogu.

Maksim przewrócił się ciężko na drugi bok, ściągając kołdrę z Żanny i sprawiając, że młoda kobieta skrzywiła się z niezadowoleniem i otworzyła oczy. No dobrze, wystarczy tego spania, trzeba wstać i zrobić coś pożytecznego. Żanna nie znosiła marnować czasu na głupstwa, do których zaliczała leżenie w łóżku, jeśli nie było ono podyktowane nocnym snem. Sen w nocy traktowała bardzo poważnie, starała się spać co najmniej osiem godzin i zasypiać godzinę przed północą, żeby rano nie tylko dobrze wyglądać, ale też mieć świeży umysł. Łóżko, jej zdaniem, do niczego innego się nie nadawało, a jeżeli w jej dziennym rozkładzie zajęć pojawiał się seks, wołała go uprawiać gdziekolwiek – na podłodze, w kuchni, w łazience, w samochodzie albo w gabinecie służbowym, byleby tylko później nie spać. Była nastawiona wyłącznie na pracę i karierę, w seksie widziała tylko środek do osiągnięcia wytyczonego celu. W jej życiu nie było miejsca na miłość.

Maksim Kramariew woli niestety seks w łóżku i Żanna musi się z tym pogodzić, póki jest jego specjalistką do spraw kreowania wizerunku. Gdy skończy się kampania wyborcza Kramariewa, skończy się też męczący i nudny seks.

Żanna ubrała się po cichu i poszła do kuchni, zaparzyła sobie mocną kawę, wsypała do kubka trzy łyżeczki cukru, dołała śmietanki i włączyła komputer. Każdą wolną chwilę przeznaczala na pracę.

Pół godziny później zjawił się Maksim, rozczochrany, z zaspanymi oczami.

– Zaparz mi kawy – ni to poprosił, ni to zażądał.

Żanna posłusznie wstała i sięgnęła po młynek do kawy. Dzisiaj ma

wolne, myślała, że spędzi ten dzień zupełnie inaczej, ale niespodziewanie zadzwonił Kramariew, oświadczył, że strasznie się stęsknił i że zaraz przyjedzie. No i rzeczywiście przyjechał stęskniony, bo rzucił się na kochankę już na progu, nie zdążyli nawet zamienić słowa.

– Co nowego? – zapytała, podając Maksimowi kawę. – Są jakieś postępy?

– Jakie tam postępy! – odparł z gniewem. – Widziałas przecież program wyborczy tego łgarza! Facet zwyczajnie gra na uczuciach, nawołuje do zwiększenia odpowiedzialności za przestępstwa wobec dzieci. Ludzie oczywiście pójdą za nim jak w dym. Ale on nie ma moralnego prawa budować na tym swojej agitacji i ja to wszystkim udowodnię!

– Kiedy? – zapytała ostro. – Już dawno się odgrażasz, że udowodnisz, a gdzie efekt? Co będziemy udowadniać? Mam gotowy program kontrataku, tyle że do tej pory nie ma w nim żadnych konkretów poza twoimi ogólnymi refleksjami.

Maksim podniósł na nią zdziwiony wzrok.

– Żanno, kochanie, przecież wiesz wszystko! O wszystkim ci powiedziałem.

– To za mało. Potrzebuję dowodów. Zresztą nie tylko ja ich potrzebuję, bez dowodów twoje słowa są tylko słowami, czczym gadaniem. Nikogo nie przekonają. Trzeba aranżować zdarzenia, Maksim, trzeba iść do przodu.

Starala się mówić łagodnie i spokojnie, ledwie opanowując

rozdrażnienie. No bo jak długo można uganiać się za rzekomymi materiałami kompromitującymi, zamiast przejrzeć własny program wyborczy i znaleźć w nim miejsca, które należy poprawić albo zorientować na istotne potrzeby mieszkańców! Maksim jest niezwykle uparty i mało elastyczny, uznał, że idzie dobrą drogą i nie chce zmienić zdania, Żanna przekonała się o tym w ciągu dwóch lat pracy w jego sztabie wyborczym. W chwili obecnej jej zadanie sprowadza się do udzielania moralnego wsparcia, okazywania życzliwości i wyrozumiałości. Och, jakże jej to zbrzydło! Ale nie ma wyjścia, skoro podjęła się pracy, musi ją doprowadzić do końca. Najlepiej zwycięskiego.

– Jak mam iść do przodu? – ze złością odparł Kramariew, jednym łykiem dopijając kawę i odsuwając kubek. – Na razie wszystko jest palcem po wodzie pisane, nie wiadomo, kiedy będzie efekt i czy w ogóle będzie. Tracę mnóstwo sił, czasu i pieniędzy, a wynik jest zerowy. Na nic nie mam wpływu.

– Może powinieneś zrezygnować ze swojego pomysłu? – zapytała Żanna półgłosem. – Jeżeli nie przynosi efektu, może rozsądniej jest skierować siły i pieniądze ku czemu innemu?

– Nie! – Maksim uderzył pięścią w stół. – Nie, nie i jeszcze raz nie! Nie wycofam się. Zacząłem tę sprawę i doprowadzę ją do końca, a wtedy ten sukinsyn mnie popamięta. Po prostu czasami ogarnia mnie rozpacz... Tylko ty możesz mnie ocalić, kochanie, tylko ty możesz mnie pocieszyć. Co za szczęście, że jesteś przy mnie, moja wierna przyjaciółko, moja opoko – odezwał się Maksim czule, wyciągając do

niej rękę.

Żanna objęła Maksima, przycisnęła jego głowę do piersi.

– Nie trać nadziei – powiedziała. – Nie rezygnuj. Uda ci się, jestem pewna. Nie od razu Rzym zbudowano, musisz wytrzymać i cierpliwie czekać. Najważniejsze, żeby wierzyć w swoje racje. A ty przecież wierzysz, że jesteś lepszym kandydatem?

Kramariew skinął głową w milczeniu, wtulił twarz w jej piersi, jakby próbował znaleźć tam schronienie.

– A więc wszystko się uda. I efekt, którego nie możesz się doczekać, w końcu nadejdzie. Wygrasz wybory. Zdobędziesz stanowisko przewodniczącego komitetu. Wszystko ułoży się po twojej myśli. Nie wolno ci tylko upadać na duchu i dawać za wygraną, cokolwiek się stanie.

Żanna pocieszała go, ledwie powstrzymując się od krzyku. I po co taki mięczak pcha się do polityki? Myśli, że skoro zarobił kupę szmalu, będzie się też świetnie czuł na szczytach władzy. No i czemu się rozkleja? Wybrałeś drogę, no to ruszaj naprzód, na nikogo i na nic się nie oglądaj, idź po trupach i nie wpadaj w panikę, jeśli coś ci nie wychodzi.

Żanna opanowała się wysiłkiem woli. W końcu zarządzanie wizerunkiem to jej zadanie. Skoro żeby je wykonać i żeby podopieczny jej słuchał, musi być jego kochanką, podporą i wsparciem, to nią będzie. Powinna jak najlepiej wykonać swoją pracę, ponieważ sukces, to znaczy doprowadzenie kandydata do zwycięstwa w wyborach, to mocny punkt w CV, a im więcej takich punktów zbierze, tym większe

ma szanse na zrobienie kariery i na wysokie honoraria.

*

– Przepraszam, że zawracam ci głowę podczas weekendu – ze skruchą powiedział Boris Krotow, wchodząc do mieszkania, w którym zwykle odbywały się jego spotkania z Khanem.

Alekpierow uśmiechnął się niefrasobliwie i machnął ręką.

– Nie szkodzi, tak jest nawet lepiej, nasze kontakty nie powinny rzucać się w oczy. A poza tym chyba wiesz, że wywiadowcy nie mają wolnego. Co się stało?

Zamiast odpowiedzieć, Boris wręczył mu dwa listy w kopertach.

Pułkownik milicji Khanlar Alekpierow zwerbował Borisa Krotowa pięć lat temu, to znaczy mniej więcej rok po tym, jak malarz zaczął się spotykać z przedstawicielami świata przestępczego i okołoprzestępczego. W tamtym czasie Khan pracował w wydziale do walki z przestępczością zorganizowaną, który później zlikwidowano. Na jego bazie powstał wydział do spraw przeciwdziałania terroryzmowi, ale ten kierunek nie interesował Khana, więc kontynuował pracę w strukturach wydziału kryminalnego. Nadal utrzymywał kontakty z Krotowem, który był przyjmowany w domach osób tak czy inaczej interesujących Khana. Malarz dużo widział i słyszał, a poza tym miał nieprzeciętną intuicję i wyczucie do ludzi, których celnie i wyczerpująco opisywał Khanowi. Ich relacje nie przypominały relacji oficera operacyjnego z informatorem

zwerbowanym na podstawie materiałów kompromitujących, były raczej przyjacielskie, a w każdym razie życzliwe: Krotow współpracował z Khanem nie ze strachu czy dla korzyści, ale dlatego, że nienawidził każdej postaci przestępczości. I miał po temu ważne powody. Wiele lat temu pijany zwyrodnialec zabił mu matkę.

Khan uważnie obejrzał oba listy, przeczytał je chyba z dziesięć razy, po czym podniósł wzrok na Borisa.

– Ale ty przecież tam byłeś? Matkę zabito na twoich oczach?

– No tak. Opowiadałem ci.

– Pamiętam. Kto jeszcze był wtedy w mieszkaniu?

– Tylko wujek Walera, kochanek mamy, który ją zabił. No i ja. Nikt więcej.

– Sąsiedzi? Jacyś kompani od kieliszka?

– Skąd, nikogo więcej nie było.

– No cóż, twoja matka nie żyje, więc tylko wy dwaj – ty i wujek Walera – wiecie, co się wtedy wydarzyło. A przy okazji, nie pamiętasz, jak on się nazywał?

– Nie pamiętam, ale wiem. – Boris się uśmiechnął. – Stiecenko. Miałem wtedy sześć lat, więc nie mogłem wiedzieć, ale zachowała się kopia wyroku z jego nazwiskiem.

– Sam do siebie nie pisałeś – Khan kontynuował głośne rozważania – a więc pozostaje tylko Stiecenko. Walerij Stiecenko – powtórzył w zamyśleniu. – No cóż, trzeba się nim zająć. Nie widziałeś się z nim po tym, jak wyszedł na wolność?

– Nie.

– I nie rozmawiałeś przez telefon? Nie próbował cię odszukać, spotkać się z tobą?

– Nie, nic z tych rzeczy.

– Dobrze, znajdę go i dowiem się, po co ci śle listy miłosne.

– A więc jesteś pewien, że ich autorem jest wujek Walera?

Khan rozłożył ręce.

– A kto? Nikt inny przecież nie wie, co się wtedy stało. Facet pewnie myśli, że byłeś dzieckiem, więc nic nie rozumiałeś ani nie zapamiętałeś, i chce cię naciągnąć na kasę. Jeżeli wie, czym się zajmujesz i ile zarabiasz, liczy na okrągłą sumkę.

– Ale w listach nie ma mowy o pieniądzach – zaproponował Boris. – Właściwie ich treść jest jakaś głupawa, bez sensu. Załóżmy, że rzeczywiście nic nie pamiętam albo nie wiem, załóżmy, że ogarnęła mnie ciekawość, no i co dalej? W listach nie ma żadnej propozycji, żądania czy wzmianki o sumie, którą miałbym zapłacić za informacje. Nie, Khan, tu chodzi o co innego.

– Guzik prawda! – Alek pierow się roześmiał. – Gość cię urabia.

– Urabia? – powtórzył oszołomiony Boris.

– Oczywiście! Czeka, aż stracisz nerwy i będziesz gotów wyłożyć duże pieniądze, żeby się czegoś dowiedzieć. Przecież po pierwszym liście pomyślałeś: „To mnie w ogóle nie interesuje”, prawda?

– Zgadza się – przyznał Krotow.

– No widzisz, w tamtej chwili nie zapłaciłbyś za informacje ani kopiejki. A teraz, po drugim liście, już nie jesteś pewien, czy znasz prawdę, bo może jest coś, o czym nie wiesz. A on czeka, aż przestaniesz

się wahać i dojrzejesz do większej sumy.

Mężczyźni posiedzieli jeszcze trochę przy herbacie, pogawędzili o tym i owym, Boris opowiedział o swoim kolejnym kliencie, Arturze, który był uznanym autorytetem kryminalnym, oraz jego młodej kochance, Khan przyjął informacje do wiadomości: w jego profesji wszystko się przyda, jeśli nie teraz, to później.

*

Walentina Jewtiejewa zawsze lubiła chodzić pieszo, więc teraz, mieszkając u Niny Siergiejewny pod Moskwą, chętnie wybierała się na długie spacerowiska, tym bardziej że było gdzie spacerować. Albo szła drogą, przecinała szosę i krążyła po osiedlu willowym, na którym pracowała jej gospodyni, albo zapuszczała się w gęste zarośla i z przyjemnością wdychała zapachy lasu mieszanego i listowia budzącego się z zimowego snu.

Tamtego dnia spacerowała w lesie po tej stronie szosy, gdzie były okazałe wille. Nie od razu zauważyła mężczyznę w towarzystwie dwóch ochroniarzy, idących za nim w pewnej odległości, ponieważ była jak zwykle zajęta własnymi myślami i nic wokół siebie nie widziała.

– Dzień dobry – uprzejmie przywitał się nieznajomy i dopiero wtedy Walentina zwróciła na niego uwagę.

Wysoki, postawny, niezwykle przystojny, z owalną smagłą twarzą, raczej w typie semickim niż kaukaskim. Ciekawe, w którym domu mieszka? W tamtym, dwupiętrowym z wieżyczkami? Czy w

luksusowym, przypominającym pałac z białego kamienia? Pewnie to jakiś milioner, przemknęło jej przez głowę.

– Dzień dobry – odparła grzecznie.

– Długo pani spaceruje? – zainteresował się mężczyzna.

Walentina zerknęła sumiennie na zegarek, jak pilna uczennica na lekcji.

– Godzinę i czterdzieści minut. A co?

– Zmęczyła się pani?

– Skądże, przywykłam do chodzenia. Czemu pan pyta?

– Niedaleko jest wspaniałe miejsce, gdzie można odpocząć, widziała je pani?

– Nie – zdziwiła się. – To jakaś kawiarnia? Tutaj, w lesie?

– Co też pani przyszło do głowy! – Nieznajomy uśmiechnął się czarująco. – Jaka kawiarnia! To zwalony pień drzewa, na którym można wygodnie usiąść, zawsze tam odpoczywam, gdy się zmęcę podczas spaceru. Chodźmy, pokażę pani.

Zawsze tam odpoczywa! Czy to znaczy, że spaceruje tutaj regularnie? Dziwne, Walentina już trzeci raz jest w tej części lasu, ale do tej pory go nie spotkała. A może mężczyzna wychodzi na spacer o innej godzinie? Albo w inne dni tygodnia?

Dotarli razem do grubego, naprawdę bardzo wygodnego pnia i usiedli obok siebie. Ochroniarze kręcili się z dziesięć metrów dalej. Po krótkiej chwili Walentina ze zdziwieniem stwierdziła, że swobodnie gawędzi z nieznajomym, który przedstawił się jako Sławomir Iljicz i powiedział, że jest chemikiem. Pracuje nad rewolucyjną technologią

farmaceutyczną, część eksperymentalną ma już gotową, pozostała mu jedynie teoria, którą właśnie się zajmuje. Jego opracowanie z góry wykupił duży koncern farmaceutyczny. Słyszając to, Walentyna drgnęła. Jelena chyba mówiła, że pracuje w koncernie farmaceutycznym, na czele którego stoi właściciel domu, u którego zatrudniona jest Nina Siergiejewna. Jak on się nazywa? Jelena wymieniała przecież jego nazwisko, Nina Siergiejewna też... Aha, Kramariew.

– Ma pan na myśli koncern Kramariewa? – zapytała niepewnie.

– Zgadza się. – Sławomir Iljicz pokiwał głową ucieszony. – Zna pani Maksima Witaljewicza?

– Nie, ale wynajmuję pokój u jego ogrodniczki – wyjaśniła Walentyna.

– A więc mieszka pani u naszej Niny Siergiejewny! – Sławomir Iljicz z jakiegoś powodu bardzo się ucieszył. – Wygląda na to, że znamy się ze słyszenia, Nina Siergiejewna wspominała, że ma nową lokatorkę. A więc to pani!

Walentyna zmieszala się, sama nie wiedząc czemu.

– A pan mieszka u Kramariewa?

– Czasowo. Maksim Witaljewicz chce, żeby końcowa część pracy, najbardziej odpowiedzialna, odbywała się pod jego kontrolą i pod wzmocnioną ochroną, żeby nikt nie mógł ukraść ani podkupić nowej technologii. Proszę spojrzeć na osiłków, którzy mnie pilnują – dodał, zniżając głos do konspiracyjnego szeptu. – Depczą mi po piętach, żeby nikt podejrzany nie mógł do mnie podejść z kuszącą propozycją i obiecać więcej pieniędzy za opracowanie. Gdyby pani wiedziała,

Waleczko, jak wygląda moje życie! Umieram z nudów! Dużo oczywiście pracuję, ale poza pracą należy mi się przecież jakaś rozrywka, a podczas spacerów nawet nie mam z kim porozmawiać. Dobrze, że panią spotkałem. Nie jest pani z Moskwy, o ile dobrze zrozumiałem?

– Nie, przyjechałam z...

Już chciała powiedzieć, że z Jużnomorska, ale z jakiegoś powodu nagle zawstydzila się własnego prowincjonalizmu i skłamała:

– ...z Petersburga.

Nie bała się, że zostanie przyłapana na kłamstwie, wiele razy bywała w Petersburgu i dobrze знаła miasto.

– Jest pani na urlopie? Czy w delegacji?

Walentyna już miała opowiedzieć swoją historię, ale ugryzła się w język. Po co temu przystojnemu naukowcowi jej smutna historia? Mężczyzna zajmuje się badaniami naukowymi, w przerwach chodzi na spacer, więc niech uważa ją, Walentinę Jewtiejewą, za bratnią duszę.

– Na urlopie twórczym, chociaż w zasadzie to delegacja twórcza – odparła z uśmiechem. – Kończę pisanie rozprawy doktorskiej, wyjechałam jak najdalej od wszystkich, żeby skończyć pracę w ciszy i spokoju. Myślę, że mnie pan rozumie.

– I to jak! – Sławomir Iljicz wybuchnął śmiechem. – Rozumiem panią jak nikt inny. Z czego robi pani doktorat? Z historii sztuki? Z filologii? Z nauk humanistycznych?

– Moja specjalność to nauki techniczne. Fizyka niskich temperatur. Urządzenia chłodnicze i temu podobne.

– Poważna sprawa. – Sławomir Iljicz pokręcił głową. – A więc będziemy pracowali w pocie czoła, a w przerwach chodzili na spacer, zgoda?

Tak właśnie powiedział: będziemy. Będziemy pracowali. Będziemy chodzili na spacer. Walentina aż zaniemówiła z zachwytu, który ją ogarnął: czyżby ten przystojny naukowiec zobaczył w niej nie tylko ładną kobietę, ale też interesującą osobowość? I znowu nie zastanawiała się nad tym, że znajdzie się w niezręcznej sytuacji: rozprawę doktorską już dawno obroniła, doskonale znała wszystkie niuanse poszczególnych etapów pracy. A jednak słusznie postąpiła, że skłamała i nie opowiedziała Sławomirowi Iljiczowi swojej prawdziwej historii.

Siedzieli i gawędzili, ale Walentina przez cały czas musiała się pilnować, żeby przypadkiem nie zdradzić tego, co postanowiła ukryć. Napięcie i wytężona czujność jak na złość sprawiały, że jej myśli krążyły wokół sprawy, dla której tutaj przyjechała. Bezwiednie podtrzymywała rozmowę i w tym samym czasie rozmyślała o pracownicy wyznaczonej przez Stasowa do zbadania jej sprawy. Anastazja Pawłowna Kamieńska początkowo strasznie się jej nie spodobała. Pytania, które zadawała, też się jej nie spodobały, zwłaszcza te dotyczące brata Jewgienija, wielkości spadku i przyjaciół taty. Oschłość Kamieńskiej, jej rzeczowy ton i poważna mina też nie przypadły do gustu Walentinie. Co innego szef agencji Władisław Nikołajewicz! Uprzejmy, kulturalny i tak miło się uśmiechał. No bo czy kobieta, w dodatku nie pierwszej młodości, może być detektywem?

Detektyw to mężczyzna między trzydziestką a czterdziestką, barczysty, napakowany, z doskonałym refleksem i pełen uroku osobistego, w przeciwnym razie jak by potrafił zdobywać zaufanie i potrzebne informacje?

Tamtego dnia Walentina wróciła z agencji rozczarowana i podenerwowana, a wieczorem podzieliła się wątpliwościami z Niną Siergiejewną, opisała ze szczegółami spotkanie z Kamińską i poskarżyła się na Stasowa, który najpierw potakiwał i obiecywał, że wszystko będzie w najlepszym porządku, a później powierzył zlecenie Walentyny jakiejś starej babie.

– Naprawdę jest stara? – z niedowierzaniem zapytała Nina Siergiejewna. – Ile może mieć lat?

– Ode mnie jest sporo starsza, skończyła pewnie ze czterdzieści osiem albo nawet pięćdziesiąt.

– Sama ci to powiedziała?

Po paru dniach znajomości Walentina poprosiła Ninę Siergiejewną, żeby zwracała się do niej na „ty”.

– Oczywiście, że nie. Ale przecież widzę, jakie ma zmarszczki wokół oczu. Jest też na wpół siwa. Ostrzyżona jest dobrze, ale jakoś nie wpadło jej do głowy, żeby ufarbować włosy i ukryć w ten sposób siwiznę. Jest naturalną, platynową blondynką, więc siwizny właściwie nie widać, ale ja ją zauważyłam.

– Siwe włosy, Waleczko, to żaden dowód, wiele kobiet zaczyna siwieć przed trzydziestką.

– No dobrze, a zmarszczki? Tutaj sprawa jest oczywista.

– Niech ci będzie, że ma pięćdziesiątkę na karku. Chociaż jakoś nie chce mi się wierzyć...

– Ależ nie ma co do tego żadnych wątpliwości! – Walentina się obruszyła. – Kamieńska sama powiedziała, że przepracowała dwadzieścia siedem lat w organach ścigania, z czego dwadzieścia pięć w wydziale zabójstw. Z takim stażem nie może mieć czterdziestu lat, prawda? Nie, na pewno stuknęła jej pięćdziesiątka.

– Patrzcie no! Aż dwadzieścia pięć lat w wydziale zabójstw? To przecież, Waleczko, nie w kij dmuchał. Masz pojęcie, jakie to doświadczenie? Podziękuj lepiej swojemu Stasowowi, że wyznaczył takiego pracownika, a nie jakiegoś żółtodzioba, który dopiero co skończył studia, a przestępcy nawet nie widział na oczy. Nie, nie masz racji, dziecko, Stasow dokonał słusznego wyboru. A w ogóle odkąd to pięćdziesięcioletnie kobiety uważa się za stare? Po dwakroć, a nawet po trzykroć nie masz racji. Pięćdziesiątka to wspaniały wiek. Człowiekowi dopisują jeszcze siły, no i nie brakuje mu doświadczenia. Jeśli ktoś rozwiąże twoją sprawę, to tylko taka osoba jak Kamieńska. Mówisz, że jest dobrze ostrzyżona?

– Bardzo dobrze.

– No widzisz. To znaczy, że o siebie dba.

– I co z tego?

– A to – z uśmiechem wyjaśniła Nina Siergiejewna – że nie straciła chęci do życia i ma w sobie energię, żeby podejmować życiowe wyzwania. Ach, dziecko, jakaś ty jeszcze młoda! Pewnie myślisz, że to, co najważniejsze, masz już za sobą, bo skończyłaś trzydzieści pięć lat.

Powiem ci, że wciąż jesteś nierozumnym dzieckiem. Zapamiętaj: kiedy człowiek ma trzydzieści pięć lat, to, co najważniejsze, jeszcze przed nim, i to daleko. Wszystko zaczyna się po pięćdziesiątce. Co jeszcze nie przypadło ci w Kamieńskiej do gustu poza tym, że jest twoim zdaniem stara? Wydała ci się surowa? Oschła? Rzadko się uśmiechała?

– Jest uprzedzona do mojej sprawy – odparła naburmuszona Walentina. – W ogóle nie zamierza szukać przypadkowego przestępcy, sądzi, że tatę mógł zabić ktoś z jego bliskich, łącznie z moim bratem albo przyjaciółmi taty. Ma pani pojęcie? Jeżeli będzie szukać w tym kierunku, nigdy nie znajdzie zabójcy, a ja niepotrzebnie wydam pieniądze.

Nina Siergiejewna westchnęła, wyjęła kubek z orchideami, nasypała do niego kawy rozpuszczalnej i zalała wrzątkiem.

– Nino Siergiejewno! – zawołała Walentina. – Przecież pani nie wolno! Tylko rano pije pani kawę...

– Przywodzisz mnie do grzechu, Waleczko. Gdy człowiek posłucha twoich wywodów, napiłby się nie tylko kawy, ale i wódki. Muszę złamać swoje zasady.

Przełknęła duży łyk i zmrużyła oczy z lubością.

– Och, co za rozkosz! Mogłabym pić kawę na okrągło.

– Więc czemu pije pani rozpuszczalną? Jeśli aż tak lubi pani kawę, niech pani sobie parzy prawdziwą, ziarnistą – powiedziała Walentina, której od pierwszego dnia nie dawała spokoju ta kwestia, ale krępowwała się zapytać.

– Ależ, dziecko! – Nina Siergiejewna się roześmiała. – Prawdziwa

kawa jest o wiele smaczniejsza. Jeśli zacznę ją parzyć, nie dam rady się pohamować i będę pić dziesięć kubków dziennie. A pijąc rozpuszczalną, ograniczam się do dwóch. Wróćmy do twojej Kamieńskiej. Co w tym złego, że pytała o brata i przyjaciół twojego ojca?

– Ja ich znam, oni nie mogli... To uczciwi i przyzwoici ludzie. A ona...

– A ona ich nie zna – wtrąciła Nina Siergiejewna. – Nigdy ich nie widziała. Więc to naturalne, że włączyła ich do kręgu podejrzanych.

– Ale przecież jej powiedziałam, że są dobrzy i porządni! Dlaczego mi nie uwierzyła?

– A czemu miałyby ci wierzyć? – z niezmaconym spokojem zapytała Nina Siergiejewna. – Kim takim jesteś, żeby wierzyła w każde twoje słowo?

– Jestem klientką – oświadczyła Walentina, co prawda niezbyt pewnym tonem.

Nagle zrozumiała logikę rozumowania Niny Siergiejewny i poczuła się niezręcznie. Ależ jest głupia! Nina Siergiejewna ma rację. Wygląda na to, że Kamieńska też ją ma.

– Jesteś nikiem. Przyszłaś z ulicy, ona widzi cię pierwszy raz w życiu. Dlaczego ma się opierać na twojej znajomości ludzi? Jesteś profesjonalistką w tej dziedzinie? Świetnie znasz się na ludziach i przejrzałaś ich na wylot? Nie sądzę. A nawet gdyby tak było, Kamieńska nie może o tym wiedzieć. Zrozum, Waleczko, ona nie jest uprzedzona, działa profesjonalnie i obiektywnie, nikomu nie wierzy,

nie daje pierwszeństwa żadnej z hipotez, póki nie zdobędzie dość informacji. Jest niezależna i samodzielna, powinnaś była docenić tę cechę jej myślenia. A ty nie doceniłaś.

Jednym słowem, Ninie Siergiejewnie udało się zasiać wątpliwość w głowie Walentyny, a po godzinie skłonić ją do zmiany zdania o Kamieńskiej. Teraz podobała jej się fachowość, powaga i dociekliwość Anastazji Pawłowny i uwierzyła, że sprawa znajduje się w pewnych rękach. Nawet się trochę zawstydzila, że początkowo potraktowała Kamieńską wrogo, najbardziej było jej jednak wstyd za to, że w rozmowie z Niną Siergiejewną uznała pięćdziesięcioletnią kobietę za starą. Przecież Nina Siergiejewna jest znacznie starsza...

Walentyna przebiegała myślą wszystkie te wydarzenia, podczas gdy gawędziła z nowym znajomym, omawiając eklektyzm zabudowy osiedla willowego, na którym mieszkał. Rozmowa zeszła na architekturę, więc przeważnie milczała, słabo zorientowana w tej dziedzinie i zdumiona obszerną wiedzą Sławomira Iljicza oraz subtelnością jego uczuć. Czas minął niepostrzeżenie i mężczyzna zaczął zbierać się do powrotu.

– Robota czeka – wyjaśnił, patrząc z ciepłym uśmiechem na Walentinę. – Muszę wracać. Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy.

– Ja też mam taką nadzieję – zapewniła go Walentyna.

Nie ustalili ani miejsca, ani terminu kolejnego spotkania, ale Walentyna uznała to za zupełnie naturalne: naukowiec to człowiek zajęty twórczą pracą, nigdy nie wie, jak sprawy się ułożą, kiedy będzie miał czas i chęć na przerwę. Na pewno się spotkają, przecież się nie

rozminą, zresztą teraz Walentina zna miejsce ze zwalonym pniem. Ach, palnęła piramidalne głupstwo, mówiąc, że Kamieńska jest stara! Przecież Sławomir Iljicz jest w podobnym wieku, a za nic by o nim nie powiedziała, że jest stary. Przystojny, czarujący, błyskotliwy – bije na głowę wielu młodych mężczyzn. Bardzo się jej spodobał...

Gdy wieczorem Nina Siergiejewna wróciła z pracy, Walentina nagle zdrętwiała ze strachu: Sławomir powiedział, że wie o nowej lokatorce ogrodniczki, to znaczy, że Nina Siergiejewna o niej opowiadała. Czy wyjawiała prawdę? Jak w tej sytuacji będzie wyglądało kłamstwo Walentiny, że przyjechała z Petersburga, żeby skończyć pisanie rozprawy? Ojej, nieładnie wyszło!

– Nino Siergiejewno – nieśmiało zaczęła Walentina, gdy tylko gospodyni skończyła kolację – wspominała pani o mnie u Kramariewów?

Nina posłała jej zdziwione spojrzenie i wróciła do zmywania naczyń.

– Powiedziałam tylko, że u mnie mieszkasz. A czemu pytasz?

– Chodzi mi o to, czy mówiła pani, skąd i po co przyjechałam?

– Oczywiście, że nie. Nikogo to nie interesuje. Po co obarczać ludzi informacjami, które nie są im potrzebne? Nie rozumiem twojego pytania.

Walentina nie miała wyjścia, musiała opowiedzieć o znajomości ze Sławomirem Iljiczem i o swoim spontanicznym kłamstwie. Nina Siergiejewna skończyła zmywanie naczyń i skinęła na Walentinę, żeby wyszła z nią na taras. Usiadły na stojących obok siebie bujanych

fotelach.

– Nie jestem zwolenniczką kłamstwa, ale muszę przyznać, że postąpiłaś w zasadzie słusznie. Tylko niepotrzebnie wspomniałaś o Petersburgu, nie ma nic wstydliwego w tym, że przyjechałaś z Jużnomorska, twoje kłamstwo może łatwo wyjść na jaw. Ale już za późno, słowo się rzekło. A jeśli chodzi o powody twojego pobytu tutaj, intuicyjnie zrobiłaś to, co najlepsze. W Moskwie, dziecko, nikt nie lubi ludzi obarczonych kłopotami. Kiedy człowiek ma poważne zmartwienie, nigdy nie wiadomo, jak z nim rozmawiać, czy wypytywać o szczegóły, czy mu współczuć i go pocieszać, czy odwrotnie, poruszać inne tematy. Poza tym gdy ktoś jest w tarapatkach, wypada zaproponować pomoc, a moskwianie nie lubią pomagać, każdy sam się zмага ze swoimi problemami i radzi sobie, jak może. Zawsze lepiej udawać, że jest się wybrańcem losu, wtedy ludzie będą do ciebie lgnęli. A swoją drogą, ryzykantka z ciebie – dodała Nina Siergiejewna z uśmiechem. – Że też nie boisz się zaplątać w swoim kłamstwie?

– W kwestii rozprawy się nie zaplączę, przecież ją napisałam i obroniłam, nawet dostałam awans na starszego pracownika naukowego. A co się tyczy Petersburga, często tam bywałam, nierzadko przez dłuższy czas, więc dobrze znam miasto.

– A jednak to niebezpieczne. Uważaj, ty jesteś fizykiem, on chemikiem, to pokrewne dziedziny, Sławomir Iljicz może znać kogoś w kręgach naukowych Petersburga, gdy zapyta, nie będziesz wiedziała, co odpowiedzieć.

– Nie szkodzi, coś wymyślę... Właściwie on w ogóle nie porusza

tematu pracy, rozmawialiśmy głównie o architekturze.

– To zrozumiałe. – Nina Siergiejewna skinęła głową. – Sławomir Iljicz prowadzi tajne badania, nawet nie mieszka razem z Kramariewami, tylko osobno, w domku dla gości, żeby nikt mu nie przeszkadzał w pracy. Nikt obcy nie ma do niego dostępu. Czasem przyjeżdżają jacyś ludzie, Maksim Witaljewicz prowadzi ich prosto do Sławomira Iljicza, ale wtedy zabrania pokojówce podawać im herbatę. Katia sama ją przynosi.

– Katia? Kto to taki? – zapytała Walentyna z ciekawością.

– Żona Maksima Witaljewicza.

– A dlaczego ona? Dlaczego pokojówce nie wolno ich obsługiwać? – dopytywała się Walentyna.

– Dlatego, że pokojówki oraz inne osoby z personelu zazwyczaj są bardzo ciekawskie. Stoją pod drzwiami i podsłuchują, wciąż tylko strzelają oczami i próbują coś podejrzeć.

To była nowość dla Walentyny. Czy naprawdę każdy personel domowy jest aż tak wścibski? W Jużnomorsku stykała się czasem z rodzinami, które zatrudniały pomoce domowe, kucharzy i pokojówki – nawet jej brat Jewgienij miał dochodzącą dziewczynę do sprzątnia – ale od nikogo nie słyszała skarg na niezdrową ciekawość osób pracujących w domu.

– Oczywiście, że nie. – Nina Siergiejewna wybuchła śmiechem. – Nie wszyscy są wścibscy, ale zawsze trzeba liczyć się z tym, że to się może zdarzyć. A gdy chodzi o tajemnice technologiczne, lepiej się zabezpieczyć. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie straty finansowe

poniósłby Maksim Witaljewicz, gdyby ktoś sprzątnął mu opracowanie sprzed nosa. A co, czyżby Sławomir ci się spodobał?

– Bardzo – przyznała Walentina. – Nigdy nie miałam do czynienia z tak przystojnym mężczyzną, nawet nie sądziłam, że tacy mężczyźni bywają. W dodatku Sławomir jest czarujący, ma cięty język i duże poczucie humoru.

– Tak, Sławomir Iljicz podoba się kobietom. – Nina Siergiejewna się uśmiechnęła. – Nawiasem mówiąc, wdał się w romans, a może tylko we flirt, z naszą Ołą, nauczycielką córki Kramariewa.

– Nauczycielką? A czego ona uczy?

– Arabskiego.

Walentina natychmiast posmutniała. No cóż, z nauczycielką arabskiego nie może rywalizować. No bo kim ona jest? Zaledwie starszym pracownikiem naukowym, kandydatem nauk technicznych, a dla jej nowego znajomego nawet nie kandydatem, w jego oczach na razie tylko ubiega się o ten stopień. On jest technikiem, doktorem habilitowanym, towarzystwo Walentyny nie może go pociągać. Co innego język arabski! Olga ma pewnie dużą wiedzę, sporo podróżowała i widziała, więc jej towarzystwo jest dla Sławomira o wiele ciekawsze niż niczym niewyróżniającej się Walentyny.

No i dlaczego życie osobiste w ogóle jej się nie układa? Mama miała chyba rację, że ona, Walentina, jest nijaka, bez tego czegoś, co przyciągałoby mądrych, przystojnych mężczyzn. Jej pierwszą wielką miłością był chłopak z innej szkoły, którego poznała na jednej z olimpiad, utalentowany fizyk, który po skończeniu szkoły wyjechał do

Krasnodaru, żeby studiować na uniwersytecie technologicznym. Wala pojechała za nim i wybrała specjalność „Technologia chłodnicza, kriogenna oraz klimatyzacja”, chociaż nie miała wtedy żadnych planów na przyszłość, była po prostu zakochana bez pamięci i chciała być obok swojego wybranka, codziennie go widywać i z nim rozmawiać. Oddychać tym samym powietrzem co on. Egzaminów wstępnych przebrnęła pomyślnie, ponieważ była zdolna, i nawet sobie później radziła, bo się przykładała do nauki. Romans się skończył, gdy była na trzecim roku: jej ukochany się ożenił, a Walę rzucił. Ona jednak ukończyła studia, ponieważ nie przywykła zatrzymywać się w pół drogi. Poza tym niespodziewanie się wciągnęła – fizyka niskich temperatur zaczęła ją interesować.

Po studiach wróciła do Jużnomorska i zatrudniła się w NII⁷, zajmującym się urządzeniami chłodniczymi. Dwa lata później zapisała się na studia doktoranckie i zwróciła na siebie uwagę dyrektora, który niedługo potem został jej kochankiem. Drugi romans trwał wiele lat, dyrektor instytutu był żonaty i niczego nie obiecywał. Nie wiadomo, jak długo to by się ciągnęło, pewnie bardzo długo, dyrektor się do niej przyzwyczaił, była ładna, niegłupia i bardzo wygodna: zawsze pod ręką i niczego nie żąda. Ale gdy ojciec na dobre się rozchorował, Walentina już nie mogła zostawać po pracy albo przychodzić do instytutu w czasie weekendu pod pretekstem pilnego zlecenia, musiała zastępować pielęgniarkę i być w domu, przy Dmitriju Wasiljewiczu. Dyrektor ze zrozumieniem odniósł się do faktu, że Walentina nie może dłużej się z nim spotykać wieczorami w swoim

mieszkanii – przeprowadziła się do ojca, a innych miejsc, w których mogliby się spotykać, nie mieli do dyspozycji. Pozostawał jego gabinet dyrektorski, ale korzystanie z niego w tygodniu było niebezpieczne, a w dni wolne Wala nie mogła. I tak się wszystko skończyło.

Walentina nawet sama nie zauważała, że pociągali ją mężczyźni nietuzinkowi i wybitni – najpierw zainteresowała się utalentowanym fizykiem, któremu wszyscy przepowiadali błyskotliwą karierę, a później dyrektorem, który miał stopień doktora habilitowanego, był uznanym naukowcem i jej opiekunem naukowym. Gdyby ją zapytano, odparłaby bez wahania, że ich kochała. I pewnie tak było. Kłopot polegał jednak na tym, że nikogo innego nie potrafiłaby pokochać, ponieważ pragnęła błyszczeć odbitym światłem, przekonana, że tylko w ten sposób coś sobą reprezentuje. Czuła się komfortowo jedynie u boku mężczyzny nieprzeciętnego i wybitnego, to podwyższało jej samoocenę. Musi przyłgnąć do kogoś silnego i być tuż obok – tylko wtedy będzie się czuła szczęśliwa.

Jej nowy znajomy, Sławomir Iljicz, jest niewątpliwie kimś wybitnym, to naukowiec prowadzący tajne badania. W dodatku to człowiek wykształcony, z olbrzymią wiedzą...

⁷ NII (Nauczno-issledowatielskij institut) – Instytut Naukowo-Badawczy.

ROZDZIAŁ 6

Lotnisko w Jużnomorsku okazało się przestronne i nowoczesne, widocznie wybudowano je niedawno. Znalazłszy się w hali przylotów, Nastia i Czistiakow się rozejrzeli.

– To co, szukamy taksówki? – zapytał Aleksiej.

Nastia dostrzegła ukryte za filarem wejście do bistra.

– Chodźmy napić się kawy, Losza, dobrze? – poprosiła płaczliwie. – Zerwaliśmy się skoro świt, do tej pory nie mogę się obudzić, a w samolocie kawa jest paskudna, więc jej nie piłam.

Weszli do bistra i ulokowali się przy jednym z wielu pustych stolików wątpliwej czystości.

– Myślisz, że tutaj kawa jest lepsza niż w samolocie? – Czistiakow z obrzydzeniem przesunął palcem po blacie.

– Miejmy nadzieję. – Nastia westchnęła. – Weź też jakiś pasztecik albo drożdżówkę, bo przecież nie wiadomo, kiedy uda nam się coś zjeść.

Aleksiej podszedł do bufetu i podczas gdy wątpła, na oko osiemnastoletnia dziewczyna przygotowywała zamówienie, wziął ze stojaka czasopismo i wsunął je pod pachę.

– Co tam zwędziłeś? – zapytała Nastia, gdy mąż wrócił z tacą w rękach.

– Informator „Rynek nieruchomości w Jużnomorsku”. I nie zwędziłem, tylko wziąłem legalnie, broszury są bezpłatne.

– Po co ci informator? – zdziwiła się Nastia.

– Musi zawierać sporo liczb, a liczby to nasza wspólna pasja. Będziemy mieli okazję sprawdzić, jak kształtują się ceny w mieście i co za tym idzie, wartość spadku twojej klientki. Szczerze mówiąc, tamte liczby, które ci podała, nie budzą mojego zaufania. Mamy co prawda do czynienia z miejscowością nadmorską, ale to przecież nie stolica. No i jak ci smakuje tutejsza kawunia?

Nastia pociągnęła łyk z białej filiżanki ze złotą obwódką i się skrzywiła.

– Wstrętna, ale to i tak lepsze niż nic. Za to drożdżówka jest smaczna, spróbuj.

– Nie ma mowy – odparł Czistiakow. – Jedz sama, zaczekam, aż dostaniemy normalne jedzenie.

– Aha. – Nastia skinęła głową. – Jeśli je tu w ogóle znajdziesz, mój ty optymisto.

Podczas gdy piła kawę i jadła drożdżówkę, Aleksiej kartkował informator.

– Popatrz tylko – powiedział zdziwiony – jest tutaj ponad pięćset miejskich i podmiejskich nieruchomości. To znaczy, że ludzie się budują, kupują, inwestują, a więc rynek jest stabilny. Sprawdźmy jeszcze ceny mieszkań.

Przewrócił parę stron i zabrał się do analizowania ofert sprzedaży mieszkań.

– Niesłychane! – zawołał. – Zobacz, Aśka, mieszkanie sto trzydzieści cztery metry kwadratowe, dwieście pięćdziesiąt metrów od morza, cena – dwadzieścia osiem milionów.

– Ile?! – Nastia omal się nie zakrztusiła.

– Dwadzieścia osiem. Ale pochodzi z rynku pierwotnego i podobno jest po kapitalnym remoncie. A jakie mieszkanie ma twoja klientka?

– Trzy pokoje, pięć minut od morza.

– No to przejrzyjmy rynek wtórny... Jest, znalazłem: mieszkanie trzypokojowe, osiemdziesiąt metrów, dwie minuty od morza, osiem i pół melona. Też zapiera dech w piersiach. A tutaj jeszcze jedno, siedemdziesiąt metrów, z widokiem na morze, więc do plaży trzeba pewnie nieźle drałować, dziewięć i pół.

– No tak – powiedziała Nastia w zamyśleniu. – Walentyna Dmitrijewna chyba nie minęła się z prawdą. Ceny tutaj są rzeczywiście zabójcze.

W informatorze znalazła się też dość dokładna mapa Jużnomorska, więc oboje skwapliwie się nad nią pochyłili. Już na pierwszy rzut oka było widać, jak układały się losy miasta. W jednej części zabudowa była ciasna, a ulice kręte, za to ich nazwy pochodziły od nazwisk pisarzy – Gorkiego, Czernyszewskiego, Gribojedowa, Twardowskiego, Czechowa, Turgieniewa. Z kolei w drugiej części dominowały nazwiska działaczy politycznych, takich jak Kujbyszew, Swierdłow, Kirow. Ulice „literackie” były położone nad morzem, a „polityczne” zaczynały się nad brzegiem, biegły w głąb miasta, okalały „literackie” i kończyły się na przedgórzu, gdzie, jak pokazywała mapa, znajdowały

się szpitale i sanatoria. Pomiedzy „literacką” i „polityczną” częścią miasta mieściły się aquapark, oceanarium i delfinarium, a także dwa duże nowoczesne hotele, jeśli wierzyć mapie, z własnymi plażami.

– A gdzie jest nasz hotel? – zainteresował się Czistiakow.

Nastia sięgnęła do torebki po kartkę z adresem. Okazało się, że ulica Nadmorska znajduje się nieopodal nabrzeża, w części „literackiej” Jużnomorska, i jest wciśnięta pomiędzy ulice Hercena i Korolenki.

– Przynajmniej w tym nam się poszczęściło – powiedział Losza z satysfakcją. – Będziemy sobie spacerowali po deptaku i czuli się jak światowcy.

– A raczej jak ich marne kopie – dodała Nastia. – Chodźmy poszukać jakiegoś środka transportu.

Przed wejściem na lotnisko nie było taksówek, stali za to prywaciarze, więc już trzy minuty później Nastia i Losza jechali w kierunku hotelu „Rajski Zakątek”, który należał do przyjaciela nieżyjącego doktora Jewtiejewa, Nikołaja Stiepanowicza Biessonowa. Nastia zadzwoniła do niego z samochodu, więc kiedy podjechali pod kutą, wysoką bramę, Nikołaj Stiepanowicz już na nich czekał. Był szczupły i postawny, miał siwe, krótko ostrzyżone włosy, duży, garbaty nos, bujne wąsy i wesołe oczy.

– Nareszcie! – Mężczyzna nie krył swojej radości, prowadząc gości do budynku. – Waluszka dzwoniła już dawno temu, a was wciąż nie ma i nie ma. Przygotowałem wam ładny pokój, tylko nie przypuszczałem, że będzie was dwoje. Ale to nic, mam jeszcze inne

pokoje.

– Nie potrzebujemy drugiego pokoju – stwierdziła Nastia z uśmiechem. – Jesteśmy małżeństwem.

– Naprawdę? A to dopiero, zupełnie jak w filmie: małżeństwo prywatnych detektywów.

Pokój znajdował się na piętrze, był nieduży, ale przytulny, z przestronną, półokrągłą loggią, w której stały stół i dwa krzesła.

– Rozpakujcie się i umyjcie po podróży, za pół godziny czekam na was koło basenu z obiadem.

– Koło basenu? – zdziwiła się Nastia.

– No tak, a czemu nie? Mamy własną restaurację, stoliki są w środku, ale też na zewnątrz. Kto by chciał siedzieć w czterech ścianach w upalny letni dzień? No to czekam na was.

Gdy czterdzieści minut później zjawili się nad basenem, od razu zobaczyli nakryty stolik osłonięty daszkiem. Biessonow stał obok i mówił coś do sympatycznej kobiety w średnim wieku.

– Proszę. – Zrobił szeroki gest ręką, zapraszając do stołu. – Zaczniemy od przystawek na zimno, a później do wyboru jest baranina albo ryba.

– Baranina!

– Ryba!

Nastia i Czistiakow odparli jednocześnie, po czym spojrzeli na siebie i parsknęli śmiechem. Nikołaj Stiepanowicz też się roześmiał. Pogoda dopisywała, było ciepło, słonecznie i bezwietrznie, przystawki wyglądały apetycznie i okazały się bardzo smaczne, lazuruwa woda w

basenie lśniła, więc w pewnej chwili Nastia poczuła, jakby naprawdę znalazła się w raju. Ale przyjechała tutaj nie po to, żeby cieszyć się życiem, tylko po to, żeby pracować. Nie powinna marnować czasu.

– Długo pan znał Jewtiejewa, Nikołaju Stiepanowiczu? – zaczęła.

– Znaliśmy się z Mitką z dziesięć lat, poznał nas ze sobą mój stary przyjaciel, Jaszka Fridman. Mieszkali z Mitką w tym samym domu i obaj mieli bzika na punkcie wędkarstwa, wyjeżdżali czasem na parę dni, a nawet na tydzień w okolice Rostowa nad Donem. Wędkarstwo nie jest moją pasją, nigdy mnie nie pociągało, ale Mitia uwielbiał wędkować, był wytrawnym wędkarzem i kochał ryby, litował się nad nimi, łowił je tylko na wędkę albo na spinning z włosianą przynętą, kupował też specjalne haczyki, nieostre, żeby ryby nie czuły bólu i żeby ich mocno nie pokaleczyć. Wyobraźcie sobie, że woził ze sobą specjalną matę, żeby się nie męczyły, gdy je wyciągnie! I zawsze je wypuszczał. Nie zależało mu na zdobyczy, miał żyłkę sportowca – gdy złapał rybę, to ją wyciągał, ważył, fotografował i wypuszczał. Jego marzeniem było złowienie medalowego karpia ważącego z piętnaście kilogramów.

– A w ogóle są takie? – jęknęła Nastia.

– Ma się rozumieć. Oczywiście to wielka rzadkość, ale w delcie Donu, tam gdzie rzeka wpada do Morza Azowskiego, żyją takie ryby. Jaszka Fridman jest tak samo zwariowany, wędkarstwo ich zbliżyło. Było to z piętnaście lat temu, a może ciut więcej, no a później dzięki Jaszce poznałem Mitkę i od razu przypadliśmy sobie do gustu, nawet nie wiem dlaczego. Niby mamy różne zawody, wędkarstwo mnie nie

interesuje, a mimo to staliśmy się nierozłączni.

– A więc znał go pan zaledwie dziesięć lat – uściśliła Nastia. – Pański przyjaciel Fridman około piętnastu, ale przecież Dmitirj Wasiljewicz mieszkał w Jużnomorsku od osiemdziesiątego piątego roku. Nie wie pan, z kim się spotykał, zanim pana poznał?

– O to musi pani zapytać Gałkę, ona powinna dokładnie wiedzieć.

– A kto to jest Gałka?

Nastia z trudem powściągnęła uśmiech. Biessonow jest już po sześćdziesiątce i opowiada o swoich rówieśnikach, ale dla niego to nadal Mitka, Jaszka i Gałka. Jakby ten siwy i najwyraźniej dobrze sytuowany mężczyzna pozostał nadal chłopcem.

Ta sama sympatyczna kobieta zabrała brudne talerze, przyniosła czyste i podała Czistiakowowi duszoną baraninę, a Nasti i Nikołajowi Sitepanowiczowi flądre z grilla.

– Gałka to wdowa po chirurgu, który pracował w szpitalu na oddziale Miti. Bardzo się przyjaźnili. Gierka – tu Nikołaj Stiepanowicz zauważył, że Nasti drgnęły kąciki ust w uśmiechu, i od razu się poprawił, jakby czytał jej w myślach – a raczej Gierman Gieorgijewicz Simonian, umarł parę lat temu. Mitia był z nim do końca, razem z Gałką siedział przy jego łóżku, póki nie wydał ostatniego tchnienia. Gałka przyjaźniła się też z Szuroczką, odprowadzała ją w ostatnią drogę.

A teraz pojawiła się też jakaś Szuroczka.... Nazwiska Fridmanów i Simonianów Nastia już zapisała podczas rozmowy z Walentiną, ale o Szuroczce słyszała po raz pierwszy.

– Aleksandra Andriejewna, żona Miti – wyjaśnił Biessonow. – Umarła pięć lat temu. Tak, nie mylę się, najpierw odszedł Gierka, a później, jakieś dwa lata po nim, Szuroczka. Mitia boleśnie to przeżył, Giera i Szuroczka byli mu bardzo bliscy, a on stracił jedno po drugim w krótkim czasie. Załamał się wtedy. – Nikołaj Stiepanowicz ze smutkiem pokiwał głową. – Po śmierci Gierki jakoś się jeszcze trzymał, Szuroczka go wspierała, ale kiedy ona też odeszła, Mitia całkiem upadł na duchu, no a potem zwała się na niego choroba. Musicie koniecznie spotkać się z Gałką i z nią porozmawiać, ona na pewno opowie wam więcej o tamtym okresie, gdy go jeszcze nie znałem.

– Tak zrobimy – przytaknęła Nastia. – Nie wie pan, jak ją znaleźć? Gdzie mieszka?

– Nie potrafię dokładnie powiedzieć, gdzieś na prospekcie Woroszyłowa. Nigdy u nich nie byłem, ale można ją znaleźć na deptaku, ma tam kiosk, sprzedaje muszelki i różne pamiątki. Łatwo go znajdziecie, od hotelu w prawo do ulicy Hercena, później prosto do nabrzeża, tam skróćcie w lewo – najpierw będzie kawiarnia „Fregata”, a później jadłodajnia „Fala”, tuż za nią jest stoisko Gałki.

Nastia umieściła notes koło talerza i wszystko starannie zapisała.

– A jak znaleźć Fridmana?

– To żaden problem, zaraz do niego zadzwonię.

Biessonow wyjął telefon komórkowy i zaczął naciskać klawisze.

– W domu nikt nie odbiera – oznajmił, wybierając jeszcze jeden numer – ale nie ma się czemu dziwić, dzień wolny, może pojechali na

daczę albo poszli na spacer. Patrzcie państwo, komórka jest poza zasięgiem... Gdzie on się podział? Chwileczkę, zaraz zadzwonię do jego syna, on powinien coś wiedzieć.

Syn Fridmana oznajmił, że rodzice pojechali na połów ryb i wrócą za jakieś siedem, a może dziesięć dni, zależy czy ryby będą brały. To znaczy, że trzeba będzie czekać, aż Fridman wróci, pomyślała zirytowana Nastia. A przeczuwała, że wyjazd do Jużnomorska podczas dni wolnych to głupi pomysł! Ale Jewtiejewa się uparła, a Stasow jej przytakuje.

– A przy okazji, syn Jaszki przyjaźni się z Żeńką, starszym synem Miti – powiedział Biessonow. – Prowadzą chyba wspólne interesy, w każdym razie łączą ich jakieś sprawy.

Tę informację Nastia też sobie zanotowała, a nuż się przyda.

Ze słów Biessonowa wynikało, że zmarły lekarz niczego nie kolekcjonował. Nikołaj Stiepanowicz nigdy nie słyszał o unikatowych rzeczach. W skład majątku Jewtiejewa wchodziło mieszkanie, dacza i samochód.

– Ale daczę ma drogą, nad morzem. Gdyby się znajdowała w pasie przedgórza, byłaby znacznie tańsza, chociaż ceny ziemi są tam wysokie – mówił właściciel hotelu. – W pobliżu gór powietrze jest czystsze i bardziej suche, dlatego zbudowano tam szpitale i sanatoria, a ludzie mieszkający w mieście blisko morza wolą mieć dacze położone bliżej gór.

– Czyżby Jewtiejew nie chciał oddychać czystym powietrzem? – zainteresował się Czistiakow.

– Ależ nie, po prostu trafiła mu się okazja. Akurat dawano, a raczej przydzielano działki na wybrzeżu. Zwyczajni śmiertelnicy nie mieli oczywiście szans, ale Mitce się poszczęściło. Jakiś partyjniak z komitetu miejskiego mu pomógł. Wszystkie działki miały przeważnie po sześć arów, została jedna, dziesięcioarowa. Gdyby wykroić z niej sześć arów, pozostałe cztery na nic by się zdały, no więc oddano ją w całości. Kto mógł wiedzieć, że władza radziecka upadnie, ziemię będzie można sprzedawać i kupować, a działka okaże się na wagę złota? Wicie, po ile teraz chodzi ar ziemi na wybrzeżu?

– Walentina mówiła, że po siedemdziesiąt tysięcy dolarów, ale nie sprawdzałam – przyznała się Nastia.

– A szkoda. Właśnie taka jest cena.

– Zdaniem Nikołaja Stiepanowicza Dmitirj Wasiljewicz nie miał wrogów.

– Prawdę mówiąc, Mitka miał trudny charakter, ciężko było się z nim dogadać, więc otaczało go niewielu przyjaciół. Był tylko Gierka, no i my z Jaszką, nikt więcej nie mógł z nim wytrzymać. Weźmy żonę Jaszki, Rajkę, jest zapaloną miłośniczką wędkowania, no więc ona lubiła Mitkę, ale na przykład moja małżonka nie zaakceptowała jego charakteru, nigdy z nami nie siadywała i nie odwiedzała ze mną Jewtiejewów. Nie lubiła ani Mitki, ani Szuroczki.

– Dlaczego? – czujnie zapytała Nastia.

– Jewtiejewowie nie byli jej zdaniem miłymi i serdecznymi ludźmi. Wciąż w pracy, nie pośmieją się razem z innymi, nie pożartują. Oboje byli jacyś pogrążeni w sobie.

– A więc doktor Jewtiejew nie był lubiany? – uściślił Aleksiej.

– Jak by to powiedzieć... – Biessonow umilkł, wpatrując się w błękitną wodę w basenie. – Bardzo go szanowano jako lekarza i jako człowieka, ale raczej nie dawał się lubić. Był zamknięty w sobie, ponury, jak gdyby stale nie w humorze. Do tego trzeba było przywyknąć, dostosować się. My z Jaszką i Rajką się dostosowaliśmy, ale moja druga połowa nie. Szuroczka była surowa, oschła, zawsze waliła prawdę w oczy, komu się to mogło podobać? Nie miała w sobie kobiecego sprytu, niewieściej łagodności, mimo że do życia podchodziła poważnie, była obowiązkowa, ciężko pracowała, dbała o rodzinę. Była przyzwoitym człowiekiem.

Obiad i rozmowa zajęły całe dwie godziny. Nikołaj Stiepanowicz wrócił do swoich spraw, poleciwszy uprzednio Nasti i Loszy, żeby zwracali się do niego z każdym pytaniem i prośbą. Pokój, w którym urzęduje, mieści się na parterze, a on zawsze jest na miejscu.

Gdy sympatyczna kobieta sprzątnęła naczynia ze stołu, Nastia otworzyła notes i zaczęła studiować sporządzony jeszcze w Moskwie plan najpilniejszych zadań. Rozmowa z Biessonowem zaliczona. Rozmowę z Fridmanem trzeba odłożyć na nieokreślony czas. Galiny Simonian poszukają na deptaku. Pozostał jeszcze brat Walentyny, Jewgienij Dmitrijewicz Jewtiejew. Nastia wybrała jego numer i ku swojemu przerażeniu usłyszała, że Jewtiejew wypoczywa obecnie w Emiratach Arabskich i wróci dopiero jedenastego maja. Nie będąc w stanie opanować fali wzbierającej złości, zadzwoniła do Walentyny.

– Walentino Dmitrijewno, wiedziała pani, że brat wybiera się do

Emiratów podczas dni wolnych?

– Oczywiście, że wiedziałam – niewzruszenie odparła Jewtiejewa.

– Dlaczego nic mi pani o tym nie powiedziała?

– A po co? Jaki to ma związek z dochodzeniem?

Jaki? Czyżby ta gęś była zupełnie tępa i nie rozumiała oczywistych rzeczy?

– Gdyby mnie pani uprzedziła, przekonałabym panią, że wyjazd do Jużnomorska można odłożyć. Dzisiaj jest przecież dopiero trzeci maja, a pani brat wróci jedenastego. Będę teraz musiała czekać tutaj na niego, rozumie pani?

– Nie, nie rozumiem, co ma do tego mój brat i po co jest pani potrzebny. Jeżeli go pani o coś podejrzewa, proszę poszukać dowodów, bo on sam ich pani na pewno nie dostarczy.

– Ale może zna jakichś przyjaciół czy znajomych waszego ojca, może też wiedzieć coś, o czym pani nie wie! – z irytacją powiedziała Nastia.

– Bzdury! Wiem o wszystkim, byłam przy tacie przez ostatnie dwa lata, na własne oczy widziałam, kto go odwiedzał, i słyszałam, o czym rozmawiali. Żenia nie może wiedzieć czegoś, czego ja bym nie wiedziała.

Pewność siebie klientki zaczęła wyprowadzać Nastię z równowagi, więc pożegnała się z nią, zanim rozdrażnienie zdążyło przybrać formę słowną. A więc będzie musiała tkwić tutaj i czekać na Jewtiejewa juniora, bo przecież o długich rozmowach przez telefon nie ma co marzyć. Poza tym musi wyrobić sobie o nim własne zdanie. Na

Fridmanów też trzeba czekać. Ależ się porobiło! A jednak słusznie zrobiła, że namówiła Czistiakowa, żeby przyjechał razem z nią. Przed trzynastym maja na pewno nie uda im się wrócić do Moskwy.

Ponieważ rozdrażnienie wciąż jej nie opuszczało, zadzwoniła do Stasowa.

– Tak przypuszczałam, że wszyscy się rozjadą i ugrzęźniemy tu z Loszką na amen – powiedziała z gniewem. – A przecież cię uprzedzałam! Będziesz musiał płacić mi diety za dni, w których nie będę świadczyć pracy.

– No i co z tego? – odparł spokojnie Stasow. – To jakiś problem?

– A żebyś wiedział! Czuję się nieswojo, że przyjechałam, a sprawa stoi w miejscu. Nie jestem do tego przyzwyczajona.

– No to się przyzwyczajaj. Odpoczywaj, chodź na spacer. Woda jest ciepła?

– Ma szesnaście stopni – odburknęła Nastia. – Sam się w niej kąp, jak jesteś taki mądry. Bo ja nie wejdę do morza, nawet gdyby ktoś mi przykładał nóż do gardła.

– No to się opalaj, śpij, nie jesteś przecież dzieckiem, znajdziesz sobie zajęcie. Nawiasem mówiąc, masz męża pod bokiem.

W tym momencie Stasow zachichotał do słuchawki.

– A skoro jesteś taka wrażliwa, zapisuj dni, w których siedzisz z założonymi rękami, nie zapłacę ci za nie, będziesz wypoczywać na własny koszt.

Słyszając te słowa, Nastia Kamińska o dziwo od razu poweselała i się uspokoiła.

*

Już pierwszego wieczoru Nastia i Czistiakow wybrali się na spacer po nadmorskim deptaku. Wczasowiczów było niewielu, sezon dopiero się zaczął, mimo że upalna pogoda, jak zapewniał Nikołaj Stiepanowicz, utrzymywała się już ze dwa tygodnie. Morze okazało się szare i nieprzyjazne, zupełnie inne niż tamto, które Nastia zapamiętała jeszcze z czasów, gdy ostatnio spędzała urlop na południu. Czyżby morze zmieniło się przez ćwierć wieku? A może to ona, Nastia Kamieńska, się zmieniła? Zdumiała ją jeszcze jedna rzecz: morze nie miało zapachu, który tak dobrze pamiętała i który dawniej czuła na długo przed tym, zanim znalazła się na plaży. Teraz w powietrzu unosiły się duszące i dokuczliwe zapachy szaszłyków, kebabu oraz innych przekąsek, dolatujące z mnóstwa pootwieranych restauracji i kafejek na deptaku.

Nastia przyglądała się plaży ciągnącej się za balustradą. Gruby piasek, żadnych namiotów i parasoli dla turystów, plastikowe leżaki ułożone jeden na drugim pod daszkiem, obok ręcznie wypisany cennik: „1 godzina – 50 rubli, 2 godziny – 60 rubli, 3 godziny – 70 rubli, cały dzień – 100 rubli”. Nie ma nawet kabin prysznicowych, żeby zmyć sól morską ze skóry po kąpieli, tylko przebieralnie, ale ich też jak na lekarstwo.

– Jak myślisz, Losza, dlaczego plaża jest tak kiepsko wyposażona?
– zapytała.

– Nie ma właściciela. – Aleksiej wzruszył ramionami. – Nikt

niczego nie potrzebuje.

– A dlaczego nie potrzebuje? – Nastia nie ustępowała.

– To przecież sprawa prostej arytmetyki, Asieńko. – Czistiakow się roześmiał. – Widzisz na plaży wczasowiczów?

– Widzę – przytaknęła posłusznie Nastia.

– Wszyscy, a jest ich sporo, leżą na ręcznikach albo kocach. To raczej niewygodne, piasek jest gruby, więc pewnie wpija się w ciało, mimo to nikt nie wypożycza leżaków. Dlaczego?

– Może są za drogie. Ludzie oszczędzają.

– No właśnie. A gdyby wyposażyć plażę w sprzęt, trzeba by go pilnować, nie mówię już o tym, że trzeba zainwestować, kupić ten sprzęt i go zamontować. Doglądać, naprawiać, pilnować. To znaczy opłacać siłę roboczą. A więc co?

– A więc plaża powinna być płatna, żeby odciążyć kasę miejską. No i dochodzą też pensje kasjerów i kontrolerów. To znaczy, że opłata za korzystanie z plaży byłaby spora.

– I kto będzie wtedy z niej korzystał, skoro wypożyczenie leżaka za sto rubli to dla ludzi za drogo? Nikt.

– Masz rację. – Nastia westchnęła. – Zresztą jak zwykle.

Po obu stronach deptaka stały w luźnym szeregu liczne sklepiki, stragany, restauracje i kawiarnie, były też dziwne stoiska z szyldem „Przebij balonik”. Przy każdym stał naganiacz i głośno zapraszał wszystkich chętnych, żeby „przebijali baloniki i wygrywali nagrody”. Nastia przystanąła z ciekawością, żeby obejrzeć stoisko. Drewniana tablica z dwudziestoma pięcioma dużymi przegródkami, a w każdej z

nich nadmuchany balonik. Trzeba rzucić w niego lotką i go przebić. Za sto rubli osoba obsługująca stoisko wydawała sześć lotek, za sześć trafień klient otrzymywał dużą nagrodę, za pięć – średnią, za cztery przysługiwała mała nagroda. Na obracającym się stojaku wisiały trzy rodzaje nagród – były to zwyczajne pluszaki, które w dzień targowy kosztowały tyle co nic.

– Chcesz spróbować? – zaproponował Czistiakow.

– Ani myślę! – obruszyła się Nastia. – Za nic w świecie nie trafię.

– A ja spróbuję – postanowił Losza, wyjmując z portfela sturublowy banknot.

– Daj spokój, Losza.

Nastia próbowała odciągnąć męża za rękę, ale ten stał jak posąg i nie zamierzał ustępować.

– Dlaczego? Chcę spróbować.

– Ale to takie banalne... Proszę cię, Losza.

– Wstydzisz się? – Aleksiej uśmiechnął się wesoło i lekko ją odepchnął. – W takim razie odsuń się, udawaj, że nie jesteś ze mną.

– Nie wstydzę się, ale...

Było jednak za późno, Czistiakow już podał pieniądze dziewczynie, która od razu wydała mu sześć lotek. Zaczął je rzucać w baloniki i ani razu nie spudłował.

– Gratuluję – radośnie zaszczębiotała dziewczyna – wygrał pan dużą nagrodę.

Zdjęła ze stojaka i wręczyła mu dużą szaro-białą pluszową mysz, z którą Aleksiej nie wiedział, co zrobić. Dziewczyna od razu

zapropowała, żeby zagrał o nagrodę specjalną, to znaczy przebił osiem baloników.

– A jaka jest nagroda? – zainteresował się.

Na widok olbrzymiego różowego słonia, jeszcze bardziej niedorzecznego niż mysz, odmówił kontynuowania eksperymentu mającego na celu sprawdzenie własnej zręczności i celności, a mysz wcisnął od razu jakiemś szkrabowi, który mijał ich z rodzicami. Malec skwapliwie chwycił zabawkę, a jego rodzice uśmiechnęli się ze zdziwieniem i wdzięcznością.

– Trudno było trafić? – zapytała Nastia, podchodząc do męża.

– Łatwizna. I to w sytuacji, gdy nigdy nie rzucałem lotkami.

– To znaczy, że praktycznie każdy może dostać nagrodę, choćby najmniejszą? – uściśliła Nastia z niedowierzaniem. – W takim razie w czym tkwi haczyk? Na czym oni zarabiają?

– Policzmy – ochoczo zaproponował Czistiakow. – Za udział biorą sto rubli. Lotki kupują raz – i załatwione, bo one się nie amortyzują. Balonik kosztuje koło pięciu rubli, to znaczy, że sześć przebitych baloników jest warte trzydziestaka. Zabawka kosztuje jakieś dziesięć, piętnaście rubli, nie więcej, całkiem możliwe, że nic nie kosztuje, bo to towar wybrakowany gatunkowo. A więc czysty zysk z każdej otrzymanej od gracza setki wynosi pięćdziesiąt pięć rubli, i to pod warunkiem całkowitego sukcesu i przebicia sześciu baloników. Ale przecież nie wszyscy mają szczęście, niektórzy trafiają rzadziej, a więc nagroda jest tańsza i baloniki pozostają całe.

Nastia pokręciła głową.

– Sprytnie. Coś w rodzaju loterii bez przegranej.

Zauważyła, że spacerujący po deptaku wczasowicze ubrani są skromnie i niedrogo. Dobrze, że nie włożyła swojej ekstrawaganckiej sukni uszytej przez Tamarę – wyglądałaby w niej dziwacznie i zwracała powszechną uwagę. Dobrze też, że nie posłuchała męża i nie dała się namówić na kupno eleganckich i fantazyjnych sukienek. Ograniczyła się do białych spodni i zwyczajnych T-shirtów, które tutaj okazały się w sam raz. Co prawda Loszka kupił jej jednak modne okulary i będzie musiała je nosić, bo innych nie wzięła, ale w kwestii kapelusza, przy którym się upierał i który też jej kupił, Nastia jeszcze się zastanowi.

Okazało się, że kiosk z pamiątkami Galiny Simonian jest zamknięty, ale to nic, czasu mają teraz pod dostatkiem, więc zdążą odszukać wdowę po chirurgu Simonianie. Obok kiosku, tak jak mówił Biessonow, mieściła się jadłodajnia „Fala”, a naprzeciwko niej była kawiarnia o tej samej nazwie.

– Zajrzyjmy do środka – zaproponował Czistiakow.

– Jesteś głodny? – zdziwiła się Nastia, która wciąż jeszcze nie mogła dojść do siebie po sutym obiedzie.

– Jestem ciekaw, jak teraz wygląda jadłodajnia. W Moskwie jadłodajnie zostały tylko w urzędach i przedsiębiorstwach, w mieście tego rodzaju zakłady żywienia zbiorowego dawno straciły rację bytu. Mam ochotę przypomnieć sobie młode lata.

Gdy weszli do środka, Czistiakow od razu wbił wzrok w menu, które wisiało przy ladzie do wydawania posiłków. Wszystko brzmiało

nieźle, a ceny były rewelacyjne – za sto rubli można było zjeść dwa albo nawet trzy dania.

– A teraz chodźmy obejrzyć ceny w kawiarni o tej samej nazwie – zdecydowanie oznajmił Czistiakow. – Muszę się zorientować, co ile kosztuje.

– Po co?

– Bez powodu. Z ciekawości. Poza tym, gdy wrócę do Moskwy, w pracy zapytają mnie o Jużnomorsk i każdy będzie chciał wiedzieć, czy warto tu przyjechać. Muszę przygotować dokładne sprawozdanie. Jesteśmy jednostką sfery budżetowej, więc sama rozumiesz, nie wszystkich stać na Turcję albo Grecję.

Menu w kawiarni „Fala” zdumiało ich zarówno cenami, jak i nazwami dań.

– Zobacz, Aśka, sałatka „Czerniawe dziewczę”. Jak sądzisz, będzie zjadliwa?

Nastia zajrzała mężowi przez ramię do karty dań, po czym odkaszlnęła.

– Byłoby dziwne, gdyby za dwieście rubli okazało się niezjadliwe. A tutaj jest jakiś „Chutorek” aż za dwieście pięćdziesiąt. Ojej, a zobacz tutaj! Zamawiając tylko kawę, można zbankrutować! Nawet w Moskwie jest taniej.

– A więc postanowione. – Aleksiej kiwnął głową, zamykając kartę.
– Idziemy się przejść, a gdy zgłodniejemy, wrócimy tutaj na kolację i przy okazji dowiemy się, dlaczego wszystko jest tak drogie. Jeśli chodzi o mnie, moglibyśmy coś zjeść w jadłodajni, tanio i smacznie.

– Ale tutaj jest drogo, Losza.

– I co z tego? Sądzisz, że gdzie indziej jest taniej? Taniej będzie tylko w jadłodajni. A my mamy dzisiaj święto i nie pozwolę obniżyć rangi wydarzenia merkantylnym podejściem.

– Jakie święto? – Nastia przestraszyła się, że w ogólnym zamieszaniu znowu zapomniała o jakiejś ważnej dacie.

– Pierwszy dzień wspólnego pobytu nad morzem – uroczyście oznajmił Czistiakow. – Ostatni raz podobne wydarzenie miało miejsce ponad dwadzieścia lat temu. Uważasz, że nie warto tego uczcić?

– Warto – przyznała.

Nieśpiesznym krokiem przeszli deptakiem, oglądając po drodze towary w kioskach, interesując się menu i cenami w mijanych kawiarniach i restauracjach, porównując ceny dań i śmiejąc się z wymyślnych nazw. Gdy deptak się skończył, zawrócili do „Fali” i zajęli stolik przy samej balustradzie, żeby widzieć plażę, po której mimo dość późnej pory wciąż jeszcze kręcili się pojedynczy odważni kąpielowicze. Nastia spróbowała „Czerniawe dziewczę”, a Czistiakow zamówił „Chutorek”. Zjadłszy połowę swoich porcji, wymienili się najpierw talerzami, a następnie wrażeniami.

– Nic szczególnego. – Aleksiej wzruszył ramionami.

– To prawda. – Nastia skinęła głową. – Wyrzucone pieniądze.

Spośród dań na gorąco wybrali czarnomorskiego pstrąga. Mieli ochotę na rybę, która nie wiedziała i najpewniej nigdy się nie dowie, co to takiego zamrażarka i lód. Danie okazało się wyśmienite. Natomiast deser, który zjedli wyłącznie z ciekawości, ich rozczarował:

okazało się, że mimo egzotycznej nazwy były to zwyczajne lody, obficie polane mdląco słodkimi konfiturami. W sumie kolacja kosztowała ich półtora tysiąca rubli łącznie z napiwkami. Biorąc pod uwagę ceny w Moskwie, było to oczywiście do przyjęcia – w stolicy są przecież restauracje, w których można zjeść nawet za pięćdziesiąt tysięcy, choć bywają też kawiarnie, w których ceny są przystępne i obiad dla dwojga kosztuje znacznie taniej. Tak, pomyślała Nastia, Jewtiejewa miała rację w kwestii nadmorskiej arytmetyki, a przecież nie wzięliśmy najdroższych dań. Teraz wiadomo, dlaczego wszystkie kafejki i restauracje na deptaku świecą pustkami.

Po powrocie do hotelu usiedli w loggii i zabrali się do układania planu działania. Jutro spróbują odszukać Galinę Simonian, a jeśli im się nie uda, będą musieli poprosić o pomoc miejscową milicję. W przeddzień wyjazdu z Moskwy Nastia zadzwoniła do Iwana Aleksiejewicza Zatocznego, który obiecał, że w razie potrzeby umówi ją z kimś z wydziału kryminalnego w Jużnomorsku. A więc o kontakt z milicją nie muszą się martwić.

– Nie potrafię pozbyć się wrażenia, że zabójca kierował się chęcią zysku – powiedziała Nastia. – Sam pomyśl, kto by mordował starego mężczyznę, który lada chwila wyzionie ducha, nawet jeśli się komuś bardzo naraził? Natomiast konieczność niezwłocznego potwierdzenia swojej zdolności kredytowej to poważny motyw, warto by pójść w tym kierunku. Powinniśmy zacząć od brata klientki, Jewgienija Jewtiejewa, on wydaje się najbardziej obiecujący.

– Ale nie ma go przecież w mieście – zaproponował Aleksiej.

– No i co z tego? Na razie nie jest mi potrzebny. Musimy zebrać informacje o jego finansach. Kto wie, może jest hazardzistą?

– Niewykluczone, choć tutaj bym się z tobą spierał.

– W jakiej kwestii?

– Bo widzisz, Asieńko, zemsta jest irracjonalna. Na dobrą sprawę nie ma żadnego sensu. Mimo to ludzie jej szukają, to znaczy, że widzą w niej jakiś cel. Czasem człowiek musi coś zrobić, żeby nie mieć poczucia, że jego krzywda uszła komuś płazem, rozumiesz?

– A więc uważasz, że zemsta to puste słowo? – z niedowierzaniem zapytała Nastia.

– Naturalnie. Cokolwiek zrobisz w akcie zemsty, nie sprawisz, żeby było tak jak dawniej. Nie da się nikogo wskrzesić, naprawić złamanego życia, wykreślić z pamięci wyrządzonej krzywdy, zmusić kobiety do miłości. Albo mężczyzny, zależnie od sytuacji. Za zemstą stoją wyłącznie motywy osobiste, a one są dla każdego inne.

– Możliwe – przyznała Nastia w zamyśleniu – całkiem możliwe. Ale za co ktoś miałby się mścić na starym lekarzu, który przez całe życie leczył dzieci? Nie, Losza, raczej jestem skłonna szukać motywu rabunkowego. Zapamiętaj moje słowa: albo brat klientki przyłożył do tego rękę, albo w rodzinie było coś cennego, o czym klientka nie wie. Niewykluczone też, że obie hipotezy się połączą, jeśli się okaże, że cenna rzecz istniała, a brat o niej wiedział.

Lekki, ciepły wiaterek poruszał gałęziami potężnych platanów, woda w basenie była już nie błękitna, ale srebrzystoszara, i Nastia pomyślała, że dobrze jest siedzieć z mężem i wiedzieć, że przed nią

długi, spokojny sen, którego nie przerwie dzwonek telefonu z żądaniem „pilnego stawienia się”, a rano zjeść bez pośpiechu śniadanie i wypić kawę przy stoliku na świeżym powietrzu... Chyba naprawdę znalazła się w rajskim zakątku.

*

Garnitur leżał fatalnie, więc Ardajew skrzywił się z odrazą, patrząc na swoje odbicie w lustrze przymierzalni. Spodnie wiszą, a marynarka marszczy się na rękawach. I to ma być marka?! Na kogo oni szyją w tym domu mody?

– Czy rozmiar jest odpowiedni? – dobiegł zza zasłony głos ekspedientki.

– Nie – głośno i z irytacją odparł Ardajew. – Ani rozmiar, ani fason. Niech pani przyniesie coś innego, tylko porządnego.

Po krótkiej chwili zasłona drgnęła i pojawiła się ręka z garniturem w szarą kratkę. Ardajew zerknął najpierw na nazwę firmy, która wydała mu się nieznana, a później na cenę. Cena była imponująca, ale daleko jej było do tych, które powinny mieć markowe ubrania z prawdziwego zdarzenia.

– Tego nawet nie będę mierzył – oświadczył, zwracając garnitur. – Ubranie za takie pieniądze nie może być dobre.

Jego słowa odniosły właściwy skutek – od razu widać, że klient ma pieniądze i zna się na rzeczy. Parę minut później rozległ się inny głos, męski.

– Czy mogę zaproponować panu herbatę, kawę albo wodę? Proszę usiąść w fotelu, a my wybierzemy modele i je zaprezentujemy, sam pan zdecyduje, co przymierzyć.

Teraz to inna rozmowa. Szczerze mówiąc, Ardajew przyszedł do tego salonu właśnie ze względu na luksusową obsługę. Będzie siedział, pił herbatę i z pobłażliwą pogardą, mrużąc lekko oczy, patrzył na ekspedientów, którzy z przymilnym uśmiechem zaczną mu przynosić naprawdę drogie rzeczy z ekskluzywnych domów mody. Mężczyzna wciągnął swoje spodnie od Burberry'ego, koszulę od Dolce i Gabbana oraz marynarkę z ostatniej kolekcji Gucciego, po czym wyszedł z przymierzalni.

Ardajew lubił luksus. Właściwie chodziło nie tyle o luksus, ile o sytuację, w której traktowany jest jak człowiek z pieniędzmi. I to dużymi. Właśnie dlatego ubierał się tylko w Moskwie – tutaj było drożej. Mógłby oczywiście kupić bilet klasy ekonomicznej do Mediolanu albo do Monachium, zarezerwować niedrogi hotel i w ciągu trzech, czterech dni ubrać się od stóp do głów w markowe ciuchy, nie płacąc za procedury celne ani za wynajem powierzchni handlowych w centrum stolicy – i tak wyszłoby taniej. On jednak nie chciał, żeby było taniej, nie lubił tanich rzeczy, wolał kupować tam, gdzie wszystko jest drogie i gdzie sprzedawcy doskonale wiedzą, że oferują ceny dwukrotnie albo nawet trzykrotnie wyższe. To samo można kupić w innym miejscu taniej, gdy jednak człowiek kupuje tutaj, to znaczy, że ma tyle pieniędzy, że różnica w cenach nie gra roli – najzwyczajniej w świecie jej nie zauważa. Ekspedienci zaczynają na niego patrzeć jak

na klienta, który „może sobie na to pozwolić”. Oto co się naprawdę liczy dla Ardajewa. Z tego samego powodu lubi też drogie restauracje, chociaż ich kuchnia wcale nie należy do najlepszych, za to kelnerzy i maître d’hôtel patrzą na niego tak, jak lubi.

Pieniądze z ostatniego wpływu już się kończą, ale stać go na jeszcze jeden drogi garnitur. Pozostałe środki powinny wystarczyć na wygodne życie jeszcze przez miesiąc albo dwa, bez konieczności rezygnowania z przyjemności. Za wszelką cenę musi znowu zdobyć pieniądze. Dużo pieniędzy. Pora zmienić samochód. I sprawić sobie nową utrzymankę, poprzednia już mu się znudziła. Byłoby też nieźle pojechać zimą do Courchevel, ceny są tam niesłychanie wysokie, ale tego akurat mu trzeba.

Ardajew pił małymi łykami źle zaparzoną herbatę (to ma być butik!) i spod przymkniętych powiek spoglądał na to, co mu proponowali ekspedienci.

– Na ten pulower jest teraz korzystna zniżka...

– Z wyprzedazy nawet nie proponujcie – ze wstrętem wycedził Ardajew. – Interesują mnie tylko ostatnie kolekcje.

O, ten garnitur od Armaniego wygląda nieźle, i ten też, od Brioniego, jest godny uwagi. Pytanie tylko, jak będą leżały na jego figurze, której daleko do ideału. Ardajew wybrał rzeczy i znowu ruszył do przymierzalni. Tak, jak przypuszczał, jeden garnitur leżał kiepsko, za to drugi zdawał się niemal szyty na miarę. Mężczyzna obejrzał się uważnie ze wszystkich stron i uśmiechnął z zadowoleniem. Może być.

Odsunął zasłonę i wyjrzał z przymierzalni.

– Proszę dobrać do niego koszulę i pozostałe dodatki – rzucił, nie patrząc na ekspedientów.

To, co mu zaproponowano, było oczywiście najdroższe, łącznie z koszulą, krawatem od Hermesa i paskiem do spodni. Nawet skarpety kosztowały krocie, a buty były ze skóry kajmana. Ale on, Ardajew, może sobie na to pozwolić.

Zakupy spakowano do dużej torby firmowej, dołączając jako prezent niedrogą torbę podróżną na pościel, i Ardajew ruszył dalej, w stronę swojego ulubionego zaułku Tretiakowskiego, do którego miał najwyżej piętnaście minut pieszo. Zatrzymywał się przed witrynami sklepów, wchodził do butików, oglądał rzeczy i marzył, że już niedługo kupi sobie i ten zegarek znanej firmy, i te buty ze skóry pochodzącej z nogi strusia, i ten gruby kardigan z owczej wełny z firmowymi znakami Dolce i Gabbana, nie odmówi sobie też tamtej kurtki ze skóry z trykotowymi wstawkami od Prady. I tej wspaniałej torby z cielej czokoladowobrązowej skóry za sto czterdzieści tysięcy, wyłożonej w środku zamszem, w sam raz na dwu-, trzydniowe wyjazdy. Ale to wszystko później, gdy znowu pojawią się pieniądze. A one na pewno się pojawią, trzeba tylko uzbroić się w cierpliwość.

Nasyciwszy wzrok i nacieszywszy się marzeniami, mężczyzna udał się na obiad do restauracji, w której często bywał i w której go pamiętano, a nawet lubiano za hojne napiwki. Złożył zamówienie, nie zaglądając do menu, a gdy kelner odszedł, wyjął telefon. Był ożywiony, jak zawsze po wyprawie do sklepów, a zwłaszcza po drogich zakupach, więc uznał, że dzisiaj los musi się do niego uśmiechnąć. Zaraz

zadzwoń i usłysz, że wszystko w porządku, sprawa ruszyła z martwego punktu i już wkrótce zobaczy efekt. To znaczy, że już niebawem pojawią się długo oczekiwane pieniądze.

– No co tam u was słyszać? – rzucił niedbale do słuchawki, pewien, że i tak zostanie rozpoznany, toteż nie musi się przedstawiać ani nawet witać.

Jednakże to, co usłyszał, ogromnie go rozczarowało. Sprawa nie ruszyła z miejsca i nie wiadomo było, kiedy pojawią się jakiegokolwiek rezultaty.

– Zaczynam żałować, że oddałem obiecującą sprawę w wasze ręce – powiedział oschle. – Nie potraficie sobie z nią poradzić. Powiniennem być poszukać kogoś innego.

Przez pewien czas musiał słuchać tłumaczeń, skarg na niedokładność wstępnych danych i niekompletność informacji oraz zapewnień, że w najbliższym czasie poczynione zostaną postępy.

– Nie nadajecie się do pracy, której się podjęliście – Ardajew ze złością skończył rozmowę. – Puściliście wszystko na żywioł i straciliście całkowitą kontrolę nad sytuacją.

Radosny nastrój, który go niedawno ogarnął, pierzchnął bez śladu, więc swój wyszukany obiad zjadł zupełnie bez apetytu.

*

Małżonkowie Sorokinowie oddawali się cichej przyjemności wspólnego czytania: Wilen Wiktorowicz leżał wyciągnięty na kanapie,

podsunąwszy pod plecy miękką poduszkę, a Angelina Michajłowna czytała na głos nową, szeroko rozreklamowaną w prasie powieść znanego francuskiego pisarza. Od dawna tak się utarło, jeszcze w tamtych czasach, kiedy nowe, ambitne książki były trudno dostępne, więc pożyczano je od przyjaciół albo z biblioteki i długo ustalano, kto będzie czytał pierwszy, a kto zaczeka. Angelina Michajłowna miała świetną dykcję, czytała nieśpiesznie i z wyczuciem, dzięki czemu problem sam się rozwiązał. Wprawdzie czytanie książki zabierało sporo czasu, za to nikt nie czekał i nie zazdrościł innym.

Idylliczny obrazek zakłócił dzwonek telefonu. Wilen Wiktorowicz dał żonie znak, żeby przerwała, i sięgnął po komórkę. Telefon był widocznie ważny, pod ten numer mogła dzwonić tylko jedna osoba.

– Jest coś nowego? – rozległo się w słuchawce.

– Na razie nie. – Sorokin westchnął.

– Długo jeszcze będziecie się grzebać? Czas leci, a wy nie posunęliście się ani o krok, nie osiągnęliście żadnego rezultatu. Co się z wami dzieje, Wilenie Wiktorowiczu?

– Ale przecież się staramy... – odparł zmieszany Wilen, który chyba nie spodziewał się tak gwałtownego ataku. – To nie nasza wina, że jeszcze się nie udało... Staramy się, już obraliśmy kierunek...

– Mieliście całe trzy dni, w tym czasie można było dokonać cudów, a wy wciąż drepacie w miejscu! – Tym razem rozmówca podniósł głos, który teraz brzmiał gniewnie i wydawał się zniecierpliwiony. – Dobrze, jutro się spotkamy, wszystko dokładnie omówimy i opracujemy strategię.

Wilén Wiktorowicz odłożył telefon na stół i zerknął stropiony na żonę.

– Wścieka się. Nawet podniósł głos. Ale przecież to nie nasza wina, prawda, Gelu? Robimy wszystko, co w naszej mocy, a ten... a on pozwala sobie na mnie krzyczeć.

Angelina Michajłowna zdjęła okulary do czytania, położyła je na otwartej książce, wyciągnęła rękę i pogłaskała męża po dłoni.

– Oczywiście, Wileńka, że się staramy, robimy wszystko, co tylko się da w tej sytuacji. On pewnie nie bierze pod uwagę ograniczeń, które nam nałożył. Tego nie wolno, tamtego nie wolno, tego nie mówić, o to nie pytać, bez przerwy kręcimy się w kółko. A to, że podniósł na ciebie głos, to głupstwo, nie bierz sobie tego do serca. Jest po prostu źle wychowany, jak wszyscy nuworysze. Przyświeca nam cel, i to szlachetny, niczym innym nie powinniśmy się przejmować.

Zazwyczaj Angelinie Michajłownie udawało się uspokoić męża. Tak było i tym razem. Ale coś jej mówiło, że ten raz będzie chyba ostatni. Wilén jest już na granicy wytrzymałości.

– Czytamy dalej? – zaproponowała spokojnie.

– Kto by miał teraz głowę do czytania... – Zdenerwowany Sorokin machnął ręką. – Lepiej przeanalizujmy sytuację i przygotujmy się do jutrzejszej rozmowy.

– Jutrzejszej? – zdziwiła się Angelina Michajłowna, która nie słyszała słów telefonicznego rozmówcy męża.

– No tak, powiedział, że jutro się spotkamy i wszystko omówimy. Opracujemy strategię. Niech to licho, za kogo ten buc się uważa? Za

wielkiego wodza? Wytrawnego polityka? Zamierza opracować strategię, myślałby kto! Gdyby się znalazł na naszym miejscu i spróbował zrobić to, co nam powierzył, wtedy bym zobaczył, jak daleko udałoby mu się posunąć przy takich ograniczeniach.

– A więc jutro musimy jechać?

– No tak. Powiedział, że przyśle samochód, jak zwykle na drugą.

– Szkoda. – Angelina Michajłowna westchnęła. – Jutro Lusienka pracuje na pierwszą zmianę, po trzeciej będzie w domu, umówiliśmy się, że nauczę ją robić ciasto na makaron. Ten nasz strateg burzy nam wszystkie plany.

– No właśnie – mruknął Wilen Wiktorowicz, który wrócił do równowagi i nieco się uspokoił. – Muszę mu to jutro koniecznie powiedzieć. Jeśli chce efektu, niech nie przeszkadza w pracy. Mamy coś smacznego do przegryzienia, Gelu?

Angelina Michajłowna uśmiechnęła się nieznacznie i poszła do kuchni. Dobrze знаła swojego męża, więc codziennie przygotowywała coś, co Wilen lubi i co może zjeść w przelocie. Pasztecik, tartaletka z nadzieniem sałatkowym albo drożdżówka zawsze były dla niego najlepszym lekarstwem na stres.

*

Pułkownik Alekpierow nie rzucał słów na wiatr i po spotkaniu z Borisem Krotowem zajął się poważnie poszukiwaniami Walerija Stiecenki, który został skazany w 1986 roku za zabójstwo kochanki

Łarisy Krotowej. Potrzebował dwóch dni, żeby się dowiedzieć, że po wyjściu z kolonii karnej Stiecenko osiadł w Twerze, w każdym razie właśnie tam wydano mu w 2002 roku dowód osobisty nowego wzoru. Alekpierow musiał odbyć z dziesięć rozmów telefonicznych, zanim dotarł do dzielnicowego, który miał w swoim rejonie ulicę, na której był zameldowany Stiecenko.

– A po co on panu? – odpowiedział pytaniem na pytanie milicjant, gdy Khanowi udało się wreszcie do niego dodzwonić.

– A czemu pan pyta? – szybko zripostował Alekpierow. – Nikt jeszcze nie zakwestionował potrzeby operacyjnej.

– Niby tak. – Dzielnicowy westchnął zagadkowo. – Tyle że wasza potrzeba straciła aktualność. Ktoś go zabił. Nawiasem mówiąc, u was w Moskwie.

– Kiedy?

– Całkiem niedawno, trzy tygodnie temu.

– Sprawca został ujęty?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo. – Dzielnicowy się uśmiechnął.

– Kim my jesteśmy, żeby stołeczni wywiadowcy zdawali nam sprawozdanie?

Alekpierow szybko się domyślił, że dzielnicowy nie przepada za moskiewską milicją. Musiał ratować sytuację.

– No to niech pan przynajmniej coś o nim opowie – poprosił przymilnym głosem. – Jak żył, ile pił, czy był zatrzymywany. No i w ogóle, z czego się utrzymywał.

– Z czego się utrzymywał, nie wiem, przez ostatnie lata nie

mieszkał w moim rejonie. Przygruchał sobie babę i się do niej przeniósł. Chyba mieli nawet dziecko. U nas nie był notowany.

– No to skąd pan wie, że go zabito?

– Przyszło zapytanie z Moskwy, weryfikowano jego dane osobowe.

– Nie pamięta pan, skąd było zapytanie?

– Z Centralnego. Ma pan jeszcze jakieś pytania?

– Dziękuję – odparł Khan.

A więc do zabójstwa Walerija Stiecenki doszło w Okręgu Centralnym stolicy. To się świetnie składa, ponieważ szefem wydziału kryminalnego jest tam Nikołaj Aleksandrowicz Siełujanow, dla Khana po prostu Kolka, dawny kompan i bardzo dobry wywiadowca. Wprawdzie „dobry wywiadowca” nie oznacza „dobrego szefa”, ale pewnie znajdą wspólny język.

Godzinę później pułkownik Alekpierow siedział w gabinecie pułkownika Siełujanowa i nalewał koniak do niezbyt odpowiednich dla tak wyszukanego trunku kieliszków do wódki. Nikołaj Aleksandrowicz nie znalazł jednak innych naczyń, mniej lub bardziej nadających się na przyjacielską libację.

– Zabójstwem Stiecenki zajmuje się lejtnant Jeżow – powiedział Siełujanow, krojąc na duże kawałki soczyste zielone jabłka. – Już go szukają, zaraz przyjdzie i wszystko ci opowie.

Zdążyli wypić po dwa kieliszki i omówić dziwne, ich zdaniem, decyzje podejmowane w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, gdy wszedł Jeżow – dobrze zbudowany, sympatyczny chłopak, którego szczerą twarz zdobiły dwie ledwie widoczne, równoległe blizny,

biegnące od kącika ust do ucha.

Walerija Stiecenkę zabito jedenastego kwietnia koło północy albo nieco później w zaułku Grocholskim. Ciało leżało w ukrytej wśród drzew altanie w odległości jakichś piętnastu metrów od domu. Mężczyźnie rozbito głowę czymś ciężkim, obok zwłok poniewierał się kawałek metalowej rury. Okoliczni bezdomni natychmiast zostali zabrani na komisariat i skrupulatnie przesłuchani. Z ich słów wynikało, że późnym wieczorem w altanie zjawili się dwaj mężczyźni, jeden z nich dał śpiącym tam włóczęgom dwie butelki piwa i poprosił, żeby zwolnili miejsce na przyjacielskie spotkanie. Włóczędzy wzięli piwo i przenieśli się na drugą stronę podwórza. Opróżnili butelki i smacznie zasnęli. Obudzili się dopiero rano, gdy znaleziono ciało, rozległy się głośnie krzyki i podniosła wrzawa. Jak wyglądali ci mężczyźni i czy jeden z nich był akurat tym, którego znaleziono później martwego, nie potrafili powiedzieć: po pierwsze, było bardzo ciemno, koło altany nie ma światła, a po drugie, wyrwano ich ze snu i byli wstawieni, więc nie przyglądali się bliżej przybyszom – najważniejsze, że mogli wałnąć klina.

Bezdomnym, ma się rozumieć, nie uwierzono i zatrzymano ich „do wyjaśnienia”. Jednakże niebawem trzeba ich było wypuścić, bo przy Stiecence znaleziono dokumenty i pieniądze, tak więc włóczędzy nie mieli żadnego powodu, żeby go zabić. Wprawdzie początkowo podejrzewano, że Stiecenko miał znacznie więcej pieniędzy, niż przy nim znaleziono, a to znaczy, że bezdomni przywłaszczyli sobie jakąś sumę, toteż trzymano ich za kratkami, ale kiedy wyszło na jaw, gdzie

pracowała ofiara, i przesłuchano brygadzystę, okazało się, że Stiecenko miał przy sobie dokładnie tyle, ile mu zapłacono po skończonej pracy. No a kiedy nadeszła ekspertyza, nieszczęśników od razu zwolniono – na rurze nie znaleziono ich odcisków palców.

Najciekawsze było to, że na rurze nie było żadnych odcisków, podobnie jak krwi, fragmentów mózgu czy włosów. Nasuwał się wniosek, że rura poniewierała się w altance, natomiast Stiecenkę zabito jakimś innym narzędziem. Jednakże orzeczenie ekspertów było precyzyjne i jednoznaczne: kształt narzędzia idealnie pasuje do brzegów rany. To znaczy, że do zabicia Walerija użyto właśnie tej rury, a jeśli innej, to tego samego kształtu, którą przestępca zabrał. Ostatnie przypuszczenie wydało się wywiadowcom i śledczemu mało wiarygodne, ale pierwsze musieli przemyśleć. Nasunęła im się jedynie hipoteza, że zabójca przyniósł ze sobą nieszczęsną rurę, uprzednio ją w coś zawinąwszy, na przykład w reklamówkę, i uderzył Stiecenkę, nie zdejmując opakowania, po czym wyjął narzędzie i je wyrzucił. Tylko po co? Chyba nie chciał go dźwigać. Właściwie po co miałby je ze sobą zabierać? No a reklamówka, czy co to naprawdę było – to już rzecz niebezpieczna, są na niej odciski palców, więc trzeba ją usunąć z miejsca przestępstwa.

Było też coś jeszcze: w altanie nie znaleziono ani butelki po alkoholu, ani kieliszków. Wprawdzie poniewierało się tam mnóstwo butelek oraz plastikowych i papierowych kubeczków, ale nigdzie nie było odcisków Stiecenki. Innymi słowy, kubeczka, z którego pił, na pewno tam nie było. Gdzie więc się podział? To oczywiste: zabójca

zabrał go razem z butelką, ponieważ były tam jego odciski. Ale jest też inne wyjaśnienie, o wiele prostsze. Faceci, którzy przepędzili bezdomnych, przekupując ich dwoma butelkami piwa, zjawili się tam przypadkowo, posiedzieli w altanie, opróżnili butelkę i sobie poszli. A Stiecenko i jego zabójca przyszli później i nie pili alkoholu. W takim razie po co przyszli? Miejsce jest przecież podejrzane, mroczne, no i niewolne od włóczęgów. Kto to może wiedzieć... Może coś załatwiali.

Po uwolnieniu bezdomnych skoncentrowano się na poszukiwaniu osoby, z którą Stiecenko mógł się spotkać późnym wieczorem jedenastego kwietnia. Znalaziono firmę, w której pracował, starannie przesłuchano wszystkich członków brygady, którzy zeznali, że w dniu zabójstwa zdali obiekt, należycie uczcili okazję, po czym Stiecenko z dwoma kolegami z brygady, braćmi Russu ze Smoleńska, wstąpił do wynajmowanego mieszkania po rzeczy, wszyscy razem dojechali do stacji Białoruskiej, gdzie Russu wysiedli, a Stiecenko pojechał linią okrężną dalej, do Komsomolskiej, bo musiał się dostać na Dworzec Leningradzki. Jego ciało znaleziono jednak niedaleko stacji Prospekt Mira. Nie wiadomo, czy mężczyzna pił w zaułku Grocholskim, ale miał dość wysokie stężenie alkoholu we krwi, chociaż można to również złożyć na karb zbiorowego świętowania po oddaniu obiektu. Tak czy inaczej, w altanie zjawił się nie sam, to nie ulega wątpliwości: jechał przecież na dworzec, po co miałby wysiadać w połowie drogi, gdyby kogoś nie spotkał? A może ktoś mu wyznaczył spotkanie? Czemu nie? Wprawdzie Stiecenko nie wspomniał o tym braciom Russu, ale niewykluczone, że spotkanie było potajemne. I znowu nie wiadomo,

jakie tajemnice mógł mieć robotnik budowlany. Chyba nie szpiegowskie?

– Dowiedzieliście się w końcu, z kim mógł się spotkać? – niecierpliwie zapytał Siełujanow, słuchając podwładnego.

– Sprawdziliśmy w Moskwie jego znajomych. Nie ma nikogo podejrzanego. Przede wszystkim brak motywu. Walerij Stiecenko z nikim się nie kłócił, od nikogo nie pożyczał pieniędzy, nikomu ich nie dawał, nikomu nie uwiódł też żony.

– No i co dalej? – Siełujanow wyraźnie zaczynał się irytować.

– Trzeba jechać do Tweru, zbadać krąg jego znajomych i ewentualne motywy zabójstwa. Może spotkał przypadkiem krajana i postanowili napić się razem, uczcić spotkanie, a później się poprzytykali, doszło do awantury, no i mamy efekt. Trudno tylko uwierzyć, że przypadkowo spotkany krajana wziął ze sobą rurę zawiniętą w reklamówkę i miał tyle oleju w głowie, żeby zabrać butelkę i kubeczki, jeżeli zabójstwo zostało popełnione w afekcie.

– No to dlaczego jeszcze nie pojechałeś? Czy ja muszę stać nad wami jak kat nad dobrą duszą i kontrolować na każdym kroku? Istne przedszkole, jak słowo daję! Czym ty się zajmujesz całymi dniami, Jeżow? Dlaczego do tej pory nie zrobiono elementarnych rzeczy?

– Zapomina pan, Nikołaju Aleksandrowiczu, ile mam innych spraw na głowie oprócz tego gastarbeitera – odparował Jeżow. – Nie wiem, w co ręce włożyć, to dla pana żadna nowość.

– Owszem. Ruszaj do roboty. I żebyś jutro był w Twerze!

Siełujanow zaczekał, aż za wywiadowcą zamkną się drzwi, po czym

z gorzkim westchnieniem obrócił się w stronę gościa.

– Wydzieram się na nich, udaję ostrego szefa, a w czym jestem lepszy? Gdy byłem wywiadowcą, też musiałem się uwijać, bo miałem dziesiątki spraw na głowie, nad jedną pracuję, drugą zawalam, o jednej pamiętam, o drugiej całkiem zapominam, jedna jest ciekawa, druga nudna, choćby mnie obdzierano ze skóry, nie mogę się zmusić, póki śledczy nie natrze mi uszu. Śledczy jest w jeszcze gorszej sytuacji. My, wywiadowcy, mieliśmy przynajmniej jakąś specjalizację: jedni kradzieże, inni rozboje, mieliśmy też zabójstwa i ciężkie uszkodzenia ciała, tak więc czy tego chcesz, czy nie – myślenie podąża w określonym kierunku i praca jest lżejsza. A śledczy ciągnęli wszystkie sprawy jak leci, specjalizację mieli czysto nominalną, więc pękały im głowy. Śledczy się zapłacze i zapomni, a ja się cieszę, że nikt mnie nie pyta. Bycie naczelnikiem jest do bani, bo gdy człowiek drapał się od samego dołu, wciąż pamięta, jak sam pracował, i nie ma serca, żeby kogoś ochrzanić.

Mężczyźni ponarzekali jeszcze na uciążliwość pracy w wydziale kryminalnym i Khan zaczął się żegnać.

– Przekaż pozdrowienia swojej koleżance – powiedział.

– Koleżance? Której?

– Kamieńskiej. Dawno jej nie widziałem.

– Przecież odeszła na emeryturę – oznajmił Siełujanow. – Jeszcze zimą.

– Naprawdę? – zdziwił się Khan. – Czemu? Znudziło jej się? Miała dosyć? Czy znalazła lepiej płatne zajęcie?

– Ma już swoje lata.

– Daj spokój! – Alekpierow się zachnął. – To niby w jakim jest wieku?

– Za miesiąc będzie świętować pięćdziesiąte czwarte urodziny.

– Niemożliwe! – jęknął Khan. – Byłem pewien, że przekroczyła dopiero czterdziestkę. Wygląda jak młoda dziewczyna – szczupła, z końskim ogonem, w dzinsach. Ale skoro stuknęła jej pięćdziesiątka, to nic dziwnego, teraz nie wszystkim przedłużają okres służby, czasy się zmieniły. Kiedyś pułkownik mógł pracować nawet do sześćdziesiątki i nie musiał się o nic martwić. Mnie też niebawem poproszą, żebym zwijał żagle. A ty jak sobie radzisz?

– Dostałem przedłużenie – z jakiegoś powodu ze smutkiem odparł Nikołaj. – Więc odbębnię jeszcze parę lat, a później będę musiał czegoś poszukać.

Informacje otrzymane w gabinecie Siełujanowa zbiły Khana z tropu. Nie ma wątpliwości, że zabójstwo Stiecenki nie jest przypadkowe, przestępca okazał się nazbyt przewidujący i beznamiętny. Ale to akurat najmniej interesowało Khanlara Alekpierowa. Nurtowało go co innego: skoro Stiecenko już trzy tygodnie gryzie ziemię, kto w takim razie wysłał zagadkowe listy do Borisa Krotowa? Może to wina nieudolnej poczty? Listy dzieliła kilkudniowa przerwa, Stiecenko wysłał je jeszcze przed śmiercią, ale szły długo, teraz takie rzeczy zdarzają się o wiele częściej niż kiedyś. Trzeba uważnie obejrzeć koperty i przeanalizować stemple z datami, sprawdzić, kiedy listy opuściły urząd pocztowy.

Alekpierow wsiadł do samochodu, włączył światło i wyjął obie koperty. Na pierwszej widniała data osiemnastego kwietnia, na drugiej – dwudziestego czwartego. A więc zanim pierwszy list wyjęto ze skrzynki i ostemplowano, Stiecenko nie żył już od tygodnia. Khan jeszcze raz uważnie obejrzał stemple. Pierwszy list został wysłany z Dubnej pod Moskwą, drugi z Małojarosławca w obwodzie kałuskim. Kopert nie zaadresowano ręcznie – zarówno adres, jak i treść listów wydrukowano na drukarce laserowej. Rozwiązanie nowoczesne, ale wielce niewygodne w śledztwie.

A zatem Alekpierow znalazł się w punkcie wyjścia: w chwili zabójstwa Łarisy Krotowej w mieszkaniu znajdowały się trzy osoby – dwie z nich nie żyją, a trzecia dostaje listy z propozycją wysłuchania opowieści o tym, co się wydarzyło, jakby sama tego nie wiedziała. Czyste brednie.

*

Nazajutrz po długim weekendzie Nastia i Aleksiej udali się z samego rana na deptak, żeby odszukać Galinę Simonian, ale jej kiosk był nadal zamknięty.

– Ciocia Gala nigdy tak wcześnie nie otwiera – wesoło oznajmiła dziewczyna, która dzień wcześniej wręczyła Czistiakowowi ogromną mysz jako nagrodę w grze.

– Ale przyjdzie dzisiaj? – zapytała Nastia.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Chyba tak. Pracuje codziennie.
- Wczoraj wieczorem jej nie było – zauważył Czistiakow.
- Zamknęła wcześniej.

Widocznie dziewczyna uznała wyjaśnienie za wyczerpujące, bo się odwróciła i znowu zaczęła namawiać nielicznych przechodniów, żeby spróbowali sił w rzucaniu lotkami do baloników.

Rano deptak był jeszcze bardziej wyludniony niż wieczorem, ale plaża okazała się nabita po brzegi. Wczasowicze leżeli na kocach i ręcznikach, a wzdłuż brzegu stały dziewiczo puste, śnieżnobiałe leżaki, za które nikt nie chciał płacić.

– Co robimy, spacerujemy i czekamy, aż Simonian otworzy kiosk? – zapytał Aleksiej.

– Jedźmy do urzędu skarbowego – zdecydowanie odparła Nastia. – Spróbujemy skontaktować się z nią po południu, teraz szkoda czasu.

– A wiesz, gdzie jest urząd skarbowy?

– Nie mam pojęcia, ale w Internecie jest wszystko. Gdy pływałeś rano w basenie, znalazłam oficjalną stronę i zanotowałam adres. Miejmy nadzieję, że miejscowi kierowcy bez trudu nas dowiozą.

– I co, wejdiesz jak gdyby nigdy nic, zapytasz o swojego Jewtiejewa i od razu dostaniesz potrzebne informacje? – Czistiakow zmrużył oczy z niedowierzaniem. – Uprzedź mnie zawczasu, do którego pokoju się wybierasz, będę stał na ulicy pod oknem, żeby cię złapać, kiedy wylecisz przez nie z hukiem.

– Niedoczekanie – prychnęła Nastia. – Przez trzy miesiące pracy u Stasowa nabyłam bardzo pożyteczne nawyki i nie mam już oporów,

żeby posługiwać się szeleszczącymi argumentami.

– Masz na myśli pieniądze?

– Pieniądze, Loszeńka, zwinięte w rulonik albo włożone do koperty.

Dość szybko złapali samochód i dziesięć minut później wysiedli koło budynku urzędu skarbowego.

– A skąd wiesz, komu należy wsunąć rulonik albo kopertę? – dopytywał się Czistiakow, gdy wchodzili po schodach.

– Zaraz zobaczysz – obiecała.

Podczas gdy wolnym krokiem przemierzali długi korytarz, Nastia uważnie studiowała wywieszki z nazwiskami pracowników urzędu.

– Szukasz konkretnej osoby?

– Nie, szukam pokoju dwuosobowego.

– Dlaczego dwuosobowego? – zdziwił się Czistiakow.

– Dlatego, że jeśli pokój jest jednoosobowy, to znaczy, że urzęduje w nim jakiś naczelnik. A jeśli są trzy osoby i więcej, trudno wybrać właściwą chwilę. Dwie osoby to dla nas idealne rozwiązanie.

– Niby czemu? – Losza nadal nie rozumiał.

– Długo by tłumaczyć. – Nastia machnęła ręką. – Lepiej ci pokażę.

Która godzina?

– Jedenasta, a dokładnie za siedem.

– Doskonale. Dzień pracy zaczął się o dziewiątej, więc najwyższa pora na herbatę. Zobacz, pokoje numer siedemnaście i dwadzieścia są dwuosobowe. Zajmujemy pozycję i nie spuszczaemy oczu z drzwi.

Na korytarzu było niewielu petentów, termin składania deklaracji minął, więc Nastia bez trudu znalazła dwa wolne krzesła. Gdy z

pokoju numer dwadzieścia wyszedł mężczyzna, już zaczęła się podnosić, ale zaraz opadła z powrotem na krzesło: owy osobnik pośpiesznie wkładać dokumenty do teczki, co sugerowało, że nie jest pracownikiem, ale petentem, zwłaszcza że do pokoju od razu weszła następna kobieta z kolejki.

Nastia i Aleksiej cierpliwie czekali. Po jakichś trzydziestu minutach w drzwiach pokoju numer siedemnaście ukazała się otyła, postawna dama z włosami wymyślnie upiętymi na czubku głowy i w bluzce z cekinami. W rękach trzymała niedużą portmonetkę. Nastia lekko szturchnęła męża łokciem: Uwaga!

Dama była już na korytarzu, ale cofnęła się, uchyliła drzwi i zapytała głośno:

– Na pewno nie pójdziesz? Może dasz się jednak namówić? Kisłowa ma urodziny, stawia tort.

– Nie kuś mnie – dobiegło z pokoju. – Mam dzisiaj dzień ścisłej diety, za dużo przytyłam. No i jestem zawałona papierkową robotą.

– Jak chcesz.

Dama starannie zamknęła za sobą drzwi, na jej twarzy malowała się ni to uraza, ni to irytacja.

– Idę – szepnęła Nastia. – Życz mi szczęścia.

Wszystko przebiegło szybko i sprawnie. Walcząca z nadwagą pani inspektor przyjęła pieniądze i zgodziła się przekazać informacje o stanie finansowym firmy Jewgienija Jewtiejewa. Obiecała, że niezwłocznie przejrzy dokumenty i spotka się z Nastią podczas przerwy obiadowej.

– Ale mogę pani powiedzieć nawet bez dokumentów: Jewgienija Dmitrijewicza zna całe miasto, ma dobrą reputację, jest człowiekiem przyzwoitym i ostrożnym, nie lubi ryzykownych interesów, nikt też nie zauważył, żeby uprawiał hazard, a jego firma nie ma długów. Jest bardzo zamożny i ma szczęście w biznesie – powiedziała inspektor.

– A kto go ochrania? – zainteresowała się Nastia.

– Milicja – beznamiętnie stwierdziła kobieta.

Wyglądało na to, że w ogóle jej nie peszy ani to, że handluje służbowymi informacjami, ani to, że pytania, na które musi odpowiadać, są delikatnej natury. Pewnie weszło jej to w krew, uznała Nastia. Nie jestem pierwszą osobą, która się do niej zwraca w podobnej sprawie.

Przespacerowali się z Czistiakowem po mieście, zajrzeli do paru sklepów, zjedli po czebureku⁸, siedząc na ławce, i koło pierwszej znaleźli się w kawiarni, w której Nastia miała się spotkać z panią inspektor. Kobieta była rzeczywiście na diecie, bo odmówiła deseru, piła tylko wodę. Nastia nie usłyszała od niej nic ciekawego, w finansach firmy Jewtiejewa panuje idealny porządek, nie ma mowy o jakichś podejrzanych transakcjach, niewywiązywaniu się z kontraktów albo niezwracaniu długów.

– Trzeba będzie zadzwonić do Zatocznego – stwierdziła Nastia z westchnieniem. – Obiecał dać mi namiary na kogoś z miejscowego OBEP-u⁹.

Iwan Aleksiejewicz Zatoczny skontaktował ją z niejakim Wadimem Uwarowem, który zgodził się pomóc w miarę swoich możliwości, ale

spotkanie wyznaczył dopiero nazajutrz, wymawiając się nawałem pracy.

– Znowu pół dnia bez zajęcia – poskarżyła się Nastia Czistiakowowi. – Jedyne nadzieje w Galinie Simonian. Jedźmy na deptak.

Jednakże nadzieje Nasti się nie spełniły, kiosk z pamiątkami i muszelkami wciąż był zamknięty.

– Nie pokazała się dzisiaj – powiedziała dziewczyna ze stoiska „Przebij balonik”. – Może jest chora.

– Nie orientuje się pani, gdzie mieszka?

– Skąd miałabym wiedzieć?

Nastia znowu zaczęła się denerwować. Nie była przyzwyczajona, żeby pracować w ten sposób: zrobić coś w godzinę, a przez parę następnych godzin próżnować. Próżnowanie okazało się jednak całkiem przyjemne. Może dlatego, że rzadko bywa gdzieś z mężem i spędza z nim stanowczo za mało czasu?

Ruszyli razem na spacer, żeby poznać miasto, zapamiętywali położenie ulic i przyglądali się domom, nie mogąc się nadziwić zaskakującej zabudowie: nowe wille i hotele sąsiadowały ze starymi, niekiedy walącymi się chatkami, a nawet zupełnymi ruderami. W pewnym momencie zobaczyli wystawny dom w stylu włoskim z ażurowym białym ogrodzeniem, a obok niego chałupę z przekrzywionym płotem, przed wejściem parkował stary zardzewiały moskwicz 402, którym chyba już dawno nikt nie jeździł. Auto miało tyle lat co Nastia, ona zaś była pewna, że nigdzie już nie ma takich

samochodów. Prawie na każdej furtce wisiała tabliczka „Wynajem pokoi”, na budynkach hoteli znajdowały się również wywieszki informujące o wolnych pokojach. Walentina Jewtiejewa ma rację – zarezerwowanie miejsca w tutejszym hotelu to żaden problem.

– Aśka, znalazłem na mapie park imienia Puszkina – oznajmił Czistiakow. – Może się tam przejdziemy?

Znaleźli park dość rychło, ale okazało się, że tak naprawdę to dwa osobne nieduże skwery – co prawda bardzo zadbane, z fontanną, ławkami i alejkami wyłożonymi ładnymi płytkami.

– Dziwny ten park – stwierdziła Nastia. – Dwa skwery, w dodatku oddalone jeden od drugiego. Widziałeś gdzieś coś podobnego?

– Nie – odparł Aleksiej. – Ale zaraz zapytamy tubylców, co to wszystko znaczy.

Czistiakow zagadnął starszą parę, która siedziała na ławce. Oboje żywo zareagowali na pytanie i zaczęli chętnie opowiadać, że park imienia Puszkina był kiedyś duży i piękny, ale później, w nowym ustroju, środkową część zaczęto wycinać i zniszczono stare platany, a ponieważ ziemia jest tutaj bardzo droga, władze miejskie sprzedały ją pod budowę willi i hoteli.

– Stąd jest przecież niedaleko i do morza, i do centrum – wyjaśniała starsza kobieta. – Wartość ziemi dochodzi do dwustu tysięcy euro za ar.

Nasti aż zakręciło się w głowie od tej kwoty. Tak, Rublowka chyba się nie umywa. Ale skoro ziemia w mieście jest tak droga i mimo to ktoś ją kupuje, to znaczy, że biznes się rozwija i nie brak tu bogatych

ludzi. A więc musi być też silna struktura kryminalna. Może Jewgienij Jewtiejew wcale nie jest czysty jak łąza?

– Mam ochotę na lody, Losza – powiedziała.

Kupili je w sklepiku znajdującym się na skraju skweru i zjedli w drodze powrotnej do hotelu. Gdy się przebrali, wypili kawę nad basenem, popływali, zjedli kolację, po czym Nastia nagle zdała sobie sprawę, że jest okropnie zmęczona. Niby praca nie była ciężka, tylko dwukrotne odwiedziny w kiosku Simonian, spotkanie z panią inspektor z urzędu skarbowego i rozmowa z Uwarowem, która właściwie się nie liczy – półtorej minuty, kilkanaście słów – a ona czuje takie zmęczenie, jakby przepracowała w pocie czoła cały dzień.

– Odzwyczaiłaś się od chodzenia pieszo – wyjaśnił z uśmiechem Czistiakow. – Teraz jeździsz przeważnie samochodem. A zresztą nowe wrażenia też mogą człowieka zmęczyć. Tyle czasu spędzasz w Moskwie, że tam już nic nie może cię zaskoczyć, wszystko znasz na pamięć, no a tutaj nowe miejsce, nowe ulice i domy, ludzie też są inni, podobnie jak powietrze i jedzenie. To też męczy.

– Naprawdę? – z niedowierzaniem zapytała Nastia.

– Uwierz doświadczonemu podróżnikowi – zapewnił ją Czistiakow, który objechał Europę i Amerykę. – Każda zmiana, nawet pozytywna, to stres dla organizmu. Idź się położyć, kochanie.

Nastia z ogromną przyjemnością posłuchała rady męża i już parę minut później spała jak zabita.

Spotkanie z wywiadowcą Wadimem Uwarowem nie przyniosło nic nowego. Nazwisko Jewtiejewa nie było mu obce, widocznie inspektor z urzędu skarbowego nie myliła się, mówiąc, że Jewgienij Dmitrijewicz jest dobrze znany w mieście, ale Uwarow nie potrafił powiedzieć nic kompromitującego o synu zabitego lekarza. To, co wiedział, po raz kolejny dowodziło, że Jewtiejew raczej nie maczał palców w zabójstwie ojca.

– Potrzebuję doby, żeby zebrać obszerniejsze informacje – powiedział.

No cóż, Nastia może poczekać. A nuż coś wyjdzie na jaw...

*

Tego samego dnia po południu, zbliżając się do komendy miejskiej, Uwarow natknął się na śledczego Niedielkę, który prowadził sprawę zabójstwa doktora Jewtiejewa.

– Cześć, co słyhać? – zapytał przy okazji Uwarow.

– Wszystko gra. – Śledczy uśmiechnął się szeroko.

– Słuchaj, Niedielko, nie spartaczyłeś czasem sprawy zabójstwa lekarza?

– Czemu tak sądzisz? – Niedielko się zachmurzył. – Nikt nie może się do niczego przyczepić, zrobiliśmy, co w naszej mocy, wyłaziliśmy ze skóry, żeby znaleźć tego gościa. Sprawa została umorzona, wszystko jak się patrzy. A o co chodzi? Czemu pytasz? Córka lekarza znowu rozrabia? Poszła na skargę do wyższej instancji? Ależ z niej uparta

sztuka!

– Przyjechali prywatni detektywi z Moskwy, wypytują o Jewtiejewa juniora, syna lekarza. Nie wiesz, co by to mogło znaczyć?

– Nie mam pojęcia. – Śledczy wzruszył ramionami. – Może Jewgienij Dmitrijewicz prowadzi jakieś nielegalne interesy?

Uwarow nie lubił śledczego, więc z satysfakcją zauważył cień niepokoju na jego nalanej, okrągłej twarzy.

– Możliwe, możliwe... – przyznał, całym swoim wyglądem dając do zrozumienia: może to prawda, a może nie.

*

Śledczy Niedielko długo spoglądał za Uwarowem, który znikł za drzwiami urzędu, później wsiadł do samochodu, uruchomił silnik, ale nie ruszył z miejsca. Przez chwilę się zastanawiał, po czym wyjął telefon i zadzwonił.

– Mówi Niedielko z Jużnomorska – przedstawił się. – Coś się dzieje w sprawie lekarza, zjawili się jacyś moskwianie. Nie wiem, czego chcą, do mnie jeszcze nie dotarli... Nie, ktoś mi powiedział... Wadim Uwarow z kryminalnego... Ale nie wypada mi pytać, nie mogę przecież zdradzać zainteresowania... Nie, to nie jest mój kumpel, nasze relacje są chłodne... Dobrze, zrozumiałem... Dobrze. W razie czego jeszcze zadzwonię. Będę informował na bieżąco.

*

Wreszcie udało im się zastać na deptaku Galinę Simonian, która okazała się dobrze zbudowaną kobietą o młodym wyglądzie, ubraną w krótkie rybaczki i luźną koszulę w kratkę. Długo się dziwiła, że Walentina Jewtiejewa dotarła aż do Moskwy i wynajęła detektywów, którzy przyjechali specjalnie do Jużnomorska, żeby zbadać sprawę. I oczywiście zadeklarowała chęć pomocy, zgadzając się opowiedzieć wszystko, co wie.

Relacje jej męża i Dmitrija Wasiljewicza nie od razu się ułożyły. Gierman Gieorgijewicz był bardzo dobrym i doświadczonym chirurgiem, więc gdy poprzedni ordynator zaczął myśleć o przejściu na emeryturę, nikt nie miał najmniejszych wątpliwości, że jego miejsce zajmie Simonian. Lecz nagle, jak grom z jasnego nieba, zjawił się Dmitrij Wasiljewicz Jewtiejew, o którym nikt nigdy w szpitalu nie słyszał i którego przeniesiono odgórną decyzją z jakiegoś Runowska. Cały oddział był oburzony, wszyscy patrzyli wilkiem na nowego szefa. Gierman głęboko to przeżywał, czuł się oszukany. Tym bardziej, że Jewtiejew traktował personel z góry, często podnosił głos, nie szczędził ostrych, a nawet niegrzecznych uwag, obrażał podwładnych. Wszyscy byli do niego wrogo nastawieni i nawet zaczęli się po cichu zastanawiać, czy nie napisać petycji do miejskiego wydziału zdrowia.

Tak się złożyło, że któregoś dnia Gierman Gieorgijewicz musiał operować razem z Jewtiejewem. Tamtego wieczoru powiedział żonie:

– Słusznie mianowano go ordynatorem. Ja jestem dobrym chirurgiem, ale Jewtiejew ma talent. To znacznie więcej.

Minęło jeszcze trochę czasu i Giera zaczął opowiadać, że Dmitrij

Wasiljewicz ma bardzo dobre podejście do chorych dzieci oraz ich krewnych, znajduje potrzebne słowa i umie przybrać właściwy ton, żeby z jednej strony wszystko wytłumaczyć, a z drugiej zaledwie nie przestraszyć i nie pozbawić nadziei. W stosunku do dzieci jest czuły, wesoły i uważny, a wobec rodziców spokojny, cierpliwy i uprzejmy. I jedni, i drudzy go uwielbiają. Ale personel szpitala nadal nie lubił doktora Jewtiejewa.

Dopiero znacznie później Gierman Gieorgijewicz zaprosił Jewtiejewa do swojego domku letniskowego, w którym urządził sylwestra dla całego oddziału. Dawno już się utarło, że w domu rodziców Simoniana na przedgórzu, na dużej działce, zbierał się cały personel wraz z rodzinami na sylwestrowe szaszłyki. Dla zachowania pozorów postanowiono zaprosić również nowego ordynatora, chociaż go nie lubiano. Może sam odmówi... Ale ku ogólnemu zaskoczeniu, a nawet pewnej irytacji, Jewtiejew nie odmówił, tylko przyjechał razem z żoną.

– Nie wiem, co wtedy zaszło między Dimą a Gierą, mąż nigdy nie zdradził szczegółów, ale tamtej nocy połączyły ich więzy przyjaźni. Wiecie, jak to bywa: poszli razem na grilla, posiedzieli razem ze dwadzieścia minut, na początku się na siebie boczyli, a wrócili zżyci jak bracia. A ja zaprzyjaźniłam się z Aleksandrą Andriejewną, Szuroczką, która okazała się kobietą wyjątkowo porządną i kryształowo uczciwą.

– A Biessonow mówił, że Jewtiejewowie unikali bliskich kontaktów – zauważyła Nastia. – Stwierdził, że byli nieprzystępni i niezbyt

życzliwi.

– To zależy w stosunku do kogo. – Galina się uśmiechnęła. – Żona Koli Biessonowa rzeczywiście ich nie lubiła, co prawda, to prawda. Dima i Giera zbliżyli się na gruncie zawodowym, a my z Szuroczką miałyśmy takie samo podejście do wychowywania dzieci. W ogóle się nie różniłyśmy pod tym względem i rozumiałyśmy się w pół słowa. Obie uważałyśmy, że nie wolno się cackać i rozczulać, rozpieszczać dzieci czy im pobłażać. Później życie pokazało, że miałyśmy rację: dzieci Jewtiejewów, zarówno Żenia, jak i Waluszka, są bardzo udane, nasze też wyrosły na uczciwych i porządnym ludzi.

Jeśli chodzi o rzeczy unikatowe, przedmioty kolekcjonerskie i wrogów – na ten temat Galina Simonian nie potrafiła nic powiedzieć.

– Skąd Dima miałby mieć wrogów? – dziwiła się szczerze.

– No a rodzice dzieci, których leczenie skończyło się niepomyślnie? – zapytała Nastia. – Mogli chować urazę i szukać zemsty.

Głina pokręciła głową.

– Nie, to wykluczone. Jestem żoną lekarza i powiem pani z pełną odpowiedzialnością, że rodzice nie mają pretensji do takich chirurgów jak Simonian czy Jewtiejew. Nikt nie podważa ich kompetencji, mają nieposzlakowaną opinię, są szanowani i cenieni, pacjenci stoją do nich w kolejce, żeby się dostać przynajmniej na konsultacje. Jeżeli coś im nie wychodzi, to znaczy, że los tak chce, że to nie ich wina. Nikomu nigdy nie przyjdzie do głowy oskarżać lekarzy tej klasy o błąd w sztuce czy niedbalstwo.

Nastia zapytała, z którym z dawnych kolegów Jewtiejewa warto się

spotkać. Skoro istniała tradycja witania Nowego Roku całym oddziałem wraz z rodzinami, to znaczy, że Galina powinna znać nie tylko lekarzy, ale też ich żony oraz mężów.

– Właściwie nie wiem, co pani poradzić. – Simonian się zamyśliła. – Przecież Dimy nadal nie lubiano. Szacunek należny lekarzowi to jedno, ale sympatia do człowieka to zupełnie co innego. Obrażał wiele osób i – jak mówił Giera – pretensje Miti nie zawsze były uzasadnione, potrafił bez powodu robić komuś wymówki i się awanturować. Więc wątpię, żeby usłyszała pani coś dobrego od lekarzy z oddziału.

– Po śmierci pani męża Jewtiejew z nikim się nie zbliżył?

– Nie, z nikim. Bardzo ciężko przeżywał odejście Giery.

Biessonow też o tym wspominał. To znaczy, że nieżyjący doktor Jewtiejew miał samych wrogów w szpitalu. Może tam warto poszukać?

– Wiem, o czym pani myśli. – Galina nagle się uśmiechnęła. – Niech pani wybije to sobie z głowy. Lekarze stanowią szczególną kategorię, życie ludzkie to dla nich niepodważalna wartość. Żaden z nich nie zabije drugiego człowieka za aroganckie słowa czy krzywe spojrzenie. Nigdy.

No cóż, to tylko opinia żony lekarza, podczas gdy Nastia dobrze wie, że czasem ludzie z błahych powodów pozbawiają życia swoich ciemieżycieli.

– Mogę pani zasugerować rozmowę z Emmą Pietrowną – ciągnęła tymczasem Simonian. – Pracuje w szpitalu od dawna, przysłała jeszcze przed Dimą. Jest chyba jedyną osobą, której nie obrażał.

– Tak? – Nastia zrobiła się czujna. – Dlaczego? Mieli romans?

– Żarty się pani trzymają! – Galina wybuchnęła śmiechem. – Jaki romans? Dima ani razu nie spojrzął na inną kobietę, był bardzo przywiązany do Szuroczki.

– W takim razie dlaczego jej nie obrażał?

– To całkiem niedorzeczna historia, ale oczywiście ją pani opowiem. Chodzi o to, że w Dimie zakochała się Nadienka, teraz jest już starszą pielęgniarką, ale gdy Jewtiejew zjawił się w szpitalu, była jeszcze bardzo młoda, stawiała pierwsze kroki w zawodzie. Zakochała się bez pamięci, do tego stopnia, że nie potrafiła się kontrolować, patrzyła na niego z niemyim uwielbieniem, starała się zwrócić na siebie jego uwagę, łowiła każde słowo. Ot, nie dawała mu żyć. Dimie to się naturalnie nie podobało, był wobec niej ostry, odzywał się niegrzecznie, chyba nawet ordynarnie, no a ona jeszcze bardziej do niego wzdychała. I nagle wszystko się skończyło jak nożem uciął.

– Przeszło jej?

– Też tak pomyśleliśmy z Gierą, wszystko przecież wspólnie omawialiśmy, zawsze byłam zorientowana, co się działo w szpitalu. Później się okazało, że Emma, która była wtedy na stażu, przywołała Nadienkę do porządku, przemówiła jej do rozumu i wyjaśniła, że nie wypada zachowywać się tak jak ona, bo chcąc nie chcąc stawia ukochanego mężczyznę w niezręcznym położeniu, no i temu podobne rzeczy. Nadienka wylała morze łez, wypłakując się Emmie w rękaw, ale przestała prześladować Dimę. Gdy Giera się o tym dowiedział, powiedział Dimie, komu powinien podziękować za to, że Nadia już mu

się nie narzuca. Sądzę, że Dima przy całej swojej obcesowości starał się nie obrażać Emmy. Był jej naprawdę wdzięczny.

No cóż, pomyślała Nastia, weźmiemy to pod uwagę. A zatem Emma Pietrowna i starsza pielęgniarka Nadieżda. Znajdziemy. Ale razem z Galiną Simonian to już wszystkie osoby, które miały dobre zdanie o lekarzu. A co powiedzą tamci, których traktował lekceważąco i obrażał?

– Może wie pani, kogo Jewtiejew najczęściej obrażał?

– Najczęściej? – Galina się uśmiechnęła. – Wiem. Doktora Gulewicza. Tyle że on już od dawna nie pracuje w naszym szpitalu. Niech pani zapyta Emmę, ona zna szczegóły.

– A jeśli nie zechce ich wyjawić?

– Na pewno zechce. A gdyby nie zechciała, wtedy proszę znowu do mnie przyjść. Powiem, co słyszałam. Emma wie jednak lepiej – to historia, która rozegrała się w szpitalu, gdy Giery już nie było, więc znam ją od osób trzecich.

Nastia nagle pomyślała, że chociaż rozmawiają z Galiną już dość długo, nikt nie podszedł do kiosku i nie zainteresował się pamiątkami i muszlami. Tak, interes chyba nie idzie jej najlepiej. Pewnie wdowa po chirurgu Simonianie nie ma wielkich przychodów ze swojej drobnej działalności.

– Jak nazywa się ta muszla? – zapytała Nastia, pokazując muszlę w kolorze delikatnego różu z zaokrąglonymi promienistymi wypustkami.

– To murex, zwany inaczej Grzebieniem Wenery.

Co za niezwykła nazwa! Nagle przemknęło Nasti przez głowę, że nie zna żadnych nazw muszli wystawionych w kiosku.

– A ta?

– Cassis. A na przykład ta to charonia albo Róg Trytona. Spodobała się pani któraś?

– Tak – zdecydowanie odparła Nastia. – Grzebień Wenery. Ile kosztuje?

– Niech pani da spokój, chętnie ją pani podaruję. – Galina zamachała rękami. – Przez pamięć o Dimie i w ramach wdzięczności za to, że pomaga pani Waluszce.

– W żadnym wypadku. Kupię ją.

Nastia wyjęła portmonetkę, starając się nie napotkać wzroku Czistiakowa, który z trudem ukrywał zdziwienie i kpinę. Trzymając w rękach ciężką muszlę, przyłapała się na myśli, że po raz pierwszy w życiu kupuje pamiątkę w uzdrowisku. Loszka pewnie powie, że kupowanie muszli jest banalne i mieszczańskie, ale czy można przeżyć życie, nie robiąc nigdy czegoś banalnego i mieszczańskiego? A przynajmniej spróbować, jak to jest. Prawdę mówiąc, Nastia nigdy w życiu nie miała muszli...

Ogarnęło ją uczucie, którego dawniej nigdy nie doznawała: chciała poznać i doświadczyć rzeczy, które przedtem były jej niedostępne, ponieważ była zajęta i zapracowana, w dodatku mieszkała w Moskwie i rzadko gdziekolwiek wyjeżdżała. Do życia podchodziła zbyt poważnie, było w nim dużo cudzego smutku i bólu, a niewiele własnych radości, nie było też głupiej, ale jakże przyjemnej beztroski. Kto powiedział, że

po pięćdziesiątce jest już za późno, żeby coś zaczynać? Nigdy nie jest za późno!

– No i po co to kupiłaś? – z przekąsem zapytał Losza, gdy pożegnali się z Galiną Simonian. – Żal ci się zrobiło wdowy, której nie idzie interes?

– Żal. – Nastia z wyzwaniem spojrzała na męża. – A co w tym złego? Czyżbyś uważał, jak za czasów władzy radzieckiej, że litość upokarza człowieka?

– Nic nie uważam. Ale jakoś podejrzenie błyszczą ci oczy. No dalej, przyznaj się, o co chodzi.

Przez chwilę Nastia się wahała, w końcu wyjawiała jednak mężowi swoje niespodziewane odczucia.

– No tak, nareszcie jestem w domu. – Czistiakow westchnął. – I czym mi to grozi?

– Czym? – Nastia obejrzała się i zobaczyła kolejną atrakcję: za dwadzieścia rubli można było sfotografować się z tandetnym manekinem ślicznotki z wielkim, prawie na metr wystającym biustem. – Jeżeli będziesz się naśmiewał, zmuszę cię, żebyś zrobił sobie zdjęcie z tamtą panną. Marne dwadzieścia rubli i reputacja Casanovy w instytucie zagwarantowana. Nieźle, co?

– Może lepiej zakręcimy ci afro loczki na głowie? – zaproponował Aleksiej, pokazując ręką plakat zachęcający do zrobienia modnej fryzury. – Świeżo, oryginalnie i tylko za dziesiątaka. Wyjdzie taniej.

– Ach tak?! – Nastia zaczęła się rozglądać w poszukiwaniu kontrargumentu i zobaczyła siedzącą na balustradzie dziewczynę z

iguana w rękach. – W takim razie sfotografujesz się z iguaną.

– Z iguaną? – Losza udał, że wpadł w panikę, i zrobił wystraszoną minę. – Za nic!

W tej samej chwili Nastia zauważyła dwóch chłopców stojących nieopodal – jeden z nich trzymał w rękach ogromną kolorową papugę, a na ramieniu drugiego siedziała małpka. Oni również proponowali wszystkim przechodniom, żeby zrobili sobie fotkę z ich ulubieńcami.

– Nie, ty możesz tylko z iguaną – twardo oznajmiła Nastia, tłumiąc śmiech. – Jest wstrętna, może ugryźć i ma ohydne łuski, a ja, żeby ci zrobić na złość, sfotografuję się z tymi sympatycznymi zwierzątkami. Na pewno mają miękkie i przyjemne w dotyku futerka i są miłe.

– Uhm – przytaknął Losza – zwłaszcza papuga ma miękkie futerko.

– No to pióra, co za różnica.

– Nawet o tym nie myśl. – Aleksiej nagle spowaźniał. – Kto wie, jakie choroby przenoszą.

Dobrze, pomyślała Nastia, na razie ustąpię, ale i tak sfotografuję się z małpką. I z papugą też.

– Jak sobie życzysz, ale mogę chociaż zrobić im zdjęcie? Już trzeci dzień taszcę w torbie aparat!

– Zgoda – łaskawie zezwolił Czistiakow. – Możesz je sfotografować, ale nie bierz na ręce.

Chłopcy pochwycili spojrzenie Nasti, domyślili się, że o nich mowa, i natychmiast podbiegli.

– Zdjęcie z małpką i papugą na pamiątkę. Chce pani?

– Ile? – zapytała Nastia.

– Dwieście za jedno ujęcie.

– A jeśli zrobię zdjęcia swoim aparatem?

– Wtedy sto. Ale tylko zwierzęta. Jeżeli w kadrze znajdzie się mąż, wtedy sto pięćdziesiąt.

– Nie, tylko zwierzęta – zapewniła Nastia. – Mąż nie będzie pozował.

– Mąż pójdzie na piwo – oznajmił Czistiakow. – Nie będzie uczestniczył w tym wariactwie. Kiedy skończysz, Aśka, znajdziesz mnie w tamtym lokalu.

Nastia wyjęła aparat i zaczęła fotografować najpierw papugę, potem małpkę, no a później – sama nie wiedziała, jak i kiedy – stała już z małpką na rękach, a chłopak skwapliwie ją fotografował, pstrykając zdjęcia jej własnym aparatem.

– A teraz niech się pani obróci – komenderował.

– A teraz proszę wyciągnąć rękę. – I umieścił papugę na jej dłoni.

– Teraz niech pani stoi prosto i się nie boi. – Małpka znalazła się na ramieniu Nasti, a papuga na głowie.

– A teraz niech pani wyciągnie ręce przed siebie, dłońmi do góry...

Nastia posłusznie wykonywała wszystkie polecenia chłopaka, nie za bardzo się orientując, co się dzieje, ponieważ całą jej uwagę pochłaniała mała, ciepła, włochata łapka w jej dłoni. Łapka była czekoladowobrązowa, z cienkimi paluszkami i takimi samymi brązowymi paznokciami jak u człowieka, więc Nastię ogarnęła jakaś niepojęta błogość i tkliwość w stosunku do tej ujarzmionej, posłusznej istoty, która miała pewnie serdecznie dosyć przechodzenia z rąk do rąk

i udawania modelki, a która jednak tak ufnie przytula się do jej szyi, jakby się domagała, żeby pogłaskać jej miękkie, wypielęgnowane futerko. Jakie to dziwne, pomyślała Nastia, papuga mnie nie porusza, czuję tylko jej ostre pazury, mimo że jest wyjątkowo piękna, ma czerwony łebek, zielony korpus i niebieski ogon, a ta niepozorna małpka chwyta mnie za serce.

Otrząsnąwszy się z zamyślenia, powiedziała:

– Dosyć, dziękuję. Ile jestem winna?

Chłopcy zabrali zwierzęta i zaczęli przeglądać zdjęcia w aparacie.

– Trzydzieści trzy ujęcia po dwieście rubli... – w zadumie rzekł właściciel małpki.

– Sześć sześćset. – W jednej chwili policzyła Nastia i zdrętwiała.

Nieźle! Ani się obejrzała, jak chłopcy naciągnęli ją na zawrotną sumę. Czyżby aż tak pochłonęły ją nowe doznania? Kretynka!

– I jeszcze dziesięć ujęć, gdy sama robiła pani zdjęcia. Dodatkowy tysiąc.

Loszka na pewno ją zabije, i będzie miał rację.

A może jednak nie?

Wręczyła chłopcom pieniądze i zapytała:

– Jak się nazywają wasze zwierzęta?

– To Herakles – dumnie oznajmił właściciel małpki. – A papugę nazwaliśmy Timocha.

Nastia wsunęła portmonetkę i aparat do torby, po czym ruszyła do baru, w którym Czistiakow pociągał piwo przy kontuarze i gawędził z młodą kelnerką. Gdy tylko zobaczył zafrasowaną minę Nasti, od razu

wszystkiego się domyślił.

– Ile? – zapytał krótko.

– Siedem i pół. Przepraszam, Losza, jestem strasznie głupia.

– Daj spokój. – Aleksiej się uśmiechnął. – A chociaż sprawiło ci to przyjemność?

– Sama nie wiem – przyznała. – To nie była przyjemność, tylko jakieś inne uczucie... Zresztą nie wiem, może to właśnie jest przyjemność. Po raz pierwszy w życiu trzymałam w rękach żywą małpkę. Papugę też.

– No trudno, takie wrażenia muszą kosztować – filozoficznie stwierdził Czistiakow. – Nie przejmuj się.

W tej samej chwili Nastia przyłapała się na tym, że wcale się nie przejmuje. Nie wiedziała, dlaczego czuje się szczęśliwa, bo przecież niby dała się oszukać i wydała pieniądze, mimo to czuła satysfakcję. Kto by pomyślał, że dopiero po pięćdziesiątce po raz pierwszy da się sfotografować z małpką i z papugą? Przecież w Moskwie też pewnie są tacy fotografowie, chyba ich nawet widziała na Starym Arbacie albo w jakimś parku. Dlaczego nigdy przedtem nie przyszło jej do głowy, żeby zrobić sobie takie zdjęcie albo przynajmniej potrzymać zwierzątko na rękach? Okazuje się, że to bardzo przyjemne. Chyba naprawdę podchodziła do życia zbyt poważnie i rygorystycznie, pozbawiając się drobnych radości oraz niezwykle głębokich i miłych wrażeń.

*

Następny ranek przyniósł dobrą wiadomość. Podczas śniadania Nikołaj Stiepanowicz Biessonow podszedł do Nasti i oznajmił, że tego dnia Fridmanowie wracają do Jużnomorska.

– Przed chwilą rozmawiałem przez telefon z Jaszką, oboje są już w drodze, mają tu być koło trzeciej. Gdy tylko się zjawią, Jaszka do mnie zadzwoni, a ja pani wytłumaczę, gdzie ich znaleźć. Proszę mi tylko zostawić numer telefonu, żebym mógł panią powiadomić.

Nastia się ucieszyła. Z jakiegoś powodu dużo się spodziewała po rozmowie z Fridmanami. O dwunastej miała umówione spotkanie z Uwarowem i liczyła, że on też przekaze jej jakieś nowe informacje.

Ale Uwarow ją rozczarował. Biznes Jewgienija Jewtiejewa jest czysty jak łza, nie nękają go żadne grupy kryminalne, ponieważ wysoko postawieni znajomi w milicji zapewniają mu ochronę. A pieniędzy ma tyle, że nawet spory spadek po ojcu w porównaniu z jego majątkiem to kropla w morzu. Nie zabijałby dla takiej kwoty.

Tak, nic ciekawego. Ale wciąż pojawiają się nowe pytania. Na przykład dlaczego, mając tak bogatego syna, doktor Jewtiejew znalazł się pod opieką córki, gdy zachorował? Dlaczego nie mieszkał z Jewgienijem i jego rodziną? I skoro Dmitrij Wasiljewicz był opryskliwy i arogancki wobec kolegów, jak traktował rodzinę? Galina Simonian mówiła, że był przywiązany do żony, ale nie wiadomo, jak mu się układało z dziećmi. Galina zapewniała, że dzieci Jewtiejewów „są bardzo udane”, a co za tym idzie, w rodzinie panowała sielanka. Czy tak naprawdę było? Nastia bardzo liczyła na żonę Fridmana, ponieważ mężczyźni (rozmowy z Biessonowem po raz kolejny tego

dowodły) nie potrafią rozszyfrować relacji międzyludzkich – wiąże się to z tym, że nie są zbyt spostrzegawczy i nie zauważają niuansów, które nie ujdą uwadze kobiet. Żona Biessonowa trzymała się z daleka od obojga Jewtiejewów, ale Nastia pokładała duże nadzieje w żonie Fridmana. Przyszło jej też do głowy, że stosunki Biessonowa i Jewtiejewa nie były zbyt zażyłe, dlatego Nikołaj Stiepanowicz mógł o czymś nie wiedzieć. Simonian, z którym łączyły lekarza sprawy zawodowe, umarł, no a Fridman, który znał Dmitrija Wasiljewicza dłużej niż właściciel hotelu, był z pewnością w lepszej komitywie z Jewtiejewem. W końcu mieszkali po sąsiedzku, do tego dochodziła jeszcze wędkarska pasja – spędzali ze sobą sporo czasu.

Nikołaj Stiepanowicz zadzwonił, gdy Nastia i Losza włóczyli się bez celu po ulicach, oglądając miasto. Podczas gdy Nastia rozmawiała z Biessonowem, Czistiakow wyjął z torby przewodnik z mapą, więc od razu znaleźli ulicę, przy której mieszkali teraz Fridmanowie.

– A mówił pan, że mieszkali w jednym domu z Jewtiejewami – zdziwiła się Nastia, widząc na mapie, że poszukiwany adres znajduje się w dzielnicy willowej, a nie na osiedlu bloków.

– Dzieci wybudowały im dom, więc się przeprowadzili – wyjaśnił Biessonow. – Możecie już do nich iść, czekają na was.

Dom Fridmanów znaleźli szybko, posesja tonęła w świeżej zieleni, a kwitnące czereśnie, śliwy i jabłonie sprawiały, że wyglądała imponująco. Willa okazała się nieduża i sprawiała bardzo przyjemne wrażenie. Jakow Naumowicz Fridman był niewielkiego wzrostu, okrągły, pulchny, całkiem łysy, bardzo ruchliwy i skory do śmiechu, a

jego żona Raisa Sołomonowna, niewysoka i ruchliwa jak mąż, była w przeciwieństwie do niego szczupła, wręcz chuda. Na widok gości oboje zaczęli od razu przeproszać, że nie mają ich czym poczęstować – dosłownie przed chwilą wrócili znad Donu, niczego nie zdążyli kupić ani przygotować.

– Ale się nie przejmujcie – trajkotał Jakow Naumowicz. – Rajeczka zaraz wszystko zorganizuje.

– Proszę sobie nie robić kłopotu – zapewniał go Czistiakow. – Nie trzeba nas niczym częstować, nie przyszliśmy przecież w odwiedzinę, tylko w konkretnej sprawie. Chcieliśmy porozmawiać o Dmitriju Wasiljewiczu.

– Ani myślę tego słuchać – zachnął się Fridman. – Przyjmowanie gości przy nakrytym stole to dla mnie i Rajeczki kwestia przyzwyczajenia i stylu życia. Inaczej nie będzie żadnej rozmowy.

– Zaraz pobiegnę na bazar – podchwyciła Raisa Sołomonowna – kupię, co trzeba, i raz-dwa przygotuję.

Jakow Naumowicz raptem się zachmurzył.

– Powiedz jeszcze, że pójdziesz na targ – powiedział niezadowolony.
– Ile razy mam ci powtarzać: mówi się „na rynek”, a nie „na bazar”.

Żona uniosła brwi, nagle wzięła się pod boki i odezwała z charakterystycznym, ale łatwym do rozpoznania miasteczkowym akcentem:

– Na rinek?

Tak właśnie powiedziała: na rinek, przez „i”.

– Toż jeszcze nie wszyscy wiedzą, że ja przyjechała z Odessy! No to

już powiedz, niechaj wiedzą!

Nastia parsknęła śmiechem, Czistiakow roześmiał się w głos, a Fridman z jakiegoś powodu się zmieszał. Raisa Sołomonowna śmiała się dźwięcznie i ochoczo, aż łzy stanęły jej w oczach.

– To prawda, jestem Żydówką z Odessy – powiedziała, tłumiąc śmiech. – W swoim czasie moja czarnomorska prostolinijność, odesski koloryt i dziwny akcent podbiły ze szczętem Jaszeńkę z jego wyrafinowanymi manierami. Ale już tyle lat mieszkam z nim tutaj, w Jużnomorsku, że straciłam cały swój koloryt. A on wciąż doszukuje się błędów w moich wypowiedziach i nie przestaje mnie poprawiać. No to biegnę. Zaraz wracam. Jasza, gdzie są kluczyki od samochodu?

Jakow Naumowicz podał jej kluczyki, Raisa Sołomonowna pomknęła na rynek, a Nastia zaczęła zadawać pytania, których miała już powyżej uszu – o rzeczy unikatowe, przedmioty kolekcjonerskie i osoby niezyczliwe Jewtiejewowi. Odpowiedzi otrzymała takie jak przedtem: nic mi na ten temat nie wiadomo.

– A jakie stosunki łączyły Jewtiejewa z dziećmi? – zapytała.

– Z Waleczką bardzo dobre, serdeczne, o ile to w ogóle możliwe przy charakterze Miszy, był przecież szorstki, opryskliwy i surowy. Ale relacje z synem były chłodne.

Nastia rzuciła Czistiakowowi wymowne spojrzenie.

– Dlaczego? – zapytała niewinnie.

– Musi pani wiedzieć, że Żenia zajął się interesami, gdy tylko nadarzyła się okazja, to znaczy ponad dwadzieścia lat temu. Sama pani rozumie, że w tamtych czasach biznes był brudny. Miti nie

podobało się, że jego syn nurza się w błocie i rozmawia tylko o pieniądzach. Gniewał się, irytował, krzyczał na Żeńkę, w pewnym momencie zabronił mu nawet przekraczać próg swojego domu. Nie rozmawiał z nim wtedy prawie rok. Później wszystko się jakoś uspokoiło, Szuroczka bardzo to przeżywała, więc Mitia ustąpił, ale do końca nie pogodził się z tym, że jego syn jest bogatym człowiekiem. Uważał, że to niestosowne. Żeńka wielokrotnie namawiał ojca, żeby się do niego przeprowadził, proponował to rozwiązanie, gdy jeszcze żyła Szuroczka, a później, po jej śmierci, też nalegał, ale Mitia kategorycznie odmawiał. Żenia zamierzał nawet wybudować ojcu osobny dom, skoro ten nie chciał mieszkać z nim i z jego rodziną, ale Mitia odrzucił i tę propozycję, mówiąc, że w swoim mieszkaniu czuje się doskonale.

– A czy wiecie państwo, co jeszcze mówił Żeni? – rozległ się głos Raisy Sołomonowny i Nastia ogromnie się zdziwiła: widocznie tak ją wciągnęła rozmowa, że nie usłyszała ani samochodu podjeżdżającego pod dom, ani odgłosu otwieranych drzwi, ani kroków właścicielki. – Z jakiegoś powodu zapadło mi to w pamięć. „Po co pchasz się w to bagno, skoro możesz sobie pozwolić na luksus życia z czystym sumieniem? Wielu ludzi oddałoby wszystko za taką możliwość, ty ją masz, ale lekceważysz. Życie cię za to ukarze”. Bardzo się wtedy zdziwiłam, gdy to usłyszałam.

– Tak, tak, zgadza się – podjął Jakow Naumowicz. – Ja też sobie teraz przypominam. Mitia nieraz powtarzał to Żeńce, mnie też mówił, gdy rozmowa schodziła na jego syna. Dziwna myśl, prawda?

Bez wątpienia. Nastia skrzętnie zanotowała spostrzeżenia małżonków. Czyżby doktor Jewtiejew miał nieczyste sumienie? Trzeba by się dowiedzieć bliżej.

Poprosiła Fridmanów o nakreślenie kręgu znajomych Dmitrija Wasiljewicza. Oboje powtórzyli słowa Nikołaja Stiepanowicza i Galiny, że Jewtiejew utrzymywał bliskie kontakty tylko z Biessonowem, Simonianami i z nimi, Fridmanami.

– No a dalsi znajomi? Ludzie, których mógł czymś urazić albo wyprowadzić z równowagi i którzy go znienawidzili?

– No cóż, każdy mógł się poczuć urażony – bez wahania odparła Raisa Sołomonowna. – Mitia nie liczył się ze słowami, zwłaszcza w pracy, w szpitalu. Nas nigdy nie obrażał, więc nie mogliśmy uwierzyć, gdy Giera Simonian opowiadał, jak Mitia zachowuje się na oddziale. Jakby to były dwie różne osoby. Chyba nie znajdziecie w szpitalu człowieka, który nie miałby do niego żalu. Ale to przecież nie powód, żeby zabijać! Zwłaszcza że przez ostatnie trzy lata Mitia nie pracował, tylko chorował i leżał w domu.

– A nie słyszeli państwo czegoś o rodzicach dzieci, których leczenie zakończyło się niepomyślnie? – zapytał Czistiakow. – Może Dmitrij Wasiljewicz albo Simonian wspominali coś na ten temat? Na przykład, że ktoś poszedł na skargę, napisał doniesienie do prokuratury albo coś w tym stylu. Może ktoś mu groził, zapowiadał, że się zemści?

Nastia posłała mężowi spojrzenie pełne wdzięczności. Jeżeli wszędzie pojawiają się razem, muszą udawać, że oboje pracują w agencji detektywistycznej, bo inaczej ktoś może odnieść wrażenie, że

ona zbiera informacje, a facet tylko się przy niej kręci.

– Lepiej zapytajcie Gałkę Simonian. Jeśli ktoś coś wie, to na pewno ona, Giera nie miał przed nią tajemnic – poradził Jakow Naumowicz.

– Pytaliśmy – odparła Nastia z westchnieniem.

– I co powiedziała?

– Że każdemu lekarzowi zdarzają się niepowodzenia, ale jeśli jest dobry, wszyscy traktują to jako nieszczęśliwe zrządzenie losu, nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby się mścić.

– No właśnie – podsumowała Raisa. – Gałka wie lepiej. Nie mamy nic do dodania. W każdym razie ani Mitia, ani Giera nic o tym nie wspominali w naszej obecności. Mówili oczywiście o niepowodzeniach, dzielili się swoimi kłopotami, omawiali je też między sobą, zamartwiali się i wciąż zastanawiali, co można jeszcze zrobić, jakie środki przedsięwziąć, żeby uniknąć fatalnego końca. Ale żeby ktoś groził? Co to, to nie, o tym nie było mowy.

– No cóż, dziękujemy.

Nastia wstała, Aleksiej też podniósł się ze swojego miejsca, ale Fridman zamachał rękami w geście protestu.

– Dokąd to?! Gdzie się wybieracie? A popisowe danie Rajeczki – bakłażany z orzechami włoskimi i czosnkiem? Musicie tylko chwilkę poczekać – i wszystko będzie gotowe! Nie, nie wypuszczę was, nawet nie chcę o tym słyszeć. Popiełnicie niewybaczalny błąd, jeśli wyjdziecie i nie spróbujecie bakłażanów Rajeczki.

Nastia z mężem zaczęli się grzecznie wymigiwać, próbując nie urazić gospodarza, ale nic nie wskórali.

– Nigdy i nigdzie nie zjecie takich bakłażanów jak w naszym domu – przekonywał ich Fridman. – Pewnie stołujecie się w jadłodajni?

Musieli przytaknąć. No a gdzie niby mają się stołować?

– Jak to gdzie?! – z oburzeniem zawołał Jakow Naumowicz. – Przecież mieszkacie u Koli, a on ma wyśmienitych kucharzy! Zatrudnił najlepszych w mieście, tylko moja Rajeczka może z nimi konkurować! Po co chodzicie do jadłodajni, skoro mieszkacie u Koli?! Tak czy siak, nie chcę nic więcej słyszeć, zaraz pójdziemy do sadu, pokażę wam, co tam u nas rośnie i kwitnie, a później usiądziemy przy stole i będziemy ucztować. To postanowione.

Nastia i Aleksiej się poddali i posłusznie ruszyli za gospodarzem, żeby obejrzeć sad.

Bakłażany okazały się rzeczywiście bardzo smaczne, więc wracali od Fridmanów ociężali z przejedzenia.

– Przejdźmy się po deptaku, żeby kolacja się ułożyła – zaproponował Aleksiej.

Nastia nie protestowała. Chociaż do deptaku mieli ze dwadzieścia minut spacerem, szła z przyjemnością, czując, jak stopniowo opuszcza ją senna ociężałość. Gdy tylko znaleźli się na promenadzie, natknęli się na chłopaka z małpką zwaną Heraklesem, który od razu zaproponował im zrobienie zdjęcia.

– Ale my już wczoraj się fotografowaliśmy – z uśmiechem powiedziała Nastia.

Chłopak przyjrzał jej się uważnie i nagle jego twarz rozplynęła się w szerokim i radosnym uśmiechu.

– Ojej, pani jest przecież moją ulubioną klientką! Dwa lata na panią czekałem!

To znaczy, że jego dochody nie są wysokie, skoro tyle pieniędzy, ile dostał wczoraj od Nasti, nie zarobił od tak dawna. Małpka nagle skoczyła Nasti na ręce, objęła ją chudymi łapkami za szyję i mocno się przytuliła. Nastia omal się nie rozplakała ze wzruszenia. W tej samej chwili zauważyła, że chłopak wygląda na zmęczonego i wycieńczonego i że ma smutne oczy. Widocznie to niełatwa praca – całymi dniami krążyć po deptaku z małpką na rękach w poszukiwaniu klientów. Chłopak miał siedemnaście, najwyżej osiemnaście lat, był szczupły, niskiego wzrostu, wyglądał na niedożywionego i przypominał trochę swojego egzotycznego pupila.

– Małpka należy do ciebie? – zapytała Nastia.

– Do mnie. – Skinął głową.

– A co z nią robisz zimą?

– Trzymam w domu. – Chłopak znowu się uśmiechnął.

– Papuga też jest twoja?

– Nie, pożyczylimy ją tylko na sezon. Jak pani chce, zrobię pani jeszcze parę fotek za darmo.

– Nie trzeba, dziękuję – pośpiesznie odparła Nastia. – Już wystarczy.

– A może chce pani jeszcze sfotografować Heraklesa? Nie wezmę pieniędzy, potrzymam go, a pani może zrobić mu zdjęcia swoim aparatem. Ma pani ochotę? Naprawdę jest pani moją ulubioną klientką.

– Dziękuję, nie trzeba. Musimy już iść, do widzenia.

Nastia posmutniała, było jej ogromnie żal zarówno chłopaka, jak i Heraklesa.

– No jasne – burknął Czistiakow – nic w tym dziwnego, że jesteś jego ulubioną klientką! Nie minął się z prawdą, od dwóch lat nie spotkał takiej frajerki jak ty.

– Musi utrzymać i nakarmić zwierzęta, Losza, sam też musi coś jeść, no i w ogóle żyć. Całymi dniami snuje się przecież po deptaku, szuka klientów, zagląda przechodniom w oczy, proponuje zdjęcia, a na rękach trzyma małą, która wciąż się wierci. Wyobrażasz sobie, jaki jest zmęczony? I jak mu to wszystko obrzydło? Niech przynajmniej naję się do syta, nakarmi zwierzęta i ureguluje część długów za nasze pieniądze. Nie, Losza, wcale mi nie żal tych pieniędzy, przeciwnie, cieszę się, że tak wyszło. Masz pojęcie, jaką radość mu sprawiliśmy?

Aleksiej objął ją za ramiona i westchnął.

– Stajesz się sentymentalna, Asieńko. To chyba oznaka starości, nic innego.

– Nie waż mi się mówić o starości! – Nastia się rozgniewała.

– A czego tak się boisz? – zdziwił się. – Starość to naturalna rzecz, nikomu nie udało się jej oszukać, prócz tych, którzy umarli młodo. Więc nie ma się czego bać, tłumaczę ci to już od lat, a ty się wciąż zżymasz.

Nastia w milczeniu przytuliła się do ramienia męża. Jak to dobrze, że jest obok, no i w ogóle w jej życiu.

⁸ Czeburek – pieróg z nadzieniem (najczęściej mięsnym) smażony na oleju.

⁹ OBEP (Otdiel po borbie s ekonomiczeskimi priestuplenijami) – wydział do walki z przestępczością gospodarczą.

ROZDZIAŁ 7

Nazajutrz po spotkaniu ze Sławomirem Iljczem Walentina Jewtiejewa ledwie doczekała się popołudnia – właśnie o tej porze spacerowała wczoraj po lesie po drugiej stronie szosy. Z jakiegoś powodu była przekonana, że znowu natknie się na przystojnego naukowca i będą się przechadzali razem, siedzieli na zwalonym drzewie i długo rozmawiali. On będzie patrzył na nią ciepłym i czułym wzrokiem, tak jak wczoraj, a ona będzie słuchać jego niskiego aksamitnego głosu o zniewalającym brzmieniu, w którym ironia łączy się z wyrozumiałością i poufałością.

Walentina długo zastanawiała się, co włożyć na spacer, żeby nie wyglądać zbyt sztywnie, a jednocześnie zrobić korzystne wrażenie. Przeglądała i przymierzała rzeczy, rzucała je ze złością na łóżko i wreszcie wybrała wąskie ciemnoszare spodnie oraz luźną turkusową tunikę, która podkreślała kolor jej oczu. Pogoda była upalna, całkiem letnia, więc Walentina miała wielką ochotę włożyć białe dżinsy, które najbardziej lubiła, ale przecież w białych dżinsach nie usiądzie na pniu z osypującą się korą, a jeżeli nie będą ze Sławomirem siedzieli obok siebie, nic nie wyjdzie ze szczerzej rozmowy. Wprawdzie w tunice z długimi rękawami będzie jej pewnie gorąco, ale w tej sytuacji liczy się przede wszystkim kolor oczu.

Punktualnie o trzeciej, tak jak wczoraj, wyszła z domu Niny Siergiejewny i udała się w kierunku szosy, przeszła na drugą stronę i ruszyła w głąb lasu. To było gdzieś tutaj, tak, zgadza się, są dwie strzeliste sosny, a parę metrów za nimi zaczyna się ścieżka, na której pokazał się wczoraj Sławomir Iljicz. Walentina zaczęła przechadzać się tam i z powrotem, drżąc z niecierpliwości i starając się wyglądać tak, jakby spacerowała bez celu i na nic nie liczyła. Tego jeszcze brakowało, żeby facet od razu się domyślił, że ona na niego czeka! Nic podobnego, spaceruje sobie i tyle.

Czas mijał, a Sławomir się nie zjawiał. Na wszelki wypadek Walentina dotarła aż do zwalonego drzewa, dobrze zapamiętała drogę, ale mężczyzny tam też nie było. Spacerowała już półtorej godziny... dwie... dwie i pół, ale Gaszyn nie przyszedł. Pewnie ma mnóstwo pracy, pomyślała ze smutkiem Walentina. Pora wracać, przecież nie będę się tutaj snuła do wieczora. Gdyby chciał się ze mną spotkać, już by się zjawił. Mimo wszystko spędziła w lesie jeszcze ze czterdzieści minut, zanim ruszyła do domu. Nie szkodzi, życie uczy cierpliwości, nie przyszedł dzisiaj, to przyjdzie jutro. Na pewno.

Nazajutrz znowu poszła do lasu i znowu nikogo nie spotkała. To znaczy, nie żeby nikogo – parę razy natknęła się na spacerujących mieszkańców osady, ale Sławomira Iljicza wśród nich nie było. Rozczarowanie Walentyny było głębokie i bolesne. Wdał się ze mną w rozmowę, bo zobaczył ładną laskę i postanowił umilić sobie czas, moja osobowość go nie interesuje. Zdążył już o mnie zapomnieć. Tylko z grzeczności powiedział, że się jeszcze spotkamy, myślała, wracając do

domu Niny Siergiejewny. A może rzeczywiście ma romans z nauczycielką arabskiego, jak ona się nazywa... chyba Olga. Trzy dni temu się pokłócili, Sławomir zwrócił na mnie uwagę, później pogodził się z Olgą i o mnie zapomniał. Szkoda, mój Boże, naprawdę szkoda! Bardzo mi się spodobał. Jest taki... niezwykły, inny niż cała reszta. Nigdy w życiu nie spotkałam podobnego mężczyzny, nawet w filmie takiego nie widziałam.

Wysiłki Walentyny, żeby nie myśleć o nowym znajomym, okazały się daremne. Nie potrafiła wybić sobie Sławomira z głowy i była na siebie zła, że już pierwszego dnia po spotkaniu spodziewała się Bóg wie czego, chociaż nie miała ku temu żadnych podstaw, a jednak nadal rozmyślała i marzyła.

Trzeciego dnia nie wytrzymała i dotarła lasem aż do domu Maksima Kramariewa, gdzie pracowała Nina Siergiejewna i gdzie mieszkał Sławomir Iljicz. Nie podeszła pod sam dom, stała ukryta za drzewami i przez żeliwne kute ogrodzenie obserwowała wszystkie osoby pojawiające się na terenie ogromnej posesji: może uda jej się go zobaczyć? To wystarczy. Niczego więcej nie pragnie. A nuż Gaszyn się zjawi, ona tymczasem będzie przechodziła koło ogrodzenia, jakby spacerowała, wtedy on ją zauważy, zawoła, wyjdzie za bramę...

Ale Gaszyn wciąż się nie zjawiał. Koło posesji zatrzymał się samochód. Brama powoli się rozsunęła, auto wjechało do środka i po chwili wysiadła z niego starsza para, koło siedemdziesiątki, jak oszacowała Walentina, oboje energiczni, dziarscy, porządnie ubrani. Ciekawe kim są? Pewnie to rodzice właściciela domu albo jego żony. W

ślad za nimi z samochodu wysiadł mężczyzna koło czterdziestki, z kwadratowym torsem i ponurą twarzą, po czym wszyscy troje zniknęli w domu. Walentyna najpierw uznała, że „kwadratowy” to jeden z ochroniarzy, ale sądząc z tego, jak uniżenie odezwał się do niego mężczyzna z obsługi, domyśliła się, że to pewnie Maksim Kramariew.

W tym momencie zauważyła przechodzącą nieopodal Ninę Siergiejewną, podeszła więc do ogrodzenia i pomachała jej ręką. Na widok Walentyny Nina Siergiejewna się zatrzymała.

– Co się stało? – zapytała z niepokojem.

– Nic. – Walentyna uśmiechnęła się blado. – Spacerowałam po lesie i znalazłam się tutaj przypadkiem. Gdy panią zobaczyłam, pomyślałam, że chyba niedługo kończy pani pracę i jeśli zaczekam, wrócimy razem do domu.

Chwyciła się tego koła ratunkowego w nadziei, że Nina Siergiejewna wprowadzi ją na teren posesji i poleci, żeby zaczekała, a wtedy całkiem możliwe, że... Ale nic z tego nie wyszło.

– Nie, Waleczko, mam jeszcze dużo pracy w oranżerii. – Kobieta pokręciła głową. – Nie ma sensu, żebyś na mnie czekała, zajmie mi to co najmniej trzy godziny. Idź do domu.

Walentyna zawróciła strapiona i zdenerwowana.

*

Jekatierina, trzydziestosiedmioletnia żona Maksima Kramariewa, wzięła z kuchni dużą tacę, umieściła ją na wózku i obrzuciła

gniewnym wzrokiem przygotowany podwieczorek. Herbata, kawa, woda, sok, ciastka, koszyczek z tostami, talerzyki z wędzoną rybą i nietłustą wieprzowiną, miseczka z kawiozem. Wszystko jak zwykle. I jak zwykle to ona będzie musiała obsługiwać specjalnych gości Maksima.

Poprosiła kucharkę, żeby zaczekała na nią przed wejściem do domku dla gości, po czym wniosły razem wózek po schodach, kucharka otworzyła drzwi i cofnęła się w milczeniu. Wszyscy w domu wiedzieli, że gdy przyjeżdżają „ci dwoje”, gospodarz prowadzi ich do kwatery naukowca i nikomu prócz żony nie pozwala tam wchodzić. Pewnie ten naukowiec, Sławomir Iljicz, prowadzi jakieś ściśle tajne badania.

Tak mógł myśleć personel, ale owe sekrety nieznośnie drażniły Katierinę. Co to za poufne rozmowy, podczas których nikt prócz niej nie może wnieść tacy? Co to za tajne narady? Co to za para starszych ludzi, których mąż prowadzi do Sławomira Iljicza Gaszyna i z którymi omawia na osobności jakieś sprawy wagi światowej? Maksim nic jej nie mówi i to najbardziej wyprowadza Katierinę z równowagi. Nigdy przedtem nie miał przed nią tajemnic. Nie, ona przecież rozumie, że mąż kupuje opracowanie nowoczesnej technologii, wykonane pod kierunkiem Gaszyna, a także to, że nad końcową dokumentacją Gaszyn pracuje właśnie tutaj, gdzie Maksim zapewnia mu niezbędne warunki do pracy oraz ochronę przed nieuczciwą konkurencją, ale wszystko ma przecież swoje granice! Kim są ci starsi ludzie? Czy to też naukowcy? Może to specjaliści od marketingu? A może farmaceuci? Po co przyjeżdżają? Jakie problemy Maksim i Gaszyn z nimi omawiają? I

dlaczego Katierina nie ma prawa o tym wiedzieć? Uważają ją za szpiega?

Ostrożność męża przechodzi ludzkie pojęcie. Niedawno czternastoletnia córka Kramariewów Alina nie umiała rozwiązać zadania z chemii, więc Katia, długo się nie zastanawiając, poprosiła Gaszyna o pomoc. Facet jest przecież chemikiem, to dla niego drobiazg, kwestia pięciu minut. Ale on powiedział, że teraz jest bardzo zajęty i obiecał pomóc Alinie później, wieczorem. Jednakże wieczorem przyjechał Maksim i już od progu, nie zdejmując nawet płaszcza, zaczął z gniewem wyrzucać żonie, że ośmieliła się niepokoić jego ważnego gościa z powodu takiego głupstwa. Nie wolno zawracać głowy Gaszynowi, narzucać mu się z rozmową, a zwłaszcza o coś prosić. Mój Boże, Maksim krzyczał tak głośno, że aż drżały szyby w oknach. Wtedy Katia bardzo się na niego obraziła. Ale jeszcze bardziej obraziła się na Gaszyna, który, jak łatwo się domyśliła, zadzwonił do Maksima i się na nią poskarżył. Patrzcie go, wielki naukowiec! W gruncie rzeczy to małosłowny typ, który obnosi się ze swoją wielkością, jakby był nie wiadomo kim.

Wszystko to nie podoba się Kati Kramariewej, ani trochę się nie podoba. Kiedy siedemnaście lat temu poznała Maksima, był młodym dwudziestopięcioletnim rzutkim przedsiębiorcą, który doskonale wiedział, jaki biznes chce założyć i jak go rozkręcić. Z pasją studiował literaturę, chętnie uczestniczył w seminariach i warsztatach dla biznesmenów, jeździł na rozmaite szkolenia, uczył się, doskonalił i zwierzał ze wszystkiego Kati, niczego nie zatajał. Ona zaś uważnie

słuchała męża, udzielała mu rad w miarę możliwości i brała aktywny udział w jego projektach.

Ale w ciągu ostatnich dwóch lat, gdy pojawił się ten odrażający Witalij Andriejewicz, Maksim zmienił się nie do poznania. I po co rwie się do władzy? To wyraźny wpływ Witalija Andriejewicza, który sobie ubzdurał, że Maksim zostanie deputowanym, a później przewodniczącym jakiegoś komitetu. I co mu po władzy? Teraz od rana do wieczora zajęty jest swoją kampanią wyborczą, całkowicie odsunął Katię od tych spraw, zresztą ona nawet się do nich nie garnie, ponieważ całe to polityczne zamieszanie wokół wyborów i związane z nimi intrygi i tajemnice budzą w niej wstręt, czego nawet nie ukrywa przed mężem. Może ta starsza para ma związek nie z badaniami Gaszyna, ale z wyborami? W takim razie dlaczego Maksim naradza się z nimi nie w sztabie wyborczym, ale w swoim domu, a ściślej mówiąc, u Gaszyna i z jego udziałem?

Trudno powiedzieć, żeby te pytania niepokoiły i dręczyły Jekatierinę Kramariową. Było jej wszystko jedno. Czuła wyłącznie wstręt. Ale właśnie owa obojętność połączona ze wstrętem napawała ją największym przerażeniem.

*

W piątek, siódmego maja, Nastia mogła wreszcie złożyć wizytę w szpitalu, gdzie pracował Dmitrij Wasiljewicz Jewtiejew. Pierwszą rzeczą, którą zrobiła po przybyciu na miejsce, było odszukanie Emmy

Pietrowny, o której wspominała Galina Simonian. Nastia miała szczęście, tego dnia Emma Pietrowna akurat pełniła dyżur. Niestety rozmowę wciąż przerywały dzwonki telefonów i wezwania pielęgniarek, więc spotkanie zajęło znacznie więcej czasu, niż Nastia planowała.

W szpitalu zjawiła się sama, Czistiakow został przed wejściem, żeby – jak stwierdził – zaczerpnąć świeżego powietrza i sobie poczytać. Z Moskwy zabrał iPada z trzystoma książkami ściągniętymi z Internetu, były wśród nich pozycje z literatury nie tylko naukowej, ale i pięknej.

Emma Pietrowna, tęga sympatyczna kobieta mniej więcej w wieku Nasti, od razu zaczęła opowiadać, jak to wszyscy szanowali doktora Jewtiejewa i jakim był wspaniałym chirurgiem. Nastia domyśliła się, że kobieta jest wierna zasadzie: „o zmarłych należy mówić dobrze albo wcale”.

– Powinna pani wiedzieć, Emmo Pietrowno, że już widziałam się z wdową po doktorze Simonianie – powiedziała.

– Z Gałoczką? – Emma Pietrowna nagle się zmieszała.

– Tak. Zdążyłam więc sobie wyrobić opinię na temat relacji panujących między Dmitrijem Wasiljewiczem a personelem waszego szpitala. O ile rozumiem, doktor był opryskliwy i arogancki, mówił ludziom przykre rzeczy, a nawet ich obrażał. Zgadza się?

Emma Pietrowna oblała się rumieńcem i odwróciła wzrok, potem westchnęła.

– To prawda. Skoro wie pani o wszystkim, nie będę niczego

ukrywać, nie miałyby to żadnego sensu. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że mnie obrażał, ale muszę przyznać z ręką na sercu, że innym nieźle się dostawało. Dmitrij Wasiljewicz zawsze robił uzasadnione uwagi, był sprawiedliwy, ale nie zważał na słowa, które bywały bardzo przykre. Nie ma w szpitalu osoby, której by nie obraził. Chyba z wyjątkiem nocnego portiera i mnie. Ale miał cudowne ręce i był tak utalentowanym chirurgiem, że darowano by mu o wiele gorsze rzeczy.

– To znaczy, że mu wybaczano? – uściśliła Nastia. – Nikt nie czuł do niego żalu?

Emma Pietrowna zamyśliła się, a gdy po chwili się uśmiechnęła, na górze z lewej strony błysnął złoty ząb.

– Przez jakiś czas ludzie się dąsali, mieli pretensje, ale później wybacжали. Nikt nie jest bez wad, Dmitrij Wasiljewicz może i nie był ideałem, za to słynął jako znakomity lekarz. Lubiły go nie tylko dzieci, ale też ich rodzice.

– A właśnie, rodzice. Nie było czasem niezadowolonych z wyników leczenia? Może ktoś groził, że złoży zawiadomienie do prokuratury albo zaskarży Jewtiejewa do sądu? Albo nawet zabije?

– Ależ skąd. – Lekarka zamachała rękami. – Takie rzeczy nigdy się nie zdarzyły. Dmitrij Wasiljewicz sam często bywał niezadowolony, dużo wymagał od siebie oraz innych, zawsze szukał optymalnych sposobów i metod leczenia, nie zaznał spokoju, póki dziecko nie wyzdrowiało, a gdy opuszczało szpital, nadal je obserwował w razie wątpliwości. Rodzice nigdy nie mieli pretensji do Jewtiejewa.

– Nawet gdy dzieci umierały podczas operacji albo krótko po niej? – zapytała Nastia.

– Nawet wtedy – przytaknęła Emma Pietrowna. – Nikomu nie przysłoby do głowy, żeby oskarżać Dmitrija Wasiljewicza, wszyscy wiedzieli, że w jego wypadku nie ma mowy o niedbalstwie. Był bardzo uważnym, skrupulatnym i doświadczonym specjalistą.

– Może przychodziły anonimy na doktora?

– Ale w związku z czym?! – zdziwiła się Emma Pietrowna. – Dmitrij Wasiljewicz nie brał łapówek, nikogo nie hospitalizował ani nie operował poza kolejnością w zamian za pieniądze, był człowiekiem kryształowo uczciwym. Musi pani pamiętać, że choć nasze miasto jest oczywiście spore, ma pół miliona mieszkańców, jednak to nie Moskwa. Gdyby się okazało, że ktoś jest tak bardzo niezadowolony, że zamierza się zemścić, sprawa nabrałaby rozgłosu. A zresztą minęło tyle czasu... Ten ktoś zemściłby się od razu, po co miałby tak długo czekać?

To prawda. Nastia też o tym myślała. W końcu Jewtiejew nie pracował w szpitalu od ponad trzech lat.

– A co może pani powiedzieć o doktorze Gulewiczu?

– O Gulewiczu? – Oczy Emmy Pietrowny zaokrągliły się ze zdumienia. – Co można o nim powiedzieć? Po tamtej historii od razu się zwolnił i przeniósł do Soczi, więcej się tutaj nie pojawił.

– A jednak – Nastia nie ustępowała – proszę o nim opowiedzieć.

Jakieś sześć czy siedem lat temu dziecięcy szpital kliniczny musiał podreperować swój budżet, więc zaczął świadczyć płatne usługi medyczne nie tylko dla dzieci, ale też dla dorosłych. Doktor Gulewicz

wyszedł z inicjatywą, żeby otworzyć gabinet detoksykacji wodnej, w którym stosuje się kąpiel stóp w celu odtrucia organizmu.

To bardzo popularny zabieg na Zachodzie, zwłaszcza w Wielkiej Brytanii, dowodził, i przy dobrej reklamie można na nim zarobić niezłe pieniądze.

Jewtiejew był kategorycznie przeciwny, detoksykację nazywał oszustwem, w ogóle nie był zwolennikiem teorii toksyn i ich usuwania, uważał, że nie mają one żadnych podstaw naukowych. Gulewicz ani myślał rezygnować ze swojego projektu, więc Jewtiejew zaproponował przeprowadzenie publicznego eksperymentu. Przyniósł akumulator samochodowy, dwa duże gwoździe, sól kuchenną, po czym nalał ciepłej wody do miski. Włożył nogi do wody i umieścił w niej gwoździe podłączone do akumulatora. Podczas zabiegu woda zrobiła się rdzawobrazowa i wyraźnie czuć było zapach chloru. Właśnie te oznaki traktowane są za granicą jako dowód usunięcia toksyn z organizmu. Po zabiegu Jewtiejew odesłał wodę do laboratorium, później zmienił wodę w misce i przeprowadził ten sam eksperyment z plastikową lalką, którą pożyczył od jednej z dziewczynek leżących w szpitalu. Tę wodę też wysłał do laboratorium. Odpowiedź, która nadeszła, potwierdziła jego stanowisko: wyniki analiz okazały się identyczne, zapach chloru wydzielala pod wpływem elektrod wsypana sól, która jest chlorkiem sodu, a kolor pochodził od rdzy, która intensywnie gromadziła się na żelaznych elektrodach.

– A pani zdaniem eksperyment Jewtiejewa miał naukowe podstawy? – z ciekawością zapytała Nastia. – Czy też była to tylko

sztuczka, szarlataneria, żeby zaszkodzić Gulewiczowi?

– Nie jestem pewna. – Emma Pietrowna rozłożyła ręce. – Dmitrij Wasiljewicz zawsze był osobą aż do przesady uczciwą, nie wierzę, że mógł się uciec do oszustwa, żeby kogoś dotknąć albo ukarać, ale kto wie... Cudza dusza to zagadka.

– A więc dopuszcza pani myśl, że detoksykacja wodna to tak naprawdę dobry i pożyteczny zabieg, a doktor Gulewicz naraził się z jakiegoś powodu doktorowi Jewtiejewowi?

– To możliwe.

– I co było dalej?

– Gulewicz długo nie mógł wybaczyć Jewtiejewowi kompromitacji, projekt oczywiście upadł i Gulewicz nic nie zarobił. Jeśli ktoś nienawidził Jewtiejewa, to na pewno on. Wkrótce po tym skandalu odszedł ze szpitala i przeniósł się do Soczi.

Trzeba by sprawdzić tego Gulewicza...

– Mówi pani, że kiedy to było?

– Sześć, siedem lat temu.

Tak, pomyślała Nastia, Gulewicz długo czekał, żeby się zemścić. Pewnie to jednak nie on. Skórka niewarta wyprawki, nie stracił przecież nie wiadomo jak dużych pieniędzy, żeby się mścić po tylu latach, w dodatku tak okrutnie i cynicznie. Trzeba powiedzieć Stasowowi, żeby zasięgnął informacji o doktorze Gulewiczu swoimi kanałami w Soczi, bo Nastia nie ma zamiaru tam jechać. A swoją drogą, co to za człowiek z tego doktora Jewtiejewa! Pedantyczny i uczciwy do bólu, nie pozwalał szarlatanom zarabiać na ludzkiej

niewiedzy. Nic, tylko chodzący ideał! Ale Nastia nie ma zaufania do chodzących ideałów, oj, nie ma!

Starsza pielęgniarka Nadieżda Nikołajewna w odróżnieniu od Emmy Pietrowny okazała się nieprzyjemna, oschła i nieuprzejma. Nastia niemal od razu domyśliła się, że kobieta nie uwolniła się od cichego uczucia, którym darzyła nieżyjącego doktora Jewtiejewa. Nadieżda Nikołajewna nawet nie dopuszczała myśli, że doktor mógł kogoś urazić albo skrzywdzić, i przy najmniejszej wzmiance o osobach mu niezycliwych natychmiast się obruszała i reagowała opryskliwie. Nastia nie dowiedziała się od niej niczego pożytecznego i żałowała, że zmarnowała czas.

Czistiakow czekał na żonę, wpatrzony w ekran iPoda.

– Nie nudziłeś się? – zapytała Nastia, opadając na ławkę obok męża. – Przepraszam, że nie było mnie tak długo, ale Emma Pietrowna wciąż coś załatwiała.

– Nawet nie zauważyłem – wielkodusznie odparł Aleksiej. – Mam ciekawą książkę. No i jak, są jakieś postępy? Dowiedziałaś się czegoś istotnego?

– Właściwie nie. Historia z doktorem Gulewiczem jest oczywiście ciekawa, ale moim zdaniem mało obiecująca. Minęło siedem lat, facet od dawna mieszka w Soczi, o ile się gdzieś nie przeprowadził. Zaraz zadzwonię do Stasowa, pewnie się zdziwi, gdy poproszę, żeby zasięgnął informacji.

Losza wyłączył ekran.

– No to dzwoń i chodźmy coś zjeść. Jestem tak strasznie głodny, że

o niczym innym nie potrafię myśleć.

Stasow nie był zachwycony prośbą Nasti, ale obiecał, że zrobi, co w jego mocy.

– A tak w ogóle jak leci? Twoje raporty są coraz krótsze.

– Nie mam o czym pisać, zbieranie informacji idzie jak po grudzie, wciąż brak mi danych, żeby wszystko ułożyło się w całość. Uprzedzałam cię, Stasow, że podczas wolnych dni...

– Uprzedzałaś – przyznał, nie słuchając do końca. – A ja cię uprzedzałem, że mamy trudną i wymagającą klientkę. Nawiasem mówiąc, kobieta codziennie do mnie dzwoni, naprzykrza się, zawraca mi głowę.

– Ale jutro znowu zaczynają się dni wolne – jęknęła Nastia. – I to aż trzy.

– Mogłabyś mi nie dokuczać? – poprosił Stasow ze znużeniem. – Przecież się umówiliśmy: gdy nie ma roboty, odpoczywasz i zbierasz siły. Ucz się, Kamińska, jak cieszyć się życiem na emeryturze, bo przywykłaś harować jak wół i nie potrafisz się odzwyczaić. Idź do delfinarium, podobno w Jużnomorsku jest też wspaniałe oceanarium. Odwiedź je, naciesz wzrok pięknem, spraw sobie przyjemność. I przestań wreszcie utyskiwać.

Czistiakow zauważył speszoną minę Nasti.

– Czyżby Stasow z czymś wyskoczył? – zapytał, wstając z ławki.

– Poradził, żebyśmy poszli do delfinarium i oceanarium.

– Czemu nie? – Losza się ożywił. – Niezła myśl. Byłaś kiedyś w delfinarium?

Nastia pokręciła głową.

– Nigdy.

– A w oceanarium?

– Też nie. A ty?

– Byłem i tu, i tu, ale chętnie ci potowarzyszę, zobaczę, jak to wygląda w Jużnomorsku, bo dotychczas miałem okazję tylko za granicą... Chodźmy, podczas twojej rozmowy z lekarką rozejrzałem się po okolicy i znalazłem bardzo przyjemny lokal.

Dotarli do położonej nieopodal restauracyjki i ulokowali się przy jednym z pięciu stolików na przestronnym tarasie osłoniętym sztucznym winobluszczem.

Czistiakow prędko zjadł chłodnik i wytarł usta serwetką.

– Zaspokoilem pierwszy głód, jestem gotów cię wysłuchać, zanim podadzą nam drugie danie. Co powiedziano w szpitalu? Jakie są twoje wrażenia?

Nastia pokrótce streściła to, czego się dowiedziała od Emmy Pietrowny.

– Jewtiejew był oczywiście człowiekiem skomplikowanym i ekscentrycznym – podsumowała. – Ale nikt nie miał powodu, żeby się na nim mścić. Jediną osobą, na którą warto zwrócić uwagę, jest doktor Gulewicz, ale on też budzi spore wątpliwości. A poza tym kompletna pustka. Nikt nie ma motywu. Albo nie potrafię go znaleźć.

– Jeżeli nie ma motywu, Asieńko, należy poszukać człowieka, który mógłby się zemścić – zauważył Aleksiej. – Znajdź człowieka, to i motyw się znajdzie.

Nastię zdziwiło podejście Loszy.

– Ale ja tak nie potrafię – powiedziała z zakłopotaniem, odłamując kawałek ciepłej słodkiej chałki. – Przyzwyczaiałam się zaczynać od motywu. Zgodnie z powiedzeniem: szukaj tego, kto zyskał.

– A jeśli nie możesz go znaleźć? – Losza nie dawał za wygraną. – Bo przecież nie możesz, to oczywiste. To znaczy, że w otoczeniu Jewtiejewa należy szukać kogoś, kto byłby w stanie udusić bezbronny umierającego człowieka, w dodatku zrobił to z zemsty za coś, co się wydarzyło dawno, co najmniej trzy lata temu, ponieważ później doktor już nie pracował i nie mógł nikomu zaszkodzić.

Nastia spojrzała na męża z ciekawością.

– Ale jak szukać tego kogoś? Czym się kierować?

Czistiakow był tak poważny i skupiony, jakby stał za katedrą i wygłaszał wykład.

– Musisz pamiętać, Asiu, że nie każdy człowiek szuka zemsty. Wszyscy zostaliśmy kiedyś przez kogoś upokorzeni, obrażeni czy znieważeni, ale przecież nie wszyscy się mszczą, prawda? Ludzie przeważnie radzą sobie w inny sposób. Żeby zdecydować się na zemstę, trzeba mieć odpowiednią mentalność i być w określonej sytuacji życiowej.

– Na przykład w jakiej?

– Myślę, że zemstę wybierają ludzie odczuwający pustkę w życiu, którzy próbują zapełnić ją jakimś działaniem i emocjami. Określają je pięknym mianem „zemsty”, lecz w gruncie rzeczy to jedynie próba rozwiązania problemów osobistych. Chcą zatrzeć wrażenie nudy,

ułożyć sobie życie, pozbyć się kompleksu winy albo poczucia niedowartościowania. Jak sądzisz, dlaczego zemsta często dotyczy niewiernych małżonków?

– W grę wchodzi zazdrość – szybko odparła Nastia.

– Aśka, myślisz kategoriami, które wtłoczył ci do głowy kodeks karny. – Czistiakow się roześmiał. – Wyczytałaś tam, że zazdrość to motyw, i uwierzyłaś, chociaż kodeks tworzyli ludzie bez polotu, myślący szablonowo i stereotypowo.

– No dobrze. – Nastia ustąpiła. – Więc jaka jest właściwa odpowiedź?

– Zazdrość to nie motyw, ale uczucie. A motyw to chęć udowodnienia, że człowiek jest lepszy, silniejszy i mądrzejszy. Albo że nie ponosi winy. Że nie siedzi z założonymi rękami, że nie jest miernotą, która pozwala komuś robić ze swoim życiem, co mu się żywnie podoba. Uczucie nie może inicjować działania, ale motyw może. Inna sprawa, że uczucie pociąga za sobą motyw, to prawda. Ale nie wolno mylić jednego z drugim. Zapamiętaj: nieprzyjemne uczucie wywołuje pragnienie, żeby się go pozbyć, no a wybór sposobu zależy od temperamentu danej osoby. Może to być na przykład autotrening, pomoc psychoterapeuty, obrócenie się ku innym wartościom, ale może też być działanie, które przyjęliśmy nazywać zemstą. Chwytasz różnicę?

– Chwytam. No ale jak szukać tego mściciela? Zrozumiałam twoją teorię, ale jak to działa w praktyce?

– Szukaj w otoczeniu lekarza człowieka, którego życie się rozpadło,

może nawet wiele lat temu, i do tej pory się nie ułożyło. Albo człowieka, który z jakiegoś powodu był długo nieobecny w mieście albo nawet w kraju, to jeszcze łatwiejsze. Gdy oba wyróżniki do kogoś doprowadzą, możesz uznać, że znalazłaś zabójcę. No a dowiedzieć się, za co skazał doktora na śmierć, potrafisz lepiej ode mnie.

Nastia jadła spaghetti i zastanawiała się nad słowami Aleksieja. Czy jest w nich racja, to kwestia drugorzędna, najważniejsze jest to, że Loszka myśli nieszablonowo, więc dobrze się stało, że pomaga jej w pracy.

– Nawiasem mówiąc – głos Czistiakowa wytrącił ją z zamyślenia – jest tutaj też aquapark. Może są tam dobre zjeżdżalnie.

– Co to, to nie – odparła przestraszona Nastia. – Nie jestem miłośniczką zjazdów, nie narzekam na brak adrenaliny i nie potrzebuję dodatkowego stresu.

*

Dwa stoliki za Nastią i Czistiakowem, na tym samym tarasie, siedziała niczym niewyróżniająca się para, która wyglądała na wczasowiczów. Mężczyzna w dzinsach i koszulce z napisem w alfabecie łacińskim, niewysoki, raczej niepozorny, i korpulentna kobieta z imponującym biustem, ubrana tak samo zwyczajnie i niepozornie.

– Pietieńka, odkrój tłusty kawałek i odłóż na bok, nie wolno ci tego jeść, masz wysoki cholesterol – powiedziała dama. – Ile razy mam ci powtarzać?

– Dobrze, Lindo Hasanowno – odparł Pietieńka, powściągnając uśmiech. – Odkroję i odłożę.

– I nie bądź złośliwy. – Kobieta się rozgniewała. – Czemu muszę dbać o twoje zdrowie, jakby zależało mi na tym bardziej niż tobie?

– Dlatego, że pani, Lindo Hasanowno, zależy na tym bardziej niż mnie. Zamierza pani sama zadzwonić czy ja mam to zrobić?

– Przestań! – obruszyła się Linda. – Mamy poważną robotę do zrobienia, nie zajmujemy się głupstwami. Jedz spokojnie, przeżuwasz jak należy, a ja pójdę zadzwonić.

Zawsze irytowała się i wpadała w gniew, gdy Piotr rozmawiał z nią w ten sposób, a robił to niemal na okrągło. Byli kochankami od wielu lat i przez cały ten czas Linda opiekowała się Piotrem, zwracała do niego czule, ochraniała niczym kwoka swoje pisklę, a Piotr przyjmował to z pewną dozą ironii, żartobliwie mówił do niej per pani i ostentacyjnie wykonywał polecenia. Role zostały podzielone i oboje odgrywali je z przyjemnością.

Linda zostawiła Piotra zmagającego się z tłustym kawałkiem kotleta, a sama wzięła torebkę i oddaliła się na przyzwoitą odległość. Ukrywszy się w cieniu rozłożystego drzewa, zerknęła na Nastię i Czistiakowa, po czym wyjęła telefon komórkowy.

– Byli w szpitalu – oznajmiła rozmówcy. – Tak, w tym samym. Tego akurat nie słyszeliśmy, nie możemy przecież się do nich zbliżyć... Na miłość boską, jeśli dostaniemy odpowiedni sprzęt, nasze raporty będą dokładniejsze... No właśnie...

Skończywszy rozmowę, z niezadowoleniem zmarszczyła nosek i

wsunęła telefon do torebki. Wciąż nowe żądania, ale żeby zapewnić to, co niezbędne – o tym nie ma mowy.

Kiedyś Linda i Piotr pracowali razem – ona w wydziale do spraw nieletnich, on w sekcji dyżurnej komendy rejonowej. Odeszli na emeryturę niemal jednocześnie – najpierw Piotr, a dwa miesiące później wniosek złożyła też Linda. Od tamtej pory minęło pięć lat. Przez ten czas ich życie stało się o wiele ciekawsze i co najważniejsze, bardziej stabilne pod względem materialnym. Mieli dobre kontakty w milicyjnym światku, więc teraz chętnie wynajmowano ich do prowadzenia obserwacji zewnętrznej i rozwiązywania drażliwych problemów. Oboje okazali się mistrzami kamuflażu, Linda, na co dzień śliczna i atrakcyjna, umiejętnie zmieniała stroje i peruki, żeby nikt nie zapamiętał jej twarzy, a Piotr nie musiał się nawet starać – zawsze był szary i niepozorny. Ich ostatnie zlecenie polegało na śledzeniu pary moskwian, którzy zamieszkali w hotelu „Rajski Zakątek”, i przekazywaniu informacji o ich kontaktach i ruchach. Zadanie otrzymali dopiero wczoraj wieczorem, więc rozpoczęli pracę dzisiaj rano, ale z wyjątkiem wizyty w szpitalu nic istotnego nie zaobserwowali.

Linda wróciła na taras i surowo spojrzała na Piotra. Talerze sprzątnięto już ze stolika.

– Nie jadłeś tłustego kawałka?

– Nie jadłem, uspokój się.

– Zamówiłeś deser?

– Nie, czekałem na ciebie, nie zostawiłaś przecież żadnych

instrukcji.

– Pietrusza!

Znowu wyśmiewa jej próby kontrolowania jego diety, ale co w tym śmiesznego? Właściwa dieta to zdrowie, a zdrowie to długowieczność. Linda chce spędzić z Piotrem jeszcze wiele lat i cieszyć się życiem, a on tego nie rozumie i się śmieje. Zobaczymy, jak będzie się śmiał, gdy dopadnie go zawał albo udar! Wtedy sobie przypomni, że nie pozwalała mu jeść tłustego mięsa i smarować chleba masłem, ale będzie już za późno.

– Coś nowego? – zainteresował się Piotr.

– Dostaliśmy cenną dyspozycję, żebyśmy poznali treść ich rozmów.

– Linda się uśmiechnęła. – Można by pomyśleć, że zamiast uszu mamy radary. Obserwacja zewnętrzna to jedno, a treść ich intelektualnych pogawędek to zupełnie co innego, do tego potrzebny jest sprzęt, no i powinniśmy dostać za to coś ekstra. Zawołaj kelnera, zamówimy herbatę.

– I deser – dodał Piotr, uśmiechając się łobuzersko.

– Żadnego deseru, to zabronione.

– Ty jesteś na diecie, więc to zrozumiało, ale czemu ja nie mogę jeść tego, na co mam ochotę? – Mężczyzna się obruszył.

– W trosce o swój cholesterol i wątrobę.

– Wątroba lubi słodkie rzeczy – zaproponował.

– Powiedziałam „nie”! – zripostowała Linda. – Zobacz, co oni tam robią, czy nie zbierają się czasem do wyjścia? Nie proszą jeszcze o rachunek?

Piotr zerknął przed siebie, tam gdzie siedzieli obserwowani figuranci.

– Nie, siedzą i gadają. O czymś mądrym.

– Czemu tak sądzisz?

– On ma poważną minę, a ona patrzy na niego z uwagą. Ciekawa para. Jak sądzisz, śpiąją ze sobą?

Linda zamyśliła się. Miała wielką ochotę, żeby się obejrzeć i przyjrzeć mężczyźnie i kobiecie, ocenić wyraz ich twarzy oraz sposób, w jaki siedzą obok siebie, ale nie mogła tego zrobić. Musiała bazować na tym, co zdążyła dostrzec w ciągu minionych godzin. Ale nie dostrzegła w tym czasie zbyt wiele, figuranci przechadzali się po mieście, oglądali domy i wciąż ze sobą rozmawiali. Nie milkli ani na chwilę. Linda pomyślała, że sądząc z wyrazu ich twarzy, rozmowa dotyczyła różnych spraw, chwilami była lekka i żartobliwa, innym razem poważna. Widać było, że para zna się od dawna i nie brakuje jej tematów do dyskusji. Linda nie zaobserwowała jednak żadnych „nieprzyzwoitych” dotknięć, przelotnych objęć i pocałunków. To oczywiste, że łączy ich przyjaźń, ale jeśli są kochankami, to z bardzo dużym stażem, gdy bliskość cielesna nie ma już prawie żadnego znaczenia. Tak jak w przypadku jej i Pietruszy: namiętność ostygła, pozostały ciepłe i bliskie relacje, łączy ich wspólna sprawa i wspólny zarobek. A to może nawet więcej niż małżeństwo. Dawno minęły tamte czasy, gdy Linda umierała z pragnienia, żeby wyjść za Piotra i obrażała się na niego, że ten nie pali się do żeniaczki. Teraz jest im ze sobą dobrze. Po co jej małżeństwo? Była już kiedyś mężatką, nic dobrego jej to nie

przyniosło, z wyjątkiem syna, który sprawia Lindzie wielką radość. Chłopak się udał, studiuje w Rostowie, kształci się, wyrósł na odpowiedzialnego młodzieńca. A właśnie...

Linda zerknęła na zegarek i sięgnęła po telefon. Syn powinien był już wrócić z zajęć do akademika, pora, żeby do niego zadzwonić.

– Co słyszeć, synku? Co tam na uczelni? Jadłeś coś?

Piotr nachylił się ku niej i cicho szepnął:

– Zapytaj, czy siedział już dzisiaj na nocniczku.

Linda pogroziła mu pięścią i wróciła do przesłuchiwania syna. Pietrusza zawsze się z niej naśmiewa i mówi, że jest nadopiekuńcza, ale kto niby ma zadbać o syna, jak nie rodzona matka? Szczerze mówiąc, troska o innych to jej żywioł i powołanie. O wszystkich się troszczy i martwi: o chorych i biednych, o bezdomne psy i koty. A Pietieńka z niej szydzi...

Piotr dotknął jej ręki i rzucił spojrzenie w kierunku stolika, przy którym siedzieli figuranci. Linda domyśliła się, że para zamierza wyjść, pora więc pożegnać się z synem i zapłacić kelnerowi, żeby nie stracić ich z oczu.

*

Pułkownik Alekpierow musiał włożyć sporo trudu, żeby rozwikłać sprawę Borisa Krotowa. Zastawił sieci, używając nazwiska Walerija Stiecenki jako przynęty, i teraz czekał, aż znajdzie się ktoś, kto mu opowie o dalekiej przeszłości. I się doczekał. Tym kimś okazał się

pewien przedsiębiorca średniego formatu w podeszłym wieku, którego firma zajmowała się przemytem. Khan został uprzedzony, że o spotkaniu ze źródłem nie może być nawet mowy, niech przekaże pytania, tą samą drogą otrzyma odpowiedzi.

Z informacji zawartych w kopii wyroku przechowywanej przez Krotowa oraz w innych źródłach, w tym operacyjnych, wyłaniał się następujący obraz. Na początku lat osiemdziesiątych Stiecenko zajmował się handlem walutą na dużą skalę, wchodził w skład dość dużej grupy przestępczej i toczyło się przeciwko niemu postępowanie karne, w którym mógł zostać skazany na karę śmierci. Sprawy dotyczące operacji walutowych prowadzili w tamtych czasach śledczy KGB. Przez dłuższy czas Stiecenko występował tylko jako świadek, a gdy liczba zebranych przeciwko niemu dowodów pozwoliła postawić go w stan oskarżenia, nastąpiło coś dziwnego – Stiecenko wyparował ze sprawy karnej, nie był wzywany nawet jako świadek, jakby w ogóle nie istniał. Parę miesięcy później on, elegant i modniś, bywalec restauracji i miłośnik luksusowych kobiet, zabił swoją kochankę – skromną pracownicę DEZ-u¹⁰. Cóż to za czarodziejska metamorfoza? Dlaczego wyparował ze sprawy karnej, porzucił szyk oraz elegancję i zaczął prowadzić życie skromnego, ale zagląającego do kieliszka robola? Może to nie ten sam człowiek, ale dwie zupełnie różne osoby z takimi samymi dokumentami? Ech, warto by znaleźć zdjęcie Stiecenki z tamtego okresu, gdy był jeszcze obrotnym waluciarzem, i porównać ze zdjęciem mężczyzny zabitego miesiąc temu w zaułku Grocholskim. Swoją drogą, trzeba pokazać Krotowowi zdjęcie z miejsca zabójstwa i

zobaczyć, czy rozpozna w zabitym dawnego „wujka Walerę”. Może mężczyzn z dokumentami Walerija Stiecenki jest nie dwóch, ale nawet trzech? Coś się w tej sprawie nie zgadza.

*

Boris odsłonił portret i odwrócił blejtram tak, żeby gość mógł zobaczyć pracę, która była gotowa już półtora miesiąca temu, ale której klient wciąż nie mógł zabrać, ponieważ podróżował po Ameryce Południowej. Tamten długo studiował portret młodej dziewczyny od pasa w górę, ubranej w turecki strój narodowy – taką miał zachciankę. Później roześmiał się hałaśliwie i rubasznie.

– A ja łamię sobie głowę, czemu nie mogę się z nią dogadać, a tu się okazuje, że to po prostu głupia flądra! Że też wcześniej tego nie zauważyłem! Przecież codziennie się na nią gapię, a olśniło mnie, dopiero gdy ją zobaczyłem na twoim portrecie. Prawdziwy gigant z ciebie, Boria, prawdziwy debeściak! Przepędzę ją na cztery wiatry, niech szuka frajerów gdzie indziej i się z nimi puszcza. Tak, postanowione, przepędzę i koniec.

– Może nie warto robić gwałtownych ruchów? – Krotow się uśmiechnął. – Nie jestem przecież prorokiem, mogę się mylić.

– A gdzie tam, bracie, nie mylisz się, jest tak, jak namalowałeś. Teraz wszystko rozumiem... Słuchaj – klient się nagle ożywił – wygląda na to, że jesteś kimś w rodzaju Freuda. Mam takiego jednego kolesia, z którym nie mogę znaleźć wspólnego języka, podeślę ci go, a

ty go narysujesz, dobra? Może zobaczysz w nim coś, co będę mógł wykorzystać, żeby się z nim dogadać, he?

Tego jeszcze brakowało! Boris Krotow nie spodziewał się, że jego talent zostanie wykorzystany do takich celów i wcale mu się to nie spodobało. Ma być szpiegiem? To podłe i obrzydliwe.

Zaczął się wymawiać, ale klient nie przestawał usilnie i kwieście go przekonywać. Boris się zdenerwował, bo nie lubił odmawiać – mógł stracić klientów, a z nimi zarobek, jednak nie miał w ogóle ochoty przyjmować tego zlecenia. W dodatku czas go naglił, już dziesięć po trzeciej, a o trzeciej miał dzwonić do Khana, tak się umówili. Spóźnić się i nie dotrzymać ustaleń też nie lubił. Kiedy wreszcie ten typ się od niego odczepi?!

Ale klient nie zamierzał się odczepić, więc Boris, zgrzytając zębami, zgodził się namalować portret „jednego koleś”, jeśli ten oczywiście zechce.

– Możesz być pewien, że zechce. – Klient się ucieszył. – Znajdę sposób, żeby go podejść. A zresztą wszyscy przecież o tobie wiedzą, masz renomę, chętni ustawiają się do ciebie w kolejce, a ja mu powiem, że przyjmiesz go poza kolejnością...

– Nie, tak nie można, dla nikogo nie robię wyjątków – zaproponował Boris. – Właśnie dlatego mam dobrą opinię. Jak pan chce, mogę powiedzieć, czyje zlecenie jest następne, a pan sam to załatwi z klientem. Inaczej wykluczone.

– Dobra, to żaden problem! – prychnął klient. – Zapłacę odszkodowanie i po sprawie. No dalej, mów, czyja teraz kolej.

– Teraz pracuję dla Artura, a później...

Boris zajrzał do notesu, wymienił nazwisko i z ulgą odprowadził klienta, który zabrał gotowe płótno. Zazwyczaj oddawał swoje prace bez ramy, klienci sami się tym zajmowali, wybierając ją zgodnie z własnym gustem i dopasowując do wnętrza, w którym miał wisieć portret.

Boris zadzwonił do Khana dwadzieścia minut po umówionym czasie i czuł się winny.

– Mam pewne informacje – oznajmił Alekpirow. – I to dość ciekawe. Musisz też zerknąć na jedno zdjęcie. To nie będzie przyjemne, ale jest konieczne. Musimy się spotkać.

– Kiedy i gdzie? – ochoczo zapytał Krotow.

Spotkali się tego samego wieczoru w tym samym mieszkaniu co przedtem. Boris spojrział na zdjęcie martwego mężczyzny i ledwie powstrzymał jęk. Tak, to on, wujek Walera, mężczyzna, który zabił mamę. Dosięgnęła go tak samo straszna śmierć. Czy to sprawiedliwość? A może zemsta? Albo ironia losu?

– No i co? – niecierpliwie zapytał Khan.

– To on – wybąkał Krotow.

– Na pewno? Nie mylisz się? W końcu minęły dwadzieścia cztery lata, facet się zmienił, byłeś wtedy małym dzieckiem, więc mogłeś zapomnieć.

– Niczego nie zapomniałem – twardo odparł Boris. – Nic mi się nie pomyliło. Przecież mnie znasz, twarze są dla mnie tym, czym dla innych słowa. Facet się oczywiście postarzał, ale to bez wątplenia on.

– No dobrze. – Khan westchnął. – Trzeba się zastanowić. W tej sprawie jest dużo niejasności.

W drodze do domu Boris miał wciąż przed oczami martwą twarz. To on zabił mamę... Mamę, piękną, dobrą i wesołą, która zawsze tak ładnie pachniała.

Dobrze pamiętał tamten straszny dzień, gdy to się zdarzyło. Mama zabrała go z przedszkola i zaprowadziła do domu, pachniała winem i czymś nieznanym. W domu od razu zaczęła szykować kolację, zaraz potem przyszedł wujek Walera i przyniósł parę butelek. Boris umiał już czytać, więc rozszyfrował napis na nalepkach: „Wódka Moskowskaja”. Po kolacji mama poleciła, żeby pobawił się w swoim pokoju, a sama została w kuchni z wujkiem Walerą. Rozmawiali głośno, ale Boris włączył telewizor i zaczął oglądać kreskówki, a gdy się skończyły, otworzył blok, wyjął kolorowe kredki i zaczął rysować. Gdy nie oglądał filmów, rysował. Nic innego go nie interesowało.

Później głosy dobiegające zza ściany zrobiły się donośniejsze, huknęło gwałtownie odsunięte i przewrócone krzesło, drzwi do pokoju szeroko się otworzyły i wbiegła mama, a za nią wujek Walera, który wymachiwał dużym nożem i krzyczał, że zabije... zaraznie... puszczałską sukę... Mama wcisnęła się w kąt i zasłoniła twarz rękami, a wujek Walera wciąż wymachiwał nożem i strasznie krzyczał... Później tak samo strasznie krzyknęła mama i chlusnęła krew. Mama upadła i zaczęła się czołgać ku drzwiom, a wujek Walera dźgnął ją nożem jeszcze parę razy, a gdy ucichła i znieruchomiała, runął na ziemię i ukrył twarz w dłoniach. A później do drzwi zaczęli dzwonić

sąsiedzi, którzy usłyszeli krzyki i jęki. Boris nie pamiętał, czy też krzyczał. Pamiętał tylko swoje osłupienie, gdy nie mógł poruszyć rękami ani nogami, a przerażenie ścisnęło mu gardło. Podobne dławienie w gardle czuje czasem nawet teraz, we śnie, gdy śnią mu się koszmary, i na jawie, gdy przypomina sobie mamę.

Co nowego może mu powiedzieć nieznany autor listów? Czy może wiedzieć o czymś, o czym on nie wie? Nawet jeżeli Khan ma rację i okaże się, że waluciarz Stiecenko i zabójca Stiecenko to dwie różne osoby, co w tym ciekawego dla Borisa? Jego matka została zabita, zadżgana na jego oczach, zabójca poniósł zasłużoną karę, tutaj nie może być żadnej niespodzianki. Załóżmy nawet, że Stiecenko zdradził komuś szczegóły zabójstwa, na przykład osobie, z którą zaprzyjaźnił się podczas odsiadki, no i co z tego? Boris zna te szczegóły. Był oczywiście zbyt mały, żeby rozumieć, dlaczego wujek Walera nazwał mamę puszczalską suką, ale teraz jest już dorosły i świetnie rozumie, że mama pewnie dała mu powód. Była bardzo ładna, więc to oczywiste, że mężczyźni chętnie z nią flirtowali. Może chodzi o tego rodzaju szczegóły? Ale po co one Krotowowi? Co zmienią w jego życiu? Poza tym nie chce ich znać, mama była i pozostanie dla niego najczulszą i najpiękniejszą osobą na świecie, nie są mu potrzebne żadne informacje o jej wielbicielach i zachowaniu, które wzbudziło zazdrość. W każdym razie nie ma najmniejszego zamiaru za nie płacić.

Kto jednak pisze te listy?

¹⁰ DEZ (direkcja po eksploatacji zdanij) – administracja osiedlowa.

ROZDZIAŁ 8

Walentina Jewtiejewa popatrywała z ukosa na profil idącego obok niej Sławomira Iljicza i serce zamierało jej ze szczęścia i z zachwytu. Wszystkie udręki się skończyły, nazajutrz po wizycie tamtej starszej pary w domu Kramariewa spotkała Sławomira Iljicza na spacerze. Podobnie jak poprzednio za jego plecami majaczyli dwaj ochroniarze.

– Jakże się cieszę, Waleczko, że panią widzę – zawołał ucieszony. – Przez parę dni nie mogłem się wyrwać i muszę przyznać, że się za panią stęskniłem. Jest pani czarującą rozmówczynią, brakowało mi spaceru z panią.

– Ja też na pana czekałam – wyznała szczerze Walentina. – Niepokoiłam się, czy nie jest pan czasem chory.

Mężczyzna dotknął lekko jej dłoni i Walentina zdrętwiała. Czy to możliwe?! Jej marzenia naprawdę się spełniają?

– Miałem dużo pracy. – Sławomir westchnął, a Walentina odniosła wrażenie, że w jego głosie pobrzmiwał żal. W każdym razie chciała, żeby tak było. – Ale myślałem o pani, przypomiinałem sobie nasze spotkanie. Wie pani, co teraz zrobimy? Pójdziemy napić się kawy, w pobliskim centrum handlowym jest przyzwoita kawiarnia, w której serwują świeże wypieki. Da się pani namówić?

Walentina z ochotą przystała na propozycję. Poszłaby z nim

wszędzie, nie tylko do kawiarni, nawet na mecz bokserski.

Okazało się, że ścieżka w tej części lasu prowadzi prosto do dużego centrum handlowo-rozrywkowego. Od szosy do miejsca spotkania ze Sławomirem Walentina szła dobre dwadzieścia minut, a teraz droga zabrała zaledwie siedem.

Ochroniarze odprowadzili ich do wejścia i zostali na zewnątrz. Personel kawiarni znał Sławomira Iljicza, widocznie często tutaj wpadał. Zamówili kawę i ciastka francuskie z jabłkami i cytryną. Walentina zapomniała o swoich obawach, że przytyje, nawet nie przyszło jej do głowy, że zjedzenie ciastek grozi poszerzeniem talii. W obecności swojego towarzysza gotowa była jeść wszystko bez względu na konsekwencje.

– Niech mi pani opowie o sobie – poprosił Sławomir. – Kim są pani rodzice, jak sobie pani radziła w szkole, o koleżankach z dzieciństwa i o pierwszej miłości.

Żeby się tylko nie zaplątać, pomyślała niespokojnie Walentina. Nie urodziłam się w Runowsku i nie dorastałam w Jużnomorsku, pochodzę z inteligenckiej petersburskiej rodziny, mój tata jest lekarzem, mama inżynierem, a brat biznesmenem. Niczego nie muszę wymyślać, będę mówić prawdę, tylko wszystko będzie się działo w Petersburgu. I nikt nie zabije taty, powiem, że zmarł w wyniku choroby. Nie, nie wspomnę o śmierci, to zbyt świeże wspomnienie, Nina Siergiejewna mówiła, że w Moskwie nikt nie lubi słuchać o cudzych zmartwieniach, no i w ogóle wszyscy unikają osób z problemami. Będę udawać, że tata nadal żyje i w domu nie ma żadnej

choroby. Chociaż właściwie wcale o tym nie wspomnę. Sławomir nie pyta przecież o moich rodziców w chwili obecnej, tylko o moje dzieciństwo.

Walentina opowiadała o sobie i o swojej rodzinie, nie przestając się dziwić, że Sławomira może to interesować. Gdy wypytywała ją Nina Siergiejewna, wiedziała, że bierze ją pod lupę, bo ma takie hobby, nawet o tym uprzedzała. Ale Sławomir! Żaden mężczyzna, który zabiegał o jej względy, nie interesował się jej dzieciństwem ani szkolnymi przyjaciółmi, ciekawość partnerów ograniczała się do pytania, czy była zamężna i czy ma dzieci.

– A jakie książki czytała pani w dzieciństwie? – zapytał naukowiec.

Rozmowa płynnie zeszła na literaturę i tutaj Sławomir Iljicz dał się wciągnąć w dyskusję i okazał się człowiekiem obeznanym i dociekliwym. Akurat zastanawiali się nad tym, w jakim wieku powinno się czytać *Madame Bovary* Flauberta, żeby cokolwiek zrozumieć z tej powieści, gdy Sławomir Iljicz wyjął komórkę z kieszeni.

– Przepraszam, Waleczko, muszę zadzwonić. Dziewczyna ma depresję, powinienem podtrzymać ją na duchu.

Walentina nie miała pojęcia, o jaką dziewczynę chodzi, więc uważnie wsłuchiwała się w każde jego słowo, próbując odgadnąć, czy chce, żeby zapytała, co to za dziewczyna i dlaczego jest w depresji. Chyba chce, inaczej po co by w ogóle o tym wspominał? A może wspomniał bez powodu, jedynie po to, żeby wyjaśnić, dlaczego przerywa rozmowę w najciekawszym momencie, i nie planuje żadnych dyskusji na ten temat? Jak powinna postąpić, żeby go nie zirytować i

nie wywołać niezadowolenia?

– Olgo Konstantinowno – mówił Sławomir Iljicz do słuchawki – co słychać? Nic? Jak spałaś? Co ci się śniło? Daj spokój, tak nie wolno... Wszystko będzie dobrze, nie myśl o tym... Przecież jesteś rozsądna... Nie, tak nie wolno, to zły pomysł... Właśnie dlatego jest zły... Nie... Nie... Lepiej weź coś na uspokojenie i się połóż, jak się prześpisz, ujrzysz rzeczy w innym świetle.

Olga Konstantinowna. Nina Siergiejewna mówiła o jakiejś Oldze, nauczycielce arabskiego. Czyżby to była ona? A więc Sławomir ma jednak z nią romans? Walentyna zaczęła się denerwować. Z jednej strony, rozmawia z tą Olgą delikatnie, okazuje troskę, ale z drugiej, siedzi przecież w kawiarni z nią, z Walentyną, a nie z Olgą. Po co dzwoni do niej akurat teraz? Nie mógł zadzwonić później, gdy Walentyny nie będzie obok? A może chce w ten sposób dać jej do zrozumienia, że nie jest wolny, że nie powinna snuć niepotrzebnych planów? Ale po co w takim razie zaprosił ją do kawiarni? I dlaczego powiedział, że o niej myślał i że za nią tęsknił?

Sławomir rozmawiał długo i nieśpiesznie, Walentyna zdążyła nie tylko zjeść oba swoje ciastka i dopić kawę, ale też wypalić dwa papierosy. Znudziło jej się słuchanie rozmowy Sławomira, jego słowa budziły nieprzyjemne i trwożne myśli, więc wróciła do sprawy, która ją tu sprowadziła. Kamińska pojechała do Jużnomorska i zabrała się już do pracy, Stasow powiedział, że spotyka się z przyjaciółmi ojca i zamierza złożyć wizytę w szpitalu. Sprawa ruszyła więc z miejsca, zlecenie jest w trakcie realizacji, a to budzi nadzieję. Podobnie jak

Sławomir Iljicz... Czyżby w tak dziwny i ciekawy sposób zaczynał się nowy rozdział w jej życiu?

– Z wami, dziewczynami, są same problemy – powiedział mężczyzna z uśmiechem, chowając telefon.

No i znowu... Do czego on zmierza? Chce, żeby Walentyna zapytała jednak o Olgę? Czy jedynie przeprosza za zbyt długą rozmowę?

– Wszystko w porządku? – zapytała życzliwie.

Tak chyba będzie najlepiej. Jeśli Sławomir zechce, sam wszystko opowie, pytanie to umożliwia. A jeśli nie zechce, będzie milczał i wykręci się zdawkową odpowiedzią.

– Dziewczyna wyprawia komedie – powiedział. – Coś ją ugryzło. Muszę zadbać o jej kondycję psychiczną, żeby nie narobiła głupstw. A może przejdziemy na ty, Waleczko? Co pani na to?

Zmienił temat. Nie chce opowiadać o Oldze. A więc przynajmniej nie zamierza dawać do zrozumienia, że nie jest wolny, a to już dobrze. Oboje chętnie zrezygnowali z oficjalnego tonu, po wyjściu z kawiarni spacerowali jeszcze przez całą godzinę, a gdy się rozstawali, Sławomir dokładnie określił czas i miejsce ich jutrzejszego spotkania.

Od tamtego dnia wspólne przechadzki stały się normą. Dzisiaj, dziewiątego maja, w niedzielę, spotykali się już czwarty raz z rzędu. Idąc obok Sławomira, Walentyna czuła, że jest zakochana po uszy. A on zachowywał się tak jak pierwszego dnia, był opanowany, spokojny, ironiczny, bardzo opiekuńczy, jego głos brzmiał łagodnie i ciepło, często dotykał Walentyny jak gdyby przypadkiem, czasami nawet obejmował ją ramieniem, ale ona nie dostrzegała ani śladu napięcia w

jego zachowaniu, jakby byli starymi przyjaciółmi. Może Sławomir lubi ze mną przebywać, ale jako kobieta w ogóle go nie pociągam, pomyślała ze zdziwieniem, a nawet z urazą.

*

Lody szybko topniały, więc Nastia jadła je pośpiesznie w obawie, żeby nie kapnęły na białe spodnie. W okrągłym basenie dwa walenie z Morza Północnego, Zemfira i Kluseczka, demonstrowały cuda posłuszeństwa i zręczności, wyskakiwały z wody po piłkę, robiły rundę z trenerem na grzbiecie i zatoczyły pożegnalne koło, przewracając się na bok i machając płetwami do widzów. Po waleniach przysła kolej na półtoratonowego, ale niezwykle zwinnego lwa morskiego Timofieja, a para delfinów czarnomorskich zakończyła popisy. Wszystkie numery przeplatane były w miarę dowcipną konferansjerką. Skończywszy jeść lody, Nastia biła brawo i cieszyła się jak dziecko. Siedzący obok Czistiakow popatrywał na nią z uśmiechem.

– Cała się upaprałaś – powiedział, wyjmując chusteczkę – jak pięcioletnia dziewczynka. Podoba ci się?

– Strasznie! – przyznała. – Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak dobrze się bawiłam. Nie mam pojęcia, co trzeba zrobić, żeby zmusić walenie do machania płetwami, mój biedny umysł tego nie ogarnia.

To był ostatni dzień długiego weekendu. Pierwszego dnia Nastia zadzwoniła pod numery telefonów zebrane od przyjaciół Jewtiejewa oraz w szpitalu i z przykrością stwierdziła, że tylko dwie osoby z listy

nie wyjechały. Odwiedzili je z Czistiakowem, ale nic nowego nie usłyszeli. Następnie udali się do oceanarium, gdzie Nastia ze zdumieniem i z zachwytem oglądała rybki za szybami ogromnych akwariów i dziwiła się bogactwu ich ubarwienia. Oto ryby, które mają pięćdziesiąt milionów lat, szare i niepozorne. Coś podobnego, pięćdziesiąt milionów lat to okres, który trudno objąć rozumem, a te długie szare rybki już były na świecie! Pływały, rozmnażały się... A tutaj ryba motyl, złocistoróżowa, rzeczywiście przypomina wiotkiego motyla, Nastia nawet nie podejrzewała, że bywają takie ryby. Rybka zwana pyzatkiem ma pod oczami dziwne pęcherze wielkości wiśni, a śnieżnobiała oranda z przezroczystymi płetwami mięsistą czerwoną naroślą na głowie, która nosi nazwę tłuszczaka, ale wygląda jak grudka czerwonego kawioru. Z niewielkich wgłębień w kamieniu wyslizgują się długie nakrapiane mureny. W ogromnym akwarium pływał też rekin, a wokół niego zjawiskowe remory, niebieskie, z jaskrawożółtymi ogonami wielkości dziecięcej dłoni. A tutaj rybka w kolorze jaskrawoniebieskim z wyraźnie zarysowanym szerokim czerwonym pasem biegnącym od środka boku ku grzbietowi. Po co jej ten pas? Do czego służy? Czy to tylko ozdoba? A może pełni inne zadanie? Natura niczego nie robi tak po prostu. Stworzyła ten pas w określonym celu. Każde stworzenie otrzymuje coś od natury, pomyślała Nastia. Nie bez powodu. Rośliny i zwierzęta przyjmują ten dar, tak jak przyjmują dane im życie, i aż do śmierci wykorzystują wszystko, co im dała natura. Rybki pływają, drapieżniki polują, węże pełzają... Natura tworzy zwierzęta, rośliny, wodę i kamienie w sobie tylko znanym celu,

o którym człowiek nie ma zielonego pojęcia, nie powinien więc wpadać w pychę i uważać, że naturę da się zrozumieć i wykorzystać jej dzieła zgodnie z ich przeznaczeniem. Każde stworzenie na ziemi wykorzystuje dary natury, jedynie człowiek bezmyślnie je marnotrawi, a później przestaje korzystać z tego, co jeszcze zostało. Człowiek otrzymuje przecież ręce, nogi, organy zmysłów i rozum, więc dlaczego z takim lekceważeniem traktujemy cenne dary, przestajemy słuchać, patrzeć, myśleć, poruszać się, zamykamy się w skorupie przestarzałych mitów i wyobrażeń, czasem w ogóle przestajemy żyć w wyniku pewnych zdarzeń, może to być na przykład osobiste zmartwienie, a nawet osiągnięcie pewnego wieku. W ten sposób obrażamy naturę, jakbyśmy jej mówili: nie potrzebujemy tego, co nam dajesz, nie zamierzamy z tego korzystać, zabierz to z powrotem. A ona spełnia nasze żądanie. Odbiera wzrok, słuch, giętkość stawów, stopniowo odbiera też rozum. Dała nam wszystko, żebyśmy mogli cieszyć się życiem i być szczęśliwi, a my tego nie robimy, wymyślając tysiące powodów, dlaczego nie możemy, dlaczego nam się nie udaje. Co nami powoduje? Biegorski, zakładając klub „Złoty Wiek”, miał chyba rację, gdy twierdził, że człowiek aż do ostatniego tchnienia powinien funkcjonować tak, jak go stworzyła natura, nie popadać w grzech rezygnacji i nie zamykać się w czterech ścianach. Podróż do Tomilina otworzyła mi oczy na wiele rzeczy, pewnie dlatego tak często ją wspominam. Jak to dobrze, że Stasow powierzył mi tę sprawę.

Po wyjściu z oceanarium Nastia i Aleksiej postanowili zwiedzić drugą część deptaka, tamtą, która zaczynała się za skwerem dzielącym

starą, „literacką” część miasta od nowej, „politycznej”. Nowy deptak był szerszy, inne były też sklepy, handel nie odbywał się w kioskach i na straganach, mieściły się tu punkty handlowe z własnymi nazwami, osobnymi pomieszczeniami, witrynami i klimatyzacją. Ceny w restauracjach i kawiarniach były wyższe, ale plaża okazała się tak samo źle wyposażona, z płatnymi plastikowymi leżakami. Nastia i Losza zjedli kolację w restauracji „Gracja”, która była położona na pięknym drewnianym tarasie nad plażą. Nazwy dań w menu zdumiewały wytwornością, ale jedzenie było wyjątkowo niesmaczne.

– Co powiedziała by nieoceniony Jakow Naumowicz, gdyby zobaczył, jak za grube pieniądze opychamy się czymś zupełnie niezjadliwym? – zastanawiał się Czistiakow. – Pewnie złapałby się za głowę. Radził nam przecież, żebyśmy się stołowali wyłącznie w swoim hotelu, bo tam są najlepsi kucharze.

– Ale z powodu jedzenia nie wrócimy na drugi koniec miasta – rozsądnie zauważyła Nastia. – Chcieliśmy obejrzeć ulicę, na której mieszkał Jewtiejew, a ona jest akurat w „politycznej” części. Lepiej zjedzmy, co mamy do zjedzenia, zapłaćmy i chodźmy poszukać domu.

Następnego ranka, dziewiątego maja, Nastia znowu podjęła próbę dodzwonienia się do różnych osób, ale na próżno: telefony nie odpowiadały albo okazywało się, że poszukiwana osoba będzie dostępna dopiero po długim weekendzie.

– Trudno, nic na to nie poradzimy – powiedziała stanowczo, zamykając notes. – Dzisiaj będziemy się oddawać słodkiemu lenistwu.

– No nareszcie! – Aleksiej się ucieszył. – Umysł też potrzebuje

odpoczynku.

Rozebrali się i ulokowali pod „grzybkiem” koło basenu w swoim hotelu, zamówili kawę i po dwie porcje tortu, po czym rozkoszowali się gorącym słońcem, co pewien czas zanurzając się w chłodnej błękitnej wodzie, grali kolejno w gry na iPodzie Czistiakowa, później Losza czytał na głos jakiś kryminał. Nastia co chwila zapadała w drzemkę i dziwiła się, że akcja powieści jest tak mało dynamiczna, rozwlekła i nudna: budziła się, włączała w pół słowa i stwierdzała, że wszystko rozumie, jakby nic jej nie ominęło.

Wieczorem wzięli taksówkę i pojechali za miasto, do restauracji „Niebieskie Morze”, którą gorąco polecał im Nikołaj Stiepanowicz Biessonow, zapewniając, że takich chaczapuri¹¹ jak tam nie zjedzą nigdzie na świecie. Stoliki w restauracji, podobnie jak w wielu innych restauracjach Jużnomorska, znajdowały się w osobnych altankach wśród gęstej zieleni, w pobliżu przepływał górski potok, przez który przerzucony był garbaty mostek, powietrze było tu rześkie i wilgotne. Ceny w restauracji przyprawiały o zawrót głowy, ale chaczapuri okazały się rzeczywiście znakomite, delikatne i soczyste, Nastia i Czistiakow zjedli po trzy porcje, a później długo dochodzili do siebie, popijając zieloną herbatę.

Siedzieli przy stoliku w altance, gdy nagle Nastia zobaczyła kota o niezwykłym umaszczeniu. Był sympatyczny i puszysty, brązowy w zielone plamki, sierść na końcach miał białą. Nastia od razu sięgnęła po aparat – byłoby grzechem nie utrwalić takiego piękna. Gdyby tak jeszcze udało się oddać fakturę sierści! Nastia rozejrzała się w

poszukiwaniu odpowiedniego tła. Tło się znalazło, była to jasnobezowa ściana budynku restauracji, słońce padało prosto na nią, ale należało jeszcze umieścić na tym tle nawykłe do wolności zwierzę, w dodatku sprawić, żeby nie mrużyło oczu w jaskrawym słońcu. Kot okazał się jednak uległy i chętnie ruszył w stronę ściany, zwabiony zapachem ryby, o której kawałek Nastia poprosiła kelnera zbierającego talerze z pobliskiego stolika. Czistiakow stał koło niej i trzymał upragniony kawałek ryby w wyciągniętej dłoni, a kot siedział nieruchomo, szeroko otwierając oczy i nie spuszczał czujnego wzroku z przysmaku. Podczas gdy Nastia szybko pstrykała zdjęcia, podszedł do nich właściciel lokalu, który okazał się przyjacielem Biessonowa.

– Mogę zobaczyć, co wyszło? Wiele osób fotografuje Filemona, ale zdjęcia przeważnie się nie udają. Może pani będzie miała więcej szczęścia.

Gdy Nastia pokazała mu zdjęcia na wyświetlaczu, mężczyzna nie krył zadowolenia.

– Wspaniale, po prostu wspaniale – powtarzał zachwycony. – Daj mi pani na chwilę swoją kartę pamięci? Zrzucę zdjęcia do komputera, później wydrukuję, oprawimy je i powiesimy w środku. Filemon to ulubieniec wszystkich, już sześć lat jest z nami, ma wspaniały charakter, dobry i niezłośliwy.

– To raczej dziwne jak na kota – zauważył Aleksiej. – Koty bywają raczej niesforne.

– Nie, nie, Filemon jest inny – zapewnił ich restaurator. – Ma

wysoko rozwinięte poczucie własnej godności, nie boi się ludzi, ale jest dobrze ułożony, nie wchodzi gościom do talerzy i nie zebrze o jedzenie.

Nastia dała mężczyźnie kartę pamięci, ciesząc się, że znalazła uznanie jako fotograf. W lutym słyszała już w Tomilinie, że jej zdjęcia zwierząt są wyjątkowo udane, ale wtedy uznała to za banalny, do niczego niezobowiązujący komplement. A teraz znowu... Może naprawdę ma smykałkę do fotografowania?

Gdy wrócili do hotelu, Biessonow zaproponował, żeby usiedli przy basenie i napili się herbaty. Był ciekaw, jakie wrażenie wywarła na gościach jego ulubiona restauracja. Po relacji z pobytu w „Niebieskim Morzu” rozmowa w naturalny sposób zeszła na doktora Jewtiejewa, który też lubił tam zaglądać. Nastia podtrzymywała rozmowę, śmiała się z żartów Biessonowa i popatrywała nań z ukosa: a jeśli to on? Jeśli miał powód, żeby się zemścić na Jewtiejewie? Teraz już była pewna, że zabójstwa nie popełniono z chęci zysku, ale z powodów osobistych, tylko jakich? Jak je odkryć? Może Loszka ma rację, że należy wyjść nie od motywu, ale od osobowości domniemanego zabójcy? Czy Biessonow mógł zabić ciężko chorego, umierającego przyjaciela? A Fridman? Albo jego żona? Może Galina Simonian? Wszyscy mogli. Choć wydaje się, że żadne z nich nie mogło tego zrobić.

W ostatni dzień weekendu Nastia i Losza odwiedzili delfinarium. Nastia jadła lody i biła brawo tak gorliwie, że rozbolały ją dłonie.

– Wiesz – powiedziała do męża, gdy przedstawienie się skończyło i wyszli na ulicę – nawet w dzieciństwie, gdy zabierano mnie do cyrku, nie klaskałam tak mocno.

– W cyrku nie podobało ci się tak jak tutaj? – uściślił Czistiakow.

Nastia pokręciła głową.

– Nie o to chodzi. Dziecko traktuje wszystko jak sztukę, która budzi ciekawość, więc cieszy się i bije brawo. Dopiero teraz zrozumiałam, ile tytanicznej pracy wymaga każdy numer, ile trzeba siły woli, cierpliwości i opanowania, żeby osiągnąć takie rezultaty. I to wprawia mnie w zachwyty. Oklaskiwałam nie delfiny, ale trenera.

– Wygląda na to, że warto było pójść do delfinarium, żebyś się o tym przekonała – filozoficznie stwierdził Aleksiej. – Z tego wniosek, że nawet dzień wolny okazał się pożyteczny dla twojego wewnętrznego rozwoju.

– Jesteś niemożliwy! – Nastia się roześmiała.

W głębi duszy przyznawała jednak mężowi rację. Ów rozwój, o którym wspomniał Aleksiej, zaczął się nagle i niespodziewanie, gdy wyraziła zgodę na nową fryzurę, wtedy, w lutym, w prowincjonalnym Tomilinie, ale chyba w tamtej chwili otworzyły jej się oczy i zaczęła zdawać sobie sprawę, jak wielu rzeczy w życiu nie znała, nie widziała, nie słyszała i nie rozumiała, pochłonięta pracą i zajęta codziennymi sprawami. Może przejście na emeryturę wymyślono właśnie po to, żeby ludzie zaczęli wreszcie wszystko dostrzegać?

*

Koncert ich rozczarował, a przecież specjalnie przestudiowali wcześniej program i cieszyli się, że usłyszą swoje ulubione utwory –

III Koncert Beethovena i II Koncert Saint-Saënsa. Orkiestra wyraźnie nie nadążała za młodym solistą, który za wszelką cenę starał się popisać zwinnością palców i wciąż pędził do przodu. Nie dopisała też grupa smyczków... Tylko do dyrygenta Sorokinowie nie mieli żadnych pretensji – jego interpretacja całkowicie im odpowiadała.

Po koncercie postanowili się przejść, wieczór był cichy i rześki. Wprawdzie Wilen Wiktorowicz bezlitośnie krytykował zarówno zbyt gorliwego solistę, jak i ślamazarną grupę instrumentów smyczkowych, ale Angelina Michajłowna udawała, że nie zauważa złego humoru męża, i starała się skierować rozmowę na inny temat. Jednakże okazało się, że niełatwo jest odwrócić uwagę Sorokina. Skoro zaczął od tego, że nie spodobał mu się koncert, zaraz potem nie podobała mu się już cała Moskwa, a zwłaszcza ich życie w stolicy.

– Niepotrzebnie się w to wpakowaliśmy – rzucił ze złością.

– O co ci chodzi, Wileńka? – Angelina Michajłowna się zaniepokoiła. – W co się wpakowaliśmy?

– No w to wszystko! – Zrobił nieokreślony ruch ręką. – I nie wiadomo, kiedy to się skończy. A w rezultacie nie mogę żyć tak, jak chcę. W ciągu dnia nie mogę się zdrzemnąć, nie mogę posiedzieć z książką, gdy mam na to ochotę, bo muszę włączyć się po ogrodzie zoologicznym i planetarium. A ty? Musisz przecież bez końca piec paszteciki i bułeczki i bawić rozmową starego żołdaka. I to ma być życie? O tym marzyliśmy? No powiedz, Gelu, źle nam było w domu, w Nowosybirsku? Żyliśmy, jak nam się podobało, chodziliśmy do teatrów i na koncerty, czytaliśmy, spacerowaliśmy, dyskutowaliśmy sobie i na

nikogo się nie oglądaliśmy.

Angelina Michajłowna przestraszyła się nie na żarty. Co Wilenowi chodzi po głowie? Trzeba natychmiast coś zrobić, żeby słowa nie przerodziły się w czyny.

– Daj spokój, Wila – kobieta starała się załagodzić sytuację – czemu tak mówisz? Razem podjęliśmy decyzję, razem doszliśmy do wniosku, że tam, w domu, usychamy z nudy, z braku zajęć, że nasza egzystencja pozbawiona jest celu. A teraz przed nami pojawił się cel i życie nabrało sensu. Nie jest tak?

– Nie widzę żadnego sensu w tym, co robimy – odparł Sorokin z irytacją. – Wszystko ma sens tylko dla Maksima, przed nim rzeczywiście stoi cel, całkiem jasny i realny, no a my? Biegamy na posyłki, wykonujemy jego polecenia, robimy, co nam każe. Nie zbrzydło ci to? Dlaczego nie chcesz wszystkiego rzucić, wrócić i żyć jak przedtem? Rzućmy to i wyjedźmy, niech Maksim sam rozwiązuje swoje problemy.

Tego już było za wiele dla Angeliny Michajłowny! Jak to rzucić wszystko i wyjechać? A życie w stolicy? A teatry, wystawy, muzea, koncerty? Nowosybirsk jest oczywiście dużym ośrodkiem kulturalnym, ale nie wytrzymuje porównania z Moskwą. Zwłaszcza że zaczyna się lato, a to się wiąże z występami wielu grup, często niezwykle interesujących. A co z przedstawieniami w ramach Festiwalu Czechowowskiego? Trzeba za wszelką cenę odwieść męża od jego nowego pomysłu.

– Przypomnij sobie, jak się cieszyłeś, gdy Maksim przyjechał do nas

po raz pierwszy i opowiedział o swoim planie! Byłeś przecież zainteresowany, chętnie go wspierałeś, obiecywałeś pomoc. Bardzo się zapaliłeś do jego projektu!

– To było wtedy, a teraz... Nie sądziłem, że zajmie nam to tyle czasu i okaże się aż tak trudne. A zarazem nudne. Przestałem być panem samego siebie, stałem się niewolnikiem, który wiernie służy młodemu dorobkiewiczowi. W moim wieku to wstrętne, czyżbyś tego nie rozumiała?

To było typowe: szybko ulegał fascynacji, zapalał się, ale jego entuzjazm szybko gasł i mąż tracił zainteresowanie.

– Ależ Wileńka, nie możemy przecież zostawić Maksima! Obiecaliśmy mu, on na nas liczy. W końcu to nieuczciwe – zawieść człowieka, który nam zawierzył.

– Kto tutaj jest nieuczciwy! – zachnął się Wilen Wiktorowicz. – Twój Maksim, jak każdy politykier, nie ma ani honoru, ani sumienia, a my, nawiasem mówiąc, nie jesteśmy mu nic winni.

– Jak to nie jesteśmy winni?! – Angelina Michajłowna szczerze się oburzyła. – A kto kupił dla nas mieszkanie? Kto pomógł tutaj przyjechać? Kto nas utrzymuje, jeśli już o tym mowa? Przy moskiewskich cenach nasze dwie emerytury na długo by nie wystarczyły. Jakoś o tym nie myślisz, gdy idę na zakupy, a ja po raz pierwszy w życiu nie zastanawiam się, ile pieniędzy mam w portfelu i co mogę za nie kupić. Bilety na dowolny koncert – proszę, nowy garnitur, żeby wyglądać porządnie – proszę, jak nie chcesz jechać metrem, wzywaj taksówkę, możesz sobie na to pozwolić. Chyba

podoba ci się takie życie, prawda? A nie chcesz za to płacić.

– Nie jestem gotów płacić poczuciem własnej godności – odparł mężczyzna hardo. – Mam siedemdziesiąt dwa lata i nie zamierzam się wysługiwać jakiemuś nuworyszowi, który jest młodszy ode mnie o trzydzieści lat. Jutro z nim porozmawiam i powiem, że wyjeżdżamy.

– W żadnym wypadku – twardo oznajmiła Angelina Michajłowna.
– Nie zrobisz tego.

– Niby czemu?

– Musimy doprowadzić sprawę do końca, inaczej stracimy do siebie szacunek. I nie zapominaj, że chodzi nie tylko o ambicje polityczne Maksima, ale też o nas. To dotyczy również naszego życia.

Słyszając to, Sorokow zmarkotniał i przez pewien czas szedł w milczeniu, później znowu się odezwał, tym razem półgłosem i ze złością.

– Zawsze marzyłaś o życiu w stolicy, dobrze pamiętam, że gdy byliśmy jeszcze młodzi, potrafiłaś mówić tylko o Moskwie. Nawet we śnie się zastanawiałaś, jak by się tu przeprowadzić. Moskwa była dla ciebie krainą mlekiem i miodem płynącą. Teraz, u progu starości, nie masz nic przeciwko, żeby się sprzedać za możliwość mieszkania w Moskwie. Naprawdę ci nie wstyd, Gelu?

– A tobie nie wstyd, że o wszystkim zapomniałeś? Może nie tylko zapomniałeś, ale nawet jesteś gotów przebaczyć? Nazbyt sobie cenisz spokój i komfort, chcesz, żeby cię nie ruszano i żeby wszyscy wokół ciebie tańczyli, a ty byś tylko czytał, słuchał muzyki, spacerował i spał, gdy ci przyjdzie ochota. Nie ma tak dobrze, mój drogi.

Od słowa do słowa – i pokłócili się, po raz pierwszy w ciągu ostatnich lat. W grobowym milczeniu dotarli do najbliższej stacji metra i wciąż się do siebie nie odzywając, dojechali do domu.

*

Dziesiątego maja, ostatniego dnia długiego weekendu, Maksim Kramariew pojechał do ojca. Witalij Andriejewicz mieszkał na stałe w domku letniskowym – relacje z drugą żoną układały się kiepsko, więc już od dawna mieszkali osobno. Żona została w mieszkaniu w mieście, pomagała córce, opiekowała się wnukami, męża nigdy nie odwiedzała i, jak podejrzewał Maksim, była zadowolona, że w ogóle go nie widuje. Pewnego dnia Maksim na prośbę ojca pojechał przekazać jej jakieś dokumenty i został na herbatę. Wtedy właśnie usłyszał z wiarygodnych ust, jak nieznośny zrobił się Witalij Andriejewicz z wiekiem i jak znudziły się żonie jego niekończące się narzekania na powszechną niesprawiedliwość panującą obecnie w kraju. Okazuje się, że ojciec miał duże ambicje, chciał zrobić karierę, zabiegał o względy, knuł intrygi, kopał dołki pod kim się da, donosił, zamierzał wysoko awansować w sferze zawodowej albo po partyjnej linii, właściwie było mu wszystko jedno, byle tylko dorwać się do władzy i zdobyć przynależne jej atrybuty – osobny pokój, samochód służbowy i przydziały żywnościowe. W końcu Kramariew senior postawił na partię, którą rozwiązano akurat wtedy, gdy – jak mu się zdawało – wszystko było na najlepszej drodze i lada chwila miał zostać etatowym

sekretarzem komitetu partii w dużym moskiewskim przedsiębiorstwie. Później wszystko poszło nie tak, jak trzeba, ponieważ kariera partyjna pochłonęła go do tego stopnia, że zaniedbał swój rozwój zawodowy, a tymczasem nauka i technika nie stały w miejscu, więc nie potrafił już dogonić i nadrobić straconego czasu. Musiał dopracować do emerytury jako szeregowy inżynier i w wieku sześćdziesięciu lat odejść z pracy.

Teraz Witalij Andriejewicz mieszkał na daczce i zajmował się pisaniem pamiętników o władzy radzieckiej. Kiedyś Maksim przeczytał parę fragmentów i przeraził się chropawym stylem oraz ubóstwem myśli. Nikt tego nigdy nie wydrukuje, ponieważ tekst jest nudny i tendencyjny, nie ma w nim nic prócz upajania się własnym geniuszem, a fakty zostały dobrane w taki sposób, żeby przemawiały na korzyść Witalija Andriejewicza.

Rodzice Maksima rozwiedli się, gdy chłopiec miał półtora roku. Matka zawsze twierdziła, że sama odeszła od ojca, ale Maksim przez długi czas w to nie wierzył. Uwierzył dopiero wtedy, gdy zbliżył się z ojcem i poznał jego drugą żonę. Przez wiele lat Witalij Andriejewicz nie interesował się synem, płacił tylko alimenty, ale ponad dwa lata temu zjawiał się niespodziewanie i z uporem zaczął nalegać, żeby syn zajął się polityką, ponieważ władza, jak mówił, to najważniejsza rzecz w życiu prawdziwego mężczyzny. Ojciec miał niewątpliwy dar przekonywania, ponieważ w swoim czasie „niemal zrobił karierę”, więc Maksim uległ jego argumentom, które wydały mu się słuszne i logiczne. Nawet nie zauważył, kiedy znalazł się pod wpływem ojca.

Zaangażował się w działania zmierzające do zdobycia fotela deputowanego, a ojciec udzielał mu rad i domagał się składania sprawozdań ze wszystkich poczynań. Maksima to śmieszyło, a zarazem denerwowało, już dawno przestał się komukolwiek spowiadać, z drugiej strony nie mógł nie przyznać, że ojciec bardzo często mówi rozsądnie i zna się na ludziach.

Maksim zbliżył się dopiero do furtki, a Witalij Aleksandrowicz już spieszył ku niemu, lekko zbiegając ze schodów.

– Nareszcie, synku! Ależ się za tobą stęskniłem! Daj mi się na ciebie napatrzeć.

Ojciec uważnie obejrzał syna i jego twarz rozplynęła się w uśmiechu pełnym zadowolenia.

– Bardzo dobrze wyglądasz, garnitur leży jak ulał i do twarzy ci w tej fryzurze. Zmieniłeś ją, prawda?

– Owszem – przytaknął Maksim lekko zmieszany. – Specjalista od wizerunku poradził mi zmienić uczesanie. Myślisz, że miał rację?

– Absolutną, synku, absolutną! Twoje akcje idą w górę, masz tęgi umysł, nie mogę się tobą nacieszyć. Ty jeden mnie rozumiesz, jesteś jak balsam dla mojej duszy.

Weszli do domu i Witalij Andriejewicz rzucił się do nakrywania stołu. Gdy wypili herbatę i zjedli przygotowane przekąski, Maksim nieśpiesznie i szczegółowo zaczął opowiadać o tym, co się dzieje w jego sztabie wyborczym, a ojciec co rusz chwalił syna, podziwiając jego inteligencję, talent i umiejętności organizacyjne. Serce Maksima tajało, tak samo jak wtedy, gdy ojciec zjawił się nagle po latach

głuchego milczenia. Matka była wymagająca i surowa, a nawet oschła, nigdy nie chwaliła syna, coraz wyżej stawiała mu poprzeczkę, chciała, żeby był lepszy i mądrzejszy, jeszcze więcej się przykładał i pracował, a chłopcu brakowało kochającego rodzica, ponieważ był przekonany, że miłość to czułość, dobroć i wybaczenie, a nie konieczność zadowolenia tego, kogo się kocha. Wydawało mu się, że skoro matka go nie chwali, to znaczy, że ciągle jest niezadowolona, a skoro jest niezadowolona, to znaczy, że go nie kocha.

Relacje z ojczymem, drugim mężem mamy, też się nie ułożyły. W dzieciństwie i młodości Maksim czuł się samotny i porzucony, więc pojawienie się ojca przyjął z entuzjazmem. Zwłaszcza że Witalij Andriejewicz do każdego umiał znaleźć właściwe podejście i szybko zjednał sobie syna. Początkowo Maksim próbował, co prawda, zarzucać ojcu, że ten przez tyle lat się nie pojawiał i nie interesował dzieckiem, ale Witalij Andriejewicz wyjaśnił, że nie chciał się narzucać nowej rodzinie byłej żony oraz ingerować w relacje Maksima z ojczymem, żeby ich nie popsuć. „Przecież nie wiedziałem, że się wam nie ułożyło”, usprawiedliwiał się. „Byłem pewien, że żyjecie zgodnie i w przyjaźni, więc nie chciałem się wtrącać. Sądziłem, że nazywasz go tatą i że nie masz pojęcia o moim istnieniu, byłeś przecież całkiem mały, gdy się rozstaliśmy z mamą. Dbałem o twoją psychikę, nie chciałem jej kaleczyć”. W tamtej chwili Maksima to bardzo poruszyło i zapalał miłością do ojca – do rodzica, który go chwalił i zachęcał, który szczerze się nim zachwycał i za nim tęsknił, który czekał na jego przyjazd. Nie to co mama, która w odróżnieniu od Witalija

Andriejewicza nigdy nie mówiła synowi, że za nim tęskniła i że nie mogła się doczekać jego odwiedzin. Mama jest bardzo oszczędna w komplementach, a tutaj, u ojca, Maksim dosłownie pławi się w miłości i zachwycie.

Syn właśnie opisywał ojcu nową strategię programu wyborczego swojego najważniejszego i najbardziej niebezpiecznego konkurenta Razuwajewa, gdy w jego kieszeni zawibrowała komórka. Zerknął na ekran: nie, z tym człowiekiem nie może rozmawiać w obecności ojca. Szybko wstał i wyszedł przed dom, zauważając przy tym zdziwione i urażone spojrzenie Witalija Andriejewicza. Ojciec ma prawo oczywiście sądzić, że Maksim niczego przed nim nie ukrywa, syn opowiedział mu nawet o swojej kochance Żannie. Są jednak rzeczy, których Kramariew junior nie może wyznać nawet Kramariewowi seniorowi.

Maksim musiał jednak porozmawiać, a raczej nie tyle porozmawiać, co wysłuchać rozmówcy.

– Zrozumiałem, dziękuję – powiedział na koniec i się rozłączył.

A więc nadal próbują coś wywąchać, ale chyba sami nie wiedzą co. Nie szkodzi, nie ma się czego bać, bo póki ta para jest w Jużnomorsku, Kramariewowi nic nie grozi. A w innych miejscach nie będą szukać, nie przyjdzie im to do głowy. A jednak ciekawe, kim są? Z milicją się nie zadają, odnotowano tylko jeden kontakt z oficerem śledczym, w dodatku z takim, który o niczym nie wie, więc nie jest niebezpieczny. Właściwie nie ma powodu do obaw, nikt o niczym nie wie, a więc nikt nie może stanowić zagrożenia. Warto by jednak wiedzieć, skąd oni się

wzięli i czego chcą...

Maksim wrócił do domu i od razu natknął się na pełne wyrzutu spojrzenie ojca.

– Masz przede mną tajemnice, synku?

– Skąd. – Maksim uśmiechnął się szeroko. – Nie chciałem za wcześnie mówić, ale po tym telefonie już mogę. Tato, w moim życiu pojawiła się nowa kobieta... Nie masz pojęcia jaka!

– Lepsza od Żanny? Nawiasem mówiąc, obiecałeś, że ją tutaj przywieziesz i nas ze sobą poznasz.

– Nie jest lepsza od Żanny, tato, ale się od niej różni. Jest fantastyczna.

Maksim nie wiedział, co powinien jeszcze powiedzieć, więc zachowywał się jak zakochany smarkacz. Witalij Andriejewicz surowo ściągnął brwi.

– Daleko się posunęliście?

– Na razie nie. Ale właśnie zadzwoniła i dała mi do zrozumienia, że mogę na coś liczyć...

– Nie powinieneś się rozpraszać w tak ważnej chwili, synku – poradził ojciec. – Teraz musisz zebrać siły i dać z siebie wszystko, przecież zaczyna się końcowy etap kampanii wyborczej, a tobie romanse w głowie. To cię będzie dekoncentrować.

– Serio? – Maksim udał, że się zastanawia nad jego słowami. – Tak sądzisz?

– Oczywiście, synku – zapewnił gorąco Kramariew senior i zaczął przekonywać syna, że związek z kochanką to niewątpliwie dobra, a

nawet pożyteczna rzecz, ale w odpowiednim czasie. Jeżeli czas nie jest odpowiedni, flirt może tylko zaszkodzić.

Maksim słuchał w milczeniu i kiwał głową, nie wysuwając żadnych kontrargumentów.

– Chyba masz rację, tato – powiedział. – Jakoś nie przyszło mi to do głowy. Będę musiał przystopować z amatorami i skupić się na wyborach. A jednak twój syn nie grzeszy rozumem, prawda?

– Ależ skąd, synku, masz głowę nie od parady, jesteś wyjątkowym człowiekiem, w twoim wieku udało ci się niemało osiągnąć! Jestem z ciebie dumny.

Maksim Kramarijew był na tyle uczciwy, że potrafił się przed sobą przyznać, iż odwiedza ojca tylko po to, żeby usłyszeć te słowa. Te i podobne.

*

Ardajew stał z opuszczoną głową i słuchał dawnych kolegów, którzy przemawiali na świeckiej ceremonii pogrzebowej. Chowano podpułkownika w stanie spoczynku, z którym Ardajew kiedyś pracował. Wprawdzie niezbyt blisko i długo, ale obowiązek nakazywał pożegnać zmarłego i po raz ostatni okazać mu szacunek. Na ceremonii nie zjawili się dużo ludzi, choć pogrzeb urządzono specjalnie po weekendzie, żeby wszyscy zdążyli wrócić z działek za miastem albo z wczasów. Biedak umarł szóstego maja i na dobrą sprawę należało go pochować ósmego, na trzeci dzień, jak to jest w zwyczaju, ale krewni

postanowili zaczekać, aż wszyscy zjadą się do Moskwy, żeby pogrzeb zyskał odpowiednią oprawę.

Ardajew słuchał piąte przez dziesiąte, zerkając ukradkiem na żałobników. Tak, nie opływają w dostatki na państwowych emeryturach, a przecież nikt pewnie nie siedzi w domu, wszyscy dorabiają, każdy sobie coś znalazł. Wśród jego dawnych kolegów są oczywiście tacy, którym się powodzi i którzy nie narzekają, w dodatku jest ich całkiem sporo, tyle że dzisiaj są nieobecni – mają ważniejsze sprawy na głowie niż odprowadzanie starego znajomego w ostatnią drogę. Przyszli ci, którzy podobnie jak zmarły liczą każdą kopiejkę i żyją z emerytury oraz skromnej pensji. Ubrani są, o zgrozo, w tandetne rzeczy kupione na bazarze, wszyscy mają posępne miny, ale wcale nie dlatego, że są na pogrzebie, tylko dlatego, że wiodą ciężkie i niewesołe życie. On, Ardajew, stara się oczywiście nie wyróżniać i też nie uśmiecha się od ucha do ucha, ubrany jest jednak o niebo lepiej niż pozostali: drogo i gustownie. Sam krawat kosztuje tyle co całe ubranie na przykład tego faceta, który był kiedyś jego szefem. Co za sens było swego czasu robić karierę, wyłazić ze skóry, dwoić się i troić, żeby niedługo potem zobaczyć swoich podwładnych przy forsie, a samemu klepać biedę? Nie, to nie dla niego.

Ceremonia się skończyła, krewni i bliscy po raz ostatni zbliżyli się do otwartej trumny i już dziesięć minut później procesja ruszyła w stronę wykopanego grobu. Wszyscy rzucili, jak to jest w zwyczaju, garść ziemi, podeszli kolejno do wdowy i córki, złożyli kondolencje, po czym ruszyli do wyjścia, gdzie czekał już autokar, żeby zawieźć ich na

stypę. Ardajew minął autokar i wsiadł do swojego samochodu. Nie zamierzał uczestniczyć w stypie, musiał załatwić o wiele ważniejszą sprawę: dzisiaj czekała go ostatnia wizyta u stomatologa, który zastąpi wreszcie koronki tymczasowe stałymi i odtąd Ardajew będzie mógł cieszyć się iście hollywoodzkim uśmiechem.

Mężczyzna nieco się spóźnił na wizytę – utknął w korku.

– Na szczęście to już ostatni raz – powiedział, siadając na fotelu dentystycznym. – Pewnie ma pan serdecznie dość mojego widoku, nieźle się pan przy mnie napracował.

– Ależ skąd. – Młody, korpulentny lekarz z trzydniowym zarostem na pyzatyh policzkach uśmiechnął się skromnie. – Im trudniejsza praca, tym bardziej mnie wciąga. Właściwie żałuję, że to już koniec. Na wszelki wypadek wezwałem do pana anestezjologa, choć zabieg raczej nie będzie bolesny. Zgadza się pan?

Ardajew bał się panicznie każdego bólu, zwłaszcza zębów, bał się nawet zastrzyków znieczulających. Zarówno strach, jak i podwyższona adrenalina sprawiały, że lekarstwo nie działało jak należy. Mimo że lekarz zwiększał dawkę, nadal czuł ból. W takiej sytuacji anestezjolog wprowadzał do jego żyły specjalny roztwór – jeden zastrzyk i Ardajew zapadał w błogi, lekki sen, a gdy się budził, wszystko było gotowe, on zaś nie czuł ani bólu, ani strachu. Takie rozwiązanie mu się podobało. Po co ma znosić nawet niewielki dyskomfort, skoro może spokojnie zasnąć i o niczym nie myśleć?

– Oczywiście. – Skinął głową. – Niech go pan zawoła.

Czterdzieści sekund później zasnął mocno po zastrzyku, a gdy się

obudził, jego zęby były równe, gładkie i piękne. Lekarz podał mu lusterko.

– I co pan na to?

Ardajew uśmiechnął się szeroko i mimo woli zapatrzył na swoje odbicie. Cudownie! Najwyższa pora, żeby zmienić kochankę, z takim uśmiechem może teraz liczyć na coś lepszego niż trzydziestotrzyletnia aktoreczka, która na dodatek miała idealne zadatki na starą pannę.

Uregulował rachunek i wyszedł z gabinetu, a w holu stanął przed dużym lustrem i obejrzał się od stóp do głów. Dobrze, że kupił niedawno ten garnitur – leży znakomicie i nie dodaje lat. W ubiegłym roku Ardajewowi stuknęła sześćdziesiątka, nie wstydził się swojego wieku, uważał, że jest jeszcze dość młody, ale wydawało mu się, że wygląda staro. Dbał o fryzurę i regularnie strzygł się w drogim salonie, wpadł na pomysł, żeby poprawić wygląd zębów, i starał się, żeby ubranie podkreślało zalety jego sylwetki, których szczerze mówiąc, nie jest zbyt wiele. Mankamentów jest znacznie więcej...

Jakkolwiek patrzeć, zmarły, którego dzisiaj pożegnał, zakończył już ziemską wędrówkę, a on, Ardajew, ma jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia. Czekają go najlepsze lata i największe przyjemności, nowe samochody, drogie uzdrowiska i piękne kobiety. Żeby tylko wszystko się udało! Uda się, na pewno się uda, myślał, lekko zbiegając po schodach i kierując się do wyjścia na ulicę, gdzie zaparkował auto. Pierwsza część planu wypaliła, dlaczego druga ma się nie powieść? Nie wszystko tutaj zależy oczywiście ode mnie, zbyt dużo osób jest zaangażowanych w sprawę, ale przecież można im będzie nawet

pomóc, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Wsiadając do samochodu, delikatnie przytrzymał drzwi, żeby nie potrącić przechodzącej obok kobiety, i uśmiechnął się do niej swoim nowym, olśniewającym uśmiechem. Było mu lekko na sercu.

¹¹ Danie gruzińskie – zapiekany placek z serem.

ROZDZIAŁ 9

Wolne dni wreszcie się skończyły, nadszedł jedenasty maja i w Nastię Kamieńską wstąpiły nowe siły. Dzisiaj miał wrócić z Emiratów Arabskich Jewgienij Jewtiejew, a także Łada Jakuszewa, dziewczyna, która opiekowała się Dmitrijem Wasiljewiczem Jewtiejewem i która spędzała długi weekend w górskim schronisku, o czym powiadomiła ich jej matka. Pierwszą rzeczą, którą zrobiła Nastia, było skontaktowanie się z Jewgienijem, ale gdy zadzwoniła do niego na komórkę, ten oznajmił, że rejs z Dubaju do Moskwy ma dopiero po południu, później czeka go nocny lot do Jużnomorska, po którym zamierza przynajmniej trochę się przespać, więc na spotkanie z detektywem z Moskwy może się stawić nie wcześniej niż nazajutrz koło południa. Za to Łada Jakuszewa, która wróciła do Jużnomorska wczoraj późnym wieczorem, zgodziła się spotkać już dzisiaj. Czistiakow umówił się z nią przez telefon, ponieważ Nastia uznała, że rozmowa z ujmującym moskwianinem przyniesie lepszy efekt niż z kobietą w wieku emerytalnym.

– O co mam ją zapytać?

Czistiakow wyjął iPoda, wyświetlił klawiaturę i przygotował się, żeby zapisać szczegółowe instrukcje.

– To oczywiste, Losza, że aby dokładnie wybrać chwilę, kiedy

najlepiej włamać się do mieszkania, trzeba je przedtem długo obserwować – wyjaśniła Nastia. – Klientka twierdzi, że nie zauważyła nikogo podejrzanego, ale ona nie należy do ludzi, którzy rozglądają się na boki. Odniosłam wrażenie, że jest skupiona na sobie i nic dokoła nie widzi. Ma pracę, chorego, umierającego ojca, jest zajęta swoimi myślami i problemami, nic innego jej nie obchodzi. No a młoda dziewczyna, w dodatku sympatyczna...

– Wiesz na pewno, że sympatyczna? – przerwał jej zaintrygowany Czistiakow.

Nastia wzruszyła ramionami.

– Tak twierdzi klientka. Sam zobaczysz. No więc taka dziewczyna z pewnością strzela oczami i łowi męskie spojrzenia, w każdej chwili jest gotowa nawiązać znajomość, bo wierzy, że spotka swojego wymarzonego księcia. Pielęgniarka mogła kogoś zauważyć.

– Jasne. A co mam jej nakłamać?

– Nakłamać? – zdziwiła się Nastia.

– No co mam jej powiedzieć? Że kim jestem? Twoim mężem?

– Jesteś prywatnym detektywem z Moskwy, do którego zwróciła się Walentina Jewtiejewa. Po co masz kłamać? Mów prawdę.

– I ty to nazywasz prawdą? – Losza się uśmiechnął. – Jaki ze mnie prywatny detektyw, u licha? Słuchaj, twój pomysł niezbyt mi się podoba, może lepiej będzie, jak sama z nią pogadasz?

– Loszeńka – Nastia złożyła błagalnie ręce – no proszę, bardzo cię proszę! Ze mną dziewczyna będzie rozmawiała niechętnie, byleby tylko szybko się mnie pozbyć, i niczego sobie nie przypomni, nawet nie

będzie się wysilać.

– Myślisz, że ze mną będzie inaczej? – z powątpiewaniem zapytał Czistiakow.

– Jasne, że tak! Nieznajomy z Moskwy, przystojny, wysoki, dobrze ubrany, ujmujący, na pewno ją zaintryguje. Zaprosisz ją do kawiarni, zafundujesz koktajl i ciastka, powiesz parę komplementów, a wtedy ona zapragnie, żeby wasza rozmowa potrwała jak najdłużej, i będzie się starała coś sobie przypomnieć.

– No dobrze – Losza westchnął – przekonałaś mnie. Teraz powiedz, jak zadawać pytania, żeby był z nich pożytek.

– Przede wszystkim poproś ją, żeby przypomniała sobie dzień, w którym zabito Dmitrija Wasiljewicza...

Instruktaż zajął mniej więcej pół godziny, po czym Nastia i Losza udali się na skwer koło delfinarium – właśnie tam Łada Jakuszewa wyznaczyła spotkanie Aleksiejowi.

Teraz Nastia siedziała na skwerze i czekała na męża, który spotkał się z dziewczyną i zaprosił ją do kawiarni na deptaku na kawę i ciastka. Czas się dłużył, więc Nastia zaczęła z nudów fotografować psy i koty, które snuły się po skwerze zarówno z właścicielami, jak i bez nich. Koty wyglądały imponująco, więc pewnie się gdzieś regularnie stołowały, natomiast psy były rozmaite: i zadbane, i najwyraźniej bezdomne. Uwagę Nasti przykuła ciężarna suka niewiadomej rasy, która prezentowała się niezwykle efektownie. Leżała w piaskownicy przed domkiem z trójkątnym dachem, którego krawędzie tworzyły niezbędne dla kadru przekątne. Problem polegał jednak na tym, że

psa należało umieścić nie na środku, ale w punkcie przecięcia się umownych linii dzielących kadr na dziewięć równych kwadratów, jak tego wymagała „reguła trójpodziału”, o której Nastia przeczytała w podręczniku fotografii. Gdy tylko Nastia się oddalała i udawało jej się umieścić psa w żądanym punkcie kadru, przekątne okazywały się w niewłaściwym miejscu i psuły całą kompozycję. Musiała więc uciec się do wypróbowanego sposobu – kupiła w kiosku hamburgera, podsunęła psu pod nos i zaprowadziła na miejsce, które uznała za najodpowiedniejsze do stworzenia kadru zgodnie z kanonami sztuki. Teraz ciężarna suka znalazła się na przednim planie z lewej strony, przekątne dachu – na planie środkowym z prawej, a w głębi widniały wysokie cyprysy, które wznosiły się ku jaskrawobłękitnemu niebu. Nastia poradziła sobie z kompozycją, ale patrząc w wizjer, zauważyła, że aby zdjęcie nabrało wyrazu, niezbędna jest kolorowa plama. Gdy zajęła się fotografowaniem, zaczęła nosić oprócz aparatu trzy małe chustki w podstawowych kolorach – żółtym, niebieskim i czerwonym. Pies, którego udało się przesunąć z piaskownicy na inne miejsce, leżał teraz na trawie, a na zielonym tle świetnie wyglądała niewielka czerwona plama – chustka.

Ciężarny pies i próby zrobienia udanego zdjęcia tak pochłoneły Nastię, że zupełnie nie zwracała uwagi na kręcących się w pobliżu ludzi, no i oczywiście nie zauważyła też siedzącej niedaleko, korpulentnej, urodziwej damy w prostej sukience bez rękawów. Nie spostrzegła, że kobieta popatrywała to na nią, to w stronę kawiarni, do której weszli Czistiakow i Łada Jakuszewa.

Nastia zrobiła z dziesięć zdjęć, później zaczęła eksperymentować z kolorem – miała wrażenie, że żółta plama na zielonej trawie będzie wyglądała mniej dynamicznie, za to wzbudzi skojarzenie ze słońcem i spokojem. Później nadeszła kolej na niebieską plamę, którą Nastia umieściła na jasnobrązowym drewnianym dachu domku dla dzieci... A później zobaczyła Czistiakowa, który szedł ścieżką przecinającą skwer. I nagle zauważyła, że obejrzały się za nim dwie młode kobiety, które minął. Aleksiej szedł w słońcu, przystojny, smukły i pełen energii, zbliżał się lekkim, sprężystym krokiem, na który Nastia zwróciła uwagę – o zgrozo – dopiero minionej zimy, gdy obserwowała męża przez okno domku dla gości w starym dworze. A teraz jeszcze jedna kobieta zerknęła nań z zainteresowaniem. Coś takiego, panie nie mogą oderwać od niego wzroku! A na nią, Nastię Kamieńską, już nikt nie patrzy...

W miarę jak Aleksiej się zbliżał, Nastia zaczęła go uważnie lustrować. Włosy całkiem mu posiwiały, na twarzy i szyi widać zmarszczki. Boże, przecież zestarzelili się razem, a ona nawet nie zauważyła! Loszka pozostał jednak nadal atrakcyjny jako mężczyzna, a więc – mówiąc cynicznym językiem relacji rynkowych – zachowuje wartość handlową, tymczasem ona już dawno ją utraciła. Ostatnio żaden mężczyzna nie spojrział na nią z zainteresowaniem. Ależ on jest przystojny, ten jej Loszka! A ona wygląda jak strach na wróble. Całe szczęście, że wzięła ze sobą suknię uszytą przez Tamarę – Loszce się bardzo podoba, więc będzie mogła ją włożyć pojutrze, w piętnastą rocznicę ich ślubu. Dobrze też, że dała się namówić Tamarze na nową

fryzurę. Nastia zobaczyła siebie z dawnym końskim ogonem, w dzinsach i w koszulce i aż się wzdrygnęła. Z tyłu liceum, z przodu muzeum. Jej poprzedni wizerunek był pewnie żałosny. A Loszka jest niezwykle męski... Dlaczego przedtem tego nie widziała?

– Czemu tak dziwnie mi się przyglądasz? – zapytał, podchodząc do niej. – Coś nie tak? Mam plamę na spodniach?

– Jesteś szalenie przystojny, Losza – wypaliła Nastia. – Wszystkie baby się na ciebie gapią, aż wykręcają szyje.

– Aleś wymyśliła! Pakuj się i chodźmy w pewne ciekawe miejsce – zarządził Czistiakow.

– Dokąd?

Nastia podniosła chustki i zaczęła pośpiesznie wkładać sprzęt fotograficzny do dużej torby.

– Zaprowadzę cię do kawiarni „Gioconda” – oznajmił Losza uroczyście.

– Po co? – zdziwiła się Nastia.

– Wy to chyba nazywacie wyjazdem na miejsce zdarzenia – oznajmił Aleksiej z zagadkową miną. – Spotkanie z dziewczyną się przydało, dowiedziałem się wielu nowych i ciekawych rzeczy.

– A co ma do tego kawiarnia?

– Podobno to najbardziej szykowny lokal w mieście. Kucharz, który przygotowuje desery, jest rodowitym Włochem, więc jeśli mężczyzna chce olśnić damę, zabiera ją do „Giocondy”. Kawa też jest tam najlepsza.

O słodyczach Nastia nie mogła już słuchać, w ciągu ostatniego

tygodnia zjadła ich tyle, że teraz ją od nich odrzucało, ale na wieść o najlepszej kawie w mieście ożywiła się: rzadko miała tutaj okazję, żeby napić się dobrej kawy.

– To znaczy, że chcesz mnie olśnić? – na wszelki wypadek uściśliła z uśmiechem.

– A co, powinienem? – odpowiedział pytaniem na pytanie Losza. – W tej kawiarni rozegrały się wydarzenia ważne dla twojego śledztwa, więc sądzę, że warto obejrzeć wszystko na miejscu.

– Jestem gotowa – powiedziała Nastia. – No to opowiadaj.

– Jak dotrzemy na miejsce i złożymy zamówienie. Inaczej moja relacja nie zrobi odpowiedniego wrażenia.

– Nie dręcz mnie, Losza, przecież widzisz, że umieram z ciekawości.

– No to chodźmy. – Mąż pociągnął ją za rękę.

– To daleko?

– Nie, dwa kroki stąd, na nowym deptaku. Przechodziliśmy tamtędy parę razy, ale nie zwróciliśmy uwagi.

Nastia usiłowała sobie przypomnieć „Giocondę”, ale jej wysiłki okazały się daremne. Niby kiedy mijali kawiarnię? Może Loszka żartuje?

Gdy jednak znaleźli się przy okrągłym budynku z kopułą, od razu sobie przypomniała: rzeczywiście szli tędy, pamięta ten dom, tylko nie zwróciła uwagi na szyld. Musiała być czymś zajęta. Okazało się, że kawiarnia serwująca słynne desery mieści się na parterze, a na piętrze jest restauracja z salą bankietową.

Nastia zrezygnowała z deseru, mimo że menu ze zdjęciami

rzeczywiście działało na wyobraźnię, i zamówiła tylko dwie filiżanki kawy, co prawda różnego rodzaju.

– A czemu nie chcesz deseru? – zapytał zmartwiony Czistiakow. – Podobno wszystko tutaj jest niezwykle smaczne.

– Mam wrażenie, Losza, że wszystko mi się posklejało w środku od tych słodczy – poskarżyła się Nastia. – Codziennie przecież jem ciastka. Już nie mogę.

– No dobrze, jak chcesz. Ale ja się skuszę.

Losza zamówił u kelnerki ubranej w stylizowany włoski strój ludowy trzy desery, po czym przystąpił do opowieści. Łada Jakuszewa okazała się rzeczywiście bardzo sympatyczna, śliczna jak z obrazka, i podobnie jak wiele prowincjonalnych dziewcząt z ładnymi buziami marzyła o wygodnym życiu u boku bogatego, niekoniecznie brzydkiego mężczyzny. Opiekowała się Dmitrijem Wasiljewiczem Jewtiejewem prawie rok, z doktorem i jego córką miała dobre relacje, płacili jej hojnie. Gdzie indziej by tyle zarobiła? Praca nie należała oczywiście do łatwych, ale wynagrodzenie było atrakcyjne. Dziewczyna rzadko zostawiała chorego bez opieki, owszem, czasami biegła do sklepu albo do kawiarni na deptaku, żeby poplotkować z koleżanką, to przecież całkiem blisko, ale zawsze pytała o zgodę Dmitrija Wasiljewicza, i to tylko wtedy, gdy się dobrze czuł.

Niedługo przed zabójstwem Łada poznała fantastycznego mężczyznę. Miał na imię Władimir. Od razu podbił serce dziewczyny, bo już pierwszego wieczoru zaprosił ją na kawę do „Giocondy”, a wiadomo, że ceny nie są tam na kieszeń zwykłej pielęgniarki. Drugi

raz spotkali się w „Giocondzie” w ciągu dnia, gdy Łada była w pracy, ale to przecież zupełnie niedaleko domu Dmitrija Wasiljewicza, zaledwie pięć, siedem minut szybkim krokiem, więc Jewtiejew ją puścił. Za trzecim razem też pili kawę w „Giocondzie”. W dniu śmierci Jewtiejewa Władimir znowu zaprosił ją na randkę Dmitrij Wasiljewicz zwolnił ją na pół godziny, Łada pobiegła do „Giocondy”, ale wróciła prawie po godzinie, ponieważ adorator nieco się spóźnił, a przecież nie mogła wyjść, gdy tylko się zjawił. Nie wypadło. Miała też ochotę na smaczny deser, ale bez Władimira nic nie zamówiła – a nuż mężczyzna nie przyjdzie i będzie musiała sama zapłacić. No więc zanim podeszła kelnerka, zanim złożyli zamówienie, zanim zjedli, zanim trochę pogawędzili – czas szybko minął. Szkoda tylko, że więcej się nie widzieli, ale pozostały miłe wspomnienia.

– Spytałem, czy może opisać tego Władimira, i zapisałem wszystko, co sobie przypomniała.

– Jesteś geniuszem, Loszka. – Nastia uśmiechnęła się z zadowoleniem. – Nie na próżno wysłałam cię do Łady. Ależ cwany jest ten łajdak, co? Kuty na cztery nogi. Wyciągnął dziewczynę z mieszkania, zabił Dmitrija Wasiljewicza i szybko pobiegł do kawiarni, że niby „wybacz, kochanie, spóźniłem się, coś mi wypadło”.

– No tak. – Czistiakow kiwnął głową, oblizując łyżkę. – Teraz wiadomo, że to nie był przypadkowy czy drobny złodziejaszek, ale człowiek, który zawczasu szykował się do zabójstwa, specjalnie poderwał pielęgniarkę, zapraszał ją na spotkania, przynosił kwiaty i prawił komplementy.

– Naprawdę przynosił kwiaty? – zapytała Nastia z niedowierzaniem.

– Łada twierdzi, że przynosił, ale kto wie, jak to naprawdę było. – Aleksiej się uśmiechnął. – Dziewczeta często zmyślają i ubarwiają historie o swoich wielbicielach, więc nie wiadomo.

– To prawda – przyznała Nastia. – Ale najważniejsze pytanie nadal pozostaje otwarte: czy zabójca zabrał coś z mieszkania, czy jego jedynym celem było odebranie życia Jewtiejewowi z przyczyn osobistych? Stasow wciąż milczy.

– A co chcesz od niego usłyszeć? – zainteresował się Czistiakow.

– Obiecał poszperać w genealogii Jewtiejewów, może mają szlacheckie albo mieszczańskie korzenie.

– Myślisz, że mogło chodzić o jakieś rodzinne pamiątki?

– Stasow obiecał, że się dowie, ale na razie się nie odzywa. Pewnie tak jak inni normalni ludzie odpoczywał podczas długiego weekendu. No dobrze, Loszyk, ustalmy najpilniejsze działania. Jutro zabieramy się do Jewtiejewa juniora. A dzisiaj porozmawiałabym z tymi, którzy zostali mi na liście, chyba powinni już być na miejscu. Co ty na to?

– Nie, nie. – Aleksiej zamachał rękami. – Zwolnij mnie z tego, jeśli możesz. Naszarpałem się z Ładą, nie rozumiem, jak możesz spotykać się z paroma osobami w ciągu dnia. Ty z nimi porozmawiaj, a ja sobie pospaceruję.

– No dobrze. – Nastia ustąpiła. – Przepraszam, jeśli się przeze mnie zmęczyłeś. Przekaż mi słowny portret Władimira, który namalowała Jakuszewa, będę go przymierzać do wszystkich

figurantów.

Nastia poczuła się niezręcznie. Coś takiego, w ciągu długich lat służby w wydziale kryminalnym przyzwyczaiła się do przesłuchiwania dużej liczby ludzi i wcale jej to nie męczyło. Nawet nie pomyślała, że taka w gruncie rzeczy błaha czynność może dać się komuś we znaki.

*

– I kto to był? – surowo zapytała Linda Hasanowna, gdy Piotr zjawił się w końcu na skwerze.

– Pielęgniarka doktora Jewtiejewa, na imię jej chyba Łada.

– Jesteś pewien?

– Obraża mnie pani, Lindo Hasanowno, dobrze ją zapamiętałem jeszcze wtedy, gdy była wzywana do śledczego.

– A niby czemu dobrze ją zapamiętałeś? – Linda podejrzliwie zmrużyła oczy. – Dlatego, że jest młoda i ładna?

– Zapamiętałem ją, bo jestem sumiennym detektywem – cierpliwie odparł Piotr. – Nie waz się być o mnie zazdrosna, nie ma na świecie kobiety piękniejszej od ciebie.

Linda poweselała i się uśmiechnęła.

– Dobrze. A o czym rozmawiali?

– Za dużo pani ode mnie żąda, Lindo Hasanowno! – oburzył się Piotr. – Przekazałem nasze życzenia w kwestii sprzętu, na razie cisza, chociaż obiecano nam pomoc. A z dziewczyną jeszcze porozmawiam, to nie będzie trudne. Sama mi wszystko powie. A co u ciebie? Co

porabiała twoja pani detektyw?

Linda pogardliwie wzruszyła ramionami.

– Fotografowała. Możesz to sobie wyobrazić? Ciężarny piesek, taki upał, a ona zamiast pomóc biedakowi, dać mu pić, nakarmić go, zabrać do cienia, pstrykała mu zdjęcia. A na dodatek wabiła hamburgerem! Ta kobieta w ogóle nie ma serca! Nie, nigdy tego nie zrozumieć: jak można ciężarnemu psu dawać hamburgera!

– Oczywiście – Piotr się uśmiechnął – gdyby to od ciebie zależało, zabrałabyś do domu wszystkie bezdomne psy, żeby się nimi opiekować. Powiedz mi, co złego jest w tym, że ta moskwianka go fotografowała? Czemu zagięłaś na nią parol? A w ogóle coś się tak rozsiadła? Chodźmy, oni piją kawę w „Giocondzie”, jeszcze ich zgubimy.

– Ja się rozsiadłam! – fuknęła Linda. – Nawiasem mówiąc, czekałam na ciebie, chociaż widziałam, że oni gdzieś idą.

– No a ja pokręciłem się trochę po deptaku i zobaczyłem, dokąd poszli. Przestań się dąsać, złość piękności szkodzi.

Szybkim krokiem ruszyli w stronę restauracji „Gioconda” i ulokowali się na balustradzie naprzeciw wysokiego, szerokiego okna, przez które dobrze było widać moskiewskich detektywów.

– Warto by poznać ich nazwiska – powiedział Piotr w zamyśleniu. – Masz jakiś pomysł?

– Tylko jeśli chodzi o hotel. Milicja wie tylko tyle, że to prywatni detektywi i że pracują na zlecenie córki Jewtiejewa. A w hotelu na pewno mają dane z ich dowodów.

– Załatwisz to?

– Naturalnie – prychnęła Linda. – Ty sobie z tym nie poradzisz, panienci z hotelu to moja specjalność. Zobacz, ona nic nie je, tylko pije kawę. I po to się pchała do „Giocondy”?! Myślący ludzie przychodzą tutaj specjalnie po to, żeby zjeść deser, a ona... Tfu! Ale mężczyzna jest do rzeczy, cały stół zastawili mu deserami. W sumie facet jest niezły, tylko wybrał sobie paskudną babę. W dodatku bez serca.

Piotr zerknął z ukosa na Lindę i się nie odezwał. Rozumiał, co się dzieje w jej duszy. Pulchna Linda miała kompleksy na punkcie swojej wagi, która nie chciała spadać mimo wymyślnych diet, więc szczupła moskwianka z figurą jak u podlotka drażniła ją i wzbudzała antypatię.

– Nie rozumiem, jak można iść do łóżka z taką pokraką – ciągnęła.

– Ani urody, ani ciała. I w dodatku źle jej z oczu patrzy. Koszmar.

– To prawda – podjął Piotr, który był gorącym zwolennikiem rubensowskich kształtów i rzeczywiście uważał swoją przyjaciółkę za najpiękniejszą kobietę na świecie.

– Co „prawda”, co „prawda”? – Linda nawet nie zauważyła, że podniosła głos. – Tylko tak mówisz, żeby mnie pocieszyć, a sam gapisz się na każdą laskę, która cię mija. Wszyscy faceci są tacy sami!

– Wszyscy faceci nie są tacy sami – zaproponował Piotr rozsądnie. – Zgrabne dziewczyny cieszą oko, ale faceci pragną takich jak ty, o obfitych kształtach. Co innego pożerać wzrokiem, a co innego...

– Ale jak można pragnąć kogoś takiego jak ja – markotnie powiedziała Linda, nie spuszczając oczu z moskwianki pijącej kawę za szybą w oknie. – Sam zobacz: tu zwisa, tam się przelewa... Okropność!

A przecież walczę o każdy gram, nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłam smażone ziemniaki, słodczy nie biorę do ust i mimo to zero efektu. A tej babie z Moskwy wszystko wolno, wczoraj przez cały dzień opychała się lodami i ciastkami. Nienawidzę jej! Jest zła do szpiku kości!

– Uspokój się, Lindo Hasanowno. Przemawia przez ciebie zawiść i dlatego mieszasz moskwiankę z błotem. Czemu miałyby być zła? To po prostu niemłoda, zmęczona kobieta. Nawiasem mówiąc, jest od ciebie starsza co najmniej o dziesięć lat, może nawet więcej, więc nie bądź zazdrosna, bo jesteś od niej lepsza i młodsza – pocieszał ją Piotr. – Owszem, to, co u ciebie zwisa i się przelewa, nie wygląda zbyt estetycznie, nie będę zaprzeczał, ale i tak mi się podoba i właśnie tego pragnę. Zmieńmy punkt obserwacyjny, bo zbyt długo tkwimy w jednym miejscu, jeszcze nas zauważą. Może tymczasem zjemy obiad?

– Nie, to za duże ryzyko. On zaraz skończy deser, więc w każdej chwili mogą wyjść. Trzeba zobaczyć, dokąd później pójda.

– A kiedy do hotelu?

– Znajdę odpowiednią chwilę. – Linda machnęła ręką. – Jeszcze zdążę. Wieczorem wyślę cię na rozmowę z pielęgniarką, a sama pobiegnę do hotelu. Nie – poprawiła się w zamyśleniu – zrobimy inaczej. Jeśli dobrze pamiętam, „Rajski Zakątek” to mały hotel, jest tam najwyżej dziesięć pokoi, nie ma się gdzie ukryć, każda nowa twarz rzuca się w oczy. Lepiej przypilnuję recepcjonistkę i pójdę za nią do domu albo tam, gdzie się uda po pracy. Wydaje mi się, że kończy dyżur o dziesiątej wieczorem.

– A nie o ósmej?

– Nie – kategorycznie ucięła Linda – o dziesiątej, dobrze pamiętam. Zobacz, poprosili o rachunek. Zaraz wyjdą. Musisz przyznać, że facet jest zabójczo przystojny. Ta flądra na niego nie zasługuje.

– Daj spokój – surowo przerwał jej Piotr. – Nie mamy żadnej pewności, może to tylko dobrzy znajomi.

– No jasne. – Linda westchnęła. – Już ja wiem, jak wygląda ich znajomość... Wystarczy popatrzeć na nas. Nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż wspólna praca.

Linda i Piotr obserwowali swoje „obiekty” do wieczora. Musieli się rozdzielić, ponieważ kobieta chodziła po domach i z kimś się spotykała, a mężczyzna włóczył się po ulicach, zaglądał do małych restauracji, kawiarni oraz sklepów i wyglądało na to, że nie miał żadnego celu. Może czegoś szukał? Tak czy inaczej, kontaktował się tylko z barmanami, kelnerami i sprzedawcami, w dodatku sądząc po minie, nie pytał ich o nic ważnego. Gdy detektywi upewnili się, że para wróciła do hotelu na kolację, zajęli się swoimi sprawami.

Spotkali się późnym wieczorem w mieszkaniu Lindy. Piotr przyszedł wcześniej – rozmowa z Ładą Jakuszewą nie zabrała dużo czasu, dziewczyna okazała się gadatliwa i łąsa na komplementy, a Linda, która miała zaczekać, aż recepcjonistka w hotelu „Rajski Zakątek” skończy zmianę, zjawiała się o pierwszej w nocy.

– Przygotowałem kolację, Lindo Hasanowno – oznajmił Piotr tonem prymusa. – Mamy smażoną rybę i makaron. Siadaj prędko do stołu.

– Pietrusza – jęknęła Linda – ile razy mam ci powtarzać: jedzenie

przed snem jest niezdrowe. Patrzyłeś na zegarek?

– Ale ja jestem głodny! – Mężczyzna się obruszył.

– Trzeba było zjeść wcześniej – surowym, mentorskim tonem oświadczyła Linda. – Po co na mnie czekałeś? Przecież wiedziałeś, że nic nie tknę. A zresztą kto ci pozwolił usmażyć rybę?

– A co w tym złego? – zdziwił się Piotr.

– Smażyłeś przecież na oleju, a to sam cholesterol. Nie powinieneś jeść takich rzeczy. Jesteś doprawdy jak małe dziecko, Pietrusza! Rybę należało ugotować albo zapiec w piekarniku. Kategorycznie zabraniam ci tego jeść.

– No to co mam teraz z nią zrobić, wyrzucić?

– Wyrzucić. – W jej głosie wyraźnie brzmiały stalowe nuty. – Jeżeli nie będę dbać o twoje zdrowie i pilnować, żebyś się właściwie odżywiał, wykończysz się w ciągu miesiąca. Nawiasem mówiąc, pora, żebyś zrobił badanie krwi na cholesterol, minął już rok od ostatniej analizy. Jutro idź do przychodni.

– Wiesz, kochanie – powoli powiedział Piotr – na świecie jest jeszcze sporo krajów, których narody muszą wyzwolić się spod tyranii.

Linda momentalnie ucichła, jakby ktoś przekręcił wyłącznik w jej pulchnym, sprężystym ciele. Piotr uśmiechnął się z satysfakcją, nałożył sobie na talerz olbrzymi kawałek smażonej ryby i zabrał się do jedzenia. Linda milczała i wpatrywała się w okno.

Parę lat temu, gdy Piotr zwalniał się z pracy w milicji, przez kilka dni prawie w ogóle nie trzeźwiał – musiał się pożegnać ze wszystkimi kolegami i starymi znajomymi. Mieszkali już wtedy razem u Lindy.

Któregoś dnia po powrocie Piotra do domu rozpętała się awantura, Linda zaczęła mu robić wymówki za nieustanne pijaństwo.

– Tak nie można – niemal krzyczała – rujnujesz sobie zdrowie, i bez tego nie wyglądasz dobrze, a piciem do nieprzytomności niszczysz trzustkę i wątrobę! Zabijasz też szare komórki, nawiasem mówiąc. Komu będziesz potrzebny, chory i niespełna rozumu? Nie stać cię będzie nawet na szklankę mleka! A może jesteś pewien, że cię nie zostawię i będę utrzymywać do końca życia? Myślisz, że trafiłeś na głupią?!

Pochłonięta swoimi optymistycznymi prognozami, Linda nie zauważyła, kiedy przekroczyła granicę, za którą Piotr stracił cierpliwość. Przeważnie bywał spokojny, powolny i flegmatyczny, więc nie spodziewała się po nim takiego wybuchu. Nagle zmienił się na twarzy, otworzył klatkę z ulubieńcem Lindy – papugą Arkaszą – i z dzikim wrzaskiem: „Wolność narodom Afryki!!!” wyrzucił nieszczęsnego ptaka przez okno. Papuga okazała się ptakiem miłującym wolność, rozłożyła skrzydła i odfrunęła. Linda jęknęła, wybiegła na ulicę, próbowała dogonić Arkaszę, później przez parę tygodni szukała jej po całym mieście, rozklejała ogłoszenia, w których obiecywała nagrodę za znalezienie papugi, ale na próżno. Nigdy więcej nie zobaczyła Arkaszy.

Jakiś czas potem, będąc wielką miłośniczką zwierząt, sprawiła sobie świnkę morską, później pojawił się żółw, a po nim kot. Piotr nie darzył szacunkiem braci mniejszych, znosił ich obecność z racji pokojowego i flegmatycznego usposobienia. Jednakże przez cały czas

trzymał w niepewności swoją impulsywną przyjaciółkę i gdy mu się dawała we znaki, napomykał, że w każdej chwili może wyrzucić z domu któregoś z ulubieńców w imię wolności gnębionego narodu. Piotr miał specyficzne poczucie humoru, więc gdy Linda po stracie uwielbianej papugi po raz pierwszy przyniosła nowego lokatora – świnkę morską – zaproponował, żeby ją nazwać Angolą. Linda nie wyczuła, co się święci, przeciwnie, strasznie się ucieszyła, że jej ukochany chociaż w ten sposób interesuje się losem zwierzaka. Żółw, który okazał się osobnikiem płci męskiej, otrzymał imię Honduras i wtedy po raz pierwszy niedobre przecucie ścisnęło wrażliwą duszę właścicielki mieszkania, a gdy Piotr oznajmił, że do eleganckiego czarnego kotka o gładkiej sierści pasuje imię Senegal, było już za późno. Zwyczaj się przyjął i teraz Linda musiała uważać, żeby jej troska o kochanka nie stała się nazbyt natrętna i dokuczliwa. Przeważnie jej się udawało, ale czasami się zapominała i wtedy Piotr wypowiadał straszliwe zdanie, które zaczynało się od słów: „Wiesz, kochanie...”.

Piotr ze smakiem pałaszował rybę, a Lindzie leciała ślinka na myśl o makaronie, który chętnie posypałaby serem i poliała masłem. Ale to zabronione. Jest zbyt gruba. Musi zająć czymś myśli i odwrócić uwagę Piotra od niewybaczalnego błędu, który ona, Linda, przed chwilą popełniła.

– Wiesz, okazuje się, że nasza para to mąż i żona – powiedziała jak gdyby nigdy nic.

Piotr podniósł głowę i spojrział na nią zaintrygowany.

– Naprawdę?

– Tak, tylko oboje mają inne nazwiska. Ale mieszkają w jednym pokoju. A w dowodach osobistych jest adnotacja o zawarciu małżeństwa.

– Bardzo dobrze, będziemy mieli co opowiadać szefowi. Nawiasem mówiąc, szkoda, że nie jesz, ryba jest bardzo smaczna. I zdrowa.

– Akurat!

– Są w niej witaminy – beznamiętnym tonem zauważył Piotr. – I jakieś kwasy, zapomniałem, jak się nazywają.

– Jest smażona i ani ty, ani ja nie powinniśmy jej jeść. Zobaczysz, że w nocy dostaniesz ataku woreczka żółciowego – groźnie zapowiedziała Linda, znowu się zapominając, ale w tej samej chwili zreflektowała się i skierowała rozmowę na inny temat: – Udało ci się czegoś dowiedzieć?

– Facet wypytywał Ładę o mężczyznę, którego poznała krótko przed zabójstwem doktora. Sądzisz, że to niebezpieczne?

– Nie wiem. Niczego nam się przecież nie mówi, wynajęto nas, żeby szef miał informacje z pierwszej ręki. Zresztą co to dla nas za różnica?

– Masz rację. – Piotr kiwnął głową, wycierając chlebem resztki oleju z talerza i udając, że nie zauważa pełnego dezaprobaty spojrzenia Lindy. – Byleby tylko nam płacił. Jutro rano zadzwonimy i zameldujemy.

Lindę i Piotra znalazł i wynajął mężczyzna z Moskwy. Było to ponad trzy miesiące temu, niedługo po zabójstwie Jewtiejewa. Poleciał obserwować ruchy milicji i prowadzone śledztwo. Detektywi mieli

dobrze kontakty w organach ścigania, więc za niewielkie pieniądze udawało im się dowiadywać tego, na czym im zależało. Nie mieli pojęcia, co szef chciał ugrać, dostali jedynie zadanie i telefon osoby, której mieli składać raporty. W śledztwie nie było zaskakujących zwrotów, więc bardzo szybko je umorzono. Linda i Piotr sądzili, że zrobili, co do nich należało, jednak całkiem niedawno ktoś do nich zadzwonił i oznajmił, że do szefa dotarła informacja o jakiejś parze, która zjechała do Jużnomorska i wypytuje o syna zmarłego doktora. Mają się dowiedzieć, co to znaczy. No więc się dowiadują. Działają właściwie po omacku, ale za niezłą forszę.

*

Informacja, którą pułkownik Alekpierow otrzymał od nieznanego mu źródła, zawierała między innymi dane o śledczym, który prowadził kiedyś sprawę dotyczącą złamania zasad operacji walutowych – tę samą, z której Walerij Stiecenko wyparował w niepojęty sposób. Znalezienie śledczego nie zabrało dużo czasu, mężczyzna był już od dawna na emeryturze i mieszkał w Moskwie. Alekpierowa co prawda uprzedzono, że śledczy jest bardzo chory i słaby, w dodatku rozum mu się trochę pomieszał, ale to nie zmartwiło pułkownika; właściwie nawet się ucieszył. Śledczy, podobnie zresztą jak inni pracownicy KGB, zazwyczaj nie opowiadają o swojej dawnej pracy – przyzwyczaili się, że wszystko, co robili, było opatrzone klauzulą poufności, więc nie zdradzają swoich tajemnic mimo upływu lat. Gdyby śledczy Poliszczuk

był zdrowy na umyśle i zachował świetną pamięć, Khan nie miałby wielkich szans, teraz jednak istnieje nadzieja, że uda się wyciągnąć to i owo ze staruszka.

Nikołaj Fiodorowicz Poliszczuk wykazał natychmiastową gotowość do spotkania i Khan domyślił się, że starszy pan przeraźliwie się nudzi. Był przygarbiony, ledwo się poruszał i prawie nic nie widział, chociaż Khan wiedział, że nie był w tak sędziwym wieku, żeby wyglądać jak zgrzybiały starzec – miał dopiero siedemdziesiąt cztery lata. Żona Poliszczuka, żywotna i zwawa dama, pośpiesznie dreptała po małym mieszkaniu, przygotowując niewyszukany poczęstunek i herbatę dla gościa.

– Widzisz, co się ze mną porobiło? – utyskiwał Nikołaj Fiodorowicz.
– Jestem bezradny jak dziecko, choroby mnie wykończyły. Boję się, że żona mnie rzuci, trzyma się jeszcze całkiem nieźle, a ja do niczego się już nie nadaję, ciągnę tylko na tabletkach i zastrzykach. Popij sobie herbatki, popij, nie krępuj się.

Co chwila przypominał żonie, żeby mu dolała gorącej herbaty, i powtarzał z wyrzutem:

– Ciągłe nalewasz mi jakąś lurę! Przynieś no wrzątku, kobieto.

Jeśli chodzi o sprawę walutową, to stęskniony za towarzystwem stary śledczy niczego nie ukrywał. Wprawdzie długo nie mógł zrozumieć, co to za sprawa, którą interesuje się pułkownik Alekpierow, a później z wysiłkiem szperał w pamięci, lecz w końcu sobie przypomniał, że w pewnym momencie śledztwa został wezwany do gabinetu szefa, który, powołując się na „konieczność operacyjną”,

polecił mu usunąć figuranta Stiecenkę z materiałów sprawy, i to tak, żeby nie było śladu. Co to za konieczność – o tym go nie poinformował, takie wtedy obowiązywały zasady, ale przy rozmowie był obecny oficer z wydziału zajmującego się ochroną tajemnic przedsiębiorstw państwowych.

– Pamięta pan nazwisko oficera? – zapytał Khan, na nic właściwie nie licząc.

– Czy pamiętam? – Poliszczuk roześmiał się ochryple. – Nigdy go nie poznałem. Widziałem tę gębę po raz pierwszy i ostatni. Szef mi go przedstawił, tylko zapomniał podać nazwiska. A ja nie zapytałem. Zrobiłem, co mi kazano, nie zadawałem niepotrzebnych pytań. Stiecenko nie pojawił się w aktach sprawy nawet jako świadek, skasowałem go na amen. A co się stało, pułkowniku? Po co ci ta stara historia?

– Ktoś zabił Stiecenkę, więc rekonstruuje fakty z jego życia, żeby się dowiedzieć, komu mógł stanąć na drodze – odparł Khan nie do końca zgodnie z prawdą.

– Oj, nieładnie jest kłamać, pułkowniku. – Nikołaj Fiodowicz wbił przymrużone i na wpół ślepe oczka w Alekpierowa. – Bardzo nieładnie. Odkąd to pułkownik milicji zajmuje się zwykłymi trupami? Może Stiecenko wyszedł na ludzi i został oligarchą? Kim był, zanim go sprzątnięto?

– Robotnikiem, remontował mieszkania – burknął Khan.

Widocznie dawny śledczy Poliszczuk nie stracił całkiem rozumu, bo szybko i sprawnie kojarzył fakty.

– A widzisz, mówię przecież, że kłamiesz – rzekł z satysfakcją Nikołaj Fiodorowicz. – No dalej, zapytaj mnie o coś jeszcze, powiem ci wszystko, niczego nie zataję. Wiesz, jak nienawidzę tego urzędu? Niech będzie przeklęty na wieki!

– Czyżby? – Khan uniósł brwi.

Dopiero półtorej godziny później udało mu się wyjść od Poliszczuka. Starszy pan gadał jak najęty, opowiadał, jak agencja go zdradziła, jak wyrzekła się jego profesjonalizmu, doświadczenia i wiedzy, jak wypchnęła go na emeryturę, młodego, pełnego sił i chęci do pracy, jak ciężko i długo później chorował, jakim wrakiem jest teraz... A jednak Nikołaj Fiodorowicz szwankował na umyśle, bo jego celne pytanie okazało się jedynym przebłyskiem dawnej przenikliwości.

ROZDZIAŁ 10

Mimo że Sorokinowie w każdej chwili byli gotowi do spotkania z sąsiadami, telefon Lwa Siergiejewicza sprawił, że wpadli w popłoch. Angelina Michajłowna przeglądała kupiony w przeddzień album malarstwa epoki renesansu, a Wilen Wiktorowicz z pasją oddawał się oglądaniu nagranych na wideo koncertów orkiestry pod batutą Zubina Mehty. Nie miał ochoty odrywać się od swojego zajęcia, więc gdy zadzwonił telefon, dał znak żonie, żeby odebrała i wyszła z pokoju. Angelina posłusznie poszła porozmawiać do kuchni, ale już parę minut później wpadła do pokoju i zawołała podniecona:

– Zbieraj się, Wila! Lew Siergiejewicz nas do siebie zaprasza.

Wilen Wiktorowicz wyłączył odtwarzacz z niezadowoloną miną.

– Co się stało? Znowu odezwał się w nim nienasycony żarłok?

– Czemu tak mówisz? – z wyrzutem powiedziała Angelina Michajłowna. – Syn do niego przyjechał, więc chce go nam przedstawić.

W oczach Wilena pojawił się błysk zainteresowania.

– Który syn? Leonid? Czy... tamten?

– O to właśnie chodzi, że nie powiedział! A nuż tamten?

Szybko się przebrali, jako że w domowych strojach nie wypadało składać wizyty, i udali się do Gusarowów.

Gdy tylko weszli do pokoju w towarzystwie Lwa Siergiejewicza, od razu zrozumieli, że los w końcu się do nich uśmiechnął. Widzieli już albumy ze zdjęciami rodzinnymi, więc wystarczyło jedno spojrzenie na siedzącego na kanapie młodego mężczyznę, żeby wiedzieć: oto młodszy syn Gusarowów, Aleksander. Ten, który interesował Sorokinów. Nieładny, z toporną, jak gdyby niedbale wyciosaną twarzą, w ogóle nie przypominał ani matki, ani ojca. Na widok gości wstał grzecznie i skinął wyniośle głową.

– Dzień dobry, jestem Aleksander, miło mi państwa poznać. Rodzice dużo mi o państwie opowiadali.

– Nam też jest bardzo miło – przyjaźnie odparła Angelina Michajłowna. – My też dużo o panu słyszeliśmy. Jest pan artystą, jeśli dobrze pamiętam?

– Zgadza się. – Aleksander się uśmiechnął.

Uśmiech miał przyjemny, jego grubo ciosana, nieładna twarz od razu złagodniała i się rozjaśniła.

– A gdzie pan wystawia swoje prace? Jesteśmy z mężem wielkimi miłośnikami malarstwa, obeszliliśmy wszystkie moskiewskie galerie, ale nigdzie nie natknęliśmy się na pańskie obrazy. Proszę mi wybaczyć bezceremonialność, ale o malarzu Aleksandrze Gusarowie nikt w ogóle nie słyszał. A może jest pan amatorem?

– Właściwie... – Aleksander nieco się zawahał – można i tak powiedzieć. W każdym razie nie cieszę się uznaniem w środowisku zawodowych malarzy. Tato, może zrobię herbaty dla gości?

Jego próba zmiany tematu wypadła bardzo niezręcznie, więc każdy

dobrze wychowany człowiek wycofałby się w tej sytuacji i przestał zadawać niewygodne pytania, ale Sorokinowie nie mogli sobie na to pozwolić. Za wszelką cenę musieli drążyć temat aż do zwycięskiego końca.

– A czym się pan naprawdę zajmuje, Saszeńka? – Angelina Michajłowna ciągnęła przesłuchanie. – Jeżeli malarstwo jest tylko pańskim hobby, jak zarabia pan na życie? Lusieńka mówiła, że jest pan człowiekiem zamożnym i pomaga materialnie rodzicom. Proszę mi wybaczyć to nietaktowne pytanie. Jestem już w tym wieku, że mogę sobie na nie pozwolić.

– Czemu grasz komedię, Sańka? – wtrącił się Lew Siergiejewicz. – Przestań się wygłupiać. Mów prawdę, nie owijaj w bawełnę.

Aleksander milczał, więc Gusarow podjął wątek.

– Dla nas to Sańka, ale jako artysta występuje pod nazwiskiem Boris Krotow – wyjaśnił z uśmiechem pełnym dumy. – Tyle że w galeriach nie znajdziecie jego prac. Jego portrety wiszą tylko w prywatnych kolekcjach.

– Naprawdę? – zdziwiła się Angelina Michajłowna. – A dlaczego? I po co panu pseudonim artystyczny?

Sorokina starała się, żeby jej głos brzmiał naturalnie i żeby zdumienie nie było przesadne. Dawno już wiedziała o pseudonimie i prywatnych kolekcjach, ale nie mogła się z tym zdradzić.

– A dlaczego akurat Boris Krotow? – odezwał się milczący do tej pory Wilen Wiktorowicz.

Angelina posłała mężowi spojrzenie pełne wdzięczności. Zadał

właściwe pytanie, wręcz niezbędne, ona o nim nie pomyślała. Pytanie nie spodobało się jednak Aleksandrowi. Lew Siergiejewicz też się zmieszał.

– Zawsze podobało mi się imię Boris – powiedział Aleksander. – Jest krótkie, treściwe i męskie.

– A dlaczego Krotow?

Lew Siergiejewicz westchnął i spojrzał błagalnie na syna.

– Sania, Angelina Michajłowna i Wilen Wiktorowicz to nasi sąsiedzi, razem z mamą często się z nimi spotykamy. Zostawmy więc te tajemnice. Chodzi o to, że Sania nie jest naszym rodzonym synem. Jego mama była...

– Mama umarła, gdy byłem całkiem mały – przerwał mu Aleksander. – Tata Lowa i mama Luda są moimi przybranymi rodzicami.

Sorokinowie dostrzegli szybkie spojrzenie, którym Lew Siergiejewicz obrzucił syna. Nie udało im się jednak zauważyć, co w nim było – wyrzut czy zrozumienie.

– Mama nazywała się Krotowa. Oto i całe wytłumaczenie.

– A czemu ogranicza się pan do prywatnych kolekcji? – Angelina nie ustępowała.

– Maluję tylko portrety, a one zawsze bardziej interesują modeli i członków ich rodzin niż szersze grono. Tato, może poczęstujemy naszych gości herbatą? Przyniosłem też bardzo smaczne ciastka.

Tym razem aluzja była tak czytelna, że nie wypadało jej zignorować, więc Sorokinowie musieli się wycofać. Aleksander

wyprowadził ojca do kuchni, żeby przygotować herbatę, a Sorokinowie zostali sami w pokoju.

– A niech to diabli! Nie udało się! – ze złością wyszeptał Wilen Wiktorowicz.

– Tak, szkoda, byliśmy o krok od celu – przyznała Angelina. – Ale może nie wszystko jeszcze stracone. Musimy się do niego wprosić, żeby obejrzeć prace. Może w innych okolicznościach i bez ojca okaże się bardziej rozmowy.

– Trzeba spróbować. Szkoda, że Lusja jest w pracy, w jej obecności łatwiej byłoby wyciągnąć od nich prawdę. Zagadnęłabyś ją o jakieś sprawy związane z macierzyństwem i nie mogłaby się wykręcić.

– Ciszej!

Angelina Michajłowna podniosła ostrzegawczo palec i zaczęła nasłuchiwać. Dzień był ciepły i letni, drzwi na balkon pozostawiono otwarte, więc dobiegły ich przytłumione głosy – Lew Siergiejewicz i Aleksander rozmawiali w kuchni, w której okno też było otwarte.

– Niczego nie można zrozumieć – powiedziała cicho Sorokina. – Wyjdźmy na balkon.

Wilen Wiktorowicz posłusznie wstał z fotela, w którym tak przyjemnie i wygodnie mu się siedziało. Na balkonie rzeczywiście słyhać było każde słowo wypowiedziane w położonej obok kuchni.

– Minęło przecież tyle lat, Sańka. Nie widzę sensu...

– Nie chcę, tato. Po prostu nie chcę. Rozumiesz?

– Nie, nie rozumiem. – Głos Lwa Siergiejewicza brzmiał gniewnie.

– Po co robić z tego problem? Minęło już tyle lat, synku, więc teraz...

– Nie chcę tego wspominać. I nie chcę wdawać się w szczegóły, zwłaszcza w rozmowie z mało znanymi ludźmi. Adoptowaliście mnie i tyle. Nikogo nie interesują detale związane z opieką i mieszkaniem.

– Sania, Sorokinowie są dla ciebie obcy, ale my z mamą bardzo dobrze ich znamy, codziennie się spotykamy i spędzamy razem sporo czasu, więc niezręcznie nam wciąż kłamać. Musimy liczyć się z twoimi fanaberiami, ale czasem to dla nas kłopot. Nie rozumiem, dlaczego nie możemy powiedzieć, że naprawdę nazywasz się Krotow, a nie Gusarow, ponieważ nigdy cię nie adoptowaliśmy, zostaliśmy twoimi opiekunami, żeby nie przepadło ci mieszkanie. I widzisz, nie pomyliliśmy się w rachubach, mieliśmy rację, sprzedałeś mieszkanie i kupiłeś sobie dom, w którym urządziłeś pracownię. Dlaczego trzeba to wszystko ukrywać? Czego się wstydzisz? Co to za kaprysy?

– Nie chcę – stanowczo i dobitnie odparł Aleksander. – Nie chcę żadnych rozmów ani o mamie, ani o zabójstwie, ani o moich uczuciach i emocjach z tym związanych. Jesteście z mamą Ludą moimi rodzicami, wychowaliście mnie razem z Lońką i Marinką, utrzymywaliście, ubieraliście, karmiliście, pomogliście zdobyć wykształcenie. Daliście mi rodzeństwo, rodzinne ciepło i miłość rodzicielską, a ja nie mam najmniejszej ochoty omawiać z byle kim faktu, że nie jesteście moimi prawdziwymi rodzicami. Zostawmy ten temat, tato, z tobą też nie chcę o tym rozmawiać. Zobacz, w cukiernicy prawie nie ma cukru, a słoik jest pusty. Skończył wam się cukier? Idź zabawić gości, a ja skoczę do sklepu.

– Nie trzeba synku, pożyczymy od Sorokinów, oni zawsze wszystko

mają. Zaraz powiem Angelinie, to przyniesie.

– Widzę, że żyjecie tu w komunie – z kpina zauważył Aleksander. – Może macie też wspólny budżet? Nie wymieniacie się czasem z sąsiadem żonami?

– Sańka! Pamiętaj, że rozmawiasz z ojcem, a nie z twoimi zbirami, więc uważaj na słowa!

Słyszając to, Wilen Wiktorowicz się skrzywił. Taką samą minę robił, gdy trafiał na rozgotowaną cebulę w zupie. Kiedy człowiek pozbawiony jest inteligencji, jego żarty są prostackie i nieprzyzwoite, no a jaką inteligencją może się odznaczać Aleksander, skoro maluje portrety wyłącznie kryminalistów i zadaje się z tego typu ludźmi? Sorokinowie muszą jednak udawać, że nie mają o niczym pojęcia i traktują przybranego syna Gusarowów jak poważnego przedstawiciela elity kulturalnej.

Gdy zasiedli do herbaty i ciastek, Angelina Michajłowna podjęła jeszcze parę prób, żeby skierować rozmowę na odpowiednie tory, ale bez powodzenia. Sorokinom udało się jednak wprosić do pracowni Aleksandra, żeby „obejrzeć prace”.

– Tylko niech państwo najpierw zadzwonią – uprzedził ich Aleksander. – Gdy mam seans, postronne osoby mi przeszkadzają. Nikomu z wyjątkiem pomocy domowej nie pozwalam kręcić się po domu. No i z wyjątkiem modela, rzecz jasna. Gdy nie ma seansu, drzwi są otwarte, zapraszam o każdej porze. Pokażę państwu prace, które malowałem nie na zamówienie, ale dla własnej przyjemności.

Po powrocie od Gusarowa Sorokinowie wymienili się uwagami.

Teraz oficjalnie wiedzą, że Aleksander nie jest rodzonym synem Gusarowów. Co więcej, wiedzą, że naprawdę nazywa się Krotow. A to już plus. Minusem jest jednak to, że mężczyzna milczy na temat zabójstwa matki i w ogóle nie wspomina o jej śmierci. Bez rozmowy na temat tragicznej śmierci Łarisy Krotowej Sorokinom nie uda się wpaść na ślad tego, na czym im zależy i bez czego Maksim Kramariew nie może się obejść.

Przez cały wieczór Wilen Wiktorowicz utyskiwał, że teraz będą musieli wlec się za miasto i oglądać obrazy, które nie mogą być interesujące dla konesera sztuki.

– Nie bądź snobem, Wileńka – przekonywała męża Angelina Michajłowna. – Korona nam z głowy nie spadnie, jak obejrzymy jego prace. Może za to posuniemy się o krok w naszych poszukiwaniach. Zresztą dzisiaj zrobiliśmy znaczne postępy.

– Chyba że tak... – odparł Sorokin z westchnieniem. – Im szybciej to załatwimy, tym szybciej wszystko się skończy. I żaden nuworysz z politycznymi ambicjami nie będzie mi dyktować, co mam robić i jak żyć. Niechby jak najprędzej było już po wszystkim.

*

Walentina westchnęła głęboko, wciągając nosem zapach Gaszyna, i zacisnęła powieki z rozkoszy. Zapach był gorzkawy i nieco cierpki, przypominał ni to piołun, ni to dobry tytoń. Obnażone ramię mężczyzny, podobnie jak całe ciało, było smagłe i gładkie, i Walentinie

przyszło do głowy porównanie z czekoladowym jajkiem, wewnątrz którego ukryta jest niespodzianka dla dzieci. Wewnątrz Sławomira też kryła się niespodzianka, tylko na razie nie wiadomo, czy naprawdę miła. Mimo fizycznej bliskości Gaszyn pozostawał milczący i tajemniczy. Spotykają się codziennie już od tygodnia, a Walentyna nadal nic o nim nie wie, zna tylko nazwisko i zawód. Teraz co prawda dowiedziała się, jaki jest w łóżku – fantastyczny pod każdym względem: czuły, uważny, troskliwy, wprawdzie niezbyt wytrzymały – jej poprzedni kochanek, dyrektor instytutu, był bardziej wytrzymały i pomysłowy – ale czy to ma znaczenie? Dzisiaj znaczenie ma tylko to, że Sławomir leży obok i obejmuje ją ramieniem. To oznacza, że ona, Walentyna Jewtiejewa, jest odtąd jego kobietą, należy do tego mądrego i przystojnego, niezwyklego mężczyzny, kocha go i ma do niego prawo. W obliczu tak wielkiego szczęścia bledną takie drobiazgi jak niemoc seksualna czy brak inwencji.

Gaszyn ostrożnie wyciągnął rękę spod pleców Walentyny i sięgnął po zegarek.

– Musisz już iść? – zapytała zmartwiona.

– Na razie nie, mam jeszcze trochę czasu. Ale boję się, że zaraz wróci twoja gospodyni. Wolałbym, żeby nie zastała nas razem w łóżku.

Dlaczego? – miała ochotę zapytać Walentyna. Dlaczego muszą ukrywać, że są parą? Co w tym zakazanego albo nieprzyzwoitego? Może Sławomir jest żonaty i wszyscy, którzy bywają w domu Kramariewa, o tym wiedzą? Może nawet znają jego żonę... A może coś go jednak łączy z nauczycielką arabskiego? Walentyna miała te

pytania na końcu języka, ale ich nie zadała. Od początku znajomości utarło się, że on o sobie nie opowiadał, a ona nie miała odwagi, żeby zapytać.

– Nina Siergiejewna nie wróci tak prędko – uspokoiła Gaszyna. – Po pracy zamierzała pojechać do Moskwy, jej przyjaciółka ma urodziny. Poleżmy jeszcze chwilę. Muszę ci się do czegoś przyznać, Sława.

Gaszyn uniósł się na łokciu i spojrzał na nią z niepokojem, mrużąc lekko oczy. Dzisiaj po raz pierwszy zdjął okulary z przyciemnianymi szklami i Walentyna nie mogła się napatrzeć na jego długie, gęste rzęsy, które uwydatniały zarys oczu niczym konturówka.

– Nie podobało ci się? – oschle zapytał Gaszyn. – Rozczarowałem cię?

– Ależ skąd! Było wspaniale, lepiej być nie może! Chodzi o coś innego... Wybacz mi, Sława, ale cię okłamałam. Daję słowo, że nie miałam nic złego na myśli, po prostu zakochałam się w tobie od pierwszego wejrzenia i bardzo chciałam ci się spodobać. Nie gniewasz się?

– Jeszcze nie wiem. – Sławomir uśmiechnął się pobłaźliwie. – To zależy, w jakiej sprawie mnie okłamałaś. O co chodzi? Jesteś szpiegiem pracującym dla konkurentów Kramariewa?

Walentyna parsknęła śmiechem.

– Sława, kochanie, co ze mnie za szpieg? Jestem najzwyczajniejszym pracownikiem naukowym, ścisłowcem...

– I piszesz rozprawę – dokończył. – Już to słyszałem.

– Nie piszę – wyznała Walentina. – Już dawno ją napisałam i obroniłam.

– No proszę! – Gaszyn podłożył poduszkę pod plecy i usiadł na łóżku. – A więc jesteś już kandydatem nauk? Czy może doktorem?

– Kandydatem. Ale naprawdę zajmuję się fizyką niskich temperatur, tutaj wszystko się zgadza.

– A czemu skłamałaś?

– Musiałam usprawiedliwić jakoś swój pobyt w Moskwie... A zresztą skoro też jesteś naukowcem i w dodatku ścisłowcem, jesteśmy bratnimi duszami. Mówię przecież: chciałam się spodobać.

Walentina sądziła, że temat jest wyczerpany i Sławomir od razu jej wybaczył. Przecież kłamstwo było w zasadzie niewinne, nie przypisała sobie zasług, przeciwnie, umniejszała je, no a poza tym przyznała się, nie czekając, aż zostanie przyparta do muru, przyłapana na jakiejś wypowiedzi.

Sławomir chyba jednak nie podzielał jej punktu widzenia. Brwi lekko mu drgnęły, po czym się ściągnęły.

– Co to znaczy usprawiedliwić swój pobyt w Moskwie? Bądź uprzejma się wytłumaczyć. Po co tak naprawdę przyjechałaś tutaj z Petersburga?

– Nie przyjechałam z Petersburga – poprawiła go zmieszana Walentina.

– A skąd?

– Z Jużnomorska. Nie gniewaj się, kochanie, po prostu nie chciałam wyglądać w twoich oczach na zwyczajną prowincjuszkę.

Walentina nie zauważyła, że usta Gaszyna zacisnęły się w cienką kreskę. Przestraszona jego niezadowolonym tonem, nawet bała się spojrzeć na kochanka i zaczęła w pośpiechu relacjonować smutne okoliczności, które przywiodły ją do stolicy.

Ale on nie chciał słuchać i przerwał jej w pół słowa.

– Może nazywasz się też inaczej? – zapytał wyniośle. – Może nie jesteś żadną Walentiną? Nawiasem mówiąc, do tej pory nie poznałem twojego nazwiska, ale teraz chyba nie ma sensu o nie pytać, bo i tak mnie okłamiesz.

– Walentina to moje prawdziwe imię – powiedziała cicho. – Nazywam się Walentina Jewtiejewa, jeśli cię to interesuje.

Sławomir gwałtownie odrzucił kołdrę, cisnął ją na podłogę, chwycił ubranie wiszące na oparciu krzesła i zaczął się ubierać.

– Sława, daj spokój – mamrotała skonsternowana Walentina. – Nie złość się, błagam cię, nie miałam nic złego na myśli, daję słowo... Zrobiłam to tylko dlatego, że chciałam się spodobać... Przecież to nie moja wina, że od razu się w tobie zakochałam... No Sława, Sławoczka, mój kochany, tak nie można, proszę...

Gaszyn jednym ruchem zasunął suwak w kurtce z cienkiej dzianiny, po czym ruszył ku drzwiom.

– Nie zadaję się z oszustami. Sądziłem, że spotkałem uczciwą, zrównoważoną i przyzwoitą kobietę, którą rozumiem, a okazało się, że mam do czynienia z krętaczką i kłamczuchą. Całe szczęście, że twój charakter ujawnił się już dzisiaj, póki nasze relacje nie zaszły zbyt daleko. Nie chcę cię więcej widzieć.

– Ale Sława... Sława, zaczekaj, nie odchodź!

Ale on już trzasnął drzwiami, później rozległy się szybkie, ciężkie kroki na schodach i Walentyna usłyszała odgłos otwieranych i zamykanych drzwi wejściowych. Przepadło. Wyszedł.

Kołdra rzucona przez Gaszyna nadal poniewierała się na podłodze i Walentyna nie mogła oderwać od niej wzroku. Co się stało? Dlaczego? Dlaczego Sławomir wpadł w taką wściekłość, gdy wyznała mu prawdę? Może Nina Siergiejewna miała rację, gdy mówiła, że w stolicy nikt nie lubi ludzi z problemami? Czy o to chodzi? Chyba tak, przecież Sławomir nawet nie chciał słuchać – uznał, że jej wyjaśnienia nie są mu potrzebne. Podobnie jak ona sama. Założył, że szukam pomocy, pomyślała, otulając się szlafrokiem i próbując powstrzymać nagłe dreszcze. No oczywiście, doszedł do wniosku, że po tym, jak poszliśmy do łóżka, przewróciło mi się w głowie, chciałam wykorzystać sytuację i zażądać pomocy. Kim jestem w jego oczach? Cwaną puszczałką z prowincji, która nie potrafi sobie poradzić z własnymi problemami i która nie ma ani pieniędzy, ani kontaktów. A tutaj trafia się ceniony naukowiec, który ma wszystko, co trzeba, więc puszczałka, nie przebierając w środkach, zaciąga go do łóżka, żeby potem, gdy zmięknie, wzruszyć go i zmusić do pomocy. Gdyby mnie wysłuchał, zrozumiałby, że radzę sobie sama i nic od niego nie chcę! Ale nie wysłuchał i wyszedł. Teraz mnie nienawidzi i mną pogardza. Wiem, co powinnam zrobić: muszę go znaleźć i wszystko wytłumaczyć, zmusić, żeby mnie wysłuchał do końca, wtedy zrozumie, że się pomylił, że nie kierowało mną wyrachowanie, że go naprawdę kocham. I wróci.

Walentina wciąż nie mogła się ogrzać, mimo że owinęła się podniesioną z podłogi kołdrą, zeszła więc do kuchni, wyjęła z szafki napoczętą butelkę koniaku z zapasów Niny Siergiejewny, nalała jedną trzecią szklanki i wypła duszkiem. Poczowała nagłe uderzenie gorąca, parę minut później dreszcze ustały i trochę się odprężyła. To, co się wydarzyło, jest potworne i przykre, ale da się odwrócić. Zaraz położy się do łóżka i postara zasnąć, a jutro pójdzie do lasu po drugiej stronie szosy, zaczeka na Sławomira i z nim porozmawia. Wszystko mu wyjaśni, a on ją zrozumie. Nie może nie zrozumieć. Jest przecież mądry i niezwykły. Owszem, popełniła niewybaczalne głupstwo, ale wszystko jeszcze może naprawić.

*

Jewgienij Jewtiejew zaproponował Nasti Kamieńskiej spotkanie u niego w domu. Czistiakow odmówił wspólnej wizyty – życie miasta interesowało go znacznie bardziej niż rozmowa z bratem klientki.

– Odprowadzę cię, bo beze mnie się zgubisz – oznajmił autorytatywnie.

Jewgienij mieszkał w pobliżu parku imienia Puszkina – a raczej w pobliżu tego, co z niego zostało – w dużej, eleganckiej willi z wysokim ogrodzeniem. Już po paru minutach rozmowy Nastia wiedziała, że niepotrzebnie czekała na jego powrót z zagranicy: Jewtiejew junior nie powiedział nic ciekawego ani na temat wrogów ojca, których zwyczajnie nie znał, ani na temat wartościowych przedmiotów

przechowywanych przez zmarłego.

– Słyszałam, że pańskie relacje z Dmitrijem Wasiljewiczem były dalekie od ideału – skrupulatnie zauważyła Nastia.

Jewtiejew spojrział na nią obojętnie i wzruszył ramionami.

– Tak, to prawda. I co z tego? Sądzi pani, że mogłem z tego powodu zabić tatę?

Czemu nie? Takie rzeczy się zdarzają.

– Może pan powiedzieć coś więcej? – poprosiła.

– Nie ma o czym mówić. Tata nie akceptował tego, że prowadzę własny biznes, uważał, że interesy w Rosji robią obecnie tylko bandyci, więc ja też nurzam się w błocie. Budziło to w nim odrazę, był kryształowo uczciwym człowiekiem, przez całe życie nie splamił sobie rąk żadnymi machlojkami. Na tym polegał cały konflikt. Tata uważał, że mój biznes i moje pieniądze są brudne, więc odrzucał pomoc materialną z mojej strony.

– A więc nie pomagał mu pan?

– Przeciwnie, pomagałem! Tylko nie bezpośrednio, a przez Walę. Oboje kłamaliśmy jak najęci, żeby tata niczego się nie domyślił.

Jewgienij roześmiał się szeroko, błyskając świetnie zrobionymi metaloceramicznymi koronami. Nie, on nie zabił, w tej samej chwili pomyślała Nastia. Nie żeby nie mógł, bo może każdy. Po prostu nie miał powodu, żeby to zrobić. Nie żywi ani krztyny nienawiści do ojca, co tam zresztą nienawiści, nie wyczuwam w nim nawet nieprzyjaźni. W ciągu całej rozmowy ani razu nie nazwał Dmitrija Wasiljewicza ojcem. Mówił o nim „tata”.

– Od ilu lat był pan poróżniony z ojcem? – zapytała.

– Od ilu lat? – Jewgienij się zamyślił. – Od wielu, Anastazjo Pawłowno. Gdy pani spytała, uświadomiłem sobie, że wszystko zaczęło się długo przed tym, zanim zająłem się biznesem. Właściwie moje relacje z tatą popsuły się po wyjeździe z Runowska.

– Nie pamięta pan czemu?

Jewgienij rozłożył ręce i wykrzywił pełne usta.

– Bez powodu. Po prostu popsuły się i już. Przed przeprowadzką tata był miłym, towarzyskim i wesołym człowiekiem, lubił sobie wypić, często żartował i się śmiał. A tutaj, w Jużnomorsku, zmienił się nie do poznania. Miałem wtedy siedemnaście lat i byłem zły na tatę, bo nagle stał się surowy, wymagający, wiecznie poirytowany i niezadowolony. Teraz rozumiem, że ciężko przeżywał zmianę sytuacji i otoczenia. Pewnie już pani mówiono, że na oddziale nie przyjęto go z otwartymi rękami.

– Owszem – potwierdziła Nastia.

– No widzi pani. Na stanowisko ordynatora szykował się inny lekarz, a tutaj nagle zjawił się tata, którego w szpitalu nikt nie znał i się nie spodziewał. Komu to się mogło spodobać? Wszyscy byli oczywiście wściekli na tatę, a on nie mógł tego nie widzieć i się nie przejmować. Proszę sobie wyobrazić: wszystko wokół jest obce i wrogie. Każdy by dostał białej gorączki. Teraz, gdy jestem już dużym chłopcem – Jewgienij uśmiechnął się rozbrajająco – zacząłem rozumieć, dlaczego tata zmienił się wtedy na niekorzyść.

– Czy pańska siostra też to czuła?

– Mówi pani o Wali? A co ona wtedy mogła rozumieć? Była jeszcze mała. Owszem, tata stał się bardziej surowy i wymagający, ale kto w tym wieku zastanawia się nad takimi zmianami? Człowiek traktuje zachowanie rodziców jako coś oczywistego i stara się dostosować.

Rozmawiali jeszcze ze czterdzieści minut i Nastia nagle zauważyła, że Jewgienij zupełnie nie interesuje się wynikami jej śledztwa. Odpowiada na zadawane pytania, ale sam o nic nie pyta. To było niepokojące. Nastia odczekała jeszcze chwilę, porozmawiała o znajomych Dmitrija Wasiljewicza, po czym zapytała:

– Czy postępy w śledztwie w ogóle pana nie interesują? Przecież chodzi nie o obcego człowieka, ale o pańskiego ojca.

Jewtiejew spojrzał na nią z kpiną.

– Komu potrzebne to pani śledztwo? Przecież niczego się pani nie dowie i nikogo nie znajdzie.

Robi się ciekawie. Tak zwykle rozumują przestępcy, gdy są pewni własnego sprytu i bezkarności.

– Dlaczego sądzi pan, że nikogo nie znajdę i niczego się nie dowiem?

– Dlatego, że szuka pani nie tam, gdzie trzeba. Wala wprowadziła panią w błąd, a pani idzie na jej pasku. Daję sobie głowę uciąć, że tatę zabił jakiś łajdak, który przetrząsał wszystkie mieszkania jak leci – a nuż uda się sforsować któreś drzwi i coś buchnąć, żeby starczyło na działkę.

– Ale jeśli dobrze pamiętam, dał pan siostrze pieniądze, żeby opłaciła śledztwo. Po co, skoro jest pan pewien, że Walentina nie ma

racji?

– Ojej, Anastazjo Pawłowno, nie zna pani życia?! Wala wbiła sobie do głowy, że sprawiedliwości musi stać się zadość, że nie będzie spokojnie spać, póki przestępca nie zostanie pojmany i ukarany. Myśli pani, że mogę patrzeć, jak się męczy? To przecież moja siostra, kocham ją. No więc dałem jej pieniądze, żeby w końcu zrobiła to, co uważa za konieczne, i się uspokoiła.

– Krótko mówiąc, odczepiła się? – oschle zapytała Nastia.

– Można i tak to ująć. Chociaż ja bym nie użył tego słowa. Proszę zrozumieć, ojca i tak nic nam nie zwróci, więc po co się szarpać i szukać zabójcy?

– A co ze sprawiedliwością? – zdziwiła się Nastia.

– A według pani na czym ma polegać? Na tym, że straciliśmy z Walą ojca i w rewanżu ktoś zostanie pozbawiony wolności? Sądzi pani, że to się zrównoważy?

Nastia przyglądała się Jewtiejewowi z ciekawością. Tak, myśli nieszablonowo, ludzie tacy jak on zwykle nie przywiązują wagi do tego, jak ich traktują inni. Jewgienij chyba niespecjalnie przejmował się brakiem zrozumienia ze strony ojca, więc to raczej mało prawdopodobne, żeby złe relacje z Dmitrijem Wasiljewiczem sprowokowały go do zabójstwa. Nie, nie jest zabójcą. Poza tym nie ma nic wspólnego ze słownym portretem, który sporządziła Łada Jakuszewa, to znaczy jeżeli Jewgienij Jewtiejew jednak zabił swojego ojca, wynajął do tego płatnego mordercę. Po co te komplikacje? To już zupełnie nie wytrzymuje krytyki.

Po wyjściu z domu Jewtiejewa Nastia ruszyła na miejsce umówionego spotkania z Czistiakowem. Po drodze smętnie myślała, że zmarnowała kolejne dwie i pół godziny. Aleksieja jeszcze nie było, więc otworzyła notes i zaczęła przeglądać zapiski. Na liście znajomych Dmitrija Wasiljewicza Jewtiejewa, których należało przepytac, były początkowo dwadzieścia trzy nazwiska. Z niektórymi osobami udało się spotkać w czasie dni wolnych, kolejne trzy Nastia odszukała dzisiaj rano, więc teraz lista skurczyła się do dwunastu osób. Kamieńska zerknęła na zegarek: wpół do piątej. To i owo można jeszcze dzisiaj zrobić.

Zacząła wybierać numery na komórce, obdzwanając osoby z listy, i jednocześnie rozglądała się na wszystkie strony, wypatrując męża. Miała szczęście – udało jej się umówić na cztery spotkania.

– Długo czekasz? – usłyszała za plecami zdyszany głos Czistiakowa.

– Długo. Gdzie się podziewałeś?

– Przepraszam, Aśka, miałem ważny powód. Szukałem miejsca na jutrzejszy uroczysty obiad.

– Co takiego? – zdumiała się.

I w tej samej chwili do niej dotarło. Dzisiaj jest dwunasty maja. Jutro trzynasty, piętnasta rocznica ślubu. Całkiem straciła głowę, zajęta zabójstwem doktora Jewtiejewa.

– To znaczy chciałam zapytać, czy znalazłeś miejsce. – Niezręcznie próbowała wybrnąć z sytuacji.

Trudno było przypuszczać, że Aleksiej nie zauważył jej gafy. Nie należy do tego rodzaju osób. Jest za to dobry i wielkoduszny.

– Znalazłem. Z trudem, ale znalazłem. Myślę, że ci się spodoba. Jutro zobaczysz. Przyzwoita kuchnia i urocze wnętrze. Akurat na nasze rodzinne święto. A co nowego u ciebie?

– Chce mi się jeść, Losza – żałośnie wyjęczała Nastia. – Chodźmy gdzieś coś przekąsić, a później ci wszystko opowiem. Tylko nie proponuj mi kawiarni i deserów, czuję się tak, jakbym przez ostatnie dziesięć dni bez przerwy piła kawę i opychała się ciastkami i lodami. Marzy mi się proste, zwyczajne jedzenie.

– Na przykład co? Mięso? Czy wolisz rybę?

– Tylko się nie śmieję, Losza... Zjadłabym spaghetti – przyznała się.
– Wiesz, taki zwyczajny długi makaron z mięsnym sosem i sałatkę z pomidorów i ogórków.

Weszli do pierwszego lepszego lokalu, w którym serwowano spaghetti, i Nastia z apetytem pochłonęła talerz makaronu oraz miseczkę sałatki warzywnej. Dopiero wtedy przystąpiła do streszczenia swojej rozmowy z synem doktora Jewtiejewa.

– W sumie znowu fiasko – skonstatowała. – Wieczorem mam jeszcze umówione cztery spotkania, ale intuicja mi podpowiada, że nie dowiem się nic ciekawego. Wygląda na to, że niepotrzebnie straciłam w Jużnomorsku zarówno własny czas, jak i pieniądze klientki. Za to przyszła mi do głowy pewna myśl... Chcesz posłuchać?

– Nie muszę. – Czistiakow się uśmiechnął. – Chyba potrafię zgadnąć.

– No to spróbuj – mruknęła Nastia z niedowierzaniem.

– Pomyślałaś, że jeśli charakter doktora Jewtiejewa uległ tak

drastycznej zmianie po przeprowadzce z Runowska do Jużnomorska, to możliwe, że właśnie w Runowsku wydarzyło się coś, co ma związek z zabójstwem.

Nastia ze strachem popatrzyła na męża. Losza zna ją oczywiście bardzo długo, szmat czasu, więc łatwo może przewidzieć jej reakcję na różne zdarzenia, ale żeby do tego stopnia rozszyfrować jej tok myślenia... Niewiarygodne. Może to prawda, że ludzie, którzy spędzili ze sobą długie lata, stają się do siebie podobni?

– Jest jeszcze jedna rzecz, o której do tej pory z jakiegoś powodu nie pomyślałaś – ciągnął Aleksiej. – Przyszła mi do głowy już dawno, ale wciąż czekałem, aż sama o tym wspomnisz. A ty milczysz.

Nastia drgnęła, zrobiło jej się nieswojo.

– Jaka rzecz?

– Doktor mógł zostać zabity nie z zemsty.

– No masz, ty też to samo! – zawołała z irytacją. – Przecież mówiłam ci setki razy o moich przypuszczeniach na temat przypadkowego rabusia. Zwyczajnie mnie nie słuchasz.

– Słucham cię bardzo uważnie. Teraz ty mnie posłuchaj. Zemsta w przeddzień naturalnej śmierci to istotnie rzecz wątpliwa. Ale zabójstwo człowieka, który wciąż jeszcze żyje, ma duży sens. Chwytasz?

Nastia powoli odłożyła zapalniczkę, którą nerwowo obracała w palcach, i bacznie spojrzała na Czistiakowa.

– Chcesz powiedzieć, że to mogło być zabójstwo w celu uniemożliwienia Jewtiejewowi podjęcia pewnych działań?

– No właśnie, Asieńko, no właśnie. Na przykład miało nie dopuścić, żeby coś powiedział. Albo ujawnił jakieś kompromitujące materiały, które, nawiasem mówiąc, mógł przechowywać i które zabrał zabójca. Dlaczego od razu nie pomyślałaś w tym kierunku?

– Dlatego, że jestem ślepa – ze smutkiem odparła Nastia. – Wbiłam sobie do głowy, że lekarz, chirurg dziecięcy, nie może być zamieszany w żadną aferę. A ty jak zwykle masz rację. Ale nie potrafię sobie wyobrazić, jak mogły do niego trafić jakieś kompromitujące materiały. Spotykam się przecież z ludźmi, którzy z nim obcowali, i widzę, że nie ma wśród nich nikogo, kto by...

– Wspomnisz moje słowa, Asiu, że początków tej sprawy trzeba szukać w Runowsku – twardo oznajmił Aleksiej. – Nie przypadkiem doktor zmienił się na niekorzyść. Zmienił się nie dlatego, że źle się tutaj czuł, ale dlatego, że przed wyjazdem z Runowska coś się wydarzyło. Coś niedobrego, o czym wiedział, i po latach pojawiła się obawa, że komuś o tym opowie.

– Po latach... – powtórzyła w zamyśleniu Nastia. – To znaczy, że muszę szukać człowieka, który ostatnimi czasy pojawił się w otoczeniu doktora. To musi być albo jakiś stary znajomy, z którym dawno się nie widział, albo ktoś zupełnie nowy. Ale na razie, Losza, nikogo podobnego nie odkryłam.

– Ile osób zostało ci na liście?

– Dwanaście.

– A było?

– Dwadzieścia trzy.

– Mówiąc językiem matematycznym, została ponad połowa. To znaczy, że masz jeszcze spore szanse – podsumował Aleksiej. – Nie martw się, kochanie, jestem pewien, że ci się uda. Ale chyba będziemy musieli pojechać do Runowska.

– Jestem podła, Losza... Wyciągnęłam cię z Moskwy, wyrwałam z pracy, obiecując odpoczynek nad morzem, a teraz będziesz musiał wlec się ze mną do tego zakichanego Runowska. Może lepiej pojedę sama, a ty wrócisz do domu.

– Też coś! – zachnął się Czistiakow. – Nawiasem mówiąc, Runowsk to mój pomysł, nie mam zamiaru ci go odstępować. Pojedziemy razem. Możesz przyjąć, że to nasza podróż poślubna. A zresztą, dokąd beze mnie pojedziesz? Jak sobie poradzisz? Jesteś przecież całkiem bezradna, nie potrafisz nawet odczytać mapy. No a poza tym każdy cwaniak wyłudzi od ciebie grubą forszę, gdy tylko spuszcze cię z oka.

– Będziesz mi teraz wypominać chłopaka z małpką aż do śmierci? – zapytała z urazą.

– A co myślałaś? Jeśli cię nikt nie powstrzyma, będziesz rozdawać pieniądze na prawo i lewo – zazartował Losza. – Aha, w ramach realizacji mojego genialnego pomysłu jestem gotów uczestniczyć w spotkaniach z pozostałymi osobami z twojej długiej listy. Chcesz?

– No pewnie. – Nastia się ucieszyła. – Jestem tak pochłonięta procesem otrzymywania odpowiedzi na pytania, że zapominam obserwować reakcje rozmówców. A to bardzo ważne. Nawet ważniejsze niż odpowiedzi na pytania. Ja będę rozmawiać, a ty obserwuj uważnie i zapamiętuj wszystkie szczegóły.

Gdy późnym wieczorem wrócili do hotelu, lista skróciła się do ośmiu osób. Dzisiejsze cztery spotkania nie przyniosły ani nowych informacji, ani nowych hipotez, ani jakichkolwiek podejrzanych. Żadna z osób, z którą spotkali się Nastia i Aleksiej, nie pasowała ani do opisu sporządzonego przez pielęgniarkę, ani do teoretycznego portretu nakreślonego przez Nastię podczas obiadu.

– Losza, zostało zaledwie osiem osób – mruknęła, kładąc się spać. – Nasze szanse topnieją w oczach.

– Osiem z dwudziestu trzech to jakieś trzydzieści pięć procent. A więc przyzwoita szansa na sukces, Asieńko – odparł Czistiakow. – Śpij, odpoczywaj, nabieraj sił. Jutro wznowimy działania.

Ale następny dzień znowu nie przyniósł nic nowego. Przed południem spotkali się z kolejnymi pięcioma osobami z listy. Gdy odszukają ostatnią trójkę, lista, której nie udało się rozszerzyć, się wyczerpie. W rozmowach ze znajomymi Dmitrija Wasiljewicza Jewtiejewa nie pojawiały się ani nowe fakty, ani nowe nazwiska, oprócz tych, o których wspominali właściciel hotelu Biessonow, małżeństwo Fridmanów i wdowa po chirurgu Simonianie.

Nadeszła pora obiadu i Czistiakow zaprowadził Nastię do restauracji „Afrodyta”.

– Co za pretensjonalna nazwa – sceptycznie zauważyła Nastia na widok dużego szyldu nad wejściem.

– Żaden szpan, to restauracja z grecką kuchnią – krótko wyjaśnił Aleksiej.

Gdy tylko weszli do środka, kierownik sali puścił się do nich co sił w

nogach.

– Miło nam, że państwo nas odwiedzili. Zapraszamy, przygotowaliśmy najlepszy stolik.

Czistiakow jak gdyby nigdy nic ruszył za kierownikiem w głąb ładnie przystrojonej sali, nie zwracając najmniejszej uwagi na zdumioną minę Nasti. Stolik był już nakryty i ozdobiony ogromnym bukietem kwiatów w ceramicznym wazonie. Losza odsunął krzesło żonie i usiadł naprzeciw.

– Co to znaczy, Losza? – zapytała szeptem Nastia. – Dlaczego tak nam nadskakują? Skąd te ceregiele?

– Wczoraj poznałem właściciela – niefrasobliwie odparł Aleksiej. – A on powiedział, że czuje się zaszczycony, że chcemy świętować rocznicę ślubu w jego restauracji.

– A to czemu? – Nastia zmrużyła oczy. – Czym go sobie zjednałeś? A w ogóle skąd go wytrzasnąłeś?

– Wczoraj wpadłem tutaj na piwo i na firmową kanapkę, no i zwróciłem uwagę, że aranżacja wnętrza bazuje na liniach prostych, nie ma żadnych zaokrąglonych form. Zapytałem kelnera, skąd takie designerskie pomysły, a on powiedział, że wnętrze projektował sam właściciel, który zanim nastał kapitalizm, pracował jako architekt. Zadałem jeszcze parę pytań już czysto matematycznej natury, ale kelner nie znał odpowiedzi, więc poszedł po właściciela. Facet zjawił się chwilę później, toporna gęba, brwi wygięte w łuk, cedzi słowa przez zęby. Wykorzystałem jednak umiejętności nabyte przy tobie i rozstaliśmy się w najlepszej przyjaźni. Oto i cała sztuczka.

– To nie sztuczka, Loszka – stwierdziła Nastia z zachwytem – to... Nawet nie wiem, jak to nazwać. Jesteś wielkim i genialnym blagierem i mistyfikatorem.

– Niby czemu? – Czistiakow uniósł brwi.

– A kto całkiem niedawno mówił, że jest zmęczony rozmowami z nieznajomymi?

Aleksiej roześmiał się, sięgnął do wiklinowego koszyka z grubymi pajdami chleba i oderwał od jednej spory kawałek.

– Asieńko, chodzenie też męczy, ale to nie znaczy, że człowiek przestaje chodzić. Męczy też praca, ale praca bywa przecież bardzo ciekawa. Interesują mnie nowi ludzie. Czyżbyś nie wiedziała?

Nasti zrobiło się wstyd. Nie miała o tym zielonego pojęcia. A może wiedziała, ale nie przywiązywała do tego wagi i nigdy się nad tym nie zastanawiała. Poświęcała mężowi stanowczo zbyt mało uwagi.

Właściciel restauracji „Afrodyta”, postawny, smagły, kruczowłosy Grek z czarnymi wąsami, podszedł do nich, gdy tylko kelner przyjął zamówienie. Nastia przez chwilę bała się, że będzie przesadnie uprzejmy i zacznie usilnie ich namawiać, żeby spróbowali różnych potraw i gatunków win, na które ona w ogóle nie ma ochoty, ale wszystko ograniczyło się do serdecznych życzeń oraz paru raczej subtelnych komplementów i zajęło najwyżej dziesięć minut, a skończyło się wręczeniem „prezentu od firmy” – małej kopii kolumny korynckiej wykonanej z czarnej i białej czekolady.

Nastia już miała zabrać się do bakłażanów z grilla na ostro, gdy zadzwonił Stasow. Zasięgnął informacji o mieszkającym w Soczi

doktorze Gulewiczu, tym samym, który próbował otworzyć gabinet detoksykacji i został ośmieszony, i dowiedział się, że w dniu zabójstwa Dmitrija Wasiljewicza Jewtiejewa Gulewicz był w Sankt Petersburgu na sympozjum, w dodatku wygłaszał tam odczyt. Nastia nawet nie poczuła się rozczarowana – coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że w Jużnomorsku nic nie wskóra.

– Będziemy musieli pojechać do Runowska, Stasow – oznajmiła szefowi. – Tutaj szanse są praktycznie zerowe, pozostały trzy osoby, które muszę znaleźć, ale to bardzo mało prawdopodobne, żeby wiedziały coś istotnego. Loszka uważa, że należy szukać w Runowsku.

– Loszka? – z powątpiewaniem zapytał Stasow. – A co ty o tym sądzisz?

– W pełni się z nim zgadzam – bez wahania odparła Nastia. – Wieczorem napiszę raport i ci go prześlę, sam zobaczysz.

– No dobrze, jedźcie – zezwolił Stasow.

Nastia i Aleksiej delectowali się smacznymi greckimi przystawkami, pili wino i omawiali sprawę doktora Jewtiejewa. Nastia chętnie podtrzymywała rozmowę, myśląc zarazem, że nigdy, niestety, nie ceniła tego, co miała. Loszka jest obok niej już od trzydziestu pięciu lat, mimo to nigdy się ze sobą nie nudzą, mają o czym rozmawiać i dyskutować, a teraz razem prowadzą sprawę i rozwiązują różne problemy. A przecież bardzo często się zdarza, że po wielu wspólnie spędzonych latach ludzie w ogóle ze sobą nie rozmawiają, nie mają o czym, z wyjątkiem codziennych spraw – co kupić, co ugotować, co obejrzeć w telewizji. Ależ ona jest głupia, że

wcześniej tego nie doceniała! Uważała, że to normalna rzecz, i nawet jej nie przyszło do głowy, że to szczęście, dar losu.

Nagle ogarnął ją zupełnie irracjonalny strach: a nuż wszystko się skończy? Loszka spotka jakąś ślicznotkę i rzuci żonę, która zdążyła mu się sprzykrzyć w ciągu trzydziestu pięciu lat. I nawet nie chodzi o to, że Nastia zostanie sama. Sęk w tym, że nie doświadczy już takiego szczęścia, nie dostanie podobnego prezentu od losu, bo przecież żeby zbudować takie relacje jak z Loszką, potrzeba czasu, owych trzydziestu pięciu lat, których ona nie ma. Wcale nie dlatego, że nie będzie tak długo żyła, ale dlatego, że w jej życiu pojawi się nowy człowiek, mający za sobą co najmniej pół wieku życia, z bagażem własnych doświadczeń i niepowodzeń. A Loszka żył własnym życiem zaledwie piętnaście lat, później wspólnie zdobywali doświadczenie i przeżywali wszystkie radości oraz niepowodzenia. Z tego wniosek, że Nastia już z nikim nie stworzy podobnego związku. Mają z Loszką nawet te same wspomnienia, przecież są razem od dziewiątej klasy, od dnia, w którym rozpoczęli naukę w szkole matematyczno-fizycznej i usiedli w jednej ławce. Nawiasem mówiąc, pierwszego września mija akurat trzydzieści pięć lat od dnia, kiedy się poznali i odkąd już się nie rozstali.

– Niedługo pierwszy września, Losza – mimo woli wyrwało się Nasti.

Z jakiegoś powodu była pewna, że Loszka jej nie zrozumie i była przygotowana, że będzie musiała niezdarnie się tłumaczyć z własnego sentymentalizmu. Ale mąż tylko uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Myślałem, że nie skojarzysz i sobie nie przypomnisz.

Właściwie Nastia ma spore szanse, żeby przeżyć z Czistiakowem kolejne trzydzieści pięć lat, tak samo szczęśliwych. Oboje skończą wtedy osiemdziesiąt pięć lat i o ile jeszcze pół roku temu ów wiek wydawał jej się w zasadzie nieosiągalny, o tyle po pobycie w starej posiadłości w Tomilinie i w mieszczącym się tam klubie „Złoty Wiek” radykalnie zmieniła swoje poglądy i zrozumiała, że jeśli podejść do problemu w odpowiedni sposób, osiemdziesiąt pięć lat to żaden wiek. Można bowiem zachować zdrowie oraz siły i nie utracić radości życia, należy tylko zawczasu się przygotować i zaczynać już teraz, póki nie jest późno. Trzeba o siebie dbać, regularnie odwiedzać lekarza, właściwie się odżywiać, gimnastykować i robić inne rzeczy, które podpowiadają mądrzy i doświadczeni ludzie... Te rady zawsze wydawały jej się w równym stopniu śmieszne, prymitywne, oczywiście co niewykonalne, ale teraz zaczęła się nad nimi zastanawiać. Właściwie nie jest rzeczą niemożliwą, żeby świętować siedemdziesięciolecie wspólnego pożycia, będąc w pełni władz umysłowych i ciesząc się w miarę dobrym zdrowiem.

Ta myśl sprawiła, że Nastia poczuła ciepło i spokój w sercu.

*

Linda Hasanowna z niepokojem spoglądała na Piotra, który składał telefoniczny raport szefowi. Sądząc z jego miny, szef był bardzo niezadowolony i robił jej ukochanemu Pietruszy jakieś ostre i przykre

uwagi.

– No i co? – rzuciła niecierpliwie, gdy skończył rozmawiać.

– Znowu dostałem reprimendę – odparł obojętnie. – Jego wysokość jest strasznie zły, że do tej pory nie dowiedzieliśmy się, o czym nasi goście z Moskwy gawędzili ze swoimi rozmówcami.

– Ale przecież mu tłumaczyłeś!

– No właśnie. Tylko co z tego? Nikt nie chce ponosić dodatkowych kosztów, wszyscy z jakiegoś powodu sądzą, że można działać starymi, wypróbowanymi metodami. Zawierać znajomość, zdobywać zaufanie i ciągnąć za język. Ale teraz te sztuczki nie działają. Tempo życia jest inne. Podczas gdy będziemy zawierać znajomości i zaskarbiać sobie zaufanie osób, z którymi kontaktują się moskwianie, zdążymy ich stracić z oczu i wszystko przegapimy. Dzisiaj byli już na pięciu spotkaniach i co teraz mamy zrobić? Rzucić się na pierwszego z brzegu figuranta i odpuścić sobie czterech pozostałych?

– A niech to licho porwie! – Linda westchnęła z irytacją. – Skąd jego wysokość ma takie wyobrażenie o naszej pracy? Dlaczego uznał, że dwie osoby mogą zdobyć informacje, których potrzebuje? To praca dla całego zastępu detektywów, w dodatku wyposażonych w sprzęt techniczny, a my oprócz komórek i aparatów fotograficznych nic nie mamy.

– Mamy jeszcze samochód – beznamiętnie poprawił ją Piotr. – Ale trafiłaś w samo sedno, wyobrażenia jego wysokości są raczej utopijne. Pewnie naoglądał się seriali o detektywach i myśli, że w życiu jest tak, jak pokazują w telewizji. Mogę pójść do toalety, Lindo Hasanowno?

– Możesz. – Kobieta skinęła głową. – Tylko wracaj prędko, nigdzie się nie zatrzymuj, bo oni mogą wyjść. Nie idź do restauracji, mogą cię zauważyć, idź lepiej do tamtej kawiarni.

– Ale tam nie wpuszczają osób z ulicy, kiedyś próbowałem, zażądają, żebym coś zamówił. – Piotr wykazał się znajomością miejskich realiów. – To nie miasto, ale prawdziwy labirynt: toalety trzeba się nieźle naszukać.

– No to zamów szklanek wody mineralnej i szybko wypij. Idź już, Pietieńka, nie marudź, oni już dość długo siedzą w „Afrodyce”, więc w każdej chwili mogą wyjść.

Linda popędzała swojego towarzysza nie bez powodu, jakby czuła, że czas nagli. Kamieńska i jej mąż (o tym, że są małżeństwem, powiedział Lindzie recepcjonista w hotelu „Rajski Zakątek”) pojawili się w drzwiach restauracji akurat w chwili, gdy Piotr wyszedł z kawiarni po drugiej stronie ulicy. Dał Lindzie znak, że ich widzi, po czym ruszył za nimi nieśpiesznym krokiem. Parę minut później Linda go dogoniła.

– A jednak facet jest bardzo interesujący – powiedziała, uważnie studiując Czistiakowa z tyłu. – Wygląda na swoje lata, ale starzeje się ładnie. Zauważyłeś, Pietrusza, że ludzie różnie się starzeją?

– Co ty wygadujesz! – zachnął się Piotr. – Wszyscy starzeją się jednakowo. Wszystkich dopada niemoc i choroby, nie ma innej starości. Wszystkim psuje się też charakter.

– Ależ skąd! – gorąco zaprzeczyła Linda. – Niektórzy robią się na starość wstrętni, ale inni odwrotnie, stają się bardziej interesujący,

niż byli w młodości. Na przykład ty, Pietieńka, będziesz się starzeć brzydtko.

– Niby czemu? – obruszył się Piotr.

– Bo jesteś niedobry, nikogo ci nie żal: ani bezdomnego kotka, ani dziecka, które się zgubiło. A Czisiakow jest bez wątpienia dobrym człowiekiem i dlatego tak doskonale się trzyma. Wiesz, na przykład, ile ma lat?

Piotr zamyślił się i mrużąc oczy, wbił wzrok w plecy Czisiakowa.

– Pewnie ze czterdzieści pięć, może nawet mniej. Siwe włosy zbijają mnie z tropu.

– A właśnie że nie – triumfalnym szeptem oznajmiła Linda. – Niedawno stuknęła mu pięćdziesiątka.

Linda Hasanowna nie miała jeszcze czterdziestu lat, więc pięćdziesiątka wydawała jej się przekroczeniem progu czyhającej starości.

– Zobacz tylko, jak on wygląda – ciągnęła podekscytowana. – Jak się prosto trzyma, jaki ma chód! A uśmiech! Od jednego jego uśmiechu można zwariować! A ta podstarzała flądra nie zasługuje na to, żeby z nim być. Nie rozumiem, jak on mógł się z nią ożenić? Po co?

– Co ci się w niej nie podoba?

– Nikogo jej nie żal, jest bezwzględna – powtórzyła Linda to, co mówiła przedtem. – I oczy ma takie, że od razu widać: myśli tylko o pracy.

– A o czym według ciebie należy myśleć? – z uśmiechem zapytał Piotr. – Może o miłości?

– No oczywiście! Tylko o niej warto myśleć, tylko miłość ma znaczenie, to najważniejsza rzecz w życiu! Gdy człowiek jest pozbawiony miłości, to znaczy, że w ogóle niczego nie ma, jest goły jak święty turecki. Zobacz, skręcają w Bielińskiego. Jak myślisz, dokąd idą?

– Na pewno nie do hotelu, od tej strony nie da się przejść na Korolenki. A więc na kolejne spotkanie. Że też nie mają dosyć włóczenia się po domach! Mogliby gdzieś pojechać i się trochę rozerwać! My też wzięlibyśmy wtedy samochód, bo cały dzień jesteśmy na nogach, od chodzenia niedługo zedrzymy podeszwy – burknął Piotr.
– Zrobiły mi się już odciski.

– Odciski? – Linda drgnęła. – Tam jest apteka, Pietrusza, zaraz pobiegnę i kupię ci plaster, oni idą spacerkiem, więc zdążę was dogonić.

Rzuciła się przed siebie i Piotrowi ledwie udało się ją powstrzymać.

– Dokąd cię niesie? Zapomnij o aptece, idziemy dalej, noga za nogą.

– Jak to zapomnij! – zaprotestowała. – Przecież na pewno cię boli, Pietrusza. Jeżeli zaraz nie nakleisz plastra, będzie jeszcze gorzej. Nie, nie, leczę.

Wyrwała rękę i popędziła w stronę apteki. Miała sporą nadwagę, więc biegła ciężko, ale za to szybko. Parę minut później dogoniła Kamieńską i Czistiakowa, którzy oddalili się już spory kawałek, oraz Piotra trzymającego się jakieś dwadzieścia metrów z tyłu za nimi.

– Kupiłam! – oznajmiła radośnie. – Jak trafi się wolna chwila, zdejmiesz buciki i zakleisz odciski. A wieczorem nałożę ci specjalną

maść, bardzo dobrą, na pewno pomoże, rano nóżki będą jak nowe.

– Mówisz do mnie jak do dziecka – mruknął Piotr z niezadowoloną miną, chowając opakowanie plastrów do kieszeni.

– A według ciebie jak mam z tobą rozmawiać? – odparła Linda ze zdziwieniem. – Sam w ogóle o siebie nie zadbasz. Masz obtarte nogi, a nie przyjdzie ci do głowy, żeby zakleić je plastrem, czekasz, aż wszystko kupię i załatwię. Jesteś moim ukochanym dzieckiem – dodała czule, całując go w skroń.

Linda Hasanowna była prawie o głowę wyższa od swojego towarzysza, więc musiała nieco się schylić, żeby go pocałować. Jednakże różnica wzrostu i wagi nigdy obojgu nie przeszkadzała.

*

Sorokinowie nie odkładali wyjazdu za miasto do pracowni Borisa Krotowa i udali się tam nazajutrz po otrzymaniu zaproszenia. Wilen Wiktorowicz miał co prawda wątpliwości, czy wypada zjawiać się u malarza tak prędko i czy to nie zakrawa na natręctwo i bezceremonialność, ale Angelina Michajłowna była pewna swego i oznajmiła, że jeśli Wila nie chce po raz kolejny wysłuchiwać połajanek od Kramariewa za brak postępów, muszą zapomnieć o dobrym wychowaniu i zająć się pracą. W gruncie rzeczy chodziło o to, że Wilen Wiktorowicz nie miał najmniejszej ochoty jechać tak daleko. No i nie było tam nic do oglądania, w końcu to nie Rembrandt.

– Jak się tam dostaniemy? – zapytał zrzędlawie Sorokin. –

Będziemy musieli tłuc się kolejką, dzisiaj piątek, wszyscy wyjeżdżają za miasto, więc w pociągach panuje straszliwy ścisk i duchota. Musiałaś umawiać się z nim akurat na dzisiaj? Wystarczyłoby na poniedziałek.

– Weźmiemy taksówkę i z łatwością dotrzemy na miejsce. Nie stwarzaj problemów tam, gdzie ich nie ma, Wila.

– A jak wrócimy? Gdzie w tej głuszy złapiemy taksówkę do Moskwy? Uprzedzam cię, że nie zamierzam zatrzymywać przypadkowego kierowcy, doskonale wiesz, że można trafić na bandytę albo dyletanta. Albo nas obrabują, albo zginiemy w wypadku.

– Z powrotem, Wileńka, pojedziemy kolejką. Wszyscy będą jechać za miasto, a my w przeciwną stronę. – Angelina uśmiechnęła się pojednawczo. – Nie szalej, zjedz śniadanie, a ja zadzwonię po taksówkę.

Wbrew oczekiwaniom miejscina, w której mieszkał przybrany syn Gusarowów, okazała się cywilizowana i położona niedaleko obwodnicy, w każdym razie na pewno nie była to głusza. Sorokinowie bez trudu znaleźli dom – Aleksander bardzo dokładnie wytłumaczył im drogę.

Drzwi otworzyła im tęga, dorodna kobieta z nieźyczliwą, ale ładną twarzą.

– Proszę do salonu – powiedziała surowo. – Pan uprzedzał, że państwo przyjadą. Trzeba trochę poczekać, bo jeszcze pracuje.

Sorokinowie weszli onieśmieleni do niedużego pokoju z kwadratową, niską ławą i miękkimi fotelami. Na środku ławy

umieszczony był półmisek z owocami, a obok niego talerzyki z eleganckim wzorem i sztukce.

– Niech się państwo częstują owocami – tak samo surowo poleciła pomoc domowa. – Podać kawę czy herbatę?

– Dziękujemy, nie trzeba – zaczął Wilen Wiktorowicz, ale Angelina Michajłowna mu przerwała.

– Jeśli można, napilibyśmy się herbaty. Ale nie chcemy robić pani kłopotu, moja droga. Może pójdę z panią do kuchni i pomogę? Jak mam się do pani zwracać?

Twarz kobiety złagodniała i pojawił się na niej szeroki, dobroduszny uśmiech.

– Oksana. Jaki tam kłopot, to przecież moja praca, za to mi płacą.

– Oksana – powtórzyła z rozmarzeniem Angelina Michajłowna. – Co za piękne imię!

Przysunęła się do pomocy domowej i zniżyła głos niemal do szeptu.

– Muszę pani wyznać, Oksano, że mam bzika na punkcie gotowania i zbieram różne przepisy. Może mogłaby mi pani pokazać, co i jak pani gotuje, a ja sobie zapiszę. Doskonale wiem, że kuchnia to święte miejsce dla każdej gospodyni, ale bardzo panią proszę, żeby się pani podzieliła ze mną swoimi sekretami. Dobrze znam rodziców Borisa, nieraz mi mówili, że odkąd pani u niego pracuje, zaczął lepiej wyglądać i zupełnie przestał się uskarżać na bóle żołądka. Chyba pani zauważyła, że mój mąż nie jest już pierwszej młodości, więc jego zdrowie jest dla mnie najważniejsze. Proszę mi dać swoje przepisy, błagam panią.

Angelina kłamała jak najęta, Gusarowowie nic podobnego jej nie mówili, w ogóle nie wspominali, że ich syn Aleksander zatrudnia pomoc domową. No i nie było mowy, rzecz jasna, o żadnych bólach żołądka. Angelina musiała jednak koniecznie zaprzyjaźnić się z Oksaną, przecież pomoce domowe wiedzą czasem o swoich pracodawcach mnóstwo ciekawych rzeczy.

Chwilę później już stała przed otwartą lodówką w kuchni Borisa Krotowa i drobnym, wyraźnym pismem notowała na wyrwanej z zeszytu kartce nazwy i przepisy potraw, które prezentowała jej Oksana: tort serowy, rybę po grecku, zupę gazpacho na zimno i rozmaite przekąski.

– Prawdziwa z pani mistrzyni, Oksanoczko. – Angelina Michajłowna wzdychała z zachwytem. – Ile potraw, cóż za różnorodność! Że też znajduje pani czas na to wszystko? Przecież musi pani jeszcze sprzątać, a dom nie jest mały. Chyba że sprzątaniem zajmuje się kto inny?

– Niby kto? Sprzątam sama, nie ma nikogo innego – odparła zdziwiona Oksana. – Pan nie lubi obcych w domu, za nic nie weźmie drugiej pomocy domowej.

– Chyba pani ciężko, przecież to mnóstwo pracy... – ze współczuciem stwierdziła Angelina. – No i musi pani pewnie znosić humory Borisa. Przecież on jest w gorącej wodzie kąpany, przekonałam się o tym na własne oczy. Pewnie często panią wyzywa, jeśli coś pani zrobi nie po jego myśli?

– No – Oksana zmieszała się i spuściła oczy – żeby zaraz wyzywał,

to nie, po prostu powie spokojnym głosem i milczy, a to jeszcze gorzej. Lepiej by było, gdyby wyzywał i krzyczał, a nie milczał jak grób.

– Ciekawe, z czego bywa niezadowolony? – niewinnym głosem zainteresowała się Sorokina, zbliżając się z wolna do najważniejszego pytania. – Przecież na pewno nie kradnie pani jedzenia czy pieniędzy. I gotuje pani smacznie, stwierdziłam to po zapachu, chociaż niczego nie próbowałam. Może źle pani prasuje koszule? Albo sprząta niestarannie? Bo wie pani, bywają ludzie, którzy zabraniają czegokolwiek dotykać albo otwierać jakieś szafy, a później krzyczą, że pełno tam kurzu albo że nie jest posprzątane. A jak wycierać kurz i sprzątać, skoro nie wolno niczego ruszać?

Angelina skończyła swoją tyradę i zamarła w oczekiwaniu na reakcję. Zaraz Oksana skwapliwie pokiwa głową i powie, że Boris nie pozwala jej ruszać na przykład szkatułki w sypialni albo otwierać szuflady w biurku, albo przestawiać jakiegoś przedmiotu w pracowni. I od razu będzie wiadomo, że to, na czym tak zależy Maksimowi Kramarielowi, znajduje się właśnie tam. A już jak to zdobyć – nad tym niech Maksim sam sobie łamie głowę.

Czekało ją jednak rozczarowanie. Oksana nie podjęła tematu.

– Ależ skąd, co też pani mówi, mój pan nie jest taki. Niczego mi nie zabrania, mogę wszystko ruszać i przestawiać. Niech pani zobaczy, został mi z wczoraj keks z morelami, chce pani spróbować? Jak będzie smakował, dam pani przepis. Pan zabrania podawać gościom wczorajsze potrawy, więc do herbaty będą drożdżówki, które dzisiaj upiekłam, a keks proszę spróbować teraz.

Angelina Michajłowna musiała spróbować keks, który wydał jej się zbyt mdły, ale pochwaliła nieszczerze wypiek i posłusznie zapisała, czego musi dodać do ciasta, żeby było pulchne, a upieczony keks miał ładny żółto-różowy kolor.

Później razem z Wilenem Wiktorowiczem pili herbatę, jedli drożdżówki i czekali, aż Boris skończy pracę i wyjdzie z pracowni.

W końcu się pojawił i przywitał z gośćmi serdecznie.

– Przepraszam, że musieliście państwo czekać, sądziłem, że przyjdziecie później, po południu.

Sorokinowie zaczęli go zgodnie zapewniać, że wszystko w porządku, że czekają niedługo i w ogóle doskonale rozumieją, że malarz jest twórcą, a procesu twórczego nie da się z góry zaplanować i nie wolno go przerywać. Tym bardziej że niektóre prace wiszące w salonie już obejrzeni, więc nie zmarnowali czasu.

– W takim razie chodźmy do pracowni, pokażę państwu coś jeszcze – zaproponował Boris.

Pracownia wydała się Sorokinom naprawdę ogromna, mieściło się w niej mnóstwo prac.

– Chyba nie będę państwu potrzebny? – uprzejmie zapytał malarz.
– Proszę się rozejrzeć, a ja pójdę napić się kawy.

– Oczywiście, Saszeńka, niech pan idzie – odparła Angelina Michajłowna. – A może w tym domu powinnam nazywać pana Borisem?

– To bez znaczenia. – Krotow wzruszył ramionami. – Proszę mnie nazywać, jak państwu wygodnie.

Gdy Sorokinowie zostali sami w pracowni, zabrali się do oglądania licznych portretów.

– Spójrz tutaj, to Lew Siergiejewicz. – Wilen Wiktorowicz pokazał nieduże płótno w prostej ramie. – Zdumiewająco podobny.

– A tutaj Lusia. – Angelina Michajłowna skinęła na męża. – Podejdź i zobacz, moim zdaniem jest zupełnie niepodobna. A może się mylę i to wcale nie Lusia?

Sorokin rzucił okiem na portret i kiwnął głową z uznaniem.

– Oczywiście, że Ludmiła Leonidowna. Według mnie nie ma żadnych wątpliwości.

– Ale przecież nie jest podobna!

– No co ty, Gelu, portret bardzo wiernie oddaje jej naturę i charakter. Przypatrz się uważnie.

– Nie jestem pewna. – Angelina z urazą zacisnęła usta. – Ty oczywiście wiesz lepiej, bo spędzasz z Lusią więcej czasu niż ja i pewnie bardzo dokładnie ją sobie obejrzałeś.

Nie udało jej się ukryć zazdrości, co zirytowało Wilena Wiktorowicza. Nigdy, ani razu przez wszystkie spędzone wspólnie lata, nie zdradził żony i nie dawał żadnych powodów do zazdrości. Myśl o ewentualnej niewierności seksualnej budziła w nim wstręt, więc nie znosił, gdy ktoś próbował go posądzić o ten odrażający czyn.

Angelina Michajłowna zauważyła oczywiście wzburzenie męża i postanowiła załagodzić sytuację.

– A jednak, Wila, przyznasz chyba, że chłopak jest szalenie utalentowany, to prawdziwy samorodek.

– Nie widzę w nim nic szczególnego – mruknął Wilen Wiktorowicz.

– Jest sprawnym rzemieślnikiem i to wszystko.

– Ale przecież sam powiedziałeś, że istota charakteru Lusi została oddana bardzo wiernie – przygadała mu Angelina. – To twoje słowa.

– I się z nich nie wycofuję. No dobrze, przyznaję, że Aleksander rzeczywiście potrafi uchwycić charakter modelu na płótnie, ale to świadczy tylko o tym, że jest zdolnym psychologiem. Może powinien być zostać psychologiem albo psychoanalitykiem, w tej dziedzinie osiągnąłby o wiele więcej. A on zadaje się z bandziorami. Nie da się pogodzić prawdziwej twórczości z działalnością przestępczą.

– Ciszej – syknęła żona – bo jeszcze usłyszy! Nie możemy przecież wiedzieć o bandziorach, tylko Maksim nam o tym wspominał. A w ogóle dosyć tego sterczenia tutaj, chodźmy do niego, spróbujemy porozmawiać.

Opuścili pracownię i znaleźli Borisa w salonie. Mężczyzna pił kawę i przeglądał gazety.

– Dziękujemy, Saszeńka, to była wielka przyjemność – zagruchała Angelina Michajłowna. – Maluje pan cudowne portrety. Spodobała nam się zwłaszcza Lusieńka, jej charakter widać jak na dłoni. Lew Siergiejewicz też wyszedł znakomicie, jest jak żywy na portrecie. Proszę powiedzieć, Sasza, ile miał pan lat, gdy umarła pańska mama?

Mało brakowało, żeby powiedziała: „gdy zabito pańską mamę”, ale w samą porę ugryzła się w język.

Boris posłał jej niechętnie spojrzenie i od razu odwrócił głowę.

– Niewiele – odparł krótko i wrócił do wertowania gazety, całym

swoim wyglądem dając do zrozumienia, że nie zamierza podejmować tematu. Ale Angelina Sorokina nie pozwoliła się łatwo zbyć.

– Nie pytam z czystej ciekawości, Sasza. Dobrze pan pamięta, jaka ona była? Pamięta pan jej twarz?

– Owszem.

– Maluje pan jej portrety? Są w pracowni?

– Nie.

– Dlaczego, Saszeńka? Nie chce pan uwiecznić mamy? Pana już nie będzie, a portret będzie wisiał w jakiejś galerii albo w prywatnej kolekcji i wszyscy będą wiedzieli, że to portret pańskiej matki...

– Wystarczą mi zdjęcia mamy – oschle przerwał jej malarz.

– Ma pan jej zdjęcia? – Angelina się ożywiła. – Może je pan pokazać? Bardzo chciałabym zerknąć na pańską mamę.

Boris obrzucił Angelinę tak lodowatym spojrzeniem, aż dreszcz przeszedł jej po plecach.

– Po co? – zapytał. – Czemu interesują panią zdjęcia mamy?

Angelina spojrzała błagalnie na męża, ale Wiktor Wiktorowicz oglądał z obojętną miną wiszący na ścianie portret chłopca na oko dwunastoletniego z brązowo-czerwonym kogutem w rękach. Na twarzy wyrostka malowała się złość, a kogut wyglądał tak, jakby miał lada chwila wyrwać mu się z rąk i dziobnąć go w ramię. Obraz wywoływał mimo woli uśmiech na twarzy patrzącego.

– Nie rozumie pan tego, Sasza, bo jest pan jeszcze bardzo młody – odparła Angelina z wyrzutem. – Gdy będzie pan w naszym wieku, zrozumie pan naszą ciekawość i zainteresowanie osobami, które

odeszły młodo. Zdaje się, że pańska mama była bardzo młoda, gdy umarła? Minęło wiele lat i zostały po niej tylko zdjęcia...

Angelina umilkła, nie wiedziała, co jeszcze powiedzieć, i była zła na Wilena, że wcale jej nie pomaga, odwrócił się i milczy, jakby go to nie dotyczyło. A przecież to ich wspólny interes.

– Angelina Michajłowna ma rację – odezwał się nagle Wilen Wiktorowicz, wciąż się nie odwracając i nie spuszczać oczu z portretu. – W naszym wieku człowiek zaczyna przywiązywać szczególne znaczenie do śladów, które zostawia po sobie zmarły. Gdy ktoś odchodzi, zostają po nim nie tylko zdjęcia, ale też książki, które czytał, ubrania, które nosił, fotel, w którym siedział. Zostaje mnóstwo rzeczy, których dotykał, które trzymał w rękach i które noszą na sobie jego piętno, jego aurę. To bardzo ważne i poruszające. Z czasem pan zrozumie.

– Możliwe. – Boris wzruszył ramionami. – Jeśli państwo są rzeczywiście ciekawi, przyniosę zdjęcia mamy. Trzymam je na górze, w sypialni.

Wstał i ruszył w stronę schodów prowadzących na piętro.

– Co tak milczysz jak grób? – syknęła na męża Angelina Michajłowna. – Całe szczęście, że przynajmniej w ostatniej chwili się zreflektowałeś. Ja tutaj stoję na rzęsach, dwoję się i troję, wymyślam na poczekaniu historyjki, improwizuję, a ty oglądasz obrazki i w ogóle mi nie pomagasz. Czy tylko mnie ma na tym zależeć? Ty też musisz się włączyć.

– To mi się nie podoba – wyniośle oświadczył Wilen Wiktorowicz. –

Nie jestem klaunem w cyrku, żeby improwizować na poczekaniu i brać udział w niedorzecznych przedstawieniach.

Musieli przerwać sprzeczkę, ponieważ Boris wrócił z dwoma zdjęciami. Jedno z nich było w oszklonej ramce. Sorokinowie długo i uważnie przyglądali się ładnej twarzy młodej kobiety z jaskrawym, a nawet wyzywającym makijażem, w jasnofioletowej sukni z cienkiej dzianiny, z dużymi, niewiarygodnie różowymi kolczykami w formie kół z masy plastycznej w uszach. Na drugim zdjęciu, tym bez ramki, ta sama kobieta była umalowana o wiele subtelniej, ale miała na sobie zbyt dużo biżuterii.

– To zabawne – mruknęła Angelina Michajłowna. – Już zapomniałam, że kiedyś była moda na biżuterię z masy plastycznej i fioletowe cienie do oczu. To przecież było bardzo dawno temu, prawda, Saszeńka? Pewnie w połowie lat osiemdziesiątych, jeśli mnie pamięć nie myli.

– Nie myli – sucho potwierdził Boris. – Zdjęcie zostało zrobione w osiemdziesiątym piątym roku.

– Emanuje takim spokojem. – Wilen Wiktorowicz pokiwał głową. – Nikt by nie pomyślał, że tę kobietę czeka śmierć w młodym wieku. A powiadają, że ludzie przeczuwają swój koniec i właśnie na zdjęciach widać to szczególnie wyraźnie. Zostało coś jeszcze po pańskiej mamie? Jakieś rzeczy, listy, drobiazgi?

– Nic więcej. Skoro zaspokoilem państwa ciekawość, wrócę do pracy, jeśli łaska, moja przerwa dobiegła końca.

Wypraszano ich tak jawnie, że nie sposób było tego nie zauważyć.

Sorokinowie podziękowali malarzowi za możliwość zapoznania się z jego pracami, za gościnność oraz za herbatę i drożdżówki, po czym ruszyli na stację, która znajdowała się w odległości niespełna dwudziestu minut marszu.

– Trudno powiedzieć, żeby ten Sasza czy Boris był dobrze wychowany – gderał po drodze Sorokin. – To jakiś mruk, bez przerwy trzeba go ciągnąć za język. I znowu niczego się nie dowiedzieliśmy.

– Nie masz racji – zaproponowała Angelina Michajłowna. – Dowiedzieliśmy się, że po jego matce nie zostało nic prócz zdjęć. To znaczy, że Boris nie ma tej rzeczy, której szuka Maksim. Ona po prostu nie istnieje.

Wilen Wiktorowicz zatrzymał się i ze zdumieniem spojrzał na żonę.

– I ty mu wierzysz? Powiedział, że oprócz zdjęć nic nie ma, a ty uważasz, że to święta prawda? Nie poznaję cię, Gelu. Odkąd to stałaś się tak łatwowna?

– Nie jestem łatwowna, tylko znam się na ludziach i widzę, że Sasza nie kłamie.

– Patrzcie ją, ona widzi! A ja na przykład nic nie widzę i nie wierzę w ani jedno jego słowo. Ten malarz, nie wiadomo Sasza czy Boris, jest nie w ciemną bitą. Nieskory do rozmowy, skryty, źle wychowany. Nie, Gelu, mów, co chcesz, ale ja mu nie wierzę. I sądzę, że nasza wyprawa nic nie dała.

– A właśnie że dała! Byliśmy w jego domu, oglądaliśmy obrazy, zobaczyliśmy zdjęcia matki, więc teraz będziemy mieli temat do pogawędki z Gusarowami. Damy radę, Wila, czuję, nie – jestem

pewna, że wszystko nam się uda, i to już niedługo. Długo dreptaliśmy w miejscu, ale teraz sprawa ruszyła do przodu, przecież jeszcze trzy dni temu nie mogliśmy porozmawiać z Gusarowami o Saszy, nie mieliśmy powodu, a teraz powodów jest bez liku, możemy nawet zapytać o Łarisę.

– Tylko nie zapominaj, że nie wiemy, jak ona się nazywa – surowo przypomniał żonie Wilen Wiktorowicz. – Ani Gusarowowie, ani Aleksander ani razu nie wymienili jej imienia. Boże, cóż to za korowody – wiedzieć wszystko i wciąż udawać, że się nie ma o niczym pojęcia, i czekać, aż ktoś coś powie, i ciągle uważać, żeby się nie pomylić, co się usłyszało, a co się i tak wie. Rozum się od tego miesza!

Na peronie kupili bilety i wsiedli do kolejki, na którą nie czekali długo, najwyżej dziesięć minut. W wagonie było w miarę luźno, tak jak przewidywała Angelina Michajłowna, więc bez problemu znaleźli miejsca przy oknie naprzeciw siebie.

*

Boris odprowadził gości i od razu poszedł do sypialni. Zdjęcie w ramce powiesił na ścianie, a drugie umieścił na półce z książkami za szybą. Ciężko opadł na łóżko i wyjął z kieszeni dzinsów złożoną we dwoje kopertę. Z dzisiejszą pocztą przyszedł jeszcze jeden list, już trzeci. Koperta była otwarta – Boris przeczytał list, podczas gdy goście byli w pracowni, a teraz zrobił to ponownie. Tym razem nieznanemu autorowi listu wymieniał konkretną sumę, którą Krotow miał zapłacić, gdyby chciał

poznać szczegóły zabójstwa matki. Khan miał rację. Boris był teraz gotów oddać każde pieniądze, byle się tylko dowiedzieć, co kryje się za listami.

Jego wzrok zatrzymał się na twarzy matki uśmiechającej się ze zdjęcia i znowu stanęły mu przed oczami makabryczne obrazy: mama miota się po pokoju, próbując ukryć się przed pijanym Stiecenką... czołga się po podłodze w stronę drzwi, wszędzie jest krew, pełno krwi... mama leży w przedpokoju, przykryta prześcieradłem, a wokół stoją obcy ludzie, którzy coś robią i zapisują...

Boris potrząsnął głową, odpędzając wspomnienia, i wyciągnął komórkę z kieszeni koszuli. Musi zadzwonić do Khana.

– Dostałem trzeci list – oznajmił.

– I co w nim jest? Znowu tylko aluzje czy mowa już o pieniądzach?

– Pojawiły się pieniądze.

– Suma jest duża? – zainteresował się Khan.

– Duża. Ale jestem w stanie zapłacić. Sądzisz, że powinienem się zgodzić?

– Na to jeszcze za wcześnie. Zaczekaj, aż przyjdzie następny list z konkretnymi wskazówkami, co masz zrobić, jeśli chcesz zapłacić. Wtedy się zastanowimy.

– Wszystko wiesz z góry. – Boris westchnął z niedowierzaniem.

– To przecież klasyka, mój przyjacielu. – Alek pierow się roześmiał.

– Ja też mam dla ciebie nowiny. Spotkałem się ze śledczym prowadzącym kiedyś sprawę karną, z której wyparował Stiecenko. Co prawda staruszek goni w piętę, więc nie jestem pewien, czy można

mu wierzyć, ale to, co powiedział, wydaje się ciekawe. Gdzie teraz jesteś?

– W domu.

– Nie wybierasz się czasem do Moskwy?

– Co mają do tego moje plany, Khan? Powiedz wprost, kiedy mam być, to będę.

– Świetnie. Przeanalizuję swój grafik na najbliższe dni i zadzwonię, pasuje?

– Będę czekać.

Tego dnia Boris nie potrafił wrócić do pracy. W uszach słyszał wciąż głosy dzisiejszych gości, debatujących o śladach, które zostawiają zmarli, i o przeczuciu rychłej śmierci. Co chwila wchodził do sypialni, wpatrywał się w zdjęcia matki i obracał je w rękach. Ale nic nie widział. I nie czuł.

*

Ardajew szedł za Sorokinami i zgrzytał zębami ze złości. Przyjechał za nimi samochodem z Moskwy, a teraz wyglądało na to, że para zamierza wrócić kolejką podmiejską. Ma więc zostawić tu swój drogi wóz tylko po to, żeby podsłuchać, o czym będą rozmawiali w wagonie? Stary Sorokin chyba jest przygłuchy, żona mówi do niego głośno, więc Ardajew, idący parę kroków z tyłu, doskonale słyszy każde słowo. A może ona ma taki sposób mówienia? W pociągu pewnie nie będzie krzyczeć, ale to nic, w wagonie uda się podkraść bliżej.

Ardajew miał dosyć niejasnej sytuacji, więc postanowił sam przyjrzeć się Sorokinom. Dlaczego tak długo się guzdrzą z prostym zadaniem? Może są gapiowaci? Albo prowadzą podwójną grę? Ile można się grzebać?

Obserwował Sorokinów już drugi dzień, wczoraj byli na jakiejś nieciekawej wystawie i udawali koneserów sztuki, a dzisiaj rano pojechali taksówką za miasto. I kto by pomyślał? Prosto do Borisa Krotowa. No dobrze, byleby tylko zajęli się robotą.

Po drodze z domu Borisa na stację Ardajew przysłuchiwał się ich rozmowie i zastanawiał, co powinien zrobić. Jeżeli na peronie będzie dużo ludzi, ma sporą szansę, że uda mu się przysunąć bliżej i Sorokinowie go nie zauważą. Tylko gdzie znaleźć bezpieczne miejsce, żeby zostawić samochód? Cholera, co robić?

Ale na peronie nie było tłumu, każdy pasażer rzucał się w oczy, więc problem się rozwiązał. Ardajew przestudiował rozkład jazdy. Najbliższy pociąg do Moskwy odjedzie za dwanaście minut. Mężczyzna rozejrzał się i zobaczył parę zaparkowanych aut czekających na pasażerów z moskiewskiego pociągu.

Niedługo potem już siedział obok kierowcy i osiemnaście minut później wchodził po schodach na peron następnej stacji położonej na trasie do Moskwy. Akurat pokazał się pociąg, którym jechali Sorokinowie. Wnioskując z tego, gdzie stali, mieli miejsca w czwartym wagonie. Nie mylił się, Angelina Michajłowna i Wilen Wiktorowicz byli pochłonięci rozmową, więc nie zwrócili najmniejszej uwagi na niepozornie ubranego niemłodego mężczyznę, który wsiadł na kolejnej

stacji i zajął miejsce za plecami Angeliny.

Ardajew przejechał jeszcze dwie stacje, wysiadł z wagonu, przeszedł na drugą stronę peronu i pojechał z powrotem, do osady, w której mieszkał Boris Krotow i w której zostawił samochód. Cóż, na Sorokinów nie może liczyć. To spokojni, inteligentni zjadacze chleba, niezdolni do podjęcia ryzyka ani do improwizacji. Musi przejąć inicjatywę, w przeciwnym razie sprawa nigdy nie ruszy z miejsca.

ROZDZIAŁ 11

Minęły trzy dni, Walentyna sumiennie chodziła na miejsce spotkania z Gaszynem, ale Sławomir Iljicz ani razu nie pojawił się w lesie, na ścieżce czy przy zwalonym drzewie. Obraził się na mnie, uznała Walentyna, dlatego nie przychodzi. Ale nie może przecież siedzieć w czterech ścianach całymi dniami, gdzieś pewnie spaceruje, trzeba się tylko dowiedzieć gdzie.

Była sobota, Nina Siergiejewna miała wolne, rano Walentyna pomogła jej posprzątać, zrobiła zakupy dla dwóch osób i podczas gdy kobieta gotowała dla siebie rybę i ziemniaki, ona zajęła się duszeniem warzyw na dużej patelni. Po obiedzie znowu poszła na spacer do lasu, upewniła się, że Gaszyn się nie zjawił, i postanowiła zapytać o niego ogrodniczkę Kramariewów. Znalazła ją w zaimprovizowanym laboratorium – odprawiała czary nad jakimiś nawozami.

– Co słyhać u Sławomira Iljicza? Nie jest czasem chory? Przedtem spotykałam go codziennie na spacerze, a teraz waszego naukowca ani widu, ani słyhu. Jest aż tak zapracowany? – zapytała Walentyna jak gdyby nigdy nic.

Nina Siergiejewna odwróciła się od probówek, zdjęła okulary i spojrzała na nią z kpina.

– Waleczko, moje dziecko, po co udajesz, że jest ci wszystko jedno?

Romans ze Sławomirem masz wypisany na twarzy. Czyżbyś nie wiedziała, że on już nie mieszka u Kramariewów?

– Jak to nie mieszka? – Walentina aż straciła oddech. – A gdzie się przeprowadził?

Nina Siergiejewna wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Byłam pewna, że o tym wiesz. Czyżby twój ukochany wyjechał i nic ci nie powiedział?

Walentina milczała przybita.

– A więc nie powiedział – wywnioskowała Nina Siergiejewna. – Wygląda na to, że skończył pracę, przekazał Maksimowi Witaljewiczowi dokumentację i się ulotnił. Nawet do ciebie nie zadzwonił, żeby się pożegnać?

– Nie – wybąkała Walentina, z trudem poruszając zaschniętymi wargami.

– No to sama do niego zadzwoń.

– Nie znam numeru, nie dał mi swojego telefonu, a o mój nie pytał. Po co? Przecież codziennie się widywaliśmy, spacerowaliśmy razem...

W tym momencie Walentina się rozpląkała. Co to ma znaczyć? Dlaczego? Dlaczego znajomość, która zaczęła się tak pięknie i romantycznie, skończyła się tak głupio, i w dodatku nagle? Gaszyn rozgniewał się za nią za kłamstwo, obraził, ale przecież każdy żal kiedyś przemija, najważniejsze, że on jest tutaj, obok, po drugiej stronie szosy, więc była pewna, że prędzej czy później się spotkają, wtedy ona go przeprosi, jeszcze raz wszystko wytłumaczy, a on na pewno jej wybaczy i wszystko się ułoży, znowu będą razem...

Tymczasem okazało się, że wyjechał, i zupełnie nie wiadomo, gdzie go teraz szukać. A szukać trzeba koniecznie, przecież są z Walentyną bratnimi duszami i to doprawdy zbrodnia, żeby mieli stracić się z oczu z powodu idiotycznego nieporozumienia, przecież jej kłamstwo nie wynikało ze złego zamiaru albo chęci osiągnięcia korzyści.

Nina Siergiejewna patrzyła w milczeniu na szlochającą Walentynę i nie próbowała jej uspokoić ani pocieszyć.

– Idź do siebie i się dobrze wypłacz – powiedziała w końcu. – Później porozmawiamy, jeśli będziesz miała ochotę.

Walentyna wybiegła z pokoju, wpadła do siebie i rzuciła się na łóżko. Miała wrażenie, że poduszka pachnie jeszcze włosami Sławomira, a prześcieradło zachowało ciepło jego gładkiego, smagłego ciała. No dlaczego, dlaczego tak się stało? Dlaczego nie potrafi ułożyć sobie życia z żadnym mężczyzną? Dlaczego wciąż czuje się jak ofiara losu i nikomu nie jest potrzebna? Dziesięcioletni romans z żonatym dyrektorem NII, podczas którego codziennie czekała, aż kochanek się jednak zdecyduje i odejdzie od żony. Zrobiła dwie skrobanki, nie urodziła dziecka w związku pozamałżeńskim, chciała, żeby wszystko było jak u innych, żeby był ślub, biała suknia, kwiaty i szanowana rola ciężarnej mężatki. Nic z tego nie wyszło. Dyrektorowi nie zależało na niej aż tak, żeby miał zniszczyć swoje spokojne, wygodne i poukładane życie.

Gdy zachorował ojciec, Walentyna skupiła na nim całą uwagę, zrezygnowała nawet ze spotkań z dyrektorem. W tamtym czasie oddaliła się również od koleżanek, przestała je odwiedzać i zapraszać,

chodzić z nimi na kawę do cukierni i spacerować po deptaku, ponieważ każdą wolną chwilę poświęcała Dmitrijowi Wasiljewiczowi. Mimo że ciężko jej było patrzeć na powolne gaśnięcie ojca, dwa lata jego choroby napełniły jej życie treścią i były szczęśliwe, jakkolwiek okropnie to brzmiało: czuła się potrzebna i kochana. Gdy ojca zabrakło, znowu musiała wrócić do roli nikomu niepotrzebnej i samotnej kobiety. Ani kochanka, ani koleżanek. Tylko praca i pusty dom. Brat Żenia od dawna miał swoje życie, pełne trosk i problemów niezrozumiałych dla Walentyny. Kochał, rzecz jasna, siostrę, był gotów wspierać ją materialnie, ale brakowało mu czasu i sił, żeby się do niej zbliżyć.

I oto w jej życiu zjawił się Sławomir, niepodobny do innych mężczyzn, z dużym doświadczeniem, niespotykaną wrażliwością i nieszablonowym myśleniem. W dodatku przystojny jak marzenie! Walentyna była gotowa zapomnieć o bożym świecie i dać się ponieść uczuciu do Gaszyna, mogłaby, na nic się nie oglądając, ruszyć za nim choćby na drugą półkulę i wszystko zostawić, przestała ją nawet zajmować sprawa, dla której przyjechała do Moskwy, w każdym razie przez ostatnie sześć dni ani razu nie zadzwoniła do Stasowa i nie zainteresowała się postępami w dochodzeniu, które zleciła. Sławomir nadał jej życiu nowy sens i rozbudził nadzieję, już się widziała w marzeniach u jego boku w dalekiej przyszłości i nawet szacowała, nie wając się o nic zapytać, w jakim wieku ma dzieci, jeśli w ogóle je ma, i czy będzie chciał, żeby ona urodziła mu dziecko. Walentyna skończyła już przecież trzydzieści pięć lat, najwyższa pora na dziecko, czas nagli.

Kłótnia, do której doszło trzy dni temu, wydawała jej się zwyczajnym nieporozumieniem, które zdarza się między zakochanymi, a które łatwo wyjaśnić i po którym zgoda jest tak słodka. I nagle się okazało, że to koniec. Że to na zawsze.

Cały sobotni wieczór, noc i połowę niedzieli Walentina przeleżała w łóżku, zalewając się łzami. Nina Siergiejewna do niej nie zaglądała, zajmowała się swoimi sprawami, do uszu Walentiny dobiegał szcęk naczyń i głosy płynące z telewizora, co ją okropnie drażniło: jak można gotować, jeść, zmywać naczynia i oglądać telewizję, gdy wydarzyło się tak straszne i nieodwracalne nieszczęście!

W niedzielę koło trzeciej Walentina poczuła głód. Wstała, umyła się, ze wstrętem obejrzała w lustrze swoją opuchniętą od łez twarz, ubrała się i zeszła na dół. Nina Siergiejewna pisała coś przy dużym biurku, obłożona grubymi poradnikami.

– Przepraszam, że się rozkleiłam – powiedziała Walentina. – Nie będzie pani przeszkadzać, jeśli przygotuję sobie coś do zjedzenia?

Nina Siergiejewna machnęła ręką, nie podnosząc głowy.

– Na miłość boską, dziecko. Gotuj, jedz, pij herbatę. Udało ci się przynajmniej trochę uspokoić?

– Tak.

Walentina pamiętała, że w przeddzień kobieta wyraziła gotowość do rozmowy o sytuacji z Gaszynem, i domyśliła się, że teraz ją potwierdza swoim pytaniem. Ale Walentina nie chciała rozmawiać z Niną Siergiejewną. Podjęła decyzję, która w tej chwili wydawała jej się ze wszech miar oczywista i słuszna.

Teraz coś przekąsi, później wróci do siebie i zajmie się twarzą, którą musi doprowadzić do względnego porządku za pomocą choćby kompresów i masek. A jutro pojedzie do Stasowa i go poprosi, żeby odszukał Sławomira Gaszyna. Ma dość pieniędzy na nowe zlecenie, w najgorszym razie poprosi brata Żenię, on jej pomoże.

*

Nazajutrz, w poniedziałek, Walentina Jewtiejewa zjawiała się w biurze agencji detektywistycznej „Własta”. Stasow rozmawiał akurat z klientem, więc musiała czekać prawie godzinę, aż będzie wolny.

Władysław Nikołajewicz dostrzegł w jej wizycie kolejną próbę kontroli przebiegu dochodzenia i zaczął od razu szczegółowo referować, czym się zajmowała jego pracownica Kamińska podczas pobytu w Jużnomorsku. Walentina słuchała, z trudem skrywając zniecierpliwienie i czekając na stosowną chwilę, żeby przedstawić nową prośbę.

– Muszę niestety stwierdzić, że na razie nie odkryliśmy nic, co rzuciłoby nowe światło na zabójstwo pani ojca – skończył wreszcie Stasow. – Jest pani gotowa prowadzić dalsze poszukiwania czy może woli pani, żeby zamknąć dochodzenie?

– A co zamierzacie dalej robić?

– Kamińska pojedzie do Runowska, spróbuje coś znaleźć w mieście pani dzieciństwa. Jedyne hipotezy na dzisiaj jest taka, że w Runowsku coś się wydarzyło, a pani ojciec znał obiektywne szczegóły.

Jakiś czas przed jego śmiercią pojawiło się realne niebezpieczeństwo, że zechce je wyjawić. Przesłane musiał wykluczyć taką ewentualność. Nic innego nie przychodzi nam do głowy. W życiu pani ojca w Jużnomorsku nie wydarzyło się nic, czego można by się uchwycić.

– Dobrze. – Walentyna skinęła głową. – Proszę kontynuować, opłacę dalszą pracę. Ale mam do pana jeszcze jedną sprawę, Władisławie Nikołajewiczu. Muszę odszukać pewnego człowieka. Podejmie się pan tego zadania?

– To zależy, o kogo chodzi. – Stasow się uśmiechnął. – Co to za człowiek?

Walentyna opowiedziała wszystko, co wiedziała o Gaszynie. Stasow spoglądał na nią ze zdziwieniem i z niedowierzaniem.

– Nie rozumiem, czemu chce pani płacić za to, co może pani zrobić sama – powiedział.

– Ale ja nic nie mogę! – zawołała Walentyna. – Gdybym mogła, tobym do pana nie przyszła.

– Dlaczego nie porozmawia pani z Kramariewem? On na pewno wie, gdzie szukać naukowca. Zna jego telefon i adres.

Walentyna skrzywiła się z irytacją. Ależ ten Stasow jest niedomyślny! Przecież chyba jasno wszystko wyłożyła, a on nic nie zrozumiał.

– Już panu mówiłam: Kramariew bardzo się boi, że do Sławomira Iljicza dotrze konkurencja i przejmie jego opracowanie. Gaszyn nawet na spacerzy chodzi w towarzystwie dwóch ochroniarzy. Czy naprawdę pan sądzi, że Kramariew udzieli informacji zupełnie obcej osobie? Bo

ja jestem dla niego zupełnie obca. Jak mu wytłumaczę swoje zainteresowanie Gaszynem?

– Niech mu pani powie to samo co mnie – poradził Władisław Nikołajewicz. – Moim zdaniem to przekonujące.

– Mam się przyznać do romansu z Gaszynem? Za nic!

– Jak pani chce. Zaraz wezwę pracownika, któremu zlecę pani sprawę. Pozna go pani i wszystko mu opowie.

Nacisnął przycisk interkomu i minutę później do pokoju wszedł sympatyczny wysoki ciemnooki mężczyzna lekko po czterdziestce.

– Poznajcie się – powiedział Stasow. – To Michaił Docenko, detektyw z dużym doświadczeniem. A to Walentina Dmitrijewna, nasza klientka w sprawie dotyczącej zabójstwa w Jużnomorsku. Idź do pokoju spotkań z Walentiną Dmitrijewną, Misza, i zorientuj się, o co chodzi.

– Ale przecież nad tą sprawą pracuje Kamińska – zdziwił się Docenko. – Chcesz, żebym jej pomógł? Nie mogę jechać, Wład, znasz przecież moją sytuację...

– Walentina Dmitrijewna ma nowe zlecenie – wyjaśnił Stasow, powściągając uśmiech. – Nigdzie nie musisz jechać. Pamiętaj pani, Walentino, gdzie jest pokój spotkań? Znajdzie go pani sama?

– Znajdę. – Walentina skinęła głową. – Korytarzem prosto, a potem w lewo, tak?

– Zgadza się. Proszę tam poczekać, Michaił za chwilę do pani dołączy. Kiedy skończycie, proszę do mnie zajrzeć, przygotuję nową umowę.

Walentina posłusznie wyszła i ruszyła do pokoju, w którym trzy tygodnie temu rozmawiała z Kamieńską.

*

Gdy tylko za Jewtiejewą zamknęły się drzwi, Stasow wpadł na Docenkę.

– Miszka, ty cholerny pasożycie, ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie puszczał pary z ust przy klientach na temat swojej sytuacji rodzinnej! Dostałeś zadanie, to bierz się do roboty. Pozostałe rzeczy omówimy później. Słyszałeś w ogóle o etyce zawodowej?

– Etyka zawodowa to co innego – odgryzł się Docenko. – Słuchaj, Wład, a czemu przez cały czas uśmiechałeś się podczas rozmowy? Coś cię rozbawiło?

– Nic mnie nie rozbawiło, ale na widok Jewtiejewej mam lepszy humor. Jest śliczna jak malowanie i cieszy oko.

– Owszem, jest ładna – przyznał Docenko. – A jak u niej z inteligencją? Można się z nią dogadać?

– Niestety nie jest zbyt lotna – stwierdził Stasow. – Ale musisz to znieść. Jewtiejewa chce, żeby znaleźć pewnego mężczyznę. Kochanka, który może ją rzucić, a może musiał pilnie wyjechać, nie znał jej telefonu i nie mógł poinformować o wyjeździe. Zresztą sam się zorientujesz.

– A cóż to za kochanek, skoro nie znał jej telefonu? – Docenko się zdumiał. – To jakiś nowy styl romansowania? Wygląda na to, że nie

nadążam za modą. Pamiętaj, Stasow, że jeśli ten kochanek ulotnił się do innego miasta i trzeba będzie tam jechać, to ja...

– Pamiętam – uciął Władisław Nikołajewicz. – Jeszcze mi życie miłe. Jeżeli twoja żona będzie z czegoś niezadowolona, moja mnie zadreńczy.

– Świetnie to ująłeś – pouczająco stwierdził Michaił i poszedł porozmawiać z Walentiną Jewtiejewą.

Dwie godziny później pożegnał się z klientką, będąc w stanie pewnego oszołomienia. Chemik prowadzący tajne badania! Coś podobnego! Co za licho podkusiło Stasowa, żeby przyjąć to zlecenie... Jeżeli facet pracował przedtem dla przemysłu obronnego, oficjalną drogą się go nie znajdzie. Nie ma sensu pytać Maksima Kramariewa, bo gość i tak nic nie powie, tutaj klientka ma chyba rację. Co innego, gdyby zjawili się u niego wywiadowcy z milicji i pokazali postanowienie o wszczęciu postępowania karnego. Wtedy musiałby złożyć zeznania, chociaż i w tym wypadku mógłby się wszystkiego wyprzeć i powiedzieć, że nic nie wie. No a z prywatnym detektywem ma prawo w ogóle nie rozmawiać. Sądząc z tajemnicy, w jakiej trzymał powód pobytu Gaszyna w swoim domu, nikt z domowników też nic nie wie. Jest co prawda pewna osoba, która może się okazać przydatna. Jewtiejewa powiedziała, że Gaszyn spotykał się z nauczycielką, która uczy arabskiego córkę Kramariewa. Nazywa się Olga Konstantinowna, prowadziła rozmowy telefoniczne z Gaszynem, więc pewnie ma jego numer. A może nawet adres. Niewykluczone zresztą, że Gaszyn u niej mieszka. Co mówiła Jewtiejewa? Że Olga ma

depresję i że Gaszyn ją wspiera. Znamy te depresje i to wspieranie, często kończą się małżeństwem. Tak czy inaczej, trzeba chyba zacząć od Olgi Konstantinowny.

*

Angelina Michajłowna była nie w humorze, ale wzięła się w garść i dołożyła starań, żeby jej argumenty brzmiały przekonująco. W końcu tego wymaga sprawa. Ludmiła Leonidowna Gusarowa często zajmowała się wnukami, starała się zapewnić im wszechstronny rozwój, odwiedzała z nimi muzea, teatry i wystawy, więc grzechem byłoby nie wykorzystać tej sytuacji, skoro inaczej się nie da.

– Weź sprawy w swoje ręce, Wila – powtarzała mężowi. – Nadskakuj Lusi i angażuj się we wszystkie jej wyjścia z wnukami.

– Może jednak spróbujesz skłonić Lwa do szczerzej rozmowy? – błagalnie odpowiadał Wilen Wiktorowicz, któremu nie uśmiechała się perspektywa odwiedzania przybytków kultury w towarzystwie małych dzieci. Maluchy go drażniły. Nierzadko towarzyszył sąsiadce w jej wyprawach z wnukami, ale przynajmniej nikt od niego nie oczekiwał, że nawiąże z nią „bliższe relacje” i będzie prowadził „poufne rozmowy”.

– Rozmowa z nim nie ma żadnego sensu! Nic go nie interesuje z wyjątkiem żołdackich tematów, nie potrafi podtrzymać żadnej pogawędki! Mam już dosyć prezentowania mu światowego repertuaru teatralnego. Kto by pomyślał, że lubi słuchać moich opowieści! Najpierw mi się zdawało, że jeśli wybiorę odpowiedni temat, uda mi

się coś z niego wyciągnąć, ale streściłam mu już tyle sztuk – i wszystko na nic. Sławik miał słuszość, to przecież żelazne zasady dramaturgii: Gusarow jest niewyrobiony, zawsze w tym samym humorze, aż ręce opadają. A Lusia to jednak kobieta, temat dzieci i wnuków jest jej bliski, więc chętnie podejmie rozmowę.

– Ale takie rozmowy wcale nie wymagają, żeby jej asystować, gdy się wybiera gdzieś z wnukami – z uporem oponował Sorokin. – Te same tematy możemy omówić, gdy złożymy im wizytę. Przecież nie ma dnia, żebyśmy ich nie odwiedzali.

– Tylko że sam widzisz, Wila, co wychodzi z rozmów we czworo. Lew Siergiejewicz nie daje nikomu dojść do słowa, więc nie jesteśmy w stanie poruszyć naszych tematów. A zresztą bardzo rzadko spotykamy się we czwórkę, bo Lusia jest a to w pracy, a to z wnukami. Krótko mówiąc, Wileńka, nie sprzeczasz się, tylko nawiąż bliższy kontakt z Lusią.

– A później nie dasz mi spokoju i będziesz dręczyć bezpodstawnymi podejrzeniami? O nie!

– Rób, co mówię! – twardo odrzekła Angelina Michajłowna. – Wprawdzie nie jest mi to na rękę, ale trudno, tak trzeba. Dość tego chowania się za moimi plecami i milczenia, musisz coś zrobić dla dobra wspólnej sprawy.

Wilen Wiktorowicz nadąsał się i milczał z pięć minut, po czym westchnął.

– Właściwie Sławik ma chyba rację. On oczywiście ma lepsze rozeznanie. Nie żeby był szczególnie bystry, ale rzeczywiście zna się na

dramaturgii obrazu i, jak to się teraz mówi, czuje bluesa.

Wieczór zakończył się całkiem miło, ale rozmowa pozostawiła nieprzyjemny osad. Angelina Michajłowna odniosła wrażenie, że Wilen bardzo chętnie zgodził się na nawiązanie bliższej znajomości z sąsiadką! To prawda, że tego wymaga sprawa, ale Sorokina spodziewała się, że sprzeciw męża będzie długi i zawzięty, byłby to dowód na to, że Ludmiła Leonidowna jako kobieta w ogóle go nie interesuje. Angelina nie otrzymała jednak takiego dowodu, więc znowu zaczęła ją toczyć zazdrość.

Wilen Wiktorowicz już zasnął, a jego żona siedziała wciąż w kuchni, ze wzrokiem utkwionym w otwartym oknie, i myślała, że Wila łatwo zapala się do nowych pomysłów, ponieważ nie znosi nudy, lecz jego zapał szybko gaśnie. Bóg jeden wie, dokąd prowadzą owe pomysły, ale to ona musi za nie płacić. Wila przystał na plan Maksima Kramariewa, w ogóle się nie zastanawiając i nie wahając, od razu się zainteresował, zapalił, a teraz ma wszystkiego dosyć. Sprawa nie jest już dla niego ciekawa i ważna, tymczasem Angelina Michajłowna będzie musiała znosić męki zazdrości i zaloty męża do sąsiadki Ludmiły. Z dzieckiem było kiedyś tak samo...

Wila pragnął dziecka, w dodatku koniecznie syna, potomka, marzył, że będzie wprowadzał go w magiczny świat sztuki, czytał mu książki, chodził z nim do teatru i na wystawy, opowiadał wszystko, co wie, a wiedzę miał ogromną. Żył tym marzeniem i bardzo się martwił, że Gela nie może zajść w ciążę. A Gela w ogóle nie chciała dziecka, była pochłonięta sztuką, literaturą, malarstwem, muzyką i teatrem,

tylko to miała w głowie, nie interesowały jej pieluszki, śpioszki, grzechotki i choroby wieku dziecięcego. Po cichu nawet się cieszyła, że nie może mieć dziecka.

W końcu jednak zaszła w ciążę, gdy miała trzydzieści cztery lata. Ach, z jaką niechęcią myślała o dziecku! Mogła się bez niego obejść, nie czuła potrzeby macierzyństwa. Ale kochała Wilena całym sercem i bała się, że ten ją rzuci, gdy dowie się o usunięciu ciąży, pragnęła go uszczęśliwić potomkiem albo potomkinią, o tym miał zdecydować los, oraz faktem, że jednak urodziła dziecko. Na świat przyszedł chłopiec, ku obopólnej radości. Wilen był w siódmym niebie, ale jego zachwyty trwał krótko. Okazało się, że czas, w którym będzie można wprowadzać dziecko w magiczny świat sztuki, jest jeszcze bardzo odległy, trzeba cierpliwie poczekać, w dodatku nie siedząc w wygodnym fotelu i słuchając nagrań wielkiej muzyki, tylko zajmując się na okrągło praniem, kołysaniem, gotowaniem kaszek i prasowaniem, zataczając się przy tym z niewyspania. Jednym słowem, Wilen Wiktorowicz dość prędko stracił zapał i zainteresowanie synem. Pomagał oczywiście żonie przy dziecku, ale Gela widziała, że nie wkładał w to serca, tylko się irytował i złościł. Jej również ciążyły obowiązki rodzicielskie, syn nie przynosił radości, nie pozwalał oddać się miłości do sztuki i nie był w ogóle potrzebny. Zniszczył cały świat, który Sorokinowie budowali przez ponad dziesięć lat. Nie mogli nie tylko pójść do teatru, gdy mieli ochotę, nie mogli nawet posłuchać muzyki, ponieważ malec albo spał i nie wolno go było budzić, albo krzyczał i płakał i trzeba go było nosić na rękach i uspokajać.

Gdy chłopiec podrosł i można było się zająć jego wykształceniem, Wilen jak gdyby się ocknął i znowu zainteresował synem, ale okazało się, że chłopak o wiele bardziej woli uganiać się za piłką z rówieśnikami po podwórku i urządzać bójki niż siedzieć przy książkach, których czytania kategorycznie odmówił. Uczył się bardzo przeciętnie i co rusz przynosił w dzienniczku dwójki z zachowania. Tak więc marzenie Wilena Wiktorowicza się nie ziściło. Ale podobnie jak wielu mężczyzn dość zręcznie zdystansował się od problemów wychowania i edukacji dziecka i zwał wszystko na barki Angeliny Michajłowny, która urodziła syna tylko z chęci przypodobania się ukochanemu mężowi i wcale nie miała ochoty zajmować się dzieckiem, które nie było jej do niczego potrzebne i wobec którego Wilen pozostawał zupełnie obojętny. Ale musiała.

Ten model nieraz się powtarzał na przestrzeni wspólnie spędzonych lat, teraz też się sprawdził. Angelinie od razu nie spodobał się Kramariew, jego pomysły zrodziły w niej duże wątpliwości, ale Wila się zapalił – i to jej wystarczyło. Widziała, jak zaczął stopniowo gasnąć po przejściu na emeryturę, jak stawał się ponury i zgryźliwy, widziała, że nic go nie cieszy i nie interesuje, nawet to, co dawniej sprawiało mu przyjemność. Mąż zaczął przypominać balonik przekłuty cienką igłą, z którego niezauważenie i po cichu, ale nieprzerwanie i nieodwracalnie uchodzi powietrze. Po tym, jak poznali Maksima, Wilen Wiktorowicz odżył, oczy znowu mu rozbłysły, zaczął szykować się do wyjazdu do Moskwy i podniecony omawiał z żoną perspektywy ich pobytu w stolicy. Angelina była szczęśliwa, że mąż odzyskuje

wigor, i postanowiła zignorować własną niechęć do Kramariewa. Nie ma znaczenia, czy ona czuje do niego sympatię, najważniejsze, że dzięki niemu Wilen odzyskał sens życia i wstąpiły w niego nowe siły, pobudzone przez wytyczony cel.

Angelina Michajłowna nawet nie zauważyła, jak się wciągnęła, wczuła w rolę i za nic na świecie nie przyznałaby się nawet przed sobą, że wcale nie chodzi o sens i cel, ale wyłącznie o to, że życie w Moskwie przypadło jej do gustu. Mieszkanie było oczywiście nieduże, jednopokojowe, nie wytrzymywało porównania z przestrzenią, którą dysponowali w Nowosybirsku, ale za to pozostałe rzeczy! I pieniądze, dużo pieniędzy, których Maksim nie żałuje i które można wydawać, jak się żywnie podoba. Można kupować niesłychanie drogie bilety na koncerty Domingo i Carrerasa, można jeździć taksówką i umawiać się na wizyty w drogim salonie kosmetycznym, można też wcale ich nie wydawać i odkładać „na starość”. Krótko mówiąc, pobyt z Wilenem w stolicy stał się dla Angeliny Michajłowny najszcześniejszym okresem w życiu, więc chciała, żeby trwał jak najdłużej. A Wilen miał już wszystkiego dosyć, złościł się i na Maksima, który nimi komenderuje i rozlicza z wyznaczonego zadania, i na samego siebie, ponieważ nie potrafi sprostać oczekiwaniom Kramariewa, i na żonę – za to samo. No a teraz jeszcze sąsiadka Ludmiła... Tymczasem ona, Angelina, musi znosić jego zły humor i umierać z zazdrości.

*

Maksim nie miał klucza do mieszkania matki, więc musiał jak zwykle długo czekać, zanim drzwi się otworzą. Po uderze Zoja Pietrowna była inwalidką, lewą rękę miała prawie całkiem bezwładną, powłóczyła też lewą nogą, więc potrzebowała sporo czasu, żeby dotrzeć do drzwi wejściowych. Maksim nieraz proponował, żeby mu dała klucze do mieszkania, ale za każdym razem odmawiała i mówiła, że nie ma takiej potrzeby i że doskonale radzi sobie sama.

– Nie musisz na siłę ułatwiać mi życia – powtarzała. – W końcu nie ty jeden do mnie przychodzisz, różni ludzie mnie odwiedzają i muszę otwierać im drzwi. Tobie też otworzę, to żaden kłopot. Korona ci z głowy nie spadnie, jak postoisz parę minut pod drzwiami.

Zoja Pietrowna zawsze była oschła i szorstka. Maksim przywykł do tego w dzieciństwie i nie obrażał się na matkę do pewnego czasu. Ściśle mówiąc, aż do chwili, póki w jego życiu nie zjawił się ojciec, Witalij Andriejewicz, który był czuły, łagodny i szczerze podziwiał syna, nie mogąc się go nachwalić. Kontrast w zachowaniu ojca i matki był tak rażący, że Maksima znowu opadły dziecięce wątpliwości co do uczuć macierzyńskich Zoi Pietrowny. Myśli były nieprzyjemne, niepokoiły i dręczyły, pojawiały się za każdym razem, gdy Kramariew odwiedzał matkę albo do niej dzwonił.

– Dzień dobry, Maksimie – powiedziała Zoja Pietrowna, gdy otworzyła w końcu drzwi, a Maksim od razu pomyślał: „Ojciec powiedziałby: «Dzień dobry, synku». Przez całe życie nie usłyszałem od niej ani jednego dobrego słowa, ani razu nie nazwała mnie czule, zawsze tylko po imieniu”.

Maksim nie mógł nie zauważyć, że mimo długotrwałej choroby matka wygląda dobrze. Bardzo o siebie dbała, zamawiała wizyty fryzjerki i manikiurzystki w salonie piękności, starała się też ubierać elegancko, o ile to było możliwe w jej sytuacji, w każdym razie Maksim nigdy nie zastał jej w szlafroku, piżamie albo w fartuchu. Często odwiedzali ją autorzy, redaktorzy, kurierzy z wydawnictw, przyjaciółki oraz koledzy z instytutu tłumaczy wojskowych, gdzie wykładała język niemiecki, zanim zachorowała, więc musiała być stale gotowa na przyjęcie gości. Nie tolerowała też, ma się rozumieć, żadnego bałaganu w mieszkaniu.

Maksim pocałował matkę i zaniósł do kuchni siatki z zakupami. Dlaczego jest tak uparta? Dlaczego nie chce mieszkać razem z jego rodziną w dużym domu za miastem? Maksim musiał przyznać z ręką na sercu, że on też nie chciał mieszkać z matką z uwagi na jej trudny charakter, ale byłoby mu łatwiej i wygodniej, gdyby znajdowała się pod stałym nadzorem. Przynajmniej mógłby się nie bać, że coś jej się stanie, na przykład kolejny udar albo że upadnie i coś sobie złamie.

– Przyjechałeś tylko po to, żeby zrobić mi zakupy? – zapytała. – Niepotrzebnie. Mogłeś jak zwykle wysłać kierowcę. Jesteś zajęty, masz dużo pracy, nie powinieneś tracić czasu.

Zoja Pietrowna miała sparaliżowaną lewą stronę ciała, więc mówiła niezbyt wyraźnie, ale przez lata Maksim się przyzwyczaił i dobrze ją rozumiał.

Włożył zakupy do lodówki i poszedł do pokoju, w którym Zoja Pietrowna siedziała przy biurku zawalonym papierami. Mimo

długiego inwalidztwa wciąż pracowała – nienaganna znajomość niemieckiego w połączeniu z cierpliwością, sumiennością i umiejętnością wysokiej koncentracji uwagi czyniła z niej znakomitą korektorę. Przynoszono jej rękopisy podręczników, skryptów, rozmówek i wypisów, zwracali się do niej studenci i pracownicy naukowi, którzy przygotowywali prace dyplomowe oraz rozprawy zawierające duże fragmenty tekstu w języku niemieckim. Maksim nie potrafił zrozumieć, czemu matka pracuje, skoro on zapewnia jej wszystko, co niezbędne, i gotów jest łożyć na jej zachcianki i potrzeby.

– Co u ciebie słyhać? – zapytała Zoja Pietrowna.

– W porządku. Koncern się rozwija, przynosi zyski.

– A twoje polityczne igraszki? Nadal masz głowę nabitą tymi bzdurami czy dałeś sobie spokój?

– Polityka, mamó, to nie bzdury, tylko bardzo poważna i potrzebna rzecz – cierpliwie odparł Kramariew. – Żyjesz przecież we współczesnym świecie, czytasz gazety, oglądasz telewizję, więc jak możesz tego nie rozumieć?

– Masz przecież wszystko, co potrzebne do szczęścia, Maksimie. Władza nigdy nie przyniosła nikomu nic dobrego, wierz mi. To wpływ ojca. Właśnie dlatego od niego odeszłam, że bardzo mu zależało na władzy i gotów był zrobić karierę wszelkimi sposobami, nie cofał się przed nieładnymi i nieuczciwymi chwytami. Uszy mi wędły, gdy opowiadał o intrygach w pracy, przed wszystkimi się płaszczyl i wciąż lizał komuś tyłek, żeby wdrapać się szczebelek wyżej. Ciebie też zaraził swoimi pomysłami, a przecież te rzeczy nie mają znaczenia,

Maksimie. Ani żadnego sensu.

– Dla mnie mają wielki sens – odparł Maksim z przekonaniem. – Po prostu nie rozumiesz...

– Wszystko doskonale rozumiem – przerwała mu matka. – Rozumiem, że w wieku czterdziestu dwóch lat dałeś się zmanipulować. Jesteś dorosły, powinieneś mieć własne zdanie i własne poglądy na życie, miałeś je, póki nie zjawił się twój ojciec. Steruje tobą, jakbyś był małym, nierozgarniętym dzieckiem. Czyżbyś nie widział, że jesteś jedynie narzędziem w jego rękach? Sam nie potrafił zdobyć władzy, więc teraz chce się realizować dzięki tobie. Nigdy nie rozumiałam i nie popierałam rodziców, którzy próbują zmusić swoje dzieci, żeby poszły drogą, którą oni nie potrafili pójść. Witalij był zawsze małostkowym i próżnym człowiekiem, taki też pozostał, a ty tańczysz, jak ci zagra.

Słowa matki sprawiły Maksimowi przykrość, więc chociaż początkowo postanowił się nie odzywać, pod koniec tyrawy Zoi Pietrowny nie wytrzymał i wybuchnął.

– No oczywiście, twój pierwszy mąż był próżny i małostkowy, za to twój drugi małżonek Siewoczka jest o niebo lepszy – powiedział ze złością. – Zostawił cię chorą, po udarze, i nawet okiem nie mrugnął, gdy zakładał nową rodzinę. Twoim zdaniem to o wiele bardziej chwalebne, niż próbować zrobić karierę sposobami, które kiedyś były na porządku dziennym.

Zoja Pietrowna długo milczała, mnąc czystą kartkę papieru w zdrowej ręce.

– Wciąż czekałam, aż poruszysz ten temat, czekałam latami.

Milczałeś, więc miałam nadzieję, że wszystko rozumiesz, i to rozumiesz właściwie. A jednak się myliłam, jesteś głupi jak małe dziecko i nic nie zrozumiałeś. No cóż, będę musiała ci wytłumaczyć. Gdy zachorowałam, sama poprosiłam Wsiewołoda, żeby odszedł.

– Dlaczego? Potrzebowałam wsparcia – zarówno moralnego, jak i fizycznego. Ja wtedy akurat skończyłam szkołę, szykowałam się na studia, nie miałaś ze mnie żadnego pożytku. Dlaczego go wyrzuciłaś?

– Nie wyrzuciłam, ale zwróciłam mu wolność – poprawiła go matka.
– Siewa był jeszcze bardzo młodym mężczyzną, musiał mieć normalną rodzinę, żonę i dzieci, a ja już się nie nadawałam do roli żony i matki. Nie chciałam być mu kamieniem u szyi, więc poprosiłam, żeby odszedł. Tak było lepiej. Nalegałam, żeby odszedł. Nalegałam, chociaż Siewa długo się opierał, chciał zachować się przyzwoicie i ze mną zostać. Ja jednak rozumiałam, że między nami już nie będzie prawdziwej miłości, wciąż będę się czuła winna, że on nie żyje pełnią życia i w końcu go znienawidzę za nieustanne poczucie winy. A za co on by mnie mógł znienawidzić, chyba nie muszę tłumaczyć. Czemu dwie normalne, rozsądne i wzajemnie życzliwe sobie osoby mają żyć we wzajemnej nienawiści?

– Jasne – rzucił Maksim ze złością. – Lepiej zostać bez pomocy i wsparcia.

– Nie zostałam. – Maksim odniósł wrażenie, że głos Zoi Pietrowny nieco złagodniał, chociaż z powodu bełkotliwej mowy nie był do końca pewien. – Siewa pomagał mi przez te wszystkie lata. Regularnie mnie odwiedzał i nadal odwiedza, wspierał mnie też materialnie, gdy było

mi ciężko, zdobywał jedzenie, gdy wszystko znikło ze sklepów. Nawiasem mówiąc, załatwił ci też przyjęcie na studia i pomógł na początku z pracą. A ty pewnie myślałeś, że zawdzięczasz to swojej błyskotliwości i operatywności?

Maksim milczał. O tym, że przyjęcie do instytutu nie było jego wyłączną zasługą, słyszał po raz pierwszy. Owszem, na egzaminach wstępnych dostał dwie czwórki i dwie piątki, było to w sumie o jeden punkt mniej niż wymagano, ale przecież miał znakomitą opinię i osiągnięcia sportowe, więc był pewien, że te dwie rzeczy przeważą. Okazuje się, że przyjęto go wcale nie dlatego...

– Czułam się lepiej na myśl, że nikomu nie jestem ciężarem – ciągnęła matka. – Tobie przecież też nie byłam ciężarem, w każdym razie bardzo się starałam, żeby tak było, i nie miała w tym zasługa właśnie Siewy, który brał na siebie większość obowiązków i kłopotów, które się ze mną wiązały. Chciałam, żebyś mógł normalnie studiować, żeby nic ci nie przeszkadzało w nauce, żebyś spokojnie zajął się pracą zarobkową i robił karierę tak, jak to jest przyjęte u przyzwoitych ludzi, a nie tak, jak to rozumiał twój ojciec. Chciałam dla ciebie dobra.

– Dobra? Lepiej by było, gdybyś mnie po prostu kochała – bezwiednie wyrwało się Kramariewowi.

Matka spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Nie rozumiem, co masz na myśli. Wytłumacz mi to.

– Nigdy mnie nie kochałaś. Dla ciebie liczył się przede wszystkim Miszka, wciąż to widziałem i czułem. Przez całe życie nie usłyszałem od ciebie dobrego słowa, ani razu mnie nie pochwaliłaś. Czyżbyś tego

nie widziała?

*

Zoja Pietrowna słuchała syna i z goryczą musiała przyznać, że Maksim ma rację. Może nie we wszystkim, ale w pewnych sprawach... Oczywiście nie w tym, że go nie kochała. Bardzo kochała swojego starszego syna, swojego pierworodnego, ale...

Miała zaledwie dwadzieścia lat, gdy wyszła za mąż za Witalija Kramariewa, który był energiczny, przystojny, przedsiębiorczy i jak jej się wydawało, ambitny. Urzekły ją prowadzone w nieskończoność rozmowy o tym, co chciałby zrobić w życiu, co osiągnąć, i była zbyt młoda, żeby zauważyć, że wszystkie upragnione cele Witalija wiązały się z marzeniami o stanowiskach, a nie o własnych staraniach zawodowych. Gdy to zrozumiała, była już w ciąży, a gdy Maksim miał półtora roku, nie wytrzymała ciągłych rozmów o intrygach, o tym, kto pod kim kopie dołki, kto komu co powiedział, kto na kogo spojrzął i kogo gdzie po tym awansowano, i odeszła od męża. Jego usiłowania, żeby zrobić karierę drogą służalczości i lizusostwa, budziły w niej odrazę.

Później spotkała Wsiewołoda Sawinych, Siewoczkę, który był o pięć lat młodszy i początkowo wydawał jej się bezradny jak dziecko, jednak po pewnym czasie zrozumiała, że Siewa to dorosły, dojrzały mężczyzna, odpowiedzialny, odważny i silny. Myślała, że takich nie ma, że jest za młody, żeby być dojrzały i silny, nadal się jednak

spotykali i Zoja za każdym razem coraz bardziej się upewniała, że może na niego liczyć, że jest solidny i godny zaufania. W tamtym czasie Siewa pracował i studiował wieczorowo.

Dwa lata później się pobrali, Maksim miał wtedy pięć i pół roku i doskonale rozumiał, że wujek Siewa to nie tata, chociaż w ogóle nie pamiętał ojca. Rok później, w siedemdziesiątym trzecim, Zoi i Wsiewołodowi urodził się syn Miszeńka. Zoja była spokojna o młodszego syna, ale wciąż się martwiła o Maksima. Bardzo się bała, że relacje między synem z pierwszego małżeństwa a nowym mężem się nie ułożą, wydawało jej się, że jeśli chłopiec nie będzie najlepszy, najmądrzejszy i najgrzeczniejszy na świecie, Siewa się na nim zawiedzie i Maksim zacznie go drażnić. Zwłaszcza że Siewa miał poważny i odpowiedzialny stosunek do pracy, był człowiekiem uczciwym i przyzwoitym i wszelkie wady przybranego syna mogły go do niego zniechęcić.

Jeszcze jedna rzecz niepokoiła Zoję Pietrownę. Obawiała się, że Maksim może odziedziczyć po ojcu pęd do kariery i skłonność do lizusostwa. Wychowywała syna surowo i wciąż mu wpajała, że najważniejsza jest własna praca i własne osiągnięcia, że należy się przykładać i osiągać wysokie wyniki, że niczego nie wolno robić byle jak, nawet zmywania naczyń, że wszystko należy robić „na piątkę”. Zoja Pietrowna tłumaczyła Maksimowi, że człowiek może być dumny tylko z efektów swojej pracy, a nie ze stanowiska i przywilejów. Gdy syn przynosił ze szkoły wysokie oceny, matka nigdy go nie chwaliła – bała się zapeszyć, kiwała tylko głową z satysfakcją, jakby mówiła, że

tak właśnie trzeba, niczego innego się nie spodziewała i nie będzie tolerować. Gdy Maksim zaczął uprawiać sport, Zoja Pietrowna oczekiwała od niego najwyższych wyników. „Możesz być jeszcze lepszy – powtarzała – jeszcze bardziej wzorowy, nie wolno poprzestawać na tym, co się osiągnęło, i spoczywać na laurach. Trzeba wciąż się starać”. Więc się starał. Zoja Pietrowna bała się, że Siewa będzie niezadowolony z chłopca, toteż zachęcała go do pracy, chciała też, żeby Maksim zdobył gruntowną wiedzę i potrafił odnaleźć się później w zawodzie.

To dlatego nie mówiła synowi, że go kocha, że jest dla niej najważniejszy i najwspanialszy. Robiła to przecież dla niego. No a teraz, kiedy Witalij Andriejewicz naopowiadał Maksimowi, jaki to jest cudowny i mądry, syn słucha tylko ojca. Ojciec ze swoimi niezrealizowanymi ambicjami jest dla niego światłem w tunelu. Tak oto wygląda odwrotna strona rodzicielskiej surowości, wykorzystanej, zdawać by się mogło, w dobrej wierze.

Ale jak wytłumaczyć to wszystko Maksimowi teraz, gdy ma czterdzieści dwa lata i całkowicie uległ wpływowi ojca, ponieważ czuje się niekochany przez matkę? Prowadzić z dorosłym człowiekiem ckeliwe rozmowy? To żałosne, skoro nigdy przedtem tego nie robiła. Relacje między matką a synem do tego nie skłaniały, nie było w nich miejsca na zupełną szczerość i zaufanie. Sposób porozumiewania się został wypracowany przez lata i nie da się nagle, w jednej chwili, go zmienić. Ale nie można też milczeć, zamknąć tematu i pozwolić, żeby Maksim wyszedł z myślą, że ma rację i że Zoja Pietrowna bardziej kochała

młodsze­go syna, Miszeńkę. Trze­ba zna­leźć jakieś sło­wa, zro­zumia­łe, celne i prze­konu­ją­ce. Ale Zo­ja Pietrowna nie była przy­zwy­czajona do szu­kania podob­nych sło­w w roz­mowie z synem, przez wie­le lat ich kontak­ty spro­wadzały się do reguły „polecenie – sprawozdanie z wyko­nania”. Wi­ęc powie­działa jedyną rzecz, która w tym mo­mencie przyszła jej do gło­wy:

– Nie masz racji, Maksimie. Jest zupełnie inaczej, niż myślisz.

Nie znalazła w sobie siły, żeby dodać: „Zawsze bardzo cię kochałam i nadal kocham”. Zo­ja Pietrowna wie­działa, że powinna to powie­dzieć. Ale nie potrafiła.

*

Obawy Nasti Kamińskiej okazały się uzasadnione. Gdy znalazła i przepytowała wszystkich ludzi z listy, informacji wciąż było niewiele. W piątek po południu wyjazd do Runowska zdawał się przesądzony, ale trzeba go było odłożyć do niedzieli wieczorem – w dni wolne od pracy Nastia nie miała czego tam szukać.

– Ile razy mam ci powtarzać: nie szarp się – mówił ze śmiechem Stasow, słuchając narzekań Nasti przez telefon. – Odpoczywaj, relaksuj się, szykuj do następnego etapu pracy. Pojedziesz w niedzielę wieczorem i w poniedziałek przystąpisz do poszukiwań.

– Przecież i tak nie wyrywam sobie rękawów przy tym zleceniu – usprawiedliwiała się Nastia. – Mam wrażenie, że więcej przesiaduję w kawiarniach i spaceruję po deptaku, niż pracuję.

– Przyzwyczajaj się – filozoficznie odrzekł Stasow. – Praca prywatnego detektywa tym właśnie różni się od pracy detektywa w mundurze i z legitymacją służbową. Przed tym ostatnim każde drzwi stoją otworem o dowolnej porze dnia i nocy, a my, prywatni, musimy liczyć się z kapryсами ludzi i uzgadniać z nimi terminy spotkania. Nikt nie musi dla nas niczego robić, nie reprezentujemy organu państwa. Krótko mówiąc, Kamieńska, nie wysilaj się, jak nie musisz, i nie susz mi głowy.

Całą sobotę, aż do wieczora, Nastia i Czistiakow spacerowali, opalali się, pływali w basenie hotelowym i z przyjemnością oddawali się lenistwu. A w nocy z południa nadciągnęła burza, jakiej Nastia nigdy nie widziała. Ocknęła się, gdy zaczęło błyskać za oknem, i natychmiast wpadła w panikę, ponieważ nie usłyszała grzmotów. Błyskało raz po raz, niemal bez przerwy. Trzęsąc się ze strachu, Nastia obudziła Aleksieja, który szybko zorientował się w sytuacji.

– To burza, Aśka, nie ma się czego bać.

– Ale przecież nie słyhać grzmotów – zaproponowała Nastia słabym głosem. – Może zaczęła się wojna?

– Też wymyśliłaś! – Czistiakow się rozgniewał. – Otwórz okno, to usłyszysz grzmoty. Szyby są dźwiękoszczelne.

– A jeśli nie usłyszę?

– Nie bój się, usłyszysz.

Aleksiej przewrócił się na drugi bok i naciągnął kołdrę po same uszy. Nastia jeszcze przez chwilę umierała ze strachu, później wyslizgnęła się z łóżka, podeszła do okna i otworzyła lufcik.

Rzeczywiście, to była zwyczajna burza.

Deszcz lał przez całą noc, więc niedziela była pochmurna i wietrzna. Nastia i Aleksiej nie mieli ochoty na spacer, toteż spędzali czas w pokoju, spali, gawędzili, grali kolejno w gry na iPodzie, później Czistiakow czytał na głos kolejny thriller, a Nastia tępo słuchała, mimo że niewiele rozumiała – Aleksiej czytał początek bez niej.

Wieczorem pożegnali gościnnego właściciela hotelu i pojechali na dworzec, omal nie spóźniając się na pociąg, ponieważ Biessonow nie chciał ich wypuścić bez wychylenia pożegnalnego toastu. W pociągu nie było wagonów sypialnych, ale Stasow pozwolił im kupić cztery bilety i zająć cały przedział, więc do Runowska dojechali w miarę komfortowo. Co prawda herbata, którą przyniosła konduktorka o przepitej twarzy, była wstrętna w smaku, za to paszteciki, wsunięte „na drogę” przez Biessonowa, okazały się niezwykle smaczne, co z nawiązką rekompensowało pozostałe niewygody.

Jeszcze w Jużnomorsku Nastia zajrzała do Internetu i odkryła, że hotel w Runowsku jest tylko jeden, w dodatku niewysokiej klasy. Gdy więc w poniedziałek rano zobaczyli na dworcu kobiety w różnym wieku z tekturowymi tabliczkami „Mieszkania, pokoje niedrogo”, problem zakwaterowania rozwiązali w ciągu pięciu minut. Otyła, dobroduszna kobiecina zaręczała, że mieszkanie znajduje się w centrum, jest wygodne, schludne i położone niedaleko szpitala.

– Przyjechaliście się leczyć? – Popatrzyła na Nastię ze współczuciem, gdy usłyszała pytanie o szpital. – Czy odwiedzacie jakiegoś krewnego?

– Mamy sprawę do załatwienia – wymijająco odparła Nastia. – A tutaj naprawdę aż tyle osób wynajmuje pokoje? Widzę, że jest sporo chętnych.

– Wiele osób się tym zajmuje, to prawda. – Kobięcina pokiwała głową, zwinnie przeciskając się przez tłum na peronie. – W mieście niełatwo o pracę, więc ci, co mają domki letniskowe, latem się do nich przenoszą i wynajmują mieszkania. W ten sposób sobie dorabiają.

– Macie aż tylu przyjezdnych, którzy szukają mieszkania albo pokoju do wynajęcia? – zdziwił się Czistiakow. – Skoro w mieście nie ma pracy, nie ma też produkcji, a skoro nie ma produkcji, skąd się biorą ludzie w delegacji?

– Mieszkań nie szukają ludzie przyjeżdżający w delegacje, ale wczasowicze, którzy potrzebują kwatery na sezon – chętnie wyjaśniała kobieta. – Mamy tutaj jezioro, istny raj dla wędkarzy, jeszcze za czasów radzieckich odpoczywali tu rozmaici prominenci, budowano im domki służbowe, zarybiano wody, zagospodarowywano plaże. Mamy też lasy grzybowe. Z całego obwodu zjeżdżają do nas ludzie na wypoczynek.

Kobieta ich nie okłamała, małe, ale przytulne i czyste mieszkanko znajdowało się w samym centrum miasta, dziesięć minut od dworca i trzy przecznice od szpitala, a koszt wynajmu za dobę, nawiasem mówiąc, był mniejszy niż za ich luksusowy pokój w „Rajskim Zakątku”. Podczas gdy Nastia brała prysznic i myła głowę, Czistiakow zrobił zakupy w sklepie mieszczącym się w tym samym budynku, kupił kefir, serek homogenizowany, chleb razowy i kawę rozpuszczalną.

Później szybko zjedli śniadanie i udali się do miejscowego szpitala.

Na zadane w rejestracji pytanie, czy ktoś pamięta doktora Jewtiejewa, młoda pielęgniarka odpowiedziała zdawkowo:

– Ja go nie pamiętam. A kiedy tutaj pracował?

– Do osiemdziesiątego piątego roku.

– Ojej, wtedy nie było mnie jeszcze na świecie. Personel w szpitalu jest młody, nikt nie pracuje tak długo. Chyba tylko Wołkowa...

– A kto to taki?

– Swietłana Borisowna, pielęgniarka na chirurgii. Jest już całkiem stara, parę lat temu obchodziła pięćdziesiąte urodziny.

Słyszając to, Nastia się skrzywiła, a Czistiakow szturchnął ją delikatnie łokciem. Całkiem stara... Kobieta, która ma najwyżej pięćdziesiąt dwa albo pięćdziesiąt trzy lata? Boże, młode dziewczyny mają głowy nabite dziwnymi wyobrażeniami! Znalezienie Swietłany Borisowny Wołkowej nie sprawiło im trudu.

– Tak, pamiętam Dmitrija Wasiljewicza. – Skinęła głową. – A co się stało?

– Umarł. A ściśle mówiąc, został zabity.

Wołkowa jęknęła i złapała się za głowę.

– Jak to zabity? Kto to zrobił? Czemu?

Długo nie mogła pogodzić się z tą nowiną i z rozpaczą powtarzała, jakim to dobrym lekarzem był Jewtiejew, jakim wspaniałym chirurgiem, jaki był miły i uważny w stosunku do kolegów, jak troszczył się o każde dziecko lepiej niż o własne.

– Gdy tamci chłopcy umarli jeden po drugim, aż szerniał na

twarży, przez tydzień z nikim nie rozmawiał, a później się zwolnił – tak ciężko to przeżywał.

– Jacy chłopcy? – czujnie zapytała Nastia.

– No jak to, to był głośny wypadek, w Runowsku aż huczało. Zdarzył się w osiemdziesiątym czwartym, rok przed tym, zanim Dmitrij Wasiljewicz się zwolnił i przeprowadził do innego miasta. Za Runowskiem był obóz pionierski, trzech chłopcy uciekli z niego nad jezioro, były tam domki letniskowe ważnych oficjeli partyjnych, między innymi z komitetu obwodowego. Chłopcy pokonali jakoś ogrodzenie i dotarli nad zamkniętą część brzegu, gdzie stały łodzie motorowe dla prominentnych letników. Dwaj chłopcy ukradli motorówkę, a trzeci wziął kuter i urządzili wyścigi po jeziorze. Gdy ochroniarze ich zobaczyli, wybiegli na brzeg i zaczęli krzyczeć przez megafon, żeby natychmiast zawrócili. Chłopcy widocznie się przestraszyli, stracili panowanie nad sterami i ten, który płynął kutrem, z całego rozpędu uderzył w motorówkę. Motorówka rozpadła się oczywiście na kawałki, a chłopca wyrzuciło z kutra. Krótko mówiąc, tragedia! Jedno dziecko utonęło od razu, dwoje pozostałych doznało ciężkich obrażeń, wyciągnięto je i zawieziono do naszego szpitala, Dmitrij Wasiljewicz je operował. Jeden z chłopców zmarł podczas operacji, a drugi leżał jeszcze parę dni na intensywnej terapii i też zmarł, nie odzyskując przytomności. Doskonale wszystko pamiętam, w tamtym okresie asystowałam Dmitrijowi Wasiljewiczowi przy operacjach. Och, jak on to przeżywał! Dawno nie miał żadnych zgonów, a tutaj dwa od razu.

– Nie pamięta pani, czy wszczęto sprawę karną?

– Nie znam się na tym, ale milicji było dużo, pamiętam, że wciąż się kręcili po szpitalu, wypytywali kogo się da o to, co się wydarzyło.

– Kogo wypytywali? – zapytała zdziwiona Nastia.

Kogo w szpitalu można było pytać o wypadek nad jeziorem? Co personel szpitala mógł o tym wiedzieć?

– Ochroniarzy – wyjaśniła Wołkowa. – Tych, którzy przestraszyli chłopców i widzieli wszystko na własne oczy. Tkwili tutaj bez przerwy, czekali na wynik operacji, pewnie też to przeżywali. Milicja ich tutaj przesłuchiwała. Na korytarzu siedziała też drużynowa, nie mogła sobie znaleźć miejsca, przecież to przez jej niedopatrzenie dzieciaki wymknęły się z obozu. Twarz jej się zapadła, widać było tylko oczy. A gdy przyjechali rodzice chłopców, musiała się przed nimi tłumaczyć, bo kierownik obozu powiedział: „Sama jesteś sobie winna, nawarzyłaś piwa, to je teraz wypij, ja nie zamierzam odpowiadać za twoje niedbalstwo”. Aż przykro było na nią patrzeć. Biedna dziewczyna. Było jej żal i chłopców, i ich rodziców, i samej siebie, mogli ją przecież wyrzucić za to ze studiów i z Komsomołu. Ale jakoś jej się upiekło, skończyła instytut, a potem pracowała w szkole. Teraz jest już dyrektorką, osobą szanowaną...

Nastia i Aleksiej rozmawiali ze Swietłaną Borisowną jeszcze prawie godzinę i wyszli ze szpitala, zapisawszy uprzednio imię i nazwisko dawnej drużynowej, a teraz dyrektorki szkoły i osoby szanowanej. Wołkowa podała im nawet numer i adres szkoły – w tej samej szkole uczyła się kiedyś jej córka, a dawna drużynowa, obecnie

dyrektorka, uczyła ją rosyjskiego i literatury.

– No co, walimy do szkoły? – dziarsko zaproponował Czistiakow. – Adres znamy.

– Ale nie mamy mapy – z powątpiewaniem odparła Nastia. – A ty umiesz znajdować ulice tylko za pomocą mapy.

– A ty nie umiesz nawet tego – odciął się. – Poza tym kto pyta, nie błądzi. Jakoś sobie poradzimy.

Dotarli do szkoły w ciągu niecałej pół godziny, ale okazało się, że dyrektorka pojechała na naradę do departamentu edukacji i będzie w pracy dopiero jutro.

– Co robimy? – markotnie zapytała Nastia.

– Chodźmy do kina – niespodziewanie zaproponował Aleksiej. – Kiedy ostatnio byliśmy w kinie, pamiętasz?

– Owszem. – Nastia skinęła głową. – W pięćdziesiątym pierwszym roku. Rano wróciłam z delegacji, w pociągu nie zmrużyłam oka i strasznie bolała mnie głowa, a ty zaciągnąłeś mnie wieczorem na jakiś kiepski amerykański thriller. Czułam się w kinie tak fatalnie, że od tej pory oglądam filmy tylko z kaset i płyt, leżąc na kanapie w domu.

– No proszę – zdziwił się Losza – jednak pamiętasz, a ja myślałem, że zapomniałaś o tej historii i zamierzałem ci ją przypomnieć. No to jak, Aśka, przypomnimy sobie dawne czasy i naszą młodość? Miejmy nadzieję, że jest w tej dziurze chociaż jedno kino.

– Z miłą chęcią! – ochoczo przystała Nastia. – Będzie zabawnie, gdy znowu trafimy na marny amerykański film.

Szybko znaleźli kino, które znajdowało się w pobliskim Domu Kultury przy zakładach meblowych, i długo się śmiali, stojąc przed plakatem reklamującym amerykański film akcji. Wprawdzie Czistiakow już go widział, mimo to kupili bilety. Do seansu pozostawała prawie godzina.

– Pani pozwoli, że zaproszę panią na lody i wodę gazowaną z sokiem malinowym, żeby wszystko było tak jak za czasów naszej młodości – z uśmiechem powiedział Aleksiej. – Będziemy jeść lody i spacerować wokół Domu Kultury.

Nastia rozejrzała się i zauważyła, że bilety kupuje głównie młodzież. Nagle poczuła się nieswojo.

– Czuję się staro, Losza – wyznała. – Zobacz, sami smarkacze chodzą tutaj do kina. Sytuacja jest niekomfortowa. Może zrezygnujemy? Bo inaczej wszyscy będą nas wytykać palcami.

– Nieprawda, staruszko – zaproponował Aleksiej. – Ja na przykład dostrzegłem faceta, na oko trzydziestopięcioletniego, z damą o obfitych kształtach i wspaniałych walorach zewnętrznych. Oni też chcą obejrzeć film i wnioskując z ich swobodnego zachowania, nikogo się nie wstydzą.

– No dobrze. – Nastia westchnęła. – Chodźmy kupić mi lody.

– A co ze mną?

– Ty jesteś biednym dziewięcioklasistą, nie masz pieniędzy na dwie porcje, bo przecież zapłaciłeś za bilety – odparła Nastia, przekomarzając się z mężem. – Chciałeś, żeby było tak jak w młodości, więc twoje życzenie się spełni.

– Ale ja mam dobrą pamięć, Aśka. I pamiętam, że gdy zabrakło mi pieniędzy na dwie porcje lodów, zrezygnowałaś z nich w geście solidarności.

Nastia się roześmiała i cmoknęła Czistiakowa w policzek. Kupili dwie porcje Eskimo¹², po czym ruszyli nieśpiesznym krokiem wokół budynku, w którym mieściło się kino.

– Jak to się stało, Losza, że lekarz, któremu umarli niemal jednocześnie dwaj pacjenci, nagle dostaje ogromny awans? – zapytała Nastia w zamyśleniu. – Widzimy przecież na własne oczy, że Runowski to mała, szara miścina. I nagle stąd, z posady zwykłego chirurga, wprowadzie z bardzo dobrą reputacją – do Jużnomorska, do klinicznego szpitala dziecięcego, w dodatku na stanowisko ordynatora. Coś tu się nie zgadza.

– A może warto przejrzeć dokumenty?

– Jakie dokumenty, Losza? Minęło dwadzieścia sześć lat. Czas przechowywania poszczególnych dokumentów w archiwum jest ściśle określony, w przeciwnym razie archiwa rozrosłyby się do niewyobrażalnych rozmiarów. Sprawa karna to jedno, a odmowa wszczęcia postępowania to zupełnie co innego. W sprawie wypadku na jeziorze na pewno nie wszczęto postępowania karnego, przecież nie ma tam winnych, z wyjątkiem samych chłopców. Ale masz rację, trzeba to sprawdzić. Zaczekaj chwilę, zaraz zadzwonię do Stasowa, niech się wykaże i poszuka kontaktu w miejscowej milicji.

Stasow obiecał pomóc w znalezieniu kontaktu, po czym oznajmił, że dostał odpowiedź z agencji, która zajmuje się poszukiwaniami

genealogicznymi. W genealogii Jewtiejewów nie ma żadnych bogatych kupców, hrabiów czy innych arystokratów, więc cenne pamiątki rodzinne nie wchodzą w grę.

– Ale domyślam się, że już cię to nie interesuje – zauważył Stasow.

– Zgadłem?

– Zgadłeś. Mam wrażenie, że źródła historii z Jewtiejewem trzeba szukać w roku osiemdziesiątym czwartym, kiedy po śmierci dwóch chłopców doktora nagle awansowano – odparła Nastia z przekonaniem. – Możesz się pospieszyć, Stasow? Nie potrzebuję właściwie nic szczególnego, tylko stare akta z archiwum, jeśli one tam w ogóle są. Zapisałeś wszystkie dane?

– Zapisałem, nie martw się. A co u ciebie? Co porabiasz?

– Wybieram się do kina – odparła zgodnie z prawdą. – A teraz jem lody.

– No to świetnie.

Nastia i Czistiakow jeszcze raz okrążyli budynek Domu Kultury, tym razem w całkowitym milczeniu, i wrócili do przerwanej rozmowy.

– A zwróciłeś uwagę, że właściwie opowiadano nam o zupełnie innym Jewtiejewie?

– Owszem. – Czistiakow kiwnął głową. – Niby też o chirurgu, ale o takim, który był spokojny, dobry i miły wobec kolegów. Wołkowa ani słowem nie wspomniała, że bywał opryskliwy, obrażał innych, awanturował się i tak dalej.

– No właśnie. Jewgienij Jewtiejew też mówił, że po przeprowadzce ojciec stał się innym człowiekiem. No to co się przytrafiło naszemu

doktorowi, jak sądzisz? Dlaczego tak się zmienił? Nie, Losza, coś mi mówi, że właśnie tu jest podłoże całej historii.

Czistiakow zerknął na zegarek i pociągnął Nastię ku wejściu.

– A mnie coś mówi, że projekcja filmu zacznie się bez nas. Szkoda, bilety przepadną, a kupiłem je, oszczędzając na obiedzie.

Nastia jęknęła.

– Całkiem zapomniałam, że nie jedliśmy dzisiaj obiadu! Jeśli chodzi o mnie, to pół biedy, wystarczą mi lody, ale ty pewnie jesteś głodny. Może darujemy sobie film i chodźmy cię nakarmić, co?

Ale Czistiakow już podawał bilety pracownikowi kina i pewnym krokiem prowadził Nastię do sali na amerykański film.

¹² Lody waniliowe na patyku w polowie czekoladowej, bardzo popularne w ZSRR.

ROZDZIAŁ 12

Po wczorajszej rozmowie z matką Maksim Kramariew był na siebie zły, że nie wytrzymał i powiedział, co myślał. Dawno już się odzwyczaił od mówienia na głos tego, co naprawdę myśli – w dzieciństwie nauczono go, że powinien być powściągliwy i kulturalny, nikogo nie obrażać ani nie znieważać. Ale niepowodzenia ostatniego okresu wytrąciły go z równowagi. Sprawa, dla której ściągnął tutaj Sorokinów i Gaszyna, utknęła w martwym punkcie, upragniony rezultat wydawał się nieosiągalny, a bez niego zwycięstwo nad Razuwajewem w wyborach było mocno wątpliwe. Kramariew okropnie się denerwował i z każdym dniem coraz trudniej mu było zachować spokój. Rozmowa z Zoją Pietrowną jasno i dobitnie pokazała, że jest na granicy wytrzymałości, w przeciwnym razie za nic nie obrzuciłby błotem drugiego męża, Wsiewołoda, i na pewno nie wytknęłby matce, że go nie kochała. Doszedłem do kresu, gniewnie myślał Maksim, patrząc przez okno samochodu na przesuwające się szyldy sklepów i restauracji na Prospeckie Lenina. Zaczęły mi puszczać nerwy. Dokąd mnie to zaprowadzi? Muszę być rozważny i opanowany, a ja wciąż mam ochotę, żeby rzucić się na rozmówcę i nazwać rzeczy po imieniu. Rano bez powodu nawrzeszczałem na Katierinę. Urządziłem awanturę kierowcy. Będę jeszcze musiał porozmawiać z Gaszynem.

Dobrze, jeśli facet okaże się trzeźwy. A jeśli znowu się zalał? Wtedy za siebie nie ręczę. Powinienem gdzieś wyjechać z Żanną na parę dni, żeby odpocząć, wyspać się, pomilczeć, popływać do woli... Ale jak tu teraz wyjechać!

Samochód zatrzymał się przed wejściem do wieżowca, nijakiego i podobnego do innych. Kramariew od razu dostrzegł auto z siedzącymi w środku ochroniarzami, którzy mieli pilnować Gaszyna. Pilnować, a nie ochraniać. Ponieważ Sławomir Iljicz miał kategoryczny zakaz opuszczania mieszkania. Na widok Maksima jeden z ochroniarzy otworzył drzwi i wysiadł.

– Wszystko w porządku, Maksimie Witaljewiczu – zameldował.

– Nie próbował wyjść? – zapytał Kramariew.

– Żeby to raz. – Ochroniarz się uśmiechnął. – Ale robiliśmy tak, jak pan kazał. Mówiliśmy mu: „Jeśli pan czegoś potrzebuje, proszę nam powiedzieć, my to dostarczymy”.

Kramariew zachmurzył się.

– I co mu przynosiliście?

– Jedzenie. – Ochroniarz odwrócił wzrok. – Gazety.

– I alkohol?

– Nie mówił pan przecież, że nie wolno. – Mężczyzna zaczął się usprawiedliwiać. – Powiedział pan, że facet ma nie wychodzić. No a czym się zajmuje, nie nasza sprawa.

A więc Gaszyn wciąż popija... To niedobrze. Z jednej strony, teraz nie jest właściwie potrzebny, nie można się nim posłużyć, ale z drugiej strony, byłoby lepiej, gdyby umysł miał jasny i chłonny. Czasami daje

dobrze rady i wygłasza ciekawe opinie. Nie, nie wolno pozwolić, żeby Sławomir pił bez opamiętania, w każdej chwili sprawa może ruszyć z martwego punktu i wtedy zdolności Gaszyna na pewno się przydadzą. A może wcale nie? W zasadzie można się bez niego obejść, niech się upija, niech robi, co chce, byleby tylko nie pokazywał się na ulicy i nie robił głupstw.

W ślad za Kramariewem z samochodu wysiadł jego osobisty ochroniarz, który stał teraz w gotowości, czekając, aż szef ruszy przed siebie. Weszli razem do budynku i wjechali na jedenaste piętro, gdzie w wynajętym mieszkaniu przebywał Sławomir Iljicz Gaszyn. Jeszcze stojąc przed zamkniętymi drzwiami, Kramariew usłyszał odgłosy telewizora, który był włączony na cały regulator. To znaczy, że Gaszyn pracuje. Zawsze pracuje w hałasie, tak już jest skonstruowany. Ale skoro pracuje, to znaczy, że nie jest pod wpływem alkoholu, może nawet nie zaglądał do kieliszka.

– Zjawileś się na kontrolę? – Gaszyn uśmiechnął się krzywo, podniósłszy głowę znad laptopa. – Już ci pieski zakablowały?

– Nikt mi nie zakablował. – Maksim wzruszył ramionami. – Przyjechałem, żeby się dowiedzieć, co słyhać. Ale informacje, rzecz jasna, mi przekazano. Nie przesadzasz, Sława? Może pora odstawić już alkohol? I ścisz telewizor, bo nie da się rozmawiać.

– Sam wiem, co i kiedy powinienem odstawić – odciął się Sławomir Iljicz, operując pilotem. – Przecież widzisz, że pracuję. I to ciężko.

Ostentacyjnie opuścił głowę i napisał parę słów na klawiaturze. Gdy znowu spojrział na Kramariewa, na jego twarzy malował się

triumf, a w oczach błyszczało natchnienie.

– Wyobraź sobie, że zaczęło mi wychodzić to, co nie wychodziło od lat. Żarty na bok, Maksimie, robota naprawdę ruszyła z kopyta. Nie masz pojęcia, co wymyśliłem! Nie spodziewałem się tego po sobie, myślałem, że to już koniec, że nic już nie spłodzę. Ale okazało się, że za szybko spisałem się na straty, jeszcze mogę tworzyć!

– A nie możesz nie pić? – z przekąsem zapytał Maksim. – Zrozum, Sława, że teraz nie jest właściwy moment. Tak dobrze się ostatnio trzymałeś, a teraz ta baba... Nie mogę sobie wybaczyć, że spuściłem cię z oczu i pozwoliłem, żebyś się wdał w niedorzeczny romans.

– On nie jest niedorzeczny! – Gaszyn się obruszył.

– No a jaki? Jak go nazwiesz, skoro w rezultacie nie możesz już u mnie mieszkać i musisz się ukrywać? Mało ci było Olgi? Po jaką cholere zbałamuciłeś Walentinę? Co ci strzeliło do głowy? Masz pięćdziesiąt cztery lata, pora się ustatkować i nie zmieniać bab co miesiąc. Znalazł się Casanova!

Gaszyn wstał i zrobił parę kroków po przestronnym pokoju, w którym prawie nie było mebli, tylko dwa fotele i kanapa, na której siedział z laptopem na kolanach. Oczy mu błyszczały, ładne wargi wygięły się w lekkim uśmiechu, i Maksim mimo woli zapatrzył się na jego zgrabną, wysmukłą figurę.

– Nie rozumiesz. Potrzebuję intensywne przeżyć i silnych emocji, nie znoszę jałowości i sztampy, nie mogę pracować, gdy wszystko jest stabilne i przewidywalne. Muszę czuć, że dusza rozrywa mi się na strzępy, a gonitwa myśli pozbawia snu i spokoju. Tylko wtedy mogę

coś stworzyć. I tworzę! Zobacysz, że wkrótce będzie o mnie głośno. Olga i Walentina się nie liczą, najważniejsza jest moja praca. Jeśli moje kobiety mają na nią pozytywny wpływ, niech sobie będą.

Maksim ze znużeniem opadł na fotel, wyciągnął nogi i zapalił papierosa.

– Twoje kobiety mają pozytywny wpływ na twoją pracę, ale nie na ciebie. Sam widzisz, do czego to wszystko doprowadziło. Chyba nie jesteś zachwycony tym, że siedzisz tu zamknięty, prawda? Ale musisz, to efekt twoich nieprzemyślanych działań.

– To efekt twojej nieufności – ostro zripostował Sławomir Iljicz. – Cierpisz na paranoję, Maksimie, wszędzie wietrzysz niebezpieczeństwo, w każdym napotkanym człowieku widzisz wroga. Jestem pewien, że gdy odwołasz swoich goryli i zapewnisz mi swobodę ruchów, nic strasznego się nie stanie. Nikt mnie nie złapie i nie uprowadzi. Komu jestem potrzebny?

– Wyjaśniłbym ci, tylko nie mam ochoty strzępić sobie języka. Będziesz tutaj siedział, póki nie pozwolę ci wyjść.

– A kiedy mogę się spodziewać tego szczęśliwego dnia? – wyniośle zapytał Gaszyn.

– Obawiam się, że nieprędko. Więc szykuj się na długą samotność. – Kramariew się uśmiechnął. – Twoja niesubordynacja wychodzi mi bokiem, zbyt drogo mnie kosztuje. Siedź, twórz, pracuj. No i postaraj się nie pić.

– Co ci do tego, czy piję?

Gaszyn podszedł do kanapy i podniósł z podłogi na wpół opróżnioną

butelkę whisky, przyjrzał jej się uważnie, jakby ją widział pierwszy raz w życiu, potrząsnął, przyłożył do ucha, później upił duży łyk i znieruchomiał, wsłuchując się w swoje odczucia.

– Co ci przyjdzie z tego, że będę trzeźwy? – ciągnął, odstawiając butelkę na podłogę. – Całkowicie zrezygnowałeś z mojej pomocy, nawet nie przywozisz Sorokinów, o wszystkim decydujecie sami, jakby mnie nie było, jakbym nie miał nic do powiedzenia. Ignorujesz mnie, zatajasz informacje, nie pytasz o radę jak dawniej. Owszem, piję. Ale komu to szkodzi? Czy cierpi na tym moja praca? Nic podobnego. Teraz pracuję tak efektywnie jak nigdy przedtem.

– Niby jak mam korzystać z twojej pomocy, skoro nie mogę cię stąd wypuścić? Nie mogę też przywieźć tutaj Sorokinów z uwagi na twoje bezpieczeństwo, kretynie!

Maksim znowu wybuchnął, chociaż dał sobie słowo, że nie da się sprowokować. To sprawiło, że jeszcze bardziej stracił humor.

– Czy twój kurzy mózdzek nie potrafi zrozumieć, że im mniej ludzi wie, gdzie jesteś, tym dla ciebie lepiej?!

– Nie wydzieraj się na mnie – spokojnie rzekł Gaszyn, sięgając znowu po butelkę. – Czyżbyś nie ufał też Sorokinom?

– Nie ufam nikomu. I dlatego osiągnąłem w życiu to, co osiągnąłem. Będę się na ciebie wydzierał tak długo, jak długo twoje wyskoki będą zagrażały moim planom. Jasne?

Gaszyn opadł na kanapę, wyciągnął się na niej i uśmiechnął pojednawczo.

– Jasne. Zrozumiałem, że mam do czynienia z paranoikiem. Ale

jestem od ciebie materialnie zależny, więc będę posłusznie spełniał twoje absolutnie niedorzeczne żądania. Będę siedział cicho w mieszkaniu, pracował i pił. A przy okazji, kończą mi się pieniądze, więc jeśli w najbliższych dniach nie zamierzasz mnie odwiedzić, wyciągnij właściwe wnioski.

Kramariew w milczeniu wyjął portfel i położył parę pięciotysięcznych banknotów na kanapie. Nie powinien był wiązać się z Gaszynem, co go podkusiło! Ale na początku sądził, że jego pomoc może się okazać przydatna. Tymczasem facet narobił niezłego bigosu... Przyniósł oczywiście pewien pożytek, ale szkoda okazała się o wiele większa. Mało że nie popchnął sprawy do przodu, to jeszcze przysporzył kłopotów.

*

Olga zamyśliła się tak głęboko, że omal nie zapomniała o kawie, którą zaparzała w tygielku. Dodała parę kropel wody, żeby piana opadła, po czym rozlała napar do filiżanek, umieściła je na tacy razem z cukierniczką i mlekiem w dzbanuszkach, a następnie zaniósła do pokoju, gdzie czekał na nią cierpliwie mężczyzna imieniem Michaił, prywatny detektyw, który z jakiegoś powodu szuka Sławomira. Nie chciał podać nazwiska klienta, więc Olga gubiła się w domysłach, co to wszystko może znaczyć.

– Proszę zrozumieć, panie Michaile – powiedziała – niczego nie ukrywam, naprawdę nie mam pojęcia, gdzie się ukrywa Sławomir

Iljicz. Z ręką na sercu panu powiem, że gdybym miała pieniądze, sama zleciłabym jego poszukiwanie. Jestem tak samo jak pan zainteresowana tym, by go znaleźć. Pragnę zrozumieć, co się stało. Chcę z nim porozmawiać. Tego, co się między nami wydarzyło, nie da się nazwać zerwaniem, bo przecież on nadal do mnie dzwoni i okazuje sympatię. Ale nie jest to też normalny związek. To raczej... właściwie nie wiem, jak to określić.

Michaił przyglądał jej się uważnie, jego ciemne oczy były spokojne i łagodne, więc Olga znowu przypomniła sobie spojrzenie Gaszyna, który miał tak samo ciemne oczy i który patrzył na nią tak samo łagodnie i uważnie. Na nią, na Olgę, ale też na tamtą kobietę, z którą go kiedyś widziała, gdy przejeżdżała koło lasu. A może wyciągnęła wtedy zbyt pochopne wnioski? Może kobieta była tylko jego znajomą albo koleżanką z pracy, albo nawet krewną. Przecież Olga nawet nie wie, czy on ma krewnych. Nie zna też numeru jego telefonu komórkowego. Kiedy do niej dzwonił, na ekranie wyświetlał się komunikat „Numer zastrzeżony”. Tak było od samego początku, Olga dała mu swój telefon, a on jej swojego nie. Właściwie nic nie wie o swoim kochanku, więc chociaż czuje się głupio, będzie musiała przyznać się do tego ciemnookiemu Michaiłowi.

– W ogóle o sobie nie opowiadał, za to stale mnie wypytywał i bardzo uważnie słuchał. Tak, wiem, jaką kawę lubi, jakie filmy mu się podobają, wiem, jak bierze prysznic, ale o tym, jak żył, gdzie, z kim, co robią jego rodzice, jaką miał żonę, jeśli w ogóle ją miał, czy ma dzieci – o tym nic a nic nie wiem.

– Dlaczego go pani nie zapytała?

– Nie wiem. – Olga uśmiechnęła się z zażenowaniem. – Chociaż właściwie wiem. Z dwóch powodów. Po pierwsze, czułam się niezręcznie.

– Niezręcznie? – zdziwił się Michaił. – Dlaczego?

– Gdy ktoś panu mówi, że jest naukowcem prowadzącym tajne badania, dobre wychowanie nakazuje nie okazywać nadmiernej ciekawości. Zgadza się?

– No... chyba tak – przyznał prywatny detektyw.

– Poza tym zaliczyłam sporo niepowodzeń w kontaktach z mężczyznami i doskonale wiem, że nie lubią, gdy się ich wypytuje o rodzinę, żonę i dzieci. Gdy tylko kobieta zainteresuje się, czy kochanek jest żonaty, ten natychmiast zaczyna się obawiać, że w jej głowie dojrzewają plany matrymonialne. Wiele razy się na tym potknęłam, więc teraz nie popełniam takich błędów. Jeżeli mężczyzna mi się podoba, nie stawiam żadnych pytań, nie ma żadnego znaczenia, jaką ma rodzinę.

– No dobrze, a drugi powód?

– Drugi jest jeszcze bardziej banalny. Sławomir tak żywo i szczerze interesował się moją osobą, życiem, doświadczeniami i wspomnieniami z dzieciństwa, że nie potrafiłam się powstrzymać przed pokusą opowiadania o sobie. Muszę panu wyznać, Michaile, że to było jak narkotyk. Raz człowiek spróbuje i nie może się potem oprzeć, chce, żeby doznania się powtórzyły. Zastanawiając się nad pańskimi pytaniami, zaczęłam sobie przypominać wszystko, co wiem o

Sławomirze, i nagle zrozumiałam, że gdy się spotykaliśmy, on się prawie nie odzywał, zadawał tylko pytania i słuchał, a ja gadałam jak nakręcona. To dlatego nic o nim nie wiem, on zaś wie o mnie wszystko. Był niezwykle uważnym słuchaczem.

– Coś chyba jednak mówił, nie zadawał tylko pytań – z niedowierzaniem zauważył Michaił. – Pytał, jakie książki czytała pani w dzieciństwie?

– Owszem – ze zdziwieniem przyznała Olga. – Skąd pan wie?

– Domyśliłem się – odparł z uśmiechem.

– Nieprawda, nie mógł się pan domyślić, to przecież nieszablonowe pytanie...

Olga od razu przywołała w pamięci tamtą rozmowę o dziecięcych pasjach. Właściwie Michaił ma rację, ich rozmowy ze Sławomirem nie składały się wyłącznie z jej monologów, skądś przecież wie, jakie kino i książki on lubi. A właśnie, książki...

– Przypomniałam sobie pewną rozmowę. Kiedyś Sławomir powiedział: „Gdybym był pisarzem, napisałbym powieść albo sztukę. Sztuka byłaby chyba ciekawsza. Napisałbym o człowieku obdarzonym talentem przez naturę, dobrym, mądrym, błyskotliwym, przyzwoitym, który ma wszystko, żeby osiągnąć sukces, a jednak nic mu się nie udaje, mimo że się stara, dwoi się i troi. Nie rozumie, dlaczego spotykają go porażki, i nagle, już na łożu śmierci, dowiaduje się, że winę za wszystkie niepowodzenia ponoszą jego wrogowie i nieprzyjaciele. Nie mógł nic osiągnąć, ponieważ od lat rzucali mu kłody pod nogi. Ciekawe, prawda? Jak sądzisz, wystawiono by taką

sztukę? Miałaby wzięcie?”.

– Coś w tym jest – w zamyśleniu odparł Michaił. – I co pani odpowiedziała?

– Mój Boże, Misza, jak pan myśli, co mogłam odpowiedzieć, skoro Sławomir mi się podobał? Powiedziałam, rzecz jasna, że to genialne i że sztuka na pewno odniosłaby ogromny sukces.

– Naprawdę tak pani uważała?

– Oczywiście, że nie. Wszelkie teorie spiskowe są mi obce. Podobnie jak próby poszukiwania winnych dokoła. Wie pan, co jeszcze zauważyłam? Sławomir ma dar pięknego wysławiania się, buduje długie zdania, w których nie gubi podmiotu, orzeczenia i przydawek, i bardzo precyzyjnie wyraża swoje myśli.

I znowu napłynęło wspomnienie...

...Siedzieli tutaj, w tym samym pokoju, właśnie wstali z łóżka i Gaszyn przekazywał jej swoje spostrzeżenia na temat relacji Niny Siergiejewny, ogrodniczki zatrudnionej u Kramariewów, z jednym z ochroniarzy, Kostikiem. Olga zwróciła wtedy uwagę na precyzję i obrazowość sformułowań ukochanego, o czym nie omieszkała mu oznajmić. Sławomir roześmiał się i powiedział:

– W czasach technologii komputerowych, telefonów komórkowych i esemesów ludzie tracą nawyk ładnego i poprawnego wypowiedzania się, ponieważ tracą nawyk pisania.

– A co ma do tego pisanie? – Olga nie zrozumiała.

– Nie przyszło ci nigdy do głowy, że w epoce twórczości epistolarnej ludzie mówili inaczej niż teraz? Zanim człowiek napisał zdanie,

dziesięć razy się nad nim zastanawiał, bo jeśli obrał niewłaściwy kierunek, musiał wymyślić takie zakończenie, żeby niczego nie kreślić i nie przepisywać wszystkiego od początku. Listy były przecież długie, przypomnij sobie Wojnę i pokój. Nawet w czasach mojej młodości pisano jeszcze obszerne listy. A teraz, gdy teksty pisze się na komputerze, można je w każdej chwili z łatwością poprawić, coś wykreślić, przestawić czy napisać od nowa, więc nikt już nie musi dbać o staranność w wyrażaniu myśli i płynność wypowiedzi. Zwróciłaś uwagę, że dzisiaj bez trudu można rozpoznać osobę pracującą ze słowem pisanym – wyraża się inaczej, nie tak jak większość.

– A skąd się wzięła twoja kultura słowa? – zapytała Olga. – Wciąż przecież pracujesz na komputerze.

– No cóż, kochanie, mam za sobą długie życie, większa jego część upłynęła w epoce przed komputerami, więc jestem przyzwyczajony do posługiwania się długopisem. Nawiasem mówiąc, wciąż się nim posługuję, nie mogę pozbyć się tego nawyku...

Michaił zadawał jeszcze mnóstwo pytań, na które Olga sumiennie odpowiadała, zdając sobie sprawę, że jej odpowiedzi nic nie wnoszą. Opowiadała, jak Gaszyn zjawił się po raz pierwszy w domu Kramariewów, zagadkowy, małomówny, zamyślony i zabójczo przystojny, jak się poznali i zaczęli spotykać, jak wyjechał na dwa tygodnie, a później wrócił w obstawie ochroniarzy, którzy nie odstępowali go na krok. Sławomir przyznał się wtedy, że wyjechał, by przeprowadzić jakieś badania w laboratorium, a teraz zamierza skończyć opracowanie, które weszło w stadium finalne, więc

zapewniono mu wzmocnioną ochronę. Olga snuła wspomnienia o Sławomirze Gaszynie – bolesne, a zarazem słodkie. Nie rzuciły one jednak ani odrobiny światła na możliwe kierunki poszukiwań. Mężczyzna, którego namiętnie kochała, z którym prowadziła długie rozmowy, z którym sypiała, za którym tęskniła i o którym nie mogła zapomnieć, pozostał dla niej wielką niewiadomą.

*

Dyrektorka szkoły numer dwa w Runowsku Natalia Olegowna sprawiała sympatyczne wrażenie, wyglądała młodo, choć była niesłychanie otyła. Poruszała się wolno i ciężko, ale spojrzenie miała bystre i uważne. Gdy dowiedziała się, jakich informacji potrzebują goście z Moskwy, w jednej chwili się zachmurzyła.

– To była straszna historia – powiedziała. – Nawet teraz trudno mi o niej mówić, a wtedy...

Natalia Olegowna świetnie pamiętała szczegóły, nie zapomniała ani twarzy, ani nazwisk ochroniarzy domków letniskowych należących do partyjnych oficjeli, a także rodziców chłopców, którzy zginęli.

– Czegoś takiego nie da się zapomnieć – powiedziała ze smutkiem. – Do tej pory mam przed oczami wszystkie twarze, choć minęło tyle lat.

Nastia sumiennie zapisała informacje, które udało jej się wyciągnąć z Natalii Olegowny. Interesowali ją przede wszystkim świadkowie zdarzenia, ale okazało się, że byli nimi tylko dwaj

ochroniarze.

– Czy w domkach przebywali wówczas urlopowicze? – drążyła uparcie Nastia. – Oni też pewnie pobiegli nad jezioro i wszystko widzieli.

– Odpoczywał tam dyrektor jakiejś dużej fabryki budowy maszyn średnich – przypomniała sobie dyrektorka. – Ale nie zaglądał do szpitala, więc chyba nic nie widział.

Nastia Kamieńska doskonale wiedziała, co to naprawdę oznacza. W czasach radzieckich fabrykami budowy maszyn średnich nazywano tajne fabryki zbrojeniowe, które miały własną milicję, prokuraturę i sądy. Każdego pracownika bacznie obserwowano, a dyrektora takiego przedsiębiorstwa otaczano specjalną opieką, również podczas urlopu, w dodatku zajmowali się tym nie przypadkowi ochroniarze, lecz funkcjonariusze KGB. To oni występowali jako świadkowie w sprawie nieszczęśliwego wypadku chłopców. Trzeba by ich odszukać i z nimi porozmawiać. Może nie wszystko wtedy powiedzieli? A nuż coś wiedzą. Nie brzmi to zbyt sensownie, ale od czegoś trzeba w końcu zacząć.

Natalia Olegowna przypomniała sobie też nazwisko dyrektora fabryki, więc Nastia zapisała je na wszelki wypadek, chociaż tak naprawdę żaden szczególny wypadek nie wchodził w grę. Mężczyzna nic przecież nie widział. A jeśli nawet widział, trudno było oczekiwać, że będąc w podeszłym wieku, cokolwiek sobie przypomni.

Po południu zadzwonił Stasow i znużonym głosem oznajmił, że nic nie wskórał. Udało mu się, choć z dużym trudem, odświeżyć kontakty w komendzie w Runowsku, ale jak się można było spodziewać,

powiedziano mu, że materiały, które stały się podstawą do podjęcia decyzji o zamknięciu dochodzenia, zostały zniszczone po upływie dwudziestu pięciu lat na podstawie zarządzenia numer... Nie znalazł też funkcjonariuszy, którzy sporządzili owe materiały dwadzieścia sześć lat temu.

– A więc wracam – stanowczo oznajmiła Nastia. – Nie mam tu nic więcej do roboty.

– Racja. Wracaj i zaczynaj od nowa, będziesz szukać rodziców i świadków.

Nastia i Czistiakow kupili bilety na najbliższy pociąg do Moskwy, szybko spakowali manatki, zostawili sąsiadce klucze od mieszkania, tak jak życzyła sobie właścicielka, i oddawszy torby do przechowalni bagażu, jeszcze przez półtorej godziny przechadzali się po mieście, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, zanim spędzą całą dobę w ciasnym przedziale.

– Musisz przyznać, że dobrze nam się pracuje razem – w zamyśleniu powiedziała Nastia, gdy pociąg ruszył i budynek dworca przesunął się za oknem. – Może powinieneś rzucić swoją wielką naukę i zostać moim wspólnikiem?

– Zastanowię się – obiecał Aleksiej. – Zobacz, ten Runowsk to jednak małe miasto.

Uśmiechnął się i pomachał do kogoś za oknem.

– Do kogo machasz?

– Na tamtej ławce siedzi para, którą widziałem w kinie. Pamiętasz, mówiłem ci o niepozornym mężczyźnie i damie o wspaniałych

walorach zewnętrznych? Oni też nas wtedy zauważyli, widocznie przyjezdni rzucają się w oczy i wszyscy zwracają na nich uwagę.

– Dlaczego sądzisz, że nas zauważyli? – Nastia nie zrozumiała.

– Bo gdy skrzyżowaliśmy z facetem spojrzenia, on się uśmiechnął. Wiesz, Aśka, to drobiazg, ale miły. Jakbyśmy zostawili znajomych w tej pipidówce. No dobrze, pójdę teraz oczarować konduktorę, żeby się dowiedzieć, czy możemy liczyć na herbatę i coś do jedzenia.

Czistiakow wyszedł z przedziału, a Nastia wyciągnęła się na siedzeniu i znowu zaczęła rozmyślać o doktorze Jewtiejewie. Jeszcze trzy tygodnie temu w ogóle o nim nie słyszała, a teraz na dobre zajął jej myśli.

*

– Po co się do niego uśmiechnęłaś? – Linda Hasanowna nie kryła oburzenia. – Teraz cię zapamięta.

– No i co z tego? – wesoło odparł Piotr. – Nie będziemy już ich obserwować, bo wyjechali. Widocznie załatwili wszystkie sprawy. My też załatwiliśmy, co mieliśmy do załatwienia, więc chodźmy kupić bilety do Jużnomorska.

– A jeśli wrócą? Może jeszcze nie skończyli? – Linda nie ustępowała. – Skąd możesz wiedzieć? Przez cały czas pobytu w Runowsku nawet nie próbowali skontaktować się z milicją, a powinni byli. To znaczy, że zamierzają to zrobić następnym razem. Zobacysz, że wrócą, i znowu zostaniemy zatrudnieni, żeby ich śledzić. Ciekawe,

co wtedy zrobimy, skoro facet cię zauważył? Jesteś jednak zaskakująco lekkomyślny, Pietrusza.

Piotr pogładził pojednawczo rękę przyjaciółki, jak zwykle przesuwając palcem po dużym, wypukłym oczku w jej złotym pierścionku. Sam go wybrał w sklepie jubilerskim w Noworosyjsku, gdzie wykonywali z Lindą zadanie akurat w dniu jej urodzin. I do tej pory się cieszył, gdy Linda zakładała ten pierścionek. Było mu miło.

– Nie wrócą. Nawet nie poszli na komisariat. A więc uważają, że nie mają tam czego szukać, bo i tak wszystko jest jasne. Chodźmy do kasy, Lindo Hasanowno, bo zaraz przyjedzie pociąg do Soczi i ustawi się kolejka po bilety.

Pociąg, którym można było dojechać do Jużnomorska, zatrzymywał się w Runowsku w środku nocy, więc Piotr zaproponował Lindzie, żeby posiedzieli w restauracji niedaleko dworca. Zajrzawszy do skromnego menu, Linda zaczęła narzekać, że nie ma w nim ani jednego dania, które mogłaby zjeść wieczorem bez obawy, że nie będzie się trzymać diety.

– Nic, tylko umrzeć z głodu w tym Runowsku – poskarżyła się, podając menu Piotrowi.

Ten szybko przebiegł wzrokiem listę dań i od razu się zdecydował.

– Wezmę pieczeń Wieczorny Runowsk i sałatkę bawarską.

Linda chwyciła się za głowę.

– Chyba postradałeś rozum! Pieczeń to przecież mięso z ziemniakami, a więc tłuszcz i kalorie, a ty masz wysoki cholesterol. A sałatka bawarska to dla ciebie pewna śmierć, bo to gotowane

ziemniaki z parówkami wieprzowymi. Nie zaśniesz później do rana. Nie, Pietieńka, nie pozwalam. Widziałam w menu jakąś rybę z warzywami, możesz ją sobie zamówić.

– Ale ja nie lubię ryby z warzywami, wolę mięso i ziemniaki. – Piotr wyszczerzył zęby w uśmiechu, w oczach błysnęły mu łobuzerskie ogniki. – Mam ochotę na ziemniaki i parówki. A później na herbatę i coś słodkiego. Pamiętaj, kochanie, że jeśli mi nie pozwolisz, będę musiał ci opisać sytuację polityczną na świecie i przypomnieć, jak wiele narodów chce się wyzwolić spod jarzma dyktatury.

– Ależ, Pietia! – żałośnie jęknęła Linda. – Zachowujesz się doprawdy jak małe dziecko! Przecież robię to wszystko z myślą o tobie, dbam o twoje zdrowie. A ty mnie terroryzujesz. Proszę bardzo, jedz, co chcesz, tylko żebyś potem nie narzekał. Przestanę ci też przypominać, żebyś brał lekarstwo na cholesterol o właściwej porze. Rób, co ci się żywnie podoba.

Piotr roześmiał się i rzucił menu na stolik.

– No dobrze, nie unos się, dla świętego spokoju zamówię rybę z warzywami. Tylko moje namiętne przywiązanie do twoich bujnych kształtów każe mi przymknąć oko na twój nieznośny charakter. Jak ja to wytrzymuję od tylu lat?

– A wiesz – Linda Hasanowna się ożywiła – że ci moskwianie są już razem od trzydziestu pięciu lat? Wyobrażasz to sobie?

– Niemożliwe!

– Żeby tak jutra nie doczekała! Na własne uszy słyszałam, jak o tym rozmawiali. Tylko pomyśl, jakie oboje muszą mieć usposobienia,

skoro przeżyli razem tyle lat i się nie rozstali, nie znużyli sobą, nie poprzytykali i nie skłócili. Muszę ci powiedzieć, że czuję nawet coś na kształt szacunku do tej paniusi. Może rzeczywiście coś w niej jest, skoro tak elegancki mężczyzna spędził z nią trzydzieści pięć lat i nie przyszło mu do głowy, żeby ją rzucić. Masz pojęcie, w jakim ona musi być wieku? Trzydzieści pięć lat, Pietrusza, to przecież całe twoje życie. Nosileś jeszcze koszulę w zębach, a oni już się znali i ze sobą flirtowali.

– Można by pomyśleć, że kobieta jest stara, a mężczyzna nie – burknął Piotr. – Oboje są jeszcze całkiem do rzeczy. Widzę, że on ci się spodobał, nie ukryjesz tego przede mną, podejrzenie błyszczą ci oczy.

Gdy do stolika podszedł kelner, żeby przyjąć zamówienie, Linda Hasanowna dała mu się nieźle we znaki, wypytując go, z jakich składników zrobione są poszczególne dania, i wybierając to, na co pozwalała jej dieta.

– A jednak szkoda, że ta robota już się skończyła – powiedziała z westchnieniem, gdy kelner zostawił ich wreszcie samych.

– Wciąż tęsknisz za swoim przystojnym Czistiakowem? – z przekąsem zapytał Piotr.

– Nie o to chodzi. – Linda machnęła ręką. – To było dobre zlecenie, wyjątkowo komfortowe. Figuranci prawie nie jeździli samochodem, poruszali się przeważnie pieszo, więc dzięki temu spędzaliśmy dużo czasu na świeżym powietrzu, spacerowaliśmy, przesiadywaliśmy w kawiarniach, poszliśmy do kina, a nawet do delfinarium. Kiedy ostatnio tam byliśmy, co?

– W delfinariu? – Piotr zmarszczył czoło, usiłując sobie przypomnieć. – Zabraliśmy tam twojego syna, to było... to było...

– Jakieś osiem lat temu – dokończyła Linda. – Dzięki tym moskwianom przypomnieliśmy sobie, jak wygląda normalne życie. Nie włóczyliśmy się po piwnicach, nie szwendaliśmy po budowach, nie pędziliśmy gdzieś samochodem po nocy, żyliśmy tak, jak żyją tysiące przyzwoitych ludzi. Słuchaj, Pietrusza, a może powinniśmy rzucić tę robotę w diabły i żyć w ten sposób? Żle by nam było?

– To jest myśl – przyznał Piotr. – Tylko z czego byśmy się utrzymywali? Tutaj przynajmniej dobrze płacą. Oboje nic innego nie potrafimy robić, więc jak zarobimy na życie?

Spojrzeli na siebie ze smutkiem i ogarnęła ich niespodziewana melancholia. Chwycili się za ręce i siedzieli tak, póki kelner nie przyniósł zamówienia.

ROZDZIAŁ 13

Przyrodni brat Nasti Kamieńskiej, Aleksander, uporawszy się z licznymi spotkaniami i pilnymi wyjazdami, wyznaczył termin obchodów wspólnej rocznicy ślubu na sobotę, dwudziestego drugiego maja. Nastia i Sasza długo się naradzali, kogo zaprosić, w końcu doszli do wniosku, że ponieważ jubileusz jest wspólny, powinni zaprosić tylko wspólnych znajomych. Bardzo szybko się jednak okazało, że wszyscy wspólni znajomi to koledzy Nasti, nie ma wśród nich ani jednego kolegi czy przyjaciela Aleksandra Kamieńskiego.

– To nie w porządku, Sania – powiedziała strapiona Nastia. – Wygląda na to, że urządzamy przyjęcie dla mnie, z moimi przyjaciółmi. A co z tobą?

– Nic się nie martw. – Aleksander ją uspokoił. – Zjadłem z twoimi kolegami beczkę soli, więc są dla mnie jak rodzina.

Ustalono, że uroczystość odbędzie się w restauracji za miastem. Nastia i Aleksiej zjawili się pierwsi, Nastia poprosiła męża, żeby wyjechali z domu wcześniej, chciała jeszcze porozmawiać na osobności z żoną brata Daszeńką „o kobiecych sprawach”. Dasza była profesjonalną stylistką, więc Nastia pragnęła poznać jej opinię na temat sukni uszytej przez Tamarę Winogradową, w końcu nadarzyła się okazja, że mogła ją wreszcie włożyć, w Jużnomorsku się nie udało.

Ale do rozmowy nie doszło, bo zaraz zjawili się Stasow z Tatianą i synem Griszą, a także Misza Docenko z Iroczką i pięcioletnią córeczką. Od razu zrobiło się gwarno, ogromny, zwalisty Stasow wypełnił sobą całą wolną przestrzeń, a syn Aleksandra i Daszy, Sania junior, niezwłocznie urządził głośne zabawy z pozostałymi dziećmi. Był tylko o dwa lata starszy od Griszy – gdy jego rodzice się pobrali, Dasza była już w ciąży – i uważał, że syn Stasowa stanowi idealne towarzystwo, w którym może zaprezentować efekty dźwiękowe gier komputerowych, zwłaszcza że zabrał ze sobą komputer otrzymany niedawno w prezencie. Hałaśliwe odgłosy wprawiły w zachwyty córeczkę Miszy Docenki, dziewczynka na okrągło żądała, żeby je powtarzać, w dodatku próbowała niektóre naśladować, i to znacznie głośniej.

Później przyjechał dawny szef Nasti, Gordiejew, po nim ściągnęli Kola Siełujanow i Jura Korotkow z żonami. Wszyscy usiedli przy długim stole zastawionym przekąskami i smakołykami, ale ponieważ całe towarzystwo z jakiegoś powodu okazało się strasznie głodne, uczta nie trwała długo. Gordiejew z racji wieku wznosił toast, po czym goście rzucili się na jedzenie i już czterdzieści minut później każdy był najedzony, miał ochotę wstać i porozmawiać. Nastia próbowała precyzyjnie się do Daszy, ale natknęła się na Kole Siełujanowa.

– Wiesz, od kogo masz pozdrowienia, Nastiu? Od Khana.

– Alek pierowa? – zdziwiła się. – To on mnie jeszcze pamięta?

– Ty go przecież nie zapomniałaś. – Nikołaj się uśmiechnął. – Dlaczego on ma cię nie pamiętać?

– A gdzie go spotkałeś? W ministerstwie?

– Aleś wymyśliła! – burknął. – Khan sam się u mnie zjawił, pytał o jedną z naszych spraw. Taka tam sprawa, niech ją licho porwie, niewarta funta kłaków! Żeby jeszcze było w niej coś ciekawego albo zagadkowego, jakieś godne uwagi zwłoki albo coś naprawdę zajmującego. Tymczasem chodzi o zwykłego gastarbeitera, robotnika z Tweru, który remontował mieszkania w Moskwie. Prawdopodobnie wdał się w bójkę po pijaku, jednym słowem, nic szczególnego. Tylko wam trafiają się atrakcyjne sprawy, u nas panuje nuda.

– Khan musiał jednak mieć powód, żeby zainteresować się tą sprawą – zauważyła Nastia. – Od lat specjalizuje się w przestępczości zorganizowanej, więc chyba z tym twoim gastarbeiterem nie wszystko jest takie oczywiste i nudne.

– Powiedziała, co wiedziała! – Siełujanow z wyrzutem pokiwał głową. – Masz mnie za tępaka? Myślisz, że sam się nie domyśliłem? Moi chłopcy sprawdzili kontakty tego faceta, przeczesał miejsce zamieszkania, przeegzaminowali kochankę, sąsiadów, dawnych kolegów z pracy, znajomych i przyjaciół. I nic nie znaleźli. A przestępczością zorganizowaną w ogóle tam nie pachnie.

– No dobrze, przepraszam, nie gniewaj się – powiedziała Nastia. – Dziękuję za pozdrowienia. Gdy pamiętają o tobie profesjoniści tej klasy co Khan, to zawsze cieszy.

Chciała o coś zapytać Nikołaja, ale Misza Docenko pociągnął ją za rękę.

– Chodź, Kamieńska, zahaczmy Stasowa.

– Po co?

– Musimy pogadać.

– Mało ci gadania w pracy? – Nastia się zachmurzyła.

– A czy was można zastać razem w biurze? Ty jesteś wciąż w rozjazdach, szef rozwiązuje problemy w gabinecie, a ja muszę zasięgnąć rady.

– No to chodźmy – z westchnieniem odparła Nastia.

Z niemałym trudem odciągnęli Stasowa od Sani juniora i Griszy, którzy z uporem domagali się, żeby Władisław Nikołajewicz tu i teraz pokazał im chwytę pozwalające skutecznie bronić się przed chuliganami.

– Ja opowiem, Wład, a Kamieńska niech posłucha – oznajmił Misza.

– Kamieńska niech sobie słucha, ja chyba jestem tutaj zbędny. – Stasow próbował się wykręcić. – Po co mam słuchać?

– Jesteś moim szefem, więc musisz przyjąć raport. No to zrób to teraz, żebym nie musiał się powtarzać. Chodzi o zlecenie Jewtiejewej.

O tym, że Walentina Jewtiejewa zleciła poszukiwanie swojego kochanka, Nastia już wiedziała, ale nie znała szczegółów. Właściwie niezbyt ją to ciekawiło, ponieważ nie miało żadnego związku z tajemnicą zabójstwa doktora Jewtiejewa, lecz skoro Miszka prosi, żeby posłuchać... Nie wypada odmówić.

Jednakże relacja Docenki z wizyty u nauczycielki arabskiego zainteresowała Nastię. Zdumiała ją zwłaszcza historia o książce, którą chciał napisać Gaszyn. Skąd w głowie doświadczonego i cenionego chemika myśli, które pasują raczej do nieudacznika usiłującego

znaleźć zewnętrzne przyczyny bezowocnych wysiłków w dążeniu do sukcesu? Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby na pomysł książki wpadł człowiek niespełniony, który nie odnalazł swojej drogi, nic nie osiągnął, ale tutaj...

– Zobaczcie, co w sumie mamy – ciągnął Docenko. – Facet jest wyjątkowo skryty – to raz. Żywo interesuje się osobowością rozmówcy – to dwa. W dodatku interesuje się według tego samego schematu, bo przecież zadawał identyczne pytania i Walentinie, i Oldze – to trzy. Pochłaniają go myśli o niespełnieniu i przyczynach niepowodzeń – to cztery. Powinniśmy teraz ułożyć wszystkie cztery elementy w taki sposób, żeby stworzyły wiarygodny portret psychologiczny.

– Zapomniałeś o jeszcze jednym szczególe. Mężczyzna zrywa z kobietami, niczego im nie wyjaśniając, więc one nawet nie mają pewności, czy zostały porzucone, czy może chodzi o coś zupełnie innego – przypomniała Nastia.

– Dziękuję za uzupełnienie. A więc mamy pięć elementów. Jeśli chodzi o mnie, na razie nic sensownego nie przyszło mi do głowy. Więc zwracam się do was, ponieważ macie większe doświadczenie...

– I jesteście starsi – znowu podpowiedziała Nastia i zwichrzyła Docence włosy.

– ...w tego rodzaju sprawach – z uporem podjął Michaił. – Proszę was o konsultację. I nie waz się zbijać mnie z tropu – dodał, sięgając po mandarynkę z półmiska z owocami i wsuwając ją w dekolt Nasti.

Nastia ze śmiechem wyjęła mandarynkę i zaczęła ją obierać. Następnie podzieliła ją na trzy równe części i wsunęła do ust

Stasowowi, Docence i sobie.

– Należałoby jeszcze dodać, Miszka, że twój Gaszyn to liczący się naukowiec, który sporo osiągnął w życiu – powiedziała z pełnymi ustami. – To szósty element składowy twojego portretu.

– Obiecujesz, że pomyślisz? – z nadzieją zapytał Michaił.

– Obiecuję. Ale nie ręczę za rezultat. Marny ze mnie psycholog.

– Jesteś za to dobra w analizie. A co ty powiesz, Wład?

– Nic. – Stasow pokręcił głową. – Sprawa wygląda mało ciekawie. Ten naukowiec ma widocznie twórczą osobowość, po kimś takim można się wszystkiego spodziewać, mówię to z pełną odpowiedzialnością jako dawny naczelnik ochrony koncernu filmowego. Pamiętasz, Nastiu, sprawę, podczas której się poznaliśmy?

– Pamiętam – przytaknęła Kamieńska. – Zabójstwo aktorki. Nie mogłam się wtedy nadziwić, jakie się tam u was zebrały indywidualności.

– No właśnie – przytaknął Władisław. – A może byśmy się napili, przyjaciele?

Nastia chwyciła go za rękę, którą już sięgał po kieliszek.

– Zaczekaj, Władik. Skoro już zaczęliśmy rozmawiać o portretach psychologicznych, ja też podzielę się swoimi wątpliwościami, może mi coś podpowiecie. Sytuacja wygląda tak: mamy doktora Jewtiejewa, który trzy lata przed śmiercią zaczyna chorować, przestaje pracować, przez dwa lata leży w domu, a później zostaje zabity. Motywu zysku nie dopatrzone się pod żadną postacią. Jeśli założyć, że chodzi o zemstę, należy pamiętać, że przez ostatnie trzy lata Jewtiejew nie

mógł nikomu nic zrobić. To znaczy, że powód zemsty, jeśli w ogóle był, pojawił się co najmniej trzy lata przed zabójstwem. A najprawdopodobniej przerwa czasowa była jeszcze dłuższa, podejrzewam, że nawet jakieś dwadzieścia pięć lat. Sporządźcie mi portret człowieka zdolnego do odłożenia zemsty na później.

– Nie każdy jest do tego zdolny – bez wahania odparł Docenko. – Większość ludzi pobiegnie wymierzyć sprawiedliwość od razu, na gorąco, a po paru latach, gdy emocje opadną, mało kto się na to zdecyduje.

– Więzienie? – wysunął przypuszczenie Stasow. – Człowiek odsiedział długi wyrok, później wyszedł i rozprawił się z tymi, których uważa za winnych swoich nieszczęść.

– To możliwe. – Nastia skinęła głową. – Też o tym myślałam. Kto jeszcze może to zrobić?

– Może to być człowiek, który wrócił ze strefy działań wojennych – zasugerował Michaił. – Ważne są dwie rzeczy. Po pierwsze, ten ktoś był długo nieobecny. A po drugie, tam, na wojnie, przyzwyczał się, że jest wciąż pod wpływem adrenaliny, spokojne życie to dla niego taplanie się w błocie, nie może się odnaleźć i przystosować. W tej sytuacji zemsta nawet z błahego i odległego powodu staje się dla niego jedynym możliwym sposobem na to, żeby egzystować.

Nastia pokręciła głową.

– Nazbyt to pokrętne. Jesteś pewien, że taki mechanizm istnieje?

– A diabli wiedzą – w zamyśleniu odparł Docenko. – Może nie istnieje. Ale parę razy spotkałem podobnych ludzi.

Stasow przerwał w końcu dyskusję na tematy służbowe.

– Moi kochani, róbcie, co chcecie, ale ja muszę natychmiast się napić. Jesteśmy na imprezie czy odbywamy naradę produkcyjną?

Władisław przejął kierownictwo nad przyjęciem jubileuszowym, jego donośny głos słyhać było w każdym kącie sali i niebawem wszyscy goście znowu siedzieli przy stole.

Gdy rozjeżdżano się do domów późnym wieczorem, Nastia była święcie przekonana, że przyjęcie się udało. Wszystko było bardzo smaczne i wszyscy dobrze się bawili.

– Szykuj się, siostrzyczko, w połowie czerwca będziemy świętować twoje urodziny – powiedział jej na pożegnanie Aleksander Kamieński.
– Chcesz, to urządzimy je tutaj? Świetne miejsce, prawda?

Myśl o czekających urodzinach omal nie zwarzyła Nasti humoru. Lubiła swoje święto tylko ze względu na życzenia i prezenty. Nie przepadała za zapraszaniem gości i załatwianiem spraw organizacyjnych, które się z tym wiązały.

– A może się jakoś wymigam? – zapytała nieśmiało.

– Nie – twardo odparł Aleksander – nawet nie próbuj. Jeśli nie chcesz się tym zajmować, wezmę wszystko na siebie, to będzie mój prezent na twoje urodziny.

– Chyba że tak. – Nastia z uśmiechem przystała na propozycję.

Jeszcze rano umówiła się z Czistiakowem, że Aleksiej będzie mógł pić alkohol, bo z powrotem ona usiądzie za kierownicą. Teraz żałowała, że się zgodziła. Miała ochotę zamknąć oczy i pomyśleć, a zamiast tego musi obserwować sytuację na drodze i zręcznie

lawirować między kierowcami, którzy prowadzą auta w sposób bardzo dziwny i nieprzewidywalny. Tylko na spokojniejszych odcinkach udawało jej się zająć własnymi myślami.

A jednak to dziwne, że człowiek pokroju Gaszyna zamierza napisać książkę o nieudaczniku. O osobie, której przez całe życie ktoś mieszał szyki i rzucał kłody pod nogi. Trzeba by porozmawiać z żoną Stasowa, Tatianą, w końcu jest pisarką...

*

Klucze leżały w widocznym miejscu i Angelina Michajłowna nie mogła oderwać od nich oczu. Ręce zaczęły jej drżeć, oblało ją gorąco, nawet poczuła zawroty głowy. Sławik już dawno to wymyślił, ale wciąż nie było okazji, żeby zrealizować jego plan. Angelina Michajłowna wciąż pamiętała o kluczach, ale sądziła, że plan pozostanie tylko planem, ponieważ nie starczy jej sił ani tupetu, żeby go wcielić w życie. I oto klucze leżą teraz przed nią, a w pobliżu nikogo nie ma. Lew Siergiejewicz poszedł do sypialni, żeby się przebrać, a Ludmiła Leonidowna jest nieobecna – dzisiaj, w sobotę, poszła ze starszymi wnukami do muzeum imienia Bachruszyna. Wilen Wiktorowicz, ma się rozumieć, im towarzyszy, co od niedawna stało się normą. Kto jak nie zagorzały miłośnik teatru miał z nimi iść? Natomiast Angelina Michajłowna odwiedziła Gusarowa, żeby go poczęstować obiadem, od miesiąca to również należało do dobrosąsiedzkich tradycji, za co Ludmiła Leonidowna była szczerze wdzięczna Sorokinie.

Po obiedzie Lew Siergiejewicz wybierał się na kolejny seans akupunktury. Gdy poszedł się przebrać, Angelina Michajłowna zabrała się do sprzątanania brudnych naczyń ze stołu. Niosąc je do kuchni, natknęła się w przedpokoju na pęk kluczy od mieszkania sąsiadów. Pokonawszy słabość i strach, rozejrzała się ukradkiem i wsunęła klucze do kieszeni spodni. Pęk był imponujący – dwa klucze od drzwi zewnętrznych, jeden od wewnętrznych, klucz chipowy do bramy i jeszcze klucz do garażu Gusarowów oraz kluczyk do skrzynki na listy. Kieszeń zdradziecko się wybrzuszyła, ale Angelina Michajłowna zasłoniła ją cienką trykotową tuniką. I po wszystkim. Nic nie widać. Nikt się niczego nie domyśli.

Rzuciła się do kuchni, odkręciła wodę i zaczęła zmywać naczynia, całym swoim wyglądem starając się pokazać, że wciąż była tutaj.

– Jestem gotów – rozległ się głos Gusarowa. – Chociaż gdyby to ode mnie zależało, dałbym sobie spokój z tymi zabiegami. Już trzeci raz przechodzę terapię, a pożytku z niej tyle co kot napłakał – jak utykałem, tak utykam, może tylko noga trochę mniej boli, ale to „trochę” drogo mnie kosztuje, codziennie chodzę tam jak głupi, zamiast siedzieć w domu i cieszyć się życiem.

– Więc nich pan zrezygnuje – powiedziała Angelina, umieszczając talerz na suszarce. – Czy ktoś pana zmusza?

– Wstyd mi przed Lusią, bardzo się starała, szukając dla mnie tego Chińczyka: żeby był dobrym specjalistą, renomowanym, i żeby było niedaleko domu. Strasznie się cieszyła, gdy go znalazła! Zaledwie dwa domy dalej. Lusia z jakiegoś powodu wierzy w nakłuwanie igłami oraz

inne nowomodne głupstwa. No więc się poddałem i chodzę.

Włożył buty w przedpokoju, wciągnął kurtkę, omiół wzrokiem półeczkę na klucze, poklepał się po kieszeniach i się skrzywił.

– Do diabła, gdzie są moje klucze? Gdzie ja je wsadziłem?

Angelina Michajłowna okazała współczucie i zaczęła razem z Gusarowem szukać kluczy, radząc mu, żeby zajrzał to tu, to tam. Ale kluczy nigdzie nie było.

– Jestem już spóźniony – powiedział Gusarow z paniką w głosie. – Gdzie one mogły się podziać? Jeśli pójdę bez nich, jak później wejdę do mieszkania? Nie iść też nie mogę, jutro niedziela, lekarz nie przyjmuje, więc będę miał dwa dni przerwy, a on mówi, że to źle, bo może nie być efektu. Luśka się zdenerwuje! Co robić, Angelino Michajłowno?

– To może ja u pana posiedzę, póki pan nie wróci – zaproponowała Angelina. – Wili i tak nie ma w domu, nikt na mnie nie czeka. Pobędę tu i otworzę panu drzwi. A później znowu poszukamy pańskich kluczy, już bez pośpiechu i nerwów.

– Jest pani aniołem! – z radością zawołał Lew Siergiejewicz i w euforii cmoknął sąsiadkę w głowę – był od niej o wiele wyższy. – No to co, idę?

– Niech pan idzie, kochaniutki, niech pan idzie.

Sorokina zamknęła za nim drzwi i westchnęła z ulgą. Kto powiedział, że aktorski chleb jest łatwy i przyjemny? Człowieka oblewa zimny pot, gdy udaje to, czego tak naprawdę nie myśli i nie czuje.

Pozostawszy sama w mieszkaniu sąsiadów, Angelina Michajłowna przystąpiła do starannego i metodycznego przeszukania wszystkich mniej lub bardziej odpowiednich miejsc, w których mógł się znajdować przechowywany nieduży przedmiot – kasetka wideo albo magnetofonowa, terminarz, notes albo koperta ze zdjęciami. Nic więcej nie przyszło jej do głowy, zresztą ani Maksim, ani Sławik o niczym innym nie wspominali. Ile ma czasu? Razem z Wilenem odszukali zawczasu tamten dom, w którym znajdował się gabinet medycyny chińskiej, i parę razy przemierzali z zegarkiem w ręku drogę od ich bloku. Gdy szli szybko, droga zabierała siedem minut, ale biorąc pod uwagę fakt, że Lew Siergiejewicz mocno utyka, należało przyjąć dziesięć. Póki Gusarow się rozbierze, póki lekarz nakłuje mu ciało igłami, a później je usunie, póki mężczyzna włoży z powrotem ubranie – łącznie wychodzi jeszcze co najmniej pięć minut. No i właściwy seans z pół godziny. A później droga do domu. Z najbardziej skromnych wyliczeń wynikało, że Angelina Michajłowna ma do dyspozycji pięćdziesiąt pięć minut, chociaż tak naprawdę więcej, koło godziny i dziesięciu, może piętnastu minut. To sporo, ale Gusarowowie mają trzypokojowe mieszkanie, więc pewnie zabraknie jej czasu...

Sorokina energicznie zabrała się do pracy, centymetr po centymetrze przeszukując półki z książkami oraz szuflady komody i meblościanki. Szczególną uwagę poświęciła tej części regału, w której znajdowały się albumy ze zdjęciami i teczki z różnymi pamiątkowymi drobiazgami – były wśród nich zeszyty szkolne dzieci, ich dyplomy za wyróżniające wyniki w nauce i w sporcie, dyplomy małżonków

Gusarowów, jakieś listy i widokówki.

Równo pięćdziesiąt pięć minut później ostrożna Angelina Michajłowna umieściła klucze Gusarowa na podłodze w rogu przedpokoju, żeby potem można je było z triumfem znaleźć, włączyła telewizor i usiadła na kanapie. Nic nie znalazła. A więc znowu ponieśli z Wilenem fiasko...

*

Dwunastoletni syn Stasowa i Tatiany, Grisza, był dokładną, ale nieco pomniejszoną kopią ojca – tak samo jasnowłosy, zielonooki, barczysty i niezwykle wysoki jak na swój wiek. Cechowała go zaskakująca u dziecka przenikliwość, a także nie wiadomo skąd przejęta i po kim odziedziczona szczerłość. Zarówno wywiadowca Władisław Stasow, jak i jego żona Tatiana Obrazcowa, dawna śledcza, osiągnęli mistrzostwo w zręcznych wybiegach i eleganckich kłamstwach, natomiast ich syn walił prosto w oczy to, co myślał, w ogóle się nie przejmując takimi pojęciami jak poczucie taktu czy dobre maniery.

W niedzielę, nazajutrz po hucznych obchodach jubileuszu dwóch małżeństw, Nastia Kamieńska odwiedziła Tatianę. Grigorij natychmiast zjawił się w pokoju i nawet nie udawał, że gra na komputerze. Nadstawiał uszu i było widać, że rozpiera go ciekawość.

– Idź do siebie, synku, i się czymś zajmij – łagodnie powiedziała Tatiana.

– Nie, wolę pobyć z wami. Jestem ciekaw, o czym będziecie

rozmawiać – odparł wyrostek z godną podziwu otwartością.

– Ale to rozmowa dorosłych – zaproponowała Tatiana. – Nie ma sensu, żebyś jej słuchał.

– A co, macie jakieś sekrety? – Grisza zmrużył oczy.

– Niech będzie, że mamy.

– Dotyczące kochanków?

Tatiana parsknęła śmiechem, a Nastię zamurowało ze zdumienia.

– Jakich kochanków, synku? Ja ich nie mam, ciocia Nastia też nie.

– A więc nie chodzi o waszych, ale o cudzych – całkiem logicznie wywnioskował Grisza. – Ale jeśli o cudzych, to gdzie tu sekret? O cudzych ja też mogę posłuchać.

Nastia w końcu odzyskała zdolność mówienia.

– Naprawdę masz ochotę tego słuchać, Griszka?

– Interesuje mnie wszystko, co dotyczy życia dorosłych – odparł chłopiec poważnie. – Chcę was zrozumieć, żebyśmy mogli nawiązać kontakt. Dorośli nie potrafią albo nie chcą nas zrozumieć, więc jeśli sam nie wyjdę wam naprzeciw, nigdy nie dojdziemy do porozumienia.

Nastia z niedowierzaniem spojrzała najpierw na chłopca, a później na jego matkę, która przygryzła wargi, żeby znowu się nie roześmiać.

– Kto to jest, Taniu? – zapytała, pokazując ręką na Griszę. – Czy to twój syn? A może doktor psychologii? Jak ty go wychowujesz, że chodzą mu po głowie podobne myśli?

– Gdybym przejęła całkowitą kontrolę nad jego wychowaniem, Nastiusza, byłby zupełnie inny. Wychowują go książki, od wczesnego dzieciństwa czyta je na okrągło. Odkąd w wieku trzech lat nauczył się

czytać, nie można go od nich oderwać – pochłania wszystko, co znajdzie na regale, od razu zabiera, nie mogę go upilnować. Gdy przeszłam na emeryturę i zaczęłam spędzać więcej czasu w domu, było już za późno, dość już się naczytał. Grisza, synku, proszę cię, pozwól mi porozmawiać z ciocią Nastią. Daję słowo, że nie chodzi o kochanków, ani o naszych, ani o cudzych.

– A więc tym bardziej nie ma z czego robić sekretu – z uporem zaprotestował chłopiec. – Ciociu Nastiu, nie masz nic przeciwko, że z wami posiedzę i posłucham?

Nasti zrobiło się żal chłopca. W końcu sprawa, z którą przyszła do Tatiany, nie jest żadną tajemnicą.

– Posiedź, skoro masz ochotę. No co, Taniu, niech posiedzi, może wyciągnie z tego jakąś korzyść.

Tatiana zrobiła surową minę i ściągnęła brwi.

– Dobrze, pozwalam ci zostać, ale najpierw pójdziesz do kuchni, włączysz ekspres i zrobisz nam kawę. Dla mnie słabą, a dla cioci Nasti normalną. Poradzisz sobie?

– Pewnie! – Grisza poderwał się z radością. – Tylko nie zaczynajcie beze mnie, bo później nie będę wiedział, o co chodzi.

– Koszmar. – Tatiana uśmiechnęła się, gdy syn wybiegł z pokoju. – Tak właśnie wygląda nasza codzienność. Dziecko jest święcie przekonane, że człowiek powinien żyć zgodnie z angielskim powiedzeniem, to znaczy tak, żeby mógł podarować swoją papugę największej plotkarce w mieście. Nie rozumie, co dorośli mogą ukrywać przed dziećmi, skoro nie robią nielegalnych rzeczy. Nie daje

sobie nic wytłumaczyć, albo się obraża, albo uważa, że chcemy go oszukać.

Grisza nad podziw szybko uporał się w kuchni i przyniósł dwa kubki kawy – dla Nasti niezbyt mocną, dla matki słabszą. Zaopatrzył się też w tabliczkę czekolady z orzechami i od razu zaczął ją pałaszować, odgryzając spore kęsy.

– Powiedz mi, Taniusza, czy w swoich książkach ulegasz mechanizmowi projekcji? – zaczęła Nastia i od razu pomyślała, że mogła wyrazić się prościej, ponieważ Griszka zaraz się wtrąci i zacznie żądać wyjaśnienia nieznanego terminu.

Ale Grisza, o dziwo, milczał, więc Nastia doszła do wniosku, że chłopiec wie, co to takiego „mechanizm projekcji” w psychologii. To dopiero dzieciak!

Tatiana wcale się nie spieszyła, słysząc pytanie.

– Oczywiście! – odparła od razu. – Wszyscy pisarze mu ulegają, ponieważ piszą o tym, co ich interesuje. A zainteresowanie to właśnie projekcja niezmiennych cech osobowych jednostki.

Nastia znowu zamarła, spodziewając się pytania, ale Grisza nadal w milczeniu pogryzał czekoladę, uważnie słuchał i o nic nie pytał.

– Nie czytasz moich książek – ciągnęła Tatiana – a przecież jest w nich całe moje życie: i pierwszy mąż, i pierwszy rozwód, drugi mąż i drugi rozwód, i młodzińska miłość, i Stasow, i to, jak budowałam relacje z jego córką, i moja ciąża, i macierzyństwo, i praca. Tylko pamiętaj, że nie opisuję faktów, ale myśli, przeżycia i doświadczenia.

W tym momencie Grisza wstał, podszedł do regału i zaczął

przełądać stojące na półkach książki, które napisała Tatiana.

– Czego tam szukasz, synku? – zapytała matka.

– A w której książce jest o tym, jak byłem mały? Pamiętam wszystko, odkąd skończyłem cztery lata, ale co było przedtem – nie mam pojęcia. Poczytałbym sobie. W której książce o tym piszesz?

Tatiana się zmieszała i nie wiadomo było, czy próbuje sobie przypomnieć, czy stara się wymyślić sposób, jak się wymigać od odpowiedzi.

– A jest gdzieś o tym, jak czekaliście na mnie z tatą, zanim się urodziłem? A o tym, jak byłaś w ciąży i rosłem w twoim brzuchu? Chcę poczytać.

– Po co ci to? – Tatiana się zdumiała.

– Jestem ciekaw. Wy, dorośli, nigdy nie mówicie nam przecież prawdy, wciąż nas okłamujecie. A może mnie nie chciałaś? A może ani ty, ani tata w ogóle mnie nie kochaliście?

Tatiana podbiegła do syna, przytuliła go, obsypała czułymi pocałunkami policzki i czoło chłopca.

– Co ty pleciesz, Griszeńka? – powiedziała wyraźnie przez łzy. – Jak mogliśmy z tatą ciebie nie chcieć? Jak mogliśmy cię nie kochać? Czy ty w ogóle wiesz, co mówisz?

Grisza uwolnił się z matczynej objęć i znowu sięgnął do książek.

– A co w tym dziwnego? Nie każda kobieta chce mieć dzieci, to żadna rewelacja. Na przykład ciocia Nastia nie chciała dziecka, więc go nie urodziła.

– Mój przypadek był nieco inny, Grisza – wykrztusiła Nastia, która

słyszając te słowa, poczuła się nieswojo.

– Niech będzie, że inny. Wszystko jedno. Są kobiety, które nie chcą dzieci, a mimo to je rodzą, ponieważ jest już za późno na aborcję albo mają jeszcze jakiś inny powód, na przykład boją się, że mąż je rzuci. No co, może to nieprawda?

Nastia tak się zmieszała, że nie wiedziała, co powiedzieć, nie była przygotowana, że usłyszy z ust chłopca słowo „aborcja” i wywody o tym, że kobieta rodzi dziecko z obawy, żeby nie zostać porzuconą. No i jak na to zareagować? Rozmawiać z Griszą jak z równym sobie? Czy wybrać rozwiązanie, do którego zawsze uciekają się dorośli, gdy nie chcą wdawać się w dyskusje z dziećmi? Nie, to chyba nie jest rozwiązanie.

Tymczasem Tatiana, sądząc po jej minie, nie była ani speszona, ani zszokowana. Widocznie ten poziom dyskusji przyjął się w rodzinie od dawna i nikogo nie dziwił.

– Skąd takie myśli, synku? – zapytała spokojnie.

– Z książek, mammo! Nawiasem mówiąc, z twoich. W odróżnieniu od cioci Nasti przeczytałem wszystkie.

– Boże – bezwiednie wyrwało się Nasti – co ty z nich zrozumiałeś?

Grisza posłał jej spojrzenie, w którym malowała się niewyczerpana cierpliwość i, jak jej się zdawało, pobłażanie.

– No proszę, mówię przecież, że wy, dorośli, w ogóle nie widzicie w nas ludzi, dlatego kłamiecie i sądźcie, że jesteśmy przygłupi i niczego nie rozumiemy. A my nie jesteśmy głupszy od was, nawiasem mówiąc. Mammo – Grisza zdjął z półki cztery książki – pamiętam, że o kobietach

w ciąży piszesz w tych powieściach. Która jest o mnie?

Dopiero wyciągnąwszy od matki tytuł, Grisza wreszcie się uspokoił, wziął książkę i pogrążył się w lekturze. Ale nie wrócił do swojego pokoju, został z Nastią i Tatiana.

– Wróćmy do meritum, Nastiusza. Dlaczego zadałaś mi to pytanie?

– Bo widzisz, jest pewien człowiek...

Nastia spróbowała jak najwięcej streścić to, czego się dowiedziała w przeddzień od Miszy Docenki. Tatiana słuchała, od czasu do czasu popatrując na syna pochylonego nad książką.

– Nic nowego ci nie powiem – powiedziała, gdy Nastia skończyła. – Wszystko już sama wydedukowałaś. Jako autorka sporej liczby książek mogę tylko zauważyć, że pierwsza i następna książka to nie to samo. A tym bardziej jedyna.

– Na czym polega różnica?

– Na dotkliwości problemu. Gdy autor napisał dużo książek i musi napisać jeszcze jedną, określa mniej więcej, o czym jeszcze nie pisał, i z całego wachlarza niepodjętych tematów wybiera ten, który w danej chwili interesuje go chociaż w niewielkim stopniu. A jeżeli nie interesuje, to przynajmniej nie mierzi. A w twoim przypadku nie chodzi o pisarza, tylko o naukowca, w dodatku, jak sama twierdzisz, odnoszącego sukcesy. Więc jeśli tego rodzaju człowiek zastanawia się nad napisaniem książki na konkretny temat, oznacza to tylko jedno: temat nurtuje go dzień i noc, nie pozwala odetchnąć, zajmuje wszystkie myśli.

– I co z tego wynika? – zapytała Nastia, którą ogarnął niepokój, ten

sam, który często czuła, gdy pracowała na Pietrowce.

Ów niepokój pojawiał się zawsze wtedy, gdy na horyzoncie majaczyło rozwiązanie.

– To, o czym sama pomyślałaś – odparła Tatiana z uśmiechem. – Albo sytuacja dotyczy jego bliskiego przyjaciela czy krewnego i nie daje mu spokoju, albo nie jest tak cenionym naukowcem, jak sądzisz. Albo...

– Albo w ogóle nie jest tym, za kogo się podaje – dokończyła Nastia.
– Za wcześnie odeszłaś na emeryturę, Taniu. Powinnaś jeszcze popracować.

– Mogę sobie wyobrazić, co by się stało z Griszką, gdybym go zostawiła na dłużej sam na sam z książkami. – Tatiana się roześmiała. – Przynajmniej przez ostatnie parę lat zajmuję się dzieckiem, inaczej wyrósłby na dzikusa.

Na dźwięk tych słów Grisza podniósł głowę znad książki i spojrzał na matkę z wyrzutem.

– Pamiętaj, że wszystko słyszę. – I z westchnieniem dodał: – Gdybym postanowił napisać książkę, napisałbym o tym, że dorośli nie tylko nas nie rozumieją, lecz także nie chcą nas rozumieć, ponieważ myślą, że jesteśmy prymitywni. A to niewybaczalny błąd.

Nastia z trudem stłumiła śmiech, który ją ogarnął, i pomyślała, że Grisza ma bogate słownictwo jak na chłopca, który dopiero za parę miesięcy skończy trzynaście lat.

W poniedziałek rano w gabinecie Władysława Stasowa zjawił się Docenko z foliową koszulką w ręce.

– Możesz mnie zabić i poćwiartować, Wład, ale zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby odszukać tego Gaszyna, nic więcej nie potrafię zrobić – oświadczył, kładąc koszulkę przed szefem. – Przekopałem cały Internet, przejrzałem wszystkie bazy, do których udało mi się wejść, ale znalazłem jednego jedyne Sławomira Iljicza Gaszyna pasującego wiekiem.

Stasow spojrzał na niego zachęcająco.

– No to świetnie! Jeżeli jest jedyny, to znaczy, że to właśnie on. Masz jego adres?

– Gdyby... krótko mówiąc, tamten Gaszyn, którego udało mi się znaleźć, nie jest żadnym naukowcem czy chemikiem, tylko krytykiem teatralnym i dramaturgiem z Permu. Więc podejrzewam, że to jednak nie on.

– A co ze zdjęciem? – zapytał Stasow.

– Jest tam, w koszulce, możesz zobaczyć.

Stasow wyjął parę zadrukowanych kartek, szybko je przejrzał, odchrząknął i wbił wzrok w fotografię.

– Przystojniak z tego łajdaka – zauważył. – Nic dziwnego, że Jewtiejewa straciła dla niego głowę. Zaraz do niej zadzwonię i poproszę, żeby przyjechała zerknąć na zdjęcie.

Zadzwonił do Walentyny, która zgodziła się natychmiast przyjechać. Dwie godziny później weszła do jego gabinetu blada i roztrzęsiona.

– Skąd ma pan jego zdjęcie? – zapytała jeszcze na progu, nawet się

nie witając. – Coś mu się stało? Nie żyje? Zginął?

– Mój Boże, Walentino Dmitrijewno, skąd te straszne myśli? – Stasow próbował ją uspokoić. – Dlaczego miałyby się coś stać? Dlaczego od razu „zginął”?

– Przez całą drogę zastanawiałam się, skąd ma pan jego zdjęcie, i doszłam do wniosku, że z akt dochodzenia w sprawie wypadku, ponieważ Sławomir... ponieważ nie ma go już na świecie. No bo skąd miałby je pan wziąć? – drżącym głosem wyjaśniła Jewtiejewa.

– Wszystko wygląda zupełnie inaczej. – Stasow się uśmiechnął. – Nie chodzi o żaden wypadek. Znaleźliśmy z Michaiłem mężczyznę, który nazywa się Sławomir Iljicz Gaszyn, ale nie wiemy, czy to człowiek, którego pani szuka. Może to tylko zbieżność nazwisk. Dlatego chcemy pani pokazać zdjęcie. Proszę rzucić okiem.

Gdy tylko Władisław podał Walentinie kartkę z wydrukowanym zdjęciem, kobieta od razu spaşowiała.

– Tak, to on. Znaleźliście go? Wie pan, gdzie jest teraz?

Stasow rozłożył ręce.

– Niestety jeszcze nie. Ale skoro to on, obiecuję pani, że go znajdziemy.

– Kiedy?

Głos Jewtiejewej już nie drżał, pojawiły się w nim twarde i władcze nuty.

– Gdy tylko to będzie możliwe. Ale zrobimy, co w naszej mocy.

Zaraz po wyjściu Walentyny Stasow wezwał do siebie Docenkę.

– Rozpoznała go – oznajmił. – Jakie wnioski się nasuwają? Nasz

naukowiec okazał się krytykiem teatralnym. A więc?

– To, że się przedstawił jako naukowiec prowadzący tajne badania, można łatwo wyjaśnić – powiedział Docenko. – Chciał wydać się Walentinie i Oldze bardziej interesujący.

– Czyżby profesja dramaturga czy krytyka teatralnego nie była obecnie w cenie? – z niedowierzaniem zapytał Stasow. – Moim zdaniem to prestiżowe zawody, twórcze i ciekawe.

– Ale dlaczego Gaszyn chodził z obstawą? – zapytał Michaił, marszcząc czoło. – Po kiego diabła ochraniać dramaturga? Naukowca, chemika – to jeszcze rozumiem, zwłaszcza jeśli jego praca jest poufna, związana z obronnością, ale co komu po dramaturgu?

– A jesteś pewien, że rzeczywiście miał obstawę? Może Walentinie się tylko zdawało?

– Gdzie tam. – Michaił wzruszył ramionami. – Olga też wspominała o ochroniarzach. Nie mogą mieć przecież identycznych halucynacji.

– Słuchaj – Stasow nagle się ożywił – a może ten Gaszyn zrobił też wodę z mózgu Kramariewowi? Powiedział, że jest naukowcem, który opracowuje tajną technologię, więc trzeba go ochraniać.

– Możliwe – przyznał Docenko. – Tylko po co? Gdzie tkwi haczyk? I dlaczego, gdy do Maksima Kramariewa przyjeżdżała tamta starsza para, o której opowiadała i Walentyna, i Olga, biznesmen prowadził z nimi i z Gaszynem jakieś poufne rozmowy? Jewtiejewa mówiła, że gdy się zamykali w domku dla gości, personelowi nie wolno było niczego im podawać, żeby przypadkiem ktoś czegoś nie podsłuchał.

Stasow potarł palcami skroń i się skrzywił.

– Z którejkolwiek strony patrzeć, sprawa wygląda paskudnie. A przy okazji, kim właściwie są ci zagadkowi goście?

– Skąd mam wiedzieć? – odparł Docenko.

Długo jeszcze omawiali proste z pozoru zlecenie Walentyny Jewtiejewej. Sprawa, którą im powierzyła, niespodziewanie okazała się niezrozumiała i zawikłana. Rozstali się, doszedłszy do wniosku, że coś tutaj śmierdzi.

*

Pułkownik Alekpierow nie siedział z założonymi rękami i oprócz wykonywania swoich podstawowych obowiązków zajmował się poszukiwaniem informacji, które mogłyby rzucić światło na zabójstwo matki Borisa Krotowa i na autora podrzuconych listów. W odpisie wyroku w sprawie Stiecenki, przekazanym mu przez Krotowa, znalazła się wzmianka, że Łarisa pracowała jako dyspozytorka w ŻEK-u¹³, obsługującym również kamienicę, w której mieszkała. Khan zadał sobie trud, odnalazł emerytowanych pracowników ŻEK-u, zadał im szereg pytań – między innymi o to, czy znali jakichś znajomych i przyjaciółki pięknej Łarisy Krotowej – no a później, jak to zwykle bywa, powstał łańcuch kolejnych informatorów: Khan znajdował jedną osobę, wyciągał od niej nazwisko i namiary następnej, udawał się do niej i tak dalej. Od znajomych Łarisy, a zwłaszcza przyjaciółek, tak jak ona uprawiających jedną z najstarszych profesji, udało mu się dowiedzieć, że kobieta pracowała w ŻEK-u tylko przez ostatnie pół

roku przed śmiercią – przedtem była elitarną prostytutką wykorzystywaną aktywnie przez KGB do obsługi „swoich” klientów, w dodatku nie obcokrajowców (obcokrajowcy podlegali innemu wydziałowi), tylko prominentnych obywateli Związku Radzieckiego. Owi obywatele też czasem musieli się odprężyć i odpocząć, no a z kim mieli się zrelaksować? Z pierwszą lepszą dziewczyną spotkaną na dworcu? Nie, kadry muszą być „czyste” i sprawdzone. Do takich właśnie „czystych” i sprawdzonych kadr należała Łarisa Krotowa, którą wysyłano najczęściej do obsługi wpływowych gości w łaźniach i na daczach.

W końcu Khan zyskał pełen obraz i wezwał Krotowa na kolejne spotkanie, które tym razem wyznaczył nie w lokalu konspiracyjnym, ale w swoim mieszkaniu. Tamtego dnia tak mu było wygodniej. W gruncie rzeczy obawiał się jednak, że to, co zamierza przekazać Borisowi vel Aleksandrowi, wywoła u niego szok; w każdym razie trudno było przewidzieć jego reakcję, która mogła się okazać histeryczna, wolał więc mieć do czynienia z roztrzęsionym mężczyzną w warunkach domowych, a nie w lokalu przeznaczonym do tajnych spotkań biznesowych. Jeżeli Krotow zacznie rozbijać naczynia i szyby, lepiej niech to robi u niego, u Khanlara.

Pułkownik miał spore doświadczenie, więc przed przybyciem gościa zaopatrzył się w alkohol i przekąski, a także w leki nasercowe oraz inne rzeczy przydatne w tego rodzaju sytuacji.

Gdy Boris się zjawił, Khan posadził go w pokoju na kanapie i podzielił się swoimi podejrzeniami: zabójstwo jego matki miało na

celu usunięcie osoby, która zbyt dużo wie i która niespodziewanie wymknęła się spod kontroli. Świadczy o tym następujący obraz: młoda kobieta z prowincji, prostytutka mieszkająca w wynajętym mieszkaniu i regularnie wysyłająca do domu pieniądze na utrzymanie nieletniego syna, nagle staje się skromną pracownicą zwyczajnego ŻEK-u, a co najdziwniejsze, właścicielką kawalerki. Cudowna metamorfoza!

– Jak to zrobiła? – zapytał Krotow głosem pełnym napięcia.

– Był tylko jeden sposób. Oznajmiła swojemu kuratorowi z KGB, że chce skończyć z prostytutką, ponieważ musi zająć się wychowaniem syna, i poprosiła, żeby pomógł jej urządzić się w normalnym życiu, ale koniecznie w Moskwie. I żeby mogła zabrać tutaj syna. Na powrót do rodzinnego Omutninska nie miała najmniejszej ochoty. Chyba wiedziałeś, że twoja matka pochodziła z Omutninska?

– Nie. – Boris pokręcił głową. – Po jej śmierci nikt z rodziny mnie nie szukał. Byłem pewien, że nie mam krewnych. Ale u kogoś przecież mieszkałem, zanim mama zabrała mnie do Moskwy. Pamiętam, że było to niewielkie miasteczko i że przygarnęła mnie ciocia Ania, nigdy się jednak nie zastanawiałem, co mnie z nią łączyło. Ciocia Ania to ciocia Ania. Pewnie się mną zajmowała. Tylko ona utkwiała mi w pamięci. Nikogo innego nie zapamiętałem. Pamiętam też, że gdy mama mnie zabrała, najpierw mieszkaliśmy w jednym mieszkaniu, a później przeprowadziliśmy się do innego, w którym wszystko się wydarzyło.

– Zgadza się. – Alekpirow skinął głową. – Łarisa cię zabrała i

postawiła kuratora przed faktem dokonanym. „Dziecko – oświadczyła – jest teraz ze mną, więc nie możecie należycie wykonywać swoich obowiązków”. A przy okazji, ciocia Ania to daleka kuzynka twojej mamy.

– Skąd wiesz? – zapytał Boris ze zdziwieniem.

– Znalazłem sporo osób, które znały twoją mamę. Kiedyś zwierzyła się jednej z koleżanek, że jej syn Sasza mieszka u dalekiej kuzynki Anny. Krótko mówiąc, wiem teraz to i owo. Ciekaw jesteś, jak zareagował kurator? Takie postawienie sprawy, rzecz jasna, mu się nie spodobało. Nie mogło się spodobać, wierz mi. A jednak pomógł twojej matce, załatwił jej pracę, a także – o dziwo – mieszkanie i meldunek. Teraz słuchaj mnie uważnie, bo to bardzo ważne: kurator to oficer operacyjny dość niskiego szczebla, nie chodzi o naczelnika sekcji, a tym bardziej wydziału, nie miał wystarczających kompetencji, żeby rozwiązać problem mieszkania. W kwestii pracy, owszem, mógł pomóc, ale nie w kwestii mieszkania. Rozwiązał jednak ten problem. Dlaczego?

– Dlaczego? – posłusznie powtórzył Krotow.

– Dlatego, że Łarisa go czymś nastraszyła, czymś, co widziała, usłyszała albo czego się dowiedziała, gdy obsługiwała prominentnych klientów. Było to coś na tyle ważnego i niebezpiecznego, że kurator natychmiast pobiegł zameldować o tym swojemu przełożonemu. A wiesz, co przełożony musiał powiedzieć? Zrób, jak baba chce, pomożemy, ale podejmij odpowiednie działania, żeby nie puściła pary z gęby. Komu potrzebny jest żywy świadek ze skłonnością do

szantażu? To niebezpieczne. W tej sytuacji kurator podjął odpowiednie działania.

– Jakże? – zapytał zdumiony malarz.

– Zaczął obmyślać plan pozbycia się twojej matki. I właśnie w tym czasie ze sprawy karnej dotyczącej dużych operacji walutowych nagle „wyparowuje” cwany Walerij Stiecenko, który zaraz potem poznaje Łarisę i zostaje najpierw jej kochankiem, a później współlokatorem. Sprawdziłem daty, wszystko się zgadza. Dwa, trzy miesiące później Stiecenko w odurzeniu alkoholowym zabija Łarisę i trafia za kratki, ale zauważ, że tylko na osiem lat.

– To mało?

– Dużo. Ale gdyby go oskarżono w sprawie walutowej, dostałby czapę, w najlepszym razie zapuszkowano by go na piętnaście lat. Taka prosta transakcja. Sądzę, że właśnie tę prawdę miał na myśli autor listów.

– A skąd by ją znał?

– Facet jest wzmiankowanym oficerem KGB, kuratorem. Kto ma wiedzieć, jeśli nie on? Wiedział również Stiecenko, ale on już nie żyje. Tylko oni dwaj znają całą prawdę, ponieważ cała reszta, która orientuje się w tym temacie, zna ją tylko wybiórczo. Na przykład tamten naczelnik, który wydał polecenie, żeby usunąć Stiecenkę ze sprawy, na pewno nie wiedział, jak zostanie wykorzystany twój wujek Walera. Dostał jedynie polecenie i przekazał je swoim podwładnym. A ten, kto wydał polecenie, wiedział o zadaniu Stiecenki, ale z pewnością nie znał nazwiska ani twojej mamy, ani tamtego funkcjonariusza,

który miał przeprowadzić operację. To zbyt wysoki szczebel, żeby zaprzętać sobie głowę tak błahymi informacjami. A tamten naczelnik, który wiedział, że chodzi o usunięcie kobiety, która nazywa się Łarisa Krotowa, nie wiedział, jaki figurant zostanie w tym celu podstawiony. Tak więc całą historię znał tylko kurator, który zaaranżował znajomość Stiecenki z twoją mamą i jej zabójstwo. Jestem przekonany, że to on pisze do ciebie listy. Zauważ, że posiada duży dar przekonywania, niełatwo było przecież namówić Stiecenkę do zabójstwa, w końcu spekulant walutowy i zabójca to nie to samo. Ale z drugiej strony, nad twoim wujkiem Walerą wisiała realna groźba rozstrzelania, więc żeby jej uniknąć, był pewnie gotów na wiele. W każdym razie ów kurator dobrze znał się na ludziach i nie pomylił się, wybierając go ze wszystkich potencjalnych kandydatów.

Przez dłuższy czas Boris studiował wzór na obiciu kanapy, wodząc po nim palcem, później podniósł wzrok na Khana.

– No dobrze, przypuśćmy, że dojrzałem, zacząłem umierać z ciekawości, jestem gotów zapłacić i gdy tylko facet mi powie, gdzie i kiedy, natychmiast się zgodzę i przyjadę. Sądzisz, że on naprawdę zamierza się przyznać, że zorganizował zabójstwo mamy? Nigdy w to nie uwierzę.

Khan się uśmiechnął.

– Po co miałby się przyznawać? Opisz ci to, co się naprawdę wydarzyło, tylko powie, że kuratorem i organizatorem był jego kolega, który już nie żyje. Bardzo wygodnie jest zwalić wszystko na nieboszczyka. Jediną osobą, która wie, że chodzi właśnie o niego, a

nie o jego kolegę, jest Walerij Stiecenko, ale on został zabity i nikomu już nic nie powie. Nawiasem mówiąc, nie wykluczam, że nasz hipotetyczny kurator najpierw odnalazł i zabił Stiecenkę, a dopiero później podjął próbę wyciągnięcia od ciebie pieniędzy, tak było o wiele bezpieczniej. A nuż nagle stwierdzisz, że chcesz się spotkać ze Stiecenką, żeby go zapytać, jak było naprawdę? Odszukanie go było sprawą prostą, przed nikim się nie ukrywał, żył sobie cicho i spokojnie pod własnym nazwiskiem. Co prawda nie w Moskwie, tylko w Twerze, ale przy obecnych technologiach informacyjnych nie stanowi to żadnego problemu. Trzeba przyznać, że pomysł zabicia Stiecenki w Moskwie, a nie w miejscu zamieszkania, był znakomity i nad wyraz profesjonalny. W Twerze przyłożono by się do dochodzenia, a tutaj, w stolicy, nikt nikogo nie obchodzi, zwłaszcza jakiś gastarbeiter, mamy tu pełno poważniejszych zabójstw. Wspomnisz moje słowa, kurator był w dołku finansowym, więc zaczął się szykować do sprzedaży informacji.

– A czemu tak długo zwlekał? – zdziwił się Krotow. – Mógł je sprzedać już dawno.

– Może sprzedał. – Khan uśmiechnął się zagadkowo.

– Komu?

– Tego akurat nie wiemy. Ale najprawdopodobniej handluje informacjami już od pewnego czasu, teraz przyszła kolej na ciebie. Człowiek zrywa z drzewa najpierw większe i bardziej dojrzałe owoce, a gdy je zje i ma ochotę na więcej, sięga po mniejsze i mniej dojrzałe. Im silniejszy głód, tym mniejsze i bardziej zielone owoce. Z tymi, którzy

handlują informacjami, jest podobnie: najpierw sprzedają je temu, kto może zapłacić więcej, a gdy pieniądze się kończą, zaczynają się rozglądać i szacować, kogo by tu jeszcze oskubać.

– To znaczy, że jestem frajerem drugiego sortu – wycedził Krotow. – Miło to słyszeć.

– Albo nawet trzeciego – przytaknął Khan. – Słuchaj, moim zdaniem powinieneś się napić. Wiem, że nie bierzesz alkoholu do ust, ale wydaje mi się, że w tej sytuacji musisz odłożyć na bok zasady i strzelić sobie kielicha.

Boris podniósł głowę i popatrzył na Khanlara zaszczutym i nieobecnym wzrokiem.

– Tak? A sądziłem, że nieźle się trzymam... To aż tak widać?

– Owszem. – Khanlar kiwnął głową. – Nie ruszaj się, zaraz wszystko przyniosę.

Alekpierow poszedł do kuchni, wyjął z lodówki butelkę wódki i dwa plastikowe pudełka z sałatkami kupionymi w sklepie garmazeryjnym, a z szafy opakowanie pokrojonego chleba razowego i zaniósł wszystko do pokoju. Później wrócił jeszcze po kieliszki, talerze i sztuce. Krotow spróbował napełnić kieliszek, ale ręce mu się trzęsły i butelka zabawnie dzwoniła o szkło.

– Nie dam rady, ty nalej – powiedział zmieszany. – Nigdy bym nie pomyślał, że to, co powiedziałaś, tak bardzo mnie dotknie. Nie jestem przecież głupi, dużo myślałem o mamie, gdy dorosłem, i zdaję sobie sprawę, że piękna, samotna i młoda kobieta mogła mieć wielu partnerów. Mimo to wiadomość o jej prostytutce dosłownie zwała

mnie z nóg. W dodatku okazała się szantażystką... Khan, a może się mylisz? Może było inaczej?

– Może – lekko przyznał Alekpierow, napełniając kieliszki. – Ale to mało prawdopodobne. Nie potrafię wymyślić innej wersji, w której wszystkie fakty ułożyłyby się w tak zgrabną i spójną całość. Wypij, Krotow. To ci pomoże.

Boris wychylił od razu dwa kieliszki, sięgnął po sałatkę i chleb, potem wypił jeszcze jeden kieliszek. Parę minut później mdlący niepokój rzeczywiście nieco zelżał.

– Mówiłeś, że malujesz teraz portret panienki Artura? – zapytał nagle Khan.

– Owszem. A czemu pytasz?

– Przyszła mi do głowy pewna myśl. Opiekunami Artura są dawni kagebiści, wiem to na sto procent. Mogą dotrzeć do informacji, kto był kuratorem twojej matki i z czyjej inicjatywy usunięto Stiecenkę ze sprawy walutowej. Spróbuj z nim porozmawiać.

Khan cieszył się, że tak sprytnie i w samą porę zasymulował, iż właśnie przypomniał sobie o Arturze. Tak naprawdę od razu o nim pomyślał, analizując otrzymane informacje i szykując się do spotkania z malarzem. Teraz wspólnie z Borisem się zastanowią, jak powinna wyglądać jego rozmowa z mafiosem, i spokojnie przejdą do innych tematów. Dobrze, że wszystko skończyło się tylko na wódce. A jednak Krotow to twardy gość. Khanowi się poszczęściło, że go zwerbował.

*

Jekatierina Kramariewa siedziała na walizce przed drzwiami do mieszkania Zoi Pietrowny, swojej teściowej, i zbierała się na odwagę, żeby nacisnąć przycisk dzwonka. Co powiedzieć? Jak wyjaśnić swoją decyzję? I jak to odbierze Zoja Pietrowna? A najważniejsze, co zrobić, jeśli teściowa jej nie poprze? Dokąd iść? Katierina nie miała własnych pieniędzy, a przecież musi gdzieś mieszkać z córką i z czegoś żyć. Wróci oczywiście do pracy, ma wyuczony zawód, ale... Potrzebuje pomocy i wsparcia, których może jej udzielić tylko Zoja. Inni krewni nie wchodzą w grę – rodzice wcześniej ją odumarli, a rodzeństwa nigdy nie miała.

W końcu sięgnęła ręką do dzwonka i zaczęła nasłuchiwać. Po pewnym czasie rozległy się nierówne kroki i postukiwanie laski – teściowa zbliżała się do drzwi. Szczęknał zamek.

– Katierina? Co się stało? Dlaczego jesteś z walizką?

Katia gwałtownie wstała i objęła Zoję Pietrownę.

– Dzień dobry, Zoju Pietrowno. Mogę wejść?

– Oczywiście, proszę.

Katia wciągnęła ciężką walizkę do środka i – stawiając wszystko na jedną kartę – jeszcze na progu oznajmiła:

– Nie mogę dłużej mieszkać z Maksimem. Mogę się tutaj zatrzymać?

Spodziewała się, że Zoja Pietrowna zacznie ubolewać i pytać, co się stało, czym jej syn naraził się żonie, ale teściowa nie odzywała się przez krótką chwilę, a później zapytała:

– A gdzie jest Alinka?

– U koleżanki. Jeśli nas pani nie wygoni, pojedę po nią wieczorem.

– Zgoda. – Zoja Pietrowna skinęła głową. – Wnieś walizkę do tego pokoju, zamieszkacie tutaj. Pomóc ci się rozpakować?

– Dziękuję, poradzę sobie. Daję słowo, że będziemy się starały nie przeszkadzać. Nie zabawimy długo, muszę się jakoś urządzać i znaleźć pracę, a później wymyślę coś w kwestii mieszkania – pośpiesznie wyjaśniła Katierina, otwierając zamki w walizce.

Ale jej słowa trafiały w próżnię. Zoi Pietrowny już nie było w pokoju. Katia szybko wyjęła rzeczy, schowała ubrania do szafy i pomyślała, że czuje się nieswojo. Bardzo szybko zrozumiała powód niespodziewanej reakcji: była w dawnym pokoju Maksima. Mieszkał w nim, póki nie stanął na nogi, nie rozkręcił własnego interesu i nie kupił pierwszego mieszkania. W tej szafie były kiedyś jego rzeczy, na tych wieszakach wisiały spodnie, marynarki i koszule, a na tych półkach leżały swetry i bielizna. Spał na tym łóżku. A na tej szafce nocnej trzymał książki, które czytał... Katia nie miała ochoty dotykać tego, co było kiedyś własnością męża. Teraz Maksim jest dla niej obcym człowiekiem i... nie żeby niebezpiecznym, ale wrogim, a źródło tej wrogości tkwi w niej samej.

Katierina po cichu wyszła z pokoju i zajrzała do kuchni. Pusto i sterylne czysto. Znalazła teściową w salonie – kobieta pracowała, siedząc przy biurku. Na dźwięk kroków synowej podniosła głowę i się uśmiechnęła.

– Rozgościłaś się? W takim razie zjedzmy obiad.

– Zaraz przygotuję. – Katierina się poderwała.

– Nie trzeba, wszystko jest gotowe, trzeba tylko podgrzać.

– Podgrzeję...

Bardzo chciała być pomocna i przydatna, żeby Zoja Pietrowna nie zaczęła się obawiać, że synowa i wnuczka będą jej ciężarem. Ale teściowa szybko wstała i ruszyła do kuchni.

– Nie traktuj mnie jak inwalidki, ze wszystkim sama sobie świetnie radzę – powiedziała. – Pamiętaj, Katierino, że chętnie przyjmuję pomoc, ale w rozsądnych granicach i w żadnym wypadku nie pozwolę, żeby ktoś zastępował mnie w tym, co powinnam zrobić sama. Jeżeli gospodyni przygotowała obiad, powinna go też sama podać.

Trzykrotnie powtórzone słowo „sama” boleśnie dotknęło Katierinę, która odniosła wrażenie, że Zoja Pietrowna odgradza się od niej, wznosi niewidoczny, ale gruby mur, przez który nie przedostaną się żadne próby udowodnienia, że synowa jest przydatna i nie będzie ciężarem. Jednakże zdanie dotyczące obiadu było niezrozumiałe.

– Dlaczego? – zdziwiła się Katia.

– Dlatego – twardo odparła Zoja Pietrowna. – Gdy człowiek coś robi, powinien sam prezentować efekt swojej pracy i ponosić za to odpowiedzialność. Mogę ci powierzyć krojenie chleba, bo go nie upiekłam, tylko kupiłam.

Roześmiała się cicho i mrugnęła do synowej. Ta uśmiechnęła się w odpowiedzi, czując ogromną ulgę.

Po obiedzie Zoja Pietrowna podała herbatę i ciastka i dopiero wtedy zapytała, co się stało. Przez całą drogę z domu Katierina przygotowywała się do tej rozmowy, obmyślała argumenty i przykłady,

które mogłaby przytoczyć, żeby wyjaśnić, jak bardzo Maksim się zmienił przez ostatnie miesiące, ale okazało się, że to niepotrzebne. Jeszcze nie skończyła pierwszego zdania, gdy Zoja Pietrowna jej przerwała.

– To przez politykę, tak? Zajął się głupstwami i zapomniał o najważniejszym. A Witalij Andriejewicz przyłożył do tego rękę. To chciałaś mi powiedzieć?

– Tak, właśnie to. Maksim nie jest tym samym człowiekiem, którego kiedyś pokochałam. Stał się nie do zniesienia, myśli tylko o zdobyciu władzy. Dawnego Maksima interesowało działanie, rozwój i podążanie naprzód, no a władza to bagno, nie ma mowy o żadnym rozwoju, człowiek coraz głębiej nurza się w błocie. To mnie napawa obrzydzeniem.

Katierina zaczerpnęła tchu, żeby powiedzieć to, co ją najbardziej nurtowało.

– Zoju Pietrowno, nie przyszedłam do pani w wyniku sprzeczki z Maksimem. Nie szukam schronienia, żeby przeczekać trudne chwile, póki się nie pogodzimy. Nie pokłóciłam się z mężem. On nawet nie wie, że się spakowałam i opuściłam dom. Dowie się dopiero wieczorem, gdy wróci. Chcę od niego odejść, rozumie pani? Nie chcę z nim dłużej być. Chcę się rozwieść.

Zoja Pietrowna spoglądała na nią łagodnie i ze smutkiem.

– Rozumiem cię, dziecko. Kiedyś odeszłam od Witalija Andriejewicza z tego samego powodu. Historia lubi się powtarzać... Sądziłam, że udało mi się dobrze wychować syna, ale okazało się, że

jest kopią swojego ojca. Tak bardzo go przypomina, że nawet żonę wybrał sobie podobną do tej, którą niegdyś wybrał Witalij. Żonę, która nie potrafiła i nie chciała tolerować walki o karierę polityczną. To zabawne! Miejmy tylko nadzieję, że pod innymi względami też są do siebie podobni.

– Co pani ma na myśli? – Katierina się zaniepokoiła. – Co jeszcze może ich łączyć?

– Stosunek do dzieci. Witalij bez słowa sprzeciwu oddał mi Maksima, nie szukał z nim kontaktu i nie angażował się w jego wychowanie. W ogóle się nim nie interesował. Mam nadzieję, że Maksim nie wniesie sprawy do sądu o prawa do Alinki, tylko będzie ci płacił alimenty i zostawi was w spokoju. Nie chciałabym, żeby dziewczynka przeżywała stres z powodu rozpraw sądowych i nieporozumień między rodzicami, przecież i tak jest w trudnym wieku.

Rozmowa, której Katia tak się bała, okazała się krótka i, o dziwo, spokojna. Katierina była wdzięczna teściowej za wsparcie i zrozumienie. Nawet czekające ją kłopoty ze znalezieniem pracy i mieszkania nie wydawały się już tak straszne. Zoja Pietrowna pracowała do wieczora, później odwiedził ją jakiś redaktor, z którym przesiadła nad tekstem prawie półtorej godziny. Koło dziewiątej Katierina zaczęła się szykować, żeby pojechać po Alinę, zadzwoniła, ale okazało się, że córka poszła z koleżanką do kina, a jej ojciec obiecał odebrać dziewczynki i odwieźć Alinę do babci. Katierina nie musiała więc nigdzie jechać.

– Chcę ci coś powiedzieć, dziecko. – Zoja Pietrowna zdjęła okulary,

odsunęła się nieco od biurka i ulokowała wygodniej. – Usiądź i posłuchaj.

Katierinia struchlała. A więc rozmowa, którą uznała za skończoną, będzie miała ciąg dalszy. I pewnie nie będzie on ani łatwy, ani przyjemny.

– Tydzień temu był u mnie Maksim. Tak, równo tydzień, akurat w ubiegły poniedziałek. Ucieliśmy sobie pogawędkę, która okazała się niezbyt przyjemna, i pożegnaliśmy się chłodno.

– Pokłóciliście się? – zapytała Katia z niepokojem.

Maksim nie wspominał ani o wizycie u matki, ani tym bardziej o tym, że się poróżnili. To jeszcze bardziej utwierdziło ją w przekonaniu, że postępuje słusznie. Stali się sobie obcy, skoro mąż nie powiedział ani słowa o odwiedzinach u matki. Czemu obcy i dalecy sobie ludzie mają mieszkać razem?

– Nie, nie pokłóciliśmy się, ale rozmowa była trudna – spokojnie odparła Zoja Pietrowna. – W każdym razie dla mnie. Długo się potem biłam z myślami. I w związku z tym chcę ci powiedzieć, Katierino, żebyś nie była za ostra wobec Alinki.

– Ale czy ja... – zaczęła Katia, ale teściowa nie pozwoliła jej dokończyć.

– Nie przerywaj mi. Wiem, że wychowujesz córkę surowo i wymagasz posłuszeństwa, wpajasz pracowitość, dbasz o dobre wykształcenie. Wychowywałam Maksima tak samo, nie pobłażałam zachciankom, nie przytulałam, nie chwaliłam, bez przerwy stawiałam nowe żądania. Myślałam, że postępuję słusznie. A teraz

zrozumiałam... Nie wszystko i nie od razu, ale mam wrażenie, że przynajmniej częściowo. Uderzyły mnie twoje dzisiejsze słowa, że odwiedzali go jacyś ludzie i Maksim odbywał z nimi i z tamtym naukowcem, który u was mieszkał, tajemnicze narady. Każda dziewczynka, Katierino, musi poczuć się księżniczką, a każdy chłopiec dowódcą. Tak nas stworzyła natura i nic na to nie poradzimy. Jeżeli dziewczynka nie była księżniczką w dzieciństwie, zechce nią być, gdy dorośnie, i czasem jej pragnienie przybiera tak wypaczoną formę, że robi się niedobrze. Widziałas pewnie na ulicach kobiety nie pierwszej młodości, ubrane wyzywająco, strojnie i zupełnie niestosownie. Przypominające żywe lalki. Prawda?

Katierina zamyśliła się i skinęła głową. Tak, Zoja Pietrowna ma rację, czasem można spotkać takie kobiety, i to wcale nierzadko. Z mocnym makijażem, niekiedy wręcz wypacykowane, z niedorzecznymi wstążkami we włosach, obwieszane błyskotkami, w ubraniach zdobionych cekinami, w jaskrawych spódnicach. Szczerze mówiąc, zawsze uważała takie kobiety za niespełna rozumu, zwłaszcza jeśli były dobrze po trzydziestce.

– Podobnie jest z chłopcem, który w dzieciństwie nie miał możliwości pobawić się w wojnę i być dowódcą. Próbuje więc nim zostać, gdy dorośnie. I znowu przybiera to różne formy. U twojego męża przejawia się w dążeniu do bycia szefem sztabu, który prowadzi tajne konsultacje przypominające narady wojenne. Nie chodzi tutaj o dążenie do przywództwa, nie mył tego. Przecież nawet bez władzy i bez miejsca w Dumie Maksim kieruje dużym koncernem, ma pod sobą

tysiące ludzi i obraca ogromnymi pieniędzmi, jednak niezrealizowane potrzeby i nieodegrane role w dzieciństwie odzywają się w nim teraz z niebywałą siłą. Marzy mu się sztab partyzancki i tajemnice. Jest jak duże dziecko. W gruncie rzeczy nigdy nie dorósł. A wiesz dlaczego? Dlatego, że to ja z własnej woli nie pozwoliłam, żeby był dzieckiem czasie, gdy powinien nim być. Usiłowałam wychować go na osobę poważną i samodzielną, nie zgadzałam się, żeby pobawił się przez pół godziny z chłopcami na podwórzu, zmuszałam, żeby ślęczał nad podręcznikami i czytał właściwe książki. Chciałam jego dobra, chciałam jak najlepiej, a skończyło się tym, że pozbawiłam go dzieciństwa. A teraz jego nieprzeżyte dzieciństwo daje o sobie znać. Mówię ci to wszystko nie po to, żebyś się nad nim zlitowała i mu wybaczyła, ale po to, żebyś nie powtarzała moich błędów, wychowując Alinkę. Wiem, że nie pozwalasz jej na zbytki, nie kupujesz niepotrzebnie ładnych sukienek, nie zgadzasz się, żeby nosiła biżuterię. Ja jednak nie mam teraz pewności, czy to jest słuszne.

– Dzieci nie wolno rozpieszczać – odparła Katierina z przekonaniem. – Nie powinno im się kupować rzeczy, gdy nie zasłużyły. Dziecko musi zrozumieć różnicę między koniecznością a kaprysem.

– Możliwe, możliwe – w zamyśleniu stwierdziła Zoja Pietrowna, ale Katia nie rozumiała jej słów. Zoja Pietrowna usiłowała mówić wyraźnie i ludzie, którzy z nią obcowali, dość szybko przyzwyczajali się do jej dykcji i dobrze ją rozumieli, ale gdy pogrążała się w myślach i przestawała kontrolować wymowę, jej słowa stawały się niewyraźne i

bełkotliwe.

Kobieta milczała przez chwilę, a gdy znów się odezwała, Katia rozróżniała już każde słowo.

– Przecież powiedziałam: nie mam pewności, czy to jest słuszne. Teraz już niczego nie jestem pewna. Ale jedno wiem na pewno: każdą rolę powinno się zagrać w odpowiednim czasie. Nie chodzi tylko o księżniczki i dowódców, istnieje mnóstwo ról, które gramy w ciągu całego życia. Jest wśród nich na przykład rola syna albo córki, rola rodzica, małżonka, kochanka, przyjaciela i tak dalej. Każdą z tych ról kiedyś zagramy, pytanie tylko kiedy i jaką przybierze formę. Dobrze, jeśli w porę. A jeśli nie, wtedy istnieje całe spektrum możliwości – od pośmiewiska do nieszczęścia. Proszę tylko, żebyś o tym pamiętała, obcując z Alinką.

Alina zjawiła się prawie o jedenastej wieczorem i Katierina rozgniewała się nie na żarty. Jutro rano trzeba wstać do szkoły, a dziewczynka jeszcze nie jest w łóżku.

– Nie jedziemy do domu, mamó? – zdziwiła się Alina, gdy zobaczyła przygotowane poślanie w mieszkaniu babci.

Gdy Katierina odwoziła córkę rano do szkoły, nie powiedziała jej o swojej decyzji dotyczącej rozstania z ojcem. Wtedy nie była jeszcze pewna, czy wystarczy jej odwagi, by się spakować i opuścić dom. Zdołała się wyprowadzić i odbyć rozmowę z teściową, nie potrafiła jednak zdobyć się na to, żeby wyjaśnić wszystko dziecku.

– Na razie pomieszkamy u babci – odparła wymijająco.

– Ale w domu zostały podręczniki i zeszyty, jutro mam przecież

inne lekcje...

– Nie martw się, wszystko zabrałam. I twoje podręczniki, i ubrania.

Katia mówiła prawdę. W walizce były głównie rzeczy Aliny. Dla siebie wzięła tylko to, co niezbędne – przybory toaletowe, piżamę i zmianę bielizny. I żadnych ubrań – nie było już na nie miejsca w dużej walizce. Nic nie szkodzi, przez jakiś czas będzie chodziła w tej samej spódnicy i bluzce, tysiące ludzi tak robi – to nic wielkiego.

– A kiedy pojedziemy do domu? – dopytywała się dziewczynka. –
Jutro?

– Przecież ci powiedziałam: na razie pomieszkamy u babci.

W oczach Aliny błysnęło zrozumienie.

– Pokłóciłaś się z tatą? Ale zaraz, mamo, przecież jutro mam arabski, więc co z lekcją? A tata tutaj przyjedzie?

Pytania sypały się jedno po drugim i na wszystkie należało odpowiedzieć. W ciągu tego długiego i nie najłatwiejszego dnia w życiu Jekatieriny Kramariewej wieczorna rozmowa z córką okazała się najtrudniejsza. A czekała ją jeszcze rozmowa z Maksimem, który jak dotąd nie wrócił do domu i nie zobaczył kartki... Dobrze, że już od dawna nie dzwoni w środku dnia, żeby zapytać, co u niej słyhać i jakie ma plany na wieczór. Jej sprawy i plany przestały go interesować. No cóż, chyba jednak słusznie postąpiła.

*

Melodyjny dzwonek domofonu przerwał płynną opowieść Angeliny

Michajłowny o kolejnym przedstawieniu, na które wybrali się poprzedniego wieczoru z Wilenem Wiktorowiczem. Lew Siergiejewicz zaczął niezgrabnie się podnosić, żeby wyjść do przedpokoju i zobaczyć, kto przyszedł, ale Angelina Michajłowna go ubiegła.

– Niech pan siedzi, Lwie Siergiejewiczu, ja zobaczę.

Podeszła do aparatu i zerknęła na ekran, na którym majaczyła nieznajoma męska twarz. Zdjąwszy słuchawkę, zapytała surowo:

– Pan do kogo?

– Ludmiła Leonidowna Gusarowa? – rozległ się głos.

– Nie ma jej w domu.

– A Lew Siergiejewicz?

– Jak mam pana zapowiedzieć? – zapytała Angelina tonem wyszkolonej sekretarki.

– Śledczy komitetu śledczego przy prokuraturze Torcow.

– Chwileczkę.

Zasłoniła mikrofon dłonią.

– Lwie Siergiejewiczu, śledczy do pana.

– Jaki znowu śledczy?

– Nie wiem. Z komitetu śledczego przy prokuraturze.

– Ależ, Angelino Michajłowno – Gusarow się zaniepokoił – niech go pani natychmiast wpuści, przecież to nie wypada.

Angelina nacisnęła przycisk domofonu i została w przedpokoju, żeby otworzyć drzwi.

– Nie wiem, dlaczego nie wypada – powiedziała głośno, żeby Gusarow dobrze ją słyszał w pokoju. – Przecież go pan nie zapraszał

ani się nie spodziewał, mogło pana nie być w domu, skoro nie umawialiście się na spotkanie.

Gusarow wyszedł z pokoju, utykając, żeby przywitać gościa. Gdy rozległ się dzwonek, sam otworzył drzwi. Na progu stał mężczyzna w podeszłym wieku, o sympatycznej i szczerzej twarzy, z teczką w ręce.

– Lew Siergiejewicz? Pan pozwoli, że się przedstawię. Arkadij Nikołajewicz Torcow, starszy śledczy. Oto moja legitymacja.

Gość sięgnął do kieszeni, ale Gusarow zamachał rękami w geście sprzeciwu.

– Nie trzeba, nie trzeba, po co te ceregiele? Niech pan tylko powie, co się stało? Ktoś miał wypadek? Lusja? Lońka? Marina? Saszka? Któryś z wnuków?

– Pańscy bliscy są cali i zdrowi. – Torcow się uśmiechnął. – Muszę z panem porozmawiać o Łarisie Krotowej. Pamięta ją pan?

Angelina Michajłowna, stojąca tuż obok, omal nie zemdląła z wrażenia. Śledczy interesuje się Łarisą! Dlaczego? Po co? Co się stało? Tak czy inaczej, trzeba zrobić, co tylko w ludzkiej mocy, żeby zostać i posłuchać rozmowy. Lew Siergiejewicz mógł się wykręcać i nie odpowiadać na pytania jej i Wilena, ale ze śledczym mu się nie uda – będzie musiał powiedzieć całą prawdę. A ona, Angelina Sorokina, za wszelką cenę musi ją poznać.

– No oczywiście, pamiętamy Łarisę, była przecież naszą sąsiadką, mieszkała na tym samym piętrze. Tylko że to było tak dawno... – Gusarow się stropił. – Co możemy o niej wiedzieć?

Śledczy Torcow uśmiechnął się łagodnie.

– Pozwoli pan, że wejdem? Zaraz wszystko wyjaśnię.

Gusarow zaprowadził go do pokoju, a Angelina Michajłowna pochwyciła pytające spojrzenie, które Torcow posłał w jej stronę i które nie ukryło się przed Lwem Siergiejewiczem.

– To Angelina Michajłowna Sorokina, sąsiadka. Nawiasem mówiąc, zajmuje teraz dawne mieszkanie Łarisy.

Zaraz śledczy ją poprosi, żeby zostawiła ich samych i nie przeszkadzała w poufnej rozmowie... Trzeba znaleźć jakiś sposób, żeby temu zapobiec.

– Może herbaty? – zapytała uprzejmie. – Czy woli pan kawę? Zaraz podam, Lwie Siergiejewiczu, niech się pan nie kłopotuje.

– Poproszę herbatę, jeśli można – odparł śledczy, a jego mina powiedziała Angelinie, że teraz na pewno jej nie wyprosi. No bo jak to: podaj, przynieś i do widzenia? W przyzwoitym towarzystwie takie rzeczy są nie do pomyślenia.

Poszła do kuchni, żeby zaparzyć herbatę, i przez cały czas nasłuchiwała głosów z pokoju w obawie, że przegapi coś ważnego i ciekawego.

– Lwie Siergiejewiczu, po zabójstwie Krotowej był pan świadkiem w sprawie i zeznawał w sądzie – zaczął Torcow.

– Tak, zgadza się.

– A więc miał pan jakie takie rozeznanie, jak żyje pańska sąsiadka.
– Torcow ni to zapytał, ni to stwierdził, a Angelina pożałowała, że nie widzi wyrazu jego twarzy.

– Bardzo niewielkie – odrzekł Gusarow. – Nasze dzieci bawiły się

razem, Łarisa często przyprowadzała do nas Saszeńkę, gdy nie miała go z kim zostawić. No i gdy pojawił się ten jej kawaler, Walera, też go nam przedstawiła. To właściwie wszystko. Wtedy jeszcze służyłem w wojsku, wciąż byłem w pracy, więc moja żona widywała się częściej z Łarisą. To z nią powinien pan porozmawiać, a nie ze mną. A co się stało? Dlaczego nagle przypomniał pan sobie o Łarisie?

– Chodzi o to, Lwie Siergiejewiczu, że ktoś zamordował Walerija Stiecenkę.

– Stiecenkę? A kto to taki?

– To ten Walera, który był kochankiem Krotowej i który ją zabił.

Angelina Michajłowna omal nie wypuściła z rąk porcelanowej przykrywki imbryczka do parzenia herbaty. Co za szczęście! Niesłychane, niespodziewane szczęście, że znalazła się w odpowiedniej chwili w mieszkaniu Gusarowów, inaczej ominęłaby ją taka sensacja. Jeszcze dzisiaj trzeba powiadomić Maksima. A nuż to mu się przyda?

Przez pewien czas pograżyła się w myślach i omal nie przegapiła dalszego ciągu rozmowy.

– ...dochodzenie wykazało, że zabójstwo Stiecenki może być aktem zemsty za zamordowanie Krotowej. W ramach tej hipotezy przyjęliśmy dwa kierunki śledztwa. Pierwszy: zemsty dokonał ktoś z bliskich przyjaciół Krotowej, możliwe, że jej dawny kochanek. I drugi: była to zemsta za zabójstwo matki, toteż podejrzany jest syn Łarisy, Aleksander. Sprawdziliśmy jego alibi, mężczyzna nie ma nic wspólnego z zabójstwem. Pozostają przyjaciele, znajomi i

kochankowie. Oto dlaczego się u pana zjawilem.

– Ale jak mogę panu pomóc? Nie byłem ani przyjacielem, ani kochankiem Łarisy. Jedynie sąsiadem, który w dodatku rzadko bywał w domu w tamtych latach.

Angelina Michajłowna pośpiesznie umieściła na tacy imbryczek, filiżanki oraz inne rzeczy, które zwykle się podaje, i ruszyła do pokoju. Żadna siła nie zmusi jej teraz, żeby opuściła mieszkanie, póki śledczy jest tutaj. W milczeniu, starając się nie rzucać w oczy, podała panom herbatę, na wszelki wypadek sobie też naląła. Niech tylko ten Torcow spróbuje wyprosić osobę, która popija herbatę i nikomu nie wadzi! Nawiasem mówiąc, mężczyzna jakoś dziwnie się nazywa. Niby całkiem zwyczajnie – Arkadij Nikołajewicz Torcow – ale coś w jego nazwisku nie daje spokoju Angelinie Sorokinie i wywołuje niepokój.

– Musimy ustalić grono znajomych Krotowej – mówił tymczasem śledczy. – Oto dlaczego przyszedłem do pana w pierwszej kolejności. Nie zostały po niej jakieś dokumenty?

– Nie. – Gusarow pokręcił głową. – Nic nie zostało.

– Nie pamięta pan, w jakim domu dziecka umieszczono jej syna? Może miał przy sobie rzeczy i dokumenty?

– Jaki dom dziecka, o czym pan mówi? – obruszył się Lew Siergiejewicz. – Zabraliśmy z żoną Saszeńkę do siebie, załatwiliśmy formalną opiekę.

– Ach tak? – Śledczy Torcow uniósł brwi. – Opiekę? A dlaczego go nie adoptowaliście?

– Z powodu mieszkania. – Gusarow westchnął. – Gdybyśmy

adoptowali Saszę, od razu zabrano by mieszkanie Łarisy. W sytuacji, gdy przyznawana jest opieka, mieszkanie zostaje przy dziecku, które po osiągnięciu pełnoletniości ma prawo zrobić z nim, co zechce: sprywatyzować, sprzedać, zamienić. Kiedy zabraliśmy Saszę, o żadnej prywatyzacji, rzecz jasna, nie było jeszcze mowy, nie można było sprzedać mieszkania, wolno je było tylko zamienić. Chcieliśmy jednak z żoną, żeby chłopiec miał swój kąt, gdy dorośnie.

– No cóż, to całkiem zrozumiałe. A kto zabrał rzeczy Krotowej po jej śmierci? Krewni? Czy pan z małżonką?

Lew Siergiejewicz machnął ręką i upił łyk herbaty z filizanki.

– Co to za rzeczy, na miłość boską! Poza tym staraliśmy się nie zabierać niczego z mieszkania Łarisy, żeby nic nie przypominało chłopcu o tragedii. Niech wszystko wokół niego będzie inne, nieznanne, niech zacznie nowe życie, w którym nie będzie strasznych wspomnień. Właśnie tak uznaliśmy. Kupiliśmy mu nawet nowe ubrania, książki, zabawki, bloki, ołówki i farby.

– A meble? – zainteresował się Torcow. – Mebli też nie zabraliście?

– Nie, daliśmy ogłoszenie i wszystko sprzedaliśmy. I meble, i dywan, i naczynia, które były coś warte – wszystko sprzedaliśmy, a pieniądze przelaliśmy na konto Saszy w kasie oszczędnościowej, natomiast to, co było stare i sfatygowane, oddaliśmy dozorcóm i sprzątacze z ŻEK-u, która sprzątała naszą klatkę schodową.

– A rzeczy osobiste, dokumenty? Gdzie się podziały?

– Dokumenty, które były niezbędne, zostały: akt zgonu Łarisy, odpis wyroku, akt urodzenia Saszy, umowę wykupu miejsca na

omentarzu, książeczki opłat komunalnych i telefonicznych.

– A notes Krotowej? Nie pamięta pan, co się z nim stało?

– Chyba go w ogóle nie było... – Lew Siergiejewicz w zamyśleniu spojrział w sufit, po chwili drgnął. – Nie, wydaje mi się, że był. Tak, zgadza się, pamiętam. Lusia, moja żona, obdzwaniała znajomych Łarisy, informując ich o pogrzebie i stypie. A jak mogłaby do nich dzwonić, gdyby nie było notesu? A więc musiał być.

– No właśnie – śledczy się ożywił – to bardzo ważne. Dużo osób obdzwoniła pańska żona?

– Dokładnie nie wiem, ale na pogrzebie i stypie zjawily się tylko trzy czy cztery koleżanki Łarisy.

– Tylko koleżanki? – surowo zapytał Torcow. – A mężczyźni? Może pojawili się jacyś znajomi Krotowej?

– Nie, o ile dobrze pamiętam, nie było obcych mężczyzn. Byli tylko dwaj sąsiedzi z naszego domu, którzy znali Łarisę, pracownicy ŻEK-u, gdzie pracowała, no i te trzy czy cztery dziewczyny.

– Rozumiem. A co się później stało z notesem?

– Kto to może wiedzieć? Pewnie Lusia go wyrzuciła.

– Wyrzuciła?

– No tak. Wyrzuciła wszystkie rzeczy osobiste Łarisy, żeby nie wpadły przypadkiem w ręce Saszki.

Angelina Michajłowna siedziała bez ruchu, ze wzrokiem wbitym w filiżankę, i chłonęła każde słowo. Oto odpowiedzi na wszystkie pytania. Nie są to oczywiście odpowiedzi, których potrzebuje Maksim – on na pewno by wolał, żeby to, na czym mu zależy, jednak się

znalazło. Ale teraz wiadomo na sto procent, że ta rzecz nie istnieje. Jeśli nawet kiedyś była, dawno zgniła na śmietniku.

*

Ardajew wyszedł z budynku, wsiadł do swojego auta i uruchomił silnik. Wszystko okazało się znacznie łatwiejsze, niż przypuszczał. Dawno należało tak zrobić, a nie czekać, aż ci gamoniowaci Sorokinowie czegoś się dowiedzą. Gdyby miał polegać na tej parze, czekałby do sądnego dnia.

Ta Angelina też jest dobra! I to ma być znawczyni teatru, miłośniczka sztuki wysokiej! Nawet nie rozpoznała nazwiska. Gdy Ardajew zamawiał u swojego znajomego legitymację śledczego komitetu śledczego przy prokuraturze, specjalnie wybrał tożsamość Arkadija Nikołajewicza Torcowa¹⁴. Od początku zakładał, że Sorokina będzie obecna przy rozmowie, ponieważ całymi dniami przesiaduje u Gusarowa, a gdyby jej nie było, poprosiłby, żeby zawołano sąsiadów, którzy zajmują teraz mieszkanie Krotowej. Przygotował sobie wytłumaczenie na tę okoliczność: musi się dowiedzieć, czy ktoś nie pytał o syna Łarisy albo o jej krewnych. Tak czy owak, wiedziałby, co powiedzieć. I Sorokina, a możliwe, że i jej mąż na pewno by usłyszeli, jak się przedstawia: Arkadij Nikołajewicz Torcow. Ardajew się nudził, pragnął inteligentnych niedomówień i niespodziewanych zwrotów w rozmowie, potrzebował adrenaliny... Ale nic się nie wydarzyło, Sorokina w ogóle nie zareagowała.

No cóż, osiągnął to, co najważniejsze – wreszcie zdobył potrzebną informację. Ach, Łarisko, ach, narwana dziewczyno, gdzie ukryłaś to, co do ciebie należało? Czyżbyś oddała koleżankom albo znajomym na przechowanie? A może naprawdę nic nie miałaś?

*

Angelina Michajłowna z trudem doczekała się powrotu Wilena Wiktorowicza, który udał się do księgarni z dużym działem antykwarycznym w centrum Moskwy w poszukiwaniu pewnej starej publikacji na temat historii postimpresjonizmu. Gdy tylko mąż zjawił się w domu, od razu zdała mu barwną relację z wizyty śledczego Torcowa u sąsiadów. Na dźwięk nazwiska Wilen Wiktorowicz się skrzywił.

– Torcow? – powtórzył.

– Tak, Arkadij Nikołajewicz. Muszę ci powiedzieć, że bez przerwy miałam wrażenie, że skądś go znam. Może jego twarz wydała mi się znajoma, a może głos albo...

– Nazwisko – podpowiedział Sorokin. – No jasne, że nazwisko. Przypomnij sobie, czytaliśmy razem notatki Stanisławskiego, jest tam mowa o pedagogu Arkadiju Nikołajewiczu Torcowie.

– Zgadza się! – Angelina się ucieszyła. – To dlatego wciąż nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że się znamy. A okazuje się, że to imiennicy, cóż za niezwykły zbieg okoliczności.

– Dzwoniłaś do Maksima, żeby mu to powiedzieć?

– Nie, czekałam na ciebie. Pomyślałam, że najpierw ty powinieneś się o tym dowiedzieć i jeżeli uznasz, że trzeba zadzwonić, sam to zrobisz.

Wilen Wiktorowicz kiwnął głową z zadowoleniem i sięgnął po telefon. Angelina zrozumiała, że postąpiła słusznie. A jednak dobrze poznała męża w ciągu pół wieku wspólnego życia. Chociaż sprawa, którą się zajmują, przestała mu się podobać, powinien czuć, że to on podejmuje decyzje.

¹³ ŻEK (żiliszczno-eksploatacyjna kontora) – administracja osiedla mieszkaniowego.

¹⁴ Jeden z bohaterów Pracy aktora nad sobą – beletryzowanej powieści znanego rosyjskiego reżysera, aktora i reformatora teatru Konstantina Stanisławskiego, będący jego alter ego.

ROZDZIAŁ 14

– Nie podoba mi się sytuacja, w której coś mi się nie podoba – oznajmił Władisław Nikołajewicz Stasow, wbijając wzrok w siedzącego przed nim Michaiła Docenkę. – Historia z twoim dramaturgiem, który udaje ważnego naukowca, przyprawia mnie o ból zębów i zamęt w głowie.

– Nie jest mój – zaproponował Docenko. – Należy do twojej klientki. A ona jest twoja, bo na jej widok tracisz rozum. Czego ode mnie oczekujesz? Żebym się dowiedział, gdzie facet przebywa fizycznie, czy żebym odsłonił jego prawdziwe oblicze i udowodnił, że jest oszustem? Weź pod uwagę, że prawda o Gaszynie może się nie spodobać twojej klientce. Powiedziałaś jej, że gość nie jest osobą, za którą się podaje?

– Nie – twardo odparł Stasow. – Myślę, że jeszcze za wcześnie.

– Dlaczego? – zdziwił się Docenko. – Powinieneś był powiedzieć.

– A ja ci mówię, że jest za wcześnie. – Michaił wyczuł nutę rozdrażnienia w głosie szefa. – Przed swoim zniknięciem Gaszyn mieszkał u Maksima Witaljewicza Kramariewa, szefa koncernu farmaceutycznego. Bierz się więc ostro do roboty i dowiedz się, co to za jeden.

Docenko biegle posługiwał się komputerem, więc już pół godziny później Michaił zameldował Stasowowi, że Kramariew jest nie tylko

biznesmenem, ale zajmuje się też polityką i zamierza kandydować do Moskiewskiej Dumy Miejskiej. W walce o fotel deputowanego jego rywalem na śmierć i życie jest Paweł Razuwajew, z którym, nawiasem mówiąc, Kramariew miewał poważne konflikty biznesowe.

– I nie wiadomo, jaki związek z tym wszystkim może mieć dramaturg Sławomir Gaszyn – zakończył Docenko.

– Nie zapominaj też o starszej parze odwiedzającej Kramariewa – odparł Stasow. – Przyjmowano ich w domku dla gości, który zajmował Gaszyn, i urządzano jakieś narady. Sytuacja może wyglądać tak: Gaszyn ma informacje kompromitujące Razuwajewa, a wszystkie te tajne nasiadówki są niczym innym jak tylko opracowaniem planu ich wykorzystania. Co ty na to?

– A ja na to jak na lato – kwaśno odparł Michaił. – Ale moja Irka będzie innego zdania.

– Co ma do tego Irka?

– Nie strugaj wariata, Stasow. Żeby się dowiedzieć, czy Gaszyn może mieć materiały kompromitujące Razuwajewa, trzeba pojechać do Permu i pogrzebać w jego życiorysie, ustalić kontakty i grono znajomych. Kto pojedzie? Ja? Uprzedzałem cię, że...

– Pamiętam. Nigdzie nie będziesz musiał jechać, poproszę Kamieńską, i tak wybiera się do Permu, więc zajmie się też twoją sprawą.

– W takim razie w porządku. – Michaił odetchnął z ulgą. – Tylko nadal nie rozumiem, po kiego diabła się w to pakujemy? Ktoś nam to zlecił? Nic podobnego, proszono nas o odszukanie Gaszyna, żeby twoja

cudowna Walentina Jewtiejewa mogła z nim porozmawiać i poznać jego uczucia. O nic innego nie byliśmy proszeni. Przypomnę ci, choć nie wiem, czy to ma dla ciebie jakieś znaczenie: za nic innego nam nie zapłacą. Chcesz, żebyśmy z Kamińską pracowali za darmo? Czy będziesz płacił z własnej kieszeni za możliwość zaglądania w piękne turkusowe oczy Jewtiejewej?

Stasow odwrócił wzrok i długo milczał. Później podniósł głowę i spojrzał na Docenkę z kpina pomieszaną ze smutkiem.

– Umarła w tobie dusza detektywa, Miska, a we mnie ona wciąż żyje. W Kamińskiej też. Obojgu nam nie podoba się sytuacja, w której coś nam się nie podoba. Gotowi jesteśmy urobić sobie ręce po łokcie, żeby wszystko nam się wreszcie spodobało. Niechący wyszedł mi aforyzm.

Misza Docenko lubił kiedyś pracę wywiadowcy, ale teraz najbardziej liczyła się dla niego żona Iroccka i córka. Skoro żona sama sobie nie radzi i nie chce, żeby Misza wyjeżdżał w delegacje, jako mąż i ojciec ma obowiązek być przy niej i nigdzie nie wyjeżdżać. Ira jest znakomitą panią domu, robota pali jej się w rękach, obowiązki domowe wykonuje szybko i sumiennie, ale po urodzeniu dziecka ogarnął ją paniczny strach, że córeczka nagle zachoruje, a obok nie będzie nikogo, kto by jej pomógł. Ów strach nie mijał z czasem, lecz się potęgował, i teraz Ira odchodziła od zmysłów na samą myśl, że dzwoniąc do męża, usłyszy komunikat: „Abonent czasowo niedostępny”. Musiała mieć pewność, że Misza przebywa w pobliżu, że nie jest „poza zasięgiem”, że wystarczy tylko zadzwonić, a on od razu

się zjawi i wszystkim zajmie, bo bez niego i bez pomocy dziecko umrze. Była to typowa nerwica, ale Irocza nawet nie chciała słyszeć o wizycie u specjalisty i podjęciu leczenia. Prawdę mówiąc, była chora i nie był to problem wyłącznie Michaiła – wiele osób z jej otoczenia musiało o tym pamiętać. Między innymi Władisław Stasow, którego żona Tatiana była krewną Iroczi Docenko i nie potrafiła przejść obojętnie obok jej kłopotów.

Jednym słowem, uniknięcie wyjazdów w delegacje to sprawa życia i śmierci dla Michaiła. Pozostałych decyzji Stasow nie musi z nim konsultować.

*

Duży czarny jeep wyskoczył przed peugeota Nasti i pognał do przodu. Nastia gwałtownie zahamowała i gniewnie zatrąbiła na siedzącą za kierownicą młodą kobietę, która prowadziła auto jedną ręką, a drugą przyciskała do ucha telefon komórkowy. Wysiłki pannicy były daremne, bo na najbliższych światłach olbrzymi samochód znalazł się obok peugeota i Nastia z wyrzutem popatrzyła na jego właścicielkę. W odpowiedzi tamta posłała jej niedwuznaczne spojrzenie, które mówiło: „Stara babo! Nadajesz się tylko na złom, a ty się rozsiadłaś w najlepsze za kierownicą”.

Nasti zrobiło się przykro, ale zaraz się opanowała i wróciła do swoich rozmyślań. Po powrocie z Runowska zasięgnęła informacji o rodzicach chłopców, których doktor Jewtiejew operował po wypadku i

którzy zmarli w szpitalu. Czy jeden z rodziców mógł się zemścić na lekarzu nawet po latach?

Matka Miszy Sawinych jest inwalidką, po śmierci syna dostała udaru, po którym nie odzyskała już pełnej sprawności. Lewa połowa ciała Zoi Pietrowny jest niewładna, kobieta ma problemy z poruszaniem ręką i nogą, a także z mówieniem, więc to raczej mało prawdopodobne, że wynajęła osobę, która pojechała do Jużnomorska i zabiła lekarza. Dużo i ciężko pracuje, jest stale wśród ludzi, ma syna z pierwszego małżeństwa i czternastoletnią wnuczkę. Nic nie wskazuje na to, że właśnie teraz dojrzała w niej myśl o zemście. Gdyby chciała się zemścić, zrobiłaby to już dawno. Loszka przecież powiedział: szukaj osoby, która albo była nieobecna, albo której doskwiera niezapełniona pustka w życiu. Zoja Pietrowna Sawinych w ogóle nie pasowała do tego opisu. Jej syn, starszy brat Miszy, Maksim Kramariew, odnosi sukcesy jako biznesmen i polityk i też raczej nie ma powodu, żeby się mścić za śmierć brata – wszystko układa się po jego myśli. Jeśli chodzi natomiast o ojca Miszy, Wsiewołoda Sawinych, to po śmierci syna odszedł od żony i założył nową szczęśliwą rodzinę. Nikt z nich nie nadaje się do roli nieudacznika mściciela. A zresztą, żeby się zemścić na Jewtiejewie za śmierć chłopca, trzeba mieć absolutną pewność, że podczas operacji chirurg popełnił fatalny błąd, który doprowadził do zgonu dziecka. O tym zaś nie było mowy, w każdym razie Nastia nie usłyszała na ten temat ani słowa w szpitalu.

Co się tyczy drugiego chłopca, Jury Pietrakowa, który zmarł na oddziale intensywnej terapii parę dni po operacji, to jego matka

popęłniła samobójstwo wiele lat temu, a ojciec jest nieznany. W akcie urodzenia Jury zamiast nazwiska ojca widnieje kreska, ale matka na pewno wiedziała, kim on jest. To jedyny realny kandydat do roli mściciela, więc należy dołożyć wszelkich starań, żeby go znaleźć. Pietrakov przyjechał do obozu pionierskiego z Permu, tak w każdym razie twierdzi dawna drużynowa. A więc trzeba jechać do Permu, żeby odszukać krewnych i znajomych matki Jury Pietrakowa.

Dzisiaj rano Nastia zameldowała o rezultatach swoich poszukiwań Stasowowi i otrzymała zgodę na wyjazd, natomiast pod wieczór, gdy kupiła już bilet na samolot i jechała do domu, żeby się spakować, szef do niej zadzwonił i poprosił, żeby zajrzała do teatru dramatycznego w Permie i zasięgnęła języka na temat Sławomira Iljicza Gaszyna.

– A co cię konkretnie interesuje? – zapytała z niezadowoleniem.

Telefon od Stasowa zastał ją w sklepie, gdzie robiła zakupy, usilnie próbując sobie przypomnieć, czego zabrakło w domu. Wózek był już załadowany po brzegi, a ona wciąż miała wrażenie, że nie będzie z czego przygotować kolacji.

– Trzeba się dowiedzieć, czy facet nie utrzymywał czasem kontaktów z niejakim Razuwajewem. Zapamiętałaś nazwisko?

– Zapamiętałam. Jakie kontakty masz na myśli? Dowolne? Streszczaj się, Stasow, bo jestem w sklepie i nie mogę rozmawiać.

– Krótko mówiąc, dowiedz się, czy ich drogi się gdzieś nie skrzyżowały. Ale pamiętaj, że w teatrze mogą o tym nie wiedzieć. Będziesz musiała dotrzeć do wszystkich znajomych Gaszyna.

– Chwileczkę, bo całkiem mnie skołowałeś! – Nastia z irytacją

cisnęła opakowanie mieszanki warzywnej z powrotem do zamrażarki.

– Gaszyn jest przecież chemikiem, więc co ma do tego teatr?

– Docenko nic ci nie mówił? – beznamiętnie odparł Stasow. – Facet nie jest żadnym chemikiem, tylko dramaturgiem z Permu. Założyliśmy z Miską, że ma jakieś materiały kompromitujące niejakiego Razuwajewa. Co ty tam robisz, bo nie dosłyszałem? Czemu tak sapiesz? Zmieniasz koło?

– Buszuję po półkach w sklepie – odparowała Nastia. – Sto razy sobie powtarzałam: nie idź do marketu głodna, bo nakupisz rzeczy, z których nie da się potem zrobić obiadu. Zaraz, a czemu gdy mowa o Jewtiejewej, od razu pojawia się Perm? Wykonuję jej zlecenie i akurat tam jadę, Miska ma kolejne zlecenie Jetwiejewej – i ślady też prowadzą do Permu. To ci się podoba?

– Ani trochę – szybko odparł Władisław Nikołajewicz. – Mnie też się nie podoba...

– ...gdy coś ci się nie podoba – dokończyła Nastia. – Wszystko jasne, a teraz nie przeszkadzaj mi w zakupach, bo w domu czeka mąż, którego muszę nakarmić. Pa, całuję, Kamieńska.

Mimo że mocno wytężała szare komórki, nakupiła mnóstwo niepotrzebnych, ale bardzo smacznych rzeczy, takich, które nie zastąpią obiadu ani kolacji, ale które bardzo przyjemnie jest chrupać i pogryzać, siedząc przed telewizorem albo prowadząc niespieszną pogawędkę z mężem o minionym dniu i robiąc plany na dzień następny. W końcu urok domowego ogniska nie polega tylko na spożywaniu sytych i regularnie przygotowywanych posiłków –

pocieszała się w duchu, ładując zakupy do bagażnika peugeot – ale na takich właśnie pogaduszkach we dwoje przed telewizorem. One są nawet ważniejsze niż podana o czasie kolacja.

Utknąwszy w korku, Nastia przesuwała się wolno Stromynką, układając w myślach plan pracy w Permie. Jutro wyjazd, pojutrze zacznie zbierać informacje, to znaczy podrzuci miejscowym milicjantom zapytanie o Pietrakovą i podczas gdy oni będą odpracowywać w pocie czoła pieniądze Stasowa, ona wybierze się do teatru. I liźnie przy tym trochę kultury.

Gdy w końcu dotarła do domu, Czistiakowa jeszcze nie było. Rozłożyła zakupy na kuchennym stole, przyjrzała im się w zamyśleniu, coś przy tym kalkulując, po czym zdecydowanie umieściła w lodówce i w szafce wszystko prócz opakowania mieszanki bakaliowej, zaparzyła sobie kawę i ulokowała się na kanapie w pokoju. Dwadzieścia minut później kawa była wypita, pudełko po bakaliach świeciło pustkami, a Nastię Kamińską wciąż dręczyła myśl, gdzie i w jakich okolicznościach słyszała nazwisko Razuwajew.

*

Pierwszą rzeczą, którą zrobiła Nastia w teatrze dramatycznym w Permie, było odszukanie kierownika literackiego – niemłodej, postawnej damy z mocno natapirowanymi włosami i małymi oczkami za szklami okularów w dawno już niemodnych, dużych, plastikowych oprawkach.

– Gaszyn? – powtórzyła, nie wiedzieć czemu ucieszona. – No oczywiście, w naszym teatrze wszyscy go dobrze znają. Często pisał o naszych przedstawieniach, jest przecież bardzo znanym sprawozdawcą i krytykiem teatralnym w mieście, prowadził kiedyś nawet swoją kolumnę w lokalnej gazecie. A co się stało? Czemu pani szuka Sławika?

– Sławika? – ze zdziwieniem powtórzyła Nastia. – Zna go pani bliżej?

– Nie żeby blisko, raczej od bardzo dawna. – Kobieta się uśmiechnęła. – Pierwszy raz zrecenzował przedstawienie teatralne ze trzydzieści lat temu, akurat skończyłam wtedy studia i pracowałam jako redaktorka w czasopiśmie, gdy przyniósł swój materiał. Tak się poznaliśmy. Nie od razu zostałam przecież kierownikiem literackim, przez dłuższy czas pracowałam w redakcji, a później... Zresztą nieważne, nie o mnie przecież mowa. No więc gdy przyszłam do naszego teatru, Sławik czuł się już tutaj jak ryba w wodzie – chodził na przedstawienia i próby, pisał recenzje. Napisał nawet sztukę, ale jej nie przyjęliśmy. Była dość słaba. Ale wystawiono ją w Krasnojarsku, nie schodziła z afisza przez trzy albo cztery sezony. No a gdy Sławik zaczął romansować z Wiką, zadomowił się tutaj na dobre, przychodził dzień w dzień.

– Z Wiką? A kto to taki?

– Wiktoria Pietrakowa, nasza pierwsza amantka. Chodźmy do foyer, wiszą tam zdjęcia aktorów, pokażę pani Wikę. Była kobietą niespotykanej urody.

Nastia podążała za damą jak w transie. Czyżby wszystko było tak proste? Gaszyn jest ojcem Jury, syna Wiktorii Pietrakowej. Teraz wszystko się zgadza. Ach, żeby tak zdobyć zdjęcie Gaszyna i pokazać pielęgniarce Janie! A nuż się okaże, że to ten sam Władimir, szarmancki dżentelmen, który zaprosił ją na wyborne ciastka do kawiarni „Gioconda” na jużnomorskim deptaku?

Z pokoju kierownika literackiego do foyer było dość daleko, więc Nastia zdążyła ochłonąć i zebrać myśli, zanim zobaczyła zdjęcie Wiktorii Pietrakowej, która okazała się rzeczywiście zjawiskowo piękna.

– A gdzie teraz jest Wiktoria?

Nastia udała, że nie wie o samobójstwie matki Jury Pietrakowa.

– Nie żyje. – Pracownica teatru westchnęła. – To była bardzo smutna historia. Po tragedii, która ją dotknęła, Wika się rozpiła, oskarżała o wszystko Gaszyna i w końcu popełniła samobójstwo. Sławik strasznie to przeżył, to był dla niego ogromny wstrząs, przecież bardzo kochał Wikę.

– A co się stało? Dlaczego Wiktoria miała pretensje do Gaszyna? – zapytała Nastia.

– Ach, prawda, pani się przecież nie orientuje... Przepraszam – kobieta się zmieszała – przyzwyczaiłam się, że wszyscy wiedzą. Chodzi o to, że Wika miała syna, urodziła go bardzo młodo, nikt nawet nie wiedział, kto jest jego ojcem. Gdy w jej życiu zjawiał się Sławomir, chłopiec od razu zapalał do niego niechęcią. Relacje między nimi się nie układały i Wika bardzo to przeżywała. Chciała, żeby wyjechali we

troje na wakacje, ale syn się uparł, nie chcę, mówi, jechać z tym palantem, i koniec. Wika musiała wysłać Juroczkę na obóz pionierski, a sama wybrała się ze Sławomirem na Kaukaz, do jakiegoś schroniska. Na obozie Juroczka poszedł z kolegami popływać motorówką, wydarzył się nieszczęśliwy wypadek, chłopiec wpadł do wody, doznał urazu głowy i parę dni później zmarł w miejscowym szpitalu. Zanim odszukano Wikę, minęło trochę czasu, więc nie zastała już syna żywego. Krótko mówiąc, Wika uważała, że gdyby Gaszyn traktował dziecko inaczej, ich relacje by się ułożyły, syn pojechałby z nimi w góry i nie doszłoby do wypadku na obozie.

A więc Gaszyn nie jest ojcem Jury Pietrakowa... To znaczy, że musi być inne rozwiązanie... Coś jednak przeszkadza Nasti się skoncentrować i sformułować potrzebne pytania, coś tłucze się po głowie, jakaś myśl, jakieś przypuszczenie... Ach tak! Nastia mimo woli się uśmiechnęła.

– Przepraszam, pani opowieść wytrąciła mnie z równowagi... Gdzie tutaj można zapalić?

– Chodźmy, zaprowadzę panią, niedaleko jest palarnia dla widzów.

Przemierzyły razem foyer i skręciły we wnękę z aksamitną zasłoną, za którą znajdowały się drzwi do palarni. Nastia usiadła na wytartym krześle, wyjęła papierosy i z przyjemnością się zaciągnęła. A więc tak się rzeczy mają! Razuwajew... Przypomniała sobie, gdzie słyszała to nazwisko, zanim przedwczoraj Stasow przydzielił jej zadanie. Tak właśnie nazywał się dyrektor fabryki budowy maszyn średnich, który odpoczywał wtedy na lotnisku dla prominentów pod czujnym okiem

oficerów KGB. Ale Razuwajew jest chyba za stary, żeby być czyimś rywalem w biznesie czy w polityce, nie mógł przecież zostać dyrektorem fabryki w wieku trzydziestu lat, musiał mieć co najmniej pięćdziesiąt, gdy wydarzył się nieszczęśliwy wypadek na jeziorze. Może chodzi o jego syna? Ale jak może mu zaszkodzić informacja, że jego ojciec wypoczywał kiedyś nad jeziorem, na którym doszło do śmiertelnego wypadku? Jaki to ma związek?

Na razie pewne jest jedno: syn Wiktorii Pietrakowej doznał ciężkich obrażeń i zmarł w szpitalu, więc Sławomir Gaszyn mógł uważać doktora Jewtiejewa za winnego śmierci dziecka – że niby źle przeprowadził operację, czegoś nie dopilnował, nie zrobił wszystkiego, co można było i należało zrobić. Jednym słowem, Gaszyn miał motyw, żeby zabić Jewtiejewa. Ale dlaczego po dwudziestu pięciu latach? Dlaczego nie od razu?

Dlatego. Dlatego, że Gaszyn dopiero teraz o czymś się dowiedział. Powzięta informacja pozwala mu oskarżać doktora Jewtiejewa i musi się łączyć z Razuwajewem.

Nastia zgasła niedopałek w popielniczce i wróciła do foyer, gdzie czekała na nią pani kierownik, z ożywieniem rozmawiając o czymś z bileterką w uniformie.

– Przepraszam, nie ma pani zdjęcia Sławomira Iljicza? – zapytała Nastia.

– Nie, skąd... – Kobieta się stropiła. – Możemy zresztą zobaczyć w naszym muzeum, są tam zdjęcia z premier, a Sławik chodził na nie przez wiele lat. Portretowego zdjęcia nie obiecuję, jestem pewna, że go

tam nie ma, ale jakaś fotografia grupowa powinna się znaleźć.

– Macie też muzeum w teatrze? – zdziwiła się Nastia.

– Naturalnie! – z dumą odparła kobieta.

Znowu ruszyły długimi, krętymi korytarzami i wreszcie znalazły się w przestronnym pokoju obwieszonym plakatami oraz zdjęciami i zastawionym manekinami w kostiumach i w perukach. Nastia z łatwością rozpoznała Marię Stuart, Raniewską¹⁵, Desdemonę i Czackiego¹⁶, reszta postaci pozostała dla niej zagadką. Pani kierownik szła powoli wzdłuż ścian, wpatrując się w zdjęcia.

– Jest, znalazłam! Proszę spojrzeć, to Sławik, trzeci z lewej, obok Georgija Simonowicza, naszego reżysera. A tutaj Wika, zdjęcie zostało zrobione po premierze Otella, Wika grała Desdemonę. Nawiasem mówiąc, proszę zobaczyć, zachowaliśmy jej kostium.

Kobieta wskazała dłonią na jeden z rozpoznanych przez Nastię manekinów. Ale Kamieńska nawet nie odwróciła głowy, wbiła wzrok w zdjęcie, w trzecią postać z lewej. Młody mężczyzna jest bardzo przystojny, ma długie włosy i wąsy. Ale zdjęcie zrobiono ćwierć wieku temu. Jak wygląda teraz? Posiwiał, postarzał się, zgolił wąsy albo odwrotnie – oprócz wąsów zapuścił też brodę? W dodatku zdjęcie jest małe, grupowe, formatu dziewięć na dwanaście, co można na nim zobaczyć?

*

Mijały dni, a ból w sercu nadał ćmił i nie ustępował. Walentina Jewtiejewa nie potrafiła sobie z nim poradzić. Wciąż czekała, aż zadzwoni Stasow i z triumfem oznajmi, że zadanie zostało wykonane, i podyktuje jej adres. Ona się poderwie i natychmiast pojedzie do Sławomira, porozmawia z nim i go przeprosi... Tymczasem nic się nie działo, Stasow z jakiegoś powodu nie dzwonił i Walentina zaczęła tracić cierpliwość. Nie mogła znaleźć sobie miejsca, snuła się po domu i po ogrodzie, zrezygnowała ze spacerów po lesie, nie oglądała telewizji – nic jej nie interesowało. Wreszcie zebrała się na odwagę i zagadnęła Ninę Siergiejewną.

– Może mogłaby pani zapytać Maksima Witaljewicza, gdzie jest Gaszyn?

Nina Siergiejewna posłała jej gniewne spojrzenie, widocznie zamierzała ostro zripostować, ale rozmyśliła się i uśmiechnęła ze współczuciem.

– Już ci tłumaczyłam, dziecko, że to Moskwa. Tutaj obowiązują inne zasady. U nas najważniejsze jest to, żeby zachować dystans, inaczej relacje od razu się rozpadają. Rozumiem, że jest ci ciężko i że się męczysz, ale ty też mnie zrozum. Cenię sobie pracę u Kramariewa, bo po pierwsze, robię to, co umiem i lubię, po drugie, dobrze mi płacą, a po trzecie, mam niedaleko. Nigdy i nigdzie nie znajdę drugiej takiej pracy. Więc relacje z właścicielami są dla mnie ważniejsze niż relacje z tobą. Nie gniewaj się, ale mówię ci, jak sprawa wygląda, żeby nie było nieudomówień.

– No to co ja mam zrobić?! – z rozpaczą zawołała Walentina. –

Jestem ledwie żywa, nie śpię po nocach, czuję się wykończona!
Przecież musi być jakieś wyjście!

– Musi – przyznała Nina Siergiejewna. – Ale ty go nie widzisz.

– A pani widzi? – napastliwie zapytała Walentyna.

– Owszem, widzę.

– Więc proszę powiedzieć.

– Jeszcze za wcześnie – zagadkowo odparła Nina Siergiejewna. –

Nie jesteś gotowa.

– Do czego nie jestem gotowa?

– Do takich decyzji. Kiedy dzwoniłaś do swojego detektywa?

– Trzy dni temu. Powiedział, że wciąż nie ma nic nowego.

– No to zadzwoń jeszcze raz dzisiaj. Korona ci z głowy nie spadnie.

Walentyna wzruszyła ramionami i z irytacją spojrzała na Ninę Siergiejewną. O co jej chodzi? Niby do jakich decyzji nie jest gotowa? I dlaczego nie jest gotowa?

Zadzwoiła jednak do Stasowa.

– Na razie nie mam dla pani dobrych wieści – odparł powściągliwie.

– Niepotrzebnie się pani niepokoi i dzwoni, przecież powiedziałem, że gdy tylko się czegoś dowiemy, niezwłocznie panią powiadomimy.

Walentyna nie usłyszała właściwie nic nowego, ale głos Władysława Nikołajewicza ją zatrwożył. Do tej pory szef agencji rozmawiał z nią zupełnie inaczej – nie krył radości, że ją słyszy, żartował, prawił komplementy, a jego głos wibrował z emocji. A dzisiaj był oschły i surowy, jakby Walentyna coś przeszkrobała. Może jednak Nina Siergiejewna ma rację, mówiąc, że ona, Walentyna, nie zachowuje

dystansu i zachowuje się niewłaściwie, nie tak, jak jest przyjęte w Moskwie?

Zdenerwowana jeszcze bardziej, poszła do swojego pokoju, położyła się na przykrytym narzutą łóżku i wbiła wzrok w sufit. Ile dni minęło, odkąd Sławomir był tutaj, leżał obok niej i ją obejmował? Niewiele. A może Walentina się myli? Tyle wycierpiała przez ostatnie dni, że ma wrażenie, jakby minęła cała wieczność. A jednocześnie czuje się tak, jakby wszystko wydarzyło się zaledwie wczoraj – tak żywe i gorące są wspomnienia ich ostatniego spotkania. Czy jest sens szukać Sławomira, skoro minęło sporo czasu? Może on już o niej dawno zapomniał, wyrzucił z głowy, tak jak wyrzuca się niepotrzebną rzecz na śmietnik? Ale jeśli minęło niewiele czasu, to czy warto się denerwować, że detektywi do tej pory nie znaleźli Gaszyna? Nie znaleźli, bo nie zdążyli. Który tok myślenia przyjąć, żeby poczuć ulgę?

*

W sobotę, dwudziestego dziewiątego maja, Boris Krotow zamknął dom, wsiadł do samochodu i pojechał do Moskwy. Autorytet kryminalny wyznaczył mu spotkanie w swojej restauracji. Khan starannie przygotował Borisa do rozmowy, kładąc nacisk zwłaszcza na to, że Artur za nic nie powinien się domyślić, skąd Boris wie o jego „opiekunach”.

– Od nikogo innego nie mogłeś się o tym dowiedzieć, tylko ode mnie – parę razy powtórzył Alekpierow. – A nasze kontakty muszą pozostać

w tajemnicy. Proszę cię, Krotow, bądź bardzo czujny, uważaj na każde słowo. Artur jest strasznie podejrzliwy i nieufny, ale ma słaby punkt, który możesz wykorzystać: facet jest niesłychanie próżny, jeśli chodzi o władzę, autorytet i kompetencje. Oprzyj się na tym, a nie pożałujesz.

Krotow nie znał Artura zbyt dobrze – kiedyś ich sobie przedstawiono, później wpadli na siebie parę razy na różnych imprezach, a jeszcze później Artur zaprosił Krotowa na rendez-vous i zamówił u niego portret swojej obecnej przyjaciółki, tej samej, która regularnie przyjeżdżała teraz na seanse. I to właściwie cała znajomość.

Krotow zaparkował przed restauracją, wysiadł z auta i natychmiast trafił w objęcia barczystego ochroniarza, który autorytatywnie oznajmił, że restauracja jest zamknięta i będzie czynna dopiero od siódmej wieczorem, więc nie ma czego tutaj szukać. Po krótkiej wymianie zdań zaprowadzono Borisa na piętro do gabinetu właściciela, który właśnie spożywał obiad.

Czterdziestosiedmioletni Artur, niewysoki, przy kości, łysy, z małymi wąsikami, stateczny i niezwykle ujmujący, starał się przestrzegać światowych standardów, to znaczy prowadzić zdrowy styl życia i zdrowo się odżywiać. Miał własne wyobrażenia co do owych standardów i nikt nie potrafił dokładnie stwierdzić, jak bardzo odbiegają od prawdziwych, tak zwanych „światowych”. Wszedłszy do pomieszczenia, Krotow obrzucił wzrokiem stół i z trudem powściągnął grymas: gotowane szparagi i plastry selera, pomidorki cherry, strączki zielonego groszku, minikukurydza.

– Wejdz – Artur zrobił zapraszający gest – przyłącz się, czym chata bogata.

Boris mocno uściśnął szorstką dłoń i usiadł naprzeciwko.

– A czym chata bogata? – zapytał z kpiną.

Artur ledwie dostrzegalnie poruszył brwiami i stojący za jego plecami kelner natychmiast zameldował:

– Zupa krem z porów i sojowe spaghetti z bakłazanami z grilla. Na deser suflet z odtłuszczonego twarogu ze świeżymi truskawkami.

– Chyba się skuszę na deser. – Boris skinął głową. – Żeby się zdecydować na pozostałe rzeczy, potrzebna jest twoja siła woli, Arturze. A ja nie mogę się nią pochwalić.

Artur uśmiechnął się wyniośle i wsunął do ust kawałek selera.

– Siła woli to rękojmia zdrowia i długiego życia – stwierdził pouczająco. – No opowiadaj, jakie masz problemy, po co poprosiłeś o spotkanie? Może chcesz się poskarżyć na moją babę? Zalaźła ci za skórę?

– Gdzie tam. – Krotow się uśmiechnął. – Z nią wszystko w porządku, nie mam żadnych pretensji.

– No to uważaj, bo jeśli ta kretynka zachowuje się niewłaściwie i stroi fochy, nawet się nie zastanawiaj, w razie czego od razu bij po mordzie, na nic nie zważaj. Nie ma powodu, żeby się z nią cackać, baba powinna znać swoje miejsce.

– Nie, nie, Arturze, ona jest w porządku.

– Chyba że tak. A kiedy skończysz portret?

– Niebawem. Myślę, że jeszcze parę seansów i koniec. Najwyżej

trzy.

Artur dokończył leżące na talerzu gotowane szparagi i polecił kelnerowi, żeby podał zupę.

– No to wal, co się stało.

Boris starał się mówić krótko i zwięźle, ani słowa o zabójstwie matki i podrzucanych listach, tylko sucha i lakoniczna prośba o pomoc w znalezieniu pracownika Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego, który w połowie lat osiemdziesiątych utrzymywał kontakty z jego matką, Łarisą Krotową.

Kelner przyniósł zupę, Artur zjadł parę łyżek i odprawił go gestem. Gdy znowu zostali sami, zapytał:

– Po co ci ta informacja? W zasadzie mogę pomóc, ale wiesz, nie lubię, jak się mnie traktuje jak narzędzie.

– Nie chciałem ci zawracać głowy...

– Ależ zawracaj, zawracaj. – Artur uśmiechnął się, znowu chwytając łyżkę. – Mów, o co chodzi, a ja posłucham, jedząc.

Zabrał się z apetytem do zupy porowej, której sam widok przyprawiał Borisa o mdłości. Krotow przystąpił do opowieści.

– Wiedzieć to wszystko może tylko człowiek, który brał w tym bezpośredni udział – zakończył. – To właśnie on pisze listy. Chcę go znaleźć. Pomożesz?

– Ojoj – Artur cmoknął parę razy i pokręcił głową – co za nieszczęście, co za nieszczęście! Taki mały chłopiec i taka straszna tragedia.

Twarz mu złagodniała i przez chwilę Boris miał wrażenie, że Artur

zaraz się rozplącze, ale w tym samym momencie spojrzenie jego rozmówcy znów stało się zimne i kłujące.

– A dlaczego ja?

– Co? – Krotow nie zrozumiał.

– Dlaczego przychodzisz z tym do mnie?

No i proszę, oto pytanie, o którym mówił Khan.

– A do kogo mam iść? Spośród osób, które znam, ty cieszysz się największym autorytetem, masz szerokie kontakty. Jeżeli ktoś może doradzić, do kogo mam się zwrócić, tą osobą jesteś ty. Proszę cię nie tylko o to, żebyś mi podpowiedział, kto może zdobyć informacje, ale też się za mną wstawił. Wszyscy cię szanują, nikt ci nie odmówi.

Oczka Artura błysnęły z satysfakcją. Mężczyzna przełknął ostatnią łyżkę zupy i odsunął talerz.

– Zabieraj! – zawołał i natychmiast zza przymkniętych drzwi wyłonił się młodziutki kelner z tacą, na której dymił talerz cienkich, półprzezroczystych nitek makaronu z owalnymi kawałkami bakłażanów.

Pusty talerz natychmiast znikł ze stołu i Artur sięgnął po następne danie. Zręcznie nawijał spaghetti na widelec, pomagając sobie łyżką, a Krotow cierpliwie czekał.

– Słusznie zrobiłeś, że zwróciłeś się właśnie do mnie – powiedział wreszcie Artur. – Pomogę ci. Nie obiecuję, że szybko, to nie ode mnie zależy, muszę pogadać z różnymi ludźmi, wybadać grunt. Temat jest drażliwy, sam rozumiesz. Ale z drugiej strony, minęło tyle lat, że nie ma teraz sensu trzymać tego w tajemnicy. Kraj jest inny, zmieniła się

polityka, inni są też ludzie. Myślę, że dowiesz się tego, co cię interesuje. Nie za darmo oczywiście, ale to już mój problem, spokojna głowa. Uznaj, że to prezent za portret, swego rodzaju premia. Będziesz mi winien przysługę, postaraj się o tym nie zapominać.

– Ale jaki ze mnie pożytek? – Krotow się uśmiechnął. – Do czego ci się przydam?

– Coś tam wymyślę – mruknął Artur. – Dużo ludzi przychodzi do twojej pracowni. Więc będzie okazja. Odpracujesz.

Krotow zbyt długo obcował z ludźmi pokroju Artura, żeby nie wiedzieć, że ten nikomu nie będzie musiał płacić, dowie się wszystkiego za darmo – między autorytetem kryminalnym a „opiekunem” zawsze istnieje system rozliczeń za pomocą usług i uprzejmości, taka forma wymiany bezgotówkowej. W jej ramach Artur zdobędzie informacje dla Krotowa. Za to teraz będzie powód, żeby porozmawiać o szczodrej naturze Artura, której dowodem jest oferowana premia.

¹⁵ Bohaterka Wiśniowego sadu Antoniego Czechowa.

¹⁶ Bohater komedii Mądremu biada Aleksandra Gribojedowa.

ROZDZIAŁ 15

Nastia Kamińska wróciła z podróży w niedzielę rano, wślizgnęła się do łóżka i wstała dopiero nazajutrz. Mimo że próbowała sumiennie przekazać Stasowowi rezultaty dochodzenia, ten nawet nie chciał jej słuchać.

– Griszka spadł z roweru i mocno się potłukł, wieziemy go teraz z Tanią na ostry dyżur. Jutro, wszystko jutro, dzisiaj nie zawracaj mi głowy.

Nasti było oczywiście żal Griszy, ale potrzebowała też odpoczynku, więc z czystym sumieniem wyspała się i odpoczęła. Składanie raportu ze świeżym umysłem też pójdzie łatwiej.

W poniedziałek zjawiała się w gabinecie Stasowa i obrzuciła szefa niespokojnym spojrzeniem. Był jak zwykle opanowany, minę miał nieco kpiącą, a to oznaczało, że z chłopcem wszystko w porządku. Siniaki, stłuczenia, kto tego nie doświadczył w dzieciństwie? Chyba tylko Nastia, bo nigdy nie miała roweru.

– Moja sprawa i sprawa Docenki zrosły się jak bracia syjamscy – oznajmiła. – Pamiętasz, jak po powrocie z Runowska opowiadałam ci o trzech chłopcach, którzy zginęli w wypadku na jeziorze? No więc twój Gaszyn był kochankiem matki jednego z nich, Jury Pietrakowa. Jura zmarł w szpitalu po operacji, którą przeprowadził doktor Jewtiejew, i

widocznie Gaszyn ma podstawy, by przypuszczać, że doktor dopuścił się zaniedbania i nie uratował dziecka, mimo że mógł to zrobić. Co to za podstawy i dlaczego akurat teraz się pojawiły, to już inna sprawa.

Stasow pokręcił głową, jakby strząsał z niej niewidoczną pajęczynę.

– Kamieńska, mam głowę nabitą informacjami pochodzącymi ze spraw, które prowadzi nasze biuro. Wczoraj wpadłem w panikę i wieczorem, gdy się wyjaśniło, że Griszce nic nie jest, musiałem się zrelaksować. Więc dzisiaj od samego rana mam kłopoty z koncentracją. Przypomnij, o co chodziło.

Nastia westchnęła i cierpliwie powtórzyła opowieść o wypadku na jeziorze.

– Jeden z chłopców, Witia Sorokin, utonął od razu, drugi, Misza Sawinych, zmarł na stole operacyjnym, a trzecim okazał się właśnie Jura Piet...

– Stop! – wrzasnął Stasow, przyciskając dłonie do skroni. – Zaczynj jeszcze raz, tylko wolniej.

– Wszystko w porządku, Stasow? – troskliwie zapytała Nastia. – Może wpadnę do ciebie później?

– Siedź spokojnie i powtórz wolno to, co przed chwilą powiedziałaś – zażądał Władisław Nikołajewicz.

– Od którego miejsca?

– Ostatnie zdanie. Jeden z chłopców... co dalej?

Nastia sumiennie powtórzyła swoje słowa. Tym razem Stasow przerwał jej, gdy tylko wspomniała o Miszy Sawinych.

– Zgadza się – wymamrotał. – Teraz wszystko się zgadza.

– Co się zgadza?

– Nie kumas, Nastiucha? On się nazywa Sawinych!

– No i co z tego?

– Wiesz, czyim jest bratem?

– Wiem. – Nastia wzruszyła ramionami, otwierając notes. – Proszę, wszystko mam zapisane. Matka – Zoja Pietrowna Sawinych, po pierwszym mężu Kramariewa, ma starszego syna Maksima Kramariewa, dyrektora koncernu farmaceutycznego i kandydata na deputowanego do Moskiewskiej Dumy Miejskiej.

Stasow długo się w nią wpatrywał, później zmierzwił sobie włosy, wskutek czego zaczął przypominać wzburzonego jeża.

– No tak, przecież ty nie masz pojęcia, Docenko wie, ale ty...

– Czego nie wiem? – Nastia się zaniepokoiła.

– Ano tego, że nasz miły przyjaciel Gaszyn mieszkał u Maksima Kramariewa, zanim rozpląnął się w powietrzu.

Tak, Misza Docenko wspominał, że zaginiony Sławomir Iljicz Gaszyn zatrzymał się u znajomego pod Moskwą, ale nie wymienił nazwiska, ponieważ omawiali wtedy z Nastią problemy natury psychologicznej. Mowa była o książce, którą Gaszyn chciałby napisać, a nie o tym, u kogo mieszkał, póki nie przepadł bez śladu.

– A to dopiero! – wycedziła Nastia ze zdumieniem. – To znaczy, że mamy do czynienia z grupą mścicieli?

– Nie zdziwię się, jeśli tamci starsi ludzie to Sorokinowie – zagadkowo oznajmił Stasow. – Pietrakov, Sawinych i Sorokin. Gaszyn, Kramariew i małżeństwo Sorokinów.

Napotkawszy zdziwione spojrzenie Nasti, znowu zmierzwił dłonią włosy i zaczął ubolewać, że wszystko mu się pomieszało i że nie potrafi już sobie przypomnieć, jakimi informacjami dysponują poszczególni podwładni. Skończywszy wylewać żale, zapoznał Nastię z zeznaniami Walentyny Jewtiejewej i nauczycielki arabskiego Olgi Konstantinowny. Obie kobiety wspominały o pewnej starszej parze, która regularnie odwiedzała Kramariewa i z którą Maksim Witaljewicz odbywał tajne narady w domku dla gości zajmowanym przez Gaszyna.

– Rzeczywiście przypominają grupę mścicieli – przyznała Nastia. – Tylko nie wiadomo, na kim chcą wziąć odwet, za co i dlaczego po upływie ćwierćwiecza? I co mają do tego Sorokinowie? Jeżeli założymy, że celem zemsty był doktor Jewtiejew, Sorokinowie nie powinni brać w tym udziału, ponieważ ich syn utonął od razu, Jewtiejew go nie leczył. A zresztą gdyby jedynym celem był Jewtiejew, grupa rozpadłaby się zaraz po jego zabójstwie, oni tymczasem nadal się zbierają i spiskują.

– A więc jest coś jeszcze – w zamyśleniu stwierdził Stasow. – Jeszcze jeden cel. I podejrzewam, że jest nim Paweł Razuwajew, który przeszkadza Kramarielowi zarówno w biznesie, jak i w karierze politycznej. Ojciec Razuwajewa musi być zamieszany w historię śmierci dzieci. Ma jakiś związek z tą sprawą.

– Ale jaki? Nie potrafię wymyślić choćby jednego wytłumaczenia, które pasowałoby do tej koncepcji. Chłopcy ukradli dwie łodzie, nie poradzili sobie z nawigacją i zginęli. Nieopodal odpoczywał Razuwajew senior. Co w tym może pomóc Kramarielowi zwyciężyć

konkurenta?

– Nie wiem. Ale trzeba znaleźć osoby, które mogą wiedzieć. Chyba wspominałaś o oficerach, którzy towarzyszyli Razuwajewowi na lotnisku... Czy mi się tylko zdawało?

– Nie. – Nastia znowu przewertowała swój notes. – Nie zdawało ci się. Byli dwaj kagebowcy, którzy siedzieli w szpitalu aż do końca i bardzo się martwili o chłopców, bo wszystko wydarzyło się na ich oczach. To oni krzyczeli przez megafon, żeby dzieci wróciły na brzeg, no i je przestraszyli.

– Masz nazwiska? – krótko zapytał Stasow.

– Giennadij Antonowicz Kuźmin i Nikołaj Pawłowicz Samosadow. A przy okazji, widziałam też zdjęcia Gaszyna w młodości, był bardzo atrakcyjnym kawalerem. Jeżeli się nie zmienił, nic dziwnego, że twoja ulubiona klientka straciła dla niego głowę.

– Przy okazji? – powtórzył Stasow, chytrze mrużąc oczy. – Jeśli przy okazji, to możesz zobaczyć, jak facet wygląda teraz, Docenko zdobył jego zdjęcie.

Stasow podsunął jej fotkę wydrukowaną z komputera, a pamięć natychmiast podsunęła Nasti opis, który podała pielęgniarka Jana i który zapisał Czistiakow. No cóż, trzeba przyznać, że słowny portret sporządzony przez Janę był doskonały, kobieta ma niewątpliwie pamięć fotograficzną.

– To on, Stasow – bez wahania stwierdziła Nastia. – Możesz przyjąć, że pierwsze zlecenie Jewtiejewej zostało wykonane.

*

Pułkownik Alekpierow siedział w samochodzie i w zamyśleniu spoglądał na dużą stalinowską kamienicę. Tutaj mieszka Giennadij Antonowicz Kuźmin, a Khan lubił obejrzeć wszystko na miejscu, zanim podjął jakiegokolwiek działania. Warto by zerknąć też na tego Kuźmina... Giennadij Antonowicz Kuźmin. To nazwisko przekazał Krotowowi Artur po tym, jak „wybadał grunt”. Khan nie miał wątpliwości, że to Kuźmin jest autorem listów przychodzących do Krotowa.

Tak więc kamienica jest typowym budynkiem z epoki stalinowskiej, wejście od podwórza, a od strony ulicy sklep z włoską armaturą sanitarną, biuro podróży, księgarnia i pizzeria. Po przeciwnej stronie fitness klub i...

Uwagę Alekpierowa przyciągnął samochód – srebrzysty peugeot, który zaparkował przy bramie. Za kierownicą siedziała kobieta i Khan odniósł wrażenie, że gdzieś już ją widział. Do licha, przecież to Kamieńska! A obok niej ktoś, kogo też zna, ale w tej chwili nie potrafi sobie przypomnieć. Jednakże z całą pewnością spotkał kiedyś tego potężnego, rosłego faceta, który wysiadł z auta i otworzył Kamieńskiej drzwi. Byli chyba nawet razem na jakiejś zakrapianej imprezie... Aż trudno uwierzyć, jak czasem pamięć zawodzi! Człowiek widzi kogoś i wie, że go zna, że nieraz się spotykali, a mózg jak gdyby się zawiesza: nie sposób sobie przypomnieć, gdzie i kiedy. Całe szczęście, że Alekpierow nie zapomniał przynajmniej Kamieńskiej.

Mężczyzna uchylił szybę i zawołał:

– Anastazjo!

Kamieńska drgnęła, obejrzała się, zobaczyła machającego do niej Khanlara i uśmiechnęła się ucieszona. Ruszyła ku niemu razem ze swoim towarzyszem, a on wysiadł z samochodu i zrobił parę kroków w ich stronę.

– Góra z górą... Niedawno cię wspominałem – powiedział. – Siełujanow przekazał ci pozdrowienia?

– Przekazał, dziękuję. Wy się znacie?

Khan milczał zmieszany, a wielkolud rozłożył szeroko ręce i się roześmiał.

– No jasne! Wprawdzie było to dawno, ale dobrze cię pamiętam, Khanlarze Alekpierowie. Za to ty mnie chyba zapomniałeś?

W tej samej chwili Alekpierow sobie przypomniał.

– Stasow! Władik! A ja patrzę – gęba znajoma aż do bólu, ale do kogo należy – nijak nie mogę skojarzyć. To dopiero spotkanie!

Alekpierow się rozpromienił. Ze wspólnej pracy z Kamieńską wyniósł pozytywne wspomnienia, no a ile wódki wypili razem w młodości wywiadowcy Alekpierow i Stasow – aż wstyd mówić.

– Macie w tych stronach jakąś sprawę czy przyjechaliście się tylko pokręcić? – zapytał Khan.

– Mamy sprawę, ale ponieważ jest prywatna, a nie państwowa, powiedzmy, że przyjechaliśmy się pokręcić – wyjaśnił Stasow ze śmiechem. – A ty pewnie szlifujesz bruki na polecenie bossa?

– Coś w tym rodzaju – wymijająco potwierdził pułkownik. – A przy

okazji, wiesz mi koniak, Nastiu. Dzięki mnie twój kolega jest o krok od wyjaśnienia sprawy zabójstwa.

– No to czemu ja ci wiszę, a nie on? – zaprotestowała Nastia. – Pracujemy teraz w innych sektorach, nie pakuj nas do jednego worka.

– Racja. – Khan skinął głową. – Mówił, że przeszedł do prywatnego biznesu. Nie żałujesz?

Kamieńska rzuciła szybkie spojrzenie na Stasowa i Khan odniósł niejasne wrażenie, że jego pytanie zabrzmiało niezręcznie.

– Nie – odparła po krótkiej chwili. – Nie żałuję. Jak sobie pomyślę, że musiałabym złożyć wniosek o przedłużenie służby, po czym wręczono by mi odmowę, to tylko się powiesić. Lepiej samemu odejść niż czekać, aż zwierzchnicy niegrzecznie o to poproszą.

– Myślisz, że by cię poprosili?

– Na sto procent. Za dwa tygodnie stuknie mi pięćdziesiątka. Byłam w stopniu pułkownika i na mój stołek czyhali już chętni, młodszy i lepsi z uwagi na płeć. Dobra, zostawmy te przykre tematy. Lepiej powiedz, czy znasz kogoś w tym domu. Interesuje nas niejaki Giennadij Antonowicz Kuźmin. Może obito ci się coś o uszy?

W pierwszej chwili Khan zaniemówił, później zaniósł się kaszlem.

– A po co on wam?

– Dobre pytanie. – Stasow się uśmiechnął. – Coś mi się zdaje, że znasz tego faceta. Nie ściemniaj, mamy poważną sprawę.

– Ja też. Wsiądźmy do samochodu i pogadajmy.

Godzinę później, wymieniwszy się informacjami, doszli do wniosku, że Kamieńska i Stasow nie powinni nachodzić Kuźmina. Najlepiej

będzie, jak odwiedzi go Boris Krotow. Jeżeli Giennadij Antonowicz uknuł historię z listami dla pieniędzy, zgodzi się wszystko opowiedzieć za godziwą zapłatą, a detektywi, zarówno państwowi, jak i prywatni, nic z niego nie wyciągną.

*

Anita Ekberg schodzi po trapie samolotu ze zniewalającym uśmiechem na twarzy, witana przez tłum szalejących reporterów.

– Śpi pani w piżamie czy w koszuli nocnej? – pyta jakaś dziennikarka.

Ardajew uśmiechnął się z rozmarzeniem. Pierwszy raz zobaczył Słodkie życie w siedemdziesiątym ósmym roku na zamkniętym pokazie służbowym i właśnie ta scena najbardziej wryła mu się w pamięć. Jeżeli dziennikarze mogą zadawać TAM takie pytania, to jakże inną mają mentalność i jakże inne prowadzą TAM życie! O tym, że w Europie Zachodniej ludzie żyją inaczej niż w Związku Radzieckim doskonale, rzecz jasna, wiedział. Owa wiedza była częścią jego pracy, a jednak Słodkie życie nie tyle odmieniło jego wyobrażenia, co raczej rzuciło nowe światło na to inne życie.

Gdy skończyła się cenzura i można było kupować i oglądać dowolne filmy, Ardajew zaczął nabywać przede wszystkim obrazy Felliniego. Nie rozumiał do końca tego rodzaju kina i właściwie trudno powiedzieć, żeby mu się szczególnie podobały, ale od czasów młodości, a ściśle mówiąc, od tamtego zamkniętego pokazu, właśnie ten reżyser

stał się dlań symbolem prawdziwego i pięknego życia, które tak sobie upodobał. Teraz cenił je nawet bardziej niż w młodości, ponieważ dawniej mógł o nim tylko pomarzyć, a teraz mógł je prowadzić. Tyle że do tego potrzebne są pieniądze, i to najlepiej dużo.

Ale pieniądze niebawem się pojawią. Niestety nie tyle, ile się spodziewał, bo po Łarisie Krotowej najwyraźniej nic nie zostało. A jeśli nawet zostało, znalezienie tego będzie bardzo trudne i zabierze sporo czasu, tymczasem Maksim nie może długo czekać, materiały są mu potrzebne już teraz. Jeśli nie dostanie ich w najbliższym czasie, przed końcem kampanii wyborczej, przestanie mu na nich zupełnie zależeć i nie zapłaci ani kopiejki, nawet jeśli się znajdą.

Jednakże jest jeszcze Krotow, Saszka Krotow, który z pewnością zapłaci za prawdę o śmierci matki. To jasne, że mniej, niż zapłaciłby Kramariew za materiały dotyczące Razuwajewa, znacznie mniej, ale to też pieniądze. Na jakiś czas wystarczą, a później można się jednak sprężyć i zająć poszukiwaniem tego, co ukryła Łarisa, żeby następnie sprzedać komuś, może nawet Razuwajewowi.

Ardajew zapalił papierosa i upił nieduży łyk drogiego koniaku. Słodkie życie jeszcze się nie skończyło, ale mężczyzna już nie spoglądał na ekran, zajęty własnymi myślami. Szkoda, jeśli nie uda się pomóc Maksimowi Kramariewowi. Facet jest sympatyczny, rzeczowy i rozgarnięty, tylko nazbyt nerwowy. Ale nic nie szkodzi, to nie zbrodnia. Jego najważniejsza zaleta polega na tym, że jest bogaty. Ma jeszcze jedną pozytywną cechę: doskonale rozumie swoje miejsce, wie, kto w ich tandemie jest szefem, a kto na doczepkę, i właściwie

buduje relacje. Wystarczy tylko sobie przypomnieć jego skruszony głos, gdy zadzwonił zdjęty paniką i oznajmił, że Gaszyn spartaczył sprawę – wykazał się własną inicjatywą i udusił starego lekarza. Wtedy Maksim poprosił, żeby Ardajew pomógł zapewnić bezpieczeństwo zarówno Gaszynowi, jak i jemu, Kramarielowi. Ardajew wykorzystał stare kontakty i znalazł w Jużnomorsku niezgorszą parę, która dorabiała zbieraniem informacji i prowadzeniem obserwacji zewnętrznej. Para się sprawdziła, była kompetentna i godna zaufania, wytropiła śledczego, który prowadził sprawę, dała mu w łapę i zdobyła wszystkie informacje, które na tym etapie nie były wcale niebezpieczne. Dochodzenie poszło w najprostszym kierunku – szukano przestępcy, który włamał się do mieszkania, żeby je obrabować. Nikogo, rzecz jasna, nie znaleziono. A teraz, gdy do Jużnomorska zjechali prywatni detektywi, przysłani przez córkę zabitego lekarza, owa para stanęła na wysokości zadania, w samą porę podjęła czynności operacyjne w odpowiedzi na informacje śledczego i zrobiła wszystko, co mogła. Ale prywatni detektywi też nic nie odkryli i nie wskórali, chociaż udali się nawet do Runowska. Jak przyjechali, tak wyjechali, nie kontaktowali się nawet z milicją, widocznie nie trafili na żaden trop. A zatem z tej strony nie powinno grozić żadne niebezpieczeństwo. Co prawda prywatni detektywi się zawzięli, odszukali nawet drużynową z obozu, tylko co ona może wiedzieć? Nic. I pewnie nic nie pamięta. Ardajew widział ją wtedy w szpitalu, roztrzęsioną, oszalałą z przerażenia, otępiałą, nie do końca pojmującą, co się dzieje, opuchniętą od łez. Po dwudziestu sześciu

latach nie może stanowić żadnego zagrożenia. Minał szmat czasu... Kolka Samosadow próbował ją uspokoić, dziewczyna mu się podobała, była pulchniutka, apetyczna, studentka instytutu pedagogicznego, a ona, mimo że półprzytomna, wciąż zerkała na niego, na Gieneę Kuźmina.

To prawda, że znała go jako Kuźmina. Tak się nazywał, ale w pracy posługiwał się wieloma tożsamościami – między innymi występował pod nazwiskiem Ardajew, które najbardziej lubił. Jako Ardajew odniósł spektakularny sukces, więc teraz, ponownie się w niego wcielając, miał wrażenie, że jest młody, pełen sił, utalentowany i odnosi sukcesy.

Prawdziwe nazwisko go drażniło. Wydawało się pospolite i nieciekawe. Nudne. Ardajew–Kuźmin nie znosił nudy. Pomysł, żeby z pismaka Gaszyna zrobić wybitnego chemika, też należał do niego, Giennadija Antonowicza. Najpierw był ku temu powód: bez trudu można było wytłumaczyć rodzinie Kramariewa, dlaczego Gaszyn mieszka w domku dla gości i dlaczego nie należy zawracać mu głowy. A kiedy Gaszyn pod pretekstem wyjazdu do domu, do Permu, uciekł do Jużnomorska i narozrabiał, Kuźmin polecił Maksimowi, żeby przydzielił niezgułowatemu dramaturgowi ochroniarzy, którzy będą mu deptać po piętach i nie pozwolą się ukryć, bo kto wie, jaka kolejna niedorzeczna myśl zrodzi się w twórczej głowie. Tak więc historyjka o chemiku, który opracowuje nowoczesną technologię dla koncernu farmaceutycznego Kramariewa, okazała się strzałem w dziesiątkę, bo obecność ochroniarzy nikogo nie dziwiła. A przecież Ardajew–Kuźmin

od początku czuł, że z tym domorosłym dramaturgiem będą kłopoty, jak zresztą ze wszystkimi artystami, z którymi miał do czynienia. Nigdy nie wiadomo, co im strzeli do głowy.

Za to historia z Gaszynem i zakochaną w nim córką starego doktora okazała się nietuzinkowa, więc w sumie Kuźmin nie mógł narzekać na nudę.

*

Czas mijał. Gdzieś w pokoju miarowo tykał zegar i żaden inny dźwięk nie zakłócał ciszy. Kuźmin pił kawę w całkowitym milczeniu, a Krotow nawet nie dotknął filiżanki, w której napój już pewnie dawno ostygł.

Boris Krotow przyszedł do Kuźmina zaopatrzonego w mikrofon, z solidną paczką pieniędzy w torbie. Giennadij Antonowicz niezmiernie się zdziwił na widok Krotowa stojącego na progu mieszkania, ale trzeba przyznać, że szybko się opanował. Był, jak to się mówi, profesjonalistą z krwi i kości.

– Jak pan mnie znalazł, Borisie? – zapytał, a później uśmiechnął się i dodał: – Zapytam inaczej: jak mnie znalazłeś, Saszeńka? Zresztą nieważne. I tak nie powiesz mi prawdy. Sam nie mogłeś tego zrobić, ktoś ci pomógł, najpewniej ktoś z milicji albo z FSB, zgadłem?

– Nie – twardo odparł Krotow. – Nie zgadł pan. Ale to rzeczywiście nieważne. Chciał pan pieniędzy za informacje, więc je przyniosłem i chcę posłuchać, co ma pan do powiedzenia.

– No cóż, w takim razie proszę. Wejdz, Sasza, usiądź, będziemy

musieli trochę poczekać.

– Na co?

– Usiądź – spokojnie powtórzył Kuźmin. – Napijesz się czegoś mocniejszego?

– Nie, prowadzę.

– W takim razie ja też zrezygnuję.

Zaczekał, aż Krotow wybierze jeden z głębokich, miękkich foteli, później usiadł naprzeciw i sięgnął po słuchawkę telefonu.

– Jeśli pozwolisz, zadzwonię do kogoś.

Krotow skinął głową w milczeniu, z napięciem czekając na dalszy rozwój wypadków. Kuźmin wybrał numer, rzucił parę słów, po czym się uśmiechnął.

– Jestem przygotowany na wszystko, Saszeńka, między innymi na to, że przywlokłeś za sobą milicję albo moich dawnych kolegów, a nawet na to, że jesteś obwieszony aparaturą do podsłuchu jak choinka bombkami. Ale nie będę cię przeszukiwać, żeby się dowiedzieć, czy nie ukrywasz mikrofonu. Nie można mnie pociągnąć do odpowiedzialności karnej, nie zrobiłem nic nielegalnego, wykonywałem jedynie polecenia zwierzchników. Informacje, które zamierzam ujawnić, nie są tajemnicą państwową. Ale są coś warte, więc nie oddam ich za darmo. Jesteś zamożny, masz pieniądze, niczego sobie nie odmawiasz. Dlaczego ja mam żyć inaczej? Posiedzimy sobie, napijemy się herbatki, a w międzyczasie wpadnie tu pewien mężczyzna, zabierze twoje pieniądze i zawiezie je do banku. Gdy tylko trafią na moje konto, zadzwoni do mnie i wtedy wszystko ci opowiem. I niech słucha mnie

ten, kogo to interesuje.

Krotow lustrował Kuźmina w milczeniu, próbując wyobrazić go sobie jako młodego oficera, który był kuratorem jego matki.

– Rozmawia pan ze mną tak, jakbyśmy byli starymi znajomymi – zauważył. – A przecież widzimy się po raz pierwszy.

Kuźmin roześmiał się.

– Niezupełnie. Pamiętam cię jako dziecko. Mój kolega Nikołaj Samosadow dobrze znał twoją mamę i parę razy zabrał mnie do niej. Byłeś bardzo zabawnym i poważnym brzdącem, brałem cię na ręce i podrzucałem, a ty się bałeś i piszczaleś ze strachu.

– Kto to jest Samosadow?

– Był kuratorem twojej mamy.

– Kuratorem?

Krotow udał, że nigdy przedtem nie słyszał tego określenia. Podobnie jak nazwiska Samosadowa. Khan go uprzedzał, że Kuźmin zwali wszystko na nieżyjącego kolegę: Nikołaj Pawłowicz Samosadow zmarł dwa lata temu. Bardzo wygodne. A najważniejsze, że nie do sprawdzenia. Khan dowiedział się o śmierci Samosadowa od Kamińskiej i Stasowa.

– Na wszystko przyjdzie czas, Saszeńka. – W głosie Kuźmina zabrzmiała szczerą troska. – A może wolisz, żebym mówił do ciebie Boris?

– Wszystko jedno – obojętnie odparł Krotow. – Proszę się zwracać tak, jak panu wygodnie.

I rzeczywiście, po krótkiej chwili rozległ się dzwonek do drzwi i

wszedł mężczyzna, któremu Boris wręczył przyniesione pieniądze. A teraz siedzieli z Kuźminem naprzeciw siebie i czekali na telefon, po którym mężczyzna rozpocznie swoją opowieść.

Siedzieli w milczeniu, ale nie było ono uciążliwe. Kuźmin pograżył się w swoich myślach, a Krotow uważnie i bezwstydnie go lustrował, tak jak lustrował twarze, które miał namalować. Jakby próbował zajrzeć do środka i zobaczyć, jakie myśli snują się po głowie, jakie nadzieje budzą chęć do życia i jakie obawy je zatruwają. Zazwyczaj długo rozmawiał z modelami, starając się rozszyfrować ich charakter, ale Kuźmin nie jest modelem – odezwie się dopiero wtedy, gdy dostanie pieniądze.

Wreszcie rozległ się długo oczekiwany dzwonek telefonu. Zaraz potem Giennadij Antonowicz przystąpił do opowieści.

W 1984 roku dyrektor dużej fabryki maszyn średnich Nikołaj Stiepanowicz Razuwajew odpoczywał nad jeziorem w Runowsku, na letnisku należącym do komitetu obwodowego. Odpoczynek polegał na tym, że pił na umór i zabawiał się z dziewczętami w łaźni. W stanie upojenia alkoholowego był niepoczytalny, agresywny i wymagał nieustannej ochrony. W tamtym czasie ochrona była szczególnie wzmożona, ponieważ Nikołaj Stiepanowicz miał niebawem otrzymać tytuł Bohatera Pracy Socjalistycznej, w dodatku był kandydatem na członka Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. To oczywiste, że KGB nie mogło pozwolić, żeby dyrektorowi fabryki zbrojeniowej przytrafiło się coś złego, poza tym Razuwajew był człowiekiem uosabiającym cechy moralności i etyki

radzieckiej, więc nie wolno było dopuścić do jego kompromitacji. Jednym słowem, przydzieleni oficerowie KGB Samosadow i Kuźmin mieli pełne ręce roboty.

A jednak nie dopilnowali Razuwajewa. Chłopcy z położonego nieopodal obozu pionierskiego dostali się na zamknięty teren letniska, ukradli motorówkę i wypłynęli nią na jezioro. Gdy pijany jak bela Razuwajew to zobaczył, wziął kuter i pognął za nimi, żeby nauczyć ich rozumu. Samosadow i Kuźmin za późno to spostrzegli. Na ich oczach kuter uderzył w motorówkę i ją zmiażdżył. Jeden chłopiec – Witia Sorokin – utonął od razu, dwaj pozostali trafili do szpitala z ciężkimi obrażeniami. Misza Sawynych umarł na stole operacyjnym, a Jura Pietrakow, nie odzyskawszy przytomności po operacji, został przewieziony na oddział intensywnej terapii, choć rokowania nie były złe. Dmitrij Wasiljewicz Jewtiejew był mimo wszystko wspaniałym chirurgiem i potrafił zdziałać cuda przy stole operacyjnym.

Było to jednak niebezpieczne. Gdy chłopiec się ocknie, powie, co zrobił pijany Razuwajew i tym samym postawi krzyżyk nie tylko na karierze Razuwajewa, ale też na służbie tych, którzy powinni byli go ustrzec przed kłopotami. Wzięto więc w obroty doktora Jewtiejewa, który początkowo przeraził się tym, co mu proponowano, ale szybko się poddał, nie potrafiąc oprzeć się wizji świetlanej przyszłości, którą przed nim roztoczono, obiecując przeprowadzkę do Jużnomorska, znaczną podwyżkę wynagrodzenia i trzypokojowe mieszkanie. Swoją rolę odegrał też strach: w tamtych czasach przeciwstawienie się potężnemu KGB było nie do pomyślenia. Dzisiaj mało kto boi się

takich służb jak FSB, której oficerowie zajmują się głównie terrorystami i szpiegami, ale dawniej funkcjonariusze mogli zrobić wszystko, a nawet więcej niż wszystko. Nie daliby Jewtiejewowi spokoju do końca życia, jeśli w ogóle pozostawiliby go na wolności, mogli go też zamknąć w szpitalu psychiatrycznym, w którym spędziłby resztę swoich dni. Doktor musiał jedynie niewłaściwie zinterpretować wskazania aparatury oraz symptomy i zaordynować lek, który w danym wypadku okaże się śmiertelny. Przekonywaniem doktora Jewtiejewa zajął się Kola Samosadow, Kuźmin został postawiony przed faktem dokonanym.

Wszystko poszło gładko, chłopiec zmarł, nie odzyskując przytomności, materiały śledztwa w sprawie nieszczęśliwego wypadku przekazano do archiwum. Razuwajew dostał swoją Gwiazdę Bohatera i spodziewał się awansu z kandydata na członka KC, od czasu do czasu wpadał do Moskwy, żeby zabawić się w łaźni z miejscowymi panienkami, wśród których była Łarisa Krotowa, osoba zaufana i sprawdzona, będąca kontaktem Samosadowa. Łarisa dużo widziała i słyszała, o wielu rzeczach wiedziała, ale potrafiła trzymać język za zębami. Jednym słowem, była niezastąpiona dla Nikołaja Samosadowa.

Słuchając pijanego bełkotu Razuwajewa, poznała między innymi historię, która wydarzyła się nad jeziorem. Kiedy postanowiła się „urwać” i rozpocząć zwyczajne życie, posłużyła się swoją wiedzą, grożąc Samosadowi, że ujawni historię, jeśli ten nie pozwoli jej odejść i nie pomoże się urządzać. Samosadow musiał się zgodzić, ale zaczął

szkować plan pozbycia się Łarisy. Szczęśliwy traf sprawił, że w tym momencie nawinął się Walerka Stiecenko, któremu groziła kara rozstrzelania, więc łatwo dał się namówić do popełnienia zbrodni, żeby się wykpić ośmioma latami – za zabójstwo na tle obyczajowym, popełnione po pijaku, więcej by nie dostał.

A więc Khan powiedział prawdę, mama naprawdę była prostytutką, myślał Krotow, słuchając Giennadija Antonowicza i dziwiąc się własnej obojętności, jak gdyby mowa była nie o jego matce, a tym samym i o nim. Khan nie pomylił się też, odtwarzając bieg wypadków – wujek Walera został wynajęty, miał zabić mamę, inscenizując pijacką kłótnię na tle obyczajowym. Kuźmin kłamie, myśli, że nie wiem o śmierci Samosadowa, kłamie, zwalając na niego winę. Popełnia błąd, sądząc, że byłem za mały, żeby cokolwiek zapamiętać. Wielu rzeczy rzeczywiście nie pamiętam, nie pamiętam nazwisk, okoliczności, nazw miast i ulic, nie pamiętam, kto jak był ubrany, kto co powiedział. Ale nigdy nie zapominam twarzy. Pamiętam je doskonale i potrafię naszkicować z pamięci. Przypomniałem sobie Kuźmina, gdy tylko go zobaczyłem. To oczywiste, że się postarzał i zmienił, mimo to go poznałem – przychodził do mamy parę razy tamtego dnia, gdy przywiozła mnie do Moskwy od cioci Ani, a także w dniu naszej przeprowadzki do mieszkania, w którym później została zabita. Nie było z nim żadnego innego mężczyzny, inaczej też bym go zapamiętał... Chyba muszę jakoś zareagować na wiadomość, że mama trudniła się prostytutką i została zabita na zlecenie, nie powinienem przecież pokazywać, że już

o tym wiem. Ale jak mam zareagować? Zadawać pytania? Okazać niedowierzanie? Histeryzować? Co robić?

– Nie wierzę panu – powiedział twardo. – Może mama była niewybredna w wyborze partnerów, ale nie mogła być prostytutką. A więc historia jej zabójstwa to też kłamstwo. Pewnie bardzo panu zależy na pieniądzach, więc wymyślił pan to wszystko, żeby je zdobyć.

*

– Niezłe posunięcie – powiedział Stasow z uznaniem. – Ty na nie wpadłeś?

Khanlar Alekpierow pokręcił przecząco głową.

– Nie, to improwizacja Krotowa. W porę się połapał, że musi udawać, jakoby informacja go zaskoczyła. Przeoczyłem tę okoliczność, gdy szykowałem go na spotkanie.

W furgonetce wyładowanej drogim sprzętem było gęsto od papierosowego dymu. Aparaturę podsłuchową do mieszkania Kuźmina zdobył Stasow. Mimo szczerych chęci Khanowi by się to nie udało, sprawa Krotowa nie wchodziła przecież w zakres jego obowiązków służbowych.

– W sumie tak, jak się spodziewaliśmy, Kuźmin zwała wszystko na swojego nieżyjącego kolegę Samosadowa – powiedziała Nastia Kamińska, zapalając kolejnego papierosa – chociaż każdy głupi by się domyślił, że mówi o sobie. Samosadow zmarł przecież dwa lata temu, kto w takim razie jak nie Kuźmin zabił Stiecenkę?

– Nie tak prędko, Nastiu – odparł Khan. – Udział Kuźmina w zabójstwie Stiecenki to tylko jedna z hipotez. Pozostaje jeszcze sporo innych i chociaż twój kolega Kola Siełujanow postawił na nogi wywiadowców w całym terenie, nie ma pewności, że sprawdzili wszystko od a do zet. Nawiasem mówiąc, zauważ, że Kuźmin milczy na temat zabójstwa Stiecenki, nie wspomina o tym ani słowem. Nie mamy się do czego przyczepić.

Stasow sięgnął po termos, nalał sobie gorącej herbaty i z przyjemnością odgryzł ogromny kęs hamburgera, którego ze sobą przyniósł.

– Zgadza się – powiedział, żując. – W tej sytuacji nie mamy podstaw, żeby oskarżyć Kuźmina. To nie on podjudzał Jewtiejewa i namawiał Stiecenkę do zabójstwa, ale nieżyjący Samosadow. Gość jest kuty na cztery nogi. Ale nie szkodzi, na niego też znajdzie się rada. Podrzucimy Siełujanowi informacje, niech wywiadowcy popracują z nimi w terenie, a nuż przycisną tego drania. Chcesz hamburgera, Kamieńska?

Nastia była bardzo głodna, ale wiedziała, że przy swojej posturze Stasow czuje na pewno większy głód niż ona.

– Nie, dziękuję, Władik.

– Więc mogę go dokończyć i nie podzielić się z tobą? – z nadzieją zapytał Stasow.

– Oczywiście, że tak. W razie potrzeby wyskoczę po lody, o, tam jest kiosk.

– Świetna myśl! – Władisław się ożywił. – Wyskocz i kup dla

wszystkich, a my tymczasem posłuchamy. Ja poproszę czekoladowe.

– A ja waniliowe – od razu dodał Alekpierow.

Nastia nie miała ochoty wdawać się w dyskusję, ale iść po lody też jej się nie chciało. Z drugiej strony, chętnie by coś zjadła. Kiedy wreszcie nauczy się szybko kojarzyć, dawać właściwe odpowiedzi, nie odzywać się bez potrzeby i nie pakować w głupie sytuacje?

*

– A jeśli znajdę wujka Walerę i zapytam, jak było naprawdę? Nie boi się pan, że pańska opowieść okaże się nic niewarta? – zapytał malarz.

– Znajdź i zapytaj. – Kuźmin wzruszył ramionami. – Tylko po co? Czyżbyś sądził, że twój wujek Walera się przyzna? Będzie twardo obstawał, że zabił twoją mamę z zazdrości i że kierowała nim osobista niechęć. Nic nie uzyskasz i niczego się nie dowiesz.

Zgadza się, pomyślał Krotow. Rzeczywiście nic nie uzyskam i niczego się nie dowiem, ponieważ Stiecenko nie żyje. Kuźmin nie okazuje ani cienia zdenerwowania, jakby naprawdę nie wiedział o zabójstwie. A może nie ma z tym nic wspólnego?

– A nie wpadło panu do głowy, że wujek Walera, podobnie jak pan, połaszczy się na pieniądze i wszystko opowie?

– Na miłość boską! – Giennadij Antonowicz wybuchnął śmiechem.

– Powie ci to samo co ja. Zapłacisz tylko dwa razy za te same informacje i niepotrzebnie wydasz pieniądze.

Nie, mój drogi. Stiecenko powiedziałyby zupełnie co innego. Że to nie

Samosadow, ale właśnie ty namawiałeś go, żeby poszedł siedzieć za zabójstwo na tle obyczajowym zamiast za sprawę walutową, za którą groziło rozstrzelanie. A to oznacza, że właśnie tobie, a nie Samosadowi, zależało na usunięciu mojej matki. Skandal z Razuwajewem zwichnąłby karierę tobie, a nie jemu. Ponieważ nikt nie zostawał Bohaterem Pracy Socjalistycznej i członkiem KC KPZR na ładne oczy, bez rekomendacji i poręczenia szanowanych obywateli, a oni nie mogli pozwolić, żeby ci, których rekomendowali i za których ręczyli, okazali się niegodni zaufania. Owi szanowani obywatele nie wybaczyliby tego ani tobie, ani twoim zwierzchnikom, przecież to by w nich uderzyło i zniszczyło im reputację. Wszyscy stracilibyście stołki, stopnie i gratyfikacje.

– I przez tyle lat pan milczał – z wyrzutem powiedział Krotow. – Chłopcy zginęli, moja mama została zabita, a pan o wszystkim wiedział i milczał.

– Nic na to nie poradzę. – Kuźmin uśmiechnął się nieznacznie. – To wynikało ze specyfiki mojego zawodu. Najpierw chodziło o tajemnicę służbową, nie miałem prawa jej upubliczniać. Później skończyła się władza radziecka i zaczęła epoka głośnych kompromitacji, ale Kola Samosadow był moim kolegą, nie mogłem mu zrobić świństwa. Kiedy dwa lata temu zmarł, pomyślałem, że teraz informacja o tej okropnej historii nikomu już nie zaszkodzi i będzie można na niej trochę zarobić. Widzisz, Saszeńka, że nie udaję przed tobą kogoś lepszego, niż naprawdę jestem. W gruncie rzeczy cechuje mnie interesowność, dla pieniędzy jestem gotów na wiele. Tylko nie zgrywaj ważniaka i nie

praw mi morałów, że bycie interesownym to grzech, a chęć posiadania pieniędzy jest rzeczą godną potępienia. Przypomnij sobie, jak i czym sam zarabiasz na życie.

– Ale dlaczego czekał pan dwa lata? – zapytał Krotow.

Doskonale pamiętał, że Khan polecił zadać to pytanie, ponieważ chciał wiedzieć, komu jeszcze Kuźmin sprzedał informacje.

– Skoro pański kolega Samosadow zmarł dwa lata temu, dlaczego dopiero teraz pan do mnie napisał?

Giennadij Antonowicz uśmiechnął się i sięgnął po papierosa. Krotow się skrzywił – nie znosił zapachu dymu tytoniowego.

– Jesteś, Saszeńka, ostatni w tym łańcuchu. Do końca nie chciałem cię wykorzystywać jako źródła dochodu, ponieważ rozumiem, jak czuje się syn, gdy słyszy smutną prawdę o matce. Najpierw sprzedałem informacje bratu nieżyjącego Miszy Sawinych – Maksimowi Kramariewowi, i to tylko dlatego, że całkiem przypadkowo usłyszałem, że syn Razuwajewa jest jego rywalem. Pieniądze pozwoliły mi zaspokoić najpilniejsze potrzeby, ale wkrótce się okazało, że lista zakupów jest jeszcze długa, więc siłą rzeczy nie obejdzie się bez dodatkowych pieniędzy. Pragnę żyć wygodnie i nie widzę w tym nic naganego. No więc postanowiłem napisać do ciebie. Masz jeszcze jakieś pytania?

Krotow wstał i ruszył ku drzwiom.

– Nie. Wkrótce się pewnie pojawią, ale teraz jestem wstrząśnięty i wytracony z równowagi, nie potrafię zebrać myśli. Mam nadzieję, że mnie pan rozumie.

– Oczywiście. – Kuźmin uśmiechnął się współczująco.

Już miał otworzyć drzwi, ale zastygł z ręką na klamce.

– Przyznaj się, Saszeńka, masz mikrofon? – zapytał z krzywym uśmiezkiem. – Ktoś nas słucha i wszystko zapisuje? Za nic nie uwierzę, że sam mnie znalazłeś. Musiałeś w tym celu zwrócić się o pomoc albo do milicji, albo do moich dawnych kolegów, albo do gangsterów. Więc do kogo się zwróciłeś, Saszeńka, hę?

Krotow sam otworzył drzwi i zrobił krok do przodu.

– Już pan o to pytał.

– Ale mi nie odpowiedziałeś – z naciskiem powiedział Giennadij Antonowicz do zwróconego tyłem Krotowa.

– Do widzenia – rzucił malarz przez ramię i zbiegł na dół po schodach.

Znalazłszy się na ulicy, wsiadł do samochodu, starając się nie rozglądać w poszukiwaniu furgonetki, w której powinien być Khan z przyjaciółmi. Umówili się wcześniej, że po wyjściu od Kuźmina zaczeka na Khana koło stacji metra, oddalonej pięć, najwyżej siedem minut jazdy samochodem.

Krotow musiał poczekać w umówionym miejscu, Alekpierow pojawił się jakieś dziesięć minut później i wsiadł do jego samochodu.

– Zdajesz sobie sprawę, Krotow, że twoje pieniądze bezpowrotnie przepadły? – zapytał bez żadnych wstępów. – Nic z tym nie można zrobić, dałeś je z własnej woli, są już na koncie Kuźmina.

– Do diabła z nimi. – Krotow machnął ręką. – Nie żał mi ich. Jeszcze zarobię, mafiosi dużego kalibru nie dadzą mi zginąć, więc na

życie wystarczy.

ROZDZIAŁ 16

W piątek, czwartego czerwca, do naczelnika UWD¹⁷ w Jużnomorsku wpłynęła informacja z Moskwy, że w trakcie wykonywania prywatnego zlecenia przez agencję detektywistyczną „Własta” ujawniono okoliczności zabójstwa doktora Jewtiejewa, które mogą się okazać przydatne w wyjaśnieniu przestępstwa. Sporządzony przez pielęgniarkę portret słowny mężczyzny, który dobrze wiedział, że Jewtiejew został sam w mieszkaniu, całkowicie odpowiada wyglądowi Sławomira Gaszyna, mającego powody osobiste, żeby zabić starego lekarza. Według informacji „Własty” Gaszyn przebywa obecnie w Moskwie, jego adres nie jest znany, ale są podstawy, by przypuszczać, że mężczyznę regularnie odwiedza Maksim Witaljewicz Kramariw (w załączeniu podstawowe dane).

Tego samego dnia wieczorem naczelnik UWD w Jużnomorsku skontaktował się z Moskwą. Z jego inicjatywy za Sławomirem Gaszynem rozesłano list gończy. Zarządzono też obserwację Maksima Kramariewa, w wyniku której bardzo szybko wyszło na jaw, że biznesmen rzeczywiście odwiedza Gaszyna w mieszkaniu wynajętym na ulicy Mikłucho-Makłaja.

Do Moskwy przyleciał z Jużnomorska śledczy Niedielko, który prowadził sprawę zabójstwa Dmitrija Wasiljewicza Jewtiejewa. Już

na samym wstępie zażądał spotkania ze Stasowem i Kamieńską, żeby otrzymać informacje z pierwszej ręki. W zamian musiał obiecać, że pozwoli im uczestniczyć w przesłuchaniu Gaszyna, gdy ten zostanie znaleziony i zatrzymany, a nawet zadać swoje pytania.

Sławomir Iljicz Gaszyn został aresztowany we wtorek, ósmego czerwca, półtorej godziny po tym, jak pożegnał się z Maksimem Kramariem. W tym czasie do mieszkania zajmowanego przez Gaszyna zajrzała sąsiadka z dołu z pytaniem, czy coś u niego nie przecieka, dzięki czemu stwierdzono, że to właśnie on znajduje się w mieszkaniu. O tym, że „sąsiadka” była funkcjonariuszką milicji, Sławomir Iljicz się nie dowiedział.

Niedielko dotrzymał słowa i zaprosił Stasowa i Nastię, którzy cicho siedzieli w kącie pokoju i przysłuchiwali się odpowiedziom zatrzymanego na pytania śledczego. W końcu Niedielko dał im znak, że teraz ich kolej, jeśli chcą jeszcze coś wyjaśnić.

– A po co panu ochrona? – zapytała Nastia.

Gaszyn uśmiechnął się i spojrzał na nią z zainteresowaniem.

– Musi pani wiedzieć, że wyjazd do Jużnomorska i zabójstwo doktora to mój pomysł. Kramariew nic o tym nie wiedział. Gdyby się dowiedział, za nic by mnie nie puścił. Gdy wróciłem i powiedziałem, że zabiłem Jewtiejewa, okropnie się rozgniewał, krzyczał i przydzielił mi ochronę, żebym nie uciekł i nie zrobił czegoś, co pokrzyżowałoby mu plany. Śmierć doktora nie miała dla niego znaczenia. Interesował go tylko Razuwajew. Przydzielając mi ochronę, powiedział żonie i pozostałym, jakoby dostał sygnał, że konkurencja zamierza mu

nabruździć i wykraść czy to mnie, czy to moje wyniki badań. Już przecież mówiłem, że Maksim przedstawiał mnie jako naukowca.

– I jak się panu żyło pod stałym nadzorem? Pewnie było ciężko? – powiedziała Nastia niby ze współczuciem.

– To była nad wyraz ciekawa sytuacja. – Gaszyn uśmiechnął się z rozmarzeniem. – Niecodzienna i bez precedensu, więc czerpałem z niej, ile się da do swojej przyszłej sztuki. Cóż to za poruszająca rzecz: napisać sztukę o człowieku zmuszonym do życia pod stałym nadzorem. Gdzie indziej zebrałbym materiał? Nie, to mi odpowiadało.

– A tamci dwoje, którzy przyjeżdżali do Kramariewa i których przyprowadzał do pana, żeby się naradzić? – włączył się Stasow. – To byli Sorokinowie?

– Widzę, że dużo wiecie – z uznaniem zauważył Gaszyn. – Oczywiście, że to Sorokinowie, a któż by inny? Przeszli na emeryturę i kapcanieli w swoim Nowosybirsku, nudzili się i snuli bez zajęcia, póki Maksim ich nie znalazł. Życie nabrało kolorów, gdy odzyskali w nim cel i sens, a także gdy pojawiła się misja, więc podnieśli głowy i rzucili się w wir zdarzeń. Muszę wam powiedzieć, że zemsta to bardzo ożywczy motyw, potrafi zawrócić ludzi z tamtego świata.

Umilkł, spoglądając w bok, ramiona mu opadły, nagle posmutniał i zaczął sprawiać wrażenie człowieka dotkniętego nieszczęściem. Ale już chwilę później oczy Sławomira Iljicza znowu zabłysły, a usta drgnęły w uśmiechu. W tym momencie wydał się Nasti tak pociągający, że aż zapomniała, z kim mają do czynienia, i nie mogła oderwać oczu od siedzącego naprzeciw mężczyzny.

– Wiecie, co jeszcze zrozumiałem? – podjął Gaszyn. – Że zemsta to tylko ładne słowo, którym każdy z nas maskuje własne motywacje osobiste. Maksim musiał za wszelką cenę pokonać rywala i choć to zabrzmiało okrutnie, śmierć brata była mu w gruncie rzeczy obojętna.

– Chwileczkę, a jak informacja o wypadku na jeziorze mogła pomóc Kramariewowi w jego walce z Razuwajewem juniorem? – Stasow się zachmurzył. – Przecież to nie on zabił dzieci.

– Paweł Razuwajew bardzo kocha swojego ojca, nie pozwoliłby na kompromitację Nikołaja Stiepanowicza. W zamian za nieujawnienie informacji wycofałby się z wyborów i przestał przeszkadzać Kramariewowi w interesach. To bardzo proste. – Gaszyn wzruszył ramionami.

– No dobrze, a Sorokinowie? – dopytywała się Nastia. – Jaki mają motyw, jeśli nie śmierć syna?

– Potrzebowali nowego celu, nowego impulsu, żeby odzyskać siły i poczuć chęć do życia. Maksim ich odnalazł, zaprosił do Moskwy, za niebotyczne pieniądze kupił mieszkanie, które kiedyś należało do Łarisy Krotowej, zapłacił lokatorom, żeby się wynieśli, nie żałował grosza Sorokinom, zapewniał wszystko, co niezbędne. A im bardzo się spodobało takie życie.

– I po co to wszystko było? Po co ściągnął pana z Permu, a Sorokinów z Nowosybirsk?

– Ktoś dał mu cynk, że Łarisa mogła zostawić jakieś materiały kompromitujące Razuwajewa. Kasetę wideo albo audio, a może jakieś notatki. Nikt nie wiedział, co to jest i gdzie Krotowa przechowywała tę

rzecz, no i czy ona w ogóle istnieje. Sorokinowie otrzymali zadanie zawarcia znajomości i zaprzyjaźnienia się z rodziną, która mieszkała po sąsiedzku z Łarisą i która po jej śmierci zajęła się jej synem. Były podstawy, by sądzić, że do Gusarowów trafiły też rzeczy Krotowej, a wśród nich to, na czym tak zależało Maksimowi. Sorokinowie byli wykonawcami, a ja podsuwałem pomysły. I nieźle mi to wychodziło. – Gaszyn znowu się uśmiechnął. – Potrafię budować obraz sceniczny i tworzyć jego dramaturgię. Pomagałem analizować osobowości sąsiadów i podpowiadałem, o czym najlepiej z nimi rozmawiać, jak zacząć pogawędkę, jak ją poprowadzić i jak skończyć, żeby osiągnąć żądany rezultat. Zresztą te szczegóły nie są wam potrzebne, i tak ich nie zrozumiecie.

– A pan? – zapytała Nastia z ciekawością. – Po co to panu było? Jakie miał pan motywy osobiste, skoro nie była to zemsta w czystej postaci?

– Wydaje mi się, że nie potrafiłem żyć z poczuciem winy – spokojnie odparł Gaszyn i ów spokój lepiej niż jakiekolwiek słowa dowodził, że dużo o tym myślał. – Wika obarczała mnie winą za to, co się przytrafiło jej synowi, i chyba miała rację. Byłem przecież dorosłym i rozsądnym facetem, gdybym potrafił zbudować z chłopcem prawidłowe relacje, nie pojechałby na tamten obóz i nie wsiadłby z kolegami do motorówki. Ale nie stanąłem na wysokości zadania. Szczerze mówiąc, nie przejmowałem się zbytnio Jurką, byłem zajęty głównie sobą, miłością do Wiktorii i swoją twórczością. Chłopak mnie nie obchodził, a ponieważ czuł do mnie awersję i Wika się tym martwiła, uważałem, że

stoi na drodze naszej miłości. Po jego śmierci ogarnęły mnie wyrzuty sumienia, a po śmierci Wiki poczułem się jeszcze bardziej winny. Okazało się, że nie potrafiłem być dla niej wsparciem, nie wyciągnąłem jej z alkoholizmu i z depresji. Kiedy więc dowiedziałem się prawdy od Maksima, pomyślałem, że jeśli sam, własnymi rękami, zabiję doktora Jewtiejewa, przynajmniej częściowo odkupię winę wobec Wiki i jej syna. Doktor umierał na raka, więc nie miałem chwili do stracenia, bałem się, że nie zdążę, bałem się, że Jewtiejew umrze śmiercią naturalną we własnym łóżku, a ja pragnąłem stanąć nad grobem Wiki i powiedzieć: „Zrobiłem to, Wiko, odkupiłem swoją winę”. Teraz widzicie, że ja też miałem motyw osobisty.

Nastia zamyśliła się, a później niespodziewanie zapytała:

– Czym się pan zajmował całymi dniami, gdy nie mógł pan opuścić mieszkania? Nudził się pan?

– Ależ skąd! – zawołał Gaszyn. – Pracowałem, i to bardzo ciężko. Piszę nową sztukę i muszę przyznać, że już dawno nie czułem takiego przyływu natchnienia, praca szła mi jak z płatka!

– A więc zabójstwo doktora panu pomogło. A wie pan, jakie motywy naprawdę panem kierowały?

Gaszyn spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Co ma pani na myśli?

– Swoją jedyną, niezbyt udaną sztukę, którą wystawiono w Krasnojarsku, napisał pan po samobójstwie Wiktorii Pietrakowej, gdy nie opuszczało pana uczucie winy i straty. Później owo uczucie przygasło i natchnienie pierzchło. Żeby praca była owocna, potrzebuje

pan dramatycznych przeżyć. Zabójstwo i nowe poczucie winy przydały się, żeby wyzwolić talent. Niełatwa sytuacja z Walentiną też pewnie panu pomogła? No bo jak to, sypia pan z kobietą, której ojca, jak się okazuje, bezlitośnie pan zabił, a ona o tym nie wie. To z pewnością znalazło odbicie w pańskiej nowej sztuce.

– Jest pani okrutna. – W głosie Gaszyna brzmiał gorzki wyrzut.

– A pan nie? – ostro odparła Nastia. – Próbuje pan podporządkować wszystko tylko jednemu celowi: chce pan obudzić w sobie natchnienie. Nawiązuje pan znajomości z kobietami i wykorzystuje swoje związki jako źródło materiału do twórczości, wypytuje pan wybranki o życie, o dzieciństwo, o wrażenia i odczucia, przecież zadaje pan nawet te same pytania, wypracował pan schemat zbierania danych, których pan potrzebuje, żeby sporządzić portret psychologiczny, prawda? Kobiety, z którymi się pan wiąże, nie interesują pana jako kobiety – traktuje je pan instrumentalnie, żeby stworzyć kolejny obraz sceniczny w kolejnej sztuce. Zabił pan doktora Jewtiejewa, bo chciał pan poczuć tragizm sytuacji i napisać arcydzieło. I co, Sławomirze Iljiczu, udało się panu?

Gaszyn odwrócił głowę w stronę śledczego Niedielki i poprosił:

– Niech ci ludzie wyjdą. Nie mam o czym z nimi rozmawiać.

Nastia i Stasow się pożegnali. W zasadzie wszystko zostało powiedziane i rzeczywiście nie było już o czym mówić.

*

Maksim Witaljewicz Kramariew dawno przywykł do myśli, że niemal wszystko można kupić za pieniądze, a to, czego się nie da, też można nabyć za pieniądze, tylko znacznie większe. Dlatego słuchając piąte przez dziesiąte śledczego Niedielki, który głądził coś o odpowiedzialności karnej za ukrywanie zabójcy doktora Jewtiejewa, Kramariew myślał tylko o jednym: Ile? Ile trzeba dać, żeby facet wziął bez niepotrzebnego gadania?

– Rozumiem – przerwał śledczemu wpół słowa. – Perspektywa jest nieprzyjemna. Chciałbym jej uniknąć. Mam nadzieję, że rozumie mnie pan tak dobrze jak ja pana.

Śledczy milczał, gorliwie kartkując dokumenty i poprawiając coś w tekście ołówkiem. Kramariew wyjął z aktówki przygotowaną zawczasu grubą kopertę i położył na biurku przed śledczym. W przeddzień, gdy został oficjalnie wezwany na przesłuchanie, zastanawiał się, o czym będzie mowa. Kuźmin go przecież uprzedzał, że za ukrywanie zabójcy może trafić na ławę oskarżonych. Udając się więc do śledczego Niedielki, Maksim Witaljewicz zaopatrzył się w argument jego zdaniem nie do odparcia.

Argument okazał się przekonujący, śledczy wziął kopertę i uśmiechnął się ze znużeniem.

– Rozstaniemy się obopólnie zadowoleni – powiedział. – Niech pan da przepustkę, podpiszę. Ale będzie pan musiał, Maksimie Witaljewiczu, dogadać się jakoś ze Stasowem, bo był obecny na przesłuchaniu Gaszyna i na własne uszy słyszał, jak facet składał zeznania potwierdzające pański udział oraz to, że go pan ukrywał.

Tak, Stasow stanowi problem, ale nie tak duży, jakby się zdawało. Załatwienie tej sprawy będzie kosztować drożej, ale w końcu to tylko pieniądze, a Maksim Kramariew nigdy nie był skąpy.

Prosto od śledczego pojechał do agencji detektywistycznej „Własta”. Musiał zaczekać chwilę w poczekalni, zanim szef agencji go przyjął.

– Władisławie Nikołajewiczu – Kramariew usiłował przywołać na twarz szeroki uśmiech – dowiedziałem się, że ma pan nagranie zawierające informacje, które kompromitują Nikołaja Stiepanowicza Razuwajewa. Czy to prawda?

Stasow milczał i przyglądał się Kramariewowi z ciekawością. Maksim poczuł się nieswojo. Dlaczego facet się nie odzywa? Dlaczego nie chce omówić czysto biznesowej kwestii? Przecież dzisiaj handel informacjami to rzecz normalna i tylko ludzie leniwi nie potrafią się na tym dorobić. Wszystko jest oczywiste: przyszedł klient, więc podaj cenę, później możesz się trochę potargować, żeby banalna transakcja kupna–sprzedaży przypominała inteligentne rozmowy biznesowe – i tyle. Czyżby Stasow zamierzał się nad nim pastwić? Kramariew musi za wszelką cenę zdobyć nagranie rozmowy Kuźmina z Krotowem, bo oprócz historii z chłopcami może ono zawierać jakieś uwagi Giennadija Antonowicza na temat udziału Kramariewa i jego związku z zabójstwem doktora. Wprawdzie Kuźmin się zarzeka, że nic o tym nie wspominał, ale czy można mu wierzyć? Nie, wierzyć nie można nikomu, a zwłaszcza Kuźminowi, który dla pieniędzy gotów jest sprzedać i oszukać każdego.

– Pańskie milczenie odbieram jako potwierdzenie. – Maksim

Witaljewicz przerwał pauzę. – Ma pan nagranie, na którym mi zależy. Ile pan za nie chce?

– Dużo. – Stasow się uśmiechnął. – Nie stać pana.

Wreszcie odezwał się po ludzku. Teraz wymieni kwotę, później ustalą terminy i sposób przekazania pieniędzy, po czym rozmowa zejdzie w naturalny sposób na temat rekompensaty za milczenie w sprawie ukrywania przestępcy, Stasow wymieni jeszcze jedną kwotę i na tym wszystko się skończy. Najważniejsze, że Maksim zdobędzie nową broń do walki z Pawłem Razuwajewem, ona zaś jest warta każdych pieniędzy.

– Słucham pana. Proszę podać swoje warunki.

– Są bardzo proste. Mam nagranie, ale nie zamierzam go panu oddać. Co więcej, jeżeli nie przestanie mnie pan nagabywać i nie zakończy działalności grupy mścicieli, nagłośnię pański udział w zabójstwie doktora Jewtiejewa. Był pan już dzisiaj u śledczego Niedielki, który, o ile wiem, zrezygnował ze wszczęcia postępowania karnego przeciwko panu. No cóż, śledczy ma prawo do takiej decyzji, jest niezależny w podejmowaniu czynności procesowych. Zwłaszcza że, jak się domyślam, jego decyzja została poparta szeregiem szeleszczących argumentów w kopercie. A może poradził pan sobie bez koperty i dał prosto do ręki?

Maksim poczuł, że twarz robi mu się czerwona i tężeje. Nie, to nie było zażenowanie czy wstyd, dawno przywykł do dawania łapówek i się tego nie wstydził, ponieważ w kraju, w którym żył, wszyscy je dawali. I brali. Ogarnął go jednak niesmak, że jakiś marny prywatny

detektyw ma czelność go pouczać.

– Powtarzam swoje pytanie – powiedział lodowatym tonem. – Na jakich warunkach jest pan gotów przekazać mi materiały kompromitujące Razuwajewa?

– A ja powtarzam odpowiedź: na żadnych. Nie dostanie pan tych materiałów. Ja też mam dla pana propozycję: przerywa pan działalność zmierzającą do zdemaskowania Razuwajewa seniora, w przeciwnym razie zrobię, co w mojej mocy, żeby został pan jednak oskarżony o ukrywanie przestępcy.

– Czemu pan to robi? – cicho zapytał Maksim. – Zna pan osobiście Razuwajewa i próbuje go uchronić przed nieprzyjemnościami? Czy pracuje pan dla jego syna i pomaga mu w kampanii wyborczej? Facet pana kupił? Zdążył to zrobić przede mną, tak? Ale mogę przecież przebić jego ofertę i dać panu więcej.

Stasow roześmiał się i ten jego śmiech – donośny, perlisty, beztroski i szczery – nagle przekonał Maksima Kramariewa, że nic nie wskóra.

– Mógłbym z patosem oznajmić, że jestem nie do kupienia – powiedział Stasow, gdy skończył się śmiać. – Ale nie będę strzepił sobie języka. Powiem wprost: nie podoba mi się pańska grupa mścicieli i pańska działalność. Nie podoba mi się, rozumie pan? Nic na to nie poradzę. Tak się składa, że ogromnie mi się nie podoba, gdy coś mi się nie podoba. Historia Razuwajewa seniora też mi się oczywiście nie podoba, nawet bardziej niż pańska, ale tutaj nic nie mogę zrobić. Żeby ją ujawnić, potrzebne są o wiele mocniejsze dowody niż te, które

wystarczyłyby panu do rozwiązania konfliktu z Razuwajewem juniorem. Zszargać komuś reputację, obrzucić błotem – w kampanii politycznej to działa. Ale musi pan wiedzieć, że jestem prawnikiem, a nie politykiem, więc myślę nieco innymi kategoriami. Bez mocnych dowodów czeka mnie oskarżenie o oszczerstwo i sprawa sądowa. Po co mi to? No cóż, nie będę pana dłużej zatrzymywał.

Już dawno Maksim Witaljewicz Kramariew nie czuł się tak wytracony z równowagi i upokorzony jak w chwili, gdy opuszczał biuro agencji detektywistycznej „Własta”.

*

Żanna spokojnie i uważnie zlustrowała pomieszczenie sztabu wyborczego. Co jeszcze zapomniała spakować? Jakie rzeczy zostawiła? Aha, w szafie powinno być pudełko z materiałami biurowymi, kupiła je niedawno, ale nie zdążyła otworzyć. Zgadza się, jest. Żanna wsunęła je energicznie do dużej torby i zapięła suwak. Teraz już wszystko. W drogę.

Reputacja Kramariewa legła w gruzach, nie będzie mógł już brać udziału w wyścigu wyborczym, mimo że dał łapówkę i wykręcił się od odpowiedzialności karnej. Ale słuchy o tym, że jest na bakier z prawem, zdążyły się rozejść i rywale na pewno wykorzystają to w walce politycznej. Jako polityk Kramariew jest skończony, toteż nie przedstawia żadnej wartości dla Żanny. Nie żał jej było Maksima, miała do niego obojętny stosunek; żał jej było własnego czasu i sił,

które zmarnowała. Nie może stać w miejscu, musi się szybko rozejrzeć, komu by sprzedać swoje umiejętności, cały czas musi iść naprzód. To, co się przytrafiło Maksimowi Kramariewowi, pomieszało jej szyki i wywołało nie gwałtowne oburzenie, ale zimną irytację. Żanna nie znała silnych emocji, była opanowana, wyrachowana i cyniczna.

Wzięła torbę i skierowała się ku drzwiom, w których zderzyła się z Kramariewem.

– A ty dokąd? – Zachmurzył się na widok dużej, wypakowanej po brzegi torby. – Uciekasz jak szczur z tonącego okrętu? I to teraz, w tak trudnej chwili, gdy potrzebuję twojego...

– Przestań. – Żanna skrzywiła się z odrazą. – Tylko się nie rozklejaj, dobrze? Nie jestem Ci dłużej potrzebna, wszyscy to widzą prócz ciebie.

– Żanno, Żannoczko, czemu tak mówisz? Obecne kłopoty są przejściowe, wszystko załatwię i będzie jak dawniej, obiecuję. Na pewno zwyciężymy i wszystko się między nami ułoży...

– Nic się nie ułoży. Pozwól mi przejść.

– Zaczekaj! – Chwycił ją za ramiona i spróbował objąć, ale Żanna wyrwała się i cofnęła parę kroków. – Przecież tak nie można, słowo daję! Zawsze mnie rozumiałaś, wspierałaś, dzieliłaś moje troski. Co ci się teraz stało? Czego się przestraszyłaś? Przecież jesteś mądrą kobietą, doskonale widzisz nasze szanse, nie możesz nie rozumieć, co nas oboje czeka w razie zwycięstwa. Nie jesteś taka jak Katierina, której pomieszało się w głowie, odeszła ode mnie, że niby, patrzcie państwo, działalność polityczna stoi jej kością w gardle. Nie rozumie,

kretynka, że moja przyszłość wiąże się z polityką. Ale to nic, wróci jak niepyszna, nie będzie miała wyjścia, w końcu do niej dotrze, że mam rację. Katierina jest głupia jak cielę, ale ty? Jak możesz tak postępować – porzucać mnie w decydującej chwili?

Żanna postawiła torbę na podłodze i usiadła na brzegu krzesła, wąska spódnica podjechała przy tym do góry, odsłaniając chude i kościste kolana. Kobieta uważała je za słaby punkt swojej dość atrakcyjnej powierzchowności i starała się ich nie pokazywać, zwłaszcza w obecności mężczyzn, ale teraz było jej wszystko jedno. Maksim Kramarijew nie jest jej już do niczego potrzebny i może mu to powiedzieć prosto w oczy.

– Twoja Katia wcale nie jest kretynką i już do ciebie nie wróci – powiedziała wolno, delektując się każdym słowem. – Ona nie potrzebuje cię razem z polityką, a ja bez niej. Obie mamy cię wyżej uszu, Maksimie Kramariewie. Jesteś nieudacznikiem, outsiderem.

– Ale przecież sypialiśmy ze sobą! Jesteśmy razem tak długo, więc myślałem... byłem pewien...

– Pomyliłeś się – spokojnie przerwała Żanna. – Myślenie szkodzi, a pewność siebie bywa niebezpieczna. Sypiałam z tobą dla dobrej sprawy, żebyś mnie słuchał i robił to, co ci powiem. Chciałam, żebyś poważnie traktował moje propozycje oraz inicjatywy. Wiem, co robię, jestem profesjonalistką w każdym calu, dla mnie ważne jest, żeby wykonywano moje polecenia, a nie zadawano pytania. Sypianie z tobą w ogóle mnie nie podniecało, moim celem jest doprowadzenie kandydata do zwycięstwa, to moja praca, moja kariera i moje CV. Im

więcej sukcesów w CV, tym wyższa będzie moja wartość dla kolejnych pracodawców. Jeżeli trzeba w tym celu pójść do łóżka z kandydatem, to pójdę, nie kierując się przy tym żadnymi motywami osobistymi. Ty pragniesz władzy, a ja pieniędzy, ale one nie spadną mi z nieba, muszę je zarobić. Tworzę więc warunki, żeby w ostatecznym rozrachunku moja praca przyniosła efekty.

Maksim patrzył na nią, oszołomiony jej szczerością, a jego mina świadczyła o tym, że nie potrafi zgłębić sensu wypowiedzi kochanki i uwierzyć, że mówi poważnie. Żanna się uśmiechnęła. Maksim, podobnie jak większość mężczyzn, jest przekonany, że wszystkim kobietom zależy na seksie i że każdemu, kto je weźmie do łóżka, będą wdzięczne do grobowej deski. A dla niej łóżko to tylko jeden ze środków kierowania tępym motłochem, którym w jej oczach są ludzie chorzy na władzę. Nic poza tym.

*

Walentina Jewtiejewa wracała od Stasowa zupełnie załamana. Sławomir, jej ukochany, ubóstwiany Sławomir okazał się zabójcą jej ojca! Kobieta próbowała pogodzić się z tą myślą, kiedy jechała najpierw autobusem, później metrem, a na końcu kolejką podmiejską, więc gdy przestąpiła próg domu Niny Siergiejewny, była tak wyczerpana, że nie potrafiła pohamować gorzkich łez rozpacz. Objąwszy Ninę Siergiejewną, długo płakała, a potem opowiedziała to, czego się dowiedziała we „Właście”.

– Oto dlaczego wpadł w taką wściekłość, gdy mu powiedziałam, po co przyjechałam do Moskwy! – szlochała. – Nie chodziło o to, że jestem oszustką, ale o to, że uświadomił sobie, iż zabił mojego ojca, a ja płacę prywatnym detektywom za to, by znaleźli zabójcę. Nie miał pojęcia, co powinien zrobić w tej sytuacji. To dlatego tak nagle znikł i się przede mną ukrywał. Nie potrafił spojrzeć mi w oczy.

Nina Siergiejewna w milczeniu wysłuchiwała gorzkiej opowieści, poklepując Walentinę po ramieniu, później zaproponowała, że zrobi herbatę. Wyglądało na to, że nie zamierza ani pocieszać lokatorki, ani omawiać z nią tego, co się wydarzyło.

Gdy wypily herbatę, Nina Siergiejewna poprosiła o pomoc w sprzątaniu domu i dopiero późnym wieczorem, gdy Walentyna wyszła na taras zapalić, powiedziała, co myśli.

Nie trzeba czepiać się kurczowo facetów, nie trzeba się do nich przyklejać, należy żyć własnym życiem i kierować się własnymi zasadami. A Walentyna najpierw przykleiła się do dyrektora NII, później do ojca, a teraz do pierwszego lepszego faceta, który okazał jej zainteresowanie i uwagę, a później uwiódł. Po co jej Gaszyn, człowiek, którego prawie nie zna i z którym tylko raz poszła do łóżka? Co zamierza z nim robić? Czekać dwadzieścia lat, aż wróci z więzienia? Cierpieć i czekać? W tym widzi swoje przeznaczenie i cel egzystencji? Jeżeli nie ma pomysłu, co ze sobą począć i kogo obdarzyć uczuciem, niech lepiej weźmie dziecko z domu dziecka i w nim ulokuje swoje uczucia, to przyniesie więcej pożytku.

To, co powiedziała Nina Siergiejewna, wydało się Walentinie

głęboko niesłuszne. Była pewna, że każde usłyszane słowo jest nieprawdą. W gruncie rzeczy pragnęła cierpieć i czekać, dlatego że przez ostatnie lata głównie tym się zajmowała. Nawet sobie nie zdawała sprawy, że tylko to daje jej poczucie komfortu i satysfakcji.

– I to jest pani zdaniem decyzja, do której nie jestem gotowa? – zapytała z gniewem.

– Zgadza się, dziecko – łagodnie odparła Nina Siergiejewna. – Nie jesteś gotowa. Nie powiedziałabym ani słowa, gdybyśmy miały spędzić razem jeszcze trochę czasu. Ale wygląda na to, że tak nie będzie, załatwiłaś swoją sprawę w Moskwie i niebawem wyjedziesz, więc musiałam powiedzieć ci już teraz, chociaż, powtarzam, nie jesteś jeszcze na to gotowa.

– A nie przyszło pani do głowy, że się pani myli? – powiedziała Walentina napastliwie. – Nie poznała mnie pani aż tak dobrze, żeby wydawać sądy. Znamy się zaledwie półtora miesiąca, to za krótko, żeby przejrzeć człowieka na wylot i zdobyć prawo, by go pouczać.

– Ale swojego Gaszyna znasz jeszcze krócej. – Nina Siergiejewna uśmiechnęła się, zrywając zwiędnięty kwiatek w szerokiej skrzynce stojącej na tarasie. – To nie przeszkadza ci oceniać motywów jego postępowania. Nie gniewaj się na mnie, dziecko. Lepiej spróbuj zapamiętać to, co powiedziałam, i przemyśl w wolnym czasie.

Ale Walentina nie zamierzała zapamiętywać słów Niny Siergiejewny ani ich analizować. Nazajutrz zadzwoniła do Stasowa z kolejną prośbą: żeby jej pomógł namówić śledczego do wyrażenia zgody na widzenie ze Sławomirem Gaszynem. Stasow obiecał pomóc i

niedługo potem Walentina znowu jechała do Moskwy, do komisariatu, w którym zatrzymano Gaszyna. Śledczy, którego znała z Jużnomorska, powiedział, że może jej dać najwyżej dziesięć minut.

– Wezwałem Gaszyna na przesłuchanie – powiedział surowo. – Zaraz go przyprowadzą i wtedy wyjdę na dziesięć minut, a wy będziecie mogli porozmawiać. Nic więcej nie mogę dla pani zrobić.

– Dziękuję! – żarliwie zawołała Walentina.

Wiele razy wyobrażała sobie to spotkanie i była pewna, że gdy tylko zostanie z Gaszynem sam na sam, wszystko się zmieni. Padną sobie w objęcia, Sławomir ją mocno przytuli, obsypie pocałunkami i powie pośpiesznie, że ją kocha, że dręczy go poczucie winy i że ma nadzieję, iż ona go kiedyś zrozumie i mu wybaczy, a ona powie, że już wybaczyła...

A teraz w zimnym, odpychającym pokoju czekała, aż otworzą się drzwi i pojawi się w nich Sławomir. Przystojny, niezwykły, kochany. W ustach jej zaschło, ręce się trzęsły, nogi były jak z waty, więc musiała oprzeć się o biurko, żeby nie stracić równowagi. Jeszcze chwila i zaraz...

Wszedł. Ponury, zasepiony, wydał się Walentinie przybity i zaskakująco stary. Z dawnej prezencji i pobłażliwej ironii nie zostało śladu, przed Jewtiejewą stał zupełnie inny człowiek, w którego oczach nie dostrzegła dotychczasowego blasku. Nawet nie był tak przystojny, jak zapamiętała.

To tylko pierwsze wrażenie, myślała z uporem, patrząc na Gaszyna. Tylko pierwsze wrażenie. Przecież został aresztowany, toczy się

przeciwko niemu postępowanie, grozi mu więzienie, zamknięto go w celi z wyrzutkami, kryminalistami, bandytami i narkomanami, no to jaką ma mieć minę? W głębi ducha pozostał tym samym Sławomirem, którego kocham, więc powinnam dać mu nadzieję i siły, powinnam go wesprzeć.

Odezwała się do niego, wierząc, że jej odpowie i zaczną ze sobą rozmawiać, ale Sławomir milczał i nawet na nią nie patrzył. Błądził gdzieś myślami, najwyraźniej z dala od Walentyny i od pokoju, w którym się znajdowali.

Walentina powiedziała, że prawda o ojcu ją przybiła, ale nie przestanie go kochać, bo to jej tata, który ją wychował i któremu zawdzięcza wszystko, co dobre w życiu. Między innymi spotkanie z Gaszynem, do którego by nie doszło, gdyby wszystko nie potoczyło się tak, jak się potoczyło. Walentina zawczasu przemyślała i przygotowała swoje argumenty. Z jakiegoś powodu sądziła, że musi je wyartykułować i że właśnie one powinny przełamać niezrozumienie i obcość, które wkradły się w ich relacje.

– To, co zrobił tata, jest okropne, i nie sposób tego wybaczyć – mówiła – a mimo to go kocham, ponieważ to mój tata. To, co zrobiłeś, też jest okropne i też nie sposób tego wybaczyć, a mimo to cię kocham i będę czekać po prostu dlatego, że cię kocham. Chyba nie da się tego logicznie wytłumaczyć, więc przyjmij moje słowa do wiadomości i wiedz, że na ciebie czekam.

Sławomir jej nie słuchał. A Walentina, czując każdą komórką ciała, jak mija, ucieka podarowane jej dziesięć minut, nagle zrozumiała, że

nie jest mu potrzebna. Wcale mu nie zależy, żeby na niego czekała. I żeby go kochała. Potrzebuje czegoś innego, czegoś, o czym próbowała powiedzieć jej tamta kobieta, Kamińska, i co wydawało się Walentinie niemożliwe i nieprawdopodobne.

Wszedł śledczy. Widzenie się skończyło. Gaszyn nie odezwał się słowem.

*

– Mówiłem ci, że trzeba było kupić jeszcze jedną walizkę – z niezadowoleniem burknął Wilen Wiktorowicz Sorokin. – Kupiliśmy tyle nowych rzeczy, że nie starczy miejsca.

Angelina Michajłowna milczała potulnie. Poprzedniego dnia kupili nową walizkę, ponieważ rzeczy nie mieściły się w torbach, z którymi przyjechali do Moskwy z Nowosybirsk, i Wilen rzeczywiście mówił, że trzeba kupić nie jedną walizkę, lecz dwie, a ona go nie posłuchała. Jak to się stało, że obrosli w całe mnóstwo rzeczy? Wydawało się, że kupują niewiele – a to książkę, a to parę płyt, a to garnitur dla Wilena, a to płaszcz dla Angeliny – teraz zaś nic się nie mieści.

Wilen chce wyjechać, tęskni za swoją kanapą, za fotelem, za swoimi książkami i muzyką. Natomiast Angelina w ogóle nie ma ochoty się ruszać, podoba jej się życie w Moskwie, lubi wkładać ładne sukienki, czesać się w salonie fryzjerskim i chodzić z Wilenem do teatru i na koncerty. Ostatnimi czasy mąż stał się apatyczny. W domu, w Nowosybirsku, raczej trudno go było gdzieś wyciągnąć, jak zasiądzie w

swoim fotelu, żadna siła go z niego nie ruszy, a tutaj, chcąc nie chcąc, musiał prowadzić życie towarzyskie, no i przywykł, ożywił się, nabrał wigoru. Nadskakiwanie sąsiadce Ludmile Leonidownie też zrobiło swoje i chociaż Angelinę Michajłownę zżerała zazdrość, musiała przyznać, że kulturalne wypadki z Lusieńką podziałały korzystnie na Wilena.

A teraz wszystko się skończyło i trzeba wracać. Gdyby nie było tego wyjazdu i pobytu w Moskwie, Angelina Michajłowna nie skarżyłaby się na swoją dotychczasową egzystencję, uważając, że lepiej być nie może. Ale teraz wie, że może być inaczej, więc powrót do dawnego życia to dla niej klęska. Lepiej by było, gdyby nie poznała tego innego życia... I po się w to wplątali? Właściwie niby wiadomo: chcieli się zemścić za śmierć syna. A naprawdę?

Witia zginął dwadzieścia sześć lat temu, ból dawno minął. A jeśli mówić całkiem szczerze, ów ból nie był nazbyt dotkliwy. Angelina doskonale wiedziała, że Wilen przeżywał oczywiście śmierć syna, ale później odetchnął z ulgą: można było wrócić do dawnego, ukochanego stylu życia. Jej smutek też nie trwał długo. Syn był dla niej ciężarem, więc poradziła sobie z nieszczęściem szybciej, niż się spodziewała. Dziecko nie było jej potrzebne, zupełnie niepotrzebne! Smutek był, rzecz jasna, dojmujący, ale okazało się, że łatwo go przewyciężyć... Aż trudno uwierzyć.

Angelina, podobnie jak mąż, chętnie wróciła do poprzedniego życia – znowu zaczęli chodzić razem do teatru, dużo czytali, słuchali muzyki i tak jak przedtem, od czasu do czasu brali w pracy parę dni wolnego,

żeby pojechać do innego miasta i obejrzeć przedstawienie z ulubionymi aktorami albo zobaczyć sztukę, o której było głośno, albo pójść na wystawę czy wernisaż. Początkowo Angelinie było trochę wstyd, że cieszy się życiem, czerpie z niego przyjemność, przecież powinna się smucić, płakać, nosić żałobę, a ona chodzi na premiery i koncerty i jeśli nawet płacze, to tylko poruszona podniosłą muzyką.

Później coraz częściej zaczęło przychodzić jej na myśl, że każda strata to smutek, ale każdy człowiek przeżywa smutek inaczej – jedni bardziej, inni mniej. Wszyscy krępują się jednak o tym mówić i dlatego można odnieść wrażenie, że wszyscy smucą się jednakowo. A przecież to nieprawda... Tak się jedynie przyjęło uważać.

Przyjęło się też uważać, że każda matka nie widzi świata poza swoim dzieckiem, więc gdy ono umiera, powinna odchodzić od zmysłów z rozpacz. Ale przecież nie każda matka chce nią być i nie każda kocha swoje dziecko. Przykłady trafiają się na każdym kroku, wystarczy włączyć telewizor, pełno tam historii o matkach, które biją swoje dzieci, morzą je głodem, zostawiają przez parę dni bez opieki w pustym mieszkaniu albo zabijają noworodki. Dlaczego przyjęło się uważać, że śmierć dziecka dla wszystkich oznacza to samo? Ludzie różnią się stosunkiem do dzieci, a więc też stosunkiem do ich straty.

Angelina Michajłowna otrząsnęła się z odrętwienia, które zawsze ją ogarniało, gdy przypominała sobie tamte rozważania, i znowu zabrała się do pakowania. Jutro wylatują, Maksim powiedział, że odwiezie ich na lotnisko. Szkoda, że nie potrafili pomóc Kramariewowi, to jednak bardzo miły młody człowiek. Wilenowi

przestał się z jakiegoś powodu podobać, ale Angelina Michajłowna czuje teraz do niego szczerą sympatię. To przykre, że Maksim ma nieprzyjemności przez Sławika i musi zrezygnować z polityki. Sławik to jednak zupełna miernota, nie przyniósł żadnego pożytku, przysporzył tylko samych kłopotów. Dobrze, że trafił za kratki.

Mój Boże, mój Boże, jaka szkoda, że trzeba wracać!

*

Zabójstwo Walerija Stiecenki pozostało niewyjaśnione. Trzeba jednak oddać sprawiedliwość wywiadowcom z Okręgu Centralnego – mimo że Nikołaj Siełujanow wycisnął z nich siódme poty, nie udało im się znaleźć żadnego dowodu potwierdzającego udział Giennadija Antonowicza Kuźmina w zabójstwie. Największe nadzieje pokładano w bezdomnych z zaułka Grocholskiego, ale mężczyźni nie rozpoznali Kuźmina na zdjęciu – było ciemno, a ich wyrwano przecież ze snu, wcześniej zaś sobie popili. To częsty przypadek: wywiadowcy i śledczy dobrze wiedzą, kto zabił, z jakiego powodu i w jaki sposób, nie ma jednak dowodów, żeby wniesć oskarżenie do sądu. Nie ma i koniec. Przepięstwo zostaje zaliczone do kategorii niewyjaśnionych, śledczy nie wszczyna postępowania karnego, a winowajca z zadowoloną miną sący koniak i pali drogiego papierosa.

W przeddzień urodzin Nastia dostała od Stasowa uczciwie zarobione honorarium za wykonanie zlecenia Walentyny Jewtiejewej.

– Nie zapomnij podzielić się z mężem – powiedział Stasow ze

śmiechem. – W końcu nie obeszło się bez jego pomocy.

To prawda. Bez Loszki Nastia by sobie nie poradziła. Po wyjściu od Stasowa od razu zadzwoniła do Czistiakowa.

– Nieźle się obłowiliśmy, Losza. Połowa należy do ciebie, to uczciwy podział. Na co wydamy pieniądze?

Aleksiej nie zastanawiał się długo.

– Możesz się teraz zmyć z biura?

– Jasne!

– W takim razie przyjedź na Kutuzowski do tamtego sklepu, w którym widzieliśmy ładne dresy. Pamiętasz?

– Pamiętam.

– Ja też tam podskoczę i pójdziemy wybrać ci prezent na urodziny. Płacę ze swojej połowy.

Nastia wsiadła do samochodu i ruszyła wydawać pieniądze. No cóż, jeżeli Loszka kupi jej prezent ze swojej części honorarium, ona z kolei kupi mu tamten dres, który tak mu się spodobał. Tak będzie sprawiedliwie.

Gdy parkowała koło sklepu, mąż już na nią czekał w swoim wysłużonym aucie i czytał gazetę. Jak to się dzieje, że Losza zawsze przyjeżdża wcześniej? Jakby na jego drodze nie było żadnych korków i utrudnień w ruchu.

– Przepraszam – powiedziała ze skruchą – mrowie samochodów. Długo czekasz?

– Długo. Może w końcu nauczysz się omijać korki, Aśka? Czy wciąż będziesz w nich tkwić jak ofiara losu? Mówiłem ci tyle razy: poznawaj

miasto, naucz się szukać objazdów. No dobrze, chodźmy.

Loszka zrzędził tylko dla zasady. Nastia poznała po jego oczach, że jest w świetnym humorze.

Obeszli parę sklepów, wybrali to, co Aleksiej chciałby podarować żonie na pięćdziesiąte urodziny, Nastia wszystko przymierzyła, jedno odrzuciła, drugie zaakceptowała, a potem poszli na obiad do restauracji, żeby bez pośpiechu omówić planowane zakupy i podjąć zgodnie decyzję, która zadowoli obie strony.

– A jednak masz głowę nie od parady, Loszka – powiedziała Nastia z wdzięcznością, gdy skończyli posiłek i wybrali prezent. – Miałaś rację, że zemsta natychmiastowa i odłożona na później to nie to samo. W przypadku zemsty po czasie na pierwszy plan wychodzą motywy osobiste i pragnienie zmiany własnego życia. Gdyby nie ty, nie zarobiliśmy tych pieniędzy i nie siedzielibyśmy teraz w restauracji jak bogacze.

Czistiakow spojrzał na nią podejrzliwie.

– Do czego pijesz?

– Do tego, że ja też chcę ci zrobić prezent. Kupmy tamten dres, który ci się spodobał. Zrobisz mi przyjemność.

– To nieusprawiedliwiony wydatek z budżetu, Aśka – powiedział Aleksiej surowo. – Obejdę się bez dresu. Kiedy miałbym go wkładać? Rano nie biegam, nie chodzę do siłowni, nie mamy też domku letniskowego.

– Będziesz w nim chodzić po domu – stanowczo oznajmiła Nastia. – I koniec, nie chcę nic więcej słyszeć. Ty robisz prezent dla mnie, a ja

dla ciebie. Mam propozycję: uznajmy, że moje urodziny nie mają z tym nic wspólnego, po prostu wymieniamy się prezentami, żeby uczcić pierwszą pomyślnie zakończoną wspólną sprawę. Pomyśl tylko, Losza. Pierwszy raz w życiu zarobiliśmy razem pieniądze!

– A jednocześnie pobyliśmy nad morzem i wpadliśmy do delfinarium – zauważył Aleksiej.

– I do oceanarium – podjęła. – A ja zrobiłam sobie zdjęcie z małpką i z papugą.

– I w końcu po dwudziestoletniej przerwie wybraliśmy się do kina. Słuchaj, a może rzeczywiście zaczynamy całkiem nowe życie, he?

– Życie Sherlocka Holmesa i doktora Watsona? – zapytała skonsternowana Nastia. – Czy może pretendujesz do roli Poirota, a mnie dajesz zaszczytne prawo bycia Hastingsem?

– Sięgnij wyżej! – zawołał wesoło Czistiakow. – Ja będę Nero Wolfem, a ty kupisz mi duży czerwony fotel skórzany i ze dwadzieścia orchidei, będę je podlewał i podziwiał całymimi dniami, a później siadał w fotelu i układał mądre maksymy. A ty zostaniesz Archiem Goodwinem, będziesz się kręcić po mieście i zbierać dla mnie informacje.

– A niby czemu akurat ja? – obruszyła się Nastia. – Może też chcę siedzieć w fotelu i podlewać orchidee?

– No a kto? – zaoponował rozsądnie Czistiakow. – Ja nie mogę jeździć, mam stary samochód, który ledwie zipie. A ty masz nowiutkiego peugeota, więc możesz jeździć. A więc tak, Aśka: przyjmuję propozycję wymiany prezentów. Idziemy i kupujemy, a

później wręczamy i się cieszymy. Zastanowię się, co ci podarować na jutrzejszą okazję. W końcu nie będziemy zrywać z tradycją – prezent urodzinowy musi być niespodzianką.

– Zgoda – odparła Nastia. – A co byś powiedział, Losza, gdybym kupiła jeszcze porcelanowy czajniczek i dwie filiżanki, wiesz, tamte w różowe kwiatki?

– Czemu nie – wielkodusznie zezwolił mąż.

Wrócili do domu obładowani torbami i pakunkami i ze zdziwieniem stwierdzili, że z honorarium, które dostali rano, zostało bardzo niewiele. Nastię ogarnęły wyrzuty sumienia.

– Wydaliśmy na mnie tyle pieniędzy, Loszka! Po co?

– Ale przecież podobają ci się rzeczy, które kupiliśmy. Nie zaprzeczaj. Cieszyłaś się, gdy je mierzyłaś i kupowałaś? Cieszyłaś. A więc wszystko w porządku. Na to nie szkoda pieniędzy.

– A jednak...

Nastia była zmartwiona, ale Aleksiej nie podzielał jej nastroju – cieszył się, kręcił się koło niej, zmuszał, żeby włożyła kupione rzeczy, później zapędził do kuchni i polecił zaparzyć herbatę w nowym czajniczku, oświadczając, że chętnie by się napił z nowej filiżanki.

Filiżanki były cienkie i eleganckie, herbata smakowała wybornie, więc Nastia szybko odzyskała humor.

– Do diabła z pieniędzmi – powiedziała. – Jeszcze zarobimy. Zobacz, jak świetnie sobie razem radzimy.

– Ale z szaleńcami koniec – prędko odparł Czistiakow. – Wolę coś spokojniejszego, z przyzwoitymi ludźmi. Nie znoszę szaleńców,

przyprawiają mnie o dreszcze. Nie piszę się na ich poszukiwanie. Obiecuj, że przyjmiesz sprawę tylko z poważnymi figurantami.

– Obiecuję – uroczyście oznajmiła Nastia. – Pisarze, naukowcy, artyści. I żadnych szaleńców.

*

– Pierwsze piętro, pokój dwieście osiem. Pomóc pani tam dojść?

– Dziękuję. – Zoja Pietrowna się uśmiechnęła. – Poradzę sobie. Niech pani się nie przejmie, poruszam się z laską bez problemu. Proszę powiedzieć, czy często ktoś odwiedza Nikołaja Stiepanowicza?

– Owszem – potwierdziła młoda kobieta w uniformie. – Dwa, trzy razy w tygodniu przyjeżdża syn, czasem sam, a niekiedy z żoną albo z dziećmi. Jest bardzo przywiązany do ojca.

Zoja Pietrowna skinęła głową i zaczęła wolno wchodzić na piętro, powłócząc nogą i postukując laską. Okazało się, że pokój dwieście osiem znajduje się tuż przy schodach. Zoja Pietrowna zapukała i nie doczekawszy się odpowiedzi, pchnęła drzwi.

Nikołaj Stiepanowicz Razuwajew siedział w fotelu bujanym przy oknie i wydawało się, że wpatruje się w korony drzew, pogrążony w zadumie.

– Dzień dobry, Nikołaju Stiepanowiczu – powiedziała Zoja Pietrowna, starając się mówić wolno i wyraźnie.

Mężczyzna nie odwrócił się i nawet nie drgnął. Może ma problemy ze słuchem? Może nie słyszy?

Zoja Pietrowna podeszła bliżej i dotknęła jego ramienia. Żadnej reakcji. Z wysiłkiem odwróciła fotel i spojrzała na Razuwajewa.

Na twarzy starego mężczyzny nie malowały się żadne uczucia prócz dziecięcej bez troski. Wyblakłe jasne oczy były utkwione w jeden punkt, z kącika ust sączyła się nitka śliny. Człowiek, który zabił kiedyś trzech chłopców, stracił rozum i kontakt z rzeczywistością.

Zoja Pietrowna przysłała do Razuwajewa, żeby zobaczyć tego, kto zniszczył jej życie i sprawił, że została inwalidką. Tego, kto ostatecznie spowodował, że życie jej syna się zawaliło. Zobaczyć, porozmawiać, może oskarżyć, a jeśli nadarzy się okazja, powiedzieć, co o nim myśli. Ale teraz nie miało to żadnego sensu. Razuwajew nie zdaje sobie sprawy z własnej winy, nie zdaje sobie sprawy z niczego. Jego czyn wywołał tyle emocji, zrujnował życie wielu ludziom, przyniósł tyle bólu, a on nie ma żadnej świadomości tego, co zrobił, i żadnych wyrzutów sumienia. Nie może wysłuchać zarzutów i oskarżeń. Jest szczęśliwy jak dziecko w kołysce, które nie wie, co to wina, ból, smutek i nic nie rozumie.

Ten potwór jest szczęśliwy? I to ma być sprawiedliwość? Zoja Pietrowna odwróciła fotel z powrotem do okna i długo stała za plecami Razuwajewa, patrząc na opuszczone ramiona i żalospny puch otaczający pokrytą starczymi plamami łysinę. Jest przecież niewiele starszy od niej, ale ona, Zoja Pietrowna, nadal pracuje i prowadzi aktywne życie, tymczasem Nikołaj Stiepanowicz stał się rośliną, której niedostępne są już nie tylko gorzkie przeżycia, ale też zwyczajne, nawet najmniejsze radości.

Więc może to jest właśnie zapłata?

¹⁷ UWD (Uprawlenije wnutriennich dieł) – Urząd Spraw Wewnętrznych.

POLECAMY

*Najnowsza powieść bestsellerowego cyklu
o MAJOR KAMIENSKIEJ*

ALEKSANDRA
MARININA

**EGZEKUCJA
W DOBREJ WIERZE**



Seria tajemniczych zabójstw, psychologiczna rozgrywka i major Kamińska w zupełnie nowej odsłonie. Czy jej wieloletnie doświadczenie pozwoli wyprzedzić ruchy przeciwnika i powstrzymać egzekucje niewinnych osób?

Rok 2015. Nastia Kamińska po przejściu na emeryturę pracuje w agencji detektywistycznej swojego dawnego przyjaciela – Władysława Stasowa. Kolejne zlecenie, które ma wykonać w syberyjskim Wierbicku, z początku wydaje się nieskomplikowane. Na miejscu okazuje się jednak, że rosyjska prowincja postawi przed nią zupełnie inne zadanie.

Kamińska trafia w sam środek lokalnych zatargów. W Wierbicku zbliżają się wybory na mera miasta. W szczytowym momencie przedwyborczych zmagani eskalację napięcia wywołuje fala zagadkowych zabójstw ekologów. Cień podejrzania pada na władze miasta, tym bardziej że mer i jego przyjaciele zawzięcie bronią fermy zwierząt ukrytej w głuchej tajdze. Kamińska rozpoczyna własne śledztwo, a to, co odkrywa, przechodzi jej najśmielsze wyobrażenia.

Aleksandra Marinina w swojej najnowszej powieści mistrzowsko kreśli ponury obraz rosyjskiej prowincji i po raz kolejny udowadnia, że

nie bez powodu nazywana jest „carycą rosyjskiego kryminału”.

CARYCA ROSYJSKIEGO KRYMINAŁU POWRACA!

Najnowsza powieść bestsellerowego cyklu
o MAJOR KAMIĘŃSKIEJ

ALEKSANDRA
MARININA

ŻYCIE
PO ŻYCIU



Dwa identyczne zabójstwa wstrząsają życiem prowincjonalnego miasta. Na piersiach ofiar sprawca zostawia potłuczone lusterko a z uszu wyrywa kolczyk. Do morderstw dochodzi w dużych odstępach czasu, co wyklucza najprostsze rozwiązania. Kto mógł zabić dwie szanowane obywatelki? Maniak wzorujący się na makabrycznej legendzie czy wyrachowany naśladowca?

Kiedy miejscowa policja postanawia umorzyć śledztwo, zaniepokojony o przyszłość własnych interesów biznesmen zwraca się o pomoc do agencji detektywistycznej Władysława Stasowa. Ze względu na poziom trudności zadania, Stasow przydziela zadanie emerytowanej pułkownik moskiewskiej policji, Nastazji Kamieńskiej. Czy jednak była policjantka poradzi sobie z działaniem pod przykrywką socjologa? Czy uda jej nawiązać współpracę z policją? W końcu: jaką rolę w śledztwie odegra przygarnięty przez Nastię pies?

Marinina wirtuozersko odmalowuje opustoszałe podmiejskie pejzaże rosyjskiej prowincji a napięcie buduje w oparciu o emocje ukryte w dynamicznym stylu narracji.